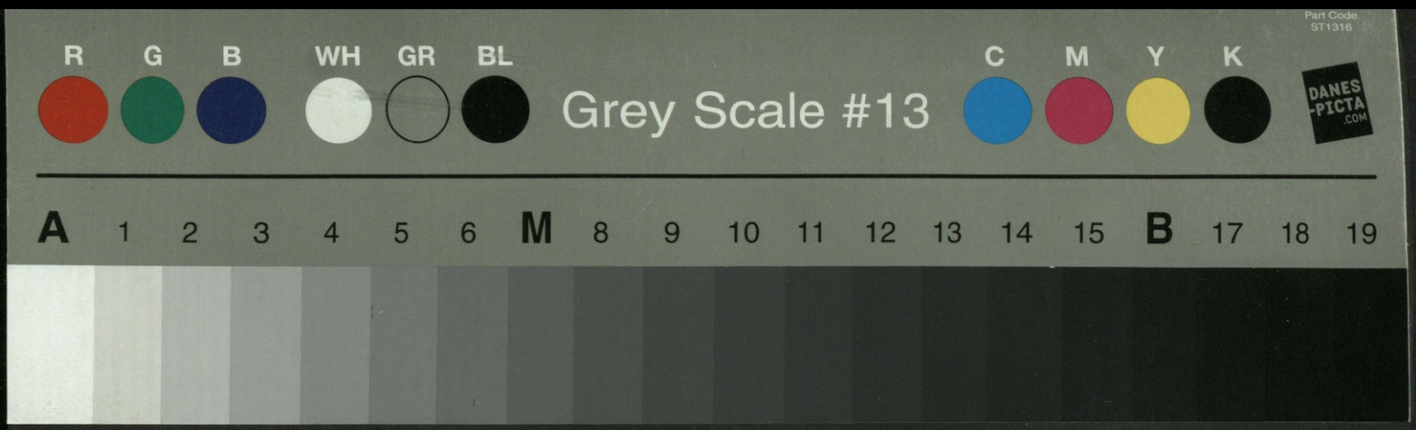
Part Code
ST1316
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

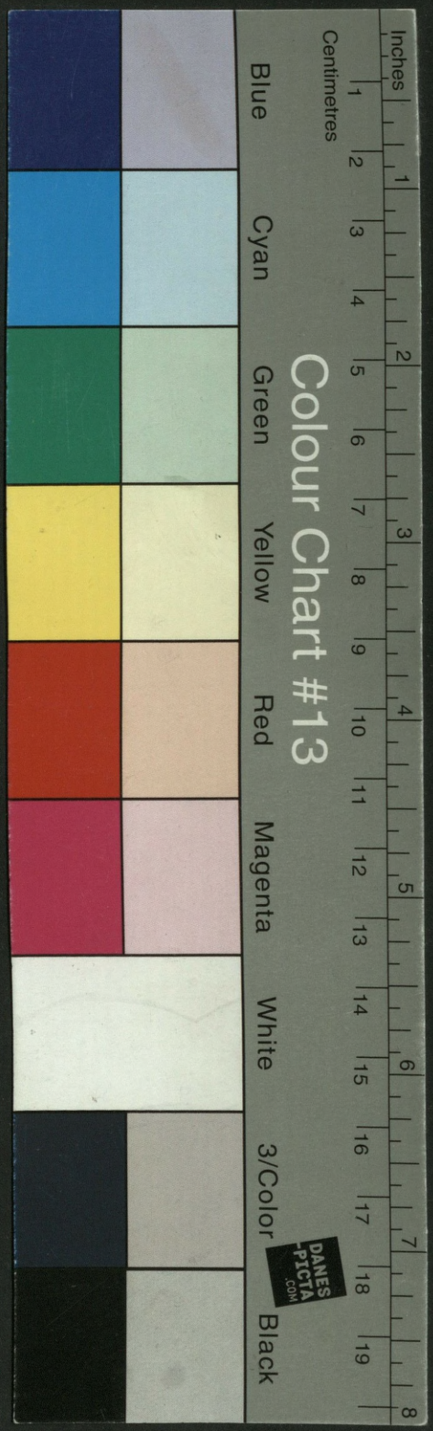
Inches
Centimetres
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Colour Chart #13
DANES-PICTA.COM

WIEJSCY DZIAŁACZE SPOŁECZNI

TOM II

ŻYCIORYSY INTELIGENTÓW

THE INSTITUTE OF RURAL SOCIOLOGY
AT THE COLLEGE OF AGRICULTURE IN WARSAW
№ 2

RURAL SOCIAL LEADERS

VOL. II

AUTOBIOGRAPHIES OF THE MEMBERS OF THE INTELLIGENTIA CLASS

PUBLISHED WITH THE ASSISTANCE
OF THE STATE INSTITUTE
FOR RURAL CULTURE

WARSAW 1938
KSIĘGARNIA ROLNICZA, WARSZAWA, MAZOWIECKA 10.

INSTYTUT SOCJOLOGII WSI
SZKOŁY GŁÓWNEJ GOSPODARSTWA WIEJSKIEGO
NR. 2

WIEJSCY
DZIAŁACZE SPOŁECZNI

TOM II

C 135

ŻYCIORYSY INTELIGENTÓW

WYDANE Z ZASIŁKU PAŃSTWOWEGO
INSTYTUTU KULTURY WSI

WARSZAWA 1938
SKŁAD GŁÓWNY: KSIĘGARNIA ROLNICZA WARSZAWA, MAZOWIECKA 10

3K 3L : 301

BIBLIOTEKA OFICERSKA
D. O. W. M.
Nr 5596.

Przedruk dozwolony jedynie z podaniem źródła.

32446/2

Polska Drukarnia Nakład., Sp. z ogr. odp., Warszawa, Senatorska 17. Tel. 251-58.

SPIS TREŚCI.

Str.

OD WYDAWNICTWA VII

WOJ. ZACHODNIE.

Lp. 1. Nauczyciel z pow. jarocińskiego ..... 1— 73
Lp. 2. Były ziemianin z Kijowszczyzny, obecnie w Poznańskim ..... 75—124

WOJ. ŚRODKOWE.

Lp. 3. Ziemianin z pow. garwolińskiego ..... 125—140
Lp. 4. Ziemianin z pow. płockiego ..... 141—154
Lp. 5. Była ziemianka z pod Warszawy ..... 155—193
Lp. 6. Emerytowany oficer z pod Warszawy ..... 195—220
Lp. 7. Pracownik samorządowy z pow. lipnowskiego ..... 221—234
Lp. 8. Spółdzielca z pow. iłżeckiego ..... 235—280
Lp. 9. Lekarz z pow. kozienickiego ..... 281—312
Lp. 10. Nauczyciel (czasowo w Warszawie) ..... 313—337

WOJ. POŁUDNIOWE.

Lp. 11. Spółdzielca z pow. krakowskiego ..... 339—347
Lp. 12. Nauczyciel z pow. mieleckiego ..... 349—363
Lp. 13. Instruktor rolny ..... 365—409

OD WYDAWNICTWA.

Stosownie do zapowiedzi umieszczonej w tomie I wydawnictwa „Wiejscy działacze społeczni", ogłaszamy tom II z życiorysami inteligentów w liczbie 13. Czytelnika, który chciałby poznać lub przypomnieć sobie szczegóły dotyczące Konkursu, z którego pochodzą te życiorysy, prosimy o sięgnięcie do przedmowy zamieszczonej w I tomie tego cyklu.

Równocześnie podajemy do wiadomości Czytelników naszych wydawnictw, że Instytut Socjologii Wsi poniósł ostatnio niepowetowaną stratę skutkiem śmierci ś. p. prof. Władysława Grabskiego, kierownika Instytutu, jego inicjatora i organizatora. Tym samym tok prac Instytutu, a w tym i nad opracowaniem dorobku Konkursu na życiorys działacza wiejskiego, ulega pewnemu osłabieniu i odwleczeniu.

INSTYTUT SOCJOLOGII WSI

Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

Lp. 1

Nauczyciel

z pow. jarocińskiego.

Życiorys? — Nie nazbyt ciekawy. Pisze go najstarszy z sześciorga dzieci górnika naftowego, urodzony 2. II. 1889 r. Ojciec przez całe życie pracował w kopalni nafty na Podkarpaciu, posiadał ponadto 7 morgów roli w przełęczy Dukielskiej, gdzie zbudował w r. 1893 domek, w którym gospodarzyła matka z dziećmi, widując ojca tylko w czasie większych świąt lub strajków. Trzech braci utrzymało się przy życiu, trzy siostry umarły w dzieciństwie: jedna na ospę, druga na szkarlatynę, a trzecia po prostu na śmierć, bo nie było środków na lekarza, który by postawił diagnozę.

Matka, od 7 lat sierota, analfabetka, od dziecięcych lat sługiwała i wyrobiła się na znakomitą kucharkę, gdyż nigdzie nam tak jadło nie smakowało, jak w domu rodzinnym. Nigdy też wobec nas nie przyznawała się, że czytać nie umie, twierdziła nawet, że chodziła do szkoły, ale czytać nie może dla słabego wzroku, co nas dziwiło, bo szyła i sama nawlekała igłę i zawsze dojrzała, gdy któryś z nas coś zbroił; nie szczędziła też rózgi na rozbrykanych „trzech Budrysów," gdyż inaczej bylibyśmy zadręczyli tę świętą męczennicę. W rozmowach z sąsiadkami odgrażała się zawsze, że swoje dzieci „wyprowadzi na ludzi" i da im w ręce „lżejszy" kawałek chleba.

Ojciec był w domu upartym milczkiem i zaciętym konserwatystą, a także okropnym pantoflarzem; gdy zdejmował pasek dla dokonania na którymś z nas egzekucji, nigdy nie wykonał swego zamiaru z powodu energicznego sprzeciwu matki oświadczającej, że posiada „za ciężką" rękę; pod jej też presją sprzedał swoje gospodarstwo i zakupił kawałek ziemi pod Haliczem, miejscem rodzinnym matki, jedynie tylko z tej przyczyny, że tam jakoby miało być bliżej do szkół dla dzieci, ponieważ sąsiedzi „psuli" poglądy jego na sprawę uczenia potomstwa w szkołach.

Jako mały pędrak pasałem po miedzach dwie krówki na sznurku, odbierając też często lanie za zaniedbywanie obowiązków oraz za zamienianie cierpliwej krasuli na... arabskiego wierzchowca.

Szkoły na wsi nie było. Pierwszą naukę rozpocząłem pod kierunkiem ojca, który na moje i swoje nieszczęście został skaleczony w kopalni i leczył ranę przez całą zimę w domu. Rozpoczęliśmy od odczytywania etykiet na flaszkach, które pozostały po chrzcinach młodszego brata. Była to wspaniała metoda, ponieważ bardzo szybko zacząłem sylabizować: pe — i=pi, wu — o = wo, piwo, em — a — er = mar, ce — o = co, marco, wu—e=we, marcowe i t. p. Potem przyszła kolej na napisy na pudełkach, a w końcu przyniósł ojciec z miasta prawdziwy elementarz z tabliczką i rysikiem, a pasek był tylko wtedy w robocie, gdy zamiast przepisywania grafiki, trwoniłem czas na odrysowywanie obrazków. Pierwszy dyktat odbył się na wiosnę, gdy ojciec odjechał do kopalni. Za to wypracowanie ojciec w czasie Zielonych Świąt pogłaskał mnie po głowie, obdarzył książeczką do nabożeństwa, a matka wyrażała zadowolenie, że posiada w domu własnego pisarza. Dalsze czytanie stanowiły wypożyczane w kółku rolniczym książeczki Krakowskiego Tow. Oświaty Ludowej, między innymi „Pan Tadeusz“ oraz porywane od stryja egzemplarze „Przyjaciela Ludu“, ciekawe dla mnie z tej przyczyny, że proboszcz z ambony często zakazywał czytania tej gazetki.

Po ukończeniu 8-go roku życia znalazłem się z matką w dukielskiej farze, gdzie ujrzałem dużo dzieci wychodzących parami z nabożeństwa. Weszliśmy za nimi do szkoły; matka odwołała na stronę jednego z nauczycieli, wetknęła mu w rękę niezbyt dyskretnie guldena, prosząc, by mię przeegzaminował. Z czytaniem poszło gładko, w dyktacie podkreślił kilka wyrazów ołówkiem, natomiast coś w rodzaju 83 mniej 39 już wcale nie poszło; nie miałem pojęcia, czego właściwie ode mnie żądano. Usłyszałem wyrok: od biedy można by go dać do klasy III, lecz lepiej będzie, gdy pójdzie do klasy II, łatwiej mu pójdzie nauka.

Ulokowano mnie na stancji u poczciwego szewczyny pod miastem, gdzie posiadał domek w środku dużego ogrodu warzywnego, otoczonego żywopłotem. Wszystko szło składnie, nie licząc tęsknoty za domem, bo kierownik szkoły dostał worek owsa dla gęsi tylko za to, że mnie przeniósł do innego oddziału klasy II, gdzie nie było żydów i gdzie nauczyciel mniej szczodrobliwie wydzielał trzcinki. Trwało to do Bożego Narodzenia, kiedy ojciec-robotnik zjechał się z synem studentem w domu matki. Ojciec był chmurny i mruczał coś pod nosem o braku pieniędzy, coś o siłach do pracy, coś o pracy na roli lub „we fabryce“ i t. p., przy pilnym potakiwaniu stryja, twierdzącego, że posyłanie syna do szkoły to nie portki robotnika. Matka zaś ciągle mówiła i mówiła, z rzadka popłakując, aż stanęło na tym, że „tej szkoły“ długo nie będzie, nie oznaczając zresztą w kalendarzu kresu mej nauki.

Po świętach ojciec osobiście odwiózł mnie stryjowymi końmi do miasteczka, oczekiwał na mrozie pod szkołą na ukończenie lekcji, po czym zaprosił mego nauczyciela do restauracji, gdzie we trójkę zjedliśmy gęsinę z kapustą; coś tam długo naradzali się z nauczycielem, oglądali moje zeszyty, gęsto przepijając do siebie.

Drugie zajście wybuchło w dwa lata później, gdy ojciec był bez pracy, a za książki do klasy V trzeba było zapłacić 10 koron. Przy płaceniu rachunku spadły z ojcowskich oczu dwie grube łzy, a z ust pod adresem matki padło pytanie: „Za co teraz pojadę do Borysławia?“ — „Bóg dobry“ — rzekła twardo i to zdecydowało o sprzedaży gospodarstwa, by osiedlić się „gdzieś bliżej szkoły.“

W dwa miesiące później mieszkaliśmy już w wynajętej chacie pod Haliczem, gdzie była 6-klasowa szkoła ludowa. Ojciec kupił kawałek pola, gdzie z wiosną rozpocząć się miała budowa domu i odjechał do kopalni. Kierownik szkoły przyjął mnie do klasy V pod warunkiem „nadrobienia“ języka ruskiego. Kupiono mi ruski elementarz, koledzy na przerwach objaśnili mi alfabet, przez kilka tygodni przeszedłem pisanie i czytałem tekst drukowany, po czym już mozoliłem się nad podręcznikiem do języka ruskiego na klasę V.

Nadszedł moment klasyfikacji na I półrocze. Nauczyciel języka ruskiego pyta mnie sceptycznie: „Umijesz czytaty po ruski?“ „Umiem!“ — odpowiedziałem. „A umijesz werszyk?“. „Umiem!“ — rzekłem buńczucznie. A był zadany do wyuczenia się na pamięć długi na półtorej stronicy wiersz o grajku, który wpadł do wilczego dołu, gdzie siedział złowiony wilk, i dla odstraszenia którego musiał grać przez całą noc. Wkuwając ten wierszyk, rozumiałem jego ogólną treść, nie rozumiałem za to większości zawartych w nim wyrazów i przenośni poetyckich, przeto z równym nakładem wysiłku mógłbym wykuć na pamięć wiersz chiński. Na rozkaz nauczyciela wypowiedziałem lekcję od początku do końca, nie mając pojęcia o akcencie, a mej deklamacji towarzyszył nieustanny chichot całej klasy. Nauczyciel zdębiał, namyślił się i powiedział: „masz ze wszystkich przedmiotów stopień bardzo dobry, nie chcę ci psuć świadectwa i wpisuję ci także notę bardzo dobrą, ale nie za umiejętność języka, lecz za pilność.“ Potem szło coraz lepiej i zawsze otrzymywałem notę bardzo dobrą. I tak się już jakoś złożyło, że jako nauczyciel wpisuję najlepsze noty nie tym, którzy najlepiej odpowiadają, ale tym, którzy odznaczają się dobrymi chęciami i wytrwałą pilnością; nigdy też nie zawiodłem się na tego rodzaju uczniach.

Ukończyłem więc szkołę ludową, otrzymując z końcem roku szkolnego, ku radości matki, książeczkę z wytłoczonym napisem: w nagrodę pilności. W czasie wakacji przyjechał ojciec, był to bowiem czas wielkiego strajku w przemyśle naftowym. Dowiedziałem się, że w czasie mej nieobecności w domu ciągle pomiędzy rodzicami odbywały się rozmowy w sprawie mego dalszego kształcenia; matka upierała się przy seminarium nauczycielskim, ojciec tym razem zdecydował twardo, że weźmie mię do Borysławia, wyszuka jakieś zarobkowe zajęcie i ewentualnie odda mnie do tamtejszej niższej szkoły górniczej przygotowującej wykwalifikowanych robotników. Pochlipywania matki zdawały się nie odnosić, jak to dotychczas bywało, żadnego skutku; po kilku dniach widocznej męki duchowej okazała pewien odcień rezygnacji i szepnęła mi na ucho: „proś sam...“ Zdobyłem się na odwagę,

gdyż ojciec nigdy się z dziećmi nie poufalił, a bywając rzadko w domu zdawał się nam obcym, srogim i nieprzystępnym, ucałowałem mu rękę i wyjąkałem prośbę o dalszą naukę. Spojrzał na mnie ze strachem, przez moment usta mu dziwnie drgały, wreszcie wykrztusił roztrzęsionym głosem: „Jeśli Bóg da zdrowie i pracę...“, odwrócił się szybko i poszedł do ogrodu. Matka promieniała.

Trzydniowy egzamin wstępny wypadł pomyślnie. Umieściłem się na stancji u robotnika kolejowego, gdzie w jednej izbie mieściłem się z jego rodziną, złożoną z czworga małych pociech. Po trzech miesiącach złożył mi niespodzianą wizytę sam gospodarz klasy, pokręcił nosem na widok mego mieszkania, porozmawiał z domownikami, a po kilku dniach oznajmił mi zdumiewającą nowinę: konferencja nauczycieli przyznała mi stypendium po 10 koron miesięcznie; tego samego dnia wypłacił mi dyrektor ogromną sumę 30 koron i wręczył mi równocześnie jakąś deklarację, którą ojciec miał podpisać u notariusza.

Ulice pokrywała już gruba warstwa śniegu, a na moim grzbiecie była tylko bluzeczka. Wstąpiłem do handlarza starzyzną i za 18 koron kupiłem sobie wspaniały, prawie nowy, ciemnogranatowy płaszcz austriackiego rewidenta kolejowego; odprucie epoletów i przyszycie ebonitowych guzików dało wcale przyzwoity, wprawdzie obszerny, ale ciepły płaszcz studencki, który koledzy powitali okrzykiem podziwu i bardzo chwalili. Wyszukałem sobie też mieszkanie u innego kolejarza, człowieka bezdzietnego i inteligentnego, gdzie znalazłem spokojny kąt do nauki.

Akurat w rok później hiobowa wieść: ojciec ciężko chory, nie ma skąd płacić na utrzymanie, trzeba wracać do domu. Koledzy doradzili prosić o przyjęcie do internatu, gdzie wypłacano stypendium w podwójnej wysokości; zdobyłem się na krok desperacki: wszedłem do kancelarii dyrektora i przedstawiłem mu moje położenie. Na następnej pauzie gospodarz klasy powiadomił mnie, że do dyrektora nie wolno wchodzić z lada głupstwem, że mogę się sprowadzić do internatu i że jeden z nauczycieli szkoły ćwiczeń ma dla mnie lekcję za 10 koron miesięcznie z podwieczorkiem; po dwóch dniach w tej samej kamienicy powierzono mym nauczycielskim zdolnościom drugiego chłopaczka na tych samych warunkach. Po miesiącu odwiedziłem rodziców z 20 koronami w kieszeni. Ojciec zapadł na nerki i pęcherz, leżał opuchnięty i bezradny; rozjaśnił twarz na wieść o mych powodzeniach. Posyłałem mu po 12 do 15 koron co miesiąc, bo bracia już chodzili do szkoły. Poza tym ratował się sprzedażą gruntu, zostawiając tylko domek z ogrodem. Po roku już pracował w Borysławiu.

W następnych latach, mając znajomości wśród kolejarzy, rzuciłem lekcje pojedyńcze i przerzuciłem się na tworzenie zespołów po 5 - 6 uczniów, przygotowujących się do gimnazjum lub seminarium. Na te zajęcia traciłem zaledwie 2 godziny popołudniowe, zarabiając miesięcznie od 30 do 40 koron, plus 20 koron stypendium, co w sumie dawało uposażenie czynnego nauczyciela. Nosiłem już zawsze elegancki mundurek, miałem środki na

teatr, wycieczki szkolne, abonament biblioteki publicznej, a także na kursy tańca i... bukiet dla podlotka, który pierwszy przyszpilił na mej piersi odznakę kotylionową! Starczyło też na upominki dla matki i braci, a nawet uciułało się na przyzwoity anglez do matury.

Ojciec pilnie mnie obserwował i zupełnie zmienił poglądy na sprawę kształcenia mych braci. Raz na jego pytanie czy mi nie potrzeba pieniędzy, odpowiedziałem przecząco, na co rzekł z przekąsem: „Nie, to nie, będzie dla młodszych.“ Traktował też mnie nie jak syna, ale jakby samodzielnego sąsiada, goszczącego w jego domu, co mnie rozczulało i bawiło zarazem, a wybuchał dziecięcą radością, gdy mu się udawało ograć mnie w karty.

*

* *

Stanisławowskie seminarium nauczycielskie było utrakwistyczne: część przedmiotów wykładano po polsku, część po rusku; ruski wykład miały nauki przyrodnicze, gospodarstwo i matematyka z geometrią, ale nie przestrzegano tego zbyt ściśle, gdyż matematykę, fizykę, chemię i geologię jeden z profesorów uporczywie wykładał po polsku, podając tylko dodatkowo terminologię ruską. Ruski wykład wzbudzał we mnie pewien odcień odrazy; był to pewnie jakiś uraz psychiczny, wywołany wysiłkiem forsownego nadrabiania tego języka w szkole ludowej i dlatego może nienawidziłem przedmiotów wykładanych w tym języku. Przyczyniła się niewątpliwie do tego i metoda nauczania, gdyż zaczynano od pamięciowego wykuwania systematyki, natomiast na opisywanie typów brakowało czasu. Arytmetyka nie sprawiała mi kłopotu, natomiast algebra tak dla mnie, jak i dla większości kolegów, była istnym tureckim kazaniem. W drugim półroczu I-go roku seminarium z przerażeniem zauważyłem, że nauczyciel tego przedmiotu obok mego nazwiska w notesie umieścił czerwonym ołówkiem rzymską dwójkę; dał mi do rozwiązania równanie pierwszego stopnia i przekonał się, że nie potrafię wykonać zwykłego dodawania algebraicznego. Strach dodaje energii. Dziesięć koron w łapę kolegi z wyższej klasy i dwa tygodnie wytrwałego ślęczenia wystarczyło, by podręcznik algebry nie miał dla mnie żadnych tajemnic. Poprosiłem profesora o przepytanie. Pierwsze równanie poszło piorunem, drugie również; zagadnienie z przystawania trójkątów okazało się igraszką.

Z germanistą po grubszym zajściu na kursie I łączył mnie stosunek wzajemnego poważania. Utarł się zwyczaj, że kto raz w miesiącu został przepytany z bieżącej lekcji, nie potrzebował już w tym miesiącu przygotowywać się do następnych. Akuratnie pewnego piątku zdawałem sprawę z Nibelungenslied, a już na drugi dzień, w sobotę, wyrwał mię do odpowiedzi z gramatyki. Oniemieliśmy obydwaj. Przez 18 następujących bezpośrednio lekcyj wyrywał mnie pierwszego do recytowania bieżącego materiału. a chociaż już ani razu nie przyłapał na zaniedbaniu, wykazał mi z niemieckiego na pierwszej konferencji „minus“, na następnej „plus“. Odtąd pano-

wała pomiędzy nami „sztama“ — w wyniku otrzymałem kwalifikację do nauczania języka niemieckiego w szkołach ludowych.

Naukę gospodarstwa wiejskiego prowadził nauczyciel przyrody w ruskim języku wykładowym na podstawie materiału obowiązującego w szkołach wiejskich dla t.zw. nauki dopełniającej „Szkółki cz. V.“ Do ćwiczeń praktycznych przeznaczony był półmorgowy ogród szkolny, gdzie uczniów zatrudniano wyłącznie kopaniem grządek łopatami. Treść podręcznika, jak na owe czasy, była dobra, posiadało go jednakże zaledwie kilku uczniów.Nakę prowadzono w klasie wyłącznie słownie: nauczyciel przez całą godzinę mówił, a uczniowie zajmowali się czym innym; czasem próbował zapytać o coś któregoś ze słuchaczy, a nie wydobywszy zeń nic, wykrzykiwał z podrażnieniem: „O czym ty będziesz mówił z chłopem na wsi?“ Jakkolwiek podręcznika nie posiadałem, wykładom przysłuchiwałem się ciekawie, dziwiąc się brakiem zainteresowania do tego przedmiotu u kolegów. Przydało mi się to bardzo, bo przy maturze sam pan radca M., Rusin, raczył mnie osobiście przeegzaminować z różnych rodzajów szczepienia. Obwieściłem przeto Komisji Egzaminacyjnej wszystkie sposoby szczepienia drzew i rozmnażania krzewów owocowych, zaplątałem się tylko przy sposobie szczepienia orzecha włoskiego; pan radca kiwał z zadowoleniem głową, co odbiło się na wpisanej nocie; szczęściem nie dał mi do ręki kozika i patyka do pokazania tej operacji, gdyż przepadłbym beznadziejnie.

Sztuki szczepienia nauczyłem się naprawdę w kilka lat później. Prowadząc jako nauczyciel naukę dopełniającą, musiałem się pilnie przygotowywać do każdej lekcji, aby się nie skompromitować wobec uczniów brakiem wiadomości, które oni z życia domowego posiadali. Bywało też najczęściej, że nauczyciel, dostawszy kawał gruntu czy ogrodu i hodując krowę, zamiast wnieść do swej gospodarki postęp, sam zasięgał u chłopów informacyj gospodarczo-hodowlanych, przez co szybko schłopiał. Niestety, nauczycielstwo szkół powszechnych wychowane w Polsce współczesnej świeci jeszcze większą nieznajomością spraw gospodarczych aniżeli pokolenie starsze. Niższe szkoły rolnicze nie spełnią zadania powszechnego podniesienia poziomu oświaty rolniczej na wsi, a przynajmniej na pewno nie uskutecznią tego w czasie najbliższym, przeto błędnym jest rezygnowanie z pracy nauczycieli wiejskich nad podniesieniem kultury gospodarczej na wsi.

Za to z polonistą i historykiem w jednej osobie łączyła mnie wielka przyjaźń. Nigdy mię nie pytał zadanych lekcyj, ale za to gęsto wyrywał do poprawiania innych odpowiedzi; czasem też przepytywał z materiału który zamierzał wykładać; raz nawet dopuścił, że przez dwie godziny referowałem klasie elementy średniowiecza, odrodzenia, racjonalizmu i romantyzmu na tekstach, których nie było w obowiązującym podręczniku. Podręcznik do historii Zakrzewskiego posiadał dla mnie wiele niedomówień, ale na moje pytania nauczyciel odpowiadał z flegmą: „gaduło, czytaj! Gdy urośniesz, zrozumiesz.“ Z zakłopotaniem brał ode mnie sprawozdania z lektury prywatnej, gdyż zamiast autorów poleconych referowałem Przyby-

szewskiego, Zapolską, Orzeszkową i romans Przerwy-Tetmajera. Raz nawet chodziłem do pastora po tezy Lutra...

Z księdzem profesorem żyliśmy w zgodzie jedynie na terenie historii Kościoła, natomiast dogmatyka, etyka i liturgika wcale mię nie obchodziły i podczas wykładu tych przedmiotów czytałem sobie książki, co go omal nie doprowadziło do apopleksji. Niedługo potem zaszło coś gorszego. Jeden z kolegów zaspał i nie zjawił się na ranną mszę, gdy cały zakład przystępował do Komunii św. w okresie wielkanocnym i wyobraził sobie, że jego nieobecności nikt nie zauważył. Na najbliższej lekcji zapytał go ksiądz: „Dlaczego nie byłeś u Komunii?". Zapytany milczał, szukając w myśli odpowiedzi. Podszepnąłem mu: „Nie otrzymałeś rozgrzeszenia", a ten bez namysłu wypalił na całą klasę: „Bo nie dostałem rozgrzeszenia!" Pierwszy raz zobaczyliśmy doświadczonego pedagoga tak zbitego z tropu, że nie znalazł odpowiedzi. Po lekcji wziął mnie do kancelarii, gdzie dowiedziałem się, że jestem człowiekiem z gruntu zepsutym, bez zasad chrześcijańskich, zakałą rodzaju ludzkiego i t. d. Gdy po wysłuchaniu tej lekcji buchnąłem go w rękaw, uległem złudzeniu, że po jego twarzy przeleciał miły uśmiech, całkiem niedostosowany do sytuacji.

Z nauczycielem języka ruskiego żyliśmy na stopie wzajemnej tolerancji; wpisywał mi notę dostateczną, dopiero przy maturze postawił mi stopień zadawalający. Na godzinach nauki stomatologii i higieny, wykładanej przez pewnego lekarza obdarzonego słabym wzrokiem, działy się istne orgie złośliwości; zamiast obrazu serca wywieszano żołądek krowy, czego on nie dostrzegał i gniewał się z powodu ogólnej wesołości; mścił się za to piórem, wobec czego musiano dokładnie wykuwać treść podręcznika.

Stosunek do sztuk pięknych był też rozmaity. Rysownik twierdził, że nie potrafię patrzeć na model i z pasją krzyczał: „Naucz się patrzeć!" — „A co potem?" — pytałem. „Potem weź wiązkę siana, a przejdziesz cały świat." Niestety, później karmiłem sianem tylko krowę.

Z muzyką było wprost przeciwnie. Zaledwie przegrałem pierwszą część Szkoły Hohmana na skrzypce, wziął mię nauczyciel do swego mieszkania, dał wiolę (altówkę), objaśnił klucz, pokazał palcowanie i kazał przychodzić na próby orkiestry zakładowej, rzucając przez zęby: „spróbuj nie grać..." Na pierwszej próbie rozdał „Niemą z Portici" i „Chalifa z Bagdadu", podniósł batutę o rozmiarach wałka do ciasta i... grać się musiało; gdy zaś batuta z furkotem kuropatwy przefrunęła obok mojej głowy, muzyka szła coraz lepiej. Grywało się więc trzy razy na tydzień na próbach, a poza tym na wszystkich przedstawieniach i uroczystościach, jak i na imieninach dyrektora. Później wróciłem do skrzypiec.

W naszym zakładzie w każdej klasie było mniej więcej po połowie Polaków i Rusinów oraz kilku Żydów. Jaskrawych starć narodowościowych nie obserwowano, prócz zjadliwej denuncjacji w gazetach ruskich na jednego z czynniejszych na terenie pozaszkolnym profesorów Polaków na tle jakichś drobnych spraw służbowych, mianowicie niepisania okazowych za-

dań szkolnych i oddawania drobnych, złożonych przez uczniów na zakupno zeszytów, kwot na cele kuchni dla ubogich, z której korzystali ludzie bez różnicy wyznania i narodowości i nawet niektórzy uczniowie naszego seminarium. Atmosfera wśród kolegów była na ogół przyjazna. Uczono się języka ruskiego, pisano zadania ruskie, przyznawano się do ruskiej narodowości, ale czytano już podręcznik szkolny do ukraińskiej literatury i mówiono o ukraińskich stowarzyszeniach. Był to czas, gdy te dwa pojęcia: ruski i ukraiński były na przełomie; niektórzy z uczniów nosili na czapkach posrebrzanego orzełka, inni brązowego lwa na tle sinożółtej łatki, nikt jednakże nie zwracał na to specjalnej uwagi. Zgodnie też brali koledzy obu narodowości udział w organizowaniu wieczorów Mickiewiczowskich i Szewczenkowskich, urządzanych w teatrze miejskim, śpiewając w chórach i grając w orkiestrze. Jednakże zewnętrzne życie i wypadki polityczne działały na młode umysły. To też przy przypadkowym poruszeniu jakichś drażliwych tematów w koleżeńskich pogawędkach dusze się kurczyły i powiewał chłodek jakiejś nieufności, tkwiącej gdzieś głęboko w podświadomości.

Właściwa sytuacja ujawniła się przy sposobności drobnego na pozór wypadku. Przerabiano w klasie „Kobzara“ Szewczenki z pietyzmem, należnym dla największego wieszcza tego narodu, przy czym nauczyciel zmuszał uczniów obu narodowości do głębszego wniknięcia w treść tego utworu, nie szczędząc upomnień i dwójek, wpisywanych do notesu, nie rozumiejąc zapewne nastroju uczniów Polaków, których ten poeta tak bardzo, jak chciał nauczyciel, nie interesował. Po uporaniu się z tym działem odczuto ulgę, że to się już raz nareszcie skończyło. A było to w czasie, kiedy ruski literat Iwan Franko napisał jakiś paszkwil o Mickiewiczu. Ktoś z pustoty uwiązał egzemplarz Kobzara w czasie pauzy na sznurku i przymocował do haka w suficie; ktoś inny zapalił trociczki i zaczął okadzać to dzieło, ktoś inny zaczął deklamować jakiś utwór Szewczenki, dodając na początku każdego wiersza „oj“, a niektórzy z obecnych przy tym akompaniamencie zaczęli tańczyć kozaka. Kilku kolegów Rusinów wystąpiło słownie, wywiązała się kłótnia, w której pod adresem Franka wyraziłem się, że wolno psu na lwa szczekać. Ktoś doniósł, że obrażamy uczucia narodowe, sprawa oparła się o konferencję nauczycieli, a w rezultacie oberwaliśmy po 8 godzin karceru i obniżenie noty z obyczajów. Odsiedzieliśmy zaledwie dwie godziny, gdyż dozorujący profesor Polak oświadczył, że nie będzie odbywał kozy razem z nami i wygnał nas ze złością do domu. Życie towarzyskie oraz związki rodzinne czy przyjacielskie istniały powszechnie, nie wprowadzono jeszcze, mimo morderstwa Siczyńskiego, żadnego powstrzymywania się w stosunkach osobistych ze względów narodowościowych.

O wychowaniu społecznym młodzieży szkolnej w ówczesnej szkole nie było mowy. Poza urządzaniem wspomnianych wieczorów ku czci wieszczów, brano udział poza obrębem zakładu w akcji zbiórkowej na rzecz Tow. Szkoły Ludowej i manifestacji narodowej w dniu 3 Maja. Poza tym istniało

zakonspirowane towarzystwo do zbiórki na skarb narodowy; urządzano doroczne wycieczki popularne do Krakowa oraz kilka krajoznawczych wycieczek do Lwowa, Oleska, Podhorzec, Żółkwi, Bubniszcz i t. p. Gdy kilku z nas wpisało się do towarzystwa wstrzemięźliwości „Eleuteria,“ szybko dowiedział się o tym dyrektor, wezwał do kancelarii i dziwnie miękkim głosem powiedział, że uczniom do żadnych towarzystw należeć nie wolno. On też jedyny spośród grona nauczycieli występował podczas świąt dworskich przy szpadzie i w austriackim pierogu.

O Tej, co nie zginęła, mówiło się w szkole krótko, półgębkiem i niewiele, za to otaczające życie starszego pokolenia działało na młode umysły. Na jakiejś gościnie w Haliczu posadzono mnie obok „poczciwego starorusina“, znanego w okolicy działacza moskalofilskiego. W pogawędce, ku memu ździwieniu, zaczął wychwalać ogrom i potęgę Rosji, dobroć cara, jedność wielkiego ludu „ruskiego“, wyrażając nadzieję, że już niedługo wszystkie ruskie ziemie złączą się pod berłem białego cara. Przez świadomość przebiegły mi postacie Pułaskiego, Kościuszki, Suworowa i męczenników sybirskich. Niemal jednocześnie ujrzałem manifestujące szeregi siczowników i sokiłów, gromko śpiewających: „Ne pora... Moskalowi, Lachowi służyt“, „Hej hajdamaki“, „Tam na hori kozaki idut“ i znów oczy mej wyobraźni ujrzały Kudak, Machnówkę, Konstantynów, Zbaraż. Już nie potrzeba było nauczyciela, który by mi te sprawy objaśniać musiał. Z zadowoleniem obserwowałem spory ukraińsko-staroruskie w okresie wyborczym; na wiec jednej partii nacierała z reguły druga partia i sypał się istny grad kamieni, przez co trudno się było nieraz zorientować, która strona bierze większe lanie.

Działało też pulsujące życie starszego pokolenia polskiego. Barwne szeregi naszego sokolstwa w obchodzie 3-go Maja świadczyły, że żyjemy. Ofiarność na cele T. S. L. napawała otuchą. Raz ujrzeliśmy naszych profesorów z dyrektorem, postępujących z odkrytymi głowami w nielicznym pochodzie najpoważniejszych obywateli miasta z okazji wyodrębnienia Chełmszczyzny. Raz rozeszła się głucha wieść, że należy być koniecznie w kościele na jakiejś rocznicy Wincentego Pola. Świątynia była wypełniona po brzegi, jakby w dzień świąteczny. Na ambonie pojawił się ks. biskup Bandurski i rozpoczął kazanie o skowronku ziemi polskiej, nawiązując do słów Jeremiasza: „Jeżeli cię zapomnę, o Jeruzalem, niech język przyschnie do podniebienia mego, niech zapomnę prawicy mojej!“ Kazanie to dotychczas brzmi w duszy mojej i zdaje mi się, że mógłbym je dosłownie powtórzyć — było to coś, jak charakterystyka poety z cytatami z jego wierszy, było podmalowane mistrzowsko tło historyczne, ale nie był to wykład literatury; to było kazanie natchnionego proroka narodowego! Nie podsuwał westchnień pokutnych, ale wzbudzał hart ducha i wolę czynu ofiarnego.

Rocznicę Powstania Listopadowego święcono samorzutnie; wieczorem na cmentarzu zbierała się młódź gołowąsa bez jakiegokolwiek udziału starszych; po krótkiej przemowie ruszał pochód głównymi ulicami pod gmach

starostwa przy śpiewie patriotycznych pieśni; na czoło pochodu wysuwało się (i śpiewało) kilkunastu policjantów miejskich z komisarzem na czele; pochód rozwiązywał się pod starostwem po odśpiewaniu: „Czy pamiętasz austriaku, jak się Wiedeń palił? Polski orzeł wzniósł się w górę, a wasz się osmalił!“ Nikt niczego nie zauważał, nikt też nie czynił z tego jakiejkolwiek kwestii. Zakonspirowane kółka zbierały pilnie miedziaki na Skarb Narodowy. Czuszimę i Mukden witano okrzykami „banzaj!“ żywym echem odbiła się również w sercach sprawa Drzymały i Wrześni.

Poruszenie umysłów w r. 1905 dotknęło także życia szkolnego. W sali Kasy Oszczędności zwołano wiec uczniów szkół średnich. Przyjechał delegat młodzieży krakowskiej, szczupły 6-to klasista i rozpoczął patetycznie: „Nad Austrią zrywa się wielka burza!“ Zanim jednakże doszedł do wniosków, wpadła na salę endecka bojówka i rozpędziła tak ciekawie zapowiadające się zgromadzenie. Dyrekcje szkół zabroniły młodzieży uczęszczania na przedstawienie „Szkoły“ Kaweckiego i właśnie dlatego poszliśmy na nią dosłownie wszyscy, t. j. uczniowie i profesorowie. Wielu bojaźliwszych zjawiło się w przebraniu.

Równolegle z tętnem życia patriotycznego oddziaływał na wrażliwe umysły potężny ruch masy robotniczej. Byt to czas rozkwitu politycznej kariery Daszyńskiego, Moraczewskiego, Libermana, Diamanda, Wiłyka i innych przywódców socjalistycznych. Tłumne wiece, pochody i strajki przewijały się przed oczyma jak w kalejdoskopie. Był to okres walki o 8-godzinny dzień pracy, kasę chorych i demokratyzację ordynacji wyborczej do parlamentu i sejmu galicyjskiego. Główną siłę stanowili miejscowi kolejarze, kierowani przez swą „Organizację“, urządzającą także publiczne akademie i przedstawienia w teatrze miejskim. O uszy obijały się hasła Marksa i Lassala , mówiono też o Engelsie i Liebknechcie, docierały do rąk tomiki czerwonej „Latarni“. Raz, po akademii ku czci ks. Ściegiennego, mój gospodarz klasy oddając ukłon rzekł: „Dzień dobry socjaliku!“ Pogroził mi palcem i szepnął: „*Kozak mowczyt, a wsio znaje...*“ *) Olbrzymie pochody manifestacyjne proletariatu płci obojga przy dźwiękach „Czerwonego Sztandaru“ zapełniały ulice i place publiczne, kordony piechoty zamykały dostęp do rynku, wszędzie kręciły się grupy żandarmów w pikelhaubach, a w bocznych ulicach stała kawaleria z obnażonymi szablami. W czasie jednej z pauz pochód znalazł się na placu przed seminarium. Wyjrzeliśmy ciekawie oknami; rozległo się gromkie: niech żyją krzewiciele oświaty! Klaskaliśmy w dłonie, ktoś powiewał czerwoną chusteczką do nosa; potem było coś w rodzaju spytek po klasach.

Po ukończeniu popołudniowej próby orkiestry wracaliśmy z nauczycielem do domu, lecz nie można było przepchnąć się przez ulicę; aresztowano właśnie jakiegoś przywódcę i zamknięto w gmachu pobliskiego sądu. Tłum bezskutecznie szturmował do bramy, nadbiegło kilkunastu żandarmów

---

*) „Kozak milczy, lecz wie wszystko.“ Red.

i ustawiło się z karabinami pod murem gmachu; z ulicy wysunęła się kawaleria. Nadjechała skądś platforma z cegłą; wyciągnęło się po nią setki rąk; nastała groźna cisza i wszystkie cegły pofrunęły na kawalerię. Gdzieniegdzie kwiknął koń i znowu cisza. Ktoś pochwycił od straganiarki garnek z węglem, jakiego używały do ogrzewania nóg i wyrznął nim w hełm dragona; zachwiał się w siodle i strzepywał z siebie popiół. żandarmi stali długą chwilę w ulewie kamieni, które sypały się na gmach sądowy, wybijając wszystkie szyby. Nauczyciel wylazł na platformę dla lepszej obserwacji, mnie zaś zbierała chętka dać pod nią nura. Gdzieś dalej padł strzał. Tłum nacisnął jakiegoś żandarma przeciskającego się z rozkazem. Padł na miejscu jakiś studencik, drugą ofiarę odniesiono do szpitala.

Dymisja Badeniego. Świat pracy zwyciężył.

Zwycięstwo było początkiem klęski. W jakiś czas potem nastąpił rozłam w „Organizacji". Równocześnie puszczono w ruch Jezuitów, którzy założyli aż dwie organizacje robotnicze: Towarzystwo Św. Józefa i Bractwo Nagłej Śmierci; członków przyciągano na pasku dewocji, popartej presją urzędników, a zachęcano ciągłą muzyką i festynami w lokalach tych organizacji. Do dziś wyraz „naglak" w ustach tamtejszych kolejarzy jest symbolem głupca.

Na t. zw. głuchej prowincji, t. j. w okolicznych miasteczkach nie było wcale głucho, był to bowiem okres rozkwitu gniazd sokolich; budowano tam z rzadka domy sokole lub domy polskie, a jeszcze rzadziej kaplice, co było zasługą ziemiaństwa i żywotnej inteligencji miasteczkowej. Organizowano tam uroczystości i widowiska amatorskie prawie zawsze o patriotycznej tendencji w rodzaju „Nocy w Belwederze" lub „X Pawilonu". Trudniej było z muzyką, przeto sytuację ratował często zespół orkiestry naszego zakładu. Wyjeżdżało się do Jezupola, Mariampola, Łyśca, Bohorodczan, Ołtyni i Halicza w niedzielę, a wracało się, często po całonocnej hulance, w poniedziałek rano, czasem wprost na lekcje, gdzie trzeba było przytomnie odpowiadać. Czasami grywało się też po kościołach. Niezapomniany będzie ten Nowy Rok 1906 u zacnych Dominikanów w Jezupolu. Już od 8-mej z rana rznęliśmy w refektarzu pobożne walce, mazury i polki, aż żegnały się nabożne matrony, śpieszące na ranne nabożeństwo. I nie winna temu była ta sarna w śmietanie z buraczkami, nabożną ręką ustrzelona, ani ten piernik ręką jakiejś dewotki przyrządzony, ani niezliczone pudełka papierosów, ale ten rum z domieszką gorącej herbaty, jakiego nam brat szafarz nie żałował; on też przed Bogiem odpowie za to, że ksiądz przeor gdzieś się zapodział, że ten ojciec, który się do kazania przygotował, z powodu niedyspozycji na ambonę nie wyszedł, wobec czego kazanie wygłosił ten ojciec, który się doń nie przygotował; on też zawinił, że na chórze nasza muzyka nie spisała się tak, jak to było naszym zamiarem, bo już w czasie ewangelii usnął nam wiolonczelista.

W ten mniej więcej sposób rzeźbiła się dusza młodzieńca, który całe swoje życie spędził na wsi w pracy nad ludem rolnym. Przyszłych świat-

łodawców starano się jak najmniej narażać na wpływy bieżącego życia przez izolację w internatach, potrzebowano bowiem żywiołów naiwnych i potulnych w myśl autoratywnego powiedzenia: Oświata to miecz obosieczny; niech na całym świecie wojna, byle tylko wieś spokojna!

Nareszcie po okresie nerwowego wkuwania najrozmaitszych dat (aktów, wzorów) w maju 1908 roku uznano mnie za dojrzałego do tymczasowego pełnienia obowiązków nauczyciela w szkołach ludowych; w dniu matury na korytarzu seminarium spotkałem nieoczekiwanie ojca; nigdy mię w szkole nie odwiedzał, a w chwili powitania nie poznał mnie od razu, gdyż ubrany byłem w anglez. Wybadałem go później o przyczynę przyjazdu: oświadczył bez ogródek, że znając moją ambicję obawiał się jakichś nieokreślonych następstw w przypadku niepowodzenia przy egzaminie. Serdecznie go za to wyściskałem i wycałowałem i nie odmówiłem przyjęcia pewnej kwoty, bo w kieszeniach od kilku miesięcy były pustki. U matki dostrzegłem nieoczekiwaną, ale naturalną zmianę. Po wybuchu radości w chwili mego przybycia, całe swe zainteresowanie macierzyńskie skierowała wyłącznie na młodszych braci. Zrozumiałem, że nadszedł czas na tworzenie samodzielnego życia.

*

* *

Podanie o posadę załatwiono w ciągu dni kilkunastu i policjant gminny doręczył mi wkrótce nominacyjny dekret i asygnatę na pobory. Pierwszy raz pomyślałem: Co ja teraz pocznę? Nigdy siebie nie wyobrażałem w roli dobrego nauczyciela, pomimo, że w szkole ćwiczeń przy seminarium nie szczędzono mi pochwał za przeprowadzane lekcje, wpisując do świadectw najwyższe noty z przedmiotów pedagogicznych.

Dano mi posadę w niezbyt odległej a ludnej wiosce nad Łomnicą, zamieszkałej przez ludność ruską i wypłacono mi na początek dwie pensje miesięczne: jedną z dołu, drugą z góry. Przedstawiłem się według nakazu pisma nominacyjnego kierownikowi szkoły i przewodniczącemu miejscowej rady szkolnej, oraz z własnej inicjatywy złożyłem wizytę miejscowemu gr. kat. proboszczowi i leśniczemu i stanąłem do pracy.

Już w pierwszym dniu spostrzegłem rzeczy zdumiewające. Dzieci były potulne, ciche, nieruchome, dziwnie melancholijne, ubrane przeważnie w brudne łachmany, najzupełniej odmienne od rozhukanych wisusów miejskich. Cera ich była ziemista, brzuszki nadmiernie wydęte, liczne twarzyczki pokryte strupami lub liszajami. Niektóre rączki i szyje zdrapane z powodu zastarzałego świerzbu; u dziewcząt włosy zlepione przez kołtun. Matki energicznie przeciwstawiały się propozycjom ostrzyżenia niechlujnych czupryn, uważając, że dziecko może zachorować, względnie spotkać je może jakieś nieokreślone nieszczęście. Młodsze dzieci pluskały się latem w rzece, starsi natomiast nigdy się nie poniżyli kąpielą. Obuwie nosili na codzień tylko mężczyźni, kobiety tylko w niedzielę niosły buty pod pachą, by ubrać

je dopiero pod cerkwią. Dzieci nie posiadały ani książek, ani przyborów szkolnych, jedynie niektóre posiadały ołówki najtańszego gatunku, nie dające się zaciosać. Energiczne polecenia zakupu potrzebnych rzeczy wywoływały często łzy i niezmienne: *„Nie ma widki.“* *)

Kierownik dostarczył wprawdzie pewnej ilości bezpłatnych podręczników do wypożyczenia dzieciom, ale to były książki od lat używane, podarte, o brakujących kartkach i niesłychanie zbrudzone. Aby nie tracić czasu zaopatrzyłem klasę w zeszyty i ołówki za własne pieniądze. Starałem się pozyskać serduszka mych brudasów organizowaniem na pauzach gry, zabawy, gonitwy i spostrzegłem, że są nieufne, apatyczne, zbyt zrównoważone, przewdcześnie dojrzałe, a zabawę wykonywały z obowiązku, ze sztywną powagą. Rzadko które posiadało kromkę razowca, chociaż lekcje trwały pięć godzin. Posłyszawszy, że jeden z malców prosi swego kolegę o kawałek chleba, spytałem: jadłeś śniadanie? Otworzył szeroko oczy i nie potrafił odpowiedzieć. Dopiero później przekonałem się, że nie znał tego wyrazu, gdyż na wsi jadano z rana „obid“, w południe „południenok“, a wieczorem „weczeru“; śniadaniem nazywano dorywczą przekąskę.

Zaczęło mię interesować ekonomiczne życie wsi, którego wcale nie znałem. Odżywiano się ziemniakami, kukurydzianką, kaszą z prosa, barszczem z fasolą i pierogami z żytniej razowej mąki; mięsa w użyciu codziennym nie znano, z wyjątkiem świąt uroczystych, jak również jarzyn — prócz kiszonej kapusty.

Kto posiadał ogródek, o co przy zbitej masie domostw było trudno, sadził cebulę i czosnek, jako pokupne na targach, a poza tym ogórki, groch, rzadziej marchew lub klombik kwiatowy. Gdzieniegdzie koło chaty kilka zdziczałych drzew owocowych z przewagą śliwek węgierek; w okresie owocowania sad bywał dla właściciela raczej utrapieniem, gdyż w dzień i w nocy musiał go oganiać od wyrostków, najczęściej bezskutecznie, o czym świadczyły obłamane gałęzie. O pielęgnowaniu drzew, nawożeniu, przycinaniu koron i tępieniu szkodników nie miano żadnego wyobrażenia; ten owoc był dobry, który był duży, lub czerwony i słodki, nadający się do natychmiastowego spożycia; o gatunkach owoców, ich użytkowaniu i wartości odmian handlowych nikomu się nawet nie śniło; sadek posiadano dla własnej potrzeby i dla ochrony od ognia, a na powierzchni wystarczającej np. na trzy drzewa zasadzano co najmniej piętnaście. Pod tym względem od lat 30-tu kultura większości wiosek naszych wcale się nie zmieniła.

Poletka wioskowe, rozdrobnione na wąskie zagonki, obsadzone przeważnie ziemniakami i kukurydzą, poza tym różnymi rodzajami zbóż; jako śródplony wtykano pomiędzy ziemniaki lub kukurydzę dynię, fasolę lub mak; z ziarnek dyni i z siemienia konopnego wytłaczano olej; w każdym gospodarstwie siano też len i konopie, z których wyrabiano po chatach kilka rodzajów zgrzebnego płótna, używanego na bieliznę, pościel, odzież i worki.

---

*) „Nie ma za co“. Red.

Chat kurnych nie było i wieczorami oświetlano je naftową „ślepaczką". Był to rodzaj flaszeczki o pojemności jednego decylitra z blaszaną zatyczką, przez którą przechodził sznurkowy knot, dający tyle światła co płonąca zapałka; o czytaniu wieczorem nie mogło być mowy, dlatego też zimą nie można było wymagać od dzieci odrabiania domowych zadań.

Na każdym podwórku stała charakterystyczna „kosznica" do suszenia strąków kukurydzianych, wypleciona z wikliny i nakryta daszkiem; budynki gospodarcze na drewnianych słupach, o ścianach grodzonych z gałęzi wierzbowych, oblepione gliną i przewiewne w zimie. Obejścia ogrodzone płotem z gałęzi łozowych z przełazami dla ludzi. Osiedla tłoczyły się gęsto, dotykając się niemal dachami, stąd też pożar we wsi prawie zawsze trawił połowę zabudowań.

Koniki drobnego wzrostu, kudłate i zagłodzone; krówki niedorozwinięte, pokryte niemal do połowy ciała strupem nawozowym odpadającym jedynie na wiosnę w okresie lenienia i cudem utrzymujące się przy życiu na ugorze; pod wiosnę zgłodzone bydło trzeba było podnosić na płachtach, gdyż nie mogło wstać do jedzenia o własnej sile; jaką taką pozycję dochodową stanowiły świnie, letnią porą przerzedzane przez zarazę,wreszcie jaja kurze, grające rolę monety obiegowej przy zakupie nafty, soli i zapałek w sklepiku.

Z jednej strony wioski sterczał dumnie dwór pana dziedzica, otoczony parkiem i sadem, w bezpośrednim sąsiedztwie budynków gospodarczych i gorzelni. W środku wsi drewniana cerkiew z obszerną pod słomianym dachem plebanią, a obok karczma w imponującym budynku murowanym, pokrytym blachą — ośrodek życia wiejskiego, gdzie za szynkwasem odgrodzony od izby gościnnej wysokimi sztachetami królował arendarz.

Prócz karczmarza mieszkało we wsi jeszcze sześć rodzin żydowskich; jeden skupował jaja, drób i bydło, drugi zboże, trzeci handlował spirytualiami „w zamkniętych naczyniach", czwarty manufakturą, piąty dzierżawił wydój na folwarku, a szósty sprzedawał asygnaty z dziedzicowego lasu. Żydowskie dzieci do szkoły nie chodziły, uczyły się prywatnie u miejscowych nauczycieli za wynagrodzeniem, a do przedmiotów hebrajskich sprowadzono mełameda. Naprzeciw karczmy stała drewniana szkółka o jednej salce; dwie inne salki odnajmywano w chatach wiejskich.

Kultura materialna wsi była pierwotna; wszystkim kierowało przyzwyczajenie i zabobon, a na wszelkie nieszczęście i choroby pomagała znachorka. Do ubóstwa wsi przyczyniały się wiosenne i letnie wylewy Łomnicy, zalewające większość poletek. Ubodzy wyjeżdżali do Prus na zarobek sezonowy, czasem też pracowali przy wyrębie sąsiednich lasów; szczytem aspiracyj ogółu było posiadanie tylu pieniędzy, by starczyło na sól i naftę oraz na podatek, który najczęściej z powodu klęsk elementarnych odpisywano.

Wnętrze chat było typowe. Na ubitym klepisku z gliny w jednym kącie stał piec piekarski z przypieckiem; rzadko gdzie można było spotkać kuch-

nię; na piecu i na przypiecku spali domownicy; w drugim kącie stało łóżko z poduszkami, zasłane pościelą z domowego płótna, służącego w lecie do okrycia; zimą okrywano się kożuchem lub łachmanami. Nad łóżkiem wisiała żerdź, spełniająca rolę szafy na odzież, do której w miarę potrzeby przywiązywano bujającą kołyskę, a w trzecim kącie stała duża, czasem ozdobna skrzynia, w której przechowywano bieliznę, płótno, chusty i ewentualnie pieniądze; w czwartym kącie szafka lub półki na garnki; wzdłuż ścian ławy z otworami do wtykania kądzieli, służące w dzień do siedzenia, w nocy do spania; obok skrzyni krótka ławeczka, spełniająca rolę stołu jadalnego oraz kilka drewnianych stołków; świetlic z podłogami było we wsi zaledwie kilka. Rozejrzawszy się w sadybach wieśniaczych zrozumiałem uwagę swego kierownika: „to tylko będą dzieci umiały, czego się nauczą w szkole, bo w domu nie znajdą ani odpowiedniego światła, ani miejsca, ani spokoju".

Zbliżało się posiedzenie miejscowej rady szkolnej, składającej się podówczas z dziedzica, księdza, wójta, dwóch delegatów rady gminnej oraz delegata wydziału powiatowego, który zresztą z reguły na posiedzenia nie przychodził.

Kierownik szkoły był również członkiem tej rady oraz jej sekretarzem. Zaproponowałem mu, aby wstawił do budżetu szkolnego pewną kwotę na zakupno najniezbędniejszych pomocy naukowych, artykułów piśmiennych dla ubogich dzieci oraz lekarstw dla tępienia zbyt rozpowszechnionego świerzbowca. Nie robił żadnej nadziei na spełnienie tych planów, lecz wziął mię z sobą na to posiedzenie.

Po uchwaleniu skromniutkich pozycyj na opał i utrzymanie budynku szkolnego zaproponowałem przyjęcie mego wniosku na sumę około 60 koron. Przedstawiciele gminy nie chcieli słuchać o jakimkolwiek podniesieniu budżetu, motywując to ubóstwem gminy, mimo, że uczestniczyli w 50%-tach ogólnej kwoty budżetowej. W sprawie żądania materiałów piśmiennych dla dzieci wyjaśnili, że kto chce, niech sobie je kupuje, bo dzieci chodzą do szkoły na to, aby kary nie było, czy zaś nauczą się czego więcej lub mniej, to i tak nikt z nich księdzem nie będzie, ten zaś kto chce dzieci kształcić, pośle je do miasta, o ile mieć będzie dosyć pieniędzy. Ksiądz milczał. Pan dziedzic przytaknął skwapliwie delegatom gminy, stwierdzając, że model metra, litra, decymetra sześciennego i odważników do wagi najzupełniej w szkole są niepotrzebne, bo każdy, kto ciekawy, ujrzeć je może w żydowskim sklepiku, żądanie zaś tablic zoologicznych zwierząt podzwrotnikowych oraz tablic anatomicznych ciała ludzkiego jest farmazoństwem, gdyż chłop do Afryki nie pojedzie, gdy zaś zachoruje, to pójdzie po radę do znachorki; jeśli dzieci nie będą umiały pisać, to nie będą podpisywały weksli, co im na dobre wyjdzie, a przeuczanie chłopa może doprowadzić do nieposłuszeństwa dla władzy i Kościoła.

Tak mówił człowiek wykształcony, zamożny, ziemianin, Polak, który, jak się przekonałem, był nader przychylnie usposobiony dla ludu wiejskiego

narodowości ruskiej; dla tej wsi bowiem własnym kosztem założył i utrzymywał przychodnię sanitarną, ochronkę z trzema zakonnicami, płacił w bursie za utrzymanie trzech ubogich gimnazjalistów, sunów miejscowych włościan-Rusinów, poza tym był założycielem miejscowego kółka rolniczego, działaczem społecznym, nie żałującym grosza na cele towarzystw polskich, który nawet przez wywieranie presji ekonomicznej na wieś starał się ją nakłonić, aby wybrano go wójtem, ażeby mógł wpływać na rozwój ekonomiczny tej wioski. Tak przemawiał światopogląd.

Od tego czasu przez prawie lat trzydzieści tak pod zaborem, jak i w niepodległej Polsce w południowej i zachodniej jej połaci spotykam się z tymi samymi doświadczeniami na terenie rad szkolnych. O sprawach szkolnych, o najważniejszej, bo ekonomicznej podstawie oświaty powszechnej, decyduje żywioł ciemny, nie posiadający najmniejszej świadomości o zadaniach oświecania publicznego, nie mający żadnego wyobrażenia o potrzebach rzeczowych miejscowych szkółek i decydujący o ich losach w sposób demokratyczny, co jest jednoznacznym z zalewem barbarzyństwa na terenie oświatowym. Zadaję też sobie często pytanie, jakby wyglądała współczesna Polska, gdyby równolegle do rad szkolnych zaprowadzono rady skarbowe, rady kolejowe, sądowe, wojskowe, policyjne, administracyjne, przemysłowe i t. p. złożone z przedstawicieli, wybranych na podstawie demokratycznej ordynacji wyborczej. Czy można którykolwiek dział państwowych funkcji w współczesnej Europie przekazać przypadkowo dobieranej grupce analfabetów?

Wkrótce po tym posiedzeniu rozeszła się wieść, że pan dziedzic pragnie, by go wieś wybrała na swego wójta i że już z góry podarował dla kancelarii gminnej dwa biurka i 12 krzeseł szczególnej budowy dla członków rady gminnej. Radni jednakże woleli mieć wójtem równego sobie stanowiskiem i rozumem, ze względu zaś na wdzięczność za umeblowanie wybrali pana dziedzica referentem rady gminnej. Za aprobatą pisarza gminnego, odgrywającego decydującą rolę w urzędzie gminnym, wcisnąłem się na posiedzenie tejże rady, zajmując w ciemnym rogu sali stanowisko obserwacyjne.

Przy większym biurku usiadł wójt-analfabeta z pisarzem gminnym, przy drugim pan dziedzic, jako referent. Wspomniane wyżej krzesła, ustawione w czterech rzędach, posiadały tak wysokie oparcie, że prócz czterech radnych, pomiędzy którymi był miejscowy proboszcz, nikogo poza tym nie było widać. I w tym streszczała się idea ofiarodawcy.

Na porządku dziennym były dwie sprawy: jakieś polecenie starostwa oraz sprawa remontu mostka. Proboszcz zagłębił się w plikę gazet. Pisarz odczytał okólnik starościński i oświadczył, że treść jego musi być ściśle wykonana, wobec czego należy umieścić w protokule stosowną uchwałę. Pan dziedzic, jako referent, stawiał kwestię zupełnie inaczej i doradzał poczynić kroki, które pozwoliłyby załatwić tę sprawę w sposób odmienny. Wójt wezwał członków rady do wypowiedzenia się; proboszcz przeglądał

kronikę, a ławnicy, mimo częstej zachęty wójta i dziedzica, zawzięcie milczeli. Nareszcie wójt poddał pod głosowanie rezolucję pisarza; przyjęto ją jedenastoma głosami, bo proboszcz w tym czasie wyszukiwał inną gazetę.

Z kolei weszła sprawa mostu. Referent radził, by przystąpić do wybudowania nowego mostu, obiecując dostarczyć część materiału bezpłatnie, ponieważ czasami przejeżdżał tamtędy na polowanie. Krzesła się ożywiły, gdyż słychać było stłumiony gwar. Wójt wezwał radnych do wypowiedzenia się, nikt jednakże głosu nie zabierał. Zaczął tedy zagadywać radnych imiennie: „Co myślicie o tym Matwiju," — „*Abo ja znaju?*" *) — „A wy Mychajło?" — „*Ta naj howoryt kum Dmytro, win piśminnyj!*" **)

I znowu długa cisza. Pan referent dowodził, że ten mostek naprawia się już od lat kilkudziesięciu, wyliczył na podstawie rachunków, że te naprawy pochłonęły sumę wystarczającą na zbudowanie mostu żelaznego, radził kupić materiał dębowy i przedłożył kosztorys budowy nowego mostu. W krzesłach znów powstał gwar. Wreszcie kum Dmytro oświadczył, że corocznie ten most się naprawia, a jeszcze żadnego wypadku nie było; gmina za uboga, aby uchwalała budowę nowego obiektu. Wystarczy zakupić kilka kawałków olszyny i dziury załatać, co tanio wypadnie. Proboszcz czytał pilnie ogłoszenia. W głosowaniu wniosek kuma Dmytra przyjęto. Przez kilka lat mostek ten obserwowałem, gdyż był on obrazem gospodarki samorządu wiejskiego: ciągle go naprawiano i ciągle był dziurawy aż litościwa powódź zmyła go z oblicza świata; naonczas skopano oba brzegi ukośnie i przejeżdżano potok w bród, o ile panowała posucha a ładunek wozu nie był zbyt ciężki.

W czasie tych dwóch posiedzeń wiejskich instytucji samorządowych zwrócił na mnie uwagę proboszcz obrządku grecko-katolickiego; był to młody jeszcze wdowiec, ojciec trojga dzieci, a stryjeczny brat głośnego polityka ukraińskiego. Zbliżyła nas dyskusja na tematy lokalnego położenia ekonomicznego wioski. Dyskusje na tematy gospodarcze mnie, jako niedojrzałego młokosa, przejmowały i zacietrzewiały, jego zaś, jako męża w sile wieku, znającego dokładnie otaczający żywioł, niezmiernie bawiły, zwłaszcza, że cały mój światopogląd urobiony był na lekturze ówczesnego Kuriera Lwowskiego. Spostrzegłem, że mnie polubił, bo przygarnął mnie do swego domu, zaofiarował nawet utrzymanie po nader przystępnej cenie, co dla mnie było niezmiernie ważne, gdyż na kuchni wiejskiej kobiety miałem już dość nadwyrężony żołądek.

Energię moją skierował do pracy w miejscowej kasie Raiffeisena, które to kasy były już podówczas wszędzie rozpowszechnione, i dokazał wreszcie z ogromnym nakładem świętej cierpliwości, że pod jego nieustannym dozorem sporządziłem pierwszy w mym życiu bilans tej kasy przy rocznym obrocie około 80.000 koron. Zauważyłem, że nie chodzi mu o zastęp-

---

*) „Albo ja wiem". Red.

**) „Niech mówi kum Dmytro, on piśmienny". Red.

cę w obowiązkach kasjera, lecz o zwykłe zapoznanie młodzika z pożyteczną pracą.

Na tym odcinku znalazłem pierwszą sposobność do głębszej obserwacji psychiki włościan, którzy stanowili naszą klientelę. Kapitał zakładowy stanowiły udziały dziedzica, księdza oraz spadek jakichś sierot, wkłady zaś włościan wyrażały się w udziałach deklarowanych w momencie podejmowania pożyczek. Walne zebranie wybierało zarząd, radę nadzorczą i komisję rewizyjną; rozumie się, że wybierani byli miejscowi włościanie. Już od pierwszego rzutu oka zrozumiałem, że wyłączna opieka nad wszystkimi funkcjami tej instytucji spoczywała w ręku proboszcza. Rozumie się też, że włościanie wybrani przez walne zebranie na „urzędników" kasy urastali w opinii swego otoczenia na wielmożów bezapelacyjnie decydujących o załatwianiu próśb o pożyczki. Kto więc zamierzał starać się o pożyczkę, starał się zaskarbić sobie przychylność członków zarządu, co z reguły odbywało się w karczmie, przy flaszy słabo rozcieńczonego spirytusu na rachunek petenta, w konsekwencji czego panowie urzędnicy przychodzili na posiedzenie kompletnie zalani. Po załatwieniu formalności i wyasygnowaniu gotówki wracano ponownie do karczmy dla godnego oblania tej sąsiedzkiej przysługi, naturalnie znowu na wyłączny koszt szczęśliwego dłużnika. W sąsiednich instytucjach oszczędnościowo-pożyczkowych również załatwiano te sprawy przy akompaniamencie obrzędowej niejako libacji. Pokazywano mi chłopa, który w sąsiednim miasteczku pożyczył 200 koron na kupno krowy; członek zarządu tamtejszej kasy miał również restauracyjkę z wyszynkiem, to też nic dziwnego, że chłopek wrócił do domu z pożyczką w księgach kasy, ale bez grosza w kieszeni.

W miarę rozwoju obrotów w naszej kasie, członkowie jej zarządu obrali na stałe lokal w miejscowej karczmie, rozpijali się, a nawet zaczęli zaniedbywać swoje gospodarstwa, w następstwie czego ich żony miały pretensje do poczciwego proboszcza, jako dyrektora kasy. Upominania zirytowanego duszpasterza, wpisywanie do protokułu członków zarządu przychodzących na posiedzenie w stanie podchmielonym, besztanie z ambony od „moczymordów" i t. p., wreszcie wybór innych osób na członków zarządu, nie przyniosły żadnej zmiany: zmieniły się osoby, ale nie utarty zwyczaj, a karczmarz dalej inkasował część naszych obrotów.

Ogół mieszkańców wsi właściwie, prawdopodobnie z powodu powszechnego ubóstwa, nie ulegał nałogowemu pijaństwu, niemniej jednakże żadna uroczystość rodzinna, jak chrzciny, wesele, stypa, praźnik, kupno-sprzedaż, nie obywała się bez obfitych libacji. Proboszcz radził sobie w ten sposób, że w okresach weselnych składał sobie pary nowożeńców i w jednym dniu udzielał im ślubu, by — jak mawiał — zbałamucić pijaków, nie mogących z tej przyczyny uczestniczyć w przyjęciach na kilku kolejnych ucztach weselnych.

Równolegle z akcją oszczędnościową rozwijała się propaganda hodowli poprawnych ras drobiu, królików, świń i bydła. W niektórych wioskach

nauczyciele prowadzili zarodowe stacje drobnych zwierząt domowych, a Galicyjskie Towarzystwo Gospodarskie dużym nakładem funduszów rozdzielało reproduktory poprawnych ras trzody chlewnej i bydła rogatego; dawano chłopom bezpłatnie rasowe jałówki z zastrzeżeniem zwrotu takiej samej sztuki z przychówku. Nie można powiedzieć, by ta akcja była bezpłodna; w dość szybkim czasie poprawiono krew trzody chlewnej przez skrzyżowanie z dotychczas hodowaną odmianą; na dorocznych wystawach powiatowych gdzieniegdzie nawet premiowano egzemplarze z drobnych gospodarstw, ale to były wyjątki z reguły ogólnej. Ani nasze zielononóżki, ani inne rasy drobiu nie przyjęły się i zanikły szybko w skrzyżowaniu z gatunkiem miejscowym. Króliki, puszczone swobodnie do stajen na pastwę racic bydlęcych, kotów i kun, zmarniały szybko, gdyż do hodowli tych zwierzątek chłop nie posiadał ani zrozumienia i potrzebnych wiadomości ani też odpowiedniego pomieszczenia. Te śliczne jałóweczki czerwonopolskiej rasy, względnie, jak w powiecie nadwórniańskim — Simentalerki, szybko skarlały w następstwie złego pomieszczenia, jak również nieumiejętnego, a przede wszystkim niedostatecznego odżywiania. Przy tego rodzaju obserwacjach dziwiłem się bardzo faktom, że wieśniak, który między bydłem się ulągł, przeżył wiek cały i posiwiał, nie posiadał pojęcia o wyglądzie i fizjologicznych funkcjach żołądka przeżuwacza, a w razie jakiegokolwiek wypadku w stajni, nawet przy tak częstych wzdęciach u bydła, był najzupełniej bezradny, ograniczając się jedynie do nacierania bydlęcia słoną wodą, okadzania święconym zielem i puszczania krwi w każdej niedyspozycji; gdy zaś te środki nie skutkowały, sprzedawał bydlę żydowi za połowę ceny jego skóry lub dorzynał na miejscu. Przepisy sanitarno-weterynaryjne w okresie częstych epidemii uważał za niepotrzebne i starał się je w jak najbardziej pomysłowy sposób obchodzić.

*

* *

Rok 1908 pamięta rozwijającą się akcję w kierunku zakładania wiejskich spółek mleczarskich. Wieśniak do tego czasu nie miał odpowiednich dochodów z bydła, to też i nie dbał o nie. Krowy trzymał dla obornika, nabiałem zaś gospodarowała jego żona, zużytkowując go na potrzeby domowe; czasami też skleciła trochę masła, które w dzień targowy dawało jej okazję do wyjścia z domu do miasta, gdzie to masło „na oko“ za marną cenę spieniężała, znajdując jednocześnie okazję do pogawędzenia z kumoszkami.

Zapaliliśmy się z proboszczem do sprawy mleczarnianej, a właściwie to on mnie do niej zapalił. Zaczęliśmy przy każdej sposobności agitować włościan przedstawianiem wielkich korzyści, jakie dać im mogą spółdzielnie mleczarskie. Słuchano nas z tępym uśmiechem, przytwierdzano skwapliwie argumentom i na tym się kończyło. Spostrzegliśmy wreszcie,

że skierowaliśmy się pod niewłaściwym adresem, gdyż monopol mlecznej gospodarki spoczywał w rękach włościanek.

Już w początkach rozmów mleczarnianych zwróciłem uwagę na mnóstwo zabobonów, które stawały w poprzek naszym zamierzeniom. Wierzono powszechnie nie tylko w czarownice, odbierające mleko krowom, ale także w złe oczy, które na ludzi i bydlęta urok rzucały i powodowały nieszczęśliwe wypadki w domu i oborze. Każda wieśniaczka, która przypadkowo lepiej krówkę odżywiała i więcej miała udoju, uchodziła w powszechnej opinii za czarownicę; podczas procesji wielkanocnej czarownice wiejskie przyzostawały na końcu pochodu, by obejść cerkiew według zwyczaju nie trzy, ale tylko dwa razy. Gdzieś w okolicy istniały jakieś czarownice generalne, udzielające sekretnych porad dotyczących poprawy mleczności. Czasem czarownica przybrała postać ropuchy i wchodziła na podwórko w wiadomych celach. Chwytano nieszczęsne zwierzątko i przybijano gwoździem do progu stajni. Od mlecznej krowy starano się odebrać jej przymioty przez ukradkowe podjęcie szczypty błota z jej śladów i wniesienia do swej obórki; skuteczniejsze jednak było ucięcie pasma włosów z jej ogona i rozrzucenie po swojej stajni. W czasie udoju nikt obcy nie mógł pojawić się w oborze, chociażby chciał przestrzec o wybuchu pożaru. Skopek z mlekiem należało koniecznie nieść pod fartuchem; aby na krowę nie padł zły urok od niesamowitego wzroku, jaki posiadali wszyscy bez wyjątku sąsiedzi, przywiązywano jej do ogona czerwoną wstążkę. Po zachodzie słońca nikt nie sprzedał mleka nawet na lekarstwo. Sprzedane mleko nie mogło wyjść z chaty bez posolenia i postawienia naczynia choć na chwilę w kominie. Pomięszanie mleka krów jednej gospodyni z mlekiem krów sąsiadki groziło okropną katastrofą w stajni, kto więc już kupował mleko od jednej baby, nie kupił nabiału od drugiej za żadną cenę. Wielki wpływ na mleczność miały kamyki wydobyte w rzece z pod krzyża podczas uroczystości Jordanu — to też mimo siarczystego mrozu zanurzano w wodzie rękawy po pachy, nabierano wody w cholewy, a często kilka bab popchnięto w wodę i spławiono. Zasięgano też wróżb w przypadkach, gdy krowa zachorowała lub nie mogła wstać o własnych siłach w następstwie głodowego wycieńczenia. Kto zna naród wiejski, ten obiektywnie oceni trudy pokonania zabobonu i wynikającego zeń uporu.

Po pewnym czasie indywidualnego uświadamiania proboszcz zwołał za zezwoleniem starostwa w dzień niedzielny wiec mieszkańców wioski w swojej stodole. Na przeszło dwieście gospodarstw zjawiło się kilkanaście osób.

Z referatami o spółdzielniach mleczarskich przyjechał proboszcz z podalszej wioski wraz z wygadanym włościaninem, w którego wsi już spółka mleczarska istniała. Obaj z mym proboszczem nie zabieraliśmy głosu w tej sprawie, bo znane nam było powiedzonko, że „pomiędzy swymi prorokiem nie będziesz".

Obaj referenci kolejno przez z górą trzy godziny przedstawiali słucha-

czom korzyści ze spółek mleczarskich. Wyliczali drobiazgowo dzienny, tygodniowy, miesięczny i roczny przychód od jednej krowy na pojedyńcze gospodarstwo i wszystkich krów we wsi. Gestami ilustrowali kupę pieniędzy, jaką sąsiednia mleczarnia już wypłaciła. Porównywali stodołę z magazynem, potrzebnym na pomieszczenie rocznej produkcji masła w jednej wsi. Wymownie zobrazowywali staw, jaki by przepuszczone przez centryfugę mleko utworzyło. Obliczali stopień zbogacenia się pojedyńczego rolnika, wsi i powiatu, przytaczając cyfry, cyfry i cyfry, aż pocili się ludziska od słuchania, przy czym kilku podejrzanie się kiwało, jakoby na znak aprobaty, a ktoś nawet chrapał na dobre.

Duże zainteresowanie okazali słuchacze przy odczytywaniu i objaśnianiu statutu spółki, zwłaszcza części mówiącej o udziałach, podpisywaniu deklaracji, zobowiązującej do stałej dostawy mleka w przypadku konkurencyjnego przedsiębiorstwa, oraz o następstwach, jakie ewentualnie pociągnęłoby za sobą niedotrzymanie zobowiązania. W tym miejscu przestano się kiwać, a pochylone głowy patrzyły w ziemię. Podpisać? — Ten podpisał weksel, tamten jakiś oblig u Żyda, inny kiepski kontrakt i co z tego wynikło? Co zaciągniesz piórem, nie wyciągniesz wołem — mówił przed laty dziaduś. A tu właśnie mówią o podpisywaniu. A co powie na to kobieta w chałupie? Takie to myśli przebiegły błyskawicą po mózgach. A tu ksiądz - referent pyta: „Czy podpiszecie deklarację na przystąpienie do spółki mleczarskiej?“ — Cisza śmiertelna. Potem zamieszanie i dłuższe szepty pomiędzy prelegentami, wreszcie drugie pytanie: „Bez względu na to, czy przystąpicie do spółki lub nie, powiedzcie, czy chcecie, aby w waszej wsi powstała mleczarnia?“ Cisza uroczysta. I znowu pytanie. „Czy będziecie sprzedawali nam mleko, gdy we wsi waszej założymy mleczarnię?“ Po tym pytaniu już nie było ciszy. Przerwał ją bowiem tupot nóg szybko wychodzących słuchaczy.

Mój proboszcz jednakże nie tracił nadziei. Wysłał swoim kosztem parobczaka na naukę do sąsiedniej mleczarni, a wziąwszy laskę do ręki całymi dniami odbywał konferencje z babami po zagrodach, ogródkach, w opłotkach i podwórzach, nie zaniedbując sprawy na ambonie, a może też, czego stanowczo nie twierdzę, w konfesjonale. Sam też zagwarantował za centryfugę, że ustawi ją w budynku parafialnym i jeszcze przed żniwami wyznaczył dzień na uroczyste otwarcie mleczarni.

W oznaczonym dniu zjechało do wsi dwóch sąsiednich księży, rozdzwoniły się dzwony, odprawiono solenne nabożeństwo aż z dwoma kazaniami na tematy ewangeliczno-mleczarsko-zabobonowe, po czym procesja ruszyła do przybytku, gdzie na honorowym miejscu błyszczała centryfuga. Prześpiewano psałterz od deski do deski, przeplatając go dwoma okolicznościowymi przemówieniami, przy czym nie szczędzono kadzidła i kropidła. Okadzono budynek zewnątrz i wewnątrz, pokropiono podwórko, ściany, centryfugę i pomocnicze statki, nie pomijając nawet ciemnego strychu. Uroczystość przeciągnęła się do południa i puszczono na centryfugę pierw-

sze mleko, rozdając chętnym bańki do noszenia mleka. Skutek był ten, że już nie wszyscy wierzyli w moc czarownic w poświęcanym miejscu, to też kręciliśmy przez cały miesiąc około 60 litrów mleka dziennie, licząc w to też udój z obory proboszcza, ale nie licząc udoju z obory dziedzicowej, gdyż przeliczyliśmy się w nadziei, że oddali swego żyda. Asystowaliśmy z proboszczem przy wszystkich czynnościach naszego przedsiębiorstwa, zapisując ilość dostarczonego mleka, pobierając próbki tłuszczu i porając się wieczorami z rachunkowością.

Po upływie miesiąca nastąpił moment rozstrzygający o istnieniu naszej mleczarni — pierwsza wypłata. Umyślnie postaraliśmy się o drobne pieniądze, aby było ich dużo i założyliśmy nimi cały stół, wystawiając go na widok publiczny. Kobietom wypłacono na rękę po 5 do 12 koron, a jedna z zamożniejszych otrzymała 22 korony. Nie zwracając żadnej uwagi na informację, że odciągnięto im drobną kwotę tytułem składki na udział — zwracały wyłącznie uwagę na pieniądze w garści, gdyż po raz pierwszy w życiu otrzymały za nabiał aż tyle pieniędzy od razu.

Na wsi powstała sensacja, pomimo, że przez cały miesiąc kpiono sosie z dostawczyń w niemiłosierny sposób; szept podziwu i spytki podniecane zawiścią szły przez całą wieś. Po tygodniu zjawiły się dwie nowe dostawczynie, a w końcu miesiąca liczba członkiń podniosła się w dwójnasób; po sześciu miesiącach mieliśmy udój z całej wsi. Niedługo spostrzegliśmy, że zmyślne kumoszki zwiększyły dostawę przez dolewanie wody, próby bowiem robiliśmy z nudów co drugi dzień. Zwróciliśmy im na to uwagę szeptem na osobności, zapewniając, że centryfugi nikt nie oszuka. Były bardzo obrażone, przysięgały, że się mylimy, bo nie rozumiały jeszcze w jaki sposób potrafiliśmy skontrolować tłuszcz w mleku. Ale zauważyliśmy również, że natychmiast poniechały tej manipulacji. Nie zaniedbywaliśmy też przy każdej sposobności pouczania o obchodzeniu się z bydłem, o dojeniu i żywieniu krów, wbijając do głów, że krowa ma mleko w gębie, a nie w wymieniu. Brzęczące korzyści z bydła zwolna uwidaczniały się w intensywności jego żywienia. Nie zdołaliśmy jednak odzwyczaić ludzi od karmienia bydła podczas udoju oraz od mieszania ospy i ziemniaków z sieczką. Po kilku latach widziałem w tej wiosce wcale ładne krówki oraz kilka lucerników.

Nie brakło też początkowo zdarzeń humorystycznych. Pewnego razu skonstatowałem w mleku 8% tłuszczu i powiadomiłem o tym proboszcza. Napisaliśmy o tym do centrali, skąd odpowiedziano, że to jest niemożliwe. Niedługo poufny wywiad zdradził tajemnicę tego fenomenu: chłop mieszał mleko klaczy.

Wzięto się do innej spekulacji. Pierwsze walne zebranie członków, na wniosek kuma Dmytra, uchwaliło obliczać cenę nie według zawartości tłuszczu, ale od każdego litra. Wiedzieliśmy, że się coś złego święci, ale proboszcz chciał przyłapać sprawcę na gorącym uczynku. Ze względów wychowawczych oświadczył, że namyśli się nad przyjęciem tej uchwały przez

kilka dni. Zaraz też przekonaliśmy się, że mleko wybitnie schudło. Przemyślne gosposie odstawiały mleko na kilka godzin, zbierały śmietankę, a pozostałość odstawiały. Już po tygodniu rachunek wykazał katastrofę. Nic nie mówiąc, po miesiącu wypłaciliśmy drobne kwoty według zawartości tłuszczu, a ponowne nadzwyczajne walne zebranie samo doszło do przekonania, że ten interes wcale się nie opłaca ze względu na niskie ceny masła w miasteczku.

*

* *

Dalsza obserwacja środowiska otworzyła mi oczy na inne zjawisko. W pewne lipcowe popołudnie wyszedłem w pole na przechadzkę. Po jednej stronie dróżki polnej przykucnęła baba w bruździe za ścianą żyta, dając mi ręką jakieś tajemnicze znaki i ukazując na sąsiedni zagon, pokryty nader bujną nacią ziemniaczaną. Opodal jakiś wieśniak pracował motyką nad burakami. Wytężyłem wzrok we wskazanym kierunku i dojrzałem w ziemniakach czerwoną plamę niknącą w zieleni. Baba podjęła straszliwy wrzask: „Ty złodziejko! Ty k... i t. d.“ Z pod łętów podniosła się drobna postać dziewczynki; leżała sobie w bruździe niby zajączek i dłubała młode bulwy do małego woreczka. Nadbiegł chłop z motyką, spytał o co chodzi, schwycił dziewczynkę za kark i rozległ się łoskot bestialskich razów styliska po ciele wrzeszczącego dzieciaka. Przez myśl przebiegło: ano trudno, to ojciec, a dziecko kradnie, karać powinien i ma prawo. Dzieciak ostatnim wysiłkiem zaskrzeczał: *„maty kazała...“* *) Spojrzałem na zsiniałą twarz dziecka. Chryste! To moja najlepsza uczennica, to moje, dosłownie moje dziecko nauczycielskie! Straciłem poczucie rzeczywistości i siarczyście chłopa spoliczkowałem. Zabrałem dziecko do domu, dziwiąc się, że po takich razach jeszcze żyje, obłożyłem sińce, uspokoiłem i nakarmiłem, czym mogłem. Pochłaniało wszystko z równym apetytem: chleb, kiełbasę, mleko, jakieś figi, ale nic zeń wydobyć nie mogłem, prócz słów: „maty kazała“. Chłop groził skargą, ja się martwiłem, a proboszcz serdecznie się zaśmiewał, powtarzając: „patrz w życie, a serce ci stwardnie“. Niestety omylił się, bo do starości serce moje nie stwardniało na widok niedoli olbrzymiej większości mego narodu. Flaszką ułagodziłem chłopa, który podchmieliwszy powiedział, że nie bił dlatego, że kradło, bo człek ubogi żyć musi, ale dlatego, że się złapać dało.

Od tego czasu miałem już, jako wychowawca, wyczulony zmysł spostrzegawczy na stan moralny wieśniaków, wśród których życie przepracowałem. Nie wiem, jakie są stosunki na całym obszarze naszego państwa, ale znam wieś na południowych i zachodnich kresach Polski i na tej podstawie pogląd swój sformułuję. Zacofanie oświatowo-kulturalne, połączone z nędzą materialną, niweczą nawet wychowawczy wpływ chrześcijań-

---

*) „Matka kazała“. Red.

stwa, a wysiłki nieźle uposażonego duchowieństwa w kierunku umoralnienia żywiołu wiejskiego pozostaną, przy dotychczasowym stanie rzeczy, głosem wołającego na puszczy. Kradną wszyscy bez wyjątku: dzieci, młodzież i starcy, ubodzy i zamożni, jedni z konieczności, drudzy dla sportu; dla jednych wystarcza garstka paszy czy ziemiopłodów, dla drugich nie zawadzi zajechać parą koni do cudzego lasu, do kopca z ziemniakami, czy do sterty snopów lub siana. Okradają też jedni drugich bez miłosierdzia, co doskonale ułatwia szachownica poletek. Niezmiernie drobny ułamek kradzieży dochodzi do wiadomości władz sądowych. Nikt nie dowie się nazwiska złodzieja, jakkolwiek cała wieś doskonale wie wszystko, bo każdy ma nieczyste sumienie i boi się odwetowego oskarżenia, a nawet podpalenia, lub conajmniej połamania kości. Za to na honor i naruszenie granicy swej własności są niezmiernie czuli i skłonni do pieniactwa. Nic też dziwnego, że takie środowisko jest wymarzonym dla miłej trójki: żyda, księdza i adwokata.

Przy braku wszelkiej zdolności do uspołecznienia, wieśniak nasz posiada cenną zaletę przystosowywania się do najnędzniejszych warunków bytu, który znosi jako dopust Boży; głęboka zaś ciemnota nie pozwala mu na pomyślenie o jakiejkolwiek zmianie czy organizacji istniejących stosunków. Żyjąc wyłącznie z roli, nie posiada jednak wyobrażenia o postępie rolniczym i nikt też nie dba o to, by naszemu ludowi przyswoić najbardziej dlań konieczne wiadomości rolnicze. W okresie wyborów informują go, zawsze zresztą tendencyjnie, o sprawach państwowych, o których nigdy nie myśli. Na modnych obecnie kursach „dokształcających“ mówią mu o partyjnictwie, o Afryce, o stanie ekonomicznym Japonii i t. p., nikt jednakże nie wpadnie na myśl powiedzenia chłopom cośkolwiek o świniach, gnoju, uprawie łąk, warzywnictwie czy sadownictwie; każdy chce zrobić z chłopa intelektualistę i statystę, nikomu natomiast nie przyjdzie do głowy, że przede wszystkim winien on być specjalistą. Sprawy jednakże zaszły tak daleko, że wieś niezdolna jest już do podniesienia się kulturalnego i ekonomicznego i oczekuje jeśli nie jakiegoś Napoleona, to przynajmniej na polskiego Bismarka czy Stołypina. Z dumą możemy podnieść sprawę naszej ustawy o reformie rolnej i podkreślić osiągnięte sukcesy, ale ta sprawa posuwa się zbyt powoli, jest niezmiernie kosztowna, a przede wszystkim nie zrozumiana tak przez włościan, jak i inteligencję; trudno jest znaleźć na wsi nauczyciela, który posiadałby ogólne pojęcie o naszej ustawie agrarnej.

W czasach zaborczych nauczyciele szkół ludowych zorganizowani byli w drodze urzędowej w t. zw. kółka ogrodniczo-sadownicze, a to celem wzajemnego pouczania się w tych kwestiach i oddziaływania na społeczność wieśniaczą. Posiedzenie takiego „kółka“ zwoływano raz na rok w wyznaczonej szkole. Obrady rozpoczynano od przeprowadzenia lekcji pokazowej z dziećmi szkolnymi na tematy gospodarcze, po czym następowała dyskusja i jakiś referacik, czym zajmowano się do chwili, kiedy z kuchni

dano znak, że wszystko gotowe. Polecano komuś napisanie sążnistego sprawozdania dla władzy szkolnej i rozpoczynano rzecz właściwą, ale sprawozdaniem nie objętą: wyrzucano ławki, wnoszono skrzypce lub harmonię i zabawiano się do świtu.

Tak kwestii tych kółek, jak i materialistycznego kształcenia dzieci 6-o — 12-o letnich, z którymi nie można było wyczerpywać poważnych tematów rolniczych, obcych psychice dziecka, nikt nie brał poważnie. Nikt też programu nauczania nie ważył się krytykować; wykonywano to, co władze polecały. Z żalem muszę wspomnieć o skasowaniu w Polsce współczesnej obowiązującej podówczas nauki dopełniającej o kierunku rolniczym w szkołach wiejskich. Wprowadzony ostatnio program nauki w szkołach powszechnych przewiduje wprawdzie zajęcie dzieci nauką w ogrodzie szkolnym, ale tak wówczas, jak i obecnie zapomniano, że do prowadzenia takiej nauki potrzebna jest przestrzeń ogrodzona, zwana ogrodem. Wreszcie tak ongiś, jak i dzisiaj, nie zdają sobie sprawy, tam gdzie należy, że do prowadzenia wojny, według Bismarka, potrzeba pięciu warunków: *1) Geld, 2) Geld, 3) Gute Offiziere, 4) Geld, 5) Geld* *), a do prowadzenia ogrodnictwa niezbędnym jest: 1) ogród, 2) woda, 3) narzędzia, 4) nawożenie, 5) woda. Nic więc dziwnego, że i dzisiaj nauczyciele zdradzają wielką ochotę do tańcowania.

Tak właśnie odbyło się wspomniane posiedzenie kółka ogrodniczego w sąsiedniej wiosce, tym ochotniej, że to właśnie był dzień 13 lipca. Koniec roku szkolnego następował za dwa dni, przeto już nie przewidywano zmory wizytacji inspektorskiej, jaka zresztą dla mnie nastąpić miała pierwszy raz w życiu. Zaledwie przyjechałem w dniu 14 lipca około godziny 7 rano, wpadło za mną do mieszkania dziecko z hiobową wieścią: *„szpechtor sedyt w klasi!“ *)* Nogi ugięły się pode mną, jako że nie byłem pewny swego zegarka. Oczyściłem się z kurzu, przyklepałem dłonią czuprynę, dzieci już czekały pod szkołą, wpadłem więc pędem do klasy. „Panie, już 9 godzina, śpisz pan za długo“ — rzekł z uśmiechem, pokazując mi swój zegarek wskazujący godzinę 7.15 — „Może zaczniemy, gdyż śpieszę się do innej szkoły!“ (Wizytował zwykle po dwie szkoły dziennie i chodził zawsze pieszo, nawet w zawieje śnieżne, by oszczędzić na dietach). Po godzinie zorientował się w stanie klasy, w drugiej godzinie uporał się z dwoma starszymi kolegami, po czym rzekł do mnie: „W porządku. Słyszałem, że ksiądz zadowolony, a dziedzic jeszcze się nie skarżył. Widzę też po stroju, że pan nie lekceważysz przełożonych.“ I już go we wsi nie było.

* * *

Niestety, już po 18-miesięcznej pracy na tej miłej placówce przeniesiono mię do niedalekiej wioski nad Dniestrem.

---

*) Pieniędzy, pieniędzy, dobrych oficerów, pieniędzy, pieniędzy. Red.

*) „Inspektor siedzi w klasie“. Red.

Tu dużą część pól zalewały prawie corocznie wylewy, przeto ludność była uboga i zacofana. W kilka dni po przyjeździe przyszedł do mnie przewodniczący rady szkolnej i właściciel 40-morgowego gospodarstwa, pełniący też obowiązki wójta i po kilku zdaniach poprosił mię o drobną przysługę, mianowicie o nauczenie go sztuki czytania i pisania. A liczył sobie dopiero 54 rok życia. W dalszej rozmowie poinformował mnie, że piastuje różne miejscowe godności, mianowicie jest członkiem bractwa kościelnego, kasy pożyczkowej w mieście, spółki handlu drzewem, rady powiatowej i komisji asenterunkowej. Przed laty nauczono go w banku podpisywania swego nazwiska. Ze zdumieniem przekonałem się, że jakkolwiek podpis jego był dość czytelny, to jednak on sam nie odróżniał w nim pojedyńczych liter. Rozmowę prowadził inteligentnie, zachowywał skrupulatnie formy towarzyskie, co znamionowało otarcie się w świecie. Wyznał, że prowadzi liczne interesy pieniężne, a pamięć już go zawodzi, przez co ponosi czasem straty. Opowiadał też, że w towarzystwach, czy instytucjach, w których zasiada, powszechnie mniemają, że nie jest analfabetą; gdy mu dają coś do odczytania, wykręca się oświadczeniem, że zapomniał okularów. Na posiedzenia przynosi z sobą świeżą gazetę i zagłębia się w czytaniu; aby nie trzymać jej „do góry nogami,“ wyszukuje znaną sobie literę „i“ i obraca druk kropką do góry; na pytanie, co słychać nowego, machnie z rezygnacją ręką i oddaje zaraz gazetę pytającemu do przeczytania lub chowa ją do kieszeni. Posiadając łatwy dostęp do urzędów powiatowych, oddawał często usługi swym sąsiadom, przeto poważano go i bano się równocześnie. Nie odmówiłem jego żądaniu, ale jednocześnie zaproponowałem mu utworzenie kursu dla analfabetów, aby z mej pracy mogło skorzystać więcej osób, o ile będą mieć ochotę. Odpowiedział na to, że ochotę mieć muszą, bo on, jako wójt, nastraszy ich rozkazem starostwa...

Powiększył zapas opału, zakupił dwie lampy wiszące z funduszów gminnych i spędził mi do klasy ponad 30 osób płci obojga od 40 lat w górę, nakazując im codzienne i regularne uczęszczanie pod wysoką grzywną za każdy opuszczony dzień. Po minach mych uczniów zaraz spostrzegłem, że czynią zadość jedynie nakazowi, poza tym nauka wcale ich nie obchodziła. Na uwagę, że chciałbym mieć młodszych uczni, odpowiedział, że młodsi są głupi, nie będą słuchać, ale za to będą przeszkadzać zbytkami. Naturalnie, że w tych warunkach nie mogło być mowy o należytym wyniku pracy, gdyż większość nie kupiła sobie nawet tabliczek i już po dwóch tygodniach kurs stopniał do kilku osobników, a do końca nauki dotrwał tylko inicjator i ubogi chałupnik, który już cośkolwiek czytać umiał, oraz jedna ciekawa kobieta, która przez szereg lat pełniła obowiązki stróżki szkolnej i przechwalała się, że umie przeczytać cały elementarz. Zaintrygowany otworzyłem w elementarzu grafikę pod obrazkiem krowy, a kobieta odczytała tekst gładko; wskazałem potem czytankę drukowaną: kobieta kazała sobie przypomnieć pierwszy wyraz i znowu czytanie szło gład-

ko. Zaraz też zagadka tego „czytania“ wyjaśniła się. Jako stróżka przesiadywała przez kilkanaście lat w kuchni nauczycieli przy przędzeniu kądzieli i słuchała czytania dzieci szkolnych, a mając znakomitą pamięć, mogła recytować całą treść elementarza.

Organizator kursu dla analfabetów przykładał się do nauki z zadziwiającą wytrwałością. Po czterech miesiącach prawie codziennej nauki zdołał już powoli przeczytać każdy tekst drukowany i gryzmolił dużymi, nierównymi literami wszystko, co sobie pomyślał. Zaraz sprawił sobie olbrzymi notes do zapisywania swych interesów; z dziecinną radością odczytywał drogowskazy, szyldy, wywieszki w urzędach i t. p., a gdy jechał furą, zatrzymywał konie dla odczytania każdej zauważonej tablicy.Naturalnie, że nie omieszkał zaprenumerować gazety, kupował też kalendarze, lecz trudno mu przychodziło czytanie książek, gdyż gubił się w treści, nie rozumiał wyrażeń literackich i technicznych, przy czym uskarżał się na ból głowy. Drugi uczestnik wyćwiczył się w pisywaniu listów, podań i relacyj urzędowych, objął czynności pisarza gminnego, z czym dawał sobie jakoś radę. Kobieta również wytrwała do końca, czytać umiała, za to z pisaniem nie mogła sobie poradzić; później widziałem u niej książeczkę do nabożeństwa.

Na drugiej posadzie byłem zaledwie pół roku, jednakże ten czas pozwolił mi na przeżycie dwóch doświadczeń, które mię pouczyły, że szkolna nauka jest bezpłatna, ale nauka, jaką daje życie, kosztuje zazwyczaj wcale drogo.

We wsi istniał zwyczaj noszenia przez wszystkich mężczyzn długich włosów, podciętych równo z linią karku, podobnie do dzisiejszej mody kobiecej à la garçonne. Wprawdzie włosów nie ondulowano, ale za to obficie smarowano masłem. Naturalnie, że tę modę zachowywali również i uczniowie w szkole, co wybitnie przyczyniało się do zatruwania powietrza w klasie w następstwie jełczenia tłuszczu, na którym żerowało mnóstwo wiadomych insektów. Pod koniec zimy zjawił się nowomianowany inspektor szkolny, polecił kupić maszynkę i ostrzyc wszystkich chłopców przy samej skórze. Stało się według rozkazu, uczniowie wyszli ze szkoły z ogolonymi pałkami. Na wsi wybuchła burza. Baby przybiegały z krzykiem, uważano bowiem, że dzieciom wyrządzono pewnego rodzaju hańbę i zagrożono ich zdrowiu, gdyż krótkie włosy przyczyniać się jakoby miały do bólów głowy i zbliżały dzieci gospodarskie do wyglądu żydziątek. Nie rozumiano wskazań zdrowotnych, jak też obowiązku wykonania rozkazu i wszystko spadło na moją osobę.

Istniał też zwyczaj, że kto szedł na komisję poborową, do urzędu dla załatwienia sprawy lub do sądu, uważał za pożyteczne łyknąć sobie uprzednio w karczmie dla nabrania animuszu. To też pewien pijaczyna, jadąc do lasu, zatrzymał konia pod szkołą, wszedł do klasy z nakrytą głową, a wygrażając mi siekierą krzyknął: „Ty zawłoko! Jeśli raz jeszcze ośmie-

szysz mi dziecko, to ci głowę odrąbię!“ Przy akompaniamencie ordynarnych wyzwisk, zaczął zbliżać się do mnie, a dzieci zaczęły ze strachu piszczeć.Uczułem silny odór wódki i zauważyłem, że stoi niepewnie na nogach. Było się młodym i porywczym. Wyrwałem mu z ręki siekierę i wypchnąłem za drzwi. Zaczął się awanturować, ale sąsiedzi jakoś go uciszyli. Przestrzeżono mię, że za mną chodzi, aby się zemścić. Na wiosnę, w przedwieczornych godzinach, zabawiałem się prawie codziennie wędką nad Dniestrem. Wracając o zmroku spotkałem go w środku zarośli. Stał wyzywająco i nie ustępował z drogi. Mijając go pozdrowiłem zwyczajowym „Pochwalony“. Chwycił mię pod gardło i znowu poczułem odór wódki. Zwaliliśmy się na ziemię. Podrapał mię, rozerwał odzież i ugryzł w łydkę; pochwyciłem w garść otoczak i zostawiłem napastnika na miejscu, po czym powiadomiłem o zajściu sąsiadów, którzy odprowadzili go do domu. Znalazłem się w kropce, bo świadomi w kwestiach prawniczych koledzy twierdzili, że przekroczyłem granicę koniecznej obrony, a świadków nie było. Postanowiłem nie skarżyć na razie i czekałem na rozwój wypadków, zwłaszcza, że mój uczeń — wójt nie próżnował. Po dwóch tygodniach przyszedł raniutko mój pogromca ze słowami: „Sława Isusu Chrystu!“ Podałem mu krzesło, zapaliliśmy papierosy i aż do dzwonu na sumę gawędziliśmy o krowach, gnoju, zasiewach. Na odchodnym powiedział: „Przyszedłem zapytać, czy was czym nie obraziłem?“ — „Nie Wasylu — odrzekłem — ja się na was nie gniewam“. — „No to daj Boże zdrowie“. — „Idźcie z Bogiem i bądźcie zdrowi Wasylu“. I nastał spokój.

Niedługo potem, przechodząc przez miasteczko, ujrzałem pod handlem mąką znanego mi we wsi biedaka, ojca licznej rodziny. Żydek spytał: „Panie, to z pańskiej wsi ten człowiek?“ — „Z mojej“. — „On chce u mnie skredytować worek mąki, czy można mu dać?“ „Można, to biedny człowiek!“ Po kilku tygodniach zapłaciłem w sądzie za worek mąki z kosztami adwokackimi, a za potulność wobec wyroku pouczył mię sędzia: „Trzeba było powiedzieć: ja bym dał“.

*

* *

Ku niespodzianej radości otrzymałem w czasie wakacji przeniesienie do wioski położonej koło Halicza, oddzielonej od miasteczka zaledwie szerokością rzeki Łukwi. Była to wieś bardzo ludna i uboga, jak zresztą i inne wioski na Podkarpaciu. Nikt tu nie interesował się pracą kulturalno-ekonomiczną, wrzały natomiast żywe zgiełki polityczne. Obok zwartej masy większości ruskiej, żyła tu drobna domieszka rodzin polskich, względnie polsko-ruskich; było też kilka gospodarstw karaimskich, będących odgałęzieniem kolonii Karaimów w Haliczu.

Karaimi tworzyli grupę zwartą, wyróżniającą się w otoczeniu językiem i wyznaniem oraz wyższym stopniem kulturalnym, złożoną wyłącz-

nie z zapobiegliwych rolników, skrzętnych rzemieślników i robotników kolejowych. U każdego można było znaleźć książki i gazety polskie, w drobnych incydentach nie brali udziału, ale w chwilach decydujących szli solidarnie z Polakami. Z żydami żyli w antagoniźmie wyznaniowym, jako sekta judaistyczna, ale mimo to miejscowy żyd, właściciel sklepu galanteryjnego i bardzo inteligentny człowiek, Rubin Fahn, napisał o nich wcale obiektywną pracę naukową.

Kierownik szkoły zaliczał się do „poczciwych starorusinów". Dwie pozostałe koleżanki w zawodzie były bojowniczkami wojującej Ukrainy, organizując we wsi siczowników i czytelnię „Proświty", jako też wiecznie rozlatującą się kooperatywę handlową. Wieś była już podniecona agitacją ukrainofilską, to też taki sobie „przeklęty Lach" nie miał we wsi o co rąk zaczepić; rozmawiano ze mną grzecznie, życzliwie i ostrożnie. Bojowe nastawienie było skierowane wyłącznie przeciw „kacapom" — starorusinom, którzy z kolei odpłacali „mazepińcom" pięknym za nadobne. Przygodne wymiany poglądów między obu obozami nigdy się nie obeszły bez bójek. Organizowano obustronnie bojówki do rozpędzenia zgromadzeń, imprez kulturalnych a nawet odpustów cerkiewnych czyli t. zw. praźników. „Mazepińcy" górowali masą, „kacapy" zjadliwością języka.

W tej zbożnej akcji przodowało po obu stronach ruskie duchowieństwo. Nawet po szatach liturgicznych poznać było można orientację polityczną, gdyż moskalofile używali paska (cyngulum) białego, ukraińcy niebieskożółtego. Przy zjazdach na praźnikach dla wzajemnych posług religijnych, płatano sobie wzajemnie figle. Obserwowałem kapłana-kacapa, dla którego przygotowano w zakrystii szaty liturgiczne z paskiem mazepińskim: nie wyszedł do ołtarza, dopóki mu nie dostarczono paska białego.

Po nabożeństwie odpustowym odbywało się na plebanii przyjęcie dla duchowieństwa i ich rodzin, na które zapraszano również kolatora oraz przybyłe nauczycielstwo bez różnicy wyznania i narodowości. Przyzwoitość tych zebrań towarzyskich psuły spory na tle politycznym i rytualnym; jedni byli zwolennikami czytania liturgii w języku ukraińskim, drudzy obstawali twardo przy tekście staro-bułgarskim, cytując dla przykładu wersety, których na język ruski przetłumaczyć z sensem nie można. Poruszano też, mimo interwencji grzecznego gospodarza domu, aktualności z najbliższego terenu, co nie obeszło się bez osobistych aluzji i zadrażnień. Nie szczędzono też sobie wzajemnie soczystych wycieczek osobistych w prowincjonalnych świstkach.

Miejscową polonię reprezentował w miasteczku żywioł urzędniczy i nauczycielski przy żywym współudziale okolicznego ziemiaństwa. Chodziło przede wszystkim o podtrzymanie świadomości narodowej żywiołu polskiego rozrzuconego w ruskim morzu, zwłaszcza po wsiach, gdzie sprawę komplikowały związki rodzinne. Hasło budowania kaplic dopiero powstawało, a realizować je mogli tylko zamożniejsi ziemianie, mogący się zdobyć na poświęcenie kilkudziesięciu tysięcy koron. Kościoły nieraz były

zbyt odległe, a na miejscu wszędzie stała cerkiew; różnic zasadniczych nie było, duchowieństwo obu obrządków nie demonstrowało antagonizmów na zewnątrz, pomagało sobie nawet czasami w konfesjonale; w niektórych kościołach na Boże Narodzenie i Wielkanoc odprawiano nabożeństwa obu obrządków, procesje łączyły się razem dla obchodu święta Jordanu, to też wieśniak polski uczęszczał sobie do bliżej położonej cerkwi, brał tam śluby, przystępował do sakramentów, wreszcie chrzcił dzieci, używał mowy otoczenia i już w drugim lub trzecim pokoleniu ruszczał zupełnie.

Można było często obserwować w rozrodzonych rodzinach, że jedna jej gałąź osiadła bliżej kościoła nie zapomniała o swej polskości, podczas gdy druga, mieszkająca daleko od świątyni rzymsko-katolickiej, przyznawała się do narodowości ruskiej. W ten sposób w ciągu stulecia ponieśliśmy olbrzymie straty; inaczej dziś wyglądałaby statystyka polskości w ziemi Czerwieńskiej, gdyby tam były kościoły. Ruszczały nie tylko jednostki, ale nawet zwarte osady polskie. Ze zdumieniem zaobserwowałem fakt, że odwieczna wieś polska koło Halicza, posiadająca rzymsko-katolicki kościół i klasztor franciszkanów oraz polską szkółkę, prowadzoną przez zakonnice, używała w życiu codziennym języka ruskiego. Żywioł polski upodabniał się do otoczenia strojem, obyczajami, a nawet budownictwem chat. Widziałem wieś polską w powiecie nadwórniańskim odzianą w stroje huculskie; nowsze osady polskie poznać było można z daleka, gdyż dachy na domostwach posiadały po dwie facjaty, dachy ruskich włościan facjat nie miały i wyróżniały się wydatniejszymi strzechami.

Swoiste też było nastawienie psychiczne włościan obu narodowości, pozbawionej wszelkiej nienawiści rasowej. Działacz społeczny, zwłaszcza w początku swej pracy, nie mógł poruszać kwestii narodowościowej. Patrzano nań bowiem z nieufnością, za to chętnie słuchano tematów gospodarczych, a reszty dokonywały gazety i książka polska. Z żalem muszę podkreślić sprawę czytelnictwa na wsi; ludność jest za uboga na prenumeratę pism (wyjątki nie stanowią o regule) a biblioteczki T. S. L. wykorzystywało pokolenie młodociane; starsi z powodu przestarzałej organizacji prac gospodarczych (cep, sierp do zboża, obróbka motyką) przy rozwiniętej szachownicy pól oraz warunków oświetleniowych w chatach, czytelnictwem prawie się nie zajmowali.

Miejskie organizacje polskie miały jakiś charakter arystokratyczny; wieś nie leżała w kręgu ich organizacyjnych zainteresowań. Sięgało natomiast na wieś T. S. L. z kolosalnym jak na ówczesne możliwości wynikiem. O wsi zaczęto sobie przypominać po wprowadzeniu ordynacji wyborczej na zasadach powszechności. Dawne wybory kurialne, poparte solidnie wódką i kiełbasą wyborczą przechodziły gładko; sporadyczne zjawiska, iż gdzieś tam grupa wyborców oczekiwała pod miastem na swoich prawyborców z „chłopskimi paragrafami“ w rękach, nie posiadała ogólniejszego znaczenia. Teraz każde wybory posiadają charakter plebiscytu

tym bardziej, że żywioł robotniczy miejski szedł początkowo do wyborów w grupie odrębnej. Trzeba więc było obejść poszczególnych wyborców, wmówić w nich, że oddanie wręczonej równocześnie karteczki z nazwiskiem nieznanego im panka decyduje nie tylko o ich przyszłym szczęściu na ziemi i w niebie, ale także o losach całego świata, a potem dopilnować, by do urny wyborczej się zjawili i nie wrzucili przypadkowo kartki dostarczonej przez konkurenta z przeciwka.

Halicz stanowił ośrodek kulturalny na całą okolicę. Miasteczko to żyło wspomnieniem nie żyjącego już wówczas burmistrza Sawickiego, Polaka, z zawodu notariusza. Była to indywidualność wybitna. Wznoszącą się nad miastem górę z ruinami zamku z XIV wieku urządził po europejsku, ruiny zabezpieczył przez otynkowanie. Założył doskonałe aleje, spadzistości zaopatrzył w schody, ustawił liczne ławki, obsadził drzewami i krzewami, założył klomby kwiatowe, zbudował olbrzymią altanę, gdzie miejscowe szkoły wykonywały ćwiczenia gimnastyczne, a podczas zabaw ludowych urządzano salę taneczną. Zbudował wodociąg, który miastu w dwóch punktach (w rynku i na przedmieściu) dostarcza wody źródlanej. Na gruntach magistrackich zaprowadził rozległe plantacje wikliny koszykarskiej oraz założył szkołę koszykarską, budując dla niej osobny budynek z magazynem, w którym starsze roczniki szkoły ludowej pobierały obowiązkową naukę slojdu drzewnego i koszykarstwa pod kierunkiem wykwalifikowanego nauczyciela. Zbożna ta działalność przetrwała ćwierć stulecia w nadziei rozbudzenia przemysłu koszykarskiego wśród ubogiej ludności, mającej w otoczeniu obfitość materiału rosnącego w zalewach Dniestru, Łukwi i Łomnicy.

Jako uczeń miejscowej szkoły musiałem brać udział w nauce koszykarstwa, zaczynając od wstępnych prac z tym przedmiotem związanych, t. j. od żęcia, korowania, sortowania wikliny oraz metodycznie prowadzonej nauki przygotowania i obróbki materiału, a kończąc po dwóch latach na odrabianiu modeli najrozmaitszych wyrobów z wikliny i z trzciny. Nauka była skuteczna, bo nauczycielowi nie brakło łozowych prętów do pokazywania. Prócz tego robiliśmy na zamówienia klientów, najczęściej wyplataliśmy wasągi, za które płacono magistratowi po 8 koron. Reperowaliśmy krzesła wyplatane trzciną oraz zamawiane przez mieszczanki kosze według modeli. Co roku po tej nauce conajmniej 40 chłopców wsiąkało w otoczenie: — z nadzieją fundatorów tej placówki, że lada rok przemysł koszykarski w Haliczu się rozwinie i ogarnie wszystkie rynki, jeśli nie w Europie, to przynajmniej w Królestwie Galicji i Lodomerii wraz z Księstwem Krakowskim, Oświęcimskim i Zatorskim.

Będąc już na posadzie nauczycielskiej przechodziłem obok koszykarni i spostrzegłem, że kosze wyrzucono, a wniesiono ławki, urządzając w niej filię miejscowej szkoły. Postanowiłem zbadać przyczynę upadku szkoły koszykarskiej. W międzyczasie odwiedziłem w Haliczu mego księdza proboszcza. W swoim pokoiku wskazał mi na koszykowe mebelki: stolik, ta-

burety, kanapkę, foteliki i stojaki kwiatowe mówiąc, że moja praca jeszcze dobrze się trzyma. Osłupiałem. Ja byłem twórcą tych mebli? Zapomniałem zupełnie, że się kiedyś koszykarstwa uczyłem! Przebiegłem myślą niedawną przeszłość. Ależ tak! Winszowaliśmy proboszczowi imienin, przyciągnąwszy równocześnie te mebelki, owoc wspólnych naszych wysiłków pod srogim nadzorem nauczyciela; poznałem nawet tę „szynę“ w kanapce, która mi przy gięciu pękła, a którą w obawie o całość uszu potrafiłem zręcznie zamaskować przed okiem naszego mistrza. Przypomniała mi się też ta kawa, jaką nas proboszcz wówczas ugościł i ta „szóstka“, którą każdemu z nas wetknął do garści.

Poszedłem na górę zamkową. Po schodach i ławkach śladu nie zostało; krzewy połamane, drzewka powycinali złodzieje, dach altany przeciekał i podłoga gniła; spojrzałem na plantacje wikliny z takim nakładem pracy i kosztów pielęgnowania, ongiś takie bujne, dostarczające materiału na sprzedaż do dalszych okolic. Teraz chłopi puścili w nie bydło, a żydzi kozy; powiadano, że dochód nie pokrywał kosztów nadzoru, mimo, że dzienniki pisały o braku tego surowca w kraju.

Po skasowaniu koszykarni przybył z dalszych okolic zawodowy koszykarz, ożenił się z dziewczyną posiadającą domek z kawałkiem roli i klecił kosze, na jakie był popyt po okolicznych jarmarkach. Transport na targi przy pomocy furmanki był kosztowny, bo czasem nic się nie sprzedało; oddaje więc towar do komisowej sprzedaży żydom, zgarniającym czysty zysk z jego pracy, sam zaś wegetuje nędznie i gdyby nie ziemiopłody z grzędy, umarłby z głodu, mimo, że na te wyroby jest popyt zagranicą, nawet za morzem.

Poszedłem pomiędzy dawnych spółtowarzyszy nauki i zbytków w koszykarni. Pozakładali już rodziny i klepią nędzę na karłowatych gospodarstwach. U każdego są kosze dla potrzeb gospodarczych z nieokorowanej wikliny, takie same, jakie klecili przed założeniem koszykarni. „Dlaczego nie pomagacie sobie koszykarstwem? — Nikt nie kupi — odpowiadają — zresztą za wcześnie uczyć nas zaczęto i za wcześnie przestano, wiele się zapomniało, modeli nie ma. Zresztą próbowaliśmy rzemiosła. Gdyby jaka organizacja zajęła się zbytem towarów. — Nikt was nie organizował? — Nikt, a sami nie posiadamy ani wiadomości handlowych ani kapitału. — A dlaczego skasowano koszykarnię? — Bo nie opłaca się, tak przynajmniej twierdzą w magistracie.—Dlaczego nie robicie dla własnego użytku? —To za delikatne do chłopskiej chaty, gdzie w jednej izbie dnieje i nocuje tylu domowników“. Tak — pomyślałem. Dzieło było świetnie zaczęte, ale nie było komu poprowadzić je dalej, bo nie umiano przyszłych rzemieślków uspołecznić i nauczyć organizacji handlowej.

W tym trzecim roku praktyki nauczycielskiej zdałem egzamin kwalifikacyjny, a tym samym zdobyłem prawo do ubiegania się o ustalenie w zawodzie. Prawo było prawem, lecz ustalenie było trudne ze względu na system oszczędnościowy, dozwalający na oszczędzanie po 100 koron rocz-

nie na każdym etacie; z tego powodu wielu nauczycieli czekało nieraz 10-20 lat na ustalenie. Posady nadawano drogą konkursu według opinii rad szkolnych miejscowych. Podanie wniosłem bez żadnej nadziei na skutek i ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich kolegów otrzymałem szkołę we wsi leżącej w powiecie kałuskim nad średnim biegiem rzeki Bołochówki. Powiat ten należy do najbardziej ruskich na Podkarpaciu, wieś zaś była zamieszkała wyłącznie przez Rusinów.

Zagadka mej nominacji wyjaśniła się na miejscu. Rada Szkolna Miejscowa składała się z 4 Rusinów i 3 Polaków. Prócz mnie było jeszcze sześciu kandydatów ruskiej narodowości. Przewodniczący Polak zwołał zebranie w dniu jarmarcznym, kiedy członkowie Rusini udali się do miasta i tylko w ten sposób uzyskano dla mnie większość głosów. Protestu nie uwzględniono i doręczono mi nominację. Zjawisko to otworzyło mi oczy na fakt, że rozpoczęła się walka narodowościowa na terenie posad, nadawanych przez czynniki autonomiczne.

Ludność tej wioski nie brała udziału w szowinistycznych nagonkach, co było dziełem tylko jednostek, przejętych agitacją wojującego ukrainizmu; lud był biedny, spokojny, kulturalnie zacofany, a na pytanie odpowiadał: „*My Rusyny, howorymo po ruski.*“ *)

Przyznać muszę, że po przyjeździe do wsi nikt nie czynił mi żadnych trudności, ani ci którzy z księdzem i miejscowym nauczycielem Rusinem pisali przeciw nominacji rekurs, ani też reszta ludzi. Po kilku już dniach odnoszono się do mnie z ufnością i zwracano się z różnymi potrzebami wymagającymi sztuki pisarskiej, co zawsze załatwiałem bezzwłocznie i bezinteresownie. Tak miejscowy proboszcz, świadomy Ukrainiec, jak i włościanie, po krótkim współżyciu darzyli mię serdeczną sympatią, więc też odpłacałem im sercem za serce.

Wieś była ludna, ale bardzo uboga, przeważały bowiem gospodarstwa karłowate. Pod względem moralnym był to niestety typ wsi pijackiej i złodziejskiej. Pijaństwo przydusił poprzedni proboszcz wytężoną walką i przysięgami wstrzemięźliwości. Złodziejstwo kwitło w najlepsze, jako następstwo ubóstwa. Kto zżął zboże, proso, len, lub skosił paszę, musiał pilnować nocami aż do zwózki. Baby bielące płótno stawiały dzieci na straży; uprawę kukurydzy, tego chleba głodnych, zarzucono tylko dlatego, że łatwo można było się w niej schować i obrywać strąki do worka. Raz okradziono proboszcza, posiadającego liczną rodzinę. Przygotował sobie na Wielkanoc sute święcone na przyjęcie dzieci ze szkół i gości. W nocy przez okno zabrano mu wszystko, nie zostawiając ani jednego jaja święconego, ani kromki chleba; kradzież zauważył po rezurekcji, więc zamożniejsi parafianie urządzili nań składkę wiktuałów. Sam kupiłem raz wieczorem od zamożniejszej baby własne kurczęta, poza tym przepadł mi indyk, kura i para gołębi, która dopiero po roku wróciła, za to ziemiopłodów nigdy mi

*) „My Rusini, mówimy po rusku“. Red.

nie ukradziono, a gdy osobnik z sąsiedniej wsi zabrał mi kozioł do suszenia siana, zaraz mu go odebrali, ale nie chcieli powiedzieć jego nazwiska.

Zastanawiało mnie to oszczędzanie mej własności, lecz zagadka się wyjaśniła. We wsi był dziwny zwyczaj, że zamożniejszy gospodarz nie chciał potrzymać dziecka do chrztu biedakowi ze względów na t. zw. krzyżmo oraz drobną opłatę, jaką rodzice chrzestni składali na światło w cerkwi.Pewnego razu największy biedak we wsi i naturalnie najgorszy złodziej daremnie prosił przez kilka dni ludzi o potrzymanie dziecka do chrztu. Zrozpaczony zwrócił się do mnie, proponując, że za to pracować mi będzie darmo 1 dzień w polu. Poprosiłem z kolei do pary pewną panią, załatwiliśmy się z dzieckiem w cerkwi, następnie odwiedziliśmy nieszczęsną położnicę, wręczając ogromny w jej pojęciu datek, wystarczający na wygodne odbycie słabości. Biedacy byli zdziwieni i wzruszeni, a na odchodnem mój kum wyznał szczerze: „Tego indyka to nie ja ukradłem, ale bieda...“ Od tego czasu rósł mój zastęp chrześniaków wśród najgorszej biedoty i może dlatego nie potrzebowałem pilnować swej obórki i plonów na 2 morgach w polu.

Założenie mleczarni poszło gładko, gdyż była już z sąsiednich okolic znana, a resztki wątpliwości rozproszyło kropidło proboszcza; poza tym i pracy tu nie było, bo centrala przysłała kwalifikowanego pracownika. Mleczarniom tym przyszedł nowy wróg: lekarze, którzy twierdzili, że mleczarnie przyczyniają się do zwyżki procentu gruźlicy u młodzieży z powodu spożycia chudego mleka. Chłop jednakże taką statystyką się nie interesował i przenosił suchoty płucne nad suchoty kieszonkowe.

Z początkiem zimy wziąłem udział w trzydniowym kursie rolniczym urządzonym przez Tow. Kółek Rolniczych ze Lwowa we wsi sąsiedniej, zamieszkałej przez Polaków. Prelegenci mówili popularnie, stosownie do słuchaczy. Skorzystałem natomiast ze znajomości z jednym z prelegentów, który mi ułatwił później we Lwowie przećwiczyć się w pomocy przy nieprawidłowych porodach u krów. Na wsi było wiele takich wypadków; nie wzywano nigdy pomocy weterynarza, ale znachora, co najczęściej kończyło się dorznięciem bydlęcia i katastrofą dla rodziny. Ogłosiłem, że chętnie służył będę pomocą, ale mimo kilku wypadków nikt mię nie wzywał.

Pewnego razu wiosną ujrzałem przy chacie jednego biedaka grupę ludzi. Zaciekawiony zbliżyłem się i ujrzałem miejscowego oglądacza bydła i żyda, kupującego krowę nie mogącą wydać cielęcia. żyd dawał cenę nie przenoszącą wartości skóry, oglądacz już przyszedł nawet z paszportem, widocznie był w spółce z żydem. Obejrzałem bydlę: krówka 5-letnia, dobrze utrzymana, z trzecim cielęciem, a wypadek niezbyt skomplikowany, bez namysłu podwoiłem cenę, jaką żyd ofiarował i dałem zadatek; żyd uciekł, posłałem do siebie po postronki i środki dezynfekcyjne i zabrałem się na oczach tłumu widzów do roboty. Po pół godzinie miałem zdrowiutką cieliczkę na świecie przy najlepszym zdrowiu matki. Dopilnowałem łożyska i oświadczyłem chłopom, że krowę kupiłem, więc dopłacam i zabie-

ram. Chłop okazał kamienną rezygnację, ale baba podniosła lament; sądziłem, że napędzę im strachu i skłonię do prośby o odstąpienie od ugody; psychika ich była inna; tak właściciele krowy, jak i obecni sąsiedzi ani przypuszczali, że może być inne wyjście z sytuacji, musiałem więc sam poprosić, aby raczono sobie krowę zatrzymać i oddać mi zadatek. Na pytanie, czy wiedział, że potrafię nieść pomoc w tych przypadkach, odrzekł, że o tym słyszał, ale nie wierzył, bo żaden z dotychczasowych nauczycieli w okolicy na tym się nie rozumiał.

Od tego czasu nie miałem spokoju, budzono mię nieraz w nocy, nawet do przypadków normalnych, to też ciągle pouczałem, by po skontrolowaniu normalności pierwszych objawów pozostawić krowę przez kilka godzin w spokoju i nie wchodzić nawet do stajni. Zaczęły też przyjeżdżać furmanki ze wsi sąsiednich, bo wiedziano już, że nie pobieram żadnego wynagrodzenia. Nie odstraszał nawet fakt, że w sąsiedniej wiosce siarczyście wypoliczkowałem zamożnego i poważnego gospodarza za obcinanie kozikiem kotylionów przy wypadniętej rodnicy. Słuchano też moich poleceń i sprowadzano weterynarza w koniecznych przypadkach. Miałem tego dość, więc po roku wziąłem sobie stałego asystenta, ubogiego parobczaka i na niego złożyłem te obowiązki, zapewniając mu pewne źródło dochodowe. Przy tej okazji dowiedziałem się, że chłop nie rozumie bezinteresownej przysługi, a do bezpłatnej pomocy nie posiada pełnego zaufania: zapłacone lepiej smakuje.

Po założeniu mleczarni powstała, rzecz naturalna, kwestia paszy. Były wprawdzie dwa dość obszerne pastwiska gminne, gdzie w miejsce jednej sztuki bydła pasło się sztuk 15 równocześnie z końmi, świńmi i gęśmi; był to kompletnie zaniedbany nieużytek. O melioracji i uprawie racjonalnej tych obszarów ze względu na upór powszechny nie można było, przynajmniej w najbliższych latach, nawet pomyśleć, nikt bowiem nie chciał zrezygnować z prawa wypasania swej żywizny, nikt też nie dał sobie nic powiedzieć o wkładach pieniężnych. Na peryferiach pól wioskowych, w oddaleniu 3-4 kilometrów, wciśnięty klinem między posiadłości 3 sąsiednich wiosek, rozciągał się 300 morgowy obszar tak zw. łazów. Było to coś pośredniego pomiędzy lasem, łąką, pastwiskiem i nieużytkiem; kompleks podzielony na mniej lub więcej drobne działki, będący własnością poszczególnych gospodarstw. Wczesną wiosną, aż po pierwsze dni czerwca pasiono tam wspólnie bydło na porastającej trawie leśnej, a bezpośrednio po żniwach koszono tam niezmiernie marne siano — zbierano w najlepszym razie 3-4 q suchej paszy z morgi austriackiej (około pół ha); w przypadku wyginięcia „trawy" zostawiano taki dział na rok lub dwa w spokoju, aby z odrastających z rzadka roślin rozsiało się nasienie — i to był jedyny znany tam sposób gospodarowania. Prawie połowa tego obszaru nie produkowała roślin pod kosę, zalegał ją bowiem pancerz najdorodniejszych w świecie mchów.

Przy okazji zebrań gminnych często proponowałem im zamianę tego

obszaru na dobre łąki, wskazując sposób melioracji, uprawy, podsiewania, ale wysiłki te rozbijały się o mur ciemnoty i ubóstwa. Wzruszano ramionami, oświadczając, że od najdawniejszych czasów nikt stamtąd innego siana nie zbierał, nikt też nie dokaże cudu utworzenia łąk, bo tam trawa rosnąć nie chce, a poza tym nikt nie zrezygnuje z odwiecznego zwyczajowego prawa pasania po całym obszarze.

Przyczepiłem się do największego niedowiarka, posiadającego kilkumorgową, najzupełniej płonną, ale dość wilgotną działkę, gdzie nie było ani jednej rośliny trawiastej. Słuchał mych zachęt chętnie, z błyskiem inteligencji w oczach, ale dowcipnie je swoją chłopską filozofią zwalczał. W stosownej chwili zaproponowałem mu umowę przy świadkach (innej umowy nie podpisałby!), że z jego działki zrobię pierwszorzędną łąkę pod warunkiem, że da potrzebną robociznę, a ja nawozy i nasienie, za to ja przez 2 lata miałem z niej sprzątać siano na własny użytek. Bez namysłu zgodził się, przybijając dłoń moją swoją dłonią na znak przyjęcia umowy. Zaraz mu też poważnie zagroziłem, że gdyby się cofnął, wykonam pracę na jego koszt, a pretensję przez sąd wyegzekwuję. Podrapał się po głowie, ale desperacko oświadczył: „cóż robić — niech będzie!“

Z wiosną, po obeschnięciu ziemi, przywieźliśmy z pobliskiego Kałusza 5 kwintali pylastego kainitu, który musiał rozsiać w dwóch dawkach na przestrzeni jednej morgi, pokrytej wspaniałym mchem. Gdy mech poczerwieniał, musiał go wraz z dziećmi bronować, wygrabiać i drzeć pazurami, suszyć i palić. Praca była żmudna i długotrwała, to też przeklinał mię z kościami przy akompaniamencie szyderstw całej wsi. Następnie daliśmy sporą dozę wapna i całą łąkę przeoraliśmy wraz z resztkami mchu i rozsialiśmy tomasynę. Sprowadziłem odpowiedni gatunek traw do sporządzenia mieszanki. Z dziecinną ciekawością chłop przesypywał pomiędzy palcami poszczególne rodzaje roślin, dziwiąc się ich wyglądowi oraz faktowi, że gdzieś w świecie ludzie uprawiają trawy na nasienie, przy czym nie ukrywał swego niedowierzania w skuteczność tego zasiewu. W połowie sierpnia , w dzień bezwietrzny, kazałem mu te nasiona zmieszać i rozsiać lekkim rzutem, wreszcie lekko przybronować. Czas był przekropny, więc już we wrześniu skonstatowaliśmy skuteczność zasiewu. Na drugi rok wyrosła trawa wysoko, ale z natury rzeczy niezbyt gęsto, a jakkolwiek przewyższała jakością najlepsze porosty w innych działkach, nie wzbudziła należytego zainteresowania. Kazałem mu ten odrost skosić, niby w nagrodę za to, że z wiosną ustrzegł trawę od wypasienia. W następnym roku zasililiśmy łąkę solą potasową, a już z końcem maja przybiegł chłop z wieścią, że siano trzeba zaraz kosić, gdyż trawa się pokłada i może gnić. Trawa rosła zdrowo i bujnie, a cała parcela nosiła liczne ślady wydeptania: to ciekawscy przechodzili ją wzdłuż i wszerz dla zbadania, czy równomiernie rośnie. Zobaczyliśmy też zapowiedź przyszłej klęski: były to powyżynane sierpem kręgi przez nocnych amatorów cudzej własności. Zapowiedziałem, że w myśl umowy skoszę ją sam. Chłop milczał, ale poszedł

po radę do proboszcza; na jego interwencję zgodziłem się, że odstąpię swych praw, jeśli zwróci mi pieniądze za kainit, wapno, sól potasową i nasienie. Po przyzwoitym targu stanęło na tym, że ten zwrot odbędzie się w przeciągu 2 lat, naturalnie bez procentu, bo całej sumki rzeczywiście od razu nie mógł wyłożyć. Drwiny we wsi minęły, ale też nikt jeszcze nie kwapił się do naśladownictwa. W samą porę wycofałem się z tego interesu, gdyż z łąką zaczęły się dziać rzeczy niesamowite. Mimo, że chłop postanowił część trawy pozostawić dla zbioru nasienia, mającego służyć do obsiania reszty obszaru, musiał ją skosić w całości i pilnować dniem i nocą przed złodziejami. Było to w r. 1913. W następnym roku znowu zaczęło się pilnowanie łąki, gdyż nocami zaczęto tam spędzać nawet konie, a ochota do wyżynania trawy przybrała formę jakiejś zwierzęcej namiętności. Gdyby można było doprowadzić do porządku od razu cały 300-morgowy obszar łazów, zorganizowanie stałej straży byłoby rzeczą łatwą — strażowanie zaś jednej działki było zbyt uciążliwe. Całego obszaru jednakże nie można było uprawiać z trzech powodów: 1) z braku oświaty, 2) ubóstwa, 3) braku kredytu. Gdy po 5-o letniej nieobecności w czasie wojny powróciłem do wsi, łąka ta była już zamieniona na uprawną rolę, gdzie rosły niezmiernie marne ziemiopłody z powodu nadmiernej wilgotności.

Obejmując tę posadę w r. 1911 zastałem w ogródku szkolnym założoną przez mego poprzednika szkółkę siewek i szkółkę drzewek owocowych, gdzie rosły ładnie rozwijające się dziczki. Z wiosną 1912 r. zaszczepiłem kilka sztuk przy pomocy sprowadzonych zrazów od E. Fraege'go z Krakowa. Mobilizacja 1914 r. oderwała mnie od wsi na przeciąg lat pięciu. Po powrocie nie zastałem ani jednego drzewka. Powiedziano mi, że zniszczyło je wojsko. Ubocznie dowiedziałem się, że drzewka porozkradano. Nie robiłem kwestii, gdyż drzewka były przeznaczone na bezpłatne rozdanie pomiędzy włościan. Zwiedziłem nowe miejsce pobytu mych drzewek; ujrzałem dzikie krzaki, bujnie rosnące w odstępach 2-3 metrowych, zapobiegliwsi „sadownicy" poobcinali siekierą dolne gałęzie, pozostawiając kilkucentymetrowe sęki z charakterystycznymi odarciami kory; na liściach mnóstwo oprzędów namiotnika. Tylko jedna jabłonka, samotnie rosnąca w ogródku biednej wdowy, przybrała postać samorodnej piramidy; kobieta pieczołowicie niszczyła palcami gąsienice na jej liściach, gdyż rodziła „śliczne czerwone" owoce, był to bowiem nasz buraczek karmazyn.

Uprawę ziemniaków we wsi prowadzono w sposób starodawny, przy pomocy ręcznej obróbki, co pochłaniało dużo trudów i czasu, a w pewnych gospodarstwach było poniekąd przyczyną ograniczenia powierzchni uprawy tej rośliny. Rzecz dziwna, że przykład uprawy na pobliskich polach folwarcznych prawie nie działał. Gdzieniegdzie tylko zaczęto sadzić ziemniaki pod pług, obrabiano je jednakże nadal motykami. Trafiłem na młodego gospodarza, posiadającego chorowitą żonę, nie mogącą brać udziału w polnych robotach i namówiłem go, aby sobie kupił płużek do obróbki ziemniaków. Prorokowano mu powszechną utratę plonu przy mechanicz-

nej uprawie, a w jesieni znowu dziwiono się, że przepowiednia ta chybiła i dobry urodzaj przypisywano raczej odpowiedniej pogodzie i siłom pozaziemskim. Po dwóch latach zaczęli sąsiedzi pożyczać tego płużka do obróbki swoich poletek, a po dalszych pięciu latach kilku innych posklecało sobie podobne płużki przy pomocy miejscowego kowala. Nikogo jednakże nie udawało się namówić do nabycia fabrycznego płużka do spółki z kilkoma sąsiadami.

*

* *

Mobilizacja 1914 r. Masy chłopstwa najspokojniej dają się wtłaczać w mundury, a sterroryzowane bestialską dyscypliną idą z powszechnym odpuszczeniem grzechów przez „feldpaterów" na żer armatom. Front serbski w trzeciej ofenzywie Potiorka, nędza i głód, krwawe szturmy na zboczach górskich i zwycięski pochód w głąb dziedzin bohaterskiego ludu serbskiego za cenę nieskończenie długich linii trupów; wreszcie cięgi i paniczny odwrót z pod Milanowa przed niewidocznym przeciwnikiem. Moment postoju dla zaczerpnięcia wody przy studni obok chaty górala, z poza której wyskoczyło kilku obdartusów z karabinami i okrzykiem: *„Bacaj puszku!"* *) Chrzęst rzuconych karabinów i odpięcie tornistrów, a już wesołe obdartusy ściskają mi dłoń, pytają o narodowość, o rodzinę, jeden wyciąga flaszczynę śliwowicy, drugi woreczek z tytoniem i rozpoczyna się gościna i pogawędka na stojącego, aż nadchodzi oficer z okrzykiem: *„Napred, braccio!"*

Już jestem w niewoli serbskiej i patrzę na rzecz zadziwiającą: te obdartusy posiadają karabiny ze sznurkami zamiast rzemieni, a przewieszone przez ramię na sznurku torebki płócienne stanowią resztę wojennego wyekwipowania. Aż wstyd bierze, że tego rodzaju „banda" takie lanie sprawiła c. k. armii... Nawet na myśl nie przyszło, że tak samo wyekwipowane szeregi naszych żołnierzyków pod kierunkiem genialnego Wodza już w kilka lat później odepchną ścianę najazdu bolszewickiego... Zdumienie moje nie mija, bo po włożeniu naszych tornistrów, władcy naszego życia i śmierci proszą nas o sprzedanie naszych derek i namiotów; nie tylko proszą, ale wzajemnie przelicytowują się w cenie, wpychając pieniądze do ręki, na co spogląda ich oficer i potakuje zachęcająco: „Sprzedajcie, dla nich to jest potrzebniejsze, wy w obozie dostaniecie inne..."

Punkt koncentracyjny pod Kragujewacem. Boże! Cała c. k. armia w niewoli: 75.000 żołnierzy, 1.200 oficerów oraz dosłownie wszystkie działa, jakimi w tej ofenzywie rozporządzaliśmy: 120 dział polowych, 80 górskich, wszystkie kuchnie i tabory! To zdobycz bohaterów, świadomie walczących o swą malutką ojczyznę!

Potem Nisz i straszliwa epidemia tyfusu; wojskowi i cywilni padają

---

*) „Rzuć karabin". Red.

na ulicach. Głód i nędza. Wszystkie szkoły, restauracje i kawiarnie zamienione na szpitale przy braku lekarzy; zmarłych grzebano masowo w dołach bez spisywania nazwisk, a pod wiosnę doliczono się zaledwie 30.000 jeńców, których zajęto przy budowie linii kolejowej w dolinie Timoku.

Bóg cudownie mnie ocalił; oto w pierwszych dniach pobytu w niewoli na ulicy posłyszałem gromkie: *„Stoj! szta si ti po narodnosti?“* *).—Polak! — A czy żyje jeszcze mój przyjaciel Władysław Bełza? — pyta się serbski pułkownik najczystszą polszczyzną. — Umarł! — odpowiedziałem.

Nikogo nie zdziwiło, że wysoki oficer z niezmiernie brudnym jeńcem usiadł w cukierni przy butelce wina.—„Mi wolim Polaci!“ (Kochamy Polaków) — rzekł przy pożegnaniu, wsuwając mi do ręki kartkę z adresem.

A potem, jak w kalejdoskopie. Wchodzę na jakieś podwórze i staje przede mną sobowtór Franciszka Smolki, witając z daleka: „Jak się masz, Szwabie?“ To p. Teofil Radołowicz, senior serbskiej Polonii. Nadchodzi drugi pan. To Swetozar Dziordziewicz, nauczyciel, poseł i sekretarz skupsztyny. Stojące posiedzenie, potem gabinet ministra Liubomira Dawidowicza ... proszę siadać; fotele pluszowe, cofam się pod próg. Uśmiechy. Wchodzi siwy pan, to dr D. Rajicicz, szef departamentu dla szkół ludowych i rozkaz: jutro o 8 rano, ulica... Nr... i słowo honoru na jego ręce, że nie popełnię względem Serbii niehonorowego uczynku; zaraz potem łaźnia, cywilna odzież, fryzjer i laseczka do ręki, jak to „czynownikowi“ ministerstwa oświaty przystoi... Po kilku dniach legitymuje mię na ulicy detektyw; po krótkiej pogawędce wyłazi szydło z worka: tak samo jeniec, jak i ja. Jeńcy urzędują na kolejach, w urzędach, pocztach i przy telegrafie, odczytują rozkazy ministerstwa wojny wcześniej od głównodowodzącego wojewody Putnika. Serbii brak ludzi: do 60 roku życia służba frontowa, do 63 lat służba wewnętrzna. Jeńcy-ochotnicy tworzą korpus żandarmerii granicznej od strony Bułgarii i Grecji; formuje się także batalion ochotniczy do służby frontowej.

Żywioł mieszczański niezmiernie sympatyczny, bardzo podobny do polskiego. Zwyczajny berbeć, sprzedający gazety, mówi kilkoma językami. Każdy jest urodzonym politykiem i zawzięcie dyskutuje o aktualnych zagadnieniach politycznych, wykreśla granicę państw europejskich, na poczekaniu formułuje zbawienne tezy ekonomiczne, zna wszelkie sposoby na wrogów demokracji, ale nie zna środków na owady za kołnierzem. Tak! kubek w kubek podobni do Polaków! Tężyzna, patriotyzm i rozmach młodocianego narodu, rwącego się do radosnej twórczości.

Kupiec nie rozumie handlu bez 300% zysku — przy równoczesnym wyzysku kapitału francuskiego. Na rynku załatwiają sprawunki wyłącznie mężczyźni. Koledzy Serbowie byli zdziwieni, gdy parsknąłem śmiechem na widok takiego oto obrazu: na rynku brnie po błocie dostojnik kościelny w fioletach, ze złotym łańcuchem na szyi; opadła mu czerwona skarpetka

---

*) „Stój! Jakiej jesteś narodowości?“ Red.

i nurza się w kałuży; w jednej ręce dzierży koszyk z jajami, ogórki i główkę kapusty, a w drugiej malutkie prosię, trzymane za tylne różki, rozpaczliwie podrygujące i kwiczące. Za to polityką finansową państwa kierował odwieczny podsekretarz stanu w ministerstwie skarbu p. Löwy, żydek z Bochni, a polityką zagraniczną mąż opatrznościowy, p. Pasicz, Bułgar...

Towarzyskie obyczaje godne są rozpowszechnienia po całym cywilizowanym świecie. Na przywitanie gości kładzie się przed nim tacę z talerzykiem smażonych owoców czyli t. zw. „sładko“ wraz z tyloma szklankami wody, ile przybyło osób oraz jedną szklanką nadliczbową. Gość ceremonialnie nabiera słodyczy na koniec łyżeczki, po tym wrzuca ją do nadliczbowej szklanki i popija wodą. Po tej ceremonii następuje pora na rozmowę lub załatwianie interesów i trwać musi aż do chwili, kiedy na stole nie pojawią się lilipucie filiżanki czarnej kawy; w tym momencie audiencja skończona, bez względu na nie dokończoną rozmowę lub interes. Kawę się wypija i po pożegnaniu za drzwi wynosi. Gdy gospodarz ma czas i chęć do bawienia gości, czas podania kawy wedle swej woli przedłuża lub skraca, naturalnie, bez niczyjej obrazy. Znakomite lekarstwo na gości nudnych lub nie w porę.

Polecenia godną jest również instytucja kuma. Wybierają na ten urząd człowieka zamożnego, poważanego i posiadającego dużo swobodnego czasu, który spełnia rolę mistrza ceremonii w kilku nieraz rodzinach: chrzci noworodków, żeni młodzież i grzebie zmarłych, a z zasady nie dopuszcza nowożeńców do ślubu, dopóki w jego ręcę nie złożą w całości umówionego posagu. Nie zawadziłoby też i innym ludom przyswoić sobie narodowy zwyczaj serbski przy zawieraniu związków małżeńskich — ślub cerkiewny bowiem jest ważny po 24 godzinach małżeńskiego pożycia pod jednym dachem. Młody żonkoś w pierwszy poranek po nocy ślubnej wychodzi przed swój dom na ulicy, gdzie pod grozą ciężkiej obrazy muszą go oczekiwać jego przyjaciele. Każdy przyjaciel podchodzi doń z osobna, by po życzeniu dobrego dnia wygłosić sakramentalną formułkę: *„Da li je czestita bila?* *) — czemu on każdemu z osobna przytwierdza. Gdyby zaś nie był w możności udzielić przyjaciołom twierdzącej odpowiedzi, natenczas wcale do nich nie wychodzi, ale za to odsyła żonusię teściowi. Wybucha skandal, kończący się zazwyczaj podwojeniem posagu.

Rolnictwo serbskie nader prymitywne; 15 ha ziemi stanowi niepodzielną jednostkę gospodarczą, nie podlegającą nawet egzekucji, stąd też włościanin nie może korzystać z kredytu. Za sprawienie żelaznego pługa dają order oraz umieszczają podobiznę bohaterskiego rolnika w gazetach. Uprawiają najwięcej kukurydzy i fasoli, poza tym różne rodzaje zbóż, gdzieniegdzie ryż. Młockę uskutecznia się przez przepędzanie wołów po rozłożonych snopach. Ziemniaków, jako wymagających pracy, uprawia się bardzo mało. Krowę trzyma się na to, aby dochować się wołów. Ogrodni-

---

*) „Czy była cnotliwa?“ Red.

ctwo handlowe wyłącznie w rękach Bułgarów. Koni brak, za to wypasają dużo owiec i świń w okolicach lesistych. Pięknie jest rozwinięte sadownictwo śliwkowe, dostarczające owoców na wywóz oraz na wyrabianie śliwowicy, którą fabrykuje i sprzedaje każdy właściciel sadu. Winnic po epidemii filoksery jeszcze nie odbudowano. Znacznie postąpiło jedwabnictwo, a kokony są używane po wsiach jako moneta zdawkowa. Obfitość wartkich strumieni górskich sprzyja młynarstwu i elektryfikacji kraju; niektóre wioski już wówczas miały światło elektryczne.

Na szczególną wzmiankę zasługują t. zw. „zadrugi", po polsku spółki; są to większe gospodarstwa zorganizowane jako wspólnoty, jakie przetrwały od wczesnego średniowiecza. Zadrugi czasami kształcą swych członków w szkołach i uniwersytetach, poza tym są już w stadium powolnej likwidacji.

Ciekawe też, że dwuch posłów socjalistycznych do skupczyny wybierano głosami włościańskimi; jeden z działaczy socjalistycznych był Polak, poznańczyk, inż. Roman Czapla z Belgradu.

Polacy w Serbii mieli piękną kartę, zwłaszcza, że i wielu Serbów studiowało na uniwersytetach we Lwowie i w Krakowie. Organizując swe państwo w sposób nowożytny król Milan obsadził ważne placówki Polakami, którzy położyli wiele zasług. Słabe kolonijki polskich rzemieślników i robotników we właściwej Serbii ulegały wynarodowieniu.

Najdokuczliwszą plagą dla króla Milana pod względem obyczajowym były rozwielmożnione kradzieże oraz t. zw. grzech sodomski z kozami. Mimo powszechnego dobrobytu przy nader rzadkim zaludnieniu nałóg kradzieży stał się tak powszechny, że ludność zatracała już nań swą wrażliwość, podobnie jak i nasz wieśniak nie jest zbyt wrażliwy na kradzież owoców z cudzego sadu lub na obecność muchy w swej chacie. Król Milan wytępił tę plagę radykalnie: wydał edykt, ustanawiając karę śmierci za każdy wypadek kradzieży i grzechu sodomskiego. Jeździł osobiście po całym obszarze państwa, sam rozpoznawał sprawy, nie uwzględniając żadnych okoliczności łagodzących i nieubłaganie nakazywał rozstrzeliwać winowajców. Po kilku egzekucjach w różnych punktach kraju kradzieże ustały, jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej, a wdzięczny naród z zapałem śpiewał refren hymnu państwowego:

Boże spasi, Boże chrani
Kralja Milana srpski rod!

Niestety, w październiku 1915 r. z rozpoczęciem ofenzywy Mackensena od północy i wojny z Bułgarią od wschodu sytuacja Serbii była beznadziejna i padło hasło ewakuacji. Zamianowaliśmy około 2 tys. nauczycieli z materiału, jaki nawinął się pod rękę, aby Austriakom oszczędzić trudu osadzania posad swoimi ludźmi i ze łzami współczucia pożegnaliśmy serbskich przyjaciół, by dać drapaka przed widmem stryczka, który groził nam za przyjęcie służby w kraju nieprzyjacielskim. O szybkości najazdu świadczy

fakt, że już w Skoplu dołączono do nas kilku jeńców niemieckich pochodzących z poznańskiego. Przejście przez Albanię wymagałoby nazbyt obszernego opisu spraw, które skądinąd są dobrze znane. Była to gehenna kilkudziesięcio-tysięcznej masy uciekinierów wojskowych i cywilnych, z których większość padła w drodze z głodu i pospolitych zbrodni rabunkowych. Z trzydziestu tysięcy jeńców przeszło około dziesięć tysięcy, z czego przy życiu utrzymało się około 8 tysięcy, a reszta wymarła najczęściej na zapalenie przewodu pokarmowego po pierwszym spożyciu normalnej porcji żołnierskiej na okręcie włoskim. Jedyną znaną mi pracą literacką na ten temat jest książka ukraińskiego pisarza p. t. „Poza granicami bólu". Przez Ochrydę, Elbassen, Tiranę i Dracz, wśród strasznych przejść i makabrycznych sytuacyj, jakie oglądać można w tysiącznych rzeszach ludzi z głodu ginących (przebąkiwano nawet o sporadycznych wypadkach ludożerstwa), przeszliśmy w strefę okupacji włoskiej do Walony, skąd przewieziono nas na malutką wysepkę Asinarę obok Sardynii. Za oszczędzone kilkaset franków uratowałem życie i zdrowie sobie i trzem towarzyszom niedoli tułaczej. Pod troskliwą, co przyznać należy, opieką Włochów poprawiliśmy sobie siły fizyczne, a o podniesieniu sił duchowych pomyślał sam Ojciec Św. w Rzymie, przesyłając nam swe błogosławieństwo przez kardynała z Sassary wraz ze sztabem misjonarzy. W maju 1916 roku równocześnie z pojawieniem się malarii, nadeszły po nas statki francuskie, by nas wyładować w Tulonie i porozsyłać po różnych zakątkach Francji.

Sytuacja we francuskich obozach jeńców nie była wesoła, ale traktowano nas po ludzku. Ponieważ przybyliśmy dobrze odżywieni, przeto każdemu z nas wymalowano na rękawie literę „P" (porteur — tragarz) i pognano do wyładowywania okrętów.

Sprawy dyscyplinarne były ciężkie; za lada przewinienie groziło 30 dni więzienia, które rozkładano na 15 dni więzienia z codziennym marszem w tornistrze, wypełnionym kamieniami i 15 dni ciemnicy o chlebie i wodzie, skąd wędrowało się zazwyczaj wprost do szpitala na odżywienie. Karano srogo, bo jeńcy niemieccy urządzali pomysłowe sabotaże i dokuczliwe szkody w wyładowywanych przedmiotach. Zaraz w pierwszym dniu ugrzęzłem, gdyż nie potrafiłem donieść wora z saletrą do odległego magazynu i w południe przedstawiono mnie do raportu. Na szczęście tłumaczem był jakiś sierżant, hrabia francuski, to też zamiast do paki odkomenderowano mię do sortowania korespondencji. Po jakimś czasie mój sierżant przyniósł mi francusko-polską „Polonię," redagowaną przez W. Gąsiorowskiego w Paryżu i poinformował, że we Francji znajduje się specjalny obóz dla jeńców polskiej narodowości, do którego jednakże wysyłają tylko na własną prośbę. Powiadomiłem o tym kilkunastu rodaków przebywających w obozie i pomimo sprytnej kontragitacji jeńców niemieckich wyjechaliśmy do Le Puy-en-Velay w departamencie Górnej Loary.

Obozy dla jeńców Polaków we Francji mają swoją odrębną historię. Rząd francuski utworzył z początkiem wojny osobne obozy dla Polaków, Duńczyków i Alzatczyków, gdzie traktowanie i pożywienie było znośniejsze oraz, co najważniejsze, wolno było podejmować się prac akordowych za specjalnym wynagrodzeniem, co w obozach niemieckich było wykluczone. Duchem opiekuńczym jeńców Polaków był ś. p. Władysław Mickiewicz wraz z córką p. Marią, którzy przez kilka lat jeździli po wszystkich zakątkach Francji, by kierować rodaków z obozów niemieckich do środowiska polskiego. Praca ich pełna zaparcia się i poświęcenia była nader niewdzięczna, bo przyznać trzeba, że wiele dusz polskiego ludu było przeżartych psychozą ducha germańskiego. Obok nich dzielnie pracowali dla rodaków bracia: ks. dr Augustyn kapelan i p. Stanisław Jakubisiakowie oraz p. Paul Casin, znany literat i przyjaciel Polaków.

Twardego ducha polskiego okazywał przede wszystkim poznański żywioł mieszczański, jak również górnicy ze Śląska i wychodźcy z Nadrenii i Westfalii. Ludek wielkopolski, pomorski i mazurski dopiero po kilkutygodniowym pobycie w obozie rozprostowywał swą polską rogatą duszę. Inteligencji z pod zaboru pruskiego było bardzo mało i dopiero przybycie do obozu Galicjan wydatnie zwiększyło kadrę ludzi przeszkolonych. Zastaliśmy w obozie jakiś zarodek orkiestry i amatorskiego teatru oraz nieliczne gniazdo sokole, odbywające ćwiczenia w dni świąteczne.

Pierwsze próby zżycia się „galilejczyków" z braćmi z pod Prusaka było trudne i jakieś dziwnie śmiesznie nieufne. Raziło nas „świętych galicjaków" jakieś szkaradnie emocjonalne moskalofilstwo naszych rodaków z nad Warty oraz kompletny brak w nich idei niepodległościowej przy chwalebnej zresztą nienawiści do Germana. Na honorowym miejscu w obozie wisiał orzeł piastowski, ozdobiony chorągiewką o barwach Księstwa Warszawskiego i francuską, a pod nim w złoconych ramkach... odezwa Mikołaja Mikołajewicza. Umyślnie w nocy wstałem, aby ją zedrzeć. Słowem twarde i dzielne lwy poznańskie urobione były na modłę ówczesnej ideologii endeckiej, wszechwładnej wówczas w tym zaborze, ofiarowującej generałowi moskiewskiemu złotą szablę za zdobycie Lwowa. Przyszłość Polski upatrywano pod berłem cara, a nie chciano rozumieć ideologii Józefa Piłsudskiego. Czasem też przy uroczystościach orkiestra rżnęła *„Boże caria chrani"* — co nam obopólnie dużo krwi napsuło.

Długie i zacietrzewione dyskusje nocne wyrównywały chropowatość poglądów politycznych i zwolna następowało zżycie i wzajemne zrozumienie, zwłaszcza, gdy zaczęliśmy snuć marzenia o znośniejszym urządzeniu życia w obozie. Pierwszym naszym zmartwieniem było zjawisko przykre: nasi rodacy, zarabiający przy pracach na zewnątrz obozu, rozpijali się wcale niechwalebnie, to też trudno było czasem przy święcie urządzić jakiś wykład czy inną imprezę kulturalną. Znaleźli się przemysłowcy, posiadający pokątne wyszynki pod łóżkami i zarabiający na sprzedaży kieliszkowej. Po naradach wypowiedzieliśmy wojnę temu stanowi rzeczy i za-

łożyliśmy własną kantynę obozową z kapitałem 50 fr., gdzie sprzedawano nawet wino, oczywiście z wyjątkiem świąt i niedziel. Kantyna miała ogromny obrót, udziały się zwiększały, zaczęto więc zakładać takie same przedsiębiorstwa po większych oddziałach pracy w innych okolicach i wkrótce prosperowało już 26 kantyn, odrzucających pokaźne kwoty. Akcję tę zorganizowano po kupiecku. Zaprowadzono księgowość amerykańską, a handlowców wśród poznańczyków nie brakło. Kontrolę zorganizowano w ten sposób, że nadużycia były wykluczone. Wyłoniono Centralną Bratnią Pomoc w Le Puy i w Montluçon, która objęła kierunek nad wszystkimi poczynaniami w rozrzuconych obozach.

Początkowe zyski obracano na różne zapomogi, a w miarę ich wzrostu zużytkowywano je na akcję kulturalno-oświatową po obozach. Zbudowano porządną scenę, zakupiono instrumenty na dwie pełne orkiestry, nabyto aparaty kinematograficzne i zaabonowano filmy, zakupiono w Zurychu dwie duże biblioteki i zorganizowano czytelnictwo po oddziałach przy pomocy wędrownych kompletów, organizowano stałe wykłady oraz regularną naukę języka, geografii i historii Polskiej. Przesyłano pokaźne kwoty dla komitetu Sienkiewiczowskiego w Vevey, a po rozbudowaniu silniejszej akcji składkowej zorganizowano nawet za pośrednictwem szwajcarskiej firmy „Pro Captivis“ akcję dożywiania jeńców Polaków z armii rosyjskiej, przebywających na terenie Rzeszy Niemieckiej. Teatr pracował już regularnie, grając prócz popularnych sztuczek również i rzeczy poważniejsze, jak komedie Fredry, Betleem — Rydla, czy Warszawiankę — Wyspiańskiego. Poznańczycy dzielnie kierowali sprawami materialnymi, Galicjanie zaś sprawami oświatowymi. Pomysły były wspólnego autorstwa; jeden bąknął słówko, drugi dołożył dwa, trzeci pomysł sformułował, czwarty go jaśniej określił i tak się rodził projekt, który po rozważeniu wszelkich „za“ i „przeciw“ zyskiwał aprobatę walnego zgromadzenia obecnych w obozie jeńców i wchodził w stan realizacji. W tenże sam sposób zrodził się projekt wydawania gazety obozowej.

Paryska „Polonia“ nie informowała popularnie. Posiadała wyraźny kierunek polityczny, a innych wydawnictw jeszcze nie było. Towarzystwo Chrześcijańskiej Młodzieży amerykańskiej udzieliło kredytu na maszynę drukarską i czcionki. Zakupiono od razu wagon papieru, ktoś podarował małe dynamo, technicy skonstruowali koło rozpędowe z kawałków desek, szewcy zmajstrowali z kawałków skóry transmisję, ogłoszono składki na fundusz wydawniczy, drukarze się znaleźli, sklecono komitet redakcyjny i wypuszczono w świat pierwszy numer „Jeńca Polaka.“ Zaprenumerowaliśmy w Zurychu gazety poznańskie, warszawskie, lwowskie i krakowskie. Szlachetna dusza umieściła na głównej cenzurze w Delle panienkę z poufnym poleceniem do pilnowania naszych dzienników ze Szwajcarii (gazet z tamtej strony frontu cenzura francuska nie puszczała) i zadziwialiśmy świat świeżutkimi wiadomościami ze wszystkich zakątków polskiej ziemi. Nikomu nawet na myśl nie przyszło, skąd jeńcy za drutem kolczastym

mają tak szybkie wiadomości i sądzono, że rozporządzamy armią korespondentów, telefonów i biurami prasowymi — wiedział o tym tylko jeden słodki i błogosławiony Francuz, ale udał, że nic nie spostrzega, za co niech mu Bóg da najlepsze zdrowie i najdłuższe lata.

Nie przypuszczaliśmy nawet, jak potrzebnym było podówczas to wydawnictwo, prowadzone przez ludzi najzupełniej niefachowych. Posypały się prenumeraty z Anglii, Holandii, z obu Ameryk, z Algieru i Egiptu, z Włoch, a nawet z Harbina i Filipin. Kleciło się aż dwa, koniecznie dwa, artykuły wstępne, dołączano dodatki powieściowe, ksiądz dr Jakubisiak dokładał ewangelię z wykładem, nożyczki preparowały kronikę, referent życie po obozach, kasjerzy składki i co sobotę ekspediowano gazetę na wszystkie strony świata. Drukowano nawet prace oryginalne jak np. „Odbudowę szkoły polskiej“ dr J. Joteykówny, wiersze Ruffara lub „Polaków na Syberii“ Bron. Piłsudskiego.

Okazał się także brak polskiego elementarza, gdyż szkoła pruska poczyniła w nim duże szczerby. Było dużo jeńców, pisujących do domu listy po polsku wprawdzie, ale alfabetem niemieckim, na co również musiał redaktor zaradzić. Wydrukowano więc gramatykę języka polskiego oraz „Elementarz z czytankami“ aż w trzech kolejnych wydaniach. żądały też elementarza szkółki polskie we Francji i Holandii, a jeden nakład wykupiono dla armii polskiej we Francji. Komplet tych druków i wydawnictw złożono w zbiorach Rapperswilskich.

Były też pewne usiłowania z zewnątrz. Proponowano pensyjki dla redaktorów w zamian za zamieszczanie nadsyłanych gotowych artykułów o zabarwieniu tendencyjno-partyjnym, a gdy to nie skutkowało chwycono się innego sposobu, „Jeniec“ bowiem czasem rąbnął prawdę, co pewnym panom nie było na rękę. Pod pretekstem kary za przedrukowanie wzmianki o nieprzychylnym stanowisku Lloyd George‘a w sprawach polskich na konferencji pokojowej, wywieziono „Jeńca“ wraz z personelem i maszyną do Moulin i zamknięto na sześć tygodni w końskiej stajence bez okien. Szeptano, że wybawiła nas interwencja pewnej matrony polskiej wprost u marsz. Foch‘a, co pociągnęło za sobą nawet zmianę osoby pułkownika, komendanta polskich obozów dla jeńców.

Na efekt pracy patrzeliśmy własnymi oczami: na 20 tys. jeńców Polaków w Le Puy i Montluçon było 18 tys. ochotników do armii polskiej. Po likwidacji kooperatyw obozowych pozostało 100 tys. franków, które przeznaczono na fundusz stypendialny imienia Władysława Mickiewicza.

Tajemnicą powodzenia tych przedsięwzięć była ofiarność naszego „jenieckiego“ społeczeństwa, objawiająca się nawet w takich faktach jak np. zrzekanie się obiadu lub kolacji na rzecz wygłodniałych rodaków, świeżo przybywających do obozu z frontu. Możliwość zarobków akordowych, dochodzących np. przy fabrykacji amunicji do 10 - 20 fr. dziennie, przy postanowieniach regulaminu, pozwalającego na wypłacenie do rąk jeńca najwyżej 5 fr. tygodniowo w gotówce, stwarzała fundament do wszelkich

akcyj składkowych na cele społeczne. Najchętniej poświęcano też na te cele bieżący żołd, który wpływał bezpośrednio do kas Centralnej Bratniej Pomocy i tu właśnie leży tajemnica tego rozmachu, uwidoczniająca się w fakcie tak na pozór dziwnym jak niesienie przez jeńców pomocy dla ofiar wojny w kraju i dla braci jeńców pozostałych w niewoli niemieckiej. Z powodu narastania oszczędności założono w obozie oddział Banku Francuskiego, rozporządzający z początkiem 1917 roku wkładami na sumę 4 mil. franków. Część tej sumy ulokowali jeńcy we francuskich pożyczkach wojennych, a resztę przehulali w okresie rekrutacji do armii polskiej we Francji.

Podkreślić tu należy fakt, że prócz państwa Mickiewiczów i p. Paderewskiej nikt przez cały czas wojny jeńcami Polakami się nie interesował. Paryski Komitet Narodowy, jakkolwiek posiadał wydział dla opieki nad jeńcami, ograniczył się jedynie do nadesłania do naszego obozu pewnego wymokłego hrabczuka dla agitacji przeciw Wodzowi Legionów. Delegat rządu polskiego na konferencję pokojową p. Thugutt, jakkolwiek agitował w sąsiednim St. Etienne, obozy nasze pominął, orientując się zapewne, że wśród jeńców nie ma widoków na skutki partyjnej agitacji.

*

* *

Po zlikwidowaniu ukraińskiej okupacji powróciłem po pięciu latach wojennej tułaczki na dotychczasową placówkę w kałuskim powiecie. Budynek szkolny był mocno zniszczony, po zabudowaniach gospodarczych nie pozostało śladu. Wszelkie budżetowanie za inflacji markowej było niemożliwe. Na szczęście zastałem na wójtowskim stolcu dawnego pomocnika mych reformackich usiłowań. Wydostałem z Komisji Odbudowy materiał drewniany na pniu w lesie oddalonym od wsi o 20 km. a wójt zarządził wykonanie wszelkiej robocizny sposobem szarwarkowym. Drzewo ścięto, zwieziono, poprzerzynano pnie ręcznymi piłami, wydzielając po 2 - 3 deski. Miejscowy cieśla kierował budowlą podług mojego planu, zabierając sobie za fatygę trzaski i odpadki. Na rozkaz wójta dostarczono słomę do pokrycia budynku, a za gotówkę kupiono gwoździe, zamki i zawiasy. W budynku szkolnym zbudowano tymże sposobem piece kamykowe, płacąc jedynie za drzwiczki, ruszty i drut. Deski złożono w budynku gminnym dla podsuszenia i ułożenia podłogi w klasach podczas wakacji letnich. Niestety starostwo zamianowało wójtem innego chłopa, który te deski porozdawał częściowo swym przyjaciołom na kołyski, trumny i t. p., a częściowo zużył na własne potrzeby. Interwencja w starostwie przez kilka lat nie miała żadnego skutku, dopiero poprzedni wójt, obrany na przewodniczącego rady szkolnej miejscowej, wydostał te deski w drodze sądowej.

Przez kilka lat powojennych o jakiejkolwiek pracy nad podniesieniem rozwoju gospodarczego wsi nie mogło być mowy; wieś była zasobna w pieniądze, uciułane za drogie naówczas ziemiopłody oraz z pobieranych za

mężów zasiłków. Niestety dalsza drożyzna środków żywnościowych przy taniości wytworów przemysłowych, a silna koniunktura stwarzała dla ubogich podaż pracy przy możności wyjazdu do Niemiec i innych krajów na zarobki. Spadek pieniądza stwarzał pozory dobrobytu. Każda baba była wielokrotną milionerką, jakkolwiek często nie orientującą się w cyfrowej i realnej wartości pojedyńczych banknotów na większe sumy. Ówczesne warunki zaspakajały na ogół potrzeby prymitywne wsi i nie nastrajały chłopskich umysłów do rozmyślań o postępie gospodarczym. Jednocześnie były to czarne lata dla nauczycielstwa wiejskiego i dla wszystkich pensjonariuszy, bo chociaż pobory wypłacano dwukrotnie w miesiącu, to jednakże nie wystarczyły one na zapewnienie prymitywnego utrzymania. Na wsi nie można było niczego się dokupić: chłop nie wiedział jaką cenę mieć będzie dany artykuł w danym dniu tygodnia na rynku, to też z reguły odmawiał sprzedaży wytworów swego gospodarstwa na miejscu. Posiadając na utrzymaniu rodzinę, byłem skazany na skrajną nędzę. Szczęściem miałem we wsi serce ludu. Przy sposobności rekwizycji zboża dla wyżywienia miast, wójt rozpoczynał od zaopatrzenia w zboże szkoły, staczając zawsze o to kłótnie z referentem starostwa. Poza tym gmina wydzieliła mi 2 morgi ziemi pod uprawę, a proboszcz ofiarował darmo ptactwo i miejsce na swym polu pod zasiew koniczyny dla krów. Sytuację łatało też darmowe polowanie na obszarze gminy. Kłusownicy dostarczyli strzelby i udzielili bezinteresownie szeregu praktycznych lekcji wynajdywania i podchodzenia zwierzyny, wykształcili mnie na doskonałego myśliwego; były więc w kuchni zające, dzikie kaczki, czasem rogacz, raz nawet jeleń, upolowany raniutko na chłopskiej koniczynie. Głównym celem zapałów myśliwskich były skórki tchórzów, kun leśnych i domowych, które dawały w sezonie więcej dochodu aniżeli całoroczne pobory służbowe wraz z dodatkami.

Mimo niedawnej bratobójczej walki chłopski żywioł polski i ukraiński żył w miłej sąsiedzkiej harmonii; polscy koloniści przechowywali swoje konie przed rekwizycjami Ukraińców u swych sąsiadów Rusinów i na odwrót, w chwili wkroczenia wojsk polskich ruscy chłopi chronili swój inwentarz w obórkach polskich sąsiadów.

Podczas pierwszego spisu część wiosek w powiecie kałuskim, podburzona przez miejscowych agitatorów, stawiła opór w akcji spisowej. W liczbie tych wsi stanęła niestety i moja wioska. Starostwo zamianowało mnie komisarzem spisowym na terenie dwóch wsi ruskich. W innych wsiach dwóch komisarzy spisowych zastrzelono. Ponieważ mnie wszędzie znano, w każdej chacie witano mię przyjaźnie, zabierano się do ugoszczenia, ale informacyj spisowych odmawiano. Do opornych gmin wysyłano kawalerię, a równocześnie urządzano doraźną trzepaninę miejscowych agitatorów. Taki właśnie nieszczęśnik z mej wioski, przewidując czarną godzinę, przeprowadził do mego mieszkania całą swoją rodzinę, a sam ukrył się na strychu u kolonisty Polaka.

W tym mniej więcej czasie sejm uchwalił ustawę o t. zw. święcie sadzenia drzew. Sprawę powitano z zapałem, by kraj nasz pod tym względem choć w przybliżeniu upodobnić do zagranicy. Skrupiło się to na nauczycielstwie, któremu z góry polecono przeprowadzenie akcji zadrzewienia wszelkich dróg i nieużytków przy akompaniamencie stosownego ceremoniału duchowieństwa, władz samorządowych i miejscowych potentatów. Zapaliliśmy się wszyscy do tego przedsięwzięcia, a flegmatyków podniecały nakazy służbowe, jako że chodziło o wykonanie ustawy. Prasa przyniosła radosne wieści o rozwoju tej zbożnej akcji w całym kraju, zamieszczając nawet fotografię rzędów posadzonych drzewek ze stojącymi obok dostojnikami świeckimi i duchownymi w strojach liturgicznych, z kropidłem i kadzidłem w każdej ręce — akurat tak samo jak przy zakładaniu naszych mleczarń. Mam niezachwianą wiarę, że ta akcja przyniosła błogosławione skutki w całej Polsce, zwłaszcza w okolicach posiadających już jaką taką kulturę sadowniczą; mam też nadzieję, że te same pisma zamieszczą fotografię tych samych drzewek po upływie dajmy na to lat pięciu. Mało podróżując po kraju nigdzie tych błogosławionych skutków nie oglądałem. Oglądałem za to drzewa posadzone przez Niemców przy wielkopolskich drogach; dopóki je pilnował żandarm pruski, obierano je przynajmniej z gąsienic, dziś w porze letniej są upiorami bezlistnymi, wzywającymi połamanymi gałęziami pomsty nieba, a w nadmiarze radosnej twórczości rozsiewającymi wszelkie szkodniki tak na sady prywatne, jak i na zadrzewienie drogowe pobliskich Niemiec. Były tu ongiś nawet publiczne opryskiwacze do drzew, wypożyczane każdemu na żądanie przez władze pruskie. Kto nie wierzy, niech się uda do pana starosty w Kępnie; są tam aż dwa solidne aparaty do opryskiwania sadów od przeszło lat piętnastu popsute; nosi się też podobno pan starosta z myślą oddania tych aparatów do muzeum pamiątek po kulturze niemieckiej....

Zastanawiałem się tedy nad sposobem urządzenia w mojej wsi święta sadzenia drzew. Dróżki polne, nader liczne, ale wąziutkie, bez rowów. Drzewka przeto z góry skazane będą na złamanie przy mijaniu się wozów; na wąskich miedzach uszkodzą je orczyki; na nieużytku, zwanym pastwiskiem gminnym, gdzie nie ma pożywienia dla jednego cielęcia, pasie się ponad 30 krów, nie licząc koni, wieprzów i gęsi. Było aż dwie drogi publiczne: powiatowa i gminna. Pierwszą miejscowy dziedzic, zostawszy marszałkiem powiatowym, obsadził już trzykrotnie drzewkami, naturalnie na koszt publiczny: w r. 1906 drzewkami owocowymi, w r. 1908 drzewami leśnymi, a w r. 1910 kołami wierzbowymi. Już w r. 1911 nie było z tego żadnego śladu. Pozostawała zatem droga gminna, sąsiadująca z jednej strony z gruntami chłopskimi, z drugiej z polami proboszczowskimi i pastwiskiem gminnym. Wyimaginowałem sobie, że nie szanując drzewek przy drodze powiatowej, będą je ochraniali przy gruntach własnych w nadziei korzyści. Po myśli wskazań władz zwróciłem się z prośbą

o współdziałanie do pana dziedzica i księdza proboszcza. Obaj gorąco pochwalili te poczynania, wyrażając nadzieję pełnego powodzenia, lecz pierwszy dodał, że w dniu uroczystości spodziewa się gości, przeto nie może przyrzec osobistego udziału, dodając nawiasowo, że nie myśli ciągnąć kultury za włosy, drugi zaś radził zaniechać wystąpień uroczystych ze względu na dzień powszedni i roboty polne, których dopilnować musi i nie ręczy, czy osobiście... Przez cały tydzień wbijało się w główki dziecięce pojęcia o obchodzeniu się z cudzymi drzewami i o ważności kwestii zadrzewienia dróg dla całego kraju. Na niedzielę zwołano zebranie mieszkańców gminy, przyszło kilkunastu obywateli. Wysłuchali stosownej przemowy, zapluli rzęsiście podłogę i poszli.

Przydział drzewek wraz z dniem i godziną odbioru wyznaczono w odległym o 20 kilometrów nadleśnictwie, wójt jednak odmówił podwody, jako że to daleko i się nie musi. Szczęściem kolega - sąsiad miał własnego konia, więc i moje drzewka przyjechały: ślicznie wychowane w szkółce wiązy i klony. Dzieci pokopały dołki, tracąc dwa dni nauki szkolnej, a na trzeci dzień obsadziły po obu stronach drogę długości 1,5 km. Zaledwie wsadziliśmy ostatnie drzewo, ujrzeliśmy na drodze babę, pędzącą wieprza na sznurku, który, zamiast naśladować nauczyciela i iść prosto do celu, zdradzał zbyt wielkie zainteresowania zawartością przydrożnych rowów; aby go przynaglić do pośpiechu baba bez namysłu obłamała wierzchołek dopiero co posadzonego drzewka i najspokojniej popędzała nim warchlaka. Gdy skląłem ją soczyście wobec dzieci, odrzekła spokojnie: przecież to nie szkodzi, drzewko dzikie, odrośnie... Wsadziliśmy drzewko zapasowe. Już na drugi dzień powiadomiły mię dzieci, że drzewka z prawej strony drogi ktoś powyrywał. Pobiegliśmy na miejsce i zobaczyliśmy, że nie tylko powyrywał, ale także systematycznie połamał, by ich ponownie nie wsadzono. Pociągnąłem za język pewnego staruszka i ten rozjaśnił mój umysł. Prostopadle do drogi biegły wąskie zagonki włościańskiej szachownicy. Przy zwózce snopów, czy obornika z zagonu 4 - 5 m szerokiego nie można minąć posadzonego drzewka, a sąsiad nie dozwoli na przejazd po swej własności; przy orce nie podobna pozostawiać kawałka pola i doorywać go w poprzek, wypędzając konie na zagon sąsiada obsiany zazwyczaj. Czyli jednym słowem: przy chłopskich pólkach w szachownicy nie ma miejsca na drzewa przydrożne ani z jednej, ani drugiej strony rowu. W okresie żniw stały po lewej stronie drogi zaledwie dwa nieuszkodzone drzewka, akuratnie te, które nie stały w zasięgu nóg i rąk bydląt i ludzi. Przy sposobności narady nauczycielskiej spytałem kolegów o skutek ich usiłowań. Okazało się, że na powiat kałuski wydano ilość sadzonek wystarczającą na zalesienie solidnego stoku górskiego w ogołoconych z lasów Karpatach oraz że w 60 gminach tego powiatu były te same wyniki zadrzewienia dróg, co i w mojej wsi. Radosna twórczość przeobraziła się w radość twórczą, a święto sadzenia drzew w święto niszczenia drzew. Powoli też ustał nacisk władz administracyjnych. Widocznie

ze sprawozdań wysnuto wniosek, że w powiecie nie ma już miejsca do wsadzenia drzewek. Z pewnością też nie wyczytano z tych sprawozdań prawdy, że chłop polski drzew publicznych szanować nie chce i nie potrafi, swoje zaś własne drzewka przy chacie pielęgnować chce, ale nie umie i nie posiada nawet na to miejsca, wreszcie, że dla tych spraw potrzebną jest gruntowna przebudowa ustroju gospodarstw włościańskich z równoczesną organizacją specjalnego oświecenia ludzi, którzy całe swe życie przepędzają na pracy w drobnych gospodarstwach wiejskich.

*

* *

Po blisko 20-letniej służbie miałem już dosyć stosunków wschodniogalicyjskich, tym bardziej, że podrastające dzieci potrzebowały szkoły średniej. Pragnąłem też być bliżej przyjaciół z niewoli francuskiej, wniosłem więc podanie o przeniesienie mnie do Poznańskiego. Mimo dużych trudności prośbę mą załatwiono pomyślnie w r. 1926. Otrzymałem dwuklasówkę wiejską oddaloną na północ od Jarocina o 10 km, ale za to z przystankiem kolejowym w pobliżu. Rozglądnąwszy się w położeniu, spostrzegłem, że wioska moja jest najbardziej ubogą i zacofaną w tamtejszym województwie. Ludność już skądś zwiedziała się o mej osobie, to też ze zdziwieniem zauważyłem wielką przychylność wszystkich włościan, jakkolwiek nikt z nich nie znał mnie z czasów wojny. Ktoś, do dziś mi nieznany, zrobił mi najwidoczniej jakąś reklamę, bo serdecznością przyjęcia byłem zdumiony.

Przyjechałem do wsi goły jak święty turecki. Pole szkolne uprawiał dzierżawca. Gdy się domyślono mej kieszonkowej sytuacji, sołtys urzędowo spędził dzierżawcę z pola szkolnego, naturalnie nawet bez jego sprzeciwu i wpłacił mu należność za obsiew i robociznę z funduszów gminnych, naturalnie na moje konto. Jeden z gospodarzy kupił i przyprowadził mi piękną krówkę, półkrwi holenderkę, wykładając za nią swoją porękę do czasu nadejścia zaliczki na moje pobory; jedni dostarczyli słomy, drudzy siana. Z wiosną jedni powywozili na szkolne pole po furze obornika, drudzy obornik przyorali, trzeci zajechali z dołownikiem i obsadzili pole swoimi ziemniakami. Nikt nie przyjął za to pieniędzy, mawiali bowiem rubasznie, że „żebraka we wsi nie potrzebują“ — za to bardzo cieszyli się, gdy ich kolejno obdarzyłem wieńcami przywiezionej z sobą cebuli, dziwiąc się jej wielkości. Nadto Rada Gminna sprezentowała dla mej krówki pastwisko na polnej drodze, lecz jeden z najzamożniejszych gospodarzy osądził, że nauczycielowi nie przystoi paść na drodze; drogę wziął sobie, a mej krówce wydzielił kawał koniczyska z rajgrasem. Ogród szkolny ogrodzili siatką drucianą, budynek szkolny w całości odmalowali i, jednym słowem, postawili mnie od razu „na nogi“.

Zacząłem przemyśliwać nad sposobem odwdzięczenia się tym przyjem-

niakom. Rozglądnąwszy się w położeniu gospodarczym wsi, spostrzegłem bardzo złe rozmieszczenie pól włościańskich przy dobrze już rozwiniętej, jak na zabór pruski, szachownicy, dochodzącej nawet do 9 oddzielnych kawałków pola na jedno gospodarstwo. Łąk było bardzo mało, nie odwodnionych, nigdy nie uprawianych, czy podsiewanych, porosłych najczęściej turzycami i skrzypami, często przetkanymi kniecią i jaskrem. Zaledwie kilku gospodarzy było majętniejszych, reszta to chałupnicy i wyrobnicy. Kilka par dobrych koni, bydło nieliczne i marne. Droga wiodąca przez wieś do dworca kolejowego, o zasuniętych rowach, jesienią i wiosną niezmiernie błotnista, możliwa do przebycia jedynie w cholewach. Za to w użyciu były już kieraty, szeroko-bijące młockarnie, siewniki, kultywatory, solidne pługi, choć znaczna część pól nie drenowana. Sadownictwo żadne, we wsi zaledwie kilka uli. Po chatach, przeważnie drewnianych, huczały jednakże malutkie centryfugi nieumiejętnie obsługiwane. Najgorszym był jednakże rozkład poletek w stosunku do osiedli. Aby sobie można było wyobrażać tę sytuację, należałoby naszkicować plan wsi, zbliżony wyglądem do karykatury aeroplanu o dwóch nierównych skrzydłach, cieniutkim a długim kadłubem, gdzie mieściła się zbita masa osiedli, i wyolbrzymionym sterze.

Wioskę tę w okresie uwłaszczenia pruskiego okropnie sfuszerowano. Osiedla włościańskie leżały nad drożyną, a z obu stron podchodziły aż pod ściany budynków pola obu sąsiednich folwarków. Naturalnie, że w tych warunkach nie można było myśleć o zakładaniu sadów czy nawet hodowli kur; dojazd do oddalonych poletek pochłaniał wiele czasu, a hodowla bydła nie miała żadnych widoków powodzenia.

Po dłuższym namyśle ułożyłem sobie następujący plan przyszłej działalności:

1) Reforma rolna z upełnorolnieniem.

2) Odwodnienie pól przez wykopanie 3,5 km rowów i drenowanie.

3) Powiększenie obszaru łąk, uregulowanie wody i racjonalna uprawa.

4) Zapewnienie gruntu pod budowę domu gminnego; na parterze gminna piekarnia, mleczarnia, składnica jaj, łaźnia natryskowa i pralnia mechaniczna; piętro: sala na przedstawienia i biblioteka.

5) W stosownym punkcie grunt pod budowę szkoły 7-o klasowej z materiału z dotychczasowych budynków, skupiającej dzieci również z sąsiednich trzech wsi.

6) Rozparcelowanie części folwarku R. po tor kolejowy pomiędzy osadników dla wzmocnienia frekwencji szkolnej.

7) Traktor spółkowy z młocarnią i tryjer.

8) Planowe założenie sadów oraz obsadzenie dróg morwą.

9) Przestawienie produkcji rolnej stosownie do potrzeb rynkowych.

10) Odsyłanie młodzieży do szkoły rolniczej oraz akcja dokształcająca na miejscu.

I zabrałem się metodycznie do roboty. W dnie świąteczne w miejscowym gościńcu czyli karczmie pod wieczór było pełno. Młodzież tańczyła, starsi w drugiej izbie gwarzyli przy butelce, jako że to było jeszcze za tłustych lat dla rolników. Przysiadłem się ze swoim piwem i gadałem o krowach, świniach i t. p. obrządkach gospodarskich. Słuchano i dyskutowano chętnie, a sympatia się zacieśniała.

Wreszcie w pewną zimową niedzielę wyjechałem z reformą rolną w Polsce. Słuchano ciekawie z zapartym oddechem, jakby bajki z 1001 nocy. Na drugą niedzielę zeszli się już liczniej, przyszło nawet kilka bab, wyrzucono precz muzykę i żądano powtórzenia im tego po raz drugi. Zademonstrowałem im też odnośne dzienniki urzędowe. Po kilku posiedzeniach spostrzegłem, że trzech poważniejszych gospodarzy zaczyna się już orientować w tej kwestii, przeto skierowałem pogadankę na stosunki miejscowe. I znów kilka posiedzeń pełnych rozmyślań. Zaproponowałem im dla osobistego przekonania się o realnym stanie rzeczy wyjazd do niedalekich stamtąd wsi: Ś. i C. D., gdzie reformę już przeprowadzono. Zdziwiła mię łatwość, z jaką opodatkowali się po 10 groszy od morgi dla wysłania delegacji wywiadowczej do wymienionych miejscowości. Delegacja wróciła na ogół zadowolona, lecz większość nie orientowała się jeszcze w tych sprawach; chłop, jeśli czegoś nie pojmuje, to się tego boi. Najlepszym sprzymierzeńcem moim była jednakże bieda, zrozumiano więc powoli, że bez komasacji nie ma w Polsce widoków nabycia ziemi dla tych, którzy nie posiadają pieniędzy i pożyczyć ich nie mogą. Szczęściem pozyskałem dla sprawy gospodarzy bogatszych — a bogatszy, według wiejskiej opinii, jest mądrzejszy, a przy tym i ryzykuje więcej od biedaków. We wsi powstał entuzjazm i na początek zawiązano spółkę drenarską, co przy ówczesnej łatwości kredytów poszło gładko. Złożyliśmy w Urzędzie Ziemskim podanie o przeprowadzenie komasacji z upełnorolnieniem. Kilkakrotna komisja przekonała się o warunkach miejscowych i postawie wsi, złożono też zaraz kilkaset złotych na rzeczowe świadczenia i z wiosną inżynier już ustawił wieże triangulacyjne. Z jednej strony przytykała do wsi domena państwowa, z dwóch innych prywatne majętności, których właściciele bez oporu zgodzili się na sprzedaż potrzebnego obszaru na upełnorolnienie. Łatwość uzyskania potrzebnych kredytów przyczyniła się do pomyślnego przebiegu sprawy, a urzędnicy ziemscy chwalili, że w żadnej jeszcze wsi tak spokojnie komasacja nie przeszła.

Naturalnie, że nie obyło się tu bez różnych zawiści i przeszkód, a kto zna subiektywizm chłopski łatwo sobie wyobrazi istotę i przebieg tych przeszkód. Często trafiały się sytuacje godne uwiecznienia w pismach humorystycznych jako dowód głupoty chłopa polskiego. Podżeganie do oporu, pisywanie rekursów, a także i ekscesów szło niestety z zewnątrz od ludzi inteligentnych i majętnych. Jeden z dzierżawców sąsiedniego majątku podżegał do pisywania sprzeciwów przeciw komasacji tak słowem, jak

i zachętą rozdawania liści buraczanych, nawozów sztucznych i t. p. Na czele opornych we wsi stał najzamożniejszy posiadacz szachownicy 70 morgowej jedynie tylko dlatego, aby go nikt nie przewyższył w ilości posiadanych morgów przez dokupno pola i wydał z tej przyczyny 800 złotych na pisanie rekursów. Rekursy te gęsto podpisywali inni uczestnicy scalenia bez umotywowania przedmiotu swych sprzeciwów, jedynie dla sąsiedzkiej grzeczności.

Znajdowały też nieraz wiarę najdziksze i najpotworniejsze pogłoski. Na drugi dzień po wręczeniu zadatków na kupione pole od księcia R. na wsi powstał ruch; od samego rana radzono gwarnie w opłotkach, skąd gęsto padały klątwy, okrzyki, nawet baby szlochały. Przybiegła do mnie spłakana niewiasta i nawiązała następującą rozmowę:

— Powiadają, że nasze zadatki przepadły, bo książe R. ucieknie z pieniędzmi do Niemiec.

— Ileś babo, dała zadatku?

— Sto osiemdziesiąt złotych.

— A ile morgów posiada książę R.?

— 26.000.

— A więc swoje morgi zostawi, a z twoimi pieniędzmi ucieknie?

Zastanowił ją ten fakt, ale odeszła do domu nie całkiem jeszcze uspokojona.

Nie będę jednakże opisywał znanego powszechnie faktu, że chłop polski reformy rolnej nie rozumie i boi się jej, nie wspomnę też o jego w tej kwestii własnych poglądach, doprowadzających go nieraz do wykroczeń, a nawet zbrodni.

Rzeczą najważniejszą było to, że po trzech latach zakończono we wsi komasację z upełnorolnieniem, wynoszącym przeszło 100% posiadanych dotychczas gruntów. Akcji tej niestety towarzyszył pogrom drzew przeważnie wierzb i topoli, które w skąpo zadrzewionej osadzie gdzieniegdzie się zieleniły. Powstała kwestia przebudowy na nowoutworzonych gospodarstwach. Na pierwszy ogień poszło na przebudowę pięć gospodarstw dużych bez użycia na ten cel kredytu państwowego. W zadziwiająco szybkim tempie pobudowały się drobne 2-o hektarowe osiedla robotnicze; pewna wdowa, ku zdziwieniu całej okolicy, przeniosła przy pomocy krewniaków domek murowany o prawie 2 km drogą rozbiórki.

Budowa osiedli robotniczych była początkowo beznadziejna ze względu na słaby stan finansowy właścicieli, tym bardziej, że i ewentualny kredyt państwowy nie był odpowiednio wysoki do kosztów budowy. Na zebraniu zaproponowałem budowę domków robotniczych z zużytych progów kolejowych, które robotnicy kolejowi mieli prawo nabywać. Początkowo odkrzyknięto, że to jest wykluczone, gdyż materiał jest lichy. Na linii kolejowej właśnie zmieniano progi i sortowano je na dwa gatunki: lepszy i gorszy, zdatny jedynie na opał. Skończyło się na przyjęciu mej propo-

zycji, zwłaszcza, że i cena tego materiału była zachęcająca: po 28 groszy za jeden próg. Natrafiliśmy na ludzkiego urzędnika, rozumiejącego sytuację tych ludzi, zakupiono więc potrzebną ilość tych progów i pobudowano z nich ciepłe i zdrowe domki, stajnie i stodółki. Po otynkowaniu zewnątrz i od wewnątrz, domki te wyglądają, jak murowane, stoją na parcelach fermowych w równym rzędzie nad drogą w ilości 25 osiedli i przedstawiają prawie znośny widok. Najładniejszy dom z tego materiału zbudowała sobie wdowa po kolejarzu. Na pierwszy rzut oka nieświadomi rzeczy oceniają go na 3 - 4.000 zł. i nikt nie chce wierzyć, że materiał kosztował 300 zł.

Sposób, w jaki przystąpiono do budowy osiedli, sam powstał w duszy polskiego chłopa. Każdy rozpoczynał budowę, względnie przebudowę swego osiedla w sposób swoisty: naprzód kopał studnię, potem sadził sad. Niektórzy zasobniejsi w gotówkę kupowali drzewka u jarmarcznych handlarzy. Na pytanie, jakie gatunki zakupili, nie umieli dać odpowiedzi pomimo, że na każdym drzewku wisiała tekturowa kartka z nazwą odmiany; odpowiadano, że to jest „drzewko", „jabłonka", „śliwa" i że handlarz zapewnił, że z niej będą dobre owoce. Inni wyszukiwali dziczki po lesie, tworząc z nich przyszłą nadzieję sadownictwa. Tylko jeden, najuboższy, przyszedł skądś do szkółki, złożonej z kilkunastu drzewek, zaszczepił je, ale nie umiał nazwać gatunku lub nazwy odmiany. Usiłowałem pouczyć ich o racjonalnym doborze odmian, które przy istniejących warunkach glebowych należałoby do wsi sprowadzić i przyznam się, że wymknęli mi się z ręki. Nikt nie pojmuje doniosłości ujednostajnienia gatunków owocowych, tak samo, jak nie pojmują ważności standaryzacji jaj lub gatunku pszenicy. Wtyka więc tylko z zapałem każde „drzewko", jakie popadnie pod rękę i o niczym dalszym myśleć nie chce. Po zasadzeniu „sadu" kleci każdy budę, gdzie sypia z pieskiem, aby pilnować zwożonego materiału przed chciwością kochanego sąsiada i buduje naprzód stodółkę, później stajenkę, a na ostatku mieszkanie.

Punkt pierwszy i drugi mych zamierzonych starań został wykonany: komasacja z upełnorolnieniem ukończona, przebudowa osiedli znośnie zapoczątkowana, rowy odwadniające pięknie wykopane i reszta pól wydrenowana.

Punkt trzeci udał się w całej pełni. Do przeznaczonego na upełnorolnienie obszaru dołączono 30 ha łąk folwarcznych, wzorowo dotychczas zagospodarowanych i podsiewanych, a także zaopatrzonych w zapory i rowy do nawadniania. Niestety, tu właśnie w całej pełni okazał się brak kultury u tak zachwalanego chłopa wielkopolskiego. Łąki rozdzielono w kilku morgowych działkach poszczególnym gospodarzom. Przez 6 lat nikt tych łąk nie nawoził ani podsiewał; siano dwukrotnie chybiło, bo łąki posiadają glebę przepuszczalną, a trudno było namówić gospodarzy do równoczesnego koszenia siana i oblania łąk wodą z płynącego środkiem potoku. Dwa

chybione zbiory oceniłem według cen miejscowych na 8 tys. zł. Spostrzegłem, że chłopi nie są zdolni do samodzielnego ocenienia poniesionej szkody. Na te pyszne łąki puścili bydło, a pastuchy poniszczyli nawet zastawki do nawadniania. Podobnemu losowi uległy również łąki na jednym z rozparcelowanych folwarków w pow. kępińskim. W takich wypadkach grozi naszej kulturze rolnej zalew barbarzyństwa, jako że żadna ustawa nie przewiduje za takie sprawki ani kryminału ani innej kary. Beształem przy tej okazji i piersi wygadałem, to też w r. 1935 wyczyścili wprawdzie rowy i poprawili zastawki, zastawili nawet wodę, lecz pierwszej nocy ktoś ukradł kilka desek z zastawy i znowu łąki świeciły golizną. O melioracji i zagospodarowaniu dotychczas posianych łąk mówić sobie nie dadzą, to też ponad 50 ha łąk podziela los powyżej opisanych „łazów" we Wschodniej Małopolsce.

Punkt czwarty mych zamierzeń spełnił się o tyle, że przydzielono w środku wsi 2 ha ziemi na cele gminne; z powodu kryzysu i nawału nadmiernych na dzisiejsze czasy rat do Państwowego Banku Rolnego nie można na razie myśleć o budowie dużego budynku na pomieszczenie projektowanych organizacji.

Podobnie wydzielono we wskazanym przeze mnie miejscu (punkt piąty) 1,75 ha roli pod budowę przyszłej wysoko-zorganizowanej szkoły powszechnej, ale w najbliższej przyszłości nie ma na to widoków, gdyż brak ustawy o przymusowej komasacji szkół, a poza tym nie rozparcelowano przewidzianego terenu pomiędzy kolonistów, jak to sobie na podstawie przyrzeczeń funkcjonariuszów Okręgowego Urzędu Ziemskiego umyśliłem.

Nie doszło też do kupna triera i traktora spółkowego z powodu nadmiernego obciążenia wsi kosztami reformy rolnej; nie ma też widoków na obsadzenie dróg polnych morwami lub drzewami owocowymi, gdyż wieś obecnie, po utworzeniu gmin zbiorowych, nie posiada własnego budżetu.

Z przestawieniem produkcji według potrzeb rynkowych sprawa o tyle trudna, że przeszkadza konserwatyzm starych gospodarstw. Uprawa lnu nie poszła, rzepak dotkliwie chybił, przyjęła się za to w kilku gospodarstwach kukurydza i mak, zasadzono też próbne grzędy żywokostu pastewnego i próbki soi, a obecnie czynić się będzie próby z zasiewem pastewnej mieszanki, jako międzyplonu o następującym składzie: 12,5 kg wyki zimowej, 6,5 kg inkarnatki i 3 kg kupkówki na morgę magdeburską. Warzywnictwo nie ruszyło z miejsca, owiec nikt też dotychczas nie kupił, za to w gospodarstwach fermowych zaczyna się zaznaczać silniejszy zwrot do hodowli kur i gęsi. Poza tym wieś posiada już pięciu młodzieńców z ukończoną 2-letnią szkołą rolniczą, ponieważ jednak ojcowie nie popuszczają z rąk swych gospodarstw, przeto dwóch przeszkolonych rolników przyjęło służbę w okolicznych folwarkach, co im zresztą na dobre wyjdzie.

Zanim przejdę do omówienia zagadnienia oświatowo-kulturalnego na wsi, wspomnę pokrótce o stosunku naszej inteligencji, przede wszystkim nauczycielstwa szkół powszechnych, do najważniejszych zagadnień współczesnej wsi polskiej. Otóż rzecz nie do wiary: poza funkcjonariuszami Urzędu Ziemskiego oraz zawodowymi miernikami, nie spotkałem w życiu ani jednego inteligenta, duchownego, mieszczucha, kupca czy nauczyciela, który by posiadał jakiekolwiek pojęcie o obowiązującej u nas ustawie o reformie rolnej. Przyjechał do mnie w odwiedziny krewniak, nauczyciel z Lubelszczyzny, a słysząc moje rozmowy z zainteresowanymi włościanami, gdzie często padał wyraz „komasacja", zagadnął: — „Powiedz mi, co to za diabeł ta komasacja? W mojej wsi od dwuch lat często nachodzą mię chłopi z żądaniem jakichś wyjaśnień komasacyjnych, wypełniania jakichś druków, podpisywania deklaracji i t. p. Nie posiadając zielonego pojęcia o tych sprawach, nie mogę im w niczym pomóc i pędzę ich za drzwi do wszystkich diabłów. Powiedz mi nareszcie, co to jest ta komasacja?" — Tak przemawia niestety każdy nauczyciel polski, pracujący na wsi, a nawet obowiązkowo nauczający w szkole nauki o Polsce współczesnej oraz „oddający się" oświatowej pracy pozaszkolnej w moim środowisku.

Gdy po okolicy rozeszły się pogłoski o mej pracy nad reformą ustroju rolnego w mojej wiosce, na konferencjach nauczycielskich spoglądano na mnie jakimś szklanym wzrokiem, a poza plecami kilkakrotnie syknięto: „witos", „bolszewik". Gorzej było, bo oskarżono mię o szerzenie haseł skrajnych i wywrotowych. Było też raz „najbardziej najgorzej". W czasie pewnej trudności w komasacji pojechałem do pewnego posła — piastowca z prośbą o interwencję w pewnym urzędzie w Warszawie. Po długiej z nim rozmowie stwierdziłem, że ten człowiek nie posiada elementarnych wiadomości o treści ustaw o reformie rolnej pomimo, że przez cały czas siedział w sejmie w okresie debat nad tą sprawą, głosował i pobierał diety. Włosy mi też stanęły na głowie, gdy pewien działacz ludowy rzekł mi poufnie, że jego stronnictwo sprawy reformy rolnej nie porusza na wsi, gdyż kwestia ta jest wśród chłopów niepopularna i może przy wyborach wpłynąć na zmniejszenie ilości kartek z numerkami.

Celem zapoznania nauczycielstwa z terenu powiatu z praktycznym przebiegiem reformy rolnej w terenie zwołałem za zezwoleniem władz t. zw. konferencję rejonową do swej szkoły. Zjechało około 50 osób, przeważnie nauczycielek, z inspektorem szkolnym na czele. Rozwiesiłem dwa plany, przedstawiające stan pól wiejskich przed i po scaleniu i przez dwie godziny mozoliłem się nad zainteresowaniem słuchaczy sprawą, w której Polska całej Europie przoduje, a która stanowi jedną z najżywotniejszych spraw wewnętrznych naszego państwa. Na sali przez cały czas panował gwar. Słuchał tylko inspektor szkolny i 2 - 3 nauczycieli, reszta nie okazała żadnego zainteresowania. Ponowiłem jeszcze dwukrotnie ten wykład na innych konferencjach i osiągnąłem wreszcie ten skutek, że jeden z ko-

legów, pełniący obowiązki instruktora oświaty pozaszkolnej na mym terenie po kilku latach, widząc skutki mej pracy na miejscu, pożyczył sobie ode mnie tekstu ustawy o reformie rolnej.

W tym samym mniej więcej czasie zapoczątkowano żywą akcję udziału nauczycielstwa w pracy oświatowej dla młodzieży pozaszkolnej. Urządzono szereg konferencji instrukcyjnych, mianowano specjalnych instruktorów przy inspektoratach, kilkakrotnie próbowano sformułować program tejże pracy, ale nigdzie i u nikogo nie zauważyłem zrozumienia najżywotniejszych spraw, oczekujących na rozwiązanie. Wskazywano na jakąś mglisto pojmowaną pracę świetlicową, w organizacjach strzeleckich i bezpartyjnych, zwalczanie analfabetyzmu pierwotnego i wtórnego i t. p., wreszcie, po kilku latach oświadczono z miarodajnej strony, że właściwy program pracy nie istnieje, że ten program wysnuć winien każdy pracownik oświatowy „z samego siebie.“ Widziałem też ogrom zapału i dobrych chęci oraz wielki nakład sił u jednostek, ale wszystko, co uczyniono, obracało się w sferze podgwiezdnych idei, bez jakiegokolwiek uwzględnienia spraw, związanych z realnymi warunkami ludzkiego bytu.

Na jednej z urzędowych konferencyj sprowokował mię sam pan naczelnik oświaty pozaszkolnej w kuratorium życzeniem, bym napisał coś o sprawach wiejskich do mającego się wydać podręcznika dla oświaty pozaszkolnej. Wiedząc, że ta wielka reforma, jaką na terenie całego państwa wykonuje Ministerstwo Reform Rolnych jest dla nauczycieli i dorastającej młodzieży wiejskiej nieznaną i niezrozumiałą, napisałem krótką pracę popularną, podającą metodycznie i przystępnie istotę i przebieg reformy rolnej, jako ilustrację dołączyłem mapy klasyfikacyjne mej wioski. Wyobrażałem sobie, że praca ta wyjdzie drukiem i zostanie rozesłana bez żadnego zysku do ośrodków oświaty pozaszkolnej. Pracę moją pochwalono, zapytano łaskawie o cel jej napisania i pogrzebano w aktach, nie zwróciwszy nawet mapy, na którą swoje pieniądze wyłożyłem. Cała też tak pięknie zapoczątkowana akcja oświaty pozaszkolnej z biegiem czasu zamarła i mimo wysiłków odpowiednich czynników nie budzi się z letargu. Młodzież zanudzona odczytami bez treści życiowej bierze jeszcze udział w stowarzyszeniach dewocyjnych i w sporadycznie organizowanym przysposobieniu rolniczym, a kursy oświatowe z urzędowym programem skrzętnie omija. W swojej szkółce uratowałem kurs żeński w ten sposób, że wstawiłem do klasy piec kucharski z masą rondli, maszynę do szycia, aparat Wecka, formy do kroju, robótki ręczne i... kołyskę z higieną, a wyrzuciłem tablicę, mapy i przybory do pisania.

Na wsi leży olbrzymie pole do pracy oświatowej i długo jeszcze trzeba będzie u nas „ciągnąć kulturę za włosy“, zanim zbliżymy się do stanu rzeczy w Europie zachodniej, nie wystarczy tu jednak rzucanie olśniewających haseł, lecz trzeba rozpocząć od rzeczy najprostszych, związanych z rzeczywistością życia wiejskiego. Trzeba wyzbyć się mniemania, że wystarczy rzucić hasło: frontem do wsi, a reszta sama się zrobi.

W związku z komasacją tutejszej wsi uszczuplono obszar sąsiedniego folwarku i zwolniono pięciu zajętych tam stale robotników. Naturalnie, że nadano im ziemię na gospodarstwa fermowe, zbudowano budynki, zakupiono inwentarz, a w dodatku każdemu przymusowo posadzono po 60 drzewek owocowych, a koszta założenia sadu włączono do ogólnego rachunku. Urządzono dla nich święto sadzenia drzew. Gdyby po pięciu latach drzewka te obejrzał ktoś znający się na tym, stwierdziłby, że święto sadzenia drzew rozpoczyna się w polskich warunkach w pięć minut po zasadzeniu drzewka i trwa przez cały okres jego życia. Gdy tę prawdę zrozumieją rajcy narodu, natenczas w Polsce nastanie prawdziwe święto sadzenia drzew. Nauczyciel zaś rozumie tylko swoją prawdę: uczyć bezustannie, nie oglądając się na nikogo, czy potrzebę takiego uczenia uznaje.

Prawdą jest, że rozwój kultury możliwy jest tylko przy sprzyjającym położeniu materialnym, bo gdyby mogło być inaczej, to każdy z plemienia Tauregów byłby dziś albo milionerem, albo doktorem filozofii. Prawdą też jest, że bogactwo samo przez się nie wytwarza jeszcze kultury, bo wieśniak ukraiński, na najbogatszej w świecie ziemi, ginie z głodu. Szwajcar na swych skałach cieszy się dobrobytem i wolnością. Sartowie na swych słonych piaskach zbierają wystarczające plony, a albański inżynier — analfabeta, używający wyłącznie swego ciała jako niwelatora, przeprowadza sztuczne nawodnienie swych skał nie gorzej, aniżeli to czynią europejscy fachowcy przy pomocy instrumentów mierniczych. Poznańczyk zbiera obfitsze plony na piasku polodowcowym, aniżeli Podolanin na lössie. Inżynier francuski w Afryce przy pomocy studni artezyjskiej stwarza pyszne ogrody i fermy tam, gdzie tubylcy od lat tysięcy ginęli z nędzy. Powiadają też, że najlepszymi nauczycielami ludzkości jest bieda, przykład i wiara, ale przeczy temu los włościanina polskiego, który na karłowatych gospodarstwach, skomplikowanych szachownicą, żyje w nędzy, wierzy święcie każdemu blagierowi i nie potrafi obserwować i korzystać z dobrego przykładu najbliższego otoczenia, a w dzisiejszym położeniu gospodarczym zniżył się do kultury jaskiniowca, choć w 75% tworzy podstawę państwa, a w 90% jego armię.

Uznaną powszechnie prawdą jest też fakt, że o postępie świata decydują jednostki pod warunkiem, że nie zostaną przez ogół swych współbraci ukrzyżowane. Szczęśliwi byli tylko ci, co potrafili w przewidywaniu takiej ewentualności związać kończyny swych braci łykiem, wiedząc, że każdy kompromis oddala wytknięty cel i przygotowuje warunki do jego unicestwienia. Wiedział o tym dobrze Stołypin i to zdecydowało o powodzeniu jego planów w stosunkowo króciutkim czasie. Silne jednostki potrafią stwarzać fakty szybko, lecz z powodu krótkości życia ludzkiego nie mogą ich utrwalić. Gdyby albański inżynier nie nauczył się sztuki nawadniania od swego poprzednika, nie stworzyłby na spalonych słońcem stokach górskich poletek z lnem, kukurydzą czy też gajów pomarańczo-

wych, a gdyby nie przekazał swej sztuki synowi, kraj ten w krótkim czasie przemieniłby się znowu w pustynię. Do przyjęcia i utrwalenia wszelkiego postępu potrzebna więc jest oświata.

A jak się ma sprawa z oświatą narodu polskiego? Obywatele państwa naszego mieszkają w miastach, w osadach fabrycznych i na wsi. Po miastach i osadach fabrycznych istnieją najwyżej zorganizowane szkoły powszechne, średnie i wyższe, po wsiach zaś istnieją szkoły najniżej zorganizowane. W miastach, powiedzmy sobie prawdę, mieszkają żydzi, po wsiach zaś Polacy, czyli że szkoły o najwyższym stopniu organizacyjnym są dla żydów, najniżej zorganizowane dla Polaków. Nieliczne wyjątki nie przekraczają reguły, a ciekawych odsyłam do statystyki. Każdemu laikowi wiadomo, że szkoły III stopnia organizacyjnego kształcą umysły młodzieży wyżej, aniżeli szkółki I-go stopnia. Naród polski na wsi żyjący kształci swe dzieci prawie wyłącznie w tych szkółkach I-go stopnia.

Nie jest prawdą, by w pewnych okolicach naszego kraju nie można było stworzyć szkół powszechnych III stopnia dla braku materiału uczniowskiego. Dam przykłady z własnej praktyki z województwa stanisławowskiego, powiatu kałuskiego: wieś Nowica ponad 900 dzieci - czteroklasówka; parafia Niegowce 450 dzieci — jedna dwuklasówka oraz trzy jednoklasówki; wieś Kopanki i Dołha po jednej dwuklasówce i po jednej jednoklasówce; wieś Tomaszowce: ponad 800 dzieci - cztery dwuklasówki i jedna jednoklasówka; miasto Kałusz: dwie siedmioklasówki, jedna czteroklasówka i jedna jednoklasówka. Takich przykładów przytoczyć można tysiące! Cyfry frekwencji odnoszą się do czasów przedwojennych, lecz dziś stosunki te nie zmieniły się na lepsze.

Tajemnica nieuczęszczania dzieci wiejskich do szkół powszechnych leży nie w złym ustawodawstwie szkolnym, lecz tylko w ubóstwie rodziców. Przymus szkolny wobec proletariatu wiejskiego w praktyce nie istnieje. Z wykazu metrykalnego wpisuje się dzieci do akt szkolnych, a nauczyciele codziennie odnotowują nieobecność; z końcem miesiąca odsyła się wykaz rodziców opornych w posyłaniu dzieci do szkoły władzy administracyjnej, która z kolei nakłada grzywny. Grzywny ściąga egzekutor, który na miejscu przekonuje się, że kary pieniężnej nie można ściągnąć, bo w chacie prócz barłogu nie ma nic do zajęcia. Chaty, czy kawałka pola sprzedać na pokrycie grzywny szkolnej nie można, gdyż tego rodzaju kary mogą mieć tylko charakter kar zmuszających do nauki, a nie niszczących gospodarstwa. Zamiana grzywny na areszt nie osiągnie celu, gdyż biedak karę odsiedzi, a dziecka do szkoły nie pośle. W praktyce mej w tamtych stronach często widywałem, jak 6-o letni berbeć przychodził na naukę w ojcowym obuwiu; ojciec siedział przez 4 godziny na ciepłym piecu, a do szkoły szła para butów ze sterczącą bezpośrednio nad cholewami głowiną, otuloną w podartą chuścinę. Podstawowym więc warunkiem powszechnej oświaty na wsi jest podniesienie stanu zamożności jej mieszkańców.

W województwach zachodnich zachodzi stosunek odwrotny. Osady wiejskie są tu niewielkie, rozrzucone wśród olbrzymich latyfundiów ziemskich. Ludność zamożniejsza, ale za to nieliczna i nie posiada materiału dziecięcego do tworzenia szkół III stopnia. Przy folwarkach istnieją również nieliczne osady stałych robotników rolnych, gdzie często jest jedno lub najwyżej dwuklasówka. W tych warunkach zachodnia połać kraju posiada najniżej zorganizowane szkolnictwo powszechne, akurat 75% szkółek I-go stopnia.

Dużo się w niepodległej Polsce mówi i pisze o szkołach siedmioklasowych dla wsi. Snują się też chytre pomysły o komasacji szkół wiejskich, a równocześnie w sposób demokratyczny porucza się tę sprawę do ustawowo przewidzianej decyzji przedstawicielstwa zainteresowanych wiosek. Z równym skutkiem można by temu samemu przedstawicielstwu powierzyć decyzję nad uzbrojeniem armii, czy też oddać agendy Ministerstwa Spraw Zagranicznych...

Wyobraźmy sobie obszar ziemi w kształcie koła o promieniu 3 km, albo kwadratu o boku 6 km. Szkoła działa według ustawy w promieniu 3 km; ponieważ obowiązek szkolny rozpoczyna się u nas z ukończeniem 7 roku życia, nie powstałaby katastrofa, gdyby zwiększono zasięg szkoły o dalsze 0,5 km. Wyobraźmy sobie dalej budynek szkolny, położony w punkcie środkowym wspomnianego wyżej koła lub kwadratu; figury te zamkną powierzchnię od 28 do 36 km^2, względnie nawet 49 km^2. Wyobraźmy sobie jeszcze dodatkowo, że ta powierzchnia nie obejmuje łąk, lasu, jeziora i nieużytków, lecz tylko kompleks pól uprawnych, co w naszym nizinnym przeważnie kraju w większości przypadków jest realną rzeczywistością. Podzielmy tę powierzchnię, idealnie biorąc, na gospodarstwa 10-o hektarowe, na których zamieszka od 282 do 360, względnie 490 rodzin wieśniaczych w gospodarstwach fermowych. Przyjmijmy dalej, że każda rodzina pośle do tej szkoły tylko jedno dziecko. Na pewno będziemy mieli wystarczającą ilość dzieci do obsadzenia od 5 do 7 klas szkoły III-go stopnia; na pewno też procent szkół najwyżej zorganizowanych na wsi osiągnie liczebną przewagę nad szkołami niżej zorganizowanymi; motoryzacja kraju zwiększyłaby jeszcze te możliwości. Sądzę też, że czytelnik już się domyślił, że w głowie autora zaświtała myśl o wewnętrznej kolonizacji kraju w ścisłym związku z wykonaniem ustawy o reformie rolnej. 90% gospodarstw karłowatych w województwach południowych nie uważa tego projektu za zbyt niedorzeczny, wykluczając ewentualność, iż w najbliższym czasie sztandar białoczerwony powiewać będzie nad Abisynią lub obszernymi koloniami w innej części świata.

Reforma rolna winna spełnić dwa najważniejsze warunki dla rozwoju mieszkańców wsi: podnieść materialne warunki bytowania, a przez wewnętrzną kolonizację wyrównać zbyt rażącą niejednostajność zaludnienia poszczególnych okolic naszego państwa. Przeludnione południe nie może

korzystać z oświaty z powodu beznadziejnego ubóstwa. Gdzie indziej zaś nie ma warunków na zorganizowanie szkoły powszechnej wyższego stopnia ze względu na słabe zaludnienie. Żywię przekonanie, że połączenie reformy rolnej z równoczesną kolonizacją wewnętrzną stworzyć może pomyślne warunki dla należytej organizacji szkolnictwa na wsi polskiej. W odnośnej ustawie należałoby zastrzec, że reformę rolną przeprowadza się przy jednoczesnym tworzeniu warunków pod organizację szkoły powszechnej o możliwie najwyższym stopniu organizacyjnym, a gdzie na miejscu nie istnieje wystarczająca liczba mieszkańców, należy ją uzupełnić przez sprowadzenie osadników z przeludnionych okolic. Zadanie mierniczego przy komasacji i parcelacji ograniczałoby się do zarezerwowania w odpowiednim punkcie miejsca na szkołę powszechną oraz do stosownego rozmieszczenia dróg komunikacyjnych, naturalnie bez szkody dla ustroju rolnego. Laikom wydać się to może mrzonką, ale ludzie fachowi zapewniali mię, że sprawa ta nie nastręczałaby żadnych trudności dla mierniczych.

Rozumie się, że to zaostrzyłoby jeszcze kwestię budownictwa szkolnego, gdyż wiele istniejących budynków szkolnych zawisłoby w powietrzu. W zachodnich województwach istnieją już solidne budynki szkolne w odległości co 3 - 5 km; są to przewaznie murowane 1-o i 2-u klasówki z mieszkaniami dla nauczycieli i obszernymi budynkami gospodarskimi. Materriał budowlany dwóch takich szkółek wraz z pomocniczymi budynkami na pewno wystarczyłby na zbudowanie jednej 7-o klasówki. To jest zupełnie możliwe. W mojej wiosce uboga, stara wdowa rozebrała swój budynek murowany i bez zbytniego kosztu przeniosła go na swoją 2-u hektarową działkę na odległość 2 km; drugi przeniósł murowaną owczarnię i wybudował z niej zabudowania gospodarcze wraz z domem mieszkalnym; trzeci przeniósł na wydzieloną mu działkę murowany śpichlerz i dwa budynki drewniane; czwarty odgraża się, że przeniesie w najbliższym czasie murowany dom, stajnię i stodołę na odległość 1,5 km; nie wspominam o tych, którzy rozebrali i przenieśli budynki drewniane. Jest to kwestia wydatków na wapno, trochę czasu, cierpliwości i humoru.

Komasacja sąsiednich szkółek odbywałaby się na podstawie ustawy, a przede wszystkim na podstawie ustawowo przewidzianej robocizny szarwarkowej, którą włościaństwo przyjęłoby bez szemrania, jako że i tak przez kilka miesięcy w roku leniuchuje. Budynki stajenne rozebranoby, cegiełki oczyszczono i zwieziono na miejsce, dostarczonoby robocizny pieszej i konnej, zwiezionoby też piasek, wapno, materiały drzewne i t. p., a pan budowniczy powiatowy, miast nudzić się w biurze, kierowałby pracą; resztę pokryłby kredyt doliczony do kosztów reformy rolnej. Gdzie by zaś materiału brakło, przydzieliłoby się część budynków folwarcznych, ulegających rozbiórce przy likwidacji wielkiej własności rolnej. Gdzieniegdzie wystarczyłby nawet odpowiedni remont tychże budynków na cele

szkolne. Poza tym resztę pokryłaby danina lasowa tak z lasów prywatnych, jak i państwowych. Na pewno z tej przyczyny wybuchłaby cholera wśród prywatnych właścicieli, ale zwykłe zmarszczenie brwi u starosty powiatowego usunęłoby ewentualność zarządzeń sanitarnych. Kiwnięcie palcem pana ministra miałoby ten skutek, że przemysł dostarczyłby po cenie własnego kosztu materiałów żelaznych, szkła, cementu, kafli i t. p., kolej państwowa przewiozłaby to wszystko za dobre słowo, większe tartaki dobrowolnie by dorzuciły cegiełkę do ogólnej ofiarności, co wszystko przerodziłoby się w twórczość na prawdę radosną. Ileż to po każdej burzy marnuje się drzewa w Karpatach i na wschodnich kresach, gnijąc i zarażając kornikiem okoliczne lasy! Z drzewa można przecież budować solidne, trwałe, zdrowe, ciepłe i estetyczne szkoły; przez pół stulecia uczyliśmy w drewnianych chatach i budach pod zaborem austriackim; budy te dziś jeszcze spełniają jako tako swoje zadanie. Łącznie z budynkami szkolnymi budowałoby się naturalnie i mieszkania dla nauczycieli. Pominięcie tej wstydliwej kwestii odciążyłoby wprawdzie fundusze publiczne, ale także odciążyłoby szkoły wiejskie od nauczycieli, przede wszystkim dobrych nauczycieli, gdyż szanujący swą godność człowieczą osobnik nie poświęciłby swego zdrowia na skutki wegetacji w ciasnej izdebce chłopskiej. Nadzwyczajne sytuacje wymagają nadzwyczajnych sposobów postępowania, a nieudolni tylko dają się hypnotyzować trzymiliardowym kosztorysem p. Falskiego. Chcieć to móc! U nas tej chęci od początku niepodległościowego bytu nigdy nie było i dlatego już znaleźliśmy się na dnie oświatowej przepaści, stawiającej przyszłość państwa pod znakiem zapytania.

Organizację szkolnictwa wiejskiego należy oddać pod kierownictwo Ministerstwa Reform Rolnych. Należy też zerwać z nastawieniem, że w teraźniejszej epoce dla chłopa wystarczy tylko umiejętność błędnego pisania i lichego czytania, jakie nabywa w dotychczasowej szkółce. Nad każdą dzisiejszą szkółką należy umieścić tablicę z olbrzymim napisem: „*Lasciate ogni speranza voi ch'entrate!* *) Te szkółki od lat 80 nie spełniły swego zadania życiowego. Sztuka pisania służy chłopu do podpisania weksla i nagryzmolenia okropną pisownią listu z wojska do Maryśki; zwykłe podanie do władzy pisywał mu inteligent. Podobnie było ze sztuką czytania. Czytywał gazetę, o ile mu ją bezpłatnie przysyłano, gdyż najczęściej jest za ubogi na opłacanie prenumeraty; książki pożytecznej nigdy nie kupił, abonamentu bibliotecznego nigdy nie płacił. Gdy mu mieszczuchy nadesłali trochę „dziełek ludowych“, po jednorazowym użyciu książki upodobnił ją do swej gnojowni, zrobił z niej sieczkę, a w dodatku nie oddał. Książki o poważniejszej treści jego niedorozwinięty umysł nie rozumiał, przeto nie mógł utrzymywać kontaktu z cywilizacją europejską. Skarby literatury narodowej nie dotarły do jego duszy, a „Pan Tadeusz“, po stulet-

---

*) „Porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzicie.“ Red.

niej wędrówce po całym globie ziemskim nie doszedł do tego, dla kogo był pisany: nie „zbłądził pod strzechy“ swego narodu. Szkółka wiejska ani go nie wychowała, ani przygotowała do najprostszych zagadnień życiowych. Jednostki z wrodzoną inteligencją nie mogły nawet zastosować poznanego postępu rolniczego z powodu karłowatości i szachownicy. I stąd ten tak zwany powrotny analfabetyzm. Szkółka wiejska była luksusem, kosztowała bowiem pieniądze, a nie spełniła swego zadania. Nie spełni go też —bez gruntownej reorganizacji stosunków—i w przyszłości. Kultury chłopa wielkopolskiego nie zawdzięcza się szkółce pruskiej, obliczonej nie na rozwój umysłu, ale na ogłupiającą germanizację. Swój wyższy stan kulturalny zawdzięcza chłop wielkopolski przede wszystkim mądremu systemowi urządzenia jego warsztatu pracy w dobie uwłaszczeniowej oraz obserwacji otaczającej go kultury; pamięta też czasy, kiedy musiał krowę doić według policyjnego przepisu, a do ostatniej chwili żandarm pruski nadzorował jego porządki gospodarskie.

Państwo współczesne wtrąca się w nader skomplikowane sprawy górnictwa, przemysłu, handlu czy karteli, otacza skrzętną opieką import i eksport, reguluje ceny rynkowe i t. p., ale nie wtrąca się dotychczas w sprawy tak proste i łatwe, jakimi są zagadnienia gospodarstwa wiejskiego. Wszelki liberalizm jest zbawienny, gdy wykazuje stałą tendencję do postępu i rozwoju, a szkodliwy, gdy dopuszcza do zacofania i upadku. Jednakże kierowanie życiem przy pomocy aparatu policyjnego może być pożyteczne na bardzo krótką metę i zastąpione być musi przez stosowny rozwój duchowych sił swych obywateli. Tylko szkoła o najwyższym stopniu organizacyjnym przygotuje wieś do korzystania z postępu. Dzisiejsze warunki bytowania na wsi wykluczają wszelki postęp duchowy, materialny i moralny $^3/_4$ obywateli państwa. Wieśniak nigdy wprawdzie intelektualistą nie będzie; mózg narodu jeszcze przez wieki mieszkać będzie w mieście. Wieśniak za to musi być przede wszystkim specjalistą, człowiekiem uspołecznionym, umoralnionym, uświadomionym obywatelem, uzdolnionym do korzystania z potrzebnej dlań literatury, ponadto obeznanym z formami towarzyskiego obcowania, a tego wszystkiego nie da mu nisko zorganizowana szkoła powszechna.

Młodzież wiejska wyrasta dziś na dzikusów, demoralizuje się w bezrobociu i zatraca poczucie ogólnoludzkich ideałów. Mówi się wiele i czyni się wiele dla dokształcania młodzieży, na wsi jednak sprawa ta mocno szwankuje: nie ma programu pracy, która by przyniosła realny pożytek dla przyszłości młodego pokolenia. W niepodległej Polsce zorganizowano w celowy sposób naukę dokształcającą dla młodzieży miejskiej, kupiecko-rzemieślniczej, korzystającej też z różnych szkół i kursów specjalnych; o młodzieży wiejskiej zapomniano zupełnie. Nauczyciel wiejski, chcący samodzielnie pracować, napotyka na tak drobnostkowe trudności, jak nafta do lampy lub kilka centnarów węgla opałowego na sezon zimowy. Mimo,

że bezinteresownie oddaje swój czas i pracę, nie znajdzie nigdzie poparcia dla swych usiłowań. Jako stary nauczyciel bardzo żałuję skasowania t zw. nauki dopełniającej w szkołach wiejskich. W swoim czasie uczęszczała na nią młodzież w okresie pełnego zainteresowania (od 14 do 17 lat) posiadała dobry, jak na owe czasy, podręcznik do nauki gospodarstwa, a czas pracy sprawiał nam obopólną przyjemność i zadowolenie. Znam duszę nauczycielstwa i wiem, że w dzisiejszych czasach poświęci szereg godzin pracy tygodniowo bezinteresownie i gorliwie pod warunkiem, że pracę tę umożliwią odpowiednie przepisy, regulujące tak materialną, jak i programową stronę tej sprawy. Z próżnego nawet Salomon nie naleje!

*

* *

Po przeprowadzeniu reformy rolnej w mej wiosce panuje stan nerwowego podniecenia i rozdrażnienia. Spłata zobowiązań pieniężnych napawa ludność nieustannymi obawami. Zobowiązania zaciągaliśmy w okresie wysokiej koniunktury na zboże i żywiec, mianowicie w r. 1928. Wieś była nader uboga, rzadko kto posiadał własną gotówkę na wpłacenie zadatku; jedni zaciągnęli pożyczki prywatne, drudzy wekslowe w banku; do tego dołączyły się pożyczki krótkoterminowe i długoterminowe w Banku Rolnym tak na kupno ziemi, jak i na drenowanie i wykopanie rowów odwadniających; niektórzy posiadają też pożyczki na przebudowę lub na zagospodarowanie; poza tym dołożyli 18% różnicy kursowej listów zastawnych, naturalnie też przy pomocy kredytu. Gdyby na produkty rolne utrzymały się ceny z r. 1928 sprawa ta nie budziłaby obaw, gdyż każdy zaciągał kredyty z uwagą na ich spłatę. Od tego czasu cena żyta i produktów rolnych spadła o 76%. Ustawa oddłużeniowa przyniosła dużą ulgę, obniżając cenę kupna ziemi prawie o 50% i rozkładając spłatę długów prywatnych na lat 14, a długoterminowych kredytów na lat 60 z obniżeniem procentu. Niestety, nie obniżono w tym samym stosunku kredytów krótkoterminowych i nie zamieniono ich, jak przyrzekano, na długoterminowe. Do tego dołączyła się obecnie spłata rat za melioracje, opłata stempla za przeniesienie tytułu własności, t. zw. reszta ceny kupna ziemi i t. d. Pożyczki krótkoterminowe P. B. R. obciążają 10 - 12 ha gospodarstwa do wysokości 3 - 4 tysięcy złotych, a spłata ich w tak krótkim terminie, o ile nie nastąpi poprawa koniunktury, jest niemożliwą.

Przychodzą tedy do mnie gospodarze z prośbą o radę i pomoc, a w ich oczach czytam wyrzut: popchnąłeś nas do reformy rolnej, więc ratuj, bo to twoja wina. Odczuwam na swojej skórze ich sytuację, gdyż sam, kupiwszy przy tej okazji parcelkę 3 ha 40 arów, pomimo wielkich ulg oddłużeniowych i procentów ulgowych, a także dotkliwych szkód, spowodowanych przez 2-letnią z rzędu posuchę, spłacić muszę z tego kawałeczka od kwietnia 1935 roku do kwietnia 1936 roku łączną sumkę 310 zł z groszami. Pocieszam więc ich, jak umiem, że rozterminowanie spłaty tej pożyczki roz-

łożone jest na lat 14, że przez ten czas sytuacja się może poprawić, że rząd nie na to robił reformę rolną, aby chłopów zniszczyć i pole ich sprzedać na licytacji i t. p. W duszy jednakże myślę, że tu coś jest grubo nie w porządku. Przede wszystkim za wiele tytułów płatności za jedną jedyną rzecz: reformę rolną.

Mam wrażenie, że ta reforma od samego jej zapoczątkowania jest terenem przemyślnej spekulacji kapitalistycznej. Pomiędzy chłopa, a właściciela sprzedanej ziemi wcisnął się czynnik trzeci, który postanowił czysty zysk z tej imprezy zagarnąć do własnej kieszeni. Damy ci chłopie tak upragnioną ziemię, ale za to przez pół stulecia będziesz naszą owcą, której runo pilnie zgalać będziemy; ziemię dostaniesz, ale wszystko co na niej wyprodukujesz, oddasz nam za procenty. Może też i z tej przyczyny p. Poniatowski pomylił się niechcący w swej reformie oddłużeniowej conajmniej o 25%?

Gdzieś tam uchwalono niedawno, że reformę rolną należy przeprowadzać z wywłaszczeniem bez odszkodowania. Uchwała ta nie wyszła z duszy chłopa polskiego; darmowej roli on by nie kochał, a nie posiadając wierzytelności do spłacenia za nią, może by nie pracował na niej dość pilnie, a przy tym z pewnością nie dążyłby do postępu rolniczego. Sprawa kredytów jest jednakże technicznie nieodpowiednio ujęta, nie posiada dla chłopa pożądanej jednolitości i utrudnia mu orientację w spłatach szeregu różnorodnych rat. Na dnie serca chłopskiego drzemie uczucie wstrętu do wszelkiej krzywdy doraźnej, ale też obecny stan rzeczy wcale nie wpływa na wysubtelnienie tego wstrętu i stwarza grunt pod nieobliczalną w dalsze skutki agitację. Sankcje oddłużeniowe w rolnictwie muszą dotknąć również kapitał zorganizowany.

Bez reformy oświatowej na wsi reforma rolna nie da oczekiwanych skutków; przeciętny wieśniak polski, zapytany o opinię w sprawach rolnictwa, sadownictwa, hodowli, w sprawach samorządu terytorialnego czy polityki państwowej, powie zawsze głupstwo. Przede wszystkim ogół wieśniaczy musi pogłębić swoje wiadomości fachowo-rolnicze; działalność szkół rolniczych w stosunku do tego palącego zagadnienia jest zbyt powolna, kształci nieliczne jednostki, a ogół ludności nadal tkwi w odwiecznej rutynie, nie odpowiadającej potrzebom doby obecnej. Wieś musi być doraźnie instruowana na miejscu w sposób zorganizowany i obowiązkowy, drogą powszechnego nauczania. Uważam też, że w naszych warunkach zagadnienie to może rozwiązać tylko nauczycielstwo szkół wiejskich odpowiednio do tej pracy przygotowane. Szkoły zaś rolnicze winny na tej podbudowie pracować nad pogłębieniem kultury rolniczej.

Doświadczenie całego życia nauczyło mnie, że o płytkość kulturalną i ciasnotę umysłową wieśniaka rozbija się ogromny nakład wysiłku. Wspomniałem wyżej, że nawet przechwalony chłop wielkopolski nie potrafi gospodarować na łące; nie ma on też żadnego pojęcia o stosowanych

gdzieindziej melioracjach łąk i pastwisk; o łące wtedy myśli, gdy nastaje pora do sianokosów. Otrzymawszy drogą kupna racjonalnie zagospodarowaną łąkę, doprowadza ją do nieużytku. Wszelkie w tej mierze uwagi i instrukcje odbijają się o jego płytki umysł jak groch od ściany.

Patrząc na gospodarkę chłopską na świeżo nabytych łąkach folwarcznych nie żałowałem trudu, by ich pouczyć o podstawowych zasadach gospodarowania, ale od chwili osiągnięcia szczytu swych marzeń — powiększenia obszaru swych gospodarstw, wymknęli się z pod dalszego mego wpływu i już nie przychodzili do mnie gromadnie na pogadanki gospodarcze. Musiałem przeto sam wyszukiwać ich pojedyńczo. Słów moich nadal słuchano uważnie i z dotychczasowym szacunkiem, ale robiono swoje. Przyczepiłem się więc jak pijawka do kilku tylko osobników, sądząc, że gdy ci poprawią swój sposób gospodarowania, inni pójdą za ich przykładem. Dłuższe, przez kilka lat trwające pilnowanie zdawało się budzić jakieś echo: doprowadzono do porządku przewody do nawadniania. O nawożeniu łąk conajmniej za pomocą nawozu potasowego ani marzyć; kryzys i raty do Banku Rolnego — powiadają. O kupnie nasion do podsiania łąk nie chcą słyszeć: za drogie. Trzy lata temu padał z wiosną deszcz i siano jako tako obrodziło. Zaobserwowałem rzadko spotykane zjawisko: w niektórych miejscach na łąkach wystąpiły czyste niemal kultury poszczególnych gatunków traw słodkich; w jednym miejscu pyszniła się wiechlina łąkowa, w drugim — tak rzadko spotykany i drogi owsik złoty, w trzecim ponad pół ha dorodnego i gęstego wyczyńca. Zwołałem właścicieli, tłumaczę i błagam: nasienie nic was nie będzie kosztowało, pozostawcie tę części łąk aż do dojrzenia traw, wymłóćcie i podsiejcie resztę łąk tam, gdzie trawa słodka już wyginęła, a zielenią się tylko z rzadka jaskry, firletki i inne zielska. Słuchano w milczeniu i medytowano. Obecny młodzieniaszek, absolwent szkoły rolniczej, gorąco popierał mnie wobec swego ojca. Ufając w skutek mej wymowy odwróciłem się do odejścia i za plecami usłyszałem urywek rozmowy: „tata, dobrze będzie„ zostawmy choć z pół morgi, będziemy mieli lepszą paszę w inne lata... — A czym będziesz pasł jałoszkę w zimie?—To wymłóćmy całe trzy morgi tej trawy, nasienie drogie, sprzedamy i kupimy dla jałoszki ospy...“ — Po kilku dniach łąki wygolono; żądza doraźnej korzyści zwyciężyła. Niedługo potem przyszedł synek do mnie na pożegnanie: znalazł sobie służbę na folwarku. — „Czy nie lepiej byłoby — pytam — zostać na gruncie i ulepszać 60-o morgową gospodarkę ojca?“ Nic nie odrzekł, machnął ręką i poszedł.

Po uporządkowaniu robót nawadniających nowa zgryzota. Dwóch właścicieli sprzeciwiło się zalaniu łąk wodą: u nas jest niżej — powiadają — trawa i bez tego urośnie. Przychodzą po radę. Załóżcie sobie spółkę wodną i nie będziecie pytali głupców o pozwolenie; zbierzcie się w niedzielę w szkole, a resztę sam załatwię. Nie przyszli, nie chcąc robić przykrości sąsiedzkiej... Naturalnie, że zbiór siana najzupełniej chybił, jednakże im to

nie przysporzyło rozumu w głowach. Nie dziwię się nawet. Wędrując przez Albanię i przebywając kilka dni w Owernii francuskiej zwracałem czasem uwagę towarzyszącym mi wieśniakom polskim i ruskim na piękne a pomysłowe urządzenia do nawadniania łąk górskich. Obserwowaliśmy je nawet w momencie zalewania łąk wodą; patrzyli i nie rozumieli w jaki sposób i dlaczego się to dzieje. Umysł chłopski jest zbyt zacofany.

Lepiej za to poszło z żywokostem. We wsi nikt nie pasie świń zieleniną; ziemniaki, ospa, śrut — to wszystko. O użytku z żywokostu słuchano, kiwano głowami przez kilka lat i na tym się kończyło. Wzięto się na kłamstwo, że świnie pasione od młodości żywokostem nie zdychają na częsty tu pomór. Kłamstwo to pono nie będzie karane piekłem, bo je wyczytałem w „Przewodniku Katolickim". Sprowadziłem sadzonki i obdzieliłem nimi 8 gospodarzy. Posadzili je i jest nadzieja, że ją rozmnożą i użytkować będą, naturalnie że tylko dlatego, aby świnie nie zdychały; resztę uczyni czas, bo ma — czas. Absolwenci szkoły rolniczej czynią próby ze soją, naturalnie na małych grzędach.

Trudniej szło z kukurydzą, którą chciałem upowszechnić na gospodarstwach karłowatych. We Wschodniej Małopolsce obok ziemniaków jest to główne i dobre pożywienie dla wszelkiej biedoty i ogromna pomoc przy pasieniu kur i świń. Do rozpowszechnienia tej rośliny wybrałem na sprzymierzeńca — żołądek. Kurs żeński gotował polentę z mąki i grysiku kukurydzianego, podając je swym rodzicom z mlekiem, masłem i ze słoniną, potem objaśniłem sposób uprawy i korzyści z tej rośliny i rozdano nasiona. Wrogów kukurydza miała dużo; najważniejszym — to kobiety, które w Wielkopolsce, z wyjątkiem wykopków i żniw, w polu nie pracują, a kukurydza wymagała ręcznej obróbki, przy braku we wsi narzędzi do mechanicznej uprawy. Drugim — to nieufność: powiadano, że potrawy kukurydziane „nie smakują". W gruncie rzeczy nie umiano ich przyrządzać. Ponadto nie posiadano urządzeń do suszenia i młócenia strąków, a ręczne obłuszczanie wydawało się uciążliwe. Jeden wyprodukował 10 q ziarna i sprzedał je po niezłej cenie, ale uprawę zarzucił i dopiero później ze zdziwieniem dowiedział się, że ziarnem można paść konie, a mąką świnie i bydło. Ostatecznie uprawa kukurydzy przyjęła się na dobre w jednym gospodarstwie, gdzie domownicy się w niej rozsmakowali, a to na początek już dużo na wsi znaczy. Trzecim wrogiem tej rośliny, to kruki, wrony, gawrony i kawki, które ziarna podczas wiosny z ziemi wyjadają, przez co musi się je uprzednio moczyć w goryczce. Ptaki te objadają dojrzewające strąki do tego stopnia, że kwestia uprawy tej rośliny jest poważnie zagrożona; tak dotkliwych szkód w plonach w okolicach, gdzie kukurydza powszechnie jest uprawiana, nie zauważyłem.

Kwestia traktora nie została rozwiązana, ale za to uznano powszechnie za pilną sprawę motoru, który prawdopodobnie spełni w tej wsi rolę świętego Jana — Mechanicznego. Propozycja kupna spółkowego traktoru,

mimo widoków na kredyt w Banku Rolnym, nie została dotychczas przyjęta, brak bowiem zrozumienia tej sprawy, jak również uspołecznienia. W dodatku w sąsiednim folwarku był zły przykład; właściciel posiadał przestarzały traktor, który przy nieumiejętnej obsłudze marnie spełniał swoje zadanie, innych traktorów nikt nie widział przy pracy. W tych warunkach trudno chłopu powiedzieć: Te koniki, które tak bardzo kochasz oddaj rakarzowi, a pracuj traktorem... Może dobry początek zrobi motor.

Po objęciu powiększonych warsztatów rolnych powstała kwestia młocki. Koni było mało, pracy przy orce jesiennej wiele, trudno było nawet coś omłócić na zasiew. Z powodu nierozbudowanych osiedli, zwłaszcza stodół, zboże stało na polu w stogach ku uciesze złodziei, którzy nocą podchodzili pod stogi i młócili snopy przy pomocy rowerów. Był też wypadek nocnej młócki przy pomocy motocykla, a nawet pewnego razu „porządny" gospodarz z sąsiedniej wsi zajechał sobie pod stóg parą koni. Naturalnie, że nie było żadnych procesów sądowych, bo sprawę załatwiono na miejscu doraźnie, przy pomocy „chłopskich paragrafów". Kwestia młocki była więc pilną.

Obserwował tę sprawę rzutki a bezrobotny mechanik z miasteczka. Wyreperował jakiś wyrzucony na śmietnik motor naftowy, postarał się o niemniej starą młocarnię i zaofiarował swoje usługi, przyjęte z entuzjazmem. Zajeżdżał od stogu do stogu i młócił wszystko dokumentnie za wynagrodzeniem od godziny pracy motoru (bardzo często stającego w rozpędzie dla różnych defektów). Młócili nawet ci motorem, którzy posiadali własne konie i młocarnię kieratową, chwaląc sobie szybkość i „taniość" tego sposobu pracy. Na drugi rok chwilowo staniała ta młócka, gdyż znalazł się konkurent z lokomobilą; wkrótce jednakże obaj uczynili kartel młocarniany i zarabiają nieźle — zresztą ku zadowoleniu swych klientów. Kilkakrotnie próbowałem z tymi klientami zrobić obrachunek kosztów dotychczasowej młocki motorowej z ewentualnymi kosztami i amortyzacją własnego traktora, ale, jakkolwiek cyfry wypadły wcale frapująco, do żadnej decyzji nie doszło.

Chłopski sposób myślenia, zwłaszcza przy okazji jakichkolwiek reform gospodarczych, nastręcza niezmiernie wiele sytuacji tragikomicznych, o czym tomy napisać można. Wysunę tu tylko dwa wypadki ilustrujące rozwój umysłowy przeciętnego wieśniaka.

Przy komasacji wydzielono do prowizorycznego używania kawał ziemi na zakupionym obszarze z pobliskiego folwarku dwum gospodarzom, którzy należeli do najzamożniejszych i najmądrzejszych w okolicy. Porodzili się i wychowali oraz przeżyli swój wiek we wsi, przypuszczać więc było można, że znają rodzaj gleby na okolicznych gruntach, po których ich stopy od dzieciństwa deptały. Jadąc z wiosną orać wspomniane pole wstąpili do mnie na papierosa źli i zdenerwowani. Zapytani o przyczynę

złego humoru odpowiedzieli, że praca będzie daremna i zmarnowane nasienie, bo za czasów folwarcznej gospodarki nigdy na tym polu nie było urodzaju, widywano tam tylko marne żyto i owies, które słońce zawsze przypalało. Spojrzałem na mapy szacunkowe: III-cia klasa, więc nie wiem co rzec, aby ich pocieszyć. Wieczorem, wracając z pracy znowu wstąpili, ale już z rozjaśnionymi twarzami. Z dala wołają: — „Panie, tam się nawet pszenica urodzi, ziemia dobra, jeno ździebko głębiej pługiem sięgnąć". Powszechnie też obserwowałem fakt, że wieśniak często nie ma pojęcia o rodzaju i wartości roli swego najbliższego sąsiada, a w jego psychice najlepszym polem na całym świecie — to jego własne, pole zaś jego sąsiadów ma w jego wyobrażeniu zawsze wartość o wiele niższą.

Widziałem też chłopa, który płakał i śmiał się jednocześnie, a był to zażarty i najbardziej czynny zwolennik komasacji, około 60-letni właściciel 50-o morgowego gospodarstwa. Gdy mierniczy wytyczył mu nową działkę, w skład której nie wchodziły grunty „po ojcach", siadł na miedzy i rzewnie zapłakał mówiąc: „Hu, hu, jaki ja głupi... wiem, że komasacyjo dobra jest i że sam na niej dobrze wyszedłem i wszyscy ludzie też... hu... śmieszno mi, że mi się tak samo płacze."

Bywały i jaskrawsze kawałki, bo nieraz razem z mierniczym przełknąć musieliśmy soczyste grubiaństwa, przy czym groził mi czasem podobny los, jak za ostrzyżenie głów dziecięcych. Raz pewien opozycjonista zagroził mierniczemu siekierą, nie dozwalając na pomiar swego obejścia, przeto żandarm musiał go przymknąć wraz z żoną i dziećmi w jego własnej stajence, gdzie wszyscy przez godzinę wrzeszczeli, jakby ich ze skóry obdzierano, dopóki obejście nie zostało pomierzone.

Przed scaleniem łąki pozostawały w szachownicy z łąkami sąsiedniej miejscowości, przeto obszar sąsiedzki przesunięto poza posiadłości naszej wsi, w następstwie czego działy łąkowe poszczególnych właścicieli zmieniły dotychczasowe miejsce i otrzymały inne granice. W okresie pierwszych sianokosów przybiega zaaferowany chłop i mówi, że obywatel sąsiedniej wsi nie uznaje nowych granic, ale dalej kosi łąkę, jaką miał przed komasacją, a było tej łąki ponad półtora ha. Na to może pomóc tylko sąd i adwokat — powiadam. — Panie, niech pan coś lepszego doradzi; proces trwać będzie kilka lat, a czym ja w zimie bydło nakarmię? — Cóż było robić. Chłop miał słuszność, a poza tym wartość siana przeprocesują obaj w sądzie. Kazałem mu nie przeszkadzać, aż przeciwnik siano skosi i wysuszy, a gdy już będzie gotowe do zebrania zwieźć je nocą do swojej stodoły. Przy zabieraniu siana uważać, aby przeciwnik go nie pilnował, bo mając widły w ręce obaj mogą dopuścić się zbrodni. Poza tym trzymać język za zębami i nie zdradzić planu nawet rodzonej żonie, dziecku lub bratu. Chłop był rozważny i zrównoważony, przeto odważyłem się tę radę zaryzykować. Kazałem mu udawać, że się z dokonanym faktem pogodził, a nawet demonstracyjnie obchodzić łąkę przeciwnika i rozgłaszać, że bę-

dzie ją kosił trochę później. Radę wykonał skrupulatnie, a poza tym całymi dniami siadywał w życie, obserwował postępowanie przeciwnika i zauważył, że zwiedziony jego zamiarami, siana nocą nie pilnuje. W stosownym momencie najął dwie furmanki u swych krewnych we wsi sąsiedniej i nocą ukradł swoje własne siano i zwiózł do stodoły. Dumnie chodził po wsi i ogłaszał: niech mię teraz skarży do sądu. Na drugi dzień niefortunny sianokośca przyszedł z rana na łąkę, pomedytował, a po południu już kosił — tym razem własną łąkę. Po kilku tygodniach widziałem obu przeciwników, jak stali pod kościołem w niedzielę i grzecznie sobie gawędzili; naturalnie, że o zwrocie kosztów za skoszenie i wysuszenie siana nie było pomiędzy nimi żadnej wzmianki.

Po objęciu zakupionych gruntów folwarcznych nadarzyła się okazja do nowej stękaniny. Grunty te były zaniedbane, obornikiem od dziesiątków lat nie nawożone i forsowane nawozami sztucznymi. Ponadto na pewnej przestrzeni grunty te posiadały jaskrawo odcinającą się t. zw. plamistość: ciężkie gliny poprzeplatane żyłami lub pasami żwirowatego piasku. Jeden z gospodarzy otrzymał około 1 ha górki, którą nawet folwark, posiadający silne narzędzia i zaprzęgi rzadko kiedy orał, gdyż trzeba było utrafić w czas, kiedy ta ciężka glina nie była za sucha ani za mokra.

Spotkałem raz właściciela z pługiem, zaprzężonym w trójkę silnych koni przy podorywce; stalowy pług nie imał się gliny. Oracz patrzył ponuro, splunął i rzekł: „nie poradzi... skaranie Boże, co ja z tym gliniskiem zrobię?“ Poradziłem mu, aby w czasie wolnym od pracy woził na tę glinę piasek, którego dość dużo było w pobliżu i wytłumaczyłem mu następstwa poprawy struktury gleby. Poleciłem mu, aby corocznie po trochu zasilał glebę piaskiem i mieszał go przez mechaniczną uprawę. Zabrał się do pracy bez wiary, ale za to z jakąś chłopską pasją; nie słuchał rady, ale walił piasek wcale grubą warstwą, a z początkiem listopada przeorał i przemieszał kultywatorem; praca szła nader żmudnie, bo tłusta glina zlepiała się w grudy, to też kazałem mu zaczekać na skutki mrozu. W ten sposób pierwszej jesieni uprawił około ćwierć ha. Z wiosną zasiał na całej górce owies. Kwiecień i maj był bezdeszczowy; na doprawionej piaskiem glebie ziarno zeszło gęsto i równo, na reszcie pola rzadko i niejednostajnie; podczas dalszej wegetacji z daleka można było obserwować różnicę. Po roku zabrał się do dalszej uprawy piaskiem, pilnie obserwowany przez sąsiadów. Po jakimś czasie zaczynają się chwalić przede mną: — A ja na swoje pole wywiozłem też 300 fur piasku; — a ja na swój piasek nawiozłem warstwę gliny; — a ja przez siedem tygodni woziłem glinę na piasek, a w drugim miejscu piasek na glinę i już utraciłem rachubę fur i będę choćby przez całe życie woził byle glebę poprawić. Po dwóch latach pilnie wykorzystują każdy czas i z mrówczą wytrwałością poprawiają strukturę gleby wszyscy. Podobnie czynią na łąkach. Na górkach i na zapadłościach zdejmują pracowicie darń na sztych łopaty i odkładają z boku; z górki nawożą

podglebie do dołów, wyrównują i układają darń z powrotem na swoje miejsca. Po pierwszym deszczu trudno się zorientować, w którym właściwie miejscu dokonano ogromnego nakładu pracy. Gdy podczas tych trudów patrzę na ich poczciwe, uśmiechnięte gęby, myślę sobie: gdyby jeszcze te umysły rozjaśnić światłem nauki i wiedzy fachowej, pracowitość chłopa polskiego dokonałaby cudów w Europie. A gdyby tak jeszcze uzdolnić ich do czytania książek o gnoju, nasiennictwie, wieprzach, żołądku krowim, weterynarii i higienie, uspołecznić, związać w spółdzielnie rolniczo-handlowe, zmotoryzować i zelektryfikować, wówczas już by śmiało można u wejścia do każdej wsi wywiesić tablicę: Psom i politykom wstęp wzbroniony.

Po ukończeniu komasacji wystąpiła jaskrawo sprawa drogi, wiodącej przez wieś do dworca i najbliższej szosy. Wieś już miała co odwozić i przywozić. Dotychczasowa drożyna była wąska, z imitacją rowów po obu jej stronach, które corocznie poprawiano przez przejechanie pługiem. Od listopada do końca maja trudno było po niej przejechać próżnym wozem, gdyż koła grzęzły w błocie po osie. Po obu stronach tej drożyny tkwiły nieszczęsne jabłonie i grusze, posadzone pruskim sposobem przed rowem, tuż obok drożyny. Pnie były odarte z kory, gałęzie połamane, jak zwykle drzewa przy polskich drogach. Z czasów pruskich istniał zwyczaj, że w marcu każdy właściciel pola musiał obrać z oprzędów te drzewa, które rosły wprost jego posiadłości; w czasach polskich nikt już tego nie przestrzegał, to też w lecie drzewa stały bez liści, pokryte masą gąsienic. W pruskich czasach wtrącała się w te sprawy żandarmeria. W Polsce żandarmerii nie było, ale za to istniała policja, zorganizowana nie na sposób polski, ale angielski. To też takie sprawy wcale jej nie zajmowały, boć przecież stworzona była do celów wyższych. Z równym pożytkiem można było uszczęśliwić Buszmenów konstytucją angielską. Otóż te drzewa stanowiły na równi z drogą własność gminną, a tym samym wystawione na pastwę wszystkich łobuzów wiejskich od lat czterech do siedemdziesięciu dziewięciu włącznie. Nikt na nich nigdy owocu nie widział, a o ile się pojawiły, obrywano je wraz z gałęziami. Opowiadano, że pewien niedoświadczony biedak wydzierżawił te drzewa od gminy za kilkanaście złotych; od wczesnej zorzy do późnego wieczora siedział nieustannie na rowerze, jeździł z jednego końca drogi w drugi jej koniec, pilnując drzew od szkodników, ale nie upilnował i pieniądze stracił; od tego czasu nikt na ten interes nie poszedł.

Sprawę tej drogi wziął w swoje ręce wydział powiatowy. Drzewa wycięto i sprzedano na licytacji. Drogę rozszerzono o przeszło 2 m, naturalnie kosztem sąsiednich gruntów, wykopano solidne rowy. Kolej nadesłała popiołu, a wieś według nakazu z góry popiół ten pozwoliła grzecznie na drogę rozsypać. Powstała nawierzchnia, podobna do asfaltowej, elastyczna, równa i zawsze sucha. Nigdy by jej tu nie było, gdyby nie rozkaz władzy.

Pomyślano też o obsadzeniu tej drogi drzewami; pokopano jesienią doły, z wiosną przywieziono solidne pale i posadzono po obu stronach drogi szereg dorodnych grusz na długości 6 km; a posadzono poza rowem, od strony pól chłopskich, w odległości 30 - 40 cm od rowu. Obywatele w krzyk: wzięli pole pod drogę bezpłatnie, a ponadto jeszcze wjechali dalej z drzewkami — ratuj profesorze! Poradziłem: z władzami nie zaczynajcie muzyki, bo nie wygracie; aby drzewka wam nie przeszkadzały w gruncie i abyście mieli z nich pożytek, kupcie je sobie od powiatu; gdy za nie zapłacicie, to może je będziecie szanowali. Posłuchali, załatwili sprawę w wydziale powiatowym i, o dziwo! — podczas posuchy, drzewka nawet podlewali, a poluzowane przymocowywali do palików, naturalnie nie wszyscy. Pielęgnacja drzewek pozostaje nadal pod komendą dróżnika — i może co z tego będzie. Naturalnie, że nie obeszło się też bez szkód, bo sporadycznie spotykało się tu i ówdzie drzewko uszkodzone lub złamane, ale też zaraz wsadzano w to miejsce inne. Pierwszego wiosennego dnia spostrzeżono brak dwudziestu kilku drzewek. Szukano długo — i znaleziono: przyjechał sobie nocą zamożny gospodarz z synem na parokonnym wozie, z miejscowości oddalonej o 12 km, drzewka z korzeniami powyciągał i założył sobie sadek koło chałupy; pozostawiono mu te drzewka, na ich miejsce wsadzono jesienią inne, a co było dalej, to już tajemnica służbowa prokuratora.

Jedną z ropiejących ran wsi polskiej, to obraz chłopskich ksiąg wieczystych, wskazujących na stan majątkowy. Sprawa ta od samego początku postawiona jest niewłaściwie. Chodzi tu o t. zw. nierealne obciążenia hipoteczne. Od r. 1854 w b. zaborze pruskim wpisywano chłopu do księgi wieczystej najrozmaitsze tytuły wierzytelności, a pomimo ich uregulowania, hipoteki nadal wykazują, że ich realizacja nie pokryje procentu od procentów wpisanych tamże wierzytelności. Przy reformie ustroju rolnego staraliśmy się na wszelkie prawne sposoby oczyścić tę stajnię Augiasza. Wpłaciliśmy notariuszowi kilkaset złotych na konto regulacji wierzytelności hipotecznych i sprawa nie ruszyła z miejsca. Przyczyną tego stanu rzeczy jest w pierwszym rzędzie brak rozumienia tej sprawy przez samych włościan, jak również luka w ustawodawstwie, dopuszczająca do zabagnienia tej dziedziny na przestrzeni całego stulecia: brakło ustawowych sankcji do regulowania hipotek w przepisanym czasie po spłaceniu należności. Poza tym na drodze stanął od samego początku ewidencji stanu hipotecznego krwiożerczy wampir w postaci niewspółmiernych opłat rejentalnych, które odstraszają włościan od poruszania tych spraw. Sprawa ta jest nadal niewyjaśniona. Reforma rolna pozostawiła ją w niejasnej sytuacji — a przydałby się tu przewiew huraganowy.

Ignorancja jest przywilejem każdego stanu, czy zawodu, trudno bowiem wymagać od każdego wszechstronnego wykształcenia. Medyk może doskonale się obejść bez znajomości oczkowania róż, krawcowi wcale nie potrzeba wiedzieć o chemii aniliny. Trudno jest natomiast wyobrazić so-

bie lekarza, który by nie znał zastosowania jodyny lub szewca nie znającego zródła kupowania szydeł. Z chłopską ignorancją jest u nas gorzej. Mieszkańcy wiosek pod Kałuszem nie wiedzą, do czego służy sól potasowa i wcale jej nie używają; hodowcy bydła rządzą się zabobonami; producenci zbóż nie posiadają wiadomości o selekcji czy standaryzacji ziarna; sadownicy nie potrafią odróżnić turkucia-podjadka od piędzika-przedzimka; hodowca jarzyn jest bezsilny wobec napadu mszyc czy bielinka kapustnika; gospodynie nie znają sposobów odżywiania swych rodzin. Większość narodu nie zna zasad higieny. Włodarze kraju wykazują rozmach w sprawach ogólnych, obliczonych na teatralny poklask, a nie zniżają bohaterskiego spojrzenia na niziny, gdzie drobny trud codzienny stwarza byt i przyszłość państwa.

Nie ma też wieś polska swego piewcy. Konopnicka łkała tylko nad dolą wieśniaczą; Reymont patrzył na wieś okiem poety, słyszał wprawdzie gruchot ziemniaków oraz widział w deszczu zbiórkę kapusty, ale nie wziął tych produktów do ręki; jeden żeromski dostrzegał niedorozwój prostaczej duszy, zbywając go zjadliwym uśmiechem. Ktoś inny obserwował lud przez „swoje okno“ w kawiarni.

Lud polski oczekuje swego Mojżesza (z solidną pałką w ręce), który go wyprowadzi z ziemi egipskiej, z nędzy, ciemnoty i niedoli i przygotuje do zadań, oczekujących nań w wolnej ojczyźnie. Droga to jeszcze długa, żmudna i ciernista, wiodąca po pustyni pełnej zdrad i niebezpieczeństw zejścia na manowce. Mojżesz nie dojdzie wprawdzie za życia do ziemi obiecanej, ale ci, co nastąpią, na pewno dojdą. Do współczesnych należy wołać i prostować ścieżki, a także zasypywać wilcze doły sercem ofiarnym, a przezornym. Bezwład wsi wypływa z powszechnej ciemnoty i nie liberalizm, ale żelazna energia wraz z oświatą postawią ją na właściwym miejscu w niepodległej ojczyźnie.

*

* *

Notatki te spisano jednym tchem w ciągu kilku wieczorów, wolnych od nawału zawodowej pracy. Na konkurs napłynie z pewnością spora liczba prac ludzi wybitnych, posiadających poza sobą błyskotliwe efekty pionierstwa społecznego. —Praca ta powstała na świadectwo, że i skromny nauczyciel usiłował dorzucić cegiełkę do skarbnicy dobra narodowego, jakkolwiek te porywy podobne były do wzlotów wróbla na nitce. Pisanina ta musiała być obliczona raczej na ilość, aniżeli na jakość: zawodowa ambicja wetknęła pióro do ręki dla zadokumentowania, że nauczyciel wiejski — ten „taki sobie chłopak“ — czuwa, wierzy i targa się w wysiłkach, mimo obojętności społeczeństwa i ciemnoty środowiska, dla którego niesie ofiarnie trud swego życia.

S., 1.I. 1936.

Lp. 2

Były ziemianin

z Kijowszczyzny, obecnie w Poznańskim.

Ryngraf herbowy.

Całe swoje życie był właściwie takim sobie ot „łataczem-połatajką". Wciąż na odrobku. Dziur w całym nie wyszukiwał. Ale gdzie mu się widziała jakaś dziura, gdzie się jakieś szwy społeczne rozłaziły, starał się ręki przyłożyć, by chleba darmo na świecie nie zjadać. Odrabiał to, co mu w rękę do odrobienia samo wchodziło i starał się budzić sumienia — dla współdziałania.

Był radykałem i konserwatystą. Uważał, że wypada być konserwatywnie zachowawczym. Zachowywać w rozwoju zdobycze tej największej w dziejach świata rewolucji, jaka się narodziła w Betlejem — z życia Chrystusa, który jako człowiek żył urastając w obcowaniu z przyrodą, w życiu wśród pól, w zaciszu domowym, w środowisku drobnych rolników — rękodzielników. Już u kolebki rewolucyjnej Chrystusa stał horoskop: „Walcz o Prawdę, aż do śmierci". To samo zawołanie — Miłość Prawdy — dźwięczy każdemu przy chrzcie. Towarzyszyć to powinno przez całe życie każdemu. I każdemu naszemu rolnikowi - żołnierzowi też. Chciało mu być wiernym i życie tutaj spisane. Miłość ziemi dodawała mu siły.

Urodził się „Partyzant" w r. 1865 na Kijowszczyźnie, a teraz w r. 1936 stoi na uwrociu 50-lecia swej życiowej orki.

Mimo ideału, jaki ma każdemu przyświecać, załamał się oczywiście nie raz i nie dwa. A jeżeli się załamywał, ale nie złamał, zawdzięcza to zrządzeniu Opatrzności, w tym także tej, co przy nim stanęła, jako dozgonna towarzyszka pracy, kiedy już miał lat 52, pancerna w moc, o jakiej mówi Pismo św., ukazując posłannictwo niewiasty.

Starał się być wiernym samemu sobie i często to mu się nie udawało. Nic to! Chroni to od pychy, a utrzymuje w pokorze. Ale nie mógł patrzeć, że — według starego wyrażenia — „ćma nasza własna nas pożera", jako ta hydra legendarna i że gnębi nas ów zniesławiający nas „kołtun polski",

który w smutnym wyniku warunków objawia się też jako kołtun w znajomości katolicyzmu...

Bojować musiał boje swoiste, dziedzicznie obciążony tradycją herbową Płowiec. Tam wr. 1331 przodek jego Florian Szary w bojach z krzyżactwem, w nierównych zmaganiach Łokietkowych oddał swe „jelita". Więc trzy włócznie, co mu w tych jelitach utkwiły, w nagrodę do swego herbu Koźlerogi na tarcz herbową otrzymał na wieczną rzeczy pamiątkę. Nie dla czczej chwalby — ale ku pamięci: pamiętaj, żeby i potomkowie nie zapomnieli, że mają tak bojować... Obraz pola walki z tym szarym przodkiem stawał wciąż w wyobraźni dziecka i rył na czole zmarszczkę zadumy: okropność! lec tak w polu z wyprutymi wnętrznościami... i te trzy groty w nich tkwiące... Ale jacy to ludzie wtedy twardzi byli!? A teraz?

Z biegiem lat obraz ten stawał mu się obrazem Polski. Tak samo legła ona pod przemocą trzech. Ale nie kona, choć tak zesłabła! żebyż jak on odżyła, choć samemu może lec przyjdzie.

Ojciec „o takich rzeczach" z dziećmi nie gadał. Bo i po co? — samo przez się wszystko się rozumie. A gadać? — samo drugie przykazanie daje nakaz: „Nie będziesz..."

Zgodnie ze zmianą czasów i okoliczności wypadło tak, że dorósłszy wypruwać sobie istotnie zaczął „jelita". Ale bezboleśnie: jelita kieszeni. Nie był to z jego strony żaden histeryczny ofiaryzm, ale w lepszych chwilach ogólne u nas odczuwane historyczne narodowe obciążenie. Nie odczuwał też, żeby to miało być jakieś „wyrzeczenie", umartwienie, poświęcenie, czy jak tam inaczej brzmią te wszystkie inne wyświechtane, niestety, słowa. Robił to nie tylko bez najmniejszej przykrości, ale nawet z całą satysfakcją. Uważał też to za prosty obowiązek. Pełnił tylko to, co uważał za całkiem naturalne. Przecież jest to ustanowienie sprawiedliwości bożej, w prawodawstwie staropolskim przypominane, że „każdy kto ziemię dzierży — służyć ojczyźnie musi, bo ziemię dla służby otrzymał. A kto nie wychodzi w pole, temu grozi utrata mienia". Bo ziemia czy nie ziemia — wszystko, co „naszym" nazywamy — wszystkie siły i środki, nie nasze jest przecie, ale sprawie należy: bożym jest, a nie naszym!

Zarys życia tu podany — to zarys kształtowania się formacji wewnętrznej, z której urasta reszta sama przez się — jak z rozwojem drzewa, z męczącym nieraz dojrzewaniem życia, sama przez się dojrzewa jak owoc. Nie zawsze od razu dla nas! A zresztą: „nic to!" Choćby też, jak twierdził Imć Pan Podbipięta, „nie przywykszy wisieć hadko". I jeść się chce"...

Ilustracja wstępna.

A na wstępie okrazek środowiska, w jakim materialnie i duchowo urasta on do tworzącego życia:

„Idź, w dzikie pola, kędy życie chrobre
i exercitium dla młodego dobre:
zawdy na koniu i zawdy w obozie,
w służbie, w posłuchu i hetmańskiej grozie...“

(Pol, Mohort)

... Ty czasem przenoś moją duszę utęsknioną do tych pól...

Krzepa z przeszłości niech daje krzepy na przyszłość. Przodkowie oddawali Polsce daninę krwi — my nie szczędźmy krwawicy, chroniąc ją przed wszelkim drapiestwem... (z reminiscencyj).

Jego „szczenięce lata“.

A nazwisko właściwe? O nazwisko na razie mniejsza. W publicystyce miał nazwisk dużo, jak w życiu różne role. Urodził się, jak była wzmianka, na Kresach Dnieprowych, na Kijowszczyźnie 24 stycznia 1865 r. Jedna z niewiast później kiedyś wzięła do ręki „Horoskopy“ z dzieł Mickiewicza i pod dniem tym odczytała: „Osiędziesz cicho na wsi i czuwać będziesz coć przyniosą wypadki.“ Częściowo miało się spełnić. Niby jakiś harcownik starej daty siedział na uboczu i tylko robił wypady, gdzie mu wypadało. A potem znów zatykał „szabelkę“ na zagonie, prowadząc dalej swą orkę i tylko obserwował, czy znów nie trzeba gdzie „doskoczyć“?

Metryka rodu? w oddali wieków wyprowadzona z pod Sieradza, z Mazurów, dawnej Wielkopolski.

Hasło rodowe? — „To mniej boli“, wszystko mniej boli niż zły, nieżyczliwy sąsiad. To zostało z owych czasów. I pozostał nad herbem „Kozioł rogaty“: obraz uporczywości: aby i złych sąsiadów — po dobrej woli czy inaczej na lepszych przerabiać, spokojem a wyrozumieniem zjednując.

Miejsce urodzenia, — Jest tam na Rusi rzeka Roś, dorzecze Dniepru. A do tej Rosi wpada rzeczka S., biorąca początek u powiatowego grodu nazwiskiem Sk. W widłach rzecznych między S. i Rosią, a w połowie drogi do ich spływu i Sk., około 12 km od tego grodu i tyleż od kąta rzecznego w tym trójkącie była wioska dworska P. Nazwa dziwaczna? Skąd poszła? jaki źródłosłów? Ojciec przed dziećmi „o takich sprawach“ nie lubił się rozwodzić: „żeby się im w głowach nie poprzewracało: szarzy jeszcze — a smarkaczom zacznie się nie wiadomo co robić“... Kiedyś jednak, będąc w dobrym humorze pozwolił dzieciom podrosłym, w starych papierach „pogrzebać“ — oczywiście przy sobie... (Po tym dniu wszystkie te papiery gdzieś zostały schowane i nigdy więcej oko ludzkie ich nie widziało...) Grzebały sobie wtedy dzieci i dogrzebały się różnych ciekawych dla siebie rzeczy: „O — papo — ależ był i kasztelanem “ — I niejeden... ale co tobie do kasztelana? ty Krzysiu miałaś tylko pochodzenia P. szukać! — Zaraz, papo, zaraz... i sędzia kapturowy... i jacyś biskupi... krakowski „Jelita, pisał się z Mokrska... gdzie to jest?

— W Kieleckim, pod Chęcinem nad Nidą, gdzie Piotr Kmita siedział patrząc na królowę Bonę na zamku Chęcińskim. — O, i starosta grodzki lwowski... aha! to tędyśmy szli, aż doszliśmy do P... ale skąd ta P.? Ano, jest akt nabycia — zastawu: dawna Wiśniowiecczyzna — kniazia Jaremy latyfundium przeszło do nas od Mniszków... o, czytaj: „P.“

Dziedzina P. ciągnęła się od ujścia S. pod S., blisko 24 wiorsty. Większą część wzięli P., a część my — nasi przodkowie — jak stoi w papierach. Cały ten trójkąt — 24 wiorsty wzdłuż i blisko tyleż wszerz między R, S. a S. — był to kiedyś widocznie jeden z tych bastionów ufortyfikowanych okolic, broniących bezpieczeństwa kraju przed najściem tatarów czy ruchawkami hajdamaków. Dwa boki chronione były przez bagna ponad R. i S. — a od strony lądowej w centrum była „warnia“ główna, „gród“ i szereg horodyszczy strażniczych. Na Podegrodziu jako załoga główna siedzieli Sebastianowicze — osadnicy wojskowi. Podczas ówczesnych ruchawek załoga została wymordowana co do nogi i „warnia“ stała się już na zawsze „pusta“.

Urastał nasz mały w otoczeniu tego, co dawała ziemia: wspomnienia przejść dziejowych i wspomnienia ludzi z tą ziemią ongiś zrośniętych. Urastał w duchowym obcowaniu z ziemią, przy ziemi, dla ziemi, z podświadomym poczuciem pracy z nią, przy niej, dla niej.

Ale nie tylko ziemia wychowywała małego. Dwór dość obszerny, o 22 izbach, rozłożysty, mocno przysiadły i przyrosły do ziemi pełen był również wspomnień z czasów dawniejszych. Z portretów na ścianach patrzyli na potomków przodkowie i ludzie, których te ściany chciały mieć wśród siebie. Pradziad — nowonabywca pustej warni i pradziad podkomorzy, konfederat barski, i syn jego napoleończyk, kapitan 5 pułku strzelców konnych — na portrecie młodziutki jeszcze, ale widocznie nieźle się sprawiał, jeżeli go w pochodzie na Moskwę wciąż komenderowano w przednią straż, a po klęsce kazano osłaniać odwrót... Przez Berezynę przeszedł ostatni, po palących się belkach mostu. Kiedy przyszedł rok 1931 zwrócono się do tego małego kapitana, aby objął przywództwo nad całym ruchem ną Rusi. Odmówił: „Nie ma z kim iść — nie ma wodza“ — była krótka odpowiedź. Punktem zbornym stała się więc K. panów L., z L. — Tatarów. Dziś z portretu patrzył kapitan swymi bystrymi oczkami na gromadę wnucząt: co też z nich wyrośnie? Czy przyjdzie ktoś, z kim by iść można? Obok niego wsparty na szabli książę Józef i w ciemnym bronzie Kościuszko i portret brata kapitana pana Bonawentury, tego samego, któremu wraz z jego żoną poświęcił Mickiewicz swego „Konrada Wallenroda“. Tu nad nim w tej P. pracował, robiąc wycieczkę do „Hołowińskich domu nad brzegami Rosi“, gdzie rosła owa uwieczniona w Panu Tadeuszu „lipa tak rozłożysta, że pod jej cieniami sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami“: pani kapitanowa była właśnie stamtąd, Hołowińska z domu, a państwo Bonawenturostwo byli z tych wędrownych ambasadorów polskich, co jej sprawę po

całej Europie obwozili, w powrotnej drodze przywożąc do kraju różne pożyteczne (i mniej pożyteczne) innowacje. Spuścizna tych wędrówek przetrwała do wojny światowej. Kiedy w r. 1916 zaczęły przypływać rzesze uchodźcze z Korony, zwłaszcza z Łomżyńskiego, gnane na wysiedlenie na Sybir; kiedy na odezwę Władysława Grabskiego Związek Cukrowników zakrzątnął się i zrobił podanie do rządu carskiego, aby choć część tej blisko sześćsettysięcznej rzeszy, według wyrażenia Melchiora Wańkowicza z Mińszczyzny, „zwekslować" w cukrowniane nasze strony, ponieważ nie ma komu buraków kopać i odstawiać do fabryki, bo mężczyźni z furmankami pędzą aż het pod Kraków (tutejsi doszli aż do Wieliczki), „Partyzant", został przez powiat obrany komisarzem Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi na okręg S. a z P. stworzyła się okręgowa Centrala. Jeszcze o tym pomówimy szczegółowiej. Ale przede wszystkim trzeba było łomżyniankom dać zajęcie: „omżynianki" a „kurpsianki" bez tkactwa żyć nie mogą. Warsztatów ani przysposobień nie było. I oto ze strychu przyszedł na pomoc rynsztunek tkacki państwa Bonawenturostwa z przed lat stu. Majsternie folwarczne przy współpracy uchodźców zaopatrzyły w warsztaty tkackie osiedla uchodźcze miejscowe i okoliczne.

*

* *

Przypisanie państwu Bonawenturostwu Konrada Walenroda stało się jedną jeszcze kroplą do złej miarki, jaką gniazdo tutejsze miało u moskiewskiego rządu: dziad zawzięty konfederat, synowie — jeden czołowy napoleończyk, drugi ma coś do czynienia z Wallenrodem? a jeszcze i zwie się „Bonawentura". Co znaczy „bona ventura"? — jakie to „dobre rzeczy" mają przyjść? Przyszłego spadkobiercę schedy P., ojca naszego Partyzanta otoczono więc specjalną „opieką". Kiedy przyszła kampania węgierska 1849 r. wcielono go pod grozą konfiskaty majątku do armii walczącej przeciw Węgrom. Na wojnę poszedł. Wrócił pod urokiem Bema. Do końca życia mówił o nim: żeby to w trzydziestym pierwszym stanął był na czele! Po wojnie wybrał się jeszcze do Turcji do rodaka swego — do Czajkowskiego, który podobnie jak Bem przeszedł na Islam i stał się Sadykiem Paszą, podobnie jak Bem — Muradem Paszą.

Po powrocie z kampanii węgierskiej ojciec został obrany sędzią obywatelskim i zastępcą marszałka szlachty — faktycznym jego wyręczycielem. Ale miał ciągły miecz nad głową. Poza „skwiernym" pochodzeniem z gniazda „niebłagonadiożnych buntowszczykow" miał na sobie jedną jeszcze niemałą kondemnatę. Pan sędzia chrzczony był przez miejscowego parocha w unickiej miejscowej cerkwi. Kiedy wyszedł ukaz o skasowaniu unii, ukaz, żeby wszystkich unitów „przepisać" na religię państwową, a świątynie unickie „upaństwowić" (według prowadzonych badań obecnych przeszło 600 świątyń „upaństwowiono" — zabrano na prawosławie), zaczęto szeptać wszędzie, żeby zarejestrowani zostali i wszyscy Polacy na Rusi,

mający choć cień styczności z unią. Zbytnim szperaniom na razie udawało się zapobiegać. Ale jako do sprawującego funkcje marszałkowskie zwracała się do Sędziego liczna drobna szlachta. Wielu z nich znajdowało się w podobnym położeniu. Trzeba było zaradzić i samemu się nie narazić. Bo i co by komu dobrego z tego przyszło? Trzeba było ducha podtrzymać, religię podtrzymać, bo za utratą języka, którego i tak tyle zaprzepaszczono, przyszłaby utrata wszystkiego.

W tym, jak i w poczuciu odpowiedzialności, wychowywał się nasz Partyzant wraz z całą urastającą „załogą" swego rodzeństwa! Przyszły nasz działacz było to takie chuchro, że zaopiniowano, iż nic z niego nie będzie.

Ojciec Antoni, kapucyn z Chodorkowa, bywając dla sycenia miodu a krzewienia wszędzie franciszkańskiej duchowej atmosfery, bez zwracania rządowego oka, przyoblekł małego chuchraka we franciszkański habit i jakoś to się chowało. Małe to było, jak palec, a złe jak padalec — głosiła zgodna opinia bon i matek. I opinia powtarzała: „Nic dobrego z niego nie będzie! Chyba jakiś diabeł w nim siedzi. Możeby tak jeszcze księdza kapucyna poprosić, żeby jakiegoś egzorcyzmu użył?" Z całego dziesięciorga rodzeństwa nikt chyba nie był tak często bity, jak on. Matczyne serce rozgrzewało w nim wprawdzie lepsze czucia, ale był tak gwałtowny i popędliwy i uparty w tym, co uważał za swoją rację, przeczulony też przez chorowitość, że biedactwo czuło się wciąż ukrzywdzone, zapoznane i nieszczęśliwe. Zapłakiwał się też po kątach, na strychach czy w burzanach, albo w olszynie, gdzie zwisające festony chmielu zakrywały go przed całym światem, a pokrzywy broniły dostępu. Tak w ciszy, a samotni „puszczy" wysiadywał i zapłakiwał się nieraz, że i mamusia nad nim płacze i wszyscy dokuczają, a on chce być dobrym, tylko jak przyjdzie co do czego, jak tylko coś nie tak, jak mu się zdaje, to on nie może, nie może ustąpić... i nie może wytrzymać! „Człowiek musi się sam przez swoją własną głupotę przebojować" jak mówią Niemcy — musi mu się własne okienko otworzyć...

Pomału — ale to bardzo pomału — otwierały mu się te „okienka". Otwierały się oczy na różne sprawy. I ukazywać mu się one zaczęły w innym niż dotychczas świetle. Ojciec wzbudzał w nim wielki strach. Był w stosunkach ze wsią twardy po wojskowemu. Choć pańszczyźniane poddaństwo prawie już nie istniało, czuł się zawsze panem swych poddanych, odpowiedzialnym za nich, dbałym o rygor ojcem, po żołniersku wszystko krótko w ręku trzymając.

Dziwnym się np. wydawało, że przy kojarzeniu się małżeństw we wsi zabierał głos i dwór; że „Pan Sędzia" dbał o to, aby starym obyczajem każde posadziło przy chacie po pare drzewek owocowych. Chaty musiały być utrzymane w porządku. Gospodynie staranniejsze, jak i dziewczęta czy chłopcy, mogli być pewni, że się o nich przez całe życie nie zapomni. Dziewczęta pracujące na folwarku i w ogrodzie dworskim stale się zaopatrywało

w nasiona, rozsady warzyw i kwiatów: od nich szło to na całą wieś. A jak szła która zamąż, to się o niej też pamiętało. Przez wymienianie jaj kurzych i udzielanie rozpłodników szerzyła się lepsza kultura. Owczarz Francuz, sprowadzony dawniej ze Szwajcarii wraz z córką, przychodził ludziom też z dobrą radą. Odżywianiem interesował się Pan Sędzia sam. Biada babie, u której barszcz nie był jak należy! *„To ty tak za swoho czołowika i ditej dbajesz?!!!“* *)

Niektóre nowości trzeba było czasem zaprowadzić i przemocą. Pamiętam scenę z pomidorami. Pomidory zaś bardzo prędko się zaprowadziły...

Stajnie i konie i „kozacy“ przy nich — wszystko to odgrywało dużą rolę. Stadnina była na liście stadnin państwowych, był więc i prawny pretekst, żeby trzymać i dużo koni i dużo chłopów. Wszystko to odpowiednio się musztrowało. Po remonty zjawiali się czasem liweranci i z Austrii i ci bywali widziani najchętniej. Nędza Galicji nie była jeszcze ujawniona, Kraków miał zawsze duży urok i nadzieje na przyszłość tam się krzepiły. W owe czasy daleko jeszcze było i do Stanisława Szczepanowskiego i do Wyspiańskiego i do jego „Wesela“ i do jego rewelacji, że o wielu rzeczach tam opowiedzieć można, że to „ino granie...“

Pod okiem Sędziego, dawnego kawalerzysty, ćwiczyli się ludzie i konie, ćwiczyli się w początkach i czterej starsi panicze, hartując się z czasem w kilkudziesięcio-wiorstowych przejażdżkach. Musztra była wojskowa. Na wszelki wypadek.

Nasz mały ćwiczył z pasją, choć szło mu niesporo. Bo miał i oddech dziwnie krótki, tak że później, gdy dla nauki przeniosła się matka do Kijowa, pod żadną górę wejść bez zadyszki nie mógł. Ale z czasem i z wiekiem nabrał wytrzymałości i wyrobił się nawet na wytrawnego piechura.

Ze wspomnień wynurza się postać zacnego rządcy Wielkopolanina, choć był krótko. Był bardzo gorliwy i pełen wiary i dobrych chęci w zaprowadzaniu porządków wielkopolskich. Bywało jednak i dużo wesołości, kiedy się przekonał, że nie wszystko co „u nas w Wielkopolsce“ jest dobre, odpowiednie być może w „Dzikich Polach“—np. niemieckie szosowe ciężkie furgony. Ale dowiadywaliśmy się o Wielkopolsce—dowiadywaliśmy się potem i o Śląsku, z okazji wagonu pszenicy wysłanej tam na zew Karola Marki, kiedy Śląsk głodował. Stawało się to nićmi do nawiązywania jakiegoś czucia między dzielnicami. Podobnie jak ta pszenica, tak później kresowe ruble naszych baronów cukrownianych silnie współdziałały odpowiedniej parcelacji w Wielkopolsce.

Pierwsze szkoły.

Do szkół oddano malca wraz ze starszym bratem do Warszawy — do 3-go gimnazjum, w dawnych murach misjonarskich przy Św. Krzyżu. By-

---

*) „To ty tak dbasz o swego męża i dzieci!“ Red.

ło to w roku 1875. Umieszczono ich u profesora tego gimnazjum p. A. S. „Swoich“ traktował ostrzej niż obcych, a to żeby się z nich wyrobili twardsi ludzie. W domu prywatnie uczy ich sam „polskiego“ w polskim duchu. Dużo czasu szło na dobre zapoznanie się z „Panem Tadeuszem“.

W gimnazium religii dawał ks. C., który swoje obowiązki traktował serio: był wymagający, w subtelności doktrynalne się nie wdawał, ale brał sprawę doktryny życiowo; wbijaliśmy sobie w pamięć dużo ustępów z Pisma św. według podręczników ks. bisk. Kozłowskiego: „Przypowieści chrystusowe i całe nauczanie na tle życia rolnego i przyrody „brały“ malca najbardziej. Katechizm dawał szkielet moralny życia.

Był w gimnazjum i t. zw. „polskij jazyk“. jakaś jedna ostatnia lekcja tygodniowo, z której uciekaliśmy. Poza tym język ten był surowo wzbroniony, a używanie go przez nas na korytarzach, sprowadziło na nas ostatecznie groźbę wykluczenia z „wilczym biletem.“

W r. 1879 przeniesiono chłopców do szkół w Rydze. Szkoły były tam podówczas jeszcze niemieckie — nie w pruskim duchu — i również jak cała administracja posiadały szeroką autonomię.

Polskość nie była szykanowana. Przeciwnie nawet. Polacy byli żywiołem pożądanym i lubianym choćby ze względów dochodowych miasta. Ściągała tu młodzież z Kresów i nie z Kresów, sporo było i z Litwy i z Korony, wszyscyśmy się tam ze sobą zapoznali, a na politechnice było tylu Polaków, że sami profesorowie żartowali dobrodusznie: „Nasze technikum może się nazywać nie politechnikum, ale Polentechnikum — techniczna akademia Polaków. Politechnika stawała się też szkołą życia nie tylko zawodowego, ale i społeczno-narodowego. Budziło się to już w szkołach średnich. W „Kółku Polskim“ łączącym młodzież wszystkich szkół średnich, Partyzant swoją osobą łatał brak kogoś lepszego i do skończenia gimnazium do r. 1886 był przeważnie przewodniczącym. Dwukrotnie kółko było pod śledztwem policji.

Kwatera była dobrą, czuło się w niej jak w rodzinie w zacnym domu pp. Horodeckich z pod Witebska. Styl — jak z jakichś czasów Mickiewiczowskich, z pamiętników Chodźki. Religii w gimnazjum nie uczono, ale tuż obok gimnazjum — „Kronsgimnazjum Piotra Wielkiego“ przy pl. Zamkowym był kościół. Podczas modlitwy protestantów na sali dyrektor dr Krannals dbał o to, by Polacy pobiegli do kościoła, gdzie przed 8 były „godzinki“.

Rok 1886.

W r. 1886, po maturze i długich trudnościach paszportowych Partyzant ruszył na uniwersytet do Krakowa.

Już od pierwszej stacji granicznej, od Wołoczysk, rozpoczęło się rozczarowanie. Wszystko zasnute pajęczynami i brudne, w restauracjach jakiś pieprzny gularz z ochłapów, podawany przez brudasów żydów.

W Krakowie nasz świeżo upieczony studencik w tym roku 1886 odczuł wstrząs nigdy nie zapomniany. Wszystko oddaje się żydom. Nawet kółka rolnicze, które potem poznał, w pachcie u żydów.

Świeżo upieczony akademik trząsł się ze wzburzenia: „Jak można dojść do takiego obałamucenia, że się nie widzi, iż to jest wprost przeciwne drugiemu przykazaniu Dekalogu? a przy tym i kult własnego lenistwa i zaprzedawanie wszystkiego w niewolę żydowską.

Jechał Partyzant do Krakowa jako do polskiego Rzymu — a drętwiał na widok tego, co zobaczył. Wawel podtapiany morzem izraelickim, tak samo jak ta druga: „Jasna Góra". A my co? śpimy jakimś snem letargicznym duchowym! Tu — w Krakowie — gdyby nie żydzi, nie byłoby wina do Mszy św.; tam — gdyby nie oni, nie byłoby komu zaopatrzyć miasta w dewocjonalia.

Kraków zrobił jednak swoje, choć nie tak jak Partyzant sobie wyobrażał. Zanurzywszy się w tę sadzawkę, jak owa biblijna Siloe, doznał wstrząsu, który mu dał nastawienie na całe dalsze życie.

Wśród kolegów okazało się, że nie był całkiem odosobniony. Nurtowały wszędzie te prądy, które wybuchły później, znalazły swój wyraz w twórczości Wyspiańskiego. Tymczasem przystąpił do akademickiego pisemka „Dzwon". Słabiutki był jego głos i króciutki żywot — ale był. Do grona wydawniczego należeli między innymi Komorowski Zygmunt z Radkun, z pogranicza Kurlandii, Wł. Jaworski, Seweryn Udziela, Jan Bystroń... Ten rok 1886 i „Dzwon" stał się zapoczątkowaniem całej „Ochotniczej Referatury Społecznej", prowadzonej dalej z różnym napięciem, ale z jedną linią przewodniczą.

Partyzant uczęszczał na wykłady literacko-historyczne i ekonomiczne, wstąpił do Sokoła, uczestniczył we wszystkich obchodach i pochodach „dla rozgrzewki". Bywały chwile podniosłe. Ale jakie zgrzyty i niesmak budziła potem rzeczywistość. Jaki niesmak budziło to, co bezpośrednio po tym następowało. Np. na zamknięcie listopadówki czy Wieczoru Mickiewiczowskiego pochód gremialny do „Musikhallu" Frühbecka — obsługujące przy stolikach wyranżerowane wiedeńskie kelnerki i t. d... „uczciliśmy Mistrza — idźmy do Frybeka!" Wstrętne, obrzydliwe! i taki żal, taki żal...

W Rydze dalej.

Nie popasując dłużej w Krakowie z wiosną 1887 r. Partyzant ruszył na praktykę rolną w swoje strony, do Sahinki J. Mańkowskiego, skąd pod jesień 1887 roku wstąpił na wydział rolny Politechniki w Rydze. Z pauzami przebył tu do r. 1893. Wstąpił do korporacji Arkonia, studiami mało się zajmował, więcej pracą korporacyjną w Arkonii. Jako bibliotekarz miał dużo roboty z urządzaniem na nowo całej kartoteki i katalogów kilkutysięcznej biblioteki. Po J. Mikułowskim - Pomorskim przejął też prowadzenie nowicjuszów t. zw. „oldermaństwo i fuksów", a także stołownię i t. p. „Ar-

konia“ liczyła około 100 członków. Tu, wraz z drugą korporacją polską „Welecją“, tworzyło się teren zaznajamiania Polaków ze wszystkich dzielnic. W Welecji oldermanem — przewodnikiem młodego narybku był Ignacy Mościcki — obecny Prezydent Rzplitej.

Układu Partyzanta jest pieśń Arkonów „Od brzegów Rugii“. Streszczona tu jest idea korporacyjna z oparciem o tradycje Bałtyku:

„Od brzegów Rugii sławnych
rozhowor idzie fal,
o dziejach szumią dawnych,
głos wspomnień płynie w dal.

Ciemnieją groźne fale:
świątynię zburzył wróg,
zbeszcześcił on zuchwale
Arkony święty próg!

Niech wznoszą młode dłonie
świątyni nowej zrąb,
a znów się zazieleni
praojców sławny dąb!“

Podczas pobytu na politechnice, jak i poprzednio w gimnazjum korzystał z każdej sposobności, by wolny czas spędzić na wsi, w coraz to innych stronach dla zapoznania się z „krajobrazem“ społeczno-gospodarczym.

W przerwach między politechniką — okres różnego rodzaju praktyk i zajęć; na zakończenie, w r. 1896 wędrówka po Europie, ze zwiedzeniem szeregu odbywających się wtedy wystaw.

Dalsze wędrowania od r. 1896.

Piewszym etapem był Berlin (wystawa wszechświatowa), Norymberga, potem Drezno (wystawa łużycka zorganizowana przez Niemców z takim pietyzmem, jak gdyby pokazywano ostatnich mohikanów). Marszrutę dalszą: Łabą, na Pragę, Monachium, Genewę, od Lemanu przez Simmental i t. d. do Włoch przez S. Gotard — ogółem około 450 km. pieszo bez innego przewodnika jak tylko wycinek mapy turystycznej. Później Mediolan, Wenecja, Jugosławia, Budapeszt, Zakopane.

W Berlinie zaintrygował dział istniejących jeszcze praosiedli słowiańskich pod samym Berlinem i — kukurydza.

Właśnie wyszło było sprawozdanie z ekspedycji do U. S. A. — książka: Dr. Ramm‘a *„Die Landwirschaft in der Vereinigten Staaten N. Amerikas“*. *) Pod znakiem kukurydzy — wszystko. Od tego studium w tere-

*) „Gospodarstwo rolne w Stanach Zjednoczonych Ameryki Płn.“ Red.

nie datuje się owo ogromne zainteresowanie, jakie powstało w Niemczech, gdzie w kukurydzy zaczęto upatrywać jedną z najsolidniejszych podwalin udochodowienia gospodarki.

W r. 1897 wypadło Partyzantowi zająć się gospodarstwem i interesami rodzeństwa w majątku Sz. w pow. zwinogrodzkim, a później i w samej P. W Sz. zastał po bracie 10 morgów wikliny koszykarskiej. Równocześnie napotkał ciekawy typ szewca z jednego ze zgromadzeń tercjarskich, O. Honorata kapucyna z Nowego Miasta. Szewc ten prowadził w Kijowie warsztat, gdzie terminowało kilkunastu chłopców polskich, a równocześnie dużo wędrował po wsiach, rozkładał swój „warsztat“ szewcki i łatał buty. I nie tylko buty, ale i dusze ludzkie. Umiał ludzi zagrzewać i pobudzać nie tylko do zainteresowań duchowych, ale i do wszystkich „interesów“. Okazało się, że wie o jednym majstrze koszykarskim, z Niemiec, protestancie, ale dobrym człowieku i dobrym majstrze pracującym od dawna we Włocławku. Przekonał Partyzanta, że zamiast wywozić wiklinę, lepiej jest przywieźć majstra a wywozić koszykarskie roboty. Przekonał też, że należy założyć warsztat wychowawczy zalegalizowany „świadectwem przemysłowym“, w którym będzie można szkolić chłopców. Do prowadzenia gospodarstwa i chłopców wezmie się kogoś z „braciszków“ — i w porządku! Kosztować wszystko oczywiście będzie; ale gdy dzieci podrosną i nauczą się dobrze roboty, koszt częściowo będzie się pokrywać. Każdy zaś wychowanek będzie miał od razu fach w ręku i będzie niezależnym — nie jakimś najmitą fabrycznym. Tak powstał ów warsztat wychowawczy. Wychowanie przez pracę. Policja oczywiście tym warsztatem się zainteresowała. Ale papiery były w porządku, majster uprzejmy, włożył do powózki odwiedzającemu zawsze coś do gustu — i wszyscy byli zadowoleni.

Warsztat przetrwał od r. 1897 do r. 1910, kiedy jedni chłopcy pracowali już na własną rękę, a innych zabrano do warsztatów przy dozwolonych już wówczas Towarzystwach Dobroczynności dla Kijowszczyzny, Wołynia i Podola — w Kijowie, Żytomierzu i Winnicy. W ciągu 13-letniego trwania było stale do 20-tu chłopców z dalszych i bliższych stron. Nie mogło się oczywiście obchodzić bez nauczania elementarnego, bo przecie modlić się a pisać, czytać i rachować każdy majster musi! To należy do fachu!

A co mówił świat na te warsztatowe poczynania. Jeden z sąsiadów dał jednorazowy zasiłek 100 rb. Inna pani, chcąc przyczynić się do rozwoju tej akcji, przysłała chłopaka: niedorozwinięty, kaleka na jedną nogę i ślepy na jedno oko. Jeszcze inna pani oburzała się, że warsztat tworzony w takich okolicznościach jest to tylko dogodność robiona „Czerwonemu Krzyżowi“. Sama jednak zrobiła u siebie przy dworze coś podobnego — szwalnię dla dziewczynek. W okolicy zaczęły po miasteczkach powstawać „pralnie“, gdzieindziej i po wsiach „szlacheckich“ również szwalnie i t. d. Cała ta jednak łatanina, całe to „połatajstwo“ było oczywiście tylko jedną

małą kroplą w morzu potrzeb, dla których ludzie nie mieli ani wyczucia, ani zrozumienia.

Trzeba było ratować język i religię nieodłączne z poczuciem społeczno-narodowym.

Na kresach, jak wiadomo, masy ludowe historycznie polskie zatracały język narodowy, a z nim i resztę. Za czasów staropolskich ziemianie budowali świątynie unickie, dla Rusinów i dla Polaków — dla obu obrządków. Po „skasowaniu" unii i „przeprowadzeniu" unitów na prawosławie „upaństwowiono" według statystyki blisko 600 świątyń, uprawosławiając i byłych unitów i zruszczałych katolików Polaków. Kościołów rzymsko-katolickich budowano dawniej za mało. Ale samo budowanie nie chroniło ludności od zatraty języka i ducha. Nasz Partyzant miał tego przykład we własnej parafii. W XVIII wieku, kiedy nowonabywcy wybudowali kościół w narożniku omawianego bastionu w W. (25 wiorst od P.) było tam osadnictwo fortalicyjne wyłącznie polskie. Minęło dwa pokolenia, a wszystko prawie już się zruszczyło. Nie pomogło nawet przybycie gorliwego proboszcza w czasach ostatnich.

A jaką drogą szło owo wynaradawianie się? Bardzo prosto. Liczne przedrozbiorowe komendy wojskowe polskie, niezbędne dla utrzymania organizacyjnego ładu, otrzymując nadania ziemi, otrzymywały „pańszczyzniaków" z jasyru wojennego lub tubylców nie tylko za zasługę wojenną, ale wprost by móc spełnić obowiązek, na jakim oparte było samo prastare prawo do własności: „każdy, kto ziemię dzierży — służyć ojczyźnie musi", „a kto nie wychodzi w pole, temu grozi utrata mienia". Dostawszy takiego dozgonnego pomocnika „chłopa", mówiło się z nim „po prostu". Mówić tak zaczynała między sobą i cała rodzina, a później zaczęły się i mieszane małżeństwa. To samo, co widzimy i teraz także w Małopolsce wschodniej, gdzie mało pomogły i te ostatnio wzniesione z takim wysiłkiem przez ks. arcyb. Bilczewskiego blisko 1.000 kaplic i kapliczek. Nawet tam, gdzie wśród polskiej przeważnie wsi wznosi się polski kościół, parafianie w obejściu domowym mówią po rusku. Bo tak im wygodniej. Zamarł, a może jeszcze nie przebudził się duch — więc i sumienie im nic nie mówi, Chochoła zaś z „Wesela" nie rozumieją...

Bojowe surmy.

Tak się złożyło, że w rozjazdach swoich z P. w pow. S. do Sz. w pow. Z. trafił w drodze na odpust w Ł. dn. 13 czerwca, odpust św. Antoniego, owego orędownika rzeczy i spraw zgubionych.

Proboszczem był tu słynny tam ksiądz K. Typowy kresowy ksiądz minionej epoki: prawa dusza żołnierska, prosty, o władczej postaci, szorstki, a dla wszystkich życzliwy i serdeczny. Śmiano się z niego, że w zakrystii rozporządza się u niego czasami i jakiś żydek. „No — to co? a w samym Berdyczowie, pod bokiem księdza biskupa, marszałkiem dworu u probosz-

cza nie jest żydowina? Jak ksiądz wraca rano z kościoła pyta go zawsze: Czy ksiądz już mszył? można już dawać kawę?" — żaden tak służby nie dopilnuje i przez nikogo tyle zrobić nie można, jak przez żydów!"...

W Ł. też tak podobno kiedyś było, że na wstępie nabożeństwa odpustowego rozlegał się z zakrystii głos: „Te — małe — a u szwentemu Antoni już sze pali? (świece u ołtarza).

Zajechawszy przed kośsiół w ów dzień nie mógł się do kościoła wcisnąć. Skąd tyle ludu? Kościół nabity, w koło tłok. Z głębi kościoła — z chóru grzmią jakieś surmy bojowe i litaury, wszystko na tle głębokiego choć stłumionego huku a pomruku kotłów i tarabanów i... warczenie bębnów... Partyzant unikał w ogóle odpustowych zebrań. Z nabożeństwa ruszył wprost do domu i zajechał do proboszcza dopiero w następną niedzielę.

— O — dobrze, że pan jest?

Ksiądz podaje świeży numer „Przeglądu Katolickiego" — w nim rozporządzenie Piusa X o niemieszanie pieśni w języku krajowym z pieśniami liturgicznymi w nabożeństwach solennych. „Na odpuście moim pan był? widział pan i słyszał co się działo?"

— Skąd ksiądz proboszcz wziął tylu katolików?

— A kto panu powiedział, że to katolicy? — to „prawosławni" — dawna „Unia". A „On" nakazuje: *„ne misceantur!"* *) takie „Motu proprio" — to chyba tylko dla Rzymu, dla Włochów. „On" wie swoje, a ja wiem też swoje. „On" sobie panem w Rzymie — ale w Ł. ja! — Ja jestem tutejszy i wiem lepiej, czego naszym wsiom potrzeba, żeby i „Pod Piorunami!" jedności unijnej nie popuszczać, tak jak nam duch Polski każe!

— A skąd ksiądz proboszcz dostał taką orkiestrę? żydki?

Niedyskretne pytanie pokryte zostało dyskretnym milczeniem. A potem:

— Jak się zwał — tak się zwał — byle dobrze grał". Ale grali dobrze ha? co? — niech daje Chwałę Panu wszelki stwór — „laudate Dominum omnes gentes"...

— A jakże z żydkami? Ksiądz proboszcz — mówią sam nawet rządowy rabinat tu obsadzał? a żydzi to podobno w sprawach między sobą nie idą do rabina, ale do księdzą?

— Bywa, bywa... Widzi pan — z żydami to jest jak z pieniędzmi. Pieniądz może być niezbędnym a pożytecznym sługą. Tylko głupio używany, jak się rozproszy, obraca się na zgubę. Podobnie żydzi. Musi to czuć rękę i wiedzieć, jak wszyscy bez wyjątku, że we własnym interesie opłaci się być uczciwym i w swoim zakresie pożytecznym. Bo jak nie — to cackać się z nimi nikt nie będzie — chyba jakieś barany! Wszelki stwór, wszystko stworzenie, wszystko co stworzone służyć ma przecież na „Chwałę" bożą — dla dobra wszystkich!

---

*) „Niech się nie mieszają". Red.

Partyzant zwierzył się ze swego pomysłu, żeby wydać popularny śpiewnik z nutami.

— Intencja piękna i zacna, ale pomysł — jakby to powiedzieć — musi liczyć się z rzeczywistością. Pomysł pański czy nie zbyt „literacki"? Czy pan myśli, że u nas dużo jest organistów, co umieją czytać nuty?

Dalsze tempo.

Potęga suplikacji poznana w Ł., potęga pieśni ludowej unosząca ludzi w wyższy nadprzyrodzony nastrój — był to jeden jeszcze wstrząs, jaki targnął jego „duchownymi wnętrznościami", podobnie jak Kraków w 1886/7 roku.

Trzeba stworzyć śpiewnik „normalny" i normujący, dla wszystkich dzielnic, dla wszystkich zaborów.

Pod zaborem rosyjskim żaden zagraniczny nie był dopuszczalny. Ale przy pewnych stosunkach może się da przeprowadzić sprawę w samym wnętrzu strzeżonej surowo twierdzy.

Wprawdzie odziedziczony świeżo majątek był, ale nie własny, tylko masy spadkowej 10 spadkobierców. Majątek miał wziąć najstarszy z synów — nie ten którego życiorys się tu omawia. Reszta miała dostać spłaty, ale gotówki nie było. Uchwalono, że ten najstarszy odda majątek w dzierżawę rodzeństwu na warunkach w kraju przyjętych. W ten sposób ono swoje schedy zdyskontuje. Chodziło o to, żeby fortuny nie rozproszkować i żeby każdy miał o co ręce zaczepić.

Przeprowadzeniem całej sprawy miał się zająć Partyzant.

Dla zrównoważenia gospodarowania zabrakło kilkunastu tysięcy rubli. Dla połatania sytuacji zapisał łatacz po prostu: „U Opatrzności... 17 tysięcy rubli". Znalazł się jednak ktoś z krewnych, że na tego rodzaju hipotekę dał. Oczywiście tylko na prowadzenie warsztatu gospodarczego i tylko z terminem rocznym. I jakoś warsztat poszedł w obrót i dał zwrot pieniędzy i kręcił się dalej z dobrym skutkiem, dzięki wytrwałej współpracy brata i bratowej, a Partyzant uzyskał swobodę ruchów dla różnorodnej dalszej „łataniny". Na razie jednak nie mógł zerwać całkowicie z dawniejszym trybem życia: tydzień w jednym gospodarstwie — a tydzień w drugim, odległym o 120 wiorst. „Bądź pesymistą w obmyślaniu, a optymistą w wykonaniu" — powiedział jakiś mędrzec. Pieniędzy wprawdzie nie było, ale można było już przygatawiać materiał. Na podstawie najlepszych naukowych źródeł dokonał tego profesor seminarium ks. Czyżewski wraz z ks. Mańkowskim, późniejszym arcybiskupem, uzupełniając dobór dokonany przez Partyzanta. „Ten, kto stwarza pieśni dla narodu, jest większym mistrzem, niż ten kto tworzy jego prawa" — twierdzi Szekspir.

Czy ci, co ją wskrzeszą, gdy zamiera — nie będą mieli zasługi podobnej?

Tymczasem warsztat rolny, prowadzony przez brata, szedł i przychód

z niego jakiś był. Po paru latach, kiedy rękopis śpiewnika był gotów i aprobata udzielona, nie można było doczekać się ostatniego podpisu, — udał się Partyzant do Petersburga, aby odebrać dokument od ks. biskupa. W Petersburgu wprost z dworca ruszył Partyzant do swego biskupa.

— ...No cóż ja z panem zrobię?... Ale czy panu cenzura puści?

— Mam już parę słów do jenerał-gubernatora warszawskiego od osobistego „przyjaciela" carskiego. Wystarczy chyba...

— No, no... A kiedy pan do Warszawy? — dodał uprzejmie.

— Pierwszym pociągiem.

W Warszawie poszedł Partyzant od razu do „Przeglądu Katolickiego" O jego przybyciu redaktor ks. kanonik Szaniawski był już uprzedzony Dodawał otuchy, że największe trudności cenzuralne da się załatwić. Zwłaszcza, że pomóc mogło i owo słówko ze sfer petersburskich. W konsystorzu oznajmiono Partyzantowi, że sprawy przed upływem kilku tygodni załatwić nie mogą. Zajął się tym ksiądz rektor. Później na pytanie czy miał dużo kłopotów? — odpowiedział: „Głupstwo! powiedziałem im tylko: Jak sobie chcecie! Tylko miejcie na uwadze, że ten pan jest skuzynowany z papieżem..." (był nim wówczas Leon XIII). W parę dni sprawy cenzurowe były załatwione. Druk potrwał dłużej, mimo że siedziało się w Warszawie kołkiem, drukowano bowiem broszurę „Myśl humorysty o życiu". Śpiewnik poszedł w świat w r. 1902. Treść i wygląd podobał się ogólnie. Cena też. Pod firmą „S. Z. P. z. Kijowskiej" wydano do r. 1908 25.000 egz., które rozeszły się po wszystkich dzielnicach trójzaborów. W małej ciemnozielonej miękkiej okładce krokodylowej z czerwonym cięciem 90 pieśni — 103 str. — cena 30 kop. Niektórzy księgarze oburzali się, że się ich podkopuje, że się obniża kulturę (księgarsko-handlową) i t. p.

Improwizowany wydawca, będąc ze śpiewnikiem w redakcji „Przeglądu Katolickiego" poznał tam ks. Ortweda, duńczyka, wikariusza generalnego Danii, opiekującego się tam robotnikami polskimi. „O — to coś dla nas, dla zarobkowego wychodźctwa: bo oni razem nawet modlić się z sobą zgodnie nie mogą: co inna wieś — to inna pieśń," co parafia to melodia. Jak się zejdą jeden drugiemu do oczu skacze:„Ty heretyku! modlić się nie umiesz". Ksiądz O. sam był nawróconym protestantem. Nawrócił się na uniwersytecie, zainteresował ludem polskim, nauczywszy się po polsku. Ale kościół w Maribö — jak mi mówił ks. rektor — wybudował za pieniądze masońskie: trafił na takiego masona. U nas pieniędzy dostać nie mógł.

Zaczął się objazd kolejno po wszystkich diecezjach wszystkich zaborów dla zapoznania ze śpiewnikiem i jego celem. Zabrało to sporo mitręgi. Ale za to po drodze załatwiło się jeszcze trochę interesów. We Włocławku powiada ks. biskup S. Zdzitowiecki:

— Mamy kłopot! Poza „Przeglądem Katolickim" trzeba nam specjalnego młodego pisma dla duszpasterstwa w duchu Leona XIII. Mamy tu od-

powiedniego księdza na redaktora, ale nie mamy pieniędzy na rozpoczęcie. Ma być dwutygodnik.

— A kto ma być redaktorem?

— Ksiądz Fulman.

— Znam go już z tego jak pisuje.

— Ano — powiada Partyzant - nakładca — zaprenumeruję na pierwszy kwartał dla wszystkich parafii mojej diecezji: 259 egzemplarzy.

Zrobiono. Wydawnictwo poszło w ruch.

Następny kwartał, dla tych, co nie byli jeszcze zaprenumerowani, zapłaciła ś. p. pani Karolina Jaroszyńska z Podola.

Ekspediując do swojej diecezji okazowe egzemplarze śpiewniczka, opatrzonego „wyjaśniającym słowem wstępu" załączał Partyzant elementarz Promyka. Ogółem poszło gratis 5.000 egz. elementarza, co przyczyniło się do miłej znajomości z redaktorem „Gazety Świątecznej". Przy okazji omówiło się, czy nie można by wydać „Katechizmu" na podobieństwo „Katechizmu" Towarzystwa Rolniczego z r. 1862, gdzie pod tą tytulacją był i elementarz i katechizm gospodarstwa — oddzielnie dla chłopców, oddzielnie dla dziewcząt? Katechizm Promyka był na wyczerpaniu. Przeprowadziło się nową aprobatę, ale rzecz się odwlokła...

Opracowawszy tak na razie zabór rosyjski, ruszył nasz Partyzant „pod Austriaka".

O dawnych wrażeniach z Krakowa była już wzmianka. Ale śpiewnik i jego idea spotykał się wszędzie z uznaniem. Towarzystwo Oświaty Ludowej przydzieliło chętnie pomieszczenie dla ekspediowania egzemplarzy okazowych, a współdziałało też cennymi informacjami. Wywzajemniając się, wydawca dla amatorstwa współpracował dorywczo z Towarzystwem Czytelń Ludowych, zapoznając się bliżej ze stosunkami w całym zaborze austriackim. Zapoznał się też tu bliżej z „Przewodnikiem Katolickim" z Poznania: „Ach! żeby nam tutaj podoby tygodnik" — wzdychano w T. C. L.

Ano! pomyślał sobie nasz Partyzant, trzeba ruszyć „Pod Prusaka" do Poznania: za jednym zachodem ubije się może dwa interesy. Z Poznania w sprawie śpiewnikowej wypadło jechać do Kościana, gdzie go skierowano, bo tam był proboszczem największy autorytet śpiewowy poznański —ks. Surzyński. Załatwiwszy pomyślnie sprawę modyfikacyj, zwrócił się do redakcji „Przewodnika Katolickiego", mającego ogromną wziętość. Szedł wtedy w kierunku jaki się wydawał Partyzantowi jedynie właściwym duchem ks. Wawrzyniaka. Budował Polskę od wewnątrz, od duszy, w myśl prastarej zasady, sformułowanej przez Roosevelta ojca, Carnegiego, że największym bogactwem i fundamentem społeczeństwa jest dzielny obywatel.

Naczelnym redaktorem był ks. J. Kłos, ale administracją kierował ks. Wawrzyniak. Uznawano, że jeżeli polskość ma spełniać swoją rolę dziejową i być tarczą i ostoją chrześcijaństwa Zachodu — to musi być potężną

i gospodarczo. Oparciem fundamentowym mocnej polityki, niezależności duchowej i politycznej musi być niezależność ekonomiczna. Partyzant zwrócił się do ks. Kłosa: „Kraków jest nam relikwiarzem narodowym — ale jak wiecie, wszystko tam pod Austriakiem zalewa Judea“ i t. d. Sens odpowiedzi był: „Nie możemy wchodzić na teren cudzy, w atrybucję innych biskupów“... „Przychodzę jako agent handlowy, jako kolporter. Dawajcie numery okazowe przez parę miesięcy, a reszta — to mój kłopot. Czy kupca może głowa boleć kim jest kupujący? — byle handel szedł!“ — No, niech pan jeszcze zajdzie na godzinkę, będzie ksiądz Wawrzyniak. Pomówimy...“ Partyzant sięgnął do swoich atutów rodzinnych, jakie mu już nieraz okazywały się tak pomocne. O zdrowy „Przewodnik“ bardzo mu chodziło. Przecie religijność, nie doprowadzająca do akcji, to drzewo nie owocujące. Chodzi o życie wszystkich na swój sposób. My „z pod Moskala“ jeździmy do Krakowa „na rozgrzewkę“, żeby nabrać tchu. A tu co? taki czad... i tyle „chochołów“... przy „wolnościach“ w których „ino granie...“ „bajecznie kolorowe“ — ale „chochołowe...“ istna żałosna farsa!

„Pod Prusakiem“ cięgi ciężkie, ale prawne. Takie cięgi trzeźwią. Dajcie nam od siebie hartu! „Książę“ wielkopolski, jak go nazywał Bismarck: „niekoronany król“ uznał rację Partyzanta. „Przewodnika damy. Mamy już referencje o panu od pańskiej ciotki, pani B. K.“. Sprawa była załatwiona. Wypadało potem tylko zakrzątać się o dostarczenie materiału „regionalnego“ na dodatkowy dział dla „Nędzy Galicji“. Z Krakowa zaczęło się rozsyłanie numerów okazowych przez parę miesięcy. Trochę to oczywiście Partyzanta kosztowało, ale się „opłaciło“, bo po przełamaniu lodów jeden z organów prasy religijnej w Krakowie wszedł w ścisły kontakt z Poznaniem. Taki „literacki“ tylko kontakt nie mógł oczywiście mieć większego wpływu, ale bądź co bądź stawał się jedną z kropelek, które żłobią skały.

Przy okazji wędrówek Kraków — Poznań, nastręczały się obrazki porównawcze, co do tempa pracy dzielnicowej.

W Krakowie przy pierwszym pobycie zatrzymał się Partyzant w pierwszorzędnym hotelu. Była zima — pokoje opalane były na żądanie gości. Dało się polecenie szwajcarowi, żeby zaraz napalił, a tymczasem idzie się na miasto. „Będzie zrobione“—żegna służbiście szwajcar. Po godzinie wraca. W pokoju mróz. Gość zaczyna robić „piekło“ dla rozgrzewki. „Dlaczego nie napalono?“—„Już się robi“. Wsuwa się posługacz, odkręca drzwiczki pieca—wychodzi. Po dobrej „chwilce“ przynosi wiaderko z opałem, spostrzega, że piec pełen popiołu, idzie po szufelkę, ale nie ma w co zsypać, wychodzi znów wraca, ale okazuje się, że nie ma zapałek i t. d. Gość trochę się wścieka, trochę kapitalnie się bawi, trochę snuje smutne refleksje: „takie tu całe tempo!“

Kiedyś miał jechać ześ piewnikiem z Poznania do Kościana wskazano mu, że może się zatrzymać w hoteliku „Wiktoria“. U wyjścia z dworca czekała karetka „Wiktoria“, zaprzężona w białego, osy-

panego burą hreczką starości, konia. „Jedziemy?“ — zapytał woźnica. Dojechaliśmy. „A gdzie tu szwajcar?“ Zjawił się ów woźnica w roli numerowego. Na sali przy bufecie ten sam podał kawę. Z piętra dochodziły jakieś śpiewy. „Co to u was,“ — „Próba. Widział pan tych kilkanaście rowerów na ulicy: zjeżdżają się z całej okolicy. Ja też z nimi śpiewam“. Obiad podał ten sam „woźny“. Funkcje kasowe załatwił też on i na dworzec z powrotem odwoził też. Po drodze zeskakuje z kozła: „koń zawiezie pana sam — ja tu mam po drodze coś załatwić“. Koń istotnie zawiózł sam. Stanąwszy u podjazdu obrócił łeb, sprawdził czy pasażer „pełni swą powinność?...“ Tresura wszechstronna, na każdym stopniu społeczeństwa...“ Tu Pana Boga z czasu nie okradają, chaosu robić „nie śmieją“. Takie było pierwsze wrażenie. Później kiedyś się ono może trochę zmodyfikowało, ale pierwsze wrażenie było takie...

W Krakowie w „Oświacie“ Partyzant dużo skorzystał. Korzystał i ze statystyk i z informacyj ustnych dyrektora dra Malkiewicza, który osobiście przeważnie załatwiać musiał sprawy sześciuset blisko bibliotek, podtrzymywany na duchu przez ks. kan. Spisa prof. U. J.

Bardzo dużo skorzystał i u prof. Zdziechowskiego i w Miejscu Piastowym i u Brata Alberta: „A — pan „stamtąd“. Znam trochę, znam. Kusztykał człowiek i w Murafie i gdzieindziej po waszym Podolu. Tyle naszego narodu wszędzie ginie! Ano! nie nasza moc. Mocy nam trzeba! przede wszystkim od wewnątrz...“

„Brat Albert“, co do którego obecnie wszczęto już proces kanonizujący go na świętego, jak wiadomo niezwykle zdolny artysta malarz, wysoko wykształcony, poszedł na szarego brata tercjarza. Koledzy malarze twierdzili w swoim czasie, że się zmarnował dla sztuki! On zaś był zapewne zdania, że największą ze sztuk pięknych jest sztuka pięknego ofiarnego życia dla Sprawy... W r. 1863 utracił nogę, stąd „kusztykał“.

Teraz, jak i za każdą bytnością, bywał Partyzant i w Dublanach, gdzie profesorem, a później długie lata dyrektorem był kolega jego z politechniki J. Mikułowski - Pomorski. Interesując się wszystkim, co dotyczyło rozwoju życia, zapytuje Partyzant: „A ilu macie słuchaczy?...“. „Cztery razy mniej niż było Polaków na naszym „Polentechnikum“ w Rydze. Może się rozwinie... Wydział Krajowy w kłopotliwym położeniu, bo z Galicji bywa tylko tyle, ile stypendiów... Po ukończeniu idą przeważnie na urzędy. Podobnie jak z naszej szkoły do żandarmerii i t. p. Smutne widoki dla poziomu ziemiańskiego i rolnictwa... Większość słuchaczy — to koroniarze i wasi... Ale mam dużo radości z pracy wśród drobnych gospodarzy. I gospodynie się interesują...“

Korzystając z pobytu odbył Partyzant i rekolekcje u OO. Jezuitów. Postarano się „żeby dobrze trafił“. Nękały go różne wątpliwości i niepewności co do różnych narzuconych „dogmacików“, których on nie uważał za „dogmat“ zasadniczy życiowy. Czasy były jeszcze takie, że to, co Party-

zant robił i zamierzał robić w przyszłości uważano za jakieś nieomal antychrystowe posługiwanie się katechizmem dla jakichś „społecznych“ celów „ziemskich“. Przeoczono, że przecie religia nasza sama jest religią — społeczną! W końcu rekolekcji spowiedź: rozmowa sam na sam. I pytanie rozgrzeszające: „czy borykając się z tym całym topieliskiem lenistwa i pychy wokoło — nie szukał sam siebie, próżnej chwały? Strzeż się pychy, „sideł szatana...“ szukaj królestwa bożego... trudności każdy ma w pokorze znosić dużo i trwać dalej pracując, by było lepiej. Czy chcesz chcieć tak, jak chciał Chrystus?“ „Tak!“ „Ego te absolvo...“ Ta absolucja stała się ostoją wiary i puklerzem twardym na wszystko, co go spotykało i spotykać miało...

Interesuje się krajoznawstwem, nie tylko tym muzeowym i zabytkowym, ale przede wszystkim krajoznawstwem bytowym szerokich mas na szerokich połaciach swej ojczyzny rolno-wsiowej, nie mógł się nie interesować i rękodziełem i handlem. Poznał się m. i. z dyrektorem bardzo cenionej szkoły zawodowej św. Scholastyki. Zwracano tam dużą uwagę na roboty dziane — domowe trykotarstwo (nb. dziś rozwija się w Tyńcu spółdzielczo). „Dziewczęta wprawne — ale nie ma komu tego zorganizować... Jak i wszystko — pójdzie i to w niewolę żydowską...“ Handel? elementarne wyszkolenie? w dużym nawet sklepie polskim kasjerka, żeby wydać resztę z guldena, rachować musi na papierku... A na wsiach? wiadomo jak wszystko idzie. Brak religijno praktycznego ujęcia życia!

Zdarzyło się o tym mówić nieraz. Ks. arcybiskup Teodorowicz powiedział kiedyś Partyzantowi: „żeby też kiedyś można było poznać, jak idzie robota w południowej Słowiańszczyźnie, wśród Słoweńców! Można by mieć gotowe wzory stamtąd. Zabite tam było wszystko. Zamarłe. Ale powiał odnowiony duch. Młodzież seminaryjna i uniwersytecka, pojedyńczo i grupami po 2 - 3 na wędrówkach przeprowadzała wywiady gospodarczo-krajoznawcze. Organizacje parafialne dokonują akcji w praktyce. Studia w terenie — studia w obradach — i wykonanie na tempo pod auspicjami, jak się należy...“

O te auspicja u nas trudno. Dużo się na to składa i robotę hamuje. Z nauczycielstwem brak zrozumienia się, stąd nieporozumienia i obustronne rozgoryczenie. Nigdzie też tak, jak tu, nie odczuwa się, do jakiego stopnia, ponad wszystkimi okupacjami ciąży na nas — okupacja Starego Zakonu!

Budźmy sumienie!

Puściwszy w ruch swój śpiewnik i t. p. odszedł Partyzant znów „żyć w polu“. Bo przekonał się w Warszawie, że „Przewodnika“ przez kordon „pod Moskala“ nie przeprowadzi. Wypadałoby chyba coć podobnego gdzieś w samej Warszawie stworzyć. Nie czuł się na siłach. Z nastaniem zimy zaczął wydawać swój popularno-religijny tygodnik „Promień“. Skonfisko-

wano go raz i drugi, wreszcie cofnięto koncesję. Komitet cenzury wyjaśnił, że raczył się nim zainteresować sam jenerał gubernator Skałłon i kazał zamknąć „za wrednoje naprawlenje“ — za szkodliwy kierunek...

Zaczął więc teraz Partyzant z innej beczki. Rozpoczął wydawnictwo z szeregu broszur zasadniczych pod ogólnym nagłówkiem „Z myśli społecznej“. Na pierwszy ogień poszła broszura „Zasady Socjologii Katolickiej“, tłumaczenie z ks. Naudeta. Organ jego w Paryżu „Justice Sociale“ kłócił śpiączkę katolicką we Francji, ale błogosławiony był przez Rzym. „Socjologię“ w ciągu 3 lat wydrukował Partyzant trzykrotnie, robiąc ruch i budząc sensację przedmową słynnego A. Szecha (O. Antoniego Wysłoucha, kapucyna z Nowego Miasta). Po tym poszły broszury i inne, nie tracące wartości aż po dzień dzisiejszy.

Kiedy zima minęła Partyzant poszedł znów żyć w pola — odetchnąć innym powietrzem, nabrać tchu i sił z ziemi. Ku jesieni wywczasy te przerwała depesza z Warszawy: „jest interes — pożądany przyjazd.“ Okazało się, że jest do nabycia „Dziennik dla wszystkich“. Pokaźna jak na owe czasy ilość prenumeratorów, w tym ± 1.200 samych księży, cena 5.000 rb.

„Dziennik?“ mamy się porywać z motyką na słońce? nie poradzę! Choć nastręcza się i komplet wytrawnych współpracowników, ale toż szaleństwo! nie na moje siły i nie na moją kieszeń. A może?... pojechał Partyzant do Rosprzy, gdzie proboszczował ks. Fulman. Właśnie była niedziela, po sumie zebranie żywego różańca. Wokoło kościoła kółka różańcowe, każda „róża“ oddzielnie. Proboszcz idzie od grupy do grupy, omawiając sprawy domowe, gospodarcze, wychowawcze, „kobiece“ i „dziewczęce“. Wszystko praktycznie a w ujęciu liturgicznym, jak jest w Mszale „Na uroczystość świętej niewiasty“. (Ps. 118 i przyp. 31). Przysłuchiwanie się metodzie powiększyło jeszcze chęć Partyzanta by zjednać takiego „redaktora działu chrz.-społecznego“ ...Jeżeli on się zdecyduje — to zdecyduje się i ja!

„On“ się zdecydował.

Mieliśmy zaczynać 1-go października r. b. 1906 — za parę tygodni. Tytuł dziennika zmieniono na „Dziennik Powszechny“. Ale w przeddzień terminu puszczenia go w ruch przychodzi od ks. Fulmana list: „nie mogę!“ Redaktor naczelny poczuł się niedobrze i aż położył się do łóżka. Racje podane w liście w ślad za telegrafem były racjonalne, ale czasu do namysłów już nie było.

Idąc po swej linii przewodniej być, „strojem w rozstroju“, chciał Dziennik współdziałać w myśl idei, że „Jest Mistrz, co wszystkie głosy powiązał do chóru“ — nawet z dysonansów.

Dziennik chciał służyć dla wypowiadania się i porozumienia ludzi dobrej woli. Nie bać się! Niech się ludzie wypowiedzą. Niech wyjdzie na wierzch niezdrowa materia zakwasów wrzodu, która grozi zatruciem. Nie rozdrapywać własnych draśnięć i nie rozjątrzać. Nie podkreślać wciąż tego, co nas może dzielić, ale nie dawać zapominać, co nas zespalać powinno.

Jednać zwaśnione strony. Jednym słowem prowadzić „referat społeczny“: prowadzić wywiad w terenie i wynikami się dzielić. Nie rozumem tylko, ale i sercem. Dochodzić „skutecznych rad sposobów.“ Wszystkim ludziom dobrej woli idzie przecie o ten prosty, razowy, ale zdrowy chleb prawdy, który sam jeden może nas z różnych bied wyzwolić!

Niektórym wydawało się to „niebezpieczne“, a taki czarny chleb nie wszystkim smakował. Trudna rada!

„Dziennik Powszechny“ Partyzanta, choć ukazywał się tylko rok jeden 1. X. 1906 — 1. X. 1907, o tyle przynajmniej zamierzenie główne wykonał, że wykazał jak ludzie najróżnorodniejszych dróg mogą mieć jednak drogę do możności prowadzenia.

Przy prowadzeniu pisma nastręczały się całe sploty zagadnień drażliwych i drażniących. Trzeba było liczyć z góry, że choćby idea zwyciężyła, ale zwycięstwo kupione będzie materialną klęską. Bo wiele prenumerat dawnych się odstraszy, a nowe tak rychło nie przybędą. Bój o godność sprawy domagał się jednak tego, żeby mur głową przebić: nie trykając oczywiście na oślep, bez pomiarkowania co do ostatecznego wyniku, unikając też jakiejś fałszywej ambicji ofiarnictwa. Bo choć nawet i śmierć pieniężna dla Sprawy może być dla człowieka zaszczytem — z żywego może być jednak więcej korzyści, niż z umarłego. Ustępować z pola na razie nie myslał. Ale mając i to na oku starał się iść ku swemu kieszeniowemu „harakiri“ pogodnie, pracę zaś harcownictwa w różnych postaciach traktować konsekwentnie i metodycznie.

O metodzie mówiły same nazwiska, jakie obok siebie na łamach widniały: ks. arcybiskup Teodorowicz, St. Wojciechowski — późniejszy prezydent Rzplitej (P. P. S.), czuwający nad spółdzielczością, ks. Idzi Radziszewski, tak ceniony przez kardynała Mércier, późniejszy organizator Uniwersytetu Lubelskiego; Maksymilian Miłguj - Malinowski (P. P. S.); ks. ks. Fulman, Matulewicz, Przezdziecki (późniejszy biskup), d-rowa Kosmowska, Irena Kosmowska (Wyzwolenie), Szczepan Jeleński z „Roli“, która „Dziennik“ zwalczała. Dużo pisała zasłużona Maria Karczewska (siostra Narkiewicza-Jodki, PPS), ks. M. Godlewski i całe grono twórców Chrześcijańskiej Demokracji, Stef. Bojarska, grono studentów Uniwersytetu Fryburskiego i in. grupujących się koło hr.Cecylii Zyberk-Platerówny, St. Adamowicz (Piliński) ks. I. Charszewski, Szech - kapucyn z Nowego Miasta; O. O. Jezuici Leonard Lipke, Wiecki, Karol Holeksa, Walery Gostomski... Dużą wagę przywiązywało się do praktycznego krajoznawstwa, by na przykładach wytyczać drogi, referując sposoby najprostsze i wypróbowane. Były i stałe korespondencje z Anglii, z Francji, i Belgii (ks. Al. Wójcicki, obecnie prof. Uniw. Lub.), z Wiednia, ze stosunków fryburskich... Do Jugosławii, dla poznania metod pracy krajoznawczej i organizacyjnej delegowany był na długie miesiące jeden ze współpracowników A. L. Szymański, autor książki „Wśród Słoweńców“. Po wszystkich zaborach wędrowa-

ła i S. Bojarska, reportażowo informując i referując o różnych robotach, które już idą po wsiach o własnych siłach. Materiały opracowywała w kwaterze głównej w P. Wyszły 3 książki: 1. Wielkopolska, 2. Galicja, 3. Królestwo. Wzmiankuje o nich i wydawnictwo P. I. N. G. W. w Puławach: „Drogi postępu chłopa polskiego" (autor Wiktor Bronikowski). Książki te były wydane częściowo już w czasie wojny, rozchodziły się mimo to szybko, a „Wielkopolska" w r. 1920 była już wyczerpana. Na wyczerpaniu są i inne, popyt zawdzięczają częściowo i temu, że nie były to studia ściśle naukowe.

Ogółem w okresie tej pracy wydawniczej Partyzant pośrednio lub bezpośrednio wydał 35 broszur i książek, aby prace mające trwałą wartość nie zostały pogrzebane. Korzystając też z cenzury ,złagodzonej po cięgach wojny japońskiej, dało się wydać Wernyhorę, Czajkowskiego, Barcikowskich, Pożary i zgliszcza, żmogasa (M. Rodziewiczówny) i t. p.

Jakie wyniki dały się zauważyć? jakie i z czyjej strony przeszkody Różni różnie o tym sądzili i wrażenia były różne. Jedno z pierwszych wydawnictw, większa broszura „Papieże i lud" (rolny) wywołała w „Czasie" krakowskim szereg artykułów p. t. „Szech i Szary".

Obecnie, w r. 1936, po latach 30-stu są te rzeczy (teoretycznie przynajmniej) uznane. Ale wtedy? — Można było się nasłuchać wszystkiego! Podobnie jak przed laty 50-ciu, przy pojawieniu się w Krakowie pisma „Dzwon", do którego redakcji należał Partyzant.

„Dziennik Powszechny" dawał po temu dużo powodów. Ogłosił np. ankietę w sprawie wychodźctwa zarobkowego „na saksy". Drukował odpowiedzi, gdzie np. niektórzy księża stwierdzali, że zepsucie zagranicą nie bywa większe niż w kraju na służbie we dworcach — a wychodźcze zarobki dopomagają do parcelacji majątków źle gospodarowanych... Pani Karczewska, nie unikając poruszania spraw „niewygodnych", dawała szereg artykułów np. na temat „Dziewki" — po dworach. Stosunkami wiejskimi „Dziennik" starał się stale czytelników interesować. Pisywał na ten temat i ks. Fulman w felietonach. A duże wzburzenie na zebraniu „porozumiewawczo" rozłamowym C. T. R. w 1907 r. wywołało też jego przemówienie z samej estrady: omawiając motywy niezadowoleń wyraził się wprost,, że niestety stwierdzić trzeba, że „dużo rolniczych towarzystw okręgowych — są to trupy", którym żadne galwanizowanie nie pomoże, a trzeba, by się wewnętrznie odrodzili sami członkowie. Bez mobilizacji powszechnej siły ducha, największe nawet wysiłki pojedyńczych ofiarnych jednostek pójdą na marne. Na samej estradzie podniósł się wzburzony głos, że „ksiądz robi chaos..."

O robienie chaosu z wielu stron pomawiano „Dziennik" Partyzanta. Nie brakło posądzeń o masoństwo, jak nie brakło ich zapewne o „obcą agenturę" z funduszów moskiewskich, by szerzyć „rozłam". Czytać można było w niektórych organach religijnych, że sprawa niektórych wystąpień

oprze się o Rzym i t. p. Jeden z biskupów (z Żytomierza) wydał drukowane orędzie, zaczynające się od słów: „Ostrzegamy przed „Dziennikiem Powszechnym...“ Nie ograniczyło się na tym. Na tamtejszym diecezjalnym zjeździe duchowieństwa znalazło się dużo głosów oponujących i twierdzących, że w gruncie rzeczy „Dziennik“ miewa rację... A więc bunt? nowy „mariawityzm?“

Później, kiedy redaktor wyczerpany wrócił na czas jakiś w swoje „pola“, staruszek proboszcz i spowiednik jego od lat młodych, człowiek słynący w diecezji ze swej zacności i dobroci, ujął go za ręce i powiada: „panie S. — tylko niech pan nie przestaje, niech pan nie przestaje!“

Biskup listy pisane z wyjaśnieniami zwracał nie odpieczętowane. Ale i on z czasem zmienił opinię. Przed śmiercią swą kazał go serdecznie pozdrowić.

Tymczasem jednak w stolicy wciąż dużo było niezrozumienia nawet wśród ludzi dobrej woli. Jeden poważny miejscowy prałat z Kurii odwiedził redakcję z zamiarem wpłynięcia na redaktora. Ale go nie zastał. Członkowie redakcji przedstawiali daremność tego przedsięwzięcia. W trakcie rozmowy prałat tak się wzruszył, że dostał ataku i trzeba go było wodą ratować. Odwiedził redakcję m. i. ksiądz zajmujący się studiami nad Pismem św., a mający opinię uczonego. Po wstępnej rozmowie, w której oświadczył, że wierzy w dobrą wolę redaktora, zapytał go, czy nie miewa jednak niepokoju w sumieniu, bo właściwie mnoży grzechy.

Wszystkie kondemnaty jakie czyniono „Dziennikowi“ dotyczyły w znacznej części stosunku możniejszych do warstw niższych, z których pracy ciągnęli zyski. Sprawą, do której „Dziennik“ również nieraz wracał, było nadanie wędrówkom krajoznawczym starszej młodzieży kierunku praktycznego. To pozostawało bez wyników na razie.

W „sferach“ rozdrażnienie stawało się takie, że rodzina redaktora zaczęła się niepokoić: „ej — bo cię tam gdzieś w kącie zakatrupią...“ Nie było to tak groźne. Ale krwi popsuło dużo. Ktoś z życzliwych odwiedził ks. biskupa Bandurskiego. Na biurku u niego stos numerów Dziennika z pozakreślanymi ustępami. Te zakreślenia wydały się niepokojące. „Ksiądz Pasterz to czytuje?“ — „Jedyne pismo, co prawdę pisze“ — była odpowiedź. Gość się uspokoił.

Ksiądz biskup uznał też wielką potrzebę odpowiedniego katechizmu Z jego inicjatywy ogłosił Partyzant konkurs. Mimo ogłoszonej nagrody 1.000 rubli, nic odpowiedniego nie powstało. Nie pomogło i odroczenie, ani różne inne wysiłki.

Na zjeździe pisarzy katolickich Partyzant miał referat: Bojaźń prawdy, a potrzeba prawdy w piśmiennictwie katolickim“. Referenta wytupano, ale prawdy nie zadeptano. Zresztą, każdy, wychodząc z sali, otrzymał na pamiątkę referat ten — już wydrukowany.

Obecny na zjeździe ks. arcybiskup Teodorowicz tak wziął do serca, by

redaktora podtrzymać, że zapytał go, czy by nie pragnął odwiedzin, które byłyby aprobatą poglądów referatu i ogólnego kierunku pisma. Redaktor jednak prosił, by tego nie robił. A w kilka dni potem — może nawet bez przyczynienia się tego arcypasterza — „Dziennik“ otrzymał dla siebie, współpracowników i czytelników błogosławieństwo papieskie.

A co się stało z „Dziennikiem?“

Redaktor - wydawca chciał go zamknąć, sprzedanie byłoby zyskowniejsze. Nie chciał jednak Partyzant, by mu jakiś nowonabywca robotę krzyżował.

Współpracownikom zrobiło się żal. Zapragnęli robotę dalej własnymi siłami prowadzić. Właściciel przystał, z warunkiem, że w razie zamiaru zaniechania, zwrócą mu pismo również bezpłatnie. Zostało to zabezpieczone umową notarialną, co nie ustrzegło jednak przed niepożądanym obrotem sprawy. Znalazłszy się w ciężkim położeniu „Dziennik“ sprzedano bez wiedzy właściciela. Nowonabywca znalazł się w położeniu kogoś, kto nabył na jarmarku złego konia. A „Dziennik“ wkrótce żywota dokonał.

Partyzantowi na razie nie dane było posiedzieć spokojnie na wsi i szykować się do objęcia swego „interesu“. Przyszedł telegram: „Proszę przyjechać Nowemiasto Honorat“. Nie pojechać nie wypadało. Okazało się, że przybył z Rzymu vicegenerał zakonu kapucynów na wizytację zakonu i zgromadzeń tercjarskich ściśle zorganizowanych, które w odróżnieniu od mało-czynnego na razie tercjarstwa zwykłego prowadziły czynną i bardzo oddaną służbę. Było kilkanaście zgromadzeń o różnych polach działalności. Liczono je na parę dziesiątków tysięcy osób. Rozsiane były na różnych placówkach, ubierały się po świecku, a pracowały z zakonnym żarliwym poświęceniem po wszystkich dzielnicach w zaborze rosyjskim. Nawet wśród Polaków nie bardzo o nich wiedziano. Utrzymywały się przeważnie z własnej pracy. Trzeba było Ojcu Honoratowi dopomóc, bo cała ta niedostrzegalna praca, choć miejscami nie była bez usterek, niosła wysoce pożyteczną społeczną służbę. Gdzie była jaka bieda, bezradność, szpital, przytułek, fabryka — tam były i one. Prowadziły i sklepik, te tak naturalne misjonarskie placówki, ochronki, gospodarstwa. Wszystko bywało wizytowane przez kierownictwo najbliższe, ale wyczekiwano wizyty z Rzymu, były bowiem i sprawy, wymagające wyższego rozstrzygnięcia. Partyzant z O. Honoratem prawie się nie znał, zawsze szanował incognito zgromadzeń, ale wezwany jako „socius“ nie odmówił. Wizytatorem był O. Benno, w świecie hrabia Auracher, z pochodzenia Bawarczyk, człowiek tego pokroju, że nieraz mu wypadało być w ciągu dnia u dworu panujących, a wieczorem na jakimś socjalistycznym czy innym zebraniu. Człowiek wyrobiony życiowo, bardzo ludzki i ujmujący w obejściu. Przybywał wprost z Południowej Ameryki, przywożąc z sobą siodło z jukami w przypuszczeniu, że mu się w Polsce też przyda. Obeszliśmy się jakoś bez tego. A zwiedziliśmy dużo miejscowości, dużo spraw omawiając, informując o stosunkach

społecznych i klerowych. W tym czasie między władzą duchowną świecką a zakonną nagromadziło się dużo spraw do ułożenia; trzeba to było załatwić, aby zgromadzenia mogły działać coraz lepiej.

Nie można było oczywiście ominąć i Warszawy, gdzie O. Benno miał w Kurii załatwić sprawę Szecha. Był to kapucyn z Nowego Miasta, przed wstąpieniem do zakonu Izydor Wysłouch, z ziemiańskiej rodziny z Polesia. Po ukończeniu wydziału historycznego na uniwersytecie, przez Ministerstwo delegowany miał być dla przeprowadzenia badań do biblioteki Watykańskiej, wolał jednak pójść na braciszka do zgromadzenia rzemieślniczego. Dużo też pisywał, a wypowiadane z żarem śmiałe poglądy wywoływały u niektórych wielkie wzburzenie. Prowincjał Zakonu O. Honorat nie widział w tym żadnego wykroczenia, ale dla niektórych ludzi poglądy Szecha były niewygodne. Wizytator w rozmowie z delegatem, wyznaczonym przez ks. arcybiskupa zadał pytanie: czy w tym, co Szech pisywał, było coś „contra fidem" — przeciw wierze? „Non erat contra fidem, sed contra usum" — nie było to przeciw wierze, lecz przeciw przyjętemu zwyczajowi. Wizytator nie odpowiedział nic, tylko rozłożył ręce. Milczący ten gest był dostatecznie wymowny.

Zakończywszy swą wędrówkę jako „socius" (towarzysz) oraz sprawy, które się z tym wiązały, Partyzant mógł się wreszcie wziąć do własnego gospodarstwa — łatać dziury w finansach.

Było 3 folwarki, 2 większe i 1 mały, łącznie około 1.500 ha ziemi ornej i łąki z pod zarośli i trzęsawisk, dla osuszenia których Partyzant dużo pracy dawniej włożył, przecinając zimą stopniowo odpływy z toporem i rydlem w ręku: miał więc dla tych łąk specjalny sentyment. Jedną z pierwszych prac przy dawniejszym objęciu gospodarstwa było wyrównanie dróg i granic, nasztobrowanie topoli włoskich i obsadzenie nimi przydroży: ogólna długość linii wyniosła blisko 30 km. Topole były dziwnie szanowane przez ludzi, a bardzo pożyteczne ze względu na plagę pędraków: siadały na nich chrabąszcze, wiatr skołysywał je na ziemię, a ptactwo łuskało. Kiedy zaś przyszli Niemcy dziwowali się takiej „polnische Wirtschaft,' *) ale drzewa na ogół szanowali mniej. Opisem gospodarki nie można się tu zajmować, choć metoda gospodarowania bardzo się podobała J. Mikułowskiemu - Pomorskiemu, o tym zresztą potem. Trzeba nadmienić tylko, że choć folwarki Partyzant dostał ładnie zagospodarowane, ale poprzednia administracja nie zdołała jeszcze wyrównać dawnego braku siły nawozowej. Była to pierwsza troska. Słoma jara i paszysta prosianka były, budynki były, zbyt na masło też, więc na jesieni zakupił przy pierwszym objęciu 136 krów, aby je wysortować. Na wiosnę wszystkie wyprzedał, bo taki kłopot przy braku ludzi wykwalifikowanych nie był odpowiedni. Straty na krowach nie poniósł — żywione były dobrze a tanio, więc pomimo małych cen, miał zysk.

---

*) „Polska gospodarka". Red.

Ale nawozu nie było. Skąd brać? Poprzednik próbował skupywać kuraki. Kury trzymają u nas na wsiach na strychach, a że żywią je ziarnem, nawóz ich jest suchy; nawóz ten nigdy nie jest wybierany, potworzyły się więc całe pagórki niczem pokłady z saletry chilijskiej. Ale jaka wartość? aby nie iść na ślepo posłał Partyzant próbki do analizy do Kijowa, Warszawy, Dublan... Produkt okazał się pierwszorzędny, ogłosił więc cenę za pud suchego z dostawą do stodoły. Najpierw dostawiać zaczęły kobiety, ruch się zrobił taki, że w ciągu zimy nawieziono blisko 20 tys. pudów t. j. ok. 3.500 ctr. metr. W stodole było pod rząd 3 bramy: sypało się przez jedną, mełło walcami żelaznymi chodzącymi w kółko, sortowano na cylindrach Cegielskiego, znów się mełło, a na wiosnę wszystkie pola zostały posypane Westfalią po 5 ctr. mtr. na mórg.

Opisuję to, bo może ten „życiorys" ożywiania pól komu się przyda?

W drugim roku dostawa kurzeńca się wyczerpała.

Ale nad granicą, zaraz za nią była stadnina Białocerkiewska licząca do 600 koni. Gospodarstwa polowego nie prowadzono, słomę kupowano. Ułożyło się zamianę: zabierali u Partyzanta słomę, on zabierał gnój w stosunku ustalonym. Gnój ten woził się przeważnie zimą, bo najbliższa wozownica była przez staw. Kompostowano w polach wielkie kręgi, okrywając zlekka ziemią. Rozwożono dopiero na następną jesień, pod buraki. Kompost ten roztrząsano odpowiednimi wozami amerykańskimi — roztrząsaczami. Narzędzia drogie, ale bardzo się opłacały. Tym bardziej, że to kompostowanie służyło jako pułapka na chrabąszcze. Znosiły tu jaja, na jesień pędraczki ładnie się roztrzęsły po polach, a wrony je zbierały.

Dla zasilenia tego kompostu dowożono mu też złoto ustępowe i krew z odchodami z rzeźni o 12 wiorst ze Sk. Dostarczał sam właściciel, dla którego to było dogodne, bo żaden gospodarz nie chciał tego na swoje pole przyjmować. Partyzant płacił od dostarczonej beczki. Z wylewaniem był z początkiem kłopot, więc nic nikomu nie mówiąc rozlewał i przyjmował ten towar osobiście. Wkrótce zluzował go ktoś inny. Przywożono gnój miejski z rana, po czym przykrywano go gnojem nawożonym ze stajen folwarcznych.

Prócz gnoju używał dużo superfosfatu — a jedno z drugim, dało mu możność prowadzić wytężoną a tanią i bardzo uproszczoną gospodarkę. Przy silnym zaopatrzeniu w narzędzia i maszyny (które jeść nie proszą) można było wszystko załatwiać w szybkim tempie, zyskując czas i środki na szybkie spłaty długów i roboty społeczne.

W P. w swoim czasie powstała jedna z pierwszych cukrowni w kraju, więc z dawien dawna ludzie byli z robotą tą obyci. Pierwszym dyrektorem był jakiś Francuz czy Belgijczyk, wśród następnych pp. Wąż i Chrząszcz, obaj bodaj z Małopolski.

Stosunek do władz i ludności na Kijowszczyźnie.

Zasadniczy stosunek do władz był taki, żeby nie mieć z nimi żadnych stosunków.

Serwituty — służebności były wieczną kością niezgody i okazją szkodnictwa. Ojciec naszego „działacza“, pragnąc za wszelką cenę usunąć sąsiedzkie swary, oddał „swoim wiejskim sąsiadom“ połowę ziemi.

Okolica podżartowywała z różnych porządków, że się z pól robi ogród, jak i gorszyła, że z ogrodu robi się pole. Ale ludzie się interesowali i miało to dobry wpływ.

Gospodarze przejęli np. od dworu kompostowanie nawozu. Dyrektor Akademii Rolniczej w Dublanach J. Mikułowski - Pomorski, odwiedzając kiedyś miejscowość, zdziwiony był układaniem nawozu w stosy, choć gospodarze wprowadzali swoje modyfikacje.

Dobrze działało czasem pożyczenie komuś porządnemu jakiegoś narzędzia, jako odwdzięczenie np. za sąsiedzką pomoc. Bardzo prędko przyjęły się brony całożelazne. Na żądanie klienteli zaczęli je robić kowale wiejscy. Sam przez się stwarzał się drobny przemysł pomocniczy wiejski. Robiono sobie komplety po 16 rubli takie same, jak fabryczne po 21 rb.

Czasem działa fortel, mus lub przypadek. Podobnie jak w swoim czasie było z ziemniakami w Anglii, stało się np. z pomidorami u nas. Był ich kawałek źle strzeżony. Zanęciły się dzieci, ponajadały się same i rozniosły po domach. Taka propaganda i reklama okazała się bardzo wydajna.

W ogóle najlepiej jak różne rzeczy robią się „same przez się“; byle uchwycić okazję odczuwanej potrzeby.

Bywał kłopot z pożarami. Zdarzały się ciekawe incydenty. W nocy np. zapaliła się stodoła kryta dachem ze słomy glinowanej — kalenicą. Ściany były jak u nas normalnie: słupy dębowe lub akacjowe (trwalsze niż dębina), a między słupami wpuszczane dyle przetykane słomą z gliną (zamieć). Ściany się przepaliły, a dach niepalny osiadł na ziemi, tłumiąc automatycznie cały pożar. „Czarownik!“ Ludzie się zaciekawiali do słomo-glinianego budownictwa.

Zaczęły się już były czasy wolnościowe, po-japońskie. Pod wpływem samorządów powiatowych zaczęto we wsi pogadywać o kooperacji, o założeniu sklepu spożywców, zaczęto rozpowszechniać odpowiednią literaturę w języku urzędowym. Dwory polskie — jako polskie — trzymać się musiały jednak dawniejszych, jagiellońskich tradycyj unijnych. Unia trzech narodów: Polski, Litwy i Rusi, jako wspólna ostoja przeciw groźnym obcym zakusom musi trwać. Ruś nie powinna utonąć w otchłaniach morza „matuszki Rossiji“. Ruś i Litwa muszą pozostać sobą w sojuszu z polskością, aby nie zostały pochłonięte. Sam rozum stanu to dyktuje. Zależy przecież na tym i Polsce i każdemu z osobna i całej kulturze Zachodu.

To, co ułożone w prastarym Statucie Litewskim pisanym po rusku, to samo wyraził w swej modlitwie wieszcz rusiński:

Jak je Trojcia trojjedyna
Tak jidna mołytwa
Necha bude jaki buło:
Polszcza, Ruś i Łytwa.

Nie zniszczą tego żadne podszepty obcych agentur, ani hajdamackie „noże w plecy“, wbijane ręką bratnią czy przez bratni nierozum lub złą wolę zaślepieńców.

Zaraz po japońskiej wojnie rząd rosyjski zaczął pozwalać na druki treści ogólnej w języku rusińskim, co było dotąd zabronione. Zaczął wychodzić tygodnik „Switowa Zirnycia — Zorza rozświtu“; założycielem był Polak ziemianin — Joachim Wołoszynowski. Bez zaczepienia o sprawy polityczne prowadzone było wszystko z ogromnym talentem, znajomością stosunków a szczerym sercem. Poruszało się sprawy pożycia ludzkiego i sprawy gospodarcze. Język był taki, że tworzące się „Ukrainy“ zwracały się potem do redaktora, jako autorytetu. „Zirnycia“ wydawała też dużo broszurek wespół z Rusinami dobrej woli, przy poparciu niektórych ziemian. Te broszury szerzył i nasz znajomy.

Nie zabrakło oczywiście knowań wśród ludu, zarzucających: „pany“ szerzą język „mużycki“, bo nie chcą, żeby chłop się oświecał, a chcą żeby pozostał ciemny. Ale jednak znajdowali się tacy, co sprawę brali inaczej i nie uważali, że to jest nowa „polska intryga“.

Dość, że wieś zwróciła się do dworu, czy nie zechce wziąć udziału w utworzeniu kooperatywy. Na zebraniu organizacyjnym dwór zadeklarował, że zamawia 30 udziałów po 10 rubli gotówką i zobowiązał się w sklepie zaspakajać potrzeby własne i folwarków, o ile towary będą dobre, a ceny równe miasteczkowym. Wieś miała gospodarować sama, nie licząc ani na dwór, ani na oficjalistów. Nie było więc z żadnej strony żadnego „ofiaryzmu“ ani „patronowania“, ale obustronny interes. Dwór unikał w ten sposób niedogodnych posyłek, a wieś zyskała swój sklep. Kapitał obrotowy powstał od razu, obrót był zapewniony, bo dwór zgłosił zapotrzebowanie na pierwszy miesiąc i sklep z miejsca rozwinął się normalnie. Później na prośbę zarządu dwór odstąpił swoje udziały.

Wkrótce wraz ze zmianą polityki szerzącą się już samorzutnie literaturę rusińską uważać znów zaczęto za sprawę antypaństwową i wytoczono śledztwo za „polsko-mazepinskuju propagandu“. (Słowo pochodzi od nazwiska hetmana Mazepy, który za cara Piotra walczył z zakusami Moskwy, a sprzymierzył się z Karolem XII szwedzkim. Moskwa upatrywała w tym też polską intrygę).

Towarzystwo Rolnicze i agronomia społeczna.

Na Kijowszczyźnie w początku XX wieku prezesem Kijowskiego Towarzystwa Rolniczego był długo kniaź Repnin, oczywiście Rosjanin, rów-

nocześnie „predwoditiel dworjanstwa“ — „marszałek szlachty i opieki szlacheckiej“. Wiceprezesem faktycznie sprawującym wszelkie czynności został w 1906 r. — Antoni Saryusz Zaleski.

Towarzystwa rolnicze otwierały drogę do pracy legalnej. Ale trzeba było pieniędzy, pieniędzy, i jeszcze raz pieniędzy — bo żadne „składki członkowskie“ nie mogły tu wystarczyć. Funduszów nie było, a pensje tylko dla niezbędnych pracowników biurowych, na co — jak i na wszystko — trzeba było starczać „własnym przemysłem“ przy współdziałaniu tych, co się do obowiązku współdziałania poczuwali.

*

* *

W r. 1908 Partyzant zostawszy prezesem powiatowego Towarzystwa Rolniczego wynajął na biuro kilkupokojowy dom z ogródkiem od ulicy, w pobliżu poczty, izby skarbowej, sądu i t. p., w punkcie więc najbardziej uczęszczanym. Tu, jak i przy targowicy i stacji kolejowej, urządził uprawy pokazowe: lucerny, buraków, pasz, oraz różnych ogrodowizn jak: cebula siedmiolatka, pomidory i t. p. W biurze umieścił okazy narzędzi, jak strzemiączko i t. p. Wszystko jak było zapoczątkowane w prywatnej kancelarii folwarcznej w P.

Pomieszczenie Towarzystwa powiatowego składało się z kilku pokoi, z których jeden służył jako biuro, a reszta służyła kobiecie, która utrzymywała porządek i udzielała informacyj ciekawym. Prezes dał jej większe pomieszczenie w tej myśli, żeby mogła trzymać uczniów z gimnazjum; chodziło o to, żeby ich trochę powyciągać z różnych nor, w jakich się gnieździli.

Prezes poza pokazownią upraw w miasteczku, a później — przy zawsze niezmiennej życzliwości proboszcza ks. prałata Trockiego — przy samym kościele, zasięgnął też u niego informacji co do parafian z okolicy. Chodziło o to, żeby u staranniejszych gospodarzy Polaków w samych wioskach zakładać poletka — pokazy. Wyniki te nie kazały na siebie długo czekać, a dowody skuteczności metody bywały nieodparte.

Z jednym z panów braci szlachty, panem K., zasiał lucernę — oczywiście na oczach całej wsi, przy płocie. Zajeżdża raz konno, zajeżdża drugi: wzeszła ładnie, ale coś nie rośnie. Intryguje go tylko, że zawsze z poletka pierzcha gromada kur. — Czy one zawsze tu tak łażą? — pyta. — A! odpędzić czegoś nie można. Z całego sąsiedztwa tak się zbiegają. — A niosą się dobrze? — Chwalić Boga... Dziwują się ludzie, czego one w tej lucernie szukają...“ Co do Partyzanta przestał się już dziwić, dlaczego lucerna nie rośnie. A po wyjaśnieniu przestała się zapewne dziwić i pani K. Oczywiście dowiedzieli się i ludzie.

Brał się prezes i na różne inne sposoby.

Wyjeżdżał np. wózeczkiem wraz z praktykantem na jarmark i rozsprzedawał przywieziony towar: nasiona lucerny, koniczyny, buraków pastew-

nych, ogrodowiznę. Powstawało oczywiście zbiegowisko. Partyzant odważał, a prezes prowadził całe gawędy wykładowe.

Stopniowo z zasiłku z P. dzięki ofiarnej pracy Stefanii Bojarskiej wyszły 3 książki: Wielkopolska, Galicja, Królestwo, wydrukowane częściowo już podczas wojny. Rozchodziły się dobrze. W r. 1920, kiedy Partyzant podczas pobytu wojsk polskich na Kijowszczyźnie przyjechał do Warszawy jako delegat Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi — „Wielkopolska" była już wyczerpana: jako wydawca otrzymać już mógł zaledwie jeden — ostatni egzemplarz! Większość nakładu wykupili bodaj Ukraińcy do Małopolski Wschodniej. Kiedy w r. 1935 „Dziennik Poznański" robił tam wywiad i wyrażał zdumienie z powodu nadzwyczajnego rozwoju kooperatyw i ogromu dokonanej pracy — korespondentowi odpowiedzieli ludzie „Wzorowaliśmy się na Wielkopolsce!"

Mimo całego uznania dla dobrych stron charakteru braci Rusinów, wolałby oczywiście wydawca, żeby z tych wędrówek większą korzyść odnieśli bliżsi bliźni — ale cóż robić! trudna rada!

Niekiedy Partyzant chwytał za pióro. Głośnym echem odbiło się jego wystąpienie na szpaltach „Dziennika Kijowskiego", który też „pro publico bono" *) dokonywać musiał delikatnych porachunków sumienia społecznego.

Wielki jałmużnik Polski, zwłaszcza w sprawach zaboru pruskiego, mecenas Osuchowski, wzywał ponownie o ofiarność na rzecz gimnazjum w Cieszynie. Szło o 400.000 koron. Ale z ofiarnością szło niesporo. Dlaczego? Mając w najlepszym sąsiedztwie jedną cukrownię żydowską, a drugą hrabiowską i porównując ogłoszoną cyfrowo wydajność cukru z kwintala buraków w jednej i drugiej — Partyzant wykazał prosty rachunek, że gdyby białocerkiewskie cukrownie dawały tyle, ile ta żydowska — to już by było na „ocukrzenie" tej całej sprawy. Chcąc być sprawiedliwym, a mając zupełnie pewne poszlaki, wyrażał przypuszczenie, że winna jest temu niemożliwość kontroli przy samej reprodukcji nasion. W sferach zawrzało, ale kilkadziesiąt tysięcy pudów nasion podobno spalono.

Oddźwięki wojny.

Na razie — aż do roku 1916 ci, co pozostali w domu, wiedzieli o wojnie przeważnie z gazet.

Dwa miliony ludu polskiego miała niebawem wypędzić jeszcze Rosja w głąb Azji na głód, nędzę i poniewierkę.

Utworzył się i w S.Oddział Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny z siedzibą centrali w Piotrogrodzie. Pierwsze fale wygnańcze Polaków zaczęły płynąć z Austrii — dużo spod samego Lwowa. Trzeba było na gwałt tworzyć etap w odległej o 25 km W., gdzie był i dawny

*) „Dla ogólnego dobra". Red.

parafialny kościół. Ziemiaństwo powiatowe miało dać pieniędzy, ale o przeprowadzenie wszystkiego zwróciło się o pomoc do P. T. P. Przy noclegach i żywieniu chodziło w pierwszym rzędzie o kąpiel i gorącą wodę do prania dla tych tysięcznych tłumów płynących partiami jedna za drugą. Chodziło i o zbiórkę płótna wiejskiego i szybkie obszywanie dzieci — bo wszystko bywało bez tchu wyganiane... Zbiórką zajęła się pani J. z Małopolski, resztę poruczono P. Etap zborny był na skraju miasteczka, ale na kwaterę dla opiekunki, na skład i szwalnię upatrzył pełnomocnik oficynę na probostwie. Świeży młody proboszcz się opierał, ale musiał się zgodzić.

Całą gromadą na posterunku etapowym zajęła się ofiarnie pani K., ewakuowana z Łodzi wraz z córką, i parę innych jeszcze ewakuowanych osób.

Wygnańcy — zwłaszcza kobiety i matki małych dzieci błogosławiły za obfitość gorącej wody do prania i mycia.

Puściwszy w ruch etap miejscowy ruszył Partyzant zasięgnąć języka do Kijowa. Tu pełno było również ewakuowanych uchodźców. Od razu spotyka pannę J. J.: „Panie, trzeba gdzieś umieścić 40 dzieci skierowanych tu przez pana P. G. z pod Rawy, a pozbieranych po okopach i t. p.—Miejsce u mnie we dworze jest, 22 izby, ale nie ma nikogo, żeby się dziećmi zajął... — Opiekunka tymczasowa jest... — To niech przyjeżdża".

Na probostwie ówczesny ks. proboszcz Teofil Skalski wita go słowami: „Ach! jak to dobrze. Właśnie jest 6 osób ze Zgromadzenia Służek NP, Honoratki. Nie ma pan pomieszczenia?" „Ależ owszem! miejsce jest. Robota też. Właśnie mam dostać 40-ro dzieci pogubionych — zrządzenie Opatrzności."

I tak dwór się zapełniał.

Tymczasem uruchamiał się Polski Komitet Wykonawczy na Rusi — komisarze z wyboru.

W S. na tłumnym zebraniu z całego powiatu przy stawianiu kandydatur padł głos „Partyzant". Była to forma niezupełnie formalna, ale zebranie kandydaturę przyjęło jednogłośnie. Nie było to po myśli kandydata, został jednak tym Komisarzem, dobierając współkomisarzy rejonowych dla poszczególnych części powiatu.

Pomieszanie języków.

Kiedy na naszą Ruś Kijowską podczas wojny przyszli Niemcy, okazało się, że w pułkach dużo było Wielkopolan. Dziwowała się nasza ludność, że i Niemcy mówią po polsku „pańskim językiem"...

Kiedy napływały liczne pociągi z wojskiem do Kijowa i dużo ich stacjonowało na torach kolei, próbował Partyzant, jakby też poszedł tu kolportaż „Dziennika Kijowskiego", którego tu nie było widać? Wziął jakąś setkę numerów i w zwykłej swej świtce zaczął roznosić. Jeden

z pociągów warczał cały językiem niemieckim. „Dziennik Kijowski“ wołał kolporter. „Dać, dać“ — rozległy się na wszystkie strony wołania, „w Kiew polska gazeta?!“ W jednej chwili resztę zapasu rozchwytano. „A cóż to panowie mówicie wszyscy po niemiecku?“ „My som Ślązaki. Mówimy po niemiecku, ale czujemy po polsku“.

Wojsko spragnione było pism; książki i gazety były zawsze rozchwytywane, jak to miało miejsce i przedtem w formacjach polskich P. O. W. w wojsku rosyjskim. Partyzant robił i tam „co kazał duch boży“, za co otrzymał później taki papierek: „Ministerstwo Spraw Wojskowych. Sztab Generalny. Oddział II. Nr... Inf. D. Warszawa, dnia 29/VIII-1922. Zaświadczenie. Niniejszym zaświadcza, że p. S. S. - Z. został przez ogólne zabranie Zarządu Związku Polaków Wojskowych IX Armii w listopadzie 1917 roku wybrany na członka honorowego Związku za pracę wysoce ofiarną i skuteczną pomoc w dziedzinie oświaty wśród żołnierzy polskich b. armii rosyjskiej. B. wice-prezes Zarządu Związku Wojskowych Polaków IX Armii Jan Kowalewski kpt. Kier. Referatu D. Wydz. III. Oddział II Sztab Generalny“. (Późniejszy attaché wojskowy poselstwa w Moskwie, Paryżu, Bukareszcie).

Ale z tym pomieszaniem języków i pojęć była wciąż istna wieża Babel. Kiedy się mówiło z Wielkopolanami, słyszało się wciąż: „Nigdy nie wiedzieliśmy i nie myśleliśmy, że tu tak dużo polskości!“

A jednocześnie żołnierze ostrzegali nas: „Niech ale mają baczność, że nie każdy jest Polak, co po polsku gada. Dużo je Niemca, co piękniej od nas językuje, a zdradę knuje...“

Wśród Rusinów, nawet tam, gdzie były porządne, rzetelne polskie dwory, nastrój bywał różny, jak różni bywają zawsze ludzie. Kiedy nastał bolszewizm we wsi, do mojej krewnej przyszła delegacja poważnych gospodarzy, żeby pani nic się nie bała. A po południu, gdy cała rodzina zebrana była przy podwieczorku, w okna uderzyło kilka bomb i w koło domu huknęły karabiny. Dzieci w jednej chwili pogasiły w domu wszystkie lampy, a oblegający zdetonowali się, że światła pogasły i całej licznej rodzinie udało się chyłkiem wymknąć do przebywających wtedy jeszcze wygnańców łomżyniaków, następnie zaś czacharami i oczeretami zamarzłego stawu dalej...

Kiedy gromiono nam dwór, zabierali już wszyscy co mogli: bo dlaczego ma ktoś inny korzystać? Jedna staruszka zawiązała postronek na nóżki komody, ciągnie i płacze: „O Boże, mij Boże, za cóż my naszu dobru paniu tak krywdim?“ *)

W dobrach białocerkiewskich i na ogół w branicczyźnie folwarki demolowano do fundamentów, a fundamenty rozsadzano dynamitem i gruzy rozwożono, żeby i ślad nie pozostał.

---

*) „O Boże, mój Boże, za co my naszą dobrą panią tak krzywdzimy?“ Red.

Kiedy po wyjściu Niemców P. została pusta, dwór gmina zamknęła i klucze zabrała do siebie. I tak stało. Aż wreszcie urzędy bolszewickie przysłały ekspedycję karną: kazali odemknąć, postrzelali w portrety i lustra i zapowiedzieli, że jeśli wieś w tej chwili dworu nie rozbierze, to oni całą wieś spalą...

Nie trzeba sobie wyobrażać, że i w P. byli wszyscy jednej myśli. Kiedy Partyzant musiał wywozić swoją młodą żonę, rekonwalescentkę po tyfusie, którym się zaraziła przy tyfusowych i w oczekiwaniu potomka — w najgorszą pluchę, deszcz, wiatr, śnieg — zjawiła się jakaś „delegacja żołnierzy i robotników“ i nie chciała puścić. Po długich pertraktacjach wypuściła na słowo, że wróci. Wrócił — i nic mu się nie stało. A ilu po dworach, w ilu dworom życzliwych wsiach — pomordowano. Tego nie wie nikt, więc nikt nie zliczy.

Podczas defilady wojsk polskich na tej nieszczęsnej naszej Rusi w P. kwaterował szwadron ułanów. Dowódca kapitan (poległ później w Krakowie podczas zamieszek socjalistów) opowiadał W. kustoszowi Muzeum Narodowego, że kiedy ułani opuszczali P., mieszkańcy chwytali ich za strzemiona: „Co to u nas będzie, jak panowie odejdą?“

Podniosłą była defilada wojsk polskich w Kijowie. W dziwnym, osłupiałym milczeniu trwały przyglądające się tłumy, jak ciągnęło to wszystko przez Złotą Bramę Chrobrego i wąwozem Kreszczatyku i dalej i dalej — wciąż dokoła, jak w owym „Weselu“.

„Tyle wojska — skąd te wojska — czy z przestworzy płyną, kiedy już wszystko wydawało się stracone?“ — szeptali jedni podświadomie, przetwarzając „Marsz Szopena“, patrząc na ten pochód jako na dalszy ciąg dziejów „Pochód na Wawel“.

„Nu — i mołodcy... prognali proklatnikow... przegnali przeklętników (bolszewików)! A pariadki to u nich jeszczo łuczsze niemieckich — a porządki lepsze niż u Niemców — (cytuję dosłownie) — dziwowały się wielkorusy.

Nad wszystkim zaś krążyły owe osławione wybrakowane zagraniczne samoloty — „latające trumny“, w jakie zaopatrzyli nas jedni przyjaciele, zanim dowozu amunicji nie odcięli drudzy.

Defilada znalazła oczywiście echo w artykule Partyzanta w „Dzienniku Kijowskim“, który niósł wieści z Kijowa tym, co byli nieobecni.

Był maj, była procesja na Boże Ciało, w przedzie oddziały wielkopolskie piechoty, ich siarczysta kapralska komenda i siarczyste salwy. Tysięcznym echem po urwiskach grzmiały te pogłosy wracającej Polski, niosąc się ponad Padół — po dół pobrzeży dnieprowych Kijowa — w pustynne równie piachów na zadnieprzański „ruski brzeg“, krzepiąc może i jakie „serca“ — gwiazdy tam rzucone w „studnie“ zapomnienia!

Patrząc na to wszystko, nie można było nie wspomnieć i o tych naszych, których kości i duch pracy pozostały tam — na bliższym i dal-

szym wschodzie, gdzie tyle lat przebywali nasi wygnańcy i wychodźcy, misjonarze kultury powszechnej, placówki pionierskie zagubione w puszczach.

Dzień tej defilady kijowskiej i dzień święta Bożego Ciała — stały się dniem wspominek. Popatrzmy też i z punktu innego, popatrzmy oczami samych szlachetniejszych Rosjan. W jednym ze swoich „Kalendarzy Kresowych" (1917) Partyzant przytoczył odezwę „Pożegnanie Sybiru". Naczelny organ rosyjski skrajnej północy Wschodu, żegnając naszych wygnańców, wracających do kraju pisał: „żegnamy was, jako przyjaciół i nauczycieli. Nie tylko poznaliśmy Was i cenili jako ludzi prawych, ale rozwijaliście nasze rolnictwo, wprowadzaliście niemało rękodzieł, byliście apostołami nauki i sztuki i wszechstronnej kultury w najlepszym tego słowa znaczeniu... Więc Bóg wam zapłać — Bracia!"

Ślady.

Ślad działalności Partyzanta podczas masowego wygnania ludności polskiej z Korony podczas wojny światowej pozostał zadokumentowany w następującym zaświadczeniu:

„Wojewoda Lubelski Nr... / Prez. I. Lublin 9 marca 1921 r. Stwierdzam niniejszym co następuje:

Pan S. S. - Z. z P. pow. S. gub. kijowskiej, Prezes Powiatowego Towarzystwa Rolniczego, a następnie z wyboru ludności polskiej Komisarz Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi (Najwyższej Instancji Politycznej do 1920 r.) zmuszony był w r. 1920 emigrować, z powodu ekscesów bolszewickich do Polski.

Pełniąc obowiązki Prezesa Centralnego Komitetu Obywatelskiego w Kijowie, miałem możność poznać bliżej zalety charakteru i umysłu p. S. S.-Z.

Pan S. S. - Z., podczas masowego wygnania ludności polskiej z Kongresówki w 1915 r., zajął się energicznie losem wygnańców, których umieszczał w tych okolicach Kijowszczyzny, gdzie przemieszkiwało zruszczone osadnictwo polskie, w celu ich oświecenia przez zmieszanie się z ludnością przybyłą świeżo z Polski.

W tym celu zorganizował kilkanaście szkół i ochron, których był z ramienia Centralnego Komitetu Obywatelskiego Kuratorem honorowym.

W majątku swym P. oddał na użytek Komitetu cały swój dom mieszkalny i kilka budynków folwarcznych.

Z powodu braku podręczników szkolnych, wydawał je własnym nakładem (np. Elementarz Promyka odbito w 45.000 egz.).

Działalność ówczesna p. S. S. - Z., pełna szlachetnej inicjatywy i osobistej ofiarności, zyskała powszechne uznanie i wdzięczność wygnańców. — Wojewoda Lubelski St. Moskalewski (L. S.)."

W tej pustej warni powstała swoista placówka.

Dla szkół i ludności wspomnianej w powyższym „Zaświadczeniu" trzeba

było książek. Z Kijowa wszystkie zapasy elementarzy i t. p. wywiózł ks. Kazimierz Lutosławski do Moskwy. Partyzant zawiózł „Płomykowy“ elementarz do Kijowa. Część obrazkową, kilkanaście stron, odbito na klisze chemigraficzne, do składania reszty wzięła się „Drukarnia Polska“ przy „Dzienniku Kijowskim“, podtrzymywanym przez ziemiaństwo — i dzięki stanowisku Dziennika i redaktora Joachima Wołoszynowskiego „Elementarz“ coś w tydzień był gotów! Do p. Michała Roga, który jak cała rodzina „promykowa“ był w trudnym położeniu, Partyzant oczywiście nie zaniedbał przesłać honorarium do Moskwy.

We dworze P. powstała swoista redakcja. Przybyła tu z Petersburga, skierowana przez p. Kosmowską, wygnanka z Warszawy p. W. Studnicka z towarzyszką, był zbieg z niewoli syberyjskiej, adiunkt sądowy p. „Jan Karaś“ małopolanin, drugi jeniec wojenny Karol Jaś, ślązak, pp. Kowalewskie z Łodzi, Kierzkowska (obecnie prof Rogóyska z pod Białegostoku); maszyny do pisania dostarczyła redakcja „Ludu Bożego“ Kijów, ks. kan. St. Żukowski. Zasilano redakcję systematycznie materiałami dla rzeszy wygnańczej, gotowiono rękopisy do druku. Partyzant wydał cały komplet broszur: „Żywot Jezusa Chrystusa“ (przedruk z wydanego przez Tow. Rolnicze 1862) — 3 wydania po 3 tys., „Mała książeczka do Mszy św.“ — 10 tys, „Święte patronki rodzin polskich“ — 3 tys., „Stanisław Żółkiewski bohater chrześcijaństwa“ — 3 tys., „Dzieje Polski“ z uwzględnieniem zwłaszcza stosunków kresowych przygotowała p. W. Studnicka — wydała P. M. S. w Winnicy na Podolu. Komplet wydawnictw z P. rozsyłany był w cenie 1 rb. Drukowano przeważnie w Kijowie, ale ponieważ drukarnia ta nie mogła nadążyć, więc drukowało się i w Dorpacie, bo tamtejsze koło P. T. Ofiarom Wojny, w osobie inż Nawrockiego, zwróciło się o robotę.

Prócz wymienionych przez C. K. O. elementarzy wydano jeszcze 10 tys. alfabetów ruchomych, uwzględniając specjalnie litery częściej używane. 3.000 Promyka poszło do Komitetu IX Armii (P. O. W.,), skąd otrzymał Partyzant miłą niespodziankę w postaci mianowania go członkiem honorowym... Ogromnego aplauzu doznał wydany przezeń „Kalendarz Kresowy“ 1917 r.

Partyzant nie ograniczał się oczywiście do pisaniny i drukowania. Prócz zaopatrywania w warsztaty tkackie, o czym była mowa wyżej, dbał również i o co innego. Np. wygnańcy z końmi znaleźli od razu robotę w dostawie drzew z lasu do cukrowni. Partia młodzieży, której groziła mobilizacja, „zwekslowana“ przy pomocy p. M. W. znalazła zajęcie jako drwale. Kobiety miały trochę zajęcia zarobkowego i przy tkactwie i przy nasiennictwie, bo z ewakuowaną z Kongresówki firmą nasienną „Bracia Chomicz“ zawarło się spółkową umowę replantacyjną: samej rzodkiewki było 23 morgi, astrów 3 mg, koperku 1 mg, szpinaku 6 mg. i t. p. Firmie udało się to dobrze spieniężać do Ministerstwa Rolnictwa w Rosji i Rumunii. Z wiosną rozsyłało się potorebkowane nasiona warzyw do osiedli uchodźczych.

Karol Jaś, jako b. instruktor rolny na Śląsku, jeździł z pogadankami gospodarczymi i t. p.

Dbało się oczywiście i o podtrzymanie duchowe religijne: majowe i październikowe nabożeństwo, niedzielne modlitwy dla nie mogących być w kościele. Od czasu do czasu przyjechał ksiądz, była spowiedź i msza św.; służby ministrantów pełniły Ewa Tyszkiewiczówna lub Elżbieta Wekerówna — kierowniczka „Domu Dzieci" w P., późniejsza „pani Sewerynowa".

Różne „panienki ze dworu" odgrywały w ogóle dużą rolę. W sąsiedztwie była np. wpół zruszczała wioska „Bezpieczna", zasiedlona ongiś przez hetmana Branickiego rozwiązaną kawalerią narodową. Ruszczyły ją gorliwie i bujne żywioły szlacheckie po odbyciu wojska. Przy prowadzonej robocie odruszczającej mieszkańcy tej wioski bywali niebezpieczni. Paru z nich poszło na wojnę.

Krótki pobyt w Galicji do cna ich odmienił. Uwierzyli w Polskę i stali się najzapaleńszymi agitatorami polskości. W „Bezpiecznej", kiedy dzięki Japończykom nastały lepsze czasy, przystąpiono do zbudowania kaplicy: poświęcenie jej zeszło się z przybyciem partyj wygnańców. Ze wsi i okolicy zeszły się tłumy. Urządzenie wewnętrzne było gotowe: brakowało tylko organów i schodów na chór. Przystawiono drabinę, wywindowano na sznurach walizkę-fisharmonię, która uprzednio wędrowała po wioskach z organistą, zajechał wóz drabiniasty, na wozie chór panienek ze dworu. Przeważnie były to jazłowczanki. Wywindowały się i panny po drabinie na chór, jedna trąciła w klawisze i pieśni wygnańcze złączyły się z naszymi. Grono tych „panienek" ze dworów kilka lat jeszcze, bo do r. 1922 — prowadziło progimnazjum P. M. S. w S. Uczyły, wspomagały... Parę silniejszych pracowało jako rzeźniczki przy soleniu mięsa dla głodującej głębokiej Rosji — Z. S. S. R. Mogły brać kości, ile w worek uniosą. Było na zupę dla nich i dla biedniejszych. Krzepiły ciało —krzepiły ducha — a na utrzymanie własne i szkoły przeważnie zarabiały pracą zarobkową w polu, starsze panie zaś szewstwem i szyciem.

Pod opieką tych „panienek" były również wszystkie porządki kościelne, śpiew, organy, ministrantura — wszystko...

Partyzant eksmitowany z majątku dawał lekcje polskiego w gimnazjum w S. i jako nauczyciel zapisał się do „Związku pracowników" To przyczyniło się może do jego utrzymania przy życiu, kiedy został uwięziony w 1919 r. w S., a następnie przewieziony do Kijowa do więzienia. Zwolniono go, ale został w Kijowie. Przy okazji ułożył i wydał swego typu „Kalendarz Domowy" na r. 1920. Jedyny bodaj, jaki wówczas w tamtych regionach się ukazał. Sprzedawał go dla zarobku przed kościołami, po cukierniach i t. p. po 10 rubli. Ktoś wychodzący z kościoła dał mu 500 rb.: „ja wiem kto pan jest i znam pańskie życie. Niech pan nie odmówi". „A z kim rozmawiam?" „Wojsław, robotnik w fabryce drutu barona Sztejnheila..." W cukierni jakaś dziewczyna usługująca dała też suty nad-

datek. „Panu teraz ciężko, a nam dobrze... Pan tyle lat, całe życie dla wszystkich nas pracował — niech my teraz panu choć trochę w doli ulżymy!“

Pierwsze i dalsze chwile w Polsce.

W r. 1920 jako delegat urzędowy Polskiego Komitetu Wykonawczego podczas pobytu wojska polskiego wyjechał do Polski. Oczywiście podróż odbywał normalnie — honorowo. Miał tylko worek dziurawy na plecach, w nim poduszkę, kołdra Nr. 63 i trochę rozpoczętych rękopisów: „Sodalicja mariańska a czasy obecne“, „Rozważania różańcowe“ i t. d.

W Warszawie przytulono go kątem w jednej introligatorni tercjarskiej. Wróciwszy raz z miasta dowiaduje się, że był ks. arcybiskup Teodorowicz i pilnie chce się widzieć. Poszedł oczywiście natychmiast. Ks. arcybiskup zaproponował Partyzantowi, aby zajął się organizowaniem społecznym. Dał od razu duży zadatek, ale Partyzant poprosił o parę dni dla rozejrzenia się. Jego zdaniem należało rozpocząć od ankiety kwestionariusza do wszystkich parafii w Polsce: przecie siła parafialna — to gotowa struktura organizacyjna. I prosił, by biuro episkopatu zanotowało parę punktów orientacyjnych, o które mogłoby chodzić.

Kiedy dowiedział się, że już są trzy podobne organizowania zapoczątkowane, zwrócił zadatek, tym więcej, że pierwsze pytanie kwestionariusza brzmiało „ilu jest socjalistów w parafii“.

Nasz Partyzant przechodził dalej różne koleje. W 1921/22 r. puszcza w ruch szkołę rolniczą w Krzyżewie, spustoszoną przez bolszewików. Pobyt w Krzyżewie i postać p. Stefanii Karpowiczówny pozostawiają niezatarte wspomnienia tej „niewiasty mężnej“... Nie mając jednak odpowiedniego przygotowania naukowego potrzebnego dla szkoły — wolał zmienić miejsce pracy.

W r. 1922, znając jego metody pracy praktycznej i jej wyniki, prof. J. Mikułowski - Pomorski, będąc Ministrem Rolnictwa i M. W. R. i O. P., zwrócił się doń, by mu urządził gospodarstwo w ośrodeczku w Brzegach w Kieleckim.

Później był dwa lata sekretarzem Związku Obrony Kresów Zachodnich, rok sekretarzem Wielkopolskiego Tow. Kółek Rolniczych.

W 1927 r. „Zjednoczenie Młodzieży Polskiej“, Centrala SMP. w Poznaniu, zwróciło się do Ministerstwa Rolnictwa o wskazanie kogoś, kto by mógł zorganizować przysposobienie rolnicze na terenie całej Polski. Partyzant z ręki Ministerstwa stał się tam „organizatorem“, prowadząc przysposobienie przez lat 3½ — do marca 1931.

Zredukowany wskutek redukcji funduszów nie miewa prawie pracy zarobkowej. Posuwa dalej to, co zapoczątkował. Po wypróbowaniu hodowli kukurydzy w całej Polsce przez Państw. Instytut Nauk. G. W. w Bydgoszczy Partyzant stara się zaprowadzić hodowlę „Wczesnej Bydgoskiej“.

Rzecz się udała, co niejednokrotnie potwierdzone zostało na zjazdach, konferencjach i w prasie.

Wprowadzał też Partyzant żywokost „Matador", ogólnie ceniony jako karma dla świń, po wypróbowaniu go przez U. P. i praktyków.

Poza tym pracuje nad wprowadzeniem „pokazowni" (Odnośny okólnik „Muzeum").

Organizacje rolnicze i t. p. w Polsce w czasie powojennym.

Na czele organizacyj rolniczych i in. społecznych, kroczy, jak wiadomo, Wielkopolska. W przemówieniach przez radio w ostatnich czasach przedstawiciele Izby Rolniczej energicznie piętnują fakt, że klęska posuchy nie przybrałaby takich rozmiarów, gdyby rolnicy mieli lepszą orientację. Tak bliski rynek np. jak Gdynia zajęty jest już przez masło z organizacyj rusińskich z Małopolski Wschodniej.

„Ratować Wielkopolskę" woła poważny „Dziennik Poznański" w artykułach redakcyjnych samego redaktora, podpisanego J. W. Cytuję dosłownie: „Alarm jednak nie starczy. Trzeba rozbudzić w Wielkopolsce zryw inicjatywy społecznej, która w ostatnich latach zamierała aż nadto wyraźnie...

Czy nie musiał przerażać i upadek spółdzielczości w Wielkopolsce? Niedość, że szereg spółdzielni poprzez dychawiczny żywot ostatnich lat popadł w niewypłacalność. To można by jeszcze usprawiedliwić kryzysem gospodarczym. Jak jednak tłumaczyć liczne nadużycia i afery kryminalne, które wyszły na jaw wraz z deficytami różnych banków ludowych?

A ludzie tymczasem się kłócili. Rdzenni Wielkopolanie, którzy wychowali się w znojnej szkole Wawrzyniaków i Jankowskich, co umieli gorąco czuć i trzeźwo myśleć, podjudzają się wzajemnie, wymyślają sobie od endeków i sanatorów, miast myśleć o żywiołowych potrzebach naszej dzielnicy.

Ratować Wielkopolskę — to nie frazes publicysty — to prawdziwa konieczność.

Dzielnica, która przodowała kulturą społeczną reszcie Polski, która dawała przykład dobrej organizacji społecznej i gospodarczej, nie może stać się zaprzeczeniem tych wartości".

Tyle „Dziennik Poznański".

„Rolnicy umieją tylko skomleć a lamentować — a nie umieją bić!" — mawiał minister rolnictwa dr Janta - Połczyński: nie umieją bić przede wszystkim w sobie i wśród siebie tego, co na bicie zasługuje — aby i całą biedę postronną za dziesiątą granicę przepędzić!

Organizacje? Nie mogą być one żadną „magią". Samym swoim istnieniem nie wyczerpują lepszego stanu życia. Będą zawsze tyle warte, ile war-

ci są ich członkowie. Nie przyjdzie nic z żadnych reform ustrojowych, dopóki nie nastąpi reforma wewnętrzna człowieka.

Partyzant doświadczył tego wielokrotnie, doświadczyli i inni członkowie organizacyj. Kiedy spowodował przyjazd Komisji — zarząd i świadkowie się chowali, wyjeżdżali „w pilnych sprawach“ i nie można było ich ściągnąć. Na egzekucje zaś nie podobna czasu tracić!

Bywało to poruszane i na walnych zjazdach, przeprowadzano entuzjastyczne te i inne uchwały, organizowano i t. p. I cóż z tego?

W jednej z izb rolniczych Partyzant poruszał sprawę, żeby z powodu braku egzekutywy w terenie w towarzystwach i kółkach pracę oświatową łączyć z pracą organizacyj gospodarczych. Np. mleczarnia: niech ma instruktorów, czuwających nad całokształtem spraw paszowych, kontrolą obór, niech dostarcza hurtowo węgiel, nawozy i t. p. Jako organizacji handlowej składniej to przeprowadzić niż kółkom. „Zeszliśmy się w myślach! właśnie taka spółdzielnia się zakłada! może pan zechce pojechać tam a tam...“ Pojechał, zobaczył. Inicjator? „entuzjasta“ siedział właśnie nad podpisywaniem jakiejś setki weksli. Po miłej gawędzie udał się Partyzant na noc do pobliskiej miejscowości, gdzie była owa mleczarnia — centrala. Nazajutrz rano — nie bardzo rano, coś po 8-ej wychodzi — wszystko śpi. W kurniku, gdzie założono „rozsadnikową hodowlę kur“, wszystko pozamykane, okólnik pusty, korytarze na nim puste, wewnątrz budynku dudni nerwowe wzburzone gdakanie... Było lato, czas piękny. Do stacji kolejowej jakiś dziesiątek kilometrów. Ale Partyzant wolał nie korzystać już ani z gościny, ani z koni i uciekł na kolej pieszo!

Zimą w r. 1931 było zebranie osób, interesujących się rozwojem wsi. Był to okres wystąpień przeciw „konkursom“ P. R. (Przysposobienia Rolniczego), zainicjowanym i z takim poświęceniem prowadzonym przez J. Mikułowskiego-Pomorskiego. Wśród czynników miarodajnych w naczelnych organizacjach rolniczych wybuchła i szerzyła się obawa, że konkursy i w ogóle całe przysposobienie rolnicze odciągnie młodzież od rolniczych szkół i poderwie do reszty bytowanie kółek rolniczych. Daremne były perswazje, że takie elementarne doświadczenia rozbudzić mogą tylko zainteresowanie, a na pokazach upraw i hodowli przekonać o praktycznym pożytku dalszej nauki, rozbudzić apetyt do szkół i dokształcić materiał dla kółek, które w znacznej części szwankują dlatego, że materiał ten jest zbyt „surowy“.

Z biegiem lat okazuje się, jak ogromną rolę odgrywają te „konkursy“. Mają one niezmierne znaczenie organizacyjno-wychowawcze. Pociągają młodzież, tworzą pewnego rodzaju „sport rolniczy“, nie ograniczają jednak sportu do kopania i zaprawki „atletycznej“ wychowania fizycznego. A te dziesiątki tysięcy (ponad 50 tys.) poletek i hodowli różnych organizacyj młodzieży rozsiane po całej Polsce stają się żywym rolniczym pokazem — powszechnym nauczaniem.

Miały to udowodnić dopiero dalsze lata. Na razie jednak doszło do tego, że do p. ministra rolnictwa udała się delegacja czołowych przedstawicieli organizacyj rolniczych i wymogła na nim cofnięcie subwencji dla P. R. Dopiero osobiste wdanie się Prezydenta Mościckiego sprawy tej nie dało zabić.

Na owym zebraniu, które wyłoniło delegację, był referat twierdzący, że całe P. R. należy oddać w ręce organizacyj rolniczych. Piszący był wówczas 3 i pół lata referentem, organizującym P. R. w Stowarzyszeniach Młodzieży Polskiej przy ich Centrali, Zjednoczenie SMP w Poznaniu. Okazało się, że ów referent zebraniowy nie wiedział, że już w r. 1921 Zjednoczenie zawarło umowę z wielką organizacją rolniczą w Warszawie. Ale od r. 1927 mimo bardzo usilnych nalegań nie dało się nic zrobić.

Była na tym zebraniu i ciekawa dyskusja. Pytano, jak się to dzieje, że mleczarnie spółdzielcze wywierają tak mały wpływ na podniesienie hodowli u swych klientów, spółdzielców?

Zachęcono Partyzanta do odwiedzenia wielkiej mleczarni w Ciechanowie, tak pięknie rozwiniętej, że ilość gromadzonego mleka dochodziła do 11 tys. litrów dziennie. Pojechał. „Jak to się dobrze składa — trafia pan akurat na małe zebrańko w poufnym kółku przedstawicieli ziemiaństwa i mniejszych rolników. Ale z tym mlekiem nie jest tak dobrze!... My nie możemy płacić dostawcom więcej niż 20 gr: oddajemy dużo do „Agrilu" po 25 gr, dworzec Warszawa. Oni rozprzedają po 45 gr. Na pokrycie swoich kosztów handlowych czy administracyjnych miasto potrzebuje zarobić 20 gr na litrze. Oto wynik kilkuletniego borykania się, nim się tę spółdzielnię jako tako postawiło. Przede wszystkim było w pachcie u Żydów. A teraz stoimy znowu przed perspektywą, że pachciarze mogą wszystkim zawładnąć, bo oferują po 20 gr. i pół. Mam powiedzieć o tym parę słów na zebraniu".

Dyrektor — twórca wszystkiego, jak również i miejscowego banku, finansuje wszystko — na zebraniu wygarnął stan rzeczy i nie mógł nie zaznaczyć wyraźnie swej opinii: „was już nie za grosz, a za pół grosza można kupić! — za te doraźne pół grosza sprzedajecie samych siebie, cały wasz dalszy byt... pójdziecie znowu w pacht żydowski!"

I tu więc przejawia się klątwa nazwy. „Spółdzielnia". Każdy ma na myśli tylko to, by się „dzielić", a chowa się przed spółdziałaniem. Powszechne zakłamywanie siebie, parodia pracy i parodia idei kooperacyjnej!

*

* *

Jak wspominałem — w latach 1927 - 31 Partyzant był referentem zaprowadzającym P. R. w S. M. P. (t. zw. obecnie KSM — Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży z centralą w Poznaniu). Oddziały stowarzyszeń istnieją w każdej żywszej parafii. W każdej diecezji istnieje grupują-

ce je stowarzyszenie diecezjalne, które z kolei wchodzi do centrali, do „Związku“ z siedzibą w Poznaniu. Związek liczy obecnie w r. 1936 ponad 8.000 oddziałów — 300 tys. członków i stanowi gotową sieć organizacyjną, ogarniającą teren całej Polski. Ileż dobrego może on sprawić, jak pod każdym względem odrodzić życie całej Polski!

Oczywiście wykonanie pozostaje bardzo daleko od ideału. W znacznym stopniu z tej przyczyny, że ogół nie uświadamia sobie, jakie podstawowe znaczenie dla t. zw. „bezrobocia“ ma rozwój wsi i życia wsiowego: przecież roboty na wsiach bezmiar i nie bezrobocie jest, nie przeludnienie, ale bezludzie! — brak ludzi, którzy by mogli służyć drogowskazaniami, pracę wsiową organizując w spółdzielnie. Do tego trzeba ludzi uczciwych przede wszystkim i oświeconych, mających choć jakie takie pojęcie o rzeczy i o życiu. Muszą ci ludzie rozumieć, że opłakane stosunki mają swe źródło i w tym, że co lepsze siły wsi szły „na eksport“; że jak gospodarz miał kilku synów, to mądrzejsi szli w świat — a ten najgłupszy zostawał na gospodarce. Swego rodzaju selekcja i dziedzicznie wytwarzana elita w dół!

Partyzant nieraz zwracał na to uwagę i w rozmowach i w prasie. W „Gazecie Kościelnej“ we Lwowie, w styczniu r. 1932 umieszczony został szereg artykułów na temat „agronomia pastoralis“ jako „medicina socialis“; jeżeli ważną dziedziną duszpasterstwa jest prowadzona w seminariach „medicina pastoralis“ — dlaczego, zwłaszcza w kraju rolnym, zaniedbywać taki temat jak „pastoralis socialis agronomia?“

W r. 1927 w 9-ym numerze organu ministerialnego „Przemysł i Handel“, gdzie traktowano i sprawy rolnictwa, pojawił się artykuł „Uprawa kukurydzy a reforma rolna“. W wyniku badań zagranicznych (z którymi nasz Partyzant zapoznał się już we wspomnianym roku Wystawy Powsz. w Berlinie, 1896) autor stwierdzał, że wprowadzenie uprawy kukurydzy w Polsce stałoby się podstawą korzystniejszej hodowli z dalekosiężnymi konsekwencjami. A praca w tym kierunku winna być odpowiednio subwencjonowana i wynagrodzona i t. p.

Co do znaczenia kukurydzy zdanie podobne wyraził współcześnie Minister Rolnictwa J. Mikułowski - Pomorski, powróciwszy ze swej podróży badawczej w Ameryce.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności wiosną r. 1926 zwrócił się do naszego Partyzanta Państwowy Instytut Naukowy Rolniczy w Bydgoszczy w osobie kierownika Wydziału Hodowli Roślin inż. M. Krukowskiego, czy nie zechciałby na terenie całej Polski przeprowadzić prób z nowowyprowadzonym gatunkiem kukurydzy ziarnkowej? Było to skrzyżowanie najwcześniejszych, najplenniejszych a najmniej wymagających gatunków, z takim nastawieniem hodowli, aby dawać mogła dobre wyniki wszędzie, gdzie rodzą się ziemniaki i żyto. Nazwa kukurydzy: „Wczesna Bydgoska“. Partyzant miał przeprowadzić wszystko na swój własny koszt i ryzyko, bo z powodów zrozumiałych Instytut angażować się nie mógł. Znając jednak kwalifikacje proponującego nie wątpił o kwalifikacjach kukury-

dzy. A dawne stosunki w terenie różnych dzielnic dopomogły do przeprowadzenia prób nie pod pieczołowitą opieką pracowni naukowych, ale w normalnych ciężkich warunkach polowych.

Dyrektor Instytutu Koppens, długoletni radca ministerialny z Wiednia, zachęcał też gorąco do przeprowadzenia prób z żywokostem. Bardzo udane te próby przeprowadził Partyzant na wsi pod Poznaniem, przy udziale Uniwersytetu Poznańskiego, a z jego urzędowym zaświadczeniem. Odmiana użyta był to żywokost „Matador" pochodzący z Lotaryngii. Żywokost ten w następstwie prób wszedł w Polsce w ogólne użycie, zapewniając zdrowy i szybki wychów chlewni, a według ustalonej opinii rolników, chroniąc je i przed pomorami.

Nadmienić muszę, że m. in. Instytut Puławski, który w r. 1920/21 wydał o żywokoście opinię dyskwalifikującą jego znaczenie, w latach ostatnich sam zaczął sprzedawać jego sadzonki po zniżonej cenie. Dla propagatora jest to niemały tryumf. Zaznaczyć jeszcze muszę, że omawiany propagator, chcąc uniknąć pozorów autoreklamiarstwa, które mogłoby zaszkodzić rozpowszechnieniu tak pożytecznej paszy, sam ogłosił w prasie adresy pierwszych nabywców, aby — kto zechce — mógł się zwracać i do nich. Poważne instytucje w Wielkopolsce zaopatrują się jednak bezpośrednio u niego.

Co do kukurydzy, to po wypróbowaniu jej w uprawach konkursowych młodzieży, prof. J. Mikułowski - Pomorski niejednokrotnie dawał wyraz swej opinii w druku, mówiąc, że w tej dziedzinie w 5 lat dokonano więcej, niż uprzednio przez lat pięćdziesiąt.

Charakterystyczne były perypetie kukurydzowe. I tak np. widząc wyniki „dziecińskich" plonów rodzice po niektórych wsiach zapowiadali, że na zwykłe pokazy jesienne nie puszczą nikogo z urzędów, bo podwyższą klasę ziemi i podatki. Śmieliśmy się z posądzeń o takie głupstwa, ale już na 2-gi rok pokazało się, że obawy „ciemnej wsi" były słuszne: niektóre Izby Skarbowe (np. na Pomorzu i w Krakowskim) zaczęły wymierzać podatki na podstawie owych „dziecińskich" poletek. Trzeba było przeprowadzić całą kampanię międzyministerialną zanim się sprawa odpowiednio uregulowała. Nie dość na tym. Towarzystwa Rolnicze, nie poddając się urzędowej instrukcji P. I. N. R. w Bydgoszczy, wprowadzały swoje poglądy: jedno z nich przepisywało normy nawozów chemicznych, choć jedną z cech dodatnich kukurydzy jest to, że rodzi ona bez nich. Inne — północne — wydrukowały instrukcję, że kukurydzę zbierać należy „w sierpniu", siać „przy domu" i t. p. Województwo lwowskie, urzędowo za numerem, porozumiawszy się z lokalnymi sferami naukowymi, zakomunikowało opinię, że w województwie lwowskim nie ma terenów pod uprawę tej rośliny. Z województw tarnopolskiego i stanisławowskiego komunikowano, że szerzenie tej uprawy powinno być zabronione i t. d. Skądinąd wymyślano i podtrzymywano przeróżne trudności, a poza Wielkopolską, gdzie życzliwie przyjęły ją przede wszystkim gospodynie, rok rocznie przesyłane

są dorodne kaczany z Wileńszczyzny (w roku ostatnim ze 109 miejscowości). Nie udaje się jednak dotąd otrzymać rdzennej miejscowej kukurydzy z okolic, w jakich rozgrywają się sceny z kukurydzą, odtworzone w „Panu Tadeuszu".

W szkołach na t. zw. robotach ręcznych i zajęciach praktycznych uwzględnia się przede wszystkim takie modele, które mogą być przez uczniów naśladowane w domu. Nie chodzi tu o ich fachowe wykończenie. Ale ujęcie akademickie mówi: „nie możemy dopuszczać ani szerzyć partactwa". W podręcznikach więc nie ma np. prostych szczebelkowych wycieraczek przed chaty, robionych z pałek lub błon kukurydzowych, mimo, że czystość i zmniejszenie zawilgotnienia w mieszkaniu jest bez nich nie do osiągnięcia.

Chodzi również o porządki w podwórkach szkolnych, o czystość w polach i ogrodach, o tępienie chwastów, np. perzu i t. p. Rozmawiałem nieraz z naczelnym kierownikiem P. R. prof. Pomorskim, żeby z tym zaznajomić nauczycielstwo: by uczyli dzieci tępić chwasty przy drogach i na tym „zajęciu praktycznym" zaprawiali je do tępienia chwastów po polach i t. p. Sprawę tę poruszył on sam w Ministerstwie Oświaty, rozmawiając z kierownikiem odnośnego referatu: „Jest to nie do pomyślenia!" — „nasze ideowe naśladowanie, to miłość dla całej przyrody — wszechstronna ochrona przyrody!"

Ten pogląd już się wreszcie zmienił. Ale na podstawie faktów innych można mieć całkowitą pewność, że nauczycielstwo i w tej dziedzinie nie nauczy tego, czego samo nie zostało nauczone: chwasty znać, lecz ich nie żywić.

Spełniając życzenie dawnego Ministra W. R. i O. P. — J. Mikułowskiego - Pomorskiego, przesłał Partyzant swój planik ogródków i pokazowni rolniczych dla szkół powszechnych i oświaty pozaszkolnej i t. p. Nie widać dotąd, by to zostało uwzględnione.

Dobrze byłoby w seminariach nauczycielskich uczyć przez pokazownie i prace indywidualne wychowanków tych praktycznych wiadomości.

Oby „Konkurs" do tego się przyczynił!

*
* *

Raz pokazać — znaczy więcej, niż 100 razy powiedzieć lub posłyszeć albo 10 razy przeczytać.

Zwłaszcza w kraju analfabetyzmu.

Przy współdziałaniu więc Związku Włościanek przy Wielkopolskiej Izbie Rolniczej nasz Partyzant pokazał podobnie pomyślany zbiorek modeli na urządzonym przez siebie stoisku Wielkopolskiego Tow. Kółek Rolniczych z Biura Chodzież, na Wystawie Jubileuszowej Ogrodnictwa Wielkopolskiego na jesieni w r. 1926 w Poznaniu.

W r. 1927 Ministerstwo Rolnictwa zainteresowało się zbiorami i wzięło go po cenie kosztu; z braku miejsca jednak zbiorek nie został umieszczony ani tu, ani jako depozyt w „Muzeum Przemysłu i Rolnictwa“ ani w „Centralnym Towarzystwie Rolniczym“ w Warszawie, ni też w odpowiedniej jego ekspozyturze rolniczej oświaty poglądowej, w „Zagrodzie Włościańskiej“ u stóp Jasnogóry.

W r. 1929 na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu zwiedzający mogli ten zbiorek oglądać: 500 metrowy, zewsząd widoczny czworobok upraw i modeli z kosznicą na kukurydzę pośrodku, a nad nią na wszystkie strony świata napis: „Konkursy S. M. P.“.

Odtąd w latach 1929 - 1934 nie było bodaj ani jednej wystawy czy targów, gdzie by taka pokazownia nie była przedstawiona. Próbowały to zapoczątkować i Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej i ich Związki, urządzając uprawy przykładowo-pokazowe wzornice-pokazownie w Wilnie przy samych kościołach na Kalwarii i na Sołtaniszkach oraz w Tarnowie i Szkoły Rolnicze w Bratnem w Koronie, i w Witkowie w Wielkopolsce.

W r. 1932, uważając paszę za podstawową w gospodarstwie, Tow. Wlkp. Kółek Rolniczych urządziło uprawy pokazowe mało rozpowszechnionych pasz, nieopodal swych biur, w ruchliwym punkcie przy Alejach Marszałka Piłsudskiego 31. Urządzającym był autor.

W tymże roku 1932 swoim kosztem urządził on podobną „pokazownię“ na terenie Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie. Zajmował się całym urządzeniem pracujący w Warszawie inż. T. S. Z. Tu też, jak zawsze i wszędzie, przy każdej uprawie była drukowana tabliczka z krótkim ale szczegółowym wyjaśnieniem dotyczącym przedstawionej rośliny, jej uprawy i użytkowania.

W r. 1934 w Poznaniu na odpowiednim, lecz powiększonym do 900 m kw. terenie, udzielonym przez W. T. K. R., znów własnym kosztem i o własnych siłach Partyzant urządził pokazownię w większych rozmiarach: pokazał on uprawy, porządki i porządeczki gospodarcze, wszystko z opisami na tablicach, oraz modele różnych urządzeń dla wsi, wykonane najprostszymi sposobami o własnych siłach.

Pokazownia trwała sześć miesięcy od 1. V. do 1. XI. Zainteresowanie nią było zawsze duże. Nie brakowało i niechętnych. Oburzano się na wystawiony model ulepszonego staropolskiego budowania: szkielet z lekkiego materiału, grodzony glinowanymi kręcielami słomy — sposób wypróbowany, jedyny dla ciężkich warunków, gdzie brak środków; budowanie tanie, ciepłe, suche, ogniotrwałe a schludne, które można i otynkować. Ale to się widziało „obniżaniem kultury“. Oburzano się i na ogrodowizny — zwłaszcza na pomidory, uprawiane po prostu ziemniaczanym sposobem, by pomidor przestał być przedmiotem zbytku, a stał się przedmiotem użytku (tę metodę szerzył Partyzant już od r. 1924 z szybkim skutkiem). Słyszało się przykre rzeczy o „obniżaniu kultury“: „do

Kołomyi" ryczeli niektórzy zapaleńcy, nie rozumiejąc, że ogrodowi straty nie poniosą, a taki system jest to tylko właśnie szerzenie kultury. Najwięcej oburzenia wywoływały modele związane z uprawą i przerobem lnu, a także broszury „Kryzys, krach a my", „O swój len i swoją wełnę" i t. p. „A cóż będą robić fabryki i kupcy? zwiększa się przecież przez to bezrobocie!!" — pytano.

Mało pomagały perswazje, że właśnie praca rodzinno-domowa, zwiększając stan zatrudnienia po wsiach, przyczynić się może do zmniejszenia bezrobocia. Jeżeli nie możemy zapobiec samej małorolności, trzeba dać w inny sposób możność życia bardziej po ludzku, w ubóstwie wprawdzie, ale nie w skrajnej nędzy.

Słyszało się również opinię: „Cóż oni tu pokazują — jeżeli w tej przykładowni nie ma nawet nawozów sztucznych!"

że była gnojownia, kompostnik, kwaszarnia — żeby się nie marnowało to, za co później drogo płacimy; że był nawet sztuczny obornik dla przerobu azotniaku, nawożenie potasowe łubinu, żeby zwiększyć masę — to nie wystarczało.

W ogóle bieda jeszcze nie nauczyła, że dziś tylko intensywne gospodarowanie może się opłacić. Ale intensywne — wytężone nie w nakładach pieniędzy, ale przede wszystkim w nakładzie pracy mózgu. Uznojeniu czoła nie od zewnątrz, ale od wewnątrz. Bez tego cały znój, wszystkie kosztowne inwestycje byłyby marnowaniem sił i pieniędzy. Szkoda ludzi w tym całym tumanieniu się nadzwyczajnościami z zaniedbywaniem prac elementarnych.

Doszło wreszcie do tego, że pewnej nocy skręcono zamek i stoisko lniarskie zdemolowano. Reszta modeli pozostała nietknięta. Pogłos wzburzonej opinii doszedł i do Wielkopolskiego Towarzystwa Rolniczego. Partyzant uważał za wskazane usunąć napis mówiący o jakimś udziale Wydziału Oświatowego W. T. K. R. i pozostała sama firma Ochotniczego Referatu Społecznego.

Na parę dni przed zwinięciem „Pokazowni" zatrzymał się samochód. Wysiadł z niego kierownik Zakładu Uprawy i Hodowli Roślin Uniwersytetu Poznańskiego prof. Z. Pietruszyński.

„Co pan urządził? ależ to ciekawe, bardzo ciekawe... dlaczegoż nigdzie w żadnej prasie nie ma o tym ani wzmianki. Reportaży ogólnych nie chcę, a prasa zawodowa jakoś milczy..." Istotnie! od tylu lat urządzam podobne pokazownie, a nigdy nigdzie nikt nic... Tylko „Współpraca" pod wpływem J. Mikułowskiego umieściła mój własny referat.

Nazajutrz przybył asystent z Zakładu i dokonał kilku zdjęć.

W r. 1935 cały teren 900 metr. kw. obsiany został kukurydzą „Wczesną Bydgoską". Zadokumentowało się raz jeszcze, że gdyby siano jej więcej, posucha w Wielkopolsce nie wywołałaby takiej katastrofy. Mimo, że z powodu opóźnienia decyzji administracji placu, zorano go dopiero 1 czerwca, to znaczy zorano z półrocznym, a zasiano z całomiesięcz-

nym blisko opóźnieniem, plon kukurydzy nie przedstawiał się źle. Jednej jeszcze demonstracji — „żniwa“ — dokonano po 1 listopada...

„Pokazownia“ zyskała uznanie kursów korespondencyjnych rolniczych im. Staszica, prowadzonych przez Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie. W korespondencji z kursistami rozesłany został okólnik z opisem „faktu dokonanego“ pokazowni w Poznaniu, w owym czasokresie 1934 roku.

Okólnik rozpoczyna się uzasadnieniem, że żadne nauczanie nie jest tak proste, tanie, a skuteczne, jak nauczanie przykładem. Sposób nauczania pokazowego najzrozumialszy jest przecie dla wszystkich, nawet dla najmniej oświeconych, nawet dla tych, co czytać nie umieją. Pokazownie nie mogą oczywiście zaspokoić szkół i nie mogą objąć całej nauki potrzebnej, ale mogą pokazać uprawę, urządzenia i narzędzia najpierwszej potrzeby. Do szkół iść przecie wszyscy nie mogą, a tu w pokazowniach szkoła powszechnego szkolenia rolniczego przychodzi do wsi czy do miasta, do każdej parafii przychodzi sama!

Bez kości pacierzowej ani rusz!

Katechizm jako serce i szkielet moralny agronomii społecznej. — Sprawa religii, jej ujęcie w taką czy inną formę katechizmu, wykreślającego linię życia, aby stworzyć jego rusztowanie i kościec — dla żadnego działacza społecznego nie może być obojętną.

Czy będzie to religia czysto materialistyczna, czy idealistyczna, czy sam ideał leżeć nam będzie w żłobku Chrystusowym, czy też go nawet przetworzymy na koryto dla siebie — zawsze to będzie jakaś religia. Zawsze będzie potrzebne jakieś „credo“ — skrót i streszczenie wiary. Skrót, podający i cel i drogę i środki wykonania.

Bez ukostnienia byłoby się tylko jakimś mięczakiem. Bez kości istnieć nie możemy. Podobnie jak zamarłoby życie przy ogólnym skostnieniu. Ale kościec jest niezbędny. „Polskę przedrozbiorową pożarł potwór nierządu: gdyż nierząd, a nie co innego, był klęską wszystkiego“.

W gospodarce trzeba mieć swój katechizm i katechizmu tego trzeba się trzymać.

Co do formy był dobry na owe czasy dla szerokich mas katechizm-elementarz Towarzystwa Rolniczego z r. 1862, wydany u Gebethnera i Wolffa, inny dla chłopców, a inny dla dziewcząt. Jeden obejmował gospodarkę polową i żywioł większy — drugi zaś gospodarstwo t. zw. podwórzowe, ogrodowe i domowe. Jeden i drugi poprzedzony był krótkim katechizmem. Towarzystwo Rolnicze stało na stanowisku Komisji Edukacji Narodowej w myśl powiedzenia Staszicowego: „Trzeba uruchomić zasoby drzemiące w ziemi“. Rozbudzić do pełnego uświadomionego życia, wskazać cele i środki.

Katechizm — jego formę obecną — nieprzystosowanie jego metody

nauczania do życia, napiętnował sam papież. Partyzant nie przywdziewa togi bezwzględnego obrońcy tego rzekomego „tabu“, choć wielu uważaćby go chciało za takiego „obrońcę z urzędu“. „Sposób nauczania religii nie zdał egzaminu życiowego“ — tak sądzi wielu, choćby nie zapominali, że brak życiowego stosowania nie zależy jedynie od dobrej wiedzy, ale i od dobrej woli.

„Akcja katolicka, pozostając ponad partiami politycznymi, będzie działała dla wspólnego dobra wszystkich... przez staranne chrześcijańskie kształcenie sumień“. Tak pisze się i teraz. O to samo trzeba było występować i wtedy i zawsze: „O staranne kształcenie sumień“. O krótki, jasny, wyrazisty drogowskaz życiowy w katechiźmie.

W roku 1897 z istniejących katechizmów najbardziej mu odpowiadał wydany przez „Gazetę Świąteczną“. Był jednak na wyczerpaniu i wypadało wprowadzić pewne zmiany, co do których przewidywało się trudności. Za zgodą „Promyka“ przeprowadziło się je jednak, uzyskało się aprobatę kościelną, ale wydanie musiało ulec zwłoce ze względu i na część gospodarczą i na idące nowe czasy, wymagające nowego ujęcia.

Po uruchomieniu „Dziennika Powszechnego“ sprawa znów została podjęta. W roku 1906, kiedy po wojnie japońskiej wszczęły się ruchy i rozruchy i nawet z seminariów nauczycielskich usuwano naukę religii — zaczęła ją tam wykładać p. S. M. z grona osób, grupujących się przy Cecylii hr. Platerównie. Ta „etyka“ była to normalna nauka religii, tylko nowocześnie ujęta. Słuchacze byli zachwyceni tymi „nowymi“ rzeczami, jakie słyszeli. Było to dla nich jakimś nieomal objawieniem. Wykładająca zdecydowała się urządzić kurs katechezy — „Dziennik“ dał swego stenografa i z tego stenogramu powstało pierwsze wydanie książki „O nauczaniu religii“. Musiało się tam jednak znaleźć tyle uwag krytycznych, że były to raczej wskazówki, jak religii uczyć nie należy.

Sprawę ułożenia nowego katechizmu poruszała redakcja z członkami Episkopatu: „Niech pan ogłosi konkurs na katechizm o jaki chodzi: prosty, krótki, wyczerpujący sprawę wprost a w szerokim ujęciu“. — „Ale trzeba od razu zapewnić wysoką sumę, bo chcąc dać rzecz odpowiednią, nie można robić byle jak. I nie zdoła tego zrobić byle kto. Chcąc dać chleb nie można dopuszczać plew“. — „Czy 1.000 rb. starczy?“ — wydało się to sumą odpowiednią. Jednak, mimo nawet przedłużenia terminu, konkurs wyniku nie dał. Nadmienić wypada, że wobec kolącej niektóre oczy firmy „Dziennika“, konkurs ogłoszony był pod firmą „Prądu“ w roku 1907.

A życie domaga się drogowskazu. Domaga się stwierdzenia, do jakiego stopnia praca rolna współdziałać może w dziele wychowania i w służbie dla sprawy społecznej „Królestwa Bożego“ — by w dawnej linii postępu kultury wszechludzkiej Polska mogła trwać jako ostoja tej kultury. Polska gospodarczo słaba ostoją religii, tarczą chrześcijaństwa być nie może!

Religia dla wszystkiego jest pożyteczna. Dla uspołecznienia agronomii, dla agronomii społecznej — też.

Tyle będzie warte społeczeństwo, ile warte jego składniki. żadne reformy ustrojowe, żadne organizacje nic nie dokonają, jeżeli składać się będą z lichego materiału. Trzeba zacząć od ćwiczenia woli, od reformowania siebie.

Prócz złej woli największą klęską dla kraju jest głupota. Przez oświecenie sumień dojdziemy może wreszcie do zrozumienia, że leniwcy, a zarozumiałe pyszałki burzą ład świata.

Pożera nas brak prawdy w życiu, brak prawdziwej religijności. Każda religia wychować musi przede wszystkim swych wyznawców. Religijność nie stwierdzona samym życiem odejmuje wiarę. Wydać się też musi każdemu wielce problematyczną...

Przeżera nas niesumienność w poznawaniu „Dobra" jak i fałsz inny. Niedotrzymywanie większych, czy mniejszych zobowiązań. Nie przychodzi nam wprost na myśl, że jakieś niedotrzymanie słowa jest po prostu oszustwem, że zła gospodarka jest wprost okradaniem Pana Boga.

A przecież sam sakrament chrztu wprowadza w „dogmat dogmatów": „Będziesz miłował..." Przecież katechizm uczy, że na to cię Pan Bóg stworzył, byś prawa jego i obowiązki swoje poznawał i wiernie im służył. A jeśli masz warsztat rolny czy inny, trzeba na nim umieć robić. Poznawaj więc rzetelnie, a poznawane uczciwie wykonuj. „Nie kradnij"!...

Dobra gospodarka, to nakaz Chrystusa, który mówi, jak to odjęty został skarb leżący w ziemi, kiedy posiadacz jego pozostawił go bez należytego obrotu.

„Bo i po co ma pies na sianie leżeć?" — przytwierdza znane powiedzonko nasze ludowe...

Módlmy się — wzorujmy się wnikliwie na Chrystusie — na tym, co on słowem i przykładem uczył. Z naszej modlitewnej pracy urośnie „Chwała Boża". Na to trzeba tylko dobrej woli i praktycznego życiowego drogowskazu.

Dlatego też Partyzant tyle uwagi poświęca katechizmowi: bez kości pacierzowej ani rusz!

*

* *

Kiedy nadeszła ankieta Zakładu Polityki Ekonomicznej i Socjologii Wsi, Partyzant wziął się do swej sylwetki, odkładając na bok tłumaczenie bardzo życiowej książki francuskiej „Le Christe dans la banlieue" — Chrystus na przedmieściach Paryża. Autorem jest Pierre Lhande, długoletni kapelan Marszałka Foche'a. Prawa dusza żołnierska, jak i jego wódz.

Tłumaczenie robiono ze 116-go wydania. Do dzisiejszego dnia wyszło podobno jeszcze parę nowych. Mówi to o poczytności.

Pierre Lhande przytacza czyjeś zdanie i bynajmniej mu nie zaprzecza, że teraz nie ma racji dla pracy misjonarskiej szukać dalekich krajów. Wystarczy siąść do tramwaju i przejechać się na peryferie Paryża. Nie trzeba szukać Chin.

*
* *

Zbliża się koniec życia „działacza społecznego" — mąciwody wód stojących, o których starał się nie rozpisywać, ale może i tak za szeroko się rozpisał?

Czuję się już jako ten płomyk dogasający, który od czasu do czasu tylko wychynie i zamiera. Ale może się czasem też przyczynić jako zarzewie?

W życiorysie nie ma prawie o ludziach, od których życzliwej współpracy i otuchy doznawał i doznaje on i jego życiowa towarzyszka. Dobrych ludzi jeszcze nie brak. Opatrzność sprawi, że będzie ich — jak i zrozumienia — coraz więcej.

Rad jest, że choć sam jest bezrobotny od pięciu lat i nic prawie nie zarabia, ale jego lepsza połowa ma jeszcze posadę nauczycielki szkoły powszechnej, choć przy przesunięciach uległa ogólnemu losowi, a do tego skreślono jej prawie cztery lata „wysługi" pod zarządami zaborców. Wysługa ta polegała na pracy w P. w „Domu Dzieci" C. K. O., a następnie w progimnazjum polskim w S. Było to już pod rządem bolszewickim — w stosunkach z nami. Rząd dawał subwencje, a prowadzone to było pod firmą Polskiej Macierzy Szkolnej. Subwencja wystarczała na kilka dni, a resztę dorabiać trzeba było własną pracą zarobkową w polu, na burakach i t. p. „Macierz" w swoim czasie uznawana była jako wielkie dzieło samopomocy społecznej. Lata „wysługi" uznane i zalegalizowane były przez kuratorium, ale instancja wyższa to skreśliła. Rekurs w 1935 roku nie odniósł skutku.

Wyjaśniono, że skreślenie jest prawnie umotywowane, bo Polska Macierz Szkolna jest instytucją prywatną. Świadectwa zaś rządowego bolszewickiego nauczycielki te nie otrzymały. Zresztą dwie z nich skończyły już na gruźlicę.

*
* *

„Co do jakichś „odznaczeń" działacza? Na powtarzające się nalegania Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi przesłał on tam swój życiopis. Pisali, że chcą to podać do jakiegoś wyższego odznaczenia. Po jakimś czasie przysłali mu wszystko z powrotem. Na podaniu wniosek eksperta kapituły ołówkiem: „medal bronzowy". Nalegał znowu Komitet Wykonawczy na Rusi, aby przysłać im ponownie, bo to jakieś nieporozumienie? Ale dał spokój.

Zresztą i dochody mogą się powiększyć. Plan jest taki: żona — owa dawna kierowniczka Domu Dzieci C. K. O. i doraźnego praktycznego kursu dla nauczycielek w szkole C. Komitetu, ma obecnie pensji 184 zł. Trzyma służącą. Pensja jej wynosi 25 zł plus ubezpieczenia 5, plus wikt 30, równa się 60 zł miesięcznie. To się może zmienić. Na rok przyszły wyjdzie już i drugi syn z domu do szkół, bez służącej więc już się można będzie obejść. Zarobi się 60 × 12 = 720 zł rocznie.

Całe życie był Partyzant „patatajką" — taką sobie miotłą — będzie jeszcze i teraz na stare lata w 72-gim roku życia „młodszym do wszystkiego".

I jeszcze może coś niecoś się zrobi. Dalej będzie prowadzić rozsadnik przy szkole na polu nauczycielki. Tak sobie z samego amatorstwa, aby po dawnemu rozpowszechniać nasiona i sadzonki pożyteczne, których tak brak wszędzie. W organizacjach młodzieży kupować nasion ta bieda nie ma za co, trzeba więc szerzyć te „staszicowe" pokazownie wsiowe własnego wypróbowania, wzorownice porządków i podręczników, polecane i przez Kursy im. Staszica przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie.

Byle zdrowie i humor, a pokój wewnętrzny — byle „przestać na swoim" po dawnemu, chociaż wciąż w innych warunkach.

Taki to życiorys życia dawnego i zarys życia na przyszłość.

C. 17 stycznia 1936.

Lp. 3

Ziemianin *)

z pow. garwolińskiego.

K. R. urodził się 8. 8. 1866 roku. Był synem zamożnych ziemian, właścicieli majątku D. w Łomżyńskim.

Jako jedynak, bo dwie siostry umarły w dziecięcych latach, był już z góry przeznaczony na rolnika, pomimo, że wielkie zdolności do matematyki możeby go raczej pociągały do pracy na innym polu. Również usposobienie jego niezmiernie łagodne, flegmatyczne i delikatne stało w pewnej sprzeczności ze stanowiskiem obywatela ziemskiego, którego życie jest w dużej mierze walką i to zarówno z ludźmi: służbą, sąsiadami chłopami i t. p., jak z naturą, która choć uczciwa i za pracę wynagradza, ale bywa nieubłagana i kapryśna. Szkół wyższych nie kończył, bo jako 19-letni chłopak prosto z gimnazjum osadzony został przez ojca na roli.

W tym czasie rodzice jego sprzedali majątek D., a kupili inny, a mianowicie G. w powiecie garwolińskim. I tutaj od młodości aż do dziś upływało życie naszego ziemianina.

W roku 1894 R. żeni się z panną P., córką bardzo zdolnego adwokata z Warszawy. W kilka lat później jest ojcem rodziny, a mianowicie czworga dzieci.

W tym okresie gospodaruje pilnie, choć bez wielkiego może zamiłowania — i gospodaruje dobrze, a zwłaszcza ma rozpęd do unowocześniania swego warsztatu pracy, co akcentuje się od śmierci ojca w 1902 roku, to znaczy od chwili, gdy stał się zupełnie samodzielny.

W tym okresie życia społeczną pracą w ścisłym tego słowa znaczeniu nie zajmuje się, bo nie można było czynić tego jawnie, a R. chociaż bardzo gorący i nie uznający kompromisu patriota, był zupełnie niezdolny do konspiracji. Poza tym przez całe swe życie zachowywał najbezwzględniejszy ostracyzm wobec zaborców, zarówno Rosjan, jak później w czasie wielkiej wojny — Niemców.

---

*) Życiorys napisany przez M. G.

Stosunki ze wsią łączą go bardzo dobre — ma szczerą sympatię dla ludu, jest w postępowaniu prawdziwym demokratą i chłopi żywią dlań szacunek i zaufanie. Uwidacznia się to najlepiej w tym, że chłopi we wszelkich trudniejszych sprawach życiowych spieszą do niego zawsze po poradę, a drzwi dworu w G. stoją otwarte dla każdego. Lud okoliczny daje też wyraz swoim dla R. uczuciom, a mianowicie wybierają go raz po raz — mimo młodego wieku — sędzią. Z początku władze rosyjskie tego wyboru nie zatwierdzają, gdyż R. jest zbyt dobrym Polakiem, ale gdy zostaje konsekwentnie wybrany po raz trzeci, zamianowują go sędzią sądu gminnego 5 okręgu z siedzibą początkowo we wsi K., a później w G.

Tymczasem nadszedł rok 1904 i 1905. Przez wszystkie folwarki przeszła fala strajków rolnych, ale w G. służba była dobrze płatna, dobrze traktowana, więc pomimo silnej agitacji nie strajkowała ani godziny. W nagrodę za to równocześnie z dorocznymi dożynkami urządzono dla niej obiad, na którym państwo ze dworu wraz ze swymi gośćmi usługiwali jedzącej służbie.

W tym czasie K. R. zaczyna coraz żywiej interesować się chłopami, doceniać ich rolę w przyszłości i krystalizuje się w nim zamiłowanie do pracy społecznej, którą spełniać będzie, jako budowę fundamentów wolnej i wielkiej Polski.

W roku 1905 i 1906 ruch rewolucyjny po wojnie rosyjsko-japońskiej przyniósł w byłym Królestwie nieco swobody politycznej. Piękna to była chwila, gdy po raz pierwszy, za inicjatywą R., zaśpiewano w kościele w G. hymn: „Boże coś Polskę“. Moment pamiętny, bo przed tym za taki jawny objaw buntu groziło więzienie.

W tym czasie wystawiono w Teatrze Wielkim w Warszawie sztukę „Obrona Częstochowy“, której treść była na owe czasy bardzo „politycznie polska“.

K. R., w którym coraz silniej kiełkowała idea uszlachetniania i uświadamiania ludu, pragnął, aby przynajmniej garstka chłopów z G. zobaczyła to piękne przedstawienie. Jako zamożny wówczas dziedzic zawezwał do siebie dziesięciu najpoważniejszych gospodarzy i przedstawił im propozycję, aby na jego koszt pojechali do teatru na „Obronę Częstochowy“. Chłopi zgodzili się na to z ochotą. Ale gdy wrócili do chałup i powiedzieli żonom, po co ich dziedzic wzywał do dworu — rozpoczęła się istna wojna. Kobiety rozważyły całą sprawę i doszły do wniosku, „że musi w tym być jakaś podrywka, żeby dziedzic chciał tyle pieniędzy wydawać na chłopów i to na teatry“, dość że zaklinały, błagały, a nawet — jak ongiś Rejtan w sejmie — własnymi ciałami broniły mężom wyjścia za próg na tę niebezpieczną imprezę. Ale chłopi zaryzykowali — i nie ulegli babom.

I oto na jednym z przedstawień „Obrony Częstochowy“ między elegancko ubranymi widzami, w dwóch parterowych lożach, ujrzano na-

szych gospodarzy w kożuchach, jako że była to zima. Przedstawienie podobało się ogromnie, a gdy w pewnej chwili podczas procesji na scenie zaśpiewano: „Święty Boże“ — nasi chłopi runęli na kolana i społem zawtórowali pięknej suplikacji. Ten gest wzruszył głęboko innych widzów w teatrze, choć poprzednio posyłali oni woźnych do lóż zajętych przez gospodarzy, aby „ci panowie zdjęli futra, bo czuć baranimi skórami w całym teatrze“.

Czarne przewidywania bab nie sprawdziły się. Dziedzic nie zastawił na chłopów żadnej pułapki i wszyscy zdrowo wrócili do domów.

Ta historia doskonale charakteryzuje ówczesny stosunek włościaństwa do dworów — nieufność, a nawet wrogość, którą rząd rosyjski rozmyślnie za pomocą t. zw. komisarzy ludowych starał się potęgować. że praca społeczna dla ludu i z ludem była wielkim krokiem naprzód w odprężeniu tych stosunków, świadczą o tym późniejsze wypadki:

Gdy w 1915 roku Rosjanie opuszczali ziemie polskie, wielu obywateli ziemskich, a także chłopów, opanowanych panicznym strachem przed Niemcami, uciekało za wojskami rosyjskimi do Rosji, a opuszczone dwory i wsie Rosjanie wielokrotnie podpalali i niszczyli.

Otóż już wtedy w G. ludność wiejska, choć szalenie podniecona, informowała się we dworze, co robić i czy państwo ze dworu uciekają, czy zostają, i za radą i przykładem R. pozostała na miejscu, co jej stokrotnie wyszło na dobre.

Potem znów, gdy w 1920 roku przez połowę Polski przeszła nawała bolszewicka, w G. i okolicy stosunki między dworem a wsią były już tak dobre i przyjazne, że mimo obecności bolszewików w majątku R., ani ze strony swojej służby, ani ze strony chłopów żadnych przykrości ani szkód nie zaznał. Przeciwnie, chłopi z G. i okolicznych wiosek w sposób bardzo ładny dali wyraz sympatii, jaką żywili dla dziedzica. Na kilka tygodni przed nadejściem bolszewików przez G. przeciągały całe gromady uciekinierów z Kresów, a mianowicie właściciele tamtejszych folwarków, którzy ze swym całym dobytkiem, końmi i krowami uciekali na zachód. Otóż gdy i z okolic G. zaczęli się wynosić po trochu obywatele ziemscy, do R. przyszła delegacja chłopów z prośbą, by nie wyjeżdżał, gdyż przy takiej ucieczce zarówno inwentarz się marnuje i dziesiątkuje, jak i pozostawiony bez opieki folwark niszczeje — mówili, że oni ukryją swego dziedzica u siebie w chłopskim przebraniu i rozbiorą do przechowania inwentarz i zboże, aby majątek nie ucierpiał.

Jakoż R. zdecydowany był nie uciekać i do ostatniej chwili z majątku swego nie ruszał się. Dopiero na kilka godzin przed przyjściem bolszewików polska żandarmeria polowa oznajmiła mu, że ma rozkaz przeprowadzenia swego inwentarza na drugą stronę Wisły, aby nie wpadł w ręce wroga. Z tym inwentarzem przeprawił się i on sam. Przez tydzień pozostawał po drugiej stronie Wisły, przy czym cała służba wyruszyła z nim ra-

zem, a gdy wrócił, zastał wszystko nietknięte i był najserdeczniej witany przez ludność.

Na razie jednak zaledwie lody zostały przełamane i praca nad ludem rozpoczęła się. R. zabiega teraz u rządu o pozwolenie założenia w swym majątku ochronki, co udaje mu się otrzymać. Na skraju zabudowań folwarcznych i wsi buduje ładny pięcioizbowy budynek, otacza go ogródkiem i tam odtąd ma być locum tej pracy, która wydźwignęła G. z najbiedniejszej i zacofanej wioski na zamożną i postępową.

Sprowadzona ochroniarka pod pozorem zabawy uczy dzieci, a wieczorami w tejże ochronce gromadzą się dorośli analfabeci, którzy cierpliwie wkuwają w głowy tajemnice czytania i pisania.

Akcja ta miała wielkie znaczenie, bo dotąd wieśniacy uczyli się (i to bez przymusu szkolnego) tylko w szkółkach rosyjskich, skąd nie wynosili żadnych wiadomości ogólnych, a tylko w najlepszym razie trochę znajomości rosyjskiego języka. Jak dalece lud nasz był nieuświadomiony patriotycznie, świadczy fakt, że chłopi w ogóle po owe czasy nie rozróżniali pojęcia „Rosjanin“ i „Polak“, a tylko dzielili mieszkańców Rosji i Polski na „prawosławny“ i „katolik“. Pod wpływem pracy społecznej wszystko to w szybkim tempie ulega zmianie na lepsze.

Przy ochronce zakłada R. niewielką czytelnię, a mianowicie kupuje wiele książek i prenumeruje cały szereg pism dla ludu; ma ona jednak mało czytelników, chłopi na źle uprawianych i o nędznej glebie polach mają tak wiele pracy, a tak małe z tego dochody, że głodnym i przywalonym troskami, nie chce się czytać jakichś opowieści. „Żeby to chociaż było o królach albo o smokach — mówi niektóry — to może by warto było wysylabizować, ale takie to tam historie, jak w każdej chałupie...“

„Stanowczo trudno się dziwić, że te źle odżywione mózgi nie mają wprost możności wchłaniać sprawy ducha“ — mówi w owe czasy często R. i w duszy jego powstaje nowy plan.

Pierwszym krokiem naprzód jest założenie kółka rolniczego.

W niedzielę po nieszporach gromadzą się gospodarze z G. i okolicy w ochronce i wysłuchują ciekawych a przystępnie zredagowanych referacików, wygłaszanych przez dziedzica o uprawie roli, o hodowli bydła i t. d., a zwłaszcza o tych nawozach sztucznych — tajemniczych, wprost do magii zaliczanych proszkach czarnych i białych, po których ziemia zdwaja siły i w dwójnasób, a może i w czwórnasób rodzi.

Były tam pewnie jakieś składki od tych, co do kółka należeli; potem już chłopi zachęceni powodzeniem sami kupowali owe nawozy, ale z początku trzeba ich było jakoś skłonić do tego wydatku tak niepewnego, więc niejeden woreczek nawozu szedł z dworskich zapasów do siedziby kółka, skąd darmo dostawali gospodarze po kilkanaście kilo na próbę, aby mogli przekonać się, co to warte.

Dzieliło się pole na dwie połowy, albo nawet pisało się na polu na-

wozem sztucznym jakieś sentencje, a potem na wiosnę gromadą wychodzili kółkowicze ze swym prezesem w pole, aby wśród lichej runi odczytywać wysokie i mocno zielone „Szczęść Boże“, albo „saletra“.

Dla podniesienia gospodarstw robi się i inne rzeczy; ogłasza się konkursy, to na najlepiej wyhodowane bydło lub konie, to na najstaranniejsze obejście gospodarskie, to wreszcie na najporządniej utrzymaną chałupę. (Pierwowzór dzisiejszych konkursów przysposobienia rolniczego).

Kółkowicze obchodzą gospodarstwa, oceniają, słyszą fachowe uwagi od dziedzica, co należy zmienić, jak co powinno być czynione, a najlepszy wynik jest uwieńczony piękną nagrodą.

Rozmaite rzeczy na te nagrody się składały: były tam drobne gospodarskie narzędzia, np. piękne skopki na mleko, albo i większe, jak sprężynowe brony, albo szczepy szlachetnych gatunków śliw i jabłoni, które do dziś zdobią wiejskie sadki, a przysłużyły się sprawie popularyzowania idei sadownictwa.

Niedzielne zebranie kółka rolniczego w ochronce to pewnego rodzaju „poradnia“, bo każdy człowiek może swobodnie zapytać o informacje. Jakoż nieśmiali z początku i niepewni wyrabiają się ci chłopi, nabywają wiele wiadomości i to zarówno rolniczych, jak i społecznych, a także patriotycznych. I w krótkim czasie około R. stają najzdolniejsze jednostki, a z tych wyrekrutowuje się zastęp jego współpracowników w pracy społecznej, pionierów kultury w okolicy, którzy odtąd wiernie będą przy nim stali.

Trudno już dziś ustalić, zwłaszcza, że tyle walut i dewaluacji przeszła nasza Polska, jakie to tam były te składki do kółek i ile dziedzic z własnej kieszeni dokładał, ale fakt jest, że kółko między innymi ufundowało stypendium dla jednego chłopskiego syna, który kształcił się w rolnictwie w Sobieszynie, aby potem tą swoją wiedzą całą okolicę karmić.

Równocześnie w ochronce dzieci uczą się czytać, pisać, uczą się historii Polski, religii, a także wpaja im się zasady higieny i w ogóle kultury.

Ciekawe jest, jak się ta ochronka rozwija.

Otóż z początku liczba dzieci była w ochronce mała. Dzieci służby folwarcznej miały nakazane uczęszczać do ochronki, więc uczęszczały, ale z dziećmi gospodarzy wiejskich szło opornie, bo dobrowolnie chłopi do tej oświaty nie kwapili się, a dwór nie mógł ich do niczego zmuszać, boć to nie były pańszczyźniane czasy. A dzielna ochroniarka, bardzo zdolna i inteligentna pani S. bolała nad tym, bo lokal był duży, pomoce naukowe liczne i śmiało można było liczbę uczniów podwoić.

Aż ktoś wpadł na skuteczną radę. Dotąd nauka w ochronce była bezpłatna, wszystkie z nią związane wydatki pokrywali pp. R., teraz zaś postanowiono, że tylko służba folwarku mogła bezpłatnie z ochronki korzystać, a dzieci gospodarzy miały dawać rodzaj czesnego na opłacenie zeszytów, robótek i t. p. I o dziwo! Od razu wielu chłopów zaczęło posy-

łać na naukę swoje dzieci. Podobno byli zdania, że niewiele musi być warte to, co im się darmo ofiarowuje, a skoro trzeba płacić, jest o co dbać. I pilnowali, by dzieci nauki nie opuszczały.

Ochronka jednak utrzymała się zaledwie kilka lat.

Rząd rosyjski udzielił wprawdzie zezwolenia na prowadzenie ochronki, ale miało to być wyłącznie miejsce zabawy dla maleńkich dzieci, absolutnie zaś nie wolno było uczyć w niej czegokolwiek, a zwłaszcza — w języku polskim. Pilnowali więc tego i co rusz przysyłali żandarmów na rewizję. Kilkakrotnie ocalił ochronkę ówczesny nauczyciel w szkółce powszechnej, uczący po rosyjsku, ale Polak, z którym p.p. R. żyli na dobrej stopie, bo między innymi uczył ich dzieci języka rosyjskiego. Mieszkając w środku wsi wcześniej spostrzegał rosyjskich żandarmów i cicho opłotkami przysyłał do ochronki dziecko jakieś z ostrzeżeniem. Szybko siadały dzieci na książkach i zeszytach, a jakieś włóczki, grochy i klocki pozorowały ochronkowe zabawy.

Żandarmi domyślali się może prawdy, bo trochę dziwnie wyglądały przy tych zabawach 14 i 15 letnie nawet dziewuchy i chłopaki, ale być może, że mieli intencje patrzenia przez palce, bo R. był wysoce szanowany nawet przez Rosjan.

Jednak uporczywe donosy — plaga wśród naszego chłopstwa — spowodowały nowe rewizje; wykryto raz jakiś szkolny przybór i nałożono wysoką grzywnę, a także zagrożono zamknięciem ochronki.

I rzeczywiście nadeszła ta chwila. Jeden z rewidujących, zdaje się inspektor szkolny, wśród uprzejmego niby to interesowania się dziatwą, zwrócił się do trzyletniej córeczki dworskiego lokaja z zapytaniem, czy się już czegoś nauczyły w ochronce. Dziecko śmielsze od innych, przyzwyczajone do obcowania z państwem, z zapałem odpowiedziało mu, że należy jeszcze do maleństw, więc tylko się tu bawi, ale te drugie, większe, to już dużo się uczą. „Tak? — indagował Moskal, częstując je cukierkiem — ale z czegóż te drugie się uczą, skoro nie mają książek?“ „Mają książki, mają, tylko teraz na nich siedzą“ — odpowiedziała z dumą Stasia. No i „wsypała“ wszystko.

Ochronkę zamknięto, a R. miał wiele przykrości i zapłacił wysoką grzywnę.

Jednak wszystko na świecie ma swój skutek i to dzieło choć krótkotrwałe nie pozostało bez dodatnich wpływów. Chłopcy i dziewczęta, którzy chodzili swego czasu do ochronki, stanowią dziś część służby folwarcznej i wyróżniają się wśród innej służby zarówno o wiele wyższą kulturą w pracy, jak też przychylniejszym i uczciwszym stosunkiem do dworu.

R. nie zraża się niepowodzeniem z ochronką, ale powodowany chęcią podnoszenia moralnie i materialnie naszego chłopa szuka nowych dróg i zakłada w swej wsi Kasę Pożyczkowo - Oszczędnościową, która stała się pod wieloma względami niezastąpionym dobrodziejstwem dla okolicznego włościaństwa.

Kasa ta rozwijała się świetnie. Ważnym czynnikiem było tu zaufanie, jakim chłopi darzyli R. Drugim ważnym momentem było, że chłopi wierzyli, iż w razie jakichś niedoborów czy zachwiania się kasy, R., jako zamożny i tak bardzo prawy i solidny obywatel, swoim własnym majątkiem zechce pokryć i będzie mógł pokryć wszystko, to też wkłady sypią się jak z rękawa.

Pożyczki są oprocentowane na 7%, a potem wobec pomyślnego stanu finansowego Kasy nawet na 6%, co wyrywa zupełnie ludność z ręki lichwiarzy żydów. Te pożyczki otrzymać jest ogromnie łatwo, bo na zwykłe zobowiązanie pisemne, żyrowane przez drugiego członka kasy, chłopi więc korzystają z nich masowo. Ponieważ zaś Kasa stosuje wobec dłużników humanitarne metody, łatwo prolonguje spłatę długu i t. d., więc zachęceni gospodarze śmielej robią interesy, dokupują ziemię, do czego prezes Kasy R. zawsze ich zachęca. Nabywają dobre i postępowe narzędzia rolnicze, rasowy inwentarz i dobrobyt ich naocznie wzrasta.

Wkłady są również oprocentowane zachęcająco, bo do 5½%, a przy tym ogromny obrót i bieżąca gotówka sprawia, że wypłaca się na każde zażądanie nawet t. zw. wkłady z wymówieniem. To ogromnie podtrzymuje zaufanie do instytucji i zachęca do oszczędzania.

I wkrótce rozwija się ta Kasa w G. w sposób wprost zawrotny. Do grona wkładców oprócz gospodarzy, służby folwarcznej, komorników wiejskich, przyłączają się niemal wszyscy, bodaj najskromniejsi „posiadacze". A więc starzy rodzice, będący na t. zw. wycugu czyli dożywociu u dzieci, wdowy chcące zapewnić sobie piękny pogrzeb, opiekunowie, którzy powierzają Kasie majątki sieroce, a nawet okoliczni żebracy zawartość swoich sakw proszalnych. I Kasa staje się drugą po Liskowie w Królestwie Polskim pod względem liczby członków i obrotów.

Zyski, mimo małej różnicy między oprocentowaniem wkładów i pożyczek, są wobec dużych obrotów również znaczne, więc poza obowiązującym odkładem na fundusz zapasowy i inne, jest zawsze jeszcze kapitał na rozmaite cele społeczne.

Dzieje Kasy w G. zlewają się teraz poniekąd z dziejami Kółka Rolniczego, trudno więc dziś ustalić, jak się te dwie instytucje wzajemnie wspierały i która z nich na coś łożyła? Z pomiędzy rozmaitych rzeczy pamiętnym stało się np. wysłanie kilku gospodarzy na koszt publiczny do Czech dla zwiedzenia kulturalnych i uprzemysłowionych gospodarstw tamtejszych. Poza tym gospodarze zwiedzają Lisków — wzorową osadę spółdzielczą, jeżdżą na rozmaite wystawy rolnicze i biorą liczny udział w wystawach, urządzanych w mieście powiatowym Garwolinie.

Około roku 1913 Kasa przystępuje do budowy własnego domu.

Wszystkie te rzeczy mają ogromny wpływ na wzrost kultury i zamożność chłopów. Nierzadkim był wypadek, że jakiś gospodarz przychodził do Kasy z prośbą o pożyczenie np. 300 rubli na dokupienie 5 morgów ziemi z sąsiadującego z nim gospodarstwa, którego właściciel przenosi

się w inne strony. R. wypytywał go o szczegóły i warunki, a że znał niemal wszystkich w okolicy, gdy widział w nim zadatek na dzielnego gospodarza, doradził mu wzięcie zamiast zamierzonych 300 rubli, dajmy na to, 1.000 rubli i dokupienie nie 5, ale 15 morgów. W ten sposób przyczynił się w dużej mierze do powiększenia w okolicy gospodarstw chłopskich; równocześnie pouczał o sposobach gospodarowania i najnowszych zdobyczach wiedzy rolniczej.

Wynik był ten, że zamiast kurczenia się jednostek gospodarczych, jak to bywa przy zwykłych na wsi działach rodzinnych, w G. i okolicy działo się wprost przeciwnie. Gospodarstwa zwiększyły się do 15 morgów przeciętnie, a poza tym potworzyło się wiele 30 i 40 morgowych, czyli takich, które dają najproduktywniejszą jednostkę gospodarczą w rolnictwie.

Wracam do sprawy domu budowanego przez Kasę za inicjatywą R. (jak zresztą we wszystkim co Kasa robiła). — Z początku dom ten miał być rodzajem domu ludowego. Ale gdy wykończono budynek, wybucha wojna światowa i przed spółdzielczością stają nowe problemy. Brak podstawowych towarów, „pasek", ceny lichwiarskie na odzież — to wszystko staje się plagą wsi, więc R., trzymający rękę na pulsie życia chłopa, postanawia zaradzić złemu. Kasa ma w tym czasie nadmiar gotówki (ciekawy objaw wobec ówczesnych runów na banki w miastach) — zużytkowuje się ją więc na kupno towarów pierwszej potrzeby. Na razie nie ma gdzie tego towaru podziać, więc R. każe go wyładować we dworze, dokąd odbywają się istne procesje ludności okolicznej; a panienki ze dworu same ważą i wydają cukier, naftę, sól i mydło. Zapotrzebowanie na towar jest coraz większe i wobec tego nowowybudowany dom obraca się na skład towarów, t. zw. Hurtownię w G., w której jako w ekspozyturze Kasy sprzedażą zajmuje się kasjer Kasy Pożyczkowo - Oszczędnościowej. Rzecz ta na tle ówczesnych stosunków rozwija się bajecznie, tak że wkrótce zaistniała potrzeba otworzenia oprócz hurtowni sklepu detalicznego. Jakoż R. organizuje i tę placówkę i obie te instytucje rozkwitają.

Zachęcone przykładem, miasto Garwolin zakłada u siebie hurtownię towarów rolniczych i proponuje R. stanowisko prezesa zarządu, a gdy ten odmawia, powołują go na prezesa Rady Nadzorczej. Ludność zaś sąsiedniej osady S. zwraca się do niego z prośbą o wzięcie w opiekę tamtejszego Stowarzyszenia Spożywczego.

R. jest teraz formalnie przeciążony pracą społeczną, bo oprócz noszenia na swych barkach całkowitych rządów nad Kasą w G., Hurtownią, sklepem w G., jest jeszcze ciągle sędzią, a obecnie nawet sędzią w dwóch sądach, a mianowicie w G. i w Ż. Ulega jednak wielokrotnym prośbom ludności S. i przystępuje do reorganizacji ich stowarzyszenia.

Sprawa ta staje się dla niego najcięższą próbą życiową. Stowarzyszenie założył przed wojną ksiądz z S., ale na początku wojny uległo ono rozgromieniu przez przechodzące wojska. Wszystek towar rozkradziono.

tak, że bilans Stowarzyszenia przedstawiał się jedynie w postaci należnych członkom udziałów, a pokrycia na to nie było ani w gotówce, ani w towarze. A ludność cierpiała, bo nie było w S. ani jednego chrześcijańskiego sklepu.

S. znajdował się o 6 km od G., dozór więc tej placówki był bardzo utrudniony. Ludność tej osady to nie byli prości, dobroduszni wieśniacy, ale półmiejskie łyczki, no i żydzi, czyli element zdemoralizowany i nie uspołeczniony.

R. usiłował to wszystko opanować. Kasa w G. daje Stowarzyszeniu wysoką pożyczkę, za te pieniądze kupuje się towary — i Stowarzyszenie rusza z martwego punktu.

Z początku wszystko idzie dobrze. Stowarzyszenie niesie zyski, dług można będzie spłacać i po trochu może się udziały odzyska. Powolna dewaluacja i drożenie wszystkiego sprzyja rozwojowi handlu, a w Stowarzyszeniu kupują wszyscy, bo jest tanio i solidnie.

Ale, niestety, okazuje się, że mimo poleceń najpoważniejszych i kaucji, nie można znaleźć uczciwego sklepowego. W pierwszym roku wszystko idzie w porządku, ale już w następnym kontrola znajduje nadużycia. R. robi się wyrzuty, że może nie dość ostrożnie dobrał sklepową, że miała zbyt niską kaucję i wyrównuje z własnej kieszeni kulkusetrublowy deficyt.

Następny sklepowy, polecany przez ogół członków, ma już być człowiekiem zupełnie pewnym. I znowu Stowarzyszenie rozpoczyna działalność. I znowu tylko w pierwszym roku sklep jest uczciwie prowadzony, może dla wzbudzenia zaufania, a w następnym mimo kontroli i wszelkich możliwych ostrożności nie ma wprawdzie deficytu kasowego, bo drożenie towarów z dnia na dzień daje olbrzymie zyski, ale ludność skarży się, że sklepowy bierze o wiele wyższe ceny, aniżeli zarząd naznaczył, nadwyżki więc chowa do własnej kieszeni.

I tu nasuwa się dość ważna uwaga, która rzuca światło na charakter R. Otóż cała ta praca społeczna była w gruncie rzeczy bardzo dla niego kosztowna. Przede wszystkim był on ogromnie bezinteresowny, hojny i po ojcowsku wprost oddany wszystkim tym instytucjom, które do życia powołał. Poświęcał im też cały swój czas, a więc nie mógł gospodarować na swoich folwarkach ani zabiegać o własne interesy, choć gdy chodziło o interesy społeczne, nie było dla niego przeszkody w wykonywaniu przyjętych obowiązków — wykazywało to najdalej idące zaparcie się siebie i idealny wprost brak egoizmu. Chociaż ponosił ofiary materialne i miał moc trosk, które nieuchronnie towarzyszą każdemu wielkiemu dziełu, nikt z rodziny ani z otoczenia nie widział go nigdy niezadowolonym ani zniechęconym. Szczytny ideał wydźwignięcia z ciemnoty i ubóstwa naszego chłopa, uczynienie z niego wartościowego członka społeczeństwa i przyszłej podpory odrodzonej Polski, był mu tak drogi i bliski, że zawsze był pełen pogody, spokoju i wiary w celowość swych ofiar.

Teraz następuje trzeci i ostatni etap pracy w Stowarzyszeniu w S. R. ma trudny problem do rozwiązania, a mianowicie skąd wziąć sklepowego albo sklepową, która by dawała gwarancję uczciwej i sumiennej pracy. I jako ostatni ratunek przychodzi mu na myśl zwrócić się o pomoc do niejakiej p. M. W.

O tej osobie trzeba skreślić parę słów. Otóż przed laty była ona wychowawczynią dzieci p.p. R. i zyskała sobie miłość i uznanie we dworze przez swą sumienność i życzliwość. Gdy dzieci dorosły, została sklepową w Warszawie, potem była zarządzającą ogromnego pensjonatu, dalej zakładu leczniczego, aż w końcu brat jej — zamożny człowiek — kupił dla niej i drugiej siostry sklep spożywczy w rodzinnym ich mieście Włocławku, gdzie odtąd pracowała. Cały jednak ten czas była najwierniejszym przyjacielem każdego, czyje interesy prowadziła, a dla rodziny R. zachowała sentyment, który sprawił, że na każde wezwanie była gotowa do pomocy. I teraz na prośbę p. R. podjęła się wyprowadzić Stowarzyszenie w S. na czyste wody.

Ustalono program pracy. Panna W. miała przyjechać do S. na pół roku i za bardzo małą pensję, która zaledwie mogła starczyć jej na najskromniejsze wyżywienie, prowadzić sklep spożywczy. Ponieważ był to koniec roku 1917 i dewaluacja szerzyła się w kraju, była szansa osiągnięcia dużych zysków, tak aby można było zwrócić dług Kasie i udziały członkom. No i pozostawić Stowarzyszenie z towarem, aby mu umożliwić dalsze istnienie. Po tym półroczu miał i R. wycofać się z prezesury w tej placówce.

Tutaj słusznie spyta każdy czytelnik: „Jak to? więc w całej Polsce nie można było znaleźć uczciwego sklepowego? Więc trzeba się było uciekać aż do osoby, dla której ta praca nie była koniecznością życiową, ale niejako ofiarą społeczną? Otóż tak źle pewno nie było, tylko rzecz cała miała jedno „ale".

Pomimo, że Stowarzyszenie w S. było prawie własnością Kasy Pożyczkowo - Oszczędnościowej w G., bo obecnie było oparte w 100% na kapitale, który dała Kasa, jednak formalnie było ono Stowarzyszeniem, a tym samym wszystkie jego losy bywały dyskutowane i zatwierdzane na zebraniach członków. A ci członkowie to byli mieszkańcy S. i okolicy i co drugi spośród nich miał kogoś z rodziny, którego marzeniem było zostać sklepowym w tej bogatej spółce, gdzie towaru jest w bród, kontrola przy nim trudna, bo dewaluacja pomaga podwyższaniu cen i chowaniu do własnej kieszeni różnicy między cenami obowiązującymi, a pobieranymi, no i gdzie już poprzedni sklepowi nieźle się obłowili.

Na jednym z zebrań, gdy R. jako prezes tłumaczył, że zbyt niskie wynagrodzenie prowokuje tylko pracownika do nadużyć i że za lepszą płacę łatwiej o porządną siłę, więc trzeba podnieść oznaczone sklepowej pobory, jak burza zrywali się członkowie z protestem, bo każdy z nich w tej chwili dostarczy syna czy brata, który podejmie się prowadzenia

sklepu nawet za połowę dotychczasowej płacy. Wybrnąć z tego było trudno, bo ostatecznie prezes mógł przeforsować swego kandydata, ale co najwyżej przy równie niskiej płacy. Trzeba więc było po prostu mieć szczęście, żeby znaleźć taką pannę W., która dla dobra sprawy stanęła do apelu.

Wszystko zapowiadało się dobrze. Sprowadzono moc towaru, prezes dwa razy na tydzień w asyście członków zarządu był w sklepie i ceny naznaczał, obrót był olbrzymi, zyski wielkie, a ludność zadowolona, bo mimo wszystko kupowała tanio. Tylko żydzi, właściciele sklepików, mieli troskę, bo Stowarzyszenie odebrało im wszystkich klientów, a sklepowa była dziwna, na żadne z nimi „interesy" ani macherki iść nie chciała, po prostu jakby jej nie zależało na tych ubocznych dochodach, na które jej poprzednicy z taką skwapliwością się rzucali.

Zaczęły się ciche intrygi. Co gorsza, niektórzy członkowie zarządu byli coraz bardziej niezadowoleni, bo za poprzednich sklepowych dostawali po cichu towar w Stowarzyszeniu po niższych cenach, a teraz p. W. tłumaczy, że prezes jej wyraźnie nakazał, aby ceny dla wszystkich były jednakowe.

Czas jednak szybko leci. Stowarzyszenie idzie dobrze, a piękny cel zdobywa sobie serce p. W., która tak się zapala do swej pracy, że aby nie wydawać ani grosza ponad potrzebę konieczną, nie najmuje nawet posługacza do wyrąbywania lodu ze sklepowych schodów w zimie, ale ku podziwowi gapiów spełnia najcięższe roboty, a setki i tysiące marek skrzętnie odprowadza co tydzień do Kasy.

I wtedy właśnie uderza grom. Pewnego dnia zjawia się na terenie S. wysłannik Związku Stowarzyszeń Spożywców w Warszawie, aby werbować istniejące w Polsce stowarzyszenia do zapisywania się na członków tegoż Związku. (Wówczas nie było to obowiązkowe, bo były to czasy niemieckiej okupacji i sprawy te nie były jeszcze uregulowane). Naturalnie interpeluje w tej sprawie prezesa, ale R. odmawia. Tłumaczy, że za miesiąc ustępuje z prezesury Stowarzyszenia, niech więc nowy prezes już się tym zajmie, o ile zebranie członków uchwali odpowiednią rezolucję; mówi dalej, że składki do Związku są b. wysokie, a on chciałby zyski jak największe wydobyć, aby wycofać kapitał pożyczony przez Kasę w G.

ów pan ze Związku jest oczywiście niezadowolony, gorzej — zaczyna podejrzewać, że coś za odmową się kryje. Krąży między ludnością i robi wywiad, może mimo woli, a może rozmyślnie inspiruje niezadowolenie. Co? Sklepowa to „człowiek" prezesa? Co? R. nie pytając członków odmawia wpisania Stowarzyszenia do Związku? Co? Nie chciał brata X-a, a kuzyna Y-greka na sklepowego? Ależ to jasne, że tam są jakieś nadużycia, a na to wy, członkowie, nie możecie pozwolić, boć to wasz sklep, wasze udziały, wasze pieniądze!

Iskra pada na właściwe podłoże. I jak zwykle bywa przy demagogii

tłum podchwytuje ideę, ale myśl toczy się jak lawina, przerasta twórcę i wypacza założenie. Tak i tutaj. „Wasze pieniądze, wasze udziały“ — to stało się założeniem i bodźcem do reakcji zamiast do obrony interesów Stowarzyszenia. Do tego jest już rok 1918, koniec wojny, rozprzężenie władz, umysłów i t. p. S. napełnił się reemigrantami z Rosji, upojonymi hasłami komunistycznymi, bezkarnością, grabieżą, którym ten „dziedzic“ kierujący Stowarzyszeniem idzie nie w smak. A przy tym bieda ich gryzie, a sklep jest pełen towaru, a ten towar, to ich udziały, ich własność, jak ich zapewnia pan ze Związku.

Jakie tam były narady i jakie padły argumenty, trudno wiedzieć, dość, że pewnego pięknego dnia sklep napełnia się tłumem ludzi i zaczyna się najprostszy rabunek towarów z półek. Biedna p. W. w pierwszej chwili traci głowę ze zdumienia i dopiero, gdy ochłonęła nieco, wzywa policję na pomoc.

Ku oburzeniu prezesa okazuje się, że niektórzy członkowie zarządu sami podburzali ludność do rabunku. R. zwołuje walne zebranie. Jest to chyba najczarniejsza chwila jego życia. Ten człowiek, który uważany był przez całą okolicę za najszlachetniejszego i najprawszego z ludzi, któremu np. kupcy żydzi powierzali dziesiątki tysięcy rubli bez pokwitowania, który zresztą nie dorobił się, ale stracił $^2/_3$ swego majątku przez pracę społeczną, teraz oskarżony jest o nadużycia. Z za pleców sąsiada, aby trudno było dojść kto jest oszczercą, padają zarzuty i tylko dwie osoby na tym licznym zebraniu mają odwagę, zachłystując się z oburzenia, stawać w obronie R. Są to M. W. i K. B., gospodarz z sąsiedniej wioski, jeden z nielicznych w okolicy, któremu R. osobiście nigdy żadnego dobrodziejstwa nie wyświadczył.

R. niewiele na tym zebraniu przemawia. Oburzenie, gorycz, a może i duma szlachecka odbierają mu głos. W kilku słowach wnosi swą dymisję i żąda, aby nowy zarząd wezwał fachowego kontrolera ksiąg, który by zbadał stan Stowarzyszenia i stwierdził, czy są nadużycia. Proponuje, aby tym kontrolerem był ów pan ze Związku Stowarzyszeń Spożywczych, który stał się inicjatorem całego zajścia, a który jest właśnie buchalterem i rewidentem w tymże Związku, a prócz tego zawezwie się dla bezstronności drugiego rewidenta, buchaltera ze Związku Rewizyjnego Stowarzyszeń Rolniczych.

Jakoż zebrani godzą się na to. Przez kilka tygodni owi buchalterzy sprawdzają najdokładniej każdą pozycję w księgach, każdy kilogram towaru i składają na piśmie zeznanie, że wszystko jest w porządku, że nie ma nawet najdrobniejszej niedokładności czy nieformalności. Prawdopodobnie również podczas tych paru tygodni kontrolowania ów buchalter ze Związku Stowarzyszeń Spożywczych natknął się na takie dowody bezinteresowności, ofiarności i szlachetności R., że publicznie dał wyraz swojej skruchy.

Na zakończenie rewizji zwołano posiedzenie starego i nowego zarzą-

du oraz władz sądowych, aby protokularnie był stwierdzony stan rzeczy — obaj buchalterzy byli obecni jako sprawozdawcy. Gdy R. zajechał przed lokal, buchalter Stowarzyszenia Spożywców wstał i powiedział: „pozwolą państwo, że moje sprawozdanie złożę na piśmie, a kolega ze Związku Rewizyjnego da ustne wyjaśnienia, gdyż ja nie śmiem pozostać w tym pokoju, bo prawdopodobnie pan R. po tym, na co go niesłusznie naraziłem, ręki mi nie poda". Jakoż wyszedł, ale gdy powtórzono te słowa p. R., ten ujęty jego skruchą i odwagą przyznania się do błędu, co wskazywało na to, że jest uczciwy człowiek, kazał go przywołać i ze zwykłą sobie wielkodusznością pominął tę sprawę milczeniem.

W ciągu całego ubiegłego okresu Kasa Pożyczkowo - Oszczędnościowa w G. rozwija się wspaniale. Hurtownia również idzie dobrze, zarówno jak sklep detaliczny. Instytucje te dają zyski, które zużytkowuje się pożytecznie. W roku 1915 Kasa zakupuje młocarnię motorową wraz ze śrutownikiem i wypożycza ją w okolicy. Założenie było takie, aby gospodarze wspólnie z całej wsi korzystali z niej i młócili swe zboże, trudno jednak ich było do tego przynaglić, zwłaszcza, że okupacja niemiecka przeszkadzała normalnej gospodarce rolniczej. Ostatecznie korzystali z młocarni tylko ziemianie, wobec czego po kilku latach sprzedano ją. Niemcy przyznają Kasie pozwolenie na handel cukrem — artykułem, który był niemal na wagę złota, a który wobec tego ogromnie staniał w całej okolicy.

W roku 1917, specjalnie krytycznym dla ludności z powodu braku i drożyzny ubrań, Kasa z zysków przeznacza kilka tysięcy marek na odzież dla ubogich okręgu, w którym działa. Członkowie Rady Nadzorczej, jako przedstawiciele pewnego obwodu znający doskonale stosunki tam panujące, podają nazwiska biednych ze swoich wiosek. Zarząd na podstawie tych zgłoszeń układa podział i wydaje bony do Hurtowni, tak że wszyscy biedni otrzymują niemal całkowite ubranie i obuwie na zimę.

Obroty Kasa ma ogromne, powiększone ostatnio jeszcze tranzakcją, którą dla niej robi R. własnymi funduszami. W tym bowiem czasie zakańcza on rejentalnie rozpoczętą w 1914 roku parcelację 800 morgów swego majątku. Ponieważ parcelacja ta była zapoczątkowana z tym, że chłopi wezmą ziemię na kredyt, a gotówkę zapłaci za nich rosyjski Bank Włościański, obecnie zaś jest okupacja niemiecka i Banku Włościańskiego nie ma, a chłopi nie mają dostatecznej gotówki, R. ułatwia chłopom zakończenie tego kupna w ten sposób, że pozwala im brać pożyczki w Kasie. Ponieważ chodzi tu jednak o wielkie sumy, a Kasa nimi nie rozporządza, zgadza się przeprowadzić tranzakcję bezgotówkowo. Pozwala mianowicie te pożyczone sumy wkładać na wkład dla siebie. W ten sposób przysparza Kasie olbrzymie dochody, gdyż przyniosło to parę tysięcy różnicy między %% od wkładu i od pożyczek. Było to też ogromnie pomyślne dla parcelantów, gdyż nadszedł okres dewaluacji szybko postępującej

i już po kilku miesiącach spłacili chłopi swe długi w Kasie, sprzedając na ten cel „kogutki“, jak sami mawiali.

Fatalnie wyszedł na tym tylko R. W tym czasie trafiało mu się kilka dobrych interesów dla zainwestowania otrzymanego z parcelacji kapitału. Ale odsuwał te osobiste sprawy z dnia na dzień. O pieniądzach wpływających silnym strumieniem od parcelantów do Kasy wiedziała cała okolica i chłopi gromadnie przychodzili z prośbą o pożyczki, a R. nie potrafił oprzeć się ich potrzebom, rozdawał wszystkie pieniądze członkom, tak iż dla niego i zwrotu jego wkładu brakło ciągle gotówki.

Koniec tego jest wręcz tragiczny. W 1919 r. wkład jego w Kasie, który pierwotnie przedstawiał wartość 800 morgów ziemi, zdewaluował się do rozmiarów ceny kilku metrów żyta. Wszystko to jednak nie martwi go zbytnio. Kasa idzie dobrze, Kasa kwitnie, a tyle serca włożył w to swoje ukochane dziecię, że jej pomyślność jest mu osłodą innych trosk.

Ale i tu przychodzą czarne chwile, a mianowicie wychodzi na jaw, że kasjer Hurtowni robi nadużycia. Rzecz ta była wielką przykrością dla R., gdyż ten kasjer był jednym z najpoważniejszych i najzamożniejszych gospodarzy i przez wiele lat był bezwzględnie uczciwym. Jak się okazało, ostatnio wpadł w nałóg pijaństwa i to doprowadziło go do nadużyć pieniężnych. Sprawa ta nie podkopała bytu Kasy, bo brakujące sumy częściowo zwrócił ów kasjer gotówką, częściowo zaś zostały przez niego pokryte zobowiązaniami pisemnymi, które dzięki dewaluacji szybko spłacił.

Teraz jednak następuje okres powojennego kryzysu pieniądza. Powoli tętno Kasy słabnie. Konwersja, która wyzuwa wkładców z ciężko uciułanego grosza, powoduje zahamowanie wkładów i brak gotówki, a więc nie ma z czego udzielać pożyczek. Za radą Centralnej Kasy Stowarzyszeń Rolniczych (obecnie organu zwierzchniego dla Kas) zwija się Hurtownię i Sklep, gdyż według nowych przepisów Kasa Pożyczkowo-Oszczędnościowa nie powinna trudnić się pośrednictwem handlowym. Wobec tego budynek magazynowy zostaje wydzierżawiony na młyn motorowy.

Wkrótce przeżywa R. jeszcze jeden ciężki moment. Gdy Polska powstała z niewoli, był on, jak wiemy, sędzią w dwóch sądach. Jakoż nowe władze polskie powierzają mu i nadal sprawowanie tych funkcyj. Pełni więc te obowiązki, w dodatku bezpłatnie, dokładając jeszcze do tego urzędu z własnej kieszeni, bo sądy trwają od rana do nocy, a on nie dostaje nawet diet, choć musi dwa razy na tydzień dojeżdżać do miasteczka i trzymać cały dzień konie i furmana. Ale taki jak on obywatel pracuje z najwyższą ochotą, zwłaszcza, że już od dwudziestu kilku lat tę pracę spełnia i przywykł od pierwszej chwili, gdy z rąk Moskala ten urząd przejmował, uważać ją za obowiązek obywatelski i ważną placówkę kulturalną. I kocha on to swoje sędziowanie, kocha tak, jak kocha Kasę, jak kocha lud cały, który stara się swoją działalnością uszlachetniać, podnosić i wzbogacać. Niestety, przychodzi moment, gdy sprawy sądownictwa zostają

uregulowane i polskie władze decydują, że sędziami gminnymi mogą być tylko zawodowi urzędnicy. R. dostaje suche zawiadomienie, że od dnia tego a tego przestaje być sędzią... To zawiadomienie jest dla niego głęboką przykrością, a i ludność okoliczna przyjmuje tę wiadomość z żalem.

R. prawnikiem nie był, ale wrodzona prawość i poczucie sprawiedliwości, a także doskonała — do korzeni, że tak powiedzieć można, znajomość chłopów i stosunków wiejskich sprawiały, że wyroki jego były ogromnie sprawiedliwe, słuszne, łatwe do przewidzenia, wypływające z logiki i co najważniejsze nie przekupne. A że przy tym były one zawsze dobrze umotywowane prawnie, więc niemal nigdy Sąd Apelacyjny jego wyroków nie uchylał. Stąd i pieniactwo było mniejsze i poczucie sprawiedliwości mocne.

Te wszystkie przeciwności nie złamały energii tego skądinąd tak cichego człowieka. Umiłowanie pracy nad ludem było u R. tak wielkie, że zawsze z tym samym zapałem i poświęceniem jej się oddaje.

Głębokie jednak bruzdy kryzysu, który przeorał całe życie gospodarcze świata, odbijają się chyba najsilniej na interesach pieniężnych. Tłumy jak dawniej oblegają Kasę w G., przechrzczoną na Kasę Spółdzielczą, a potem Kasę Stefczyka, ale są to już tylko tłumy tych, którzy chcą brać pożyczki. Mimo tak zwanych lat koniunktury w rolnictwie między rokiem 1925 i 1928 głód gotówki na wsi jest ogromny, bo nadzieja poprawy bytu przynagla chłopów do inwestycyj. O całe dziesiątki lat niższy poziom życia chłopa w Polsce niż na Zachodzie sprawia, że obecnie wieś stara się gwałtownie nadążyć w pochodzie cywilizacji. Impuls ten oczywiście wymaga nakładów, a że dochody, które przynosi rolnictwo, nie wystarczają, chłopi szukają kredytu.

R. żyjąc zawsze rytmem wsi rozumie doskonale te sprawy i stara się wszelkimi siłami znaleźć wyjście. Nie po to przecież cierpliwie przyuczał chłopów do używania nawozów sztucznych i doprowadził do tego, że niemal każdy gospodarz w zasięgu jego wpływów przyzwyczaił się uważać nawóz sztuczny za konieczny element gospodarczy, nie po to wprowadził u nich pęd do spółdzielczości, aby teraz nie miał w miarę wszelkiej możności starać się zadośćuczynić ich wymogom. Jakoż udaje mu się kilkakrotnie wydobyć z Warszawy większe kredyty dla Kasy i dziesiątki chłopów zostaje zaopatrzonych w tak upragnioną gotówkę.

W lutym 1927 roku R. ulega atakowi paraliżu, który powoduje przejściowy bezwład prawej części ciała. Ciężko chory interesuje się Kasą i leżąc w łóżku każe córkom opracowywać bilans roczny i wszystkie dane do sprawozdań. Zaledwie trochę podleczony ujmuje znowu kierownictwo Kasy w swoje ręce i odtąd staje się ta praca ostatnią, najżywszą, jedyną jego pasją, podczas gdy na przykład administrację folwarku swego zdaje całkowicie na syna i nie wtrąca się do niej zupełnie, jakby go te rzeczy nie obchodziły.

Pracował tak jeszcze trzy lata. W 1930 roku Centralna Kasa Stowa-

rzyszeń Rolniczych uważa za konieczność, aby młode siły objęły ster interesów Kasy w G. i przeprowadza wybór nowego prezesa. Od tej chwili nić, jaka łączyła R. z życiem czynnym, zostaje zerwana. Choroba jego postępuje w szybkim tempie, a zwłaszcza ogarnia go głęboka apatia.

Dziś jest to już człowiek skończony. Milczący i smutny, nierad, gdy go odwiedza ktoś inny oprócz najbliższej rodziny, leży bezwładnie w swym pokoju, oddalony od życia. W około ust zarysowała mu się jakaś bolesna zmarszczka, niemal tragiczna, oczy zawsze cudnie błękitne i czyste, zasłoniły się mgłą obojętności i zniechęcenia do spraw tego świata. Tylko szerokie, piękne czoło pod gęstą, siwą koroną włosów pozostało zawsze takie same, jest zawsze jeszcze na pierwszy rzut oka czołem człowieka o pięknej, wielkiej duszy i czystym sumieniu.

I chociaż nie należał do ludzi, którzy za swe zasługi zostali obsypani zaszczytami, odznaczeniami i chwałą, nie potrzebuje jednak żałować swych trudów i wysiłków, bo wie, że praca, której poświęcił cały swój czas, zdrowie i majątek, nie poszła na marne, lecz stała się mocnym fundamentem, na którym jego następcy, których oby było jak najwięcej, mogą dalej prowadzić jego dzieło.

C. 21 grudnia 1936.

Lp. 4

Ziemianin

z pow. płockiego.

Chociaż urodzony w Płockim, jednak nauki gimnazjalne pobierałem „za granicą“, w b. Galicji w Chyrowie, a studia rolnicze w Krakowie w Uniwersytecie Jagiellońskim. Największym powodem mego wyjazdu do Krakowa była „niebłagonadiożność“ mego ojca, który miał ciągle różne zatargi z Moskalami. To spór z naczelnikiem powiatu na zebraniu gminnym, to jakieś podanie pisane po polsku, to w Boże Ciało ubranie jednego ołtarza kolorem biało-amarantowym, to jakieś nauki czytania we dworze. Słowem ciągle strażnicy, protokóły, kary i t. d... Trudno mi było tę nieprawomyślność ukryć we wstępnej i pierwszej klasie w Warszawie.

Początek mego życia społecznego rozpocząłem na studiach w Krakowie, zapisując się do kilku organizacyj oświatowych, a przede wszystkim do Towarzystwa Szkoły Ludowej. Wówczas nie myślałem jeszcze, że w przyszłości stanę się zamiłowanym społecznikiem w parafii i gminie. Aby stać się społecznikiem potrzeba kilku rzeczy: pewnej umiejętności i przygotowania, daru zdobycia zaufania i posłuchu, a przede wszystkim chęci do pracy. Co do wyznania politycznego, to dla społecznika winno być tylko jedno wskazanie: dobro Polski, a nie żadnej partii politycznej.

Pochodząc z Kongresówki, gdzie srogie rządy sprawował satrapa Hurko i kurator szkolny Apuchtin, wiedziałem z domu, co to jest Polska, lecz nie miałem pojęcia, co to jest polityka, a zwłaszcza wybory i agitacja wyborcza. W Krakowie z osłupieniem patrzyłem na gorączkę wyborczą do sejmu lwowskiego lub do parlamentu wiedeńskiego. Ludzie najbardziej niepowołani wciągali całe społeczeństwo w wir walki partyjnej, szerząc demagogię na prawo i lewo i... kiełbasę wyborczą. Każdy inteligent, robotnik czy dorożkarz na koźle studiowali politykę z odpowiedniej gazety. Kiedy raz znalazłem się na zebraniu wyborczym dorożkarzy o 11-ej w nocy, kiedy usłyszałem i zobaczyłem całą demagogię, na-

brałem ostatecznego wstrętu do takiej roboty politycznej. Oddałem się w wolnych chwilach pracy czysto oświatowej dla ludu. Szereg niedziel spędzałem na odczytach w Krakowie i okolicy. Z czasem nabrałem wprawy w wygłaszaniu popularnych odczytów; uważałem, aby słuchaczy nie znudzić, a jak najwięcej nauczyć. Z pracy tej wyniosłem wiele zadowolenia. Często ludzie starsi, włościanie i robotnicy ze łzami w oczach dziękowali za przyjazd z pogadanką, prosząc o częste odwiedziny.

Początek mego samodzielnego żywota, jako człowieka dorosłego, wypadł w okresie wielkich dla Rosji wypadków, bo w 1904 r. Objąłem samodzielnie posadę w okolicy Raciąża w majątku K., otoczonym dużymi lasami. Powiat sierpecki, z dala od władz centralnych, pozbawiony komunikacji, był mniej kontrolowany przez działaczy rusyfikatorów. Ucisk był jednak i tam wielki. Nie było mowy wówczas o kółkach rolniczych i żadnych innych organizacjach. Szkoły rosyjskie, bardzo nieliczne, nieraz jedna na 20 - 30 wsi. Po polsku uczono się po cichu, prywatnie, czasem we dworach, czasem dzięki cichej, pełnej poświęcenia nauczycielce. W razie wykrycia potajemnej nauki groziła wielka kara.

Ludność wiejska mało uświadomiona narodowo i politycznie utożsamiała słowo Polak i katolik. Serwituty wprowadzały wielką nieufność nie tylko do dworów, ale i włościan do siebie samych. Często chałupa lub stodoła należała do 3 i 4 włościan, stąd powód do swarów, kłótni i donoszenia żandarmom rosyjskim o tajnej szkole lub działaczu społecznym.

Mając doświadczenie oświatowe z czasów krakowskich od razu zobaczyłem dla siebie wielkie pole do działania. Nieuświadomioną i ciemną ludność, której Moskale zamknęli naukę, należało oświecać. Tego zadania podjąć się mogła tylko wiejska inteligencja, jako najlepiej znająca lud wiejski. Pierwszym, najtrudniejszym etapem było skruszenie zadawnionej nieufności i zdobycie zaufania i posłuchu. Droga do tego prowadziła przez dobre współżycie sąsiedzkie dworu z chatą, udzielanie porad gospodarczych, sprawiedliwe obchodzenie się z robotnikami i t. d. Było to zdobywanie sobie pewnej ilości życzliwych jednostek spośród mądrzejszych gospodarzy. Później można już było myśleć o gromadzeniu ich po kilku we wspólnej izbie, bez narażenia się na denuncjację.

Wybuch wojny japońsko-rosyjskiej przyśpieszył i rozszerzył moją pracę. Dotąd praca oświatowa i w mieście i na wsi była bardzo utrudniona. Prowadzono ją i organizowano potajemnie pod protektoratem partii politycznych, które jednak nie zwalczały się w sposób tak demagogiczny jak np. w b. Galicji, przynajmniej odgłos tych walk nie dochodził do nas szarych ludzi na prowincję. Nie wciągał ogółu ludności do nienawistnego wzajemnego zwalczania się. Każdy czyn, skierowany przeciw zaborcy, a dla dobra Polski przedsięwzięty przez jedną partię, był witany z uznaniem i sympatią przez zwolenników drugiej partii.

Na terenie Kongresówki odznaczały się wybitnie tylko dwie partie polityczne. Obie wzięły sobie za cel oświatę wśród ludu, uświadomienie

narodowe i walkę z zaborcą, każda według swego własnego jak najlepszego rozumienia. Były nimi Polska Partia Socjalistyczna i Narodowa Demokracja. Pierwsza działała głównie w miastach i ośrodkach fabrycznych, druga więcej po wsiach i małych miasteczkach. Obie posiadały w kraju duże wpływy i znaczenie. Oprócz nich było jeszcze parę mniejszych o różnych kierunkach, ale bez szerszego wpływu i znaczenia.

Pracę nad ludem prowadziła inteligencja, studenci i młode panny. Szpieg czyhał na każdym kroku. Za lada podejrzenie czekało więzienie, a często zesłanie i katorga. Społeczeństwo wychowane w wiecznym strachu bało się własnego cienia, w każdym podejrzewało zakonspirowanego szpiega lub prowokatora. Żyjąc w ustawicznej trwodze wyrobiło sobie zbyt przesadne pojęcie o wielkości i potędze zarówno Rosji, jak i caratu. Wiara w potęgę Rosji miała upaść po wybuchu wojny japońskiej. Z tym kolosem nawet świat zachodni liczył się bardzo, patrząc na tyle zgniecionych przezeń i przyduszonych ludów, często wyższych kulturą i oświatą. Chełpiono się w Rosji pogardliwie, że armia rosyjska zasypie Japończyków czapkami. Wbrew tym zapowiedziom Rosjanie jednak brali w skórę i na lądzie i na morzu. Powoli autorytet armii carskiej zaczął upadać w opinii kraju i świata. Kiedy jednak klęski wojenne przechodziły już w pogromy, ludy zaczęły szemrać, potem burzyć się, aż w końcu przeszły do rewolucji i barykad...

Królestwo nie dało się wyprzedzić Rosji w buncie przeciw ciemięzcy. W miastach w domach prywatnych urządzano narady i małe wiece, na które często specjalnie jeździłem do Warszawy. Tam zdobywałem wieści i informacje, gdyż będąc zawsze bardzo czynnym, musiałem utrzymywać stały kontakt z innymi społecznikami. W ten sposób czyny nasze i wystąpienia były uzgodnione i mogły ogarnąć szerszą okolicę i cały kraj. Po miastach słychać było o coraz nowych zamieszkach, w końcu o strajkach politycznych.

Zarówno ze strony służby folwarcznej, jak i włościan, często zwracano się do mnie, co słychać w gazetach, jakie są wiadomości z wojny, czy nie ogłaszano listy poległych i t. d. Wielu miało na wojnie swych synów i braci. Skorzystałem z tego zaciekawienia i zaproponowałem, aby w pewnych godzinach świątecznych lub wieczornych schodzili się do mnie na czytanie gazet. Z czasem zaczęli przychodzić i gospodarze z sąsiednich wiosek. Czytałem im gazety, objaśniając wiele faktów obecnych oraz faktów z historii polskiej, którą całą na ich żądanie przeszedłem w krótkich zarysach. Słowem stworzył się z czasem niejako uniwersytet ludowy dla dorosłych, bo były poruszane i inne dziedziny nauki, a zwłaszcza z przyrody.

Władze pod groźbą rewolucji zmniejszyły ucisk. Zakładano masowo ochronki niemal przy każdym dworze, niby to dla maleńkich dzieci, a w rzeczywistości uczono, jak w każdej szkółce, przede wszystkim języka polskiego. Większość starszych ludzi nie umiało czytać, wielu umiało

się podpisać tylko po rosyjsku, a zaledwie mały procent czytał po polsku. Ja osobiście na wspólnych czytaniach i pogadankach wiele sam skorzystałem. Poznałem wielu ludzi i wszedłem z nimi w stały kontakt. Z czasem radzono się mnie w najrozmaitszych wypadkach, przez co zdobywałem sobie dość prędko zaufanie ludności, życzliwość, a nawet wielki posłuch, które z czasem nie tylko nie zmniejszyły się, ale znacznie wzrosły. Teraz mogłem już śmiało występować na wielkich zebraniach gminnych, bo byłem pewny życzliwego poparcia sporej garstki gminiaków, którzy już resztę uczestników potrafili nakłonić na moją stronę. Wkrótce wybrano mnie na pełnomocnika gminnego. Stanowisko to było zaszczytne i odpowiedzialne. Zebrania gminne bywały gorące, bo na każde zjawiali się teraz naczelnicy powiatów w towarzystwie policji chcąc przeprowadzić pożądane przez Moskali uchwały, jak również po to, aby nie dopuścić do jakichś buntowniczych rezolucji. Trzeba było ostro przeciwstawiać się zaborcom, ale do tego była konieczna zwarta pomoc ogółu uczestników, którzy dotąd przychodzili na zebrania potulni i pokornie uchwalali wszystko, czego rząd sobie życzył. Nie mogłem na pierwszym zebraniu wysuwać wszystkich polskich postulatów, nie znając dostatecznie nastroju całej olbrzymiej gromady uczestników. Postanowiłem działać systematycznie i etapami.

Pierwszą próbą było żądanie usunięcia z zebrania policji, znajdującej się bezprawnie. Gdy się ta próba udała, żądaliśmy później i uchwalaliśmy coraz odważniej i coraz więcej. A więc domagano się polskiej szkoły, polskiego sądu i polskiego języka w księgach i protokułach gminy. Rząd rosyjski na razie trochę przycichł, spowolniał, został zaskoczony i bał się zastosować bezwzględnych represyj, gdyż za przykładem jednej gminy szły inne i w ten sposób akcja rozszerzała się coraz dalej i dalej. Władze rosyjskie oszołomione były wypadkami całego kraju. Umysły czynowników nie były przygotowane na tyle niespodzianek. Tam na Dalekim Wschodzie pogrom za pogromem carskiej „niezwyciężonej“ armii. Tu po miastach rozruchy, zamachy na coraz to nowych dygnitarzy i szpiegów, a ta wieś dotąd potulna, ciemna, zgięta do ziemi na widok świecących guzików, teraz podnosi głowę hardo do góry. Nie wiadomo za czyją sprawą nagle wieś nabrała odwagi, rozumu i poczucia wspólnoty, stawiając różne buntownicze żądania. Wojska w garnizonach było mało, bo armia znajdowała się daleko w Azji. Rząd widział się zmuszonym zawrzeć czym prędzej pokój z Japonią i ogłosić konstytucję, aby uspokoić wzburzone umysły. Ogłoszenie konstytucji było w kraju przyjęte z niesłychanym entuzjazmem. Dla tych ludzi „urodzonych w niewoli, okutych w powiciu“ fakt taki był czymś nieznanym i niesłychanym. Rojono sobie jak najlepsze nadzieje, uważając konstytucję za pierwszy etap wolności, autonomii, a z czasem i niepodległości Ojczyzny.

Ulice Warszawy szalały, jak w karnawale weneckim. Na wsiach wiadomość o konstytucji przyjęto nieco inaczej. Inteligencja i ludzie uświa-

domieni narodowo przyjęli ją ze łzami radości. O radosnym uniesieniu wszystkich warstw nie mogło być nawet mowy, gdyż ogół ludności nie rozumiał właściwie, o co chodzi i co to jest ta konstytucja. Zaraz w pierwszą niedzielę zaśpiewaliśmy po sumie w kościele od tylu lat zabronione „Boże coś Polskę". Garstka śpiewała z błyskiem radości w oczach i z patriotycznym uniesieniem. Reszta hurmem wynosiła się z kościoła. To ci ciemni, do których iskra uczucia dla Ojczyzny jeszcze nie doszła, a którzy wszędzie wietrzyli powrót pańszczyzny. Wymykali się czasem i ci lękliwego serca, ostrożni, pragnący zawsze gotowych pieczonych gołąbków. Nie zawsze i organy wtórowały, bo ten i ów organista obawiał się strażnika. Jakaż straszna była jeszcze tchórzliwość, wyhodowana w upadlającej niewoli!

U ludzi czynu zbudziła się reakcja, aby tym usilniej budzić naród z uśpienia, oświecać, uczyć, przekonywać, rozniecać iskrę patriotyzmu w tłumach, zmusić nawet do wsłuchiwania się w rzewne pieśni o Polsce. Na zew pojedyńczych społeczników inteligencja zgodnie stanęła do pracy razem z bardziej oświeconymi gospodarzami. Już następnej niedzieli ta sama garstka w naszym kościele stanęła zwartą masą pod chórem, tamując wyjście z kościoła. Organy zagrały zgodnie i pod sklepienie buchnęła pieśń „Przed Twe Ołtarze zanosim błaganie". Wielu nie umiało tej pieśni, posługiwano się kartkami, lecz usta i płuca aż wznosiły się w wywoływaniu wizji zbliżającej się Polski. Nikt z kościoła nie wyszedł. Kobiety złączyły się z męskim chórem i organami i hymn, wyciągany ich sopranem, szedł daleko poza kościół aż do Tronu Boga.. „Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!" Nie widzieliśmy już w tłumie ani lękliwego zeza, ani złośliwego głupkowatego uśmiechu.

Zaraz też zacząłem organizować po wsiach, po dworach wiece, dysputy na temat znaczenia konstytucji, możliwości, jakie Polskę czekają: może autonomia, a może niezależność w połączeniu z Rosją; mówiono i o niepodległości zupełnej w razie wojny europejskiej. Chłodny czas twardej jesieni lub zimy pozwolił na zbieranie się tylko po domach. Tu zaś schodzili się tylko bardziej oświeceni. Nie przyszedł jeszcze ten największy nieoświecony tłum, a przecież o zdobycie jego dla Polski najbardziej chodziło. Jedyną drogą, jaka nam pozostała, było urządzanie publicznych manifestacji na wolnym powietrzu, urządzanie w niedzielę po nabożeństwach pochodów i t. p. Tłum przez samą ciekawość na widok nieznanych odznak i sztandarów amarantowych z białym orłem szedł również w pochodzie na cmentarz. Tam były odpowiednie przemowy i pieśni. Rozchodzono się nieraz dopiero wieczorem pod wzniosłym wrażeniem. W ten sposób coraz więcej ludzi wciągaliśmy w ogólny nastrój patriotyzmu, budziliśmy chęć wiedzy i poznania ojczystej historii.

Wynikiem podpisania konstytucji było na razie złagodzenie systemu rządzenia, co prawda tylko na krótko. Gazety pisały swobodniej, w kraju uspokoiły się wrzenia przeciw caratowi. Wojska z Dalekiego Wscho-

du poczęły wracać do swych garnizonów. To dodało odwagi satrapom rosyjskim. Rząd pożałował swego ustępstwa — ogłoszenia konstytucji. Jak grom z jasnego nieba spadła na kraj wiadomość o łajdackiej rzezi bezbronnego tłumu na Placu Teatralnym. Zawieszono konstytucję. Nastąpił zwrot w polityce. Zaczęto wiele cofać z tego, co dano. żadnych zgromadzeń, wieców, więcej hamulca na prasę i t. d. Polskę, którą nam z dala próbowano pokazać, teraz zaczęto chować przed nami. żal za utraceniem tej chwilowej zjawy pobudził nas do nowych czynów. W odpowiedzi na zgłoszenie przez Moskali stanu wojennego, postanowiliśmy wciągnąć tym większe tłumy do manifestacji. Przygotowujemy ją na granicy trzech powiatów: sierpeckiego, płońskiego i płockiego w dużej wsi kościelnej Gralewie. Gromadzimy tam ludność z promienia kilkunastu kilometrów, tłumy zalegają nie tylko wieś, ale i pola okoliczne. Samej banderii doskonale uprzednio wyćwiczonej na polankach leśnych przeze mnie i dwóch młodych sąsiadów było z górą 400 koni. Na owe czasy widok imponujący. Przemawia kilkunastu mówców, ludzi wybitnych i znanych w szerokiej okolicy. Uchwalono wiele rezolucji, których główna treść brzmiała: „Chcemy Polski i nie damy się, a tymczasem dalej będziemy walczyć o polską szkołę i język polski w urzędach i sądach".

Tłumy jednozgodnie zebrane dają poczucie jakiejś wielkiej siły, potęgi i wiary w przyszłość i własne poczynania. Pokrzepieni na duchu, z postanowieniem walki z Rosją, wracamy do domów. O walce orężnej, w całym tego słowa znaczeniu, mowy nie ma. Nieprzygotowani i nieuzbrojeni nawet na sposób 63 roku i nie mając dawnych lasów do osłony partyzantki, nie możemy nawet o tym marzyć. Rozpoczęła wprawdzie Organizacja Bojowa P.P.S. swoją działalność, ale mogła ona jedynie tylko częściowo podminowywać Rosję. Z zamachów na pojedyńczych szkodników carskich przeszła na obiekty i instytucje rządowe. Czyny te były imponujące w swej odwadze i świetnej organizacji.

Na wsi rozpoczęliśmy ataki inne, które także podminowywały zaborcę, mianowicie wprowadzaliśmy zamęt i rozstrój w machinę administracyjną. Nie dbając o pogróżki moskiewskie wprowadzamy do urzędów gminnych język polski; jeśli bojaźliwy pisarz nie chce nas słuchać, usuwamy go. W sądach na sprawach występujemy z żądaniem języka polskiego. Sędziowie gminni Polacy, honorowo wybierani, chętnie rzucają język rosyjski. Po całej prowincji w ciągu kilkunastu dni zakładamy liczne koła Macierzy Szkolnej. Powstają szkoły polskie z prywatnych składek, a w Płocku nawet gimnazjum dotąd istniejące i dziś już upaństwowione.

Rząd rozpoczął niebywałe uciski. Wszystkich sędziów osadzono w więzieniach. Naczelnik powiatu zwoływał zebranie gminne w asyście silnej policji i wojska, żądając wycofania uchwał i rezolucji z poprzednich zebrań. Gminiacy, kierowani oświeconymi ludźmi czynu, stoją murem i nie dają się nastraszyć. Koniec każdego zebrania był jednaki: aresztowanie

pełnomocników gminnych i wtrącenie ich do więzienia. Nic to nie pomogło, walka nie ustawała ani na chwilę. Rzucamy hasło zdarcia z kraju nawet zewnętrznej maski rosyjskiej w postaci narzuconych rosyjskich napisów na drogowskazach, sklepach i urzędach. Polska dla obcego cudzoziemca wyglądać mogła na Rosję centralną, bo nigdzie nie było polskich napisów. W ciągu 2 dni nie pozostał ani jeden obcy napis. Na szalę walki, trwającej już szereg tygodni rzucamy wreszcie ostatnie działo: nie płacić dobrowolnie podatków, aby podciąć podwaliny znienawidzonej państwowości rosyjskiej. Odpowiedziano rekwizycjami wojskowymi i ekspedycjami karnymi, dopóki dany właściciel nie zapłacił podatku lub też dopóki mu wszystkiego nie zjedzono lub nie zniszczono. Do Gralewa ściągnęła rota wojska, wieś ta bowiem uchodziła za najbardziej uświadomioną narodowo. Teraz otrzymała chrzest próby patriotycznej, którą wytrzymała z uporem i zawziętością. Wieś ta nie ustąpiła, świecąc przykładem innym, w których ludzie dali się przerazić i ułatwili Moskalom przełamanie frontu. W moim sąsiedztwie, w majątku starego powstańca Wiśniewskiego, stanął szwadron dragonów, a później miała przyjść kolej na mnie. Na drugi dzień rano inny szwadron otoczył moje obejście gospodarskie dla rewizji, która trwała parę godzin. Szukano papierów, broni i t. d., począwszy od stodół, a skończywszy na piwnicach i strychach. W dwa dni później znalazłem się pod konwojem kozaków w drodze do płockiego więzienia. Oba gmachy więzienne były przepełnione. Gdy brakło miejsca, wywożono więźniów do fortecy w Modlinie. Znaleźli się tu wszyscy pełnomocnicy z całej gubernii, wszyscy sędziowie oraz działacze społeczni spośród inteligencji i włościan. Po wsiach i miasteczkach zabrakło kierowników i przewodników wszelkich poczynań społecznych i narodowych.

Kiedy wreszcie Moskale na nowo cały kraj zgnietli żelaznymi kleszczami, a stanem wojennym okuli w nowe kajdany, otwarli ze spokojem więzienia. Okres tych walk z zaborcą wyrobił i zahartował do pracy sporą garść społeczników, a ludność wiejską uświadomił narodowo i przygotował do pracy zespołowej w wysiłkach i dążeniach.

Po opuszczeniu więzienia zacząłem prowadzić spokojną, bardziej systematyczną pracę, aby stworzyć podstawy dla mających powstać organizacyj i placówek społeczno-gospodarczych, o które rozpoczęliśmy zabiegi.

W 1907 r. zamieszkałem w pow. płockim, objąwszy po ojcu majątek G. Znalazło się tu sporo ludzi rozumiejących potrzebę oświaty, których mogłem gromadzić prywatnie. Postanowiłem założyć w G. szkołę prywatną, jako placówkę Macierzy Szkolnej. Fundusze zdobyłem przez różne prywatne imprezy, jak zabawy, loterie i t. p. Kupiłem ławki szkolne, lecz cała sprawa wkrótce upadła wskutek szykan policyjnych. Cała działalność społeczna polegała na razie na tym, że przez szereg miesięcy zbieraliśmy się w niedzielę w prywatnych domach na pogadanki i odczyty

rolnicze. Doszliśmy wszyscy w kraju do przeświadczenia, że jedynym na razie sposobem dojścia do niezależności jest poprawa bytu ekonomicznego, a więc zorganizowanie gospodarcze na wzór Poznańskiego. Zdobycie dobrobytu przez jednostki stworzy dobrobyt kraju, a co za tym idzie, uniezależni z czasem od wpływów rosyjskich.

Ciężkie nastały czasy dla rolnictwa Kongresówki, bo produkty taniały wskutek złej dla nas taryfy kolejowej. Warszawa była zasypana mąką rosyjską t. zw. „krupczatką", a mięso spożywała z wołów stepowych z dala sprowadzanych, a tanio w stepach pasionych. Nasze tanie zboże i żywy inwentarz dusiły się w kraju lub wskutek złego cła za bezcen były wywożone z kraju. Nawozy sztuczne i melioracje bardzo drogo kosztowały, co przy złej i odległej komunikacji uniemożliwiało wszelki postęp w rolnictwie. Drogi i trudny był również kredyt krótkoterminowy. Powstawało wówczas w kraju pierwsze zaranie spółdzielczości w postaci banków pod nazwą „Wzajemny Kredyt". Pierwsza taka instytucja w kraju powstała w Płocku z inicjatywy Zdziarskiego. Uruchomienie tego banku wpłynęło na ożywienie życia gospodarczego powiatu. Potem powstała w Drobinie duża spółkowa mleczarnia parowa założona przez okolicznych ziemian. Z mojej inicjatywy założona została spółkowa parowa mleczarnia we wsi G. Te praktyczne czyny podnosiły dochody okolicznych rolników, zachęcały drobnych gospodarzy do spółdzielczości i do gromadzenia się wokół ludzi inteligentnych.

Ponieważ w tym czasie nastąpiło pewne odprężenie polityczne i rządy rosyjskie nieco złagodniały, pozwolono na założenie Towarzystwa Rolniczego, które w 1863 r. zostało zamknięte, a które miało za sobą tak chlubną kartę w naszej historii. Na razie pozwolono zakładać tylko gubernialne Tow. Rolnicze. W Płocku założył je Chełchowski, wybitny rolnik i obywatel z Ciechanowskiego. Jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać w poszczególnych parafiach pierwsze kółka rolnicze, jako niższe komórki Gub. Tow. Rolniczego. Nie chciałem być ostatnim i 1 grudnia 1908 r. założyłem w G. kółko rolnicze, którego zostałem prezesem i przez 27 lat aż dotąd jestem nim bez przerwy; jestem więc najstarszym prezesem kółka w naszym powiecie. Na początku zapisało się do kółka 27 członków. Wielu z nich było niepiśmiennych, o wiedzy rolniczej nie mieli żadnego wyobrażenia, a o postępie rolniczym wiedzieli jedynie tylko z przyglądania się i wzorowania na gospodarstwach folwarcznych. To też pierwszym zadaniem kółek była oświata rolnicza. Do tego celu służyły referaty prezesa i pierwszego instruktora, którym był wówczas znany Wojtulanis. Już w 1909 r. zacząłem urządzać zebrania w gospodarstwach poszczególnych członków, gdzie praktycznie zaznajamiali się z wadami i zaletami swego gospodarstwa. Zimą zebrania odbywały się w pierwszą niedzielę miesiąca zaraz po nabożeństwie w wolnej izbie folwarcznej. Wkrótce też założyliśmy małą bibliotekę i czytelnię o treści przeważnie rolniczej. Zbierało się zwykle około 40 osób.

Ponieważ w okolicy wybuchło kilka pożarów, a gospodarze nie byli ubezpieczeni od ognia, na co ich zawsze trudno namówić, więc założyliśmy przy kółku samopomoc ogniową, aby przyszłych pogorzelców ratować od ostatniej nędzy, dając im zasiłki w paszy, słomie, furmankach pod budulec i t. p. Opracowałem w tym celu obszerny i dokładny statut. Słabą stroną, jak zawsze, była sprawa nieopłacania składek, chociaż były one minimalne. Na zebraniach bywało dużo gości, a mało rzeczywistych członków z opłaconymi składkami. To ogromnie utrudniało działalność prezesa. Druga trudność polegała na braku chętnych ludzi do prac w zarządzie kółka. Prezes musiał wygłaszać referaty, organizować zebrania, dawać pomysły różnych poczynań i przeprowadzać je osobiście. Pomimo, że po każdym zebraniu odbywały się dyskusje i ścieranie zdań i zapatrywań, we wszystkim jednak oglądano się na prezesa. Jeśli on zachorował lub nie mógł być na zebraniu, to nie dochodziło ono do skutku, bo nie miał go kto prowadzić lub nie miał dość powagi. Trzeba więc było powoli wyrabiać sobie pomocników spośród chętniejszych członków. Na to jednak trzeba było paru lat pracy w czasach, gdy nie było szkół rolniczych i mało szkół powszechnych. Poza tym każdy członek kółka uważał, że płacąc składki powinien za to mieć coś realnego. Kształcenia swego umysłu nie uważał za realny dochód z należenia do kółka. Przywożenie o 4 mile instruktora odbywało się na koszt prezesa, bo tylko on musiał dawać konie tam i z powrotem do Płocka. Czasem na prośbę prezesa dał konie który z sąsiadów ziemian. Członkom kółka nie przychodziło to na myśl. Wydawać by się mogło, że nie schodzą się na zebrania dla własnej korzyści, lecz aby zrobić przyjemność prezesowi.

Oprócz zebrań i lustracji, urządzanych u członków kółka, były robione doświadczenia z nawozami sztucznymi u prezesa i wyjazdy do innych sąsiednich kółek lub do folwarków lepiej zagospodarowanych. Członkowie z chęcią oglądali doświadczenia z nawozami lub zwiedzali pola drenowane, ale żaden z nich wówczas nie dałby się namówić, aby u siebie spróbować nawozów. Uważali, że to wszystko nie daje im realnych korzyści. Dopiero kiedy Tow. Rolnicze urządziło dla członków kółek wycieczkę na wystawę w Częstochowie za niską cenę, zapisało się od razu kilkudziesięciu nowych członków, opłaciwszy z góry roczne składki. Ten wyjazd do Częstochowy, to „pierwsza realna“ korzyść dla członków, a i dla kółka, gdyż zdobyło ono od razu większą gotówkę. To też wkrótce można było powiększyć bibliotekę przez kupno nowych książek o treści powieściowej i historycznej. Kupiliśmy również dla kółka niektóre narzędzia, jak 2 grabi konnych, 2 sprężynówki i t. p. Były to narzędzia dotąd bardzo mało używane przez gospodarzy, bo za drogie wówczas na pojedyńczego drobnego rolnika, ale gdy kółko je posiadło, każdy za parę groszy mógł je wynajmować. Trudność polegała na dozorowaniu ich i rozporządzaniu nimi. Ostatecznie musiał się tym zająć sekretarz kółka, organista, który jako bezrolny miał więcej czasu i mógł tego dopilnować. Se-

kretarz w kółku, to nerw i sprężyna działalności. W ciągu długich lat mego prezesowania często zdarzało mi się narzekać na brak odpowiedniego sekretarza. Działalność kółka często więcej zależy od sekretarza niż od prezesa.

Do czasu odzyskania Niepodległości na barkach kółek rolniczych leżała nie tylko oświata rolnicza, ale i wychowanie moralne i narodowe. Tam też pierwsi rozpoczęliśmy wychowywać obywatela dla przyszłego Państwa Polskiego. W kółkach rolniczych powstawały opinie i poglądy na sprawy ogólnokrajowe. Niemal na każdym zebraniu był omawiany, oprócz spraw zawodowych, stosunek naszej Ojczyzny do rządów zaborczych. Trzeba to było robić bardzo ostrożnie, aby treść zebrań nie dochodziła do wiadomości policji, bo oprócz więzienia, groziło to zamknięciem kółek, a organizacje te stawały się dla nas coraz droższe, jako jedyne polskie instytucje na wsi.

Z chwilą wybuchu wojny europejskiej działalność w kółkach rolniczych chwilowo ustała. Wieś nasza, położona przy głównej szosie na rozdrożu kilku traktów, zaraz na początku wojny była narażona na liczne przemarsze wojsk obu stron i częste potyczki. Po zniszczeniu biblioteki przyszła kolej na narzędzia rolnicze spółkowe. Każdy był zmuszony pilnować swego domu i opędzać się żołdactwu. Kiedy burza wojenna przeszła przez Kongresówkę, znaleźliśmy się w zniszczonych i spalonych gospodarstwach. Cywilne władze niemieckie, zajęte sprawami wojennymi i gospodarczymi, nie dbały o szkolnictwo na wsi. Dzięki ofiarnemu nauczycielstwu, na gruzach szkół rosyjskich powstawały szkoły powszechne polskie. Było ich jednak o wiele za mało i musiała tu dojść do głosu instytucja prywatna. Założyliśmy z żoną szkółkę we dworze, sprowadziwszy nauczycielkę, gdzie razem z naszymi dziećmi uczyły się dzieci służby folwarcznej i najbliższych włościan w liczbie 30. Żona moja potrafiła to zorganizować bardzo składnie. Miała dużo doświadczenia z 1905 r., gdy brała czynny udział w tajnej oświacie w Warszawie na Powiślu; jako 17-letnia panna, uczyła w tajnej szkole kilkadziesiąt dzieci robotniczych, pomimo wielkich przeszkód i codziennej obawy aresztowania.

W sierpniu 1916 r. zwołałem zebranie kółka rolniczego po raz pierwszy od wybuchu wojny. Ludzie wskutek przejść wojennych nieco ostygli, stali się egoistami, zapatrzonymi tylko w siebie, poza swoim nosem nic więcej nie widzącymi. Zainteresowanie kółkiem upadło, tym więcej, że nie było już nawet biblioteki ani narzędzi. Aby ludzi na nowo rozbudzić i zainteresować, wystarałem się u władz niemieckich o przydział tygodniowy cukru kartkowego dla okolicy. Cukru tego na wszystkie kartki dla całej ludności nie mogło starczyć. Zrobiłem wyjątek dla członków kółka którzy mieli otrzymywać cukier na wszystkie posiadane kartki. Skutek był natychmiastowy: członków znacznie przybyło. Na następnym licznym zebraniu kółka rolniczego postanowiliśmy z naszego funduszu za-

łożyć szkółkę powszechną w sąsiedniej wiosce, która to szkoła doczekała się upaństwowienia polskiego, lecz została później przeniesiona do Kr.

Posiedzenia kółka rolniczego były wypełnione urządzaniem różnych samopomocy sąsiedzkich. Tyczyło się to zwłaszcza organizowania zwózki materiałów budowlanych, ponieważ lasy i cegielnia znajdowały się w dużej odległości.

Wobec upadku warsztatów rolnych trudno było myśleć o wprowadzeniu postępów gospodarskich. Należało odbudowywać to, co było dawniej przed wojną. Przed kółkiem rolniczym, jako jedyną instytucją, stanęły zupełnie inne zadania do spełnienia, a mianowicie ogólno-społeczne, a nawet polityczne i obrony narodowej. Te zadania spełniały kółka do roku 1921.

Wobec nędzy, jaka zapanowała w miastach w r. 1916, ludność zaczęła emigrować na wieś. I tu jednak panowała bieda nie na żarty, szczególniej wśród emigrantów i wyrobników. Za przykładem miast tworzyliśmy rady opiekuńcze, naznaczając opiekunów wioskowych. Siłą rzeczy zarząd kółka rolniczego był również zarządem rady opiekuńczej. Równocześnie założyłem w G. pocztę o charakterze pół prywatnym, opartą na składkach kilkunastu jednostek. Poczty tu nigdy nie było, ale wielka odległość od miasta zmuszała do założenia jej. Jakoż po odzyskaniu niepodległości i ona przeszła na rzecz państwa.

Ponieważ na zebraniu Kółka Rolniczego wyłoniła się sprawa młodzieży, której było dużo, a którą należało ująć w karby jakiejś organizacji, aby nie marnować jej sił i energii, a także wychować na przyszłych obywateli Państwa Polskiego, postanowiliśmy założyć ochotniczą straż ogniową. Była to instytucja legalna dla okupantów. Pod osłoną prawa 40 strażaków odbywało regularne musztry i ćwiczenia wojskowe, aby zasilić kadry przyszłej armii polskiej. I znów zarząd kółka stał się zarządem straży ogniowej, a ja stałem się już potrójnym prezesem. I to jest wielki błąd. Wynika on z tego, że brak jest chętnych ludzi do pracy. Społeczeństwo jest często bierne i wygodne. Skoro w gminie lub parafii znajdzie się jedna osoba chętna i zrobi coś dobrego i udanego, wówczas przy organizowaniu czegoś nowego nikt nie chce być czynnym. Wszyscy oglądają się na „prezesa", niech on robi, bo on potrafi. Potrafiłby każdy, lepiej, czy gorzej, byle tylko chciał. Jest to w Polsce po wsiach nagminna choroba. Dają z ochotą temu jednemu coraz to nowy zaszczyt i tytuł prezesa, aby samym nie robić. Ten jeden znów, na którego wszyscy wszystko zwalają, robi źle, przyjmując coraz nowe obowiązki na siebie. W rezultacie biega taki prezes i tu i tam, tu zapali nową instytucję do życia, tam zagasi jakieś rozdźwięki i t. d. Skutek jest taki, że w kilku instytucjach naraz nie może zrobić tyle, co mógłby zrobić w jednej. Zaniedba swoje sprawy osobiste, nie zdąży wykorzystać dobrej koniunktury, aby się dorobić, a następnie po nadejściu kryzysu stanie przygarbiony, pa-

trząc z żalem na tych wygodnych, co go pchali na godność i obowiązki i lekko kryzys wytrzymują. Taki właśnie błąd i ja popełniłem.

W kraju szalała rekwizycja niemiecka. Zabierano zboże i resztki bydła i świń. Rosjanie w 1915 r. uprowadzili z sobą z naszej okolicy $^3/_4$ bydła. Zdawało się, że za parę miesięcy Niemcy wybiorą resztę. Nikt nie chciał już chować żadnego przychówku, bo i młode jałówki Niemcy zabierali wprost z paśnika. W drodze porozumienia z Niemcami w Płocku, postanowiono dostarczać im dobrowolnie za niską opłatą pewną ilość żywca tygodniowo, aby nie robili dzikich rekwizycji. Sprawa się udała. Nasze kółko rolnicze zatwierdziło ten projekt, a na moje barki przypadł trudny i przykry obowiązek robienia rozkładu na pojedyńczych gospodarzy. Dostarczaliśmy stosunkowo niewielką ilość bydła i świń, lecz każdy mógł śmiało chować tyle, ile mu się podobało. Po dwóch latach okolica doszła do ilości bydła i świń niemal przedwojennego.

W r. 1918 został założony z inicjatywy kółka sklep spółdzielczy, lecz niestety! po roku istnienia upadł. Przejął go na siebie jeden z gospodarzy, lecz i on nie mógł sobie z nim poradzić. Nie mieliśmy wśród siebie nikogo z umiejętnością i sprytem handlowym.

Z chwilą rozbrojenia okupantów cała nasza straż ogniowa weszła jako ochotnicy w skład armii polskiej. W krótkim czasie naszych czterech b. strażaków zginęło za Ojczyznę, gdzieś na Kresach. Nowotworzona armia polska bez koszul i butów, idąca w dalekie marsze i boje zmuszała społeczeństwo do doraźnej pomocy, gdyż skarb nasz był pusty. Za przykładem miast i z inicjatywy kółka rolniczego zawiązał się i u nas Związek Obrony Ojczyzny.

Z powodu braku zdrowia, po operacji brzucha, nie mogłem w 1920 r. wstąpić do Armii Ochotniczej, to też gorliwie zająłem się zbiórką bielizny i żywności dla żołnierzy.

Jak huragan nawiedził najazd bolszewicki naszą okolicę. Na 2 godziny przed nimi zdążyłem wyjechać, gdyż rozstrzeliwali wszystkich, choćby podejrzanych o jakąś pracę społeczną. Na polach miejscowych zawrzała mordercza dwudniowa walka. Trzy pułki naszej spieszonej kawalerii zajęły pozycję w tymczasowych okopach. Kuchni polowych nie było wcale, żołnierze walczyli zgłodniali i znużeni. Ludność okolicznych wiosek samorzutnie śpieszy z posiłkiem na polskie pozycje. Różnymi drogami zdążają niby na odpust mężczyźni i kobiety i pod gradem kul niosą naszym żołnierzom koszyki z chlebem, serem, jajami i dzbanki mleka. Nikt im tego nie nakazał. Społeczeństwo wyrobione już było na ofiarnych obywateli. Widząc taki czyn zbiorowy, każdy społecznik może odczuć zadowolenie, że lata jego pracy wydały owoce.

Po odejściu bolszewików znowu lata odbudowy kraju i gospodarstw rolnych. Klęskowe mokre lata przyczyniły się do podjęcia prac melioracyjnych. Z inicjatywy naszego kółka powstały aż dwie duże spółki wod-

ne. Zmeliorowano większość gospodarstw w okolicy. Intensywnie wzięto się do stosowania nawozów sztucznych, robiąc liczne doświadczenia. Dziś każdy kółkowicz orientuje się w stosowaniu nawozów. Taki, który jest starym członkiem, ma już tyle wiadomości, jakby skończył szkółkę rolniczą. Kilka razy odbywały się kursy ze wszystkich działów rolnictwa, przyjeżdżali różni instruktorzy, a jeśli który z członków jeszcze czegoś nie wie, poradzi się na zebraniu kółka. Dla poprawienia budżetu Polski żądano od rolnictwa wyprodukowania 1 q żyta z morgi więcej. Rolnictwo polskie wyprodukowało tu o wiele więcej, dzięki kółkom rolniczym i inicjatywie ich kierowników.

Z chwilą powołania do życia Państwa Polskiego, każdy dobrze myślący obywatel uważał za swój obowiązek brać udział, wedle swych sił i zdolności, w budowie i organizowaniu państwa. Najmniejszą komórką państwa jest gmina wiejska. Będąc przez wiele lat pełnomocnikiem gminnym, miałem pojęcie o zarządzie gminnym. Ustawy samorządu gminnego były przestarzałe i daleko im było do doskonałości. Jeszcze za okupacji niemieckiej grono działaczy społecznych naradzało się nad poprawą tego samorządu, a w roku 1918 postanowiło wprowadzić do poszczególnych gmin rady gminne. Dotąd zarządzał gminą tylko wójt. Najczęściej był to człowiek umiejący licho pisać. Na tej posadzie bardzo mu zależało, bo otrzymywana pensja podnosiła znakomicie jego dobrobyt. Drżał zawsze na myśl o nowych wyborach, a chcąc sobie zapewnić powodzenie starał się być łagodnym dla wszystkich, zwłaszcza dla tych, o których wiedział, że głos ich zaważy przy wyborach. Działy się nieraz bezprawia i nadużycia. W rezultacie gminą rządził pisarz. Pełnomocnik gminny był kontrolerem ksiąg i rachunków, a najwięcej doradcą prawnym, którego wójt mógł nie słuchać. Ogólne zebranie gminne, złożone ze wszystkich posiadaczy rolnych, a więc bardzo liczne, odbywało się zwykle na placu przed kancelarią. Nie mogła ona stanowić o zarządzie gminy. Równocześnie z innymi i ja zorganizowałem w swojej gminie radę i sam do niej zostałem wybrany. Wkrótce wszedłem do sejmiku powiatowego, gdzie pozostawałem do końca 1926 r. Te osiem lat pracy samorządowej zużyły bardzo dużo moich sił i energii, trzeba było bowiem organizować wszystko od podstaw. Powstawało wtedy szkolnictwo powszechne, szkoły rolnicze męska i żeńska, szpitalnictwo i bezrobocie. Powiat nie miał kolei żelaznej, nie miał nawet dostatecznej ilości dróg bitych, choć był bardzo rozległy. Stwarzano liczne pomoce lekarskie i weterynaryjne. Porządkowano i kontrolowano organizacje jarmarków, targów i t. p.

Przez szereg lat praca szła bardzo intensywnie. Powiat płocki odznaczył się w tych latach budową licznych szos, szkół rolniczych i utworzeniem ogniska kultury rolnej na folwarku Opatowiec w naszej gminie. Z czasem twórczą pracę samorządową i gospodarczą zaczęła mącić polityka, która w tej dziedzinie nic nie miała do powiedzenia. Walka par-

tyjna, która zawsze budziła we mnie wstręt i tu zaczęła się szerzyć. To skłoniło mnie do wycofania się z prac samorządowych, choć zajmowałem się nimi dłużej niż kółkiem rolniczym, bo już od 1905 roku.

Pozostało mi, jako placówka pracy społecznej, kółko rolnicze. W tym czasie zaczęły powstawać w kraju stowarzyszenia młodzieży polskiej. Łącznie z żoną przystąpiliśmy energicznie do zakładania tych organizacyj. Jako widomy pomnik kilkuletniej pracy, powstał w G. dom ludowy wraz z salą teatralną. Niestety, nadchodzące ciężkie lata nie pozwoliły go wewnątrz wykończyć tak, jak zamierzaliśmy.

Przyszedł kryzys. Rolnictwo załamało się. Obliczenia kosztów melioracyjnych zdawały się być dobre. Dziś obciążenia te okazały się straszne — przekraczają one wartość ziemi łącznie z drenami. Nawozy sztuczne działają przy dobrym zastosowaniu, ale są za drogie. Załamanie nastąpiło i w umysłach rolników i w ich instytucjach, a przede wszystkim w działalności kółek rolniczych. Członkowie kółek mogą odczuwać pewną utajoną niechęć do swych prezesów, że namawiali ich na postęp rolniczy, który obecnie powiększył ich straty. Wielu ludzi jest w przededniu ruiny, odczuwa się zniechęcenie do własnych gospodarstw. Najprostsze rachuby zawodzą. Osłabła liczebność na zebraniach. I znów słyszy się zdania, czy kółko da mi potrzebne pieniądze?

O wspólnym sprowadzaniu nasion i nawozów nie ma już mowy. Mnie samego ogarnia zniechęcenie. Nie pora myśleć o drugich, gdy trzeba siebie samego ratować. A przecież tak dobrze i radośnie jest patrzeć na owoce długoletniej pracy społecznej. Tylu jest już ludzi wyrobionych; dziś i ludzie i gospodarstwa stoją o całe niebo wyżej niż przed 30 laty.

A jednak poczynania społeczne właśnie w ciężkich czasach mają największą rację bytu. Kiedy jest ciężko, należy się gromadzić, aby wspólnym wysiłkiem zdobyć lepsze jutro. Teoretycznie dobrze to rozumiem, a praktycznie nie mam sił ani spokojnych nerwów, aby znów innych budzić do czynów. Albo więc obecnie jest gorzej gospodarczo w całym świecie niż było w najgorszych czasach naszego życia, albo siły i nerwy są już zbyt stargane osobistymi troskami. Prawdopodobnie jedno i drugie. Pierwszemu zaradzić może jedynie jakieś zdecydowane, męskie, a nie połowiczne poczynanie Rządu w kierunku uzdrowienia rolnictwa. Co do drugiego, to pewnie potrzeba nam nowych energii i sił. Starsi działacze niech zejdą z pola, a ich miejsce zajmą młodzi. Lepsze jutro może przynieść tylko wielka energia i świeże siły młodych ludzi. My przygotowaliśmy im teren, organizację i wyrobionych pomocników, a oni niech mierzą siły na zamiary!

A więc do czynu, młodzieży polska!

G. 9 stycznia 1936.

Lp. 5

Była ziemianka
z pod Warszawy.

Na zbiegu dwóch epok.

„Bom wszędzie cząstkę mej duszy zostawił".

J. Słowacki

Od lat wielu mieszkam na wsi, żyję wśród ludu i razem z tym ludem pracuję, ale nie wiem, do jakiej kategorii kandydatów w konkursie mam się zaliczyć. Czy należę do liczby wieśniaków z pracy rąk żyjących, czy może do rzędu społecznych działaczy? W moim życiu praca gospodarcza wiąże się tak ściśle z działalnością społeczną, że ani rozdzielić jej nie mogę, ani ocenić, która przeważa.

Kto mój życiorys przeczyta, ten zrozumie dlaczego te wątpliwości się nasuwają. Moje życie i moją działalność przepełniało wielkie zamiłowanie do uczenia innych tego, co zdobyłam ciężkim trudem jako samouk, ale na to, żeby naprawdę zyskać wewnętrzne poczucie, że coś umiem. Nie mogłam poprzestać na umysłowym wysiłku, ale musiałam każdą nabytą wiadomość pracą własną doświadczyć, sprawdzić i w życie wcielać. Rozumiałam, że dopiero z chwilą, gdy utrwali się we mnie przekonanie, że opanowałam taki lub inny tajnik przyrody w zakresie uprawy albo hodowli zwierząt, kiedy wielokrotnie powtarzana czynność dała mi pożądany wynik, dopiero wtedy zyskuję prawo dzielenia się plonami moich studiów i mojej żywej pracy i te plony mam prawo innym dawać.

Stoję więc na pograniczu między stanowiskiem wieśniaczki, która co dzień święty ogień pod kominem rozpala i ciasto wyrabia, drób i świnie karmi i pielęgnuje, a z ziemi przez się uprawianej plony czerpie, a bytem tej, która tą samą ręką książki pisze, a na kursach i zjazdach swych doświadczeń uczy.

Po tym wyjaśnieniu nie powinno już być nieporozumień między nami. Zacznę więc opis mego życia.

W rodzinnym domu.

Należę do tego pokolenia, które przyszło na świat wkrótce po powstaniu i odziedziczyło po rodzicach egzaltację patriotycznego porywu i całą gorycz zawodu, jaki przyniósł poroniony wysiłek.

Moje pokolenie miało we krwi gorące miłowanie Ojczyzny i podrastając rozwijało się z wewnętrznym przekonaniem, że chcąc stracone odzyskać, należy pracować nad uświadomieniem narodowym i oświatą najszerszych mas ludowych. Należy realnym wysiłkiem przygotowywać podwalinę, na której wolny, dzięki własnemu uświadomieniu, lud będzie budował zrąb państwa. Nazywało się to wtedy pozytywizmem, ale naprawdę był to bodaj czystej wody romantyzm.

Ród, z którego pochodzę, liczny i silny, szeroko na Białej Rusi od wieków rozsiadły, miał niemało szlacheckich dóbr opartych o czynszowe zaścianki. Drobna szlachta żyła w nich niemal chłopskim bytowaniem, różniąc się od włościan białoruskich tylko językiem i ambitnym nastrojem, a szlachecki honor nadawał stosunkom między dworem i zaściankiem charakter patriarchalnej równości.

Ojciec, ceniony okulista, umiał z równie drobiazgową wnikliwością leczyć pejsatego żyda i magnata o książęcej mitrze, umiał pozyskać szacunek i uwielbienie swych pacjentów, a my dzieci, widząc codziennie tłumy w poczekalni, przedpokoju, a nawet w bramie domu, wzrastaliśmy w przedziwnej atmosferze oddania dla cierpiącego ludu.

Matka, starannie kształcona zagranicą, dbała o to, abyśmy tak jak ona biegle znali języki, muzykę i rysunek. Dzięki temu, mówiłam i pisałam z równą łatwością po francusku, niemiecku i angielsku. Dzięki częstym podróżom douczyłam się jeszcze włoskiego i czeskiego, a rosyjskiego uczyłam się z musu i z nienawiścią. Muzyką zajmowałam się z upodobaniem, a dobra znajomość rysunku i odziedziczona po matce zręczność hafciarska pozwoliła mi z biegiem lat coraz głębiej cenić i rozumieć przepiękne hafty naszego ludu i wypowiadać się igłą na płótnie. Jak twierdził jeden z moich przyjaciół, igłą zaszywałam moje troski i doprawdy była ona nieraz moją pocieszycielką.

Brat mój, jeden z twórców polskiej partii socjalistycznej, już jako uczeń IV klasy rosyjskiego gimnazjum, pochłonięty był sprawą socjalną i za swą działalność propagandową został wydalony ze szkoły. Kara ta, dzięki staraniom matki zamieniona na przeniesienie do Słucka, spowodowała jeszcze ściślejsze zespolenie z postępową młodzieżą. Wkrótce już na dobre wydalony wyjechał zagranicę i tam współpracował z Marszałkiem Piłsudskim, prezydentem Mościckim i innymi działaczami, znany w partii pod nazwą Jowisza.

Mieszkaliśmy wtedy w Warszawie. Ku mojemu zmartwieniu uczyłam się w domu do 13 roku życia. Samotne lekcje z nauczycielkami męczy-

ły mnie i nudziły, pragnęłam gorąco dostać się na pensję. Po długiej walce przezwyciężyłam na koniec niechęć matki do szkolnej nauki dla dziewczynek i wstąpiłam do IV klasy pensji śp. Jadwigi Sikorskiej, gdzie pierwszorzędny zespół nauczycielski otworzył przede mną nowe światy i rozwinął wielkie zamiłowanie do matematyki i przyrody.

Lata przeżyte na pensji zaliczam do najszczęśliwszych w moim życiu. Szacunek i uwielbienie dla profesorów, choć połączone niekiedy z łobuzerskimi figlami, przemiłe stosunki z koleżankami, dla których moja znajomość języków była nieraz deską zbawienia, nauka przyjmowana z rzetelnym przejęciem, ale i z krytycyzmem w stosunku do wykładów, wytwarzały atmosferę niezmiernie dla mnie pociągającą. Szczególnie zachwycały mnie wykłady historii polskiej prof. Smoleńskiego. Pogłębiały one nasze zrozumienie dziejów, a konieczność ukrywania przed rewizją wizytatorów tych dziewcząt, co jak ja nie uczyły się rosyjskiego, rozwijały ducha protestu i pragnienie wolności odziedziczone po rodzicach-powstańcach.

Dziś, po wielu latach, zdaję sobie doskonale sprawę z tego, jak wielki wpływ wywarła na mnie atmosfera szkoły. Dziś rozumiem, ile zawdzięczam tym, którzy mi dali podstawy naukowe tak mocne, że dotychczas pamiętam wiele drobnych szczegółów szkolnej nauki. Dziś mogę ocenić przenikliwe wyczucie naszych indywidualnych uzdolnień prof. Ignacego Boczylińskiego, który mnie, dość niesfornej uczennicy IV-ej klasy, kazał wygłosić „mowę“ i po skończeniu jej powiedział tylko „no, no...“, co ja przyjęłam za wielką naganę, a co było w rzeczywistości przeczuciem mej przyszłej działalności.

Poznaję wieś.

Promocję do klasy V-ej dostałam z nagrodą. Była to dla mnie niespodzianka, bo dobrze w domu przygotowana, nie odznaczałam się budującą pracowitością.

Tego roku pojechaliśmy na wakacje do majątku mego ojca położonego na Białej Rusi i odebranego przez ojca z rujnującej dzierżawy. Nie był to pierwszy mój wyjazd na wieś, ale jakże innym był ten od poprzednich. Przez wiele lat jeździłam na wakacje na przemian do jednego ze stryjów. Stare ich siedziby znajdowały się nad Niemnem, dotykały hałych błot, obejmowały swym zasięgiem powiaty: słucki, ihumeński, baranowicki, nowogródzki aż po miński i borysowski. Kilka dni i nocy można było jechać rozstawnymi końmi, a zawsze popas czy nocleg trafiał na rodzinne majątki. Nam młodym było tam rozkosznie, ale to było jednak co innego. Tamto było nasze — ale nie swoje własne...

Kiedy w chwilę po przyjeździe znalazłam się w starym sadzie okolonym czterema ciemnymi alejami z lip, grabów i leszczyny, wydało mi się, że nigdzie na świecie nie może być tak pięknie, dobrze, swojo.

Jadąc miałam plany bardzo dokładnie przemyślane i nazajutrz po przyjeździe zabrałam się do ich urzeczywistnienia. Chwile te pamiętam tak dobrze, jakby to było wczoraj. Jest to zapewne dowód, jak silny nakaz wewnętrzny mną kierował, choć to, co robiłam, było jeszcze takie dziecinne.

O świcie, zaopatrzywszy się przezornie w stołeczek, powędrowałam do obory. Warszawianka — pensjonarka, która dotychczas bywała na wsi jako gość, była zdecydowana nauczyć się gospodarstwa, a pierwszym krokiem, niemal symbolem tej nauki, miało być dojenie krów.

Prędko miałam się przekonać, że to nie jest takie łatwe, jak się wydaje, gdy patrzę na białe strugi płynące z pod ciemnych, szybkich palców dójek. Z żalem i wstydem musiałam stwierdzić, że moich sił na to nie starczy, ale do końca pobytu na wsi omdlałymi palcami usiłowałam wydobyć mleko z wymienia, studiowałam biegłe ruchy dojących, a nie mogąc sprostać zadaniu, przynajmniej cedziłam mleko, mierząc je od każdej krowy, zawiedziona, że przeciętna z udoju nie wynosi dwóch garncy dziennie od krowy, jak to w jakiejś książce o dobrej krowie wyczytałam.

Po dojeniu obeszłam czworaki z mieszkaniami służby, zaszłam i do kowala, zawarłam znajomość z dziewczętami od lat 9 do 14 i zapowiedziałam, że mają się stawić po południu w alei lipowej.

Pod wspaniałym gotyckim stropem łączących się konarów, w perspektywie olbrzymiej lipy nazwanej prababką, stanął długi stół pożyczony z piekarni, otoczyły go ławki i zasiadło na nich 11 dziewczynek odświętnie przybranych i bardzo zażenowanych przed „panienką ze dwora". Choć wszystkie rozumiały po polsku i niektóre wcale nieźle mówiły, pierwszy mój występ w nauczaniu ludu nie był łatwy. Nauka zaczerpnięta na pensji wydała mi się dziwnie sztywną i rogatą, dziwnie sztuczną i niezrozumiałą, gdy miałam dzielić się nią z tymi białoruskimi dziewczętami.

Ale może przez szacunek dla dworu, może z obawy przed rodzicami, uczennice moje przychodziły dość systematycznie, a gromadka nawet się powiększyła, gdyż przybyły córki rzemieślników i mieszczan z miasteczka, tych wielokrotnie prześladowanych i katowanych bohaterów przywiązania do polskości i katolicyzmu. Miasteczko różniło się od okolicznych wsi nie tyle rozmiarem i zamożnością, ile mową polską i wyznaniem katolickim. Mieszczanie noszący piękne nazwiska szlacheckie np. Mickiewiczów, zachowali resztki szlacheckiej kultury i lubili uzewnętrzniać je dając córkom romantyczne imiona: Serafina, Ewelina albo Malwina.

Dziewczynki były czyste, zdolne i miłe i wkrótce nauczanie zaczęło mi przychodzić z większą łatwością. Zżyłam się z nimi, a gdy w parę lat potem wyszłam za mąż, parę moich uczennic towarzyszyło mi na nowe gospodarstwo.

Tworzę własne gniazdo.

życie na wsi było mi sądzone, choć nigdy nie nauczyłam się dobrze krów doić i nigdy do hodowli tych zwierząt nie mogłam w sobie wyrobić zamiłowania, za to inne działy gospodarstwa wkrótce mnie pociągnęły i do dzisiaj budzą we mnie nie słabnący pociąg.

Zaledwie ukończyłam pensję i zaczęłam się przygotowywać do wymarzonych studiów przyrodniczych w Krakowie, kiedy wszystko się zmieniło. W siedemnastym roku życia wyszłam za mąż za ziemianina i to nie na Białej Rusi, ale pod Warszawą. Małżeństwo nasze było oparte na głębokim przywiązaniu, to też przeżyliśmy z sobą przeszło 50 lat w harmonii i przyjaźni, znosząc pogodnie dobrą i złą dolę.

Mająteczek nasz był skromny, gospodarstwo niedawno przez męża nabyte przedstawiało duże braki, ale nas to nie przerażało i owszem! mieliśmy niemały zapał do pracy i niewzruszone przekonanie, że damy sobie radę ze wszystkim. Nie było to rzeczą łatwą. Niewielki obszar majątku, dom stary i niewygodny, budynki zrujnowane, ziemie, jak to na podlasiu, podmokłe i piaszczyste, dotkliwe i bardzo powikłane serwituty — wszystko to wymagało oprócz wytrwałej pracy, także znajomości rzeczy i doświadczenia, którego nam brakowało. Odchowanie dzieci było dla mnie zadaniem radosnym, ale trudnym, oddalenie od rodziny uniemożliwiało zasięgnięcia rady u ludzi bliskich, a ciężkie choroby, które kolejno przechodziłam, zmuszały do wyjazdów na długie kuracje, to też pierwsze lata po ślubie nie dały mi możności zawiązania stosunku ze wsią. Żyliśmy obok siebie, bardzo blisko, a jednak jakby dwa obce sobie światy.

Ale borykając się wśród trudności miałam możność czerpania cudownej nauki, a z niej mocy dającej siły i wiarę w piękno życia. Miałam prezent ślubny otrzymany od mego dziadka, przez całe życie zbieracza biblioteki liczącej dziesiątki tysięcy tomów wielkiej wartości. Były w niej białe kruki, których częścią obdzielił mnie hojnie, dobierając książki tak, że one stały się podstawą w rozwijaniu mych wrodzonych zamiłowań. Między innymi była tam biblia Wujka, a jej przedziwna treść, barwny język i obrazowy styl zawsze mnie zachwycały. „Naśladowanie Jezusa Chrystusa“ i prześlicznie wydana „Książka do Nabożeństwa dla Polek“, wytworzyły osobisty i czysto wewnętrzny stosunek do religii. Pisma Buckle'a i Spencer'a, dla dzisiejszego pokolenia nudne, miały dla mnie rewelacyjne stronice. Szekspir po angielsku, Faust po niemiecku i Cyd po francusku wyrabiały smak literacki, a akwaforty Kulisińskiego i sztychy angielskie miały wszelkie dane do pogłębienia wrodzonego zamiłowania do rysunku. Najcenniejsze jednak były Czartoryskiej „Myśli o zakładaniu ogrodów“ i Nakwaskiej „Dwór wiejski“. Materiał był dobrze dobrany dla pogłębienia i zrozumienia religii, poczucia piękna, społecznego wykształcenia i gospodarczej praktyczności.

Na tych książkach stałam się samoukiem. życie przekreśliło moje

dążenie do studiów uniwersyteckich, ale otworzyło przede mną składy drukowane, które nie miały się wyczerpać nigdy, zawsze były dla mnie cudem, zawsze z równym głodem pochłaniane. Książki te wpłynęły przede wszystkim na reformy, które wprowadziłam zaraz po ślubie w izbie czeladnej.

Gdy po raz pierwszy znalazłam się w ciemnej i brudnej norze, ogarnęło mnie przerażenie. Trudno było od razu wszystko zmienić, ale przecież można było podłogę i okna umyć, izbę wybielić, sienniki uprać i uszyć tam, gdzie ich nie było. Można było zrobić parę stołków, kupić miednicę, szkło do lampy i parę obrazków na ścianę. Można było stopniowo zreformować kuchnię, ułożyć bardziej urozmaicony jadłospis, dać choć odrobinę porządku, dbałości i kultury. Z kolei rozpoczęła się racjonalizacja gospodarstwa i zakładanie ogrodu, w czym oboje z mężem prześcigaliśmy się.

Podniety do reform przychodziły z różnych stron. Pierwsza dotyczyła nabiału, który wedle tradycji był zabierany przez pachciarza. Kiedy po raz pierwszy weszłam do jego domu po śmietanę, ujrzałam przerażającą scenę. Stary żyd deptał bosymi nogami masło w dużej, płaskiej niecce. Jakże po takiej rewelacji można było nie objąć „na siebie“ nabiału. Stanęły w piwnicy długie rzędy dzieżek, wzięłam się do wyrabiania masła ze zbieranej śmietany, a wkrótce potem została podjęta dostawa mleka do Warszawy. Drobiu nie potrzebowałam reformować, bo go na razie nie miałam. Zapał hodowlany obudził się w tym kierunku na widok stadka jarzębatych plimutroków u kowala z sąsiedniej wsi. Zdobycie takich kur stało się moim pragnieniem — niestety, kowal stanowczo odmawiał ich sprzedania, rozwiązałam więc sprawę zamawiając jaja zarodowe od znakomitej hodowczyni Izabelli Ryxowej i te stały się zaczątkiem mej hodowli drobiu.

Pierwszego rasowego knura zobaczyłam jadąc konno przez starą wieś Zamojskich. Była to nowa rewelacja. Posiadać takie świnie stało się szczytem moich marzeń. Umyśliłam z sąsiadką, starszą i już doświadczoną gospodynią, nabyć na spółkę prośną maciorę z Prażmowa i tak zapoczątkować rasowe stado.

Tej samej sąsiadce zawdzięczam naukę pieczenia chleba wiejskiego, pachnącego kwitnącym żytem i ziołami. Przez wiele lat uważałam za swój obowiązek własnoręcznie wyrabiać chleb. Uczucie pulchnienia i wyrastania pod ręką tego podstawowego pokarmu stanowiło dla mnie zawsze i do dziś stanowi wielką przyjemność.

Ożywione i serdeczne stosunki sąsiedzkie, powstanie w Warszawie mleczarni spółdzielczej, założonej w naszym sąsiedztwie, wywołało współzawodnictwo w ulepszaniu gospodarstw i silnie pobudzało ambicje miejscowe. I my z kobiecymi działami gospodarstwa nie chciałyśmy być w tyle, ale współzawodniczyłyśmy w hodowli, w popisach kuchennych, a przede wszystkim w ogrodnictwie. Sady uporządkowane trzymane były „na sie-

bie", a dzieci służby i z całej wsi zwoływane były na święta zbierania owoców, otrzymując za pomoc całe kosze drugorzędnego towaru, podczas gdy wyborowe owoce szły starannie opakowane do Warszawy. W zakładaniu coraz większego ogrodu współpracowaliśmy z moim mężem, który z wielkim zamiłowaniem planował i wykonywał parkowe obszary, pod czas gdy ja zajmowałam się sadem i kwiatami.

Pierwszy fachowy artykuł.

W owym czasie, a było to w ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego stulecia, w epoce szalonego „fin de siecle'u *) młode pokolenie zrzuciło z siebie doszczętnie popowstaniowe tęsknoty i żale i znajdowało się już tylko pod wpływem romantycznego pozytywizmu.

Świętochowski w „Prawdzie" i Wiślicki w „Przeglądzie Tygodniowym" byli naszymi wyroczniami i wskazywali nam drogi obywatelskiego czynu i twórczej pracy ekonomicznej, jako podstawy do zdobycia niezależności. Od dawna nosiłam się z myślą napisania do „Przeglądu" artykuły i wypowiedzenia w nim nurtujących mnie przekonań o konieczności naukowego przygotowania kobiet do zadań, które je czekają w gospodarstwie. Wreszcie zdobyłam się na odwagę i w końcu lutego 1896 roku posłałam artykuł: „Gospodarstwo kobiece jako fach". Jakież było moje wzruszenie, kiedy już w kilka dni potem otrzymałam od Adama Wiślickiego obszerny list, w którym zawiadamiał, że artykuł w najbliższym numerze wydrukuje i tak dalej pisał: „Dodałem pod podpisem pani uwagę od Redakcji, aby utworzono przy Sekcji Rolnej Towarzystwa Popierania Przemysłu delegację gospodyń, podobną do delegacji kobiet przy sekcji rzemiosła. Pozwolę sobie nawet zachęcić panią, aby zebrawszy kilka towarzyszek gospodyń, wystąpiła wprost do sekcji rolnej z tym projektem. Tym sposobem wytworzyłoby się ognisko, które by mogło cośkolwiek dla gospodarstwa kobiecego zrobić. Gospodarstwo to jest rzeczą bardzo ważną — siedząc przez siedem miesięcy w roku na moim maleńkim folwarczku pod Nowo-Mińskiem, widzę okropne skutki zaniedbania gospodarstwa domowego, kobiecego. Szanowna Pani dokładnie zrozumiała, gdzie leży powód tego: oto w braku atmosfery rodzinnej, która by otaczała to zajęcie poszanowaniem i opieką. Wiejskie panie są zdeprawowane na tym punkcie, gardzą zajęciami wiejskimi i tęsknią za szkaradną, niezdrową atmosferą miasta. Podnieść sprawę na tym punkcie byłoby oddziałać na kobietę wiejską, uzdrowić ją, a za nią pójdzie uzdrowienie mężczyzn dziś ginących w apatii, zrażonych do zawodu rolniczego. Nasi rolnicy narzekają, a jednak tylko sięgnąć trzeba ręką energiczną, aby zbierać złoto".

Adam Wiślicki miał rację zachęcając młodą nieznajomą do podjęcia

*) „Końca wieku". Red.

pracy organizacyjnej, ale nie orientował się w tym, że ruch społeczny wiejski zbliża się wielkim krokiem, nie pamiętał też o tym, że przyczyną apatii było wyczerpanie spowodowane nieudanym porywem do wolności. Choć dużo czasu spędzał na wsi, ale czynił to raczej w charakterze wypoczynkowym; fachowcem nie był i stosunków wiejskich nie znał. Mimo to inicjatywa jego była kapitalna, wkrótce miała się zrealizować, a i mnie wypadła przy tym czynna rola, choć nie ta, którą on zalecał.

Zanim o tym powiem, muszę wspomnieć o naszych stosunkach ze wsią. Nie były one łatwe. Przyczyniły się do tego niezmiernie powikłane serwituty, wiążące trzy sąsiednie majątki, a w tej liczbie i nasz. Do świadczeń leśnych, do bardzo uciążliwych i utrudniających racjonalne gospodarstwo serwitutów paśnikowych po wszelkich sprzętach miały prawo cztery wsie. Doprowadzało to do niezliczonych zatargów tak z gospodarzami, jak i z sąsiadami skrępowanymi wzajemnym serwitutem. Jątrzenie stosunków należało przecież do metod rządzenia naszych zaborców, więc też pośrednictwo komisarza mogło tylko spowodować nowe podrażnienie. Wszelkie układy zdawały się beznadziejne, a spory utrudniały nasze stosunki z wsią.

Z boku jednak wieś pilnie obserwowała, co się robi we dworze, i nie tylko obserwowała, ale także starała się naśladować. I tak, widząc jak my dołączamy do niewielkiego sadu leżącą koło niego łąkę i stawy, jak sadzimy ozdobne drzewa i krzewy i tworzymy ogród spacerowy, kilku gospodarzy posadziło przy swoich domach ładne grupy bzów, sosen, brzóz i innych drzew, jakie tylko zdobyć mogli. Na tej drodze znalazła się niespodzianie sposobność do przerzucenia mostu między dworem i wsią i do zadzierzgnięcia upragnionych przeze mnie stosunków.

W tym czasie Warszawskie Towarzystwo Ogrodnicze, jedna z nielicznych polskich organizacji zawodowych, której członkiem byłam, ogłosiło konkurs na broszurę o uprawie warzyw, napisaną popularnie dla włościan. Temat był dla mnie pociągający. Wszakże ogród wziął mnie w posiadanie od pierwszej chwili pobytu na wsi i stał się ulubionym terenem pracy. Zresztą nie tylko moim. Już wspomniałam, że mój mąż dążył do tego, żeby cały nasz niewielki majątek miał estetyczne rozplanowanie i stanowił dalszy ciąg jądra siedziby, jakim jest dom i ogród. Ja ze swej strony widziałam wpływ, jaki nasza praca ogrodnicza wywiera na włościan i szukałam sposobu pogłębienia go. Nasza wieś czysta, wesoła, bogato zadrzewiona, odbijała korzystnie od wszystkich wsi okolicznych tonących w błocie i brudzie. Postanowiłam rozpocząć pracę konkursową, opartą nie tylko na teorii ogrodniczej i mojej własnej praktyce, ale na przestudiowaniu stanu uprawy i spożycia warzyw przez najbliższych włościan.

Poszłam na wieś i otwarcie powiedziałam, o co mi chodzi. Wywołało to żywe zainteresowanie. Centrum wsi stanowił wtedy dom rodziny R. Stara R., piękny typ polskiej patrycjuszki o suchym rasowym profilu, cieszyła się na wsi wielkim poszanowaniem. Udawano się do niej po radę

w najważniejszych sprawach, a rady, jakie dawała, były sumiennie spełniane. U niej więc przede wszystkim i ja musiałam szukać pomocy.

Rozpoczęły się liczne narady. Najprzód brały w nich udział córki, kumy, stryjne i sąsiadki, potem coraz więcej kobiet się zbierało. Dowiedziałam się, że sadzą tylko kapustę, buraki, marchew. że kapustę rok rocznie zjada gąsienica i główki są małe, chociaż sadzą je na świeżym nawozie i na wysokich zagonach, a przeplatają konopiami; że lubią cebulę, ogórki i bober, ale te się nie udają, choć sadzą je na łąkowym czarnoziemie. O tym, że dzieci, a nawet starsi lubią mak, wiedziałam dobrze, bo siejąc go w pastewnej marchwi miałam stale niemałe szkody. Dowiedziałam się przy sposobności o śmiałych próbach nowatorów, którzy się puścili na „dzikie" ogródki koło domów. Podziwiałam grzyby borowiki rosnące z siewu w ogrodzie jednego z gospodarzy. Badałam prymitywne metody uprawy stosowane na wsi i porównywałam je z tymi, które były opisywane w niemieckim piśmie ogrodniczym — moim stałym doradcą. Rzucały mi się w oczy błędy popełniane u nas, zaczęłam je wskazywać i doradzać zmiany. Dopytywałam się kobiet, jak kwaszą kapustę i ogórki, skąd biorą nasiona, jak gotują jarzyny, oglądałam kamienne „parski", w których przechowywano warzywa na zimę.

Tak wytworzyła się jedyna w swoim rodzaju współpraca. Moje sąsiadki stały się współtwórcami książki, ich niepowodzenia miały posłużyć jako przestroga dla innych. Książka zdobyła konkursową nagrodę. Ukazała się dotychczas w 6 wydaniach, ulegając stopniowo zmianom i dopełnieniom, pozostała jednak w gruncie rzeczy tym, czym była od początku: zbiorem doświadczeń samouka dla samouków.

Wydanie pierwsze mojej książki stanowiło moment wielkiej wagi, ale kto wie, czy nie ważniejszą była dla mnie zmiana stosunku z wsią — spotkanie na moście wzniesionym przez wspólne zamiłowanie ogrodnicze.

Zakładam ochronkę.

Zbliżenie ze wsią dało mi poznać nie tylko niski stan warzywnictwa i słabe żywienie rodzin wiejskich, ale okazało mi w całej grozie zaniedbanie dzieci. Były one brudne, kołtuniaste, zdeprawowane serwitutową pasionką. Stan szkolnictwa był opłakany. Większość dzieci nie uczyła się wcale, do tej większości należały częściowo dzieci służby; wiedziałam o tym dobrze, bo moi synowie mieli kilku towarzyszy zabaw i przyjaciół wśród synów furmana i stale z nimi obcowali. Postanowiłam zapobiec złemu, zakładając tak zwaną ochronkę. Ochronka była to właściwie szkoła, schronisko i pracownia, gromadząca dzieci w najrozmaitszym wieku. Siedmioletnie przynosiły do niej nowonarodzone, jedne się bawiły, inne uczyły się na „lamencie", jeszcze inne szyły i robiły różne robótki.

Dla tej ochronki przeznaczyliśmy duży i ładny ogród, w którym każ-

de dziecko zdolne do pracy miało swój zagonek. W środku stała chata z obszerną izbą, pokojem dla ochroniarki, kuchnią i ładnym ganeczkiem. Z otwarciem ochronki musiałam czekać, aż upatrzona w sąsiedniej wsi na ochroniarkę i kształcona w Warszawie panienka skończy szkołę. Wreszcie oczekiwany przez nas dzień nadszedł, spora gromada dzieci zebrała się i wszystko zdawało się zapowiadać harmonijny rozwój pracy, ale rzeczywistość przyniosła nam niespodziankę.

Już wspomniałam, że dzieci wiejskie, a co prawda niekiedy nawet dorosłe kobiety miały włosy zbite w kołtunki niemożliwe do rozczesania. Była to słynna „plica polonica", z którą nikt nie próbował walczyć dotychczas, ale w ochronce nie mogła ona być utrzymywana. Ochroniarka dostała maszynkę do golenia włosów i rozpoczęła urzędowanie od ogolenia kilkunastu lnianych główek. Skutek był straszny. Cała wieś zawrzała. Dzieci miały być zagrożone pokręceniem kości, ogłuchnięciem i ślepotą. Po pauzie obiadowej ani jedno dziecko nie przyszło do ochronki, natomiast wieś rozbrzmiewała lamentem i pomstowaniem. Ochroniarka zalewała się potokami łez, ja sama byłam przerażona i w gruncie rzeczy trochę się bałam, aby jakaś niespodziana choroba nie potwierdziła zabobonnych obaw matek.

Przez tydzień szeroko otwarte drzwi ochronki na próżno zachęcały dzieci do przyjścia, dopiero gdy minął drugi tydzień, a groźba „pokręcenia" nie sprawdziła się, zaczęły nieśmiało przychodzić najprzód dzieci służby, potem wieś i na koniec Kurki bliźniaki - zabijaki, dzieci najbliższego sąsiada, dotychczas najbardziej nieżyczliwego. Stopniowo ochronka zaczęła się stawać jakby świetlicą wiejską, gdzie młodzież i dorośli zbierali się na pogawędkę. Skorzystałam z tego i przywiozłam z Warszawy latarnię czarnoksięską. Stała się ona magnesem, któremu nikt nie mógł się oprzeć. Wystarczyło, aby wieczorem światło latarni ukazało się w oknie, a cała wieś wnet wpadała do ochronki, stając na ławkach, aby lepiej widzieć. Niekiedy tłum bywał tak wielki, że lampa z braku tlenu gasła w latarni. Wszyscy wtedy wychodzili na dwór, aby po chwili znowu przepychać się we drzwiach zaledwie trochę wywietrzonego pokoju.

Rewelacja.

Na przełomie dwóch wieków zdawało nam się, że w nowym stuleciu wszystko musi przybrać inne zabarwienie, inny charakter. Zbliżały się wypadki 4 i 5-go roku, które wstrząsnęły podstawami caratu, a nas zradykalizowały i pchnęły jeszcze silniej w kierunku pracy ludowej.

Już istniało miejscowe Towarzystwo Rolnicze. Już zmagały się z sobą w przymierzu odporno - zaczepnym dwa żywioły: ziemiański i ludowy. Już odrywała parcelacja od większych obszarów coraz nowe kęsy. Osiadający na nich chłopi czuli się coraz wyraźniej świadomymi panami na polskiej ziemi, a wiejscy pariasi — parobcy — czujnym uchem wsłuchiwa-

li się w podszepty agitatorów. Wśród ziemian toczyły się zawzięte spory. Silni ekonomicznie rzucali gromy na parcelantów i wydrwiwali działaczy, nazywając ich urągliwie chłopomanami.

Nasza okolica niewiele sobie z tego robiła. Przeciwnie. Wysunięty przez nas sztandar przodowników ludowej kultury przyciągał i grupował coraz większe masy. Zebrania były gorące. Zwierały się ludzkie interesy i ludzkie namiętności. Buchały kłótnie, wznosiły się szlachetne porywy, a cięte obuchem opadały, aby się znów w innej formie kształtować.

W tym to czasie znalazłam się wypadkiem w Warszawie na zebraniu ziemianek. Były to już zaczątki delegacji gospodyń, która powstała inną drogą, gdyż ja nie posłuchałam rady Wiślickiego i pochłonięta pracą miejscową nie szukałam urzeczywistnienia fachowego kształcenia gospodyń w związku z rolnikami. Ale siła zjednoczenia kobiet od razu mnie porwała i wchłonęła. Znalazłam się w Warszawie i już dość mocna w popularyzowaniu spraw gospodarczych objęłam redakcję organu ziemianek „Świat Kobiecy". Trudne to było zadanie. Pismo miało godzić ogień z wodą. Miało w zapadłą wieś wnosić rewolucyjny nastrój stolicy. Miało wmuszać w kobiety wiarę w posłannictwo, do którego wiele spośród nich nie czuło powołania. I musiałam to robić bez zasobów pieniężnych, wśród strajków, wśród walącego się szkolnictwa rosyjskiego, wśród rewizji i salw ulicznych, przeplatanych bratnimi uściskami ludu z kozakami.

Redakcyjny lokal stał się miejscem zebrań i narad, tu tworzyło się jądro demokratyczne, dążące do pociągnięcia pod sztandar ziemianek wszystkich kobiet wiejskich bez względu na wykształcenie, majątek i środowisko i z zupełnym wykluczeniem politycznego elementu. Formułę zjednoczenia znalazła Józefa Daszewska. Ona to założyła w 1905 roku pierwsze koło gospodyń wiejskich, nadając mu charakter oświatowo-handlowy, a gdy nam opowiadała o powodzeniu swej inicjatywy było to jakby zalśnienie zakrytej uprzednio prawdy. Była to jasna i prosta droga do celu. Była to rewelacja.

Drugie koło powstało w naszej okolicy. Połączyły się w nim żony służących i samodzielne gospodynie i właścicielki folwarków; wspólny statut i wspólna nazwa miały kołu nadać charakter równości i zachęcić do współpracy. W miejscowym Towarzystwie Rolniczym nastąpił tymczasowy podział zadań kierowniczych. Mnie dostało się gospodarstwo kobiece włącznie z hodowlą świń i drobiu i przemysł ludowy. Wobec rosnącej z każdym miesiącem pracy zdecydowano zdobyć dla Towarzystwa stałego instruktora; miał on programowo prowadzić podniesienie poziomu hodowli krów i produkcji mleka.

Pierwszy wykład A. Piątkowskiego, gdyż on był tym instruktorem, stał się dla mnie nowym odkryciem. Było to doskonałe, zrozumiałe, jasne, a przy tym pełne humoru wyjaśnienie istoty przemiany materii, zapotrzebowania składników paszy zgodnie z potrzebami organizmu i podstawy

normowania paszy w stosunku do wydajności zwierząt. W jednej chwili porwało mnie podobieństwo z produkcyjnością nieśnych kur i konieczność wyciągnięcia nauki dla moich prac gospodarczych z odczytu, który w taki logiczny sposób budował racjonalną produkcję hodowlaną.

W krótkim odstępie czasu spotkała mnie trzecia rewelacja. Na jednym z zebrań ziemianek zjawiła się Jadwiga Dziubińska i opowiedziała o zakładanej przez siebie szkole gospodarstwa dla dziewcząt wiejskich w Kruszynku.

Te trzy momenty dały mi wytyczne dla pracy całego życia, wskazały drogę do realizowania celu, do którego dążyłam. Aby go osiągnąć, należało:

1. Zakładać i prowadzić koła gospodyń wiejskich i zgrupować je we wspólnej organizacji ziemianek z wszystkich stanów.
2. Studiować gospodarstwo nie na podstawach doświadczalnych, ale naukowo, a po praktycznym stwierdzeniu postulatów nauki, popularyzować ją wśród najszerszych warstw ludu.
3. Tworzyć elitę kobiet wiejskich, kształcąc je w szkołach gospodarstwa, aby pozyskać zespół działaczek urodzonych w naturalnych warunkach wsi, które stałyby się przodownicami postępu.

Przy tak sformułowanej działalności zgrupowała się nas spora gromadka.

Ideową, bardzo szlachetną kierowniczką ziemianek była od dawna Maria Kleniewska z Kluczkowic. Jej to zawdzięczały ziemianki inicjatywę tworzenia kół, których przedstawicielki zjeżdżały się w Warszawie 8 grudnia w dniu jej imienin. Przewodnictwo najprzód w delegacji gospodyń, a potem w samodzielnej organizacji „Zjednoczenie Kół Gospodyń" po zmiennych kolejach objęła Maria Kretkowska; jej talent organizacyjny, ofiarność i niestrudzona pracowitość przyczyniły się do szybkiego rozwoju stowarzyszenia. Świetną sekretarką była pełna temperamentu, wysoce inteligentna, a w pracy systematyczna Helena Weychert. Na czele wydziału oświatowego stanęła znakomita wychowawczyni Jadwiga Warnka, wydział społeczny był w rękach Felicji Karszo - Siedlewskiej, a ekonomiczny objęła Maria Rodziewicz.

Gospodynie małorolne, posiadające statutowo zawarowane równe prawa z innymi członkami, miały na razie sekretariat, który był w moim ręku. Przewodniczące kół zbierały się raz na miesiąc na narady. Wkrótce został zorganizowany dział sprzedaży wytwórczości przemysłu ludowego i podjęłyśmy wydawnictwo pisma „Ziemianka", pod redakcją Zofii Rzędziny. Tak rozpoczęła się systematyczna i programowa praca w zespole bardzo harmonijnym i doskonale zgranym.

Wobec zrusyfikowania i niskiego stanu szkół ludowych uważałyśmy za jedno z głównych zadań zakładanie szkół gospodarstwa dla dziewcząt. Po długich poszukiwaniach i objechaniu przeze mnie kilkunastu resztówek

padł wybór na Mirosławice i tam została założona szkoła typu Kruszynka. W ciągu 10 lat stowarzyszenie Ziemianek miało już tych szkół 10, wszystkie utrzymywane przez ziemianki bez żadnych subsydiów, Mirosławice jednak, jako szkoła całego stowarzyszenia, miały stanowisko uprzywilejowane. Była to prześliczna szkoła o dobrym poziomie nauk i ładnym gospodarstwie. Wkrótce do 90 uczennic przepełniało szkołę i świadczyło o jej popularności.

Zakładam własną szkołę.

W tym czasie zaszła w moim życiu poważna zmiana. Mój mąż odznaczał się zawsze pionierskim usposobieniem. Praca gospodarcza przedstawiała dla niego interes tylko dopóty, dopóki dźwigał z ruin zniszczone placówki. Majątek, w którym pracowaliśmy od dawna był już wówczas doskonale zagospodarowany. Nowy, śliczny i wygodny dom, otoczony sadem i parkiem, nawadniane łąki, stawy zarybione, remizy pełne zwierzyny, dobre gospodarstwo mleczne, rasowe świnie i drób, nic nie przypominało już opłakanych warunków, w jakich spędziliśmy pierwsze lata. Gorączka wyczarowania z pustki nowej kultury zaczęła opanowywać mego męża i ku mojemu wielkiemu zmartwieniu sprzedał majątek, z którym łączyło nas tyle szczęśliwie przeżytych lat, gdzie tyle przyjaznych ludzi nas otaczało.

Na razie przenieśliśmy się w Błońskie, z tym jednak zamiarem, żeby, gdy znajdzie się odpowiedni większy majątek, opuścić tymczasową siedzibę. Nasza nowa siedziba miała tę zaletę, że posiadała dwa duże domy, można więc było jeden z nich poświęcić na szkołę, co było od dawna moim marzeniem.

Część domu przeznaczyłam więc na internat dla kilku praktykantek gospodarskich, część zamieniona została na kurniki dla trzech ras kur, które wtedy chowałam, a reszta domu mieściła szkołę dla dziewcząt przychodzących, tkalnię i pracownię robót. Do pomocy dobrałam bardzo zdolną nauczycielkę, sama wzięłam na siebie nauczanie gospodarstwa i robót. Dla zdobycia uczennic zwróciłam się do trzech księży w trzech sąsiednich parafiach z prośbą o zawiadomienie parafian, że przyjmuję zapisy uczennic. Każdy z księży inaczej zareagował na moją prośbę. Jeden nic nie odpowiedział i zawiadomienia nie ogłosił, drugi ograniczył się do krótkiego przeczytania okólnika, trzeci całą naukę tej niedzieli skierował na potrzebę kształcenia dziewcząt i doniosły moment pozyskania szkoły przez okolicę. Zgłoszenia rozpoczęły się już tej samej niedzieli, liczba ich była niespodziewanie duża, tak że już nazajutrz komplet 30 uczennic był przyjęty i mogłam rozpocząć naukę w szkole zupełnie nowego typu, stanowiącej pewnego rodzaju doświadczenie.

Nauka robót stanowiła obszerny dział programu z różnych powodów. Przede wszystkim koncesję otrzymałam z Towarzystwa Przemysłu Lu-

dowego pod pozorem nauczania tkactwa i robót. Była to taka sama koncesja, na podstawie której prowadzone były na razie wszystkie szkoły gospodarskie internatowe. Po drugie wiedziałam, że wieś nie ma środków na płacenie za naukę, a że miałam ponosić sama koszt prowadzenia szkoły, chciałam więc pokryć choć część kosztów zarobkiem otrzymanym ze sprzedaży robót. Wreszcie dla uczennic nie był obojętny dochód za ich pracę i to było przewidziane w obliczeniu ceny wykonywanych tkanin i haftów. Każda zdolniejsza i staranna uczennica mogła zarobić kilka rubli miesięcznie, a to w okolicy bardzo małorolnej miało dużą wartość.

Szkoła bardzo prędko zyskała popularność i sympatię. Wkrótce rozpoczęły się wycieczki z okolicy, moje dziewczęta zaprzyjaźniły się z uczennicami sąsiedniej szkoły tkackiej i z pszczeliniakami. Przyjeżdżały i przychodziły członkinie kół gospodyń, nie brak było i gospodarzy. Ruch zapanował. Nauczyłyśmy się w jednej chwili urządzać improwizowane noclegi, bardzo skromne i proste przyjęcia, przedstawienia bez sceny i rekwizytów; chóry i gry ruchowe wytwarzały nastrój swobodny i wesoły.

Dojazd do Mirosławic był dla mnie ułatwiony z powodu niewielkiego oddalenia. Należąc do opieki szkolnej jeździłam tam często z wykładami, a w jesieni co roku prowadziłam wycieczkę złożoną ze 100 mirosławianek i moich dziewcząt do Krakowa. Przepustki otrzymywałyśmy dzięki stosunkom państwa Żukowskich (poseł do dumy), z którymi byłam zaprzyjaźniona. Dojeżdżałyśmy do Olkusza, zwiedzając po drodze różne fabryczne miasta i składając hołd Matce Boskiej w Częstochowie, a potem popasając w Ojcowie i nocując u Żukowskich w Łazach dochodziłyśmy piechotą do Krakowa. Tam wszystko było zawczasu przygotowane i dziewczęta chłonęły atmosferę wolności narodowej, której pozory były w tym zaborze takie silne.

Te wycieczki sprawiały i na mnie zawsze głębokie wrażenie. Jednolity nastrój, wysoki poziom artyzmu, wytwarzany wówczas przez Wyspiańskiego i innych genialnych twórców, wszystko to było akordem końcowym, który miał dać naszym dziewczętom zasób przywiązania i podziwu dla Polski, zasób wiary w jej trwałość i przyszłość.

Tu muszę jeszcze poświęcić parę słów moim praktykantkom. Brałam je z rozmaitych sfer. Były to córki włościanek, pragnące się nauczyć prowadzenia większego gospodarstwa, jako zawodu, który by im mógł dać w przyszłości chleb u obcych, a także panienki wykształcone, a nawet mężatki żądne poznania lepszego sposobu gospodarowania niż istniejący w ich własnym otoczeniu. Nabrałam już wtedy tyle doświadczenia, popartego studiowaniem fachowej literatury zagranicznej, głównie niemieckiej i angielskiej, że mogłam postawić hodowlę świń i drobiu, a także i ogrodnictwo na wysokim poziomie. Zamiłowanie do formułowania na piśmie mych doświadczeń i poczucie potrzeby polskiej literatury popularnej skłaniało mnie do pisania artykułów treści ogrodniczej i hodowlanej, a rozmaite pisma chętnie je zamieszczały. Opracowałam ponadto w tym

czasie pierwszą książkę z zakresu hodowli „Racjonalne żywienie drobiu", która wkrótce rozeszła się w 2 wydaniach i obecnie jest zupełnie wyczerpana.

Nowy teren działania.

Mąż mój tymczasem poszukiwał wymarzonego terenu pracy dla siebie. Najniespodziewaniej i przypadkiem odpowiednia placówka znalazła się. Miałam wtedy na okres paru miesięcy bardzo miłą i dzielną praktykantkę mężatkę. Namawiała nas usilnie na kupno dużego majątku na granicy pruskiej, skąd ona właśnie pochodziła. Były to wspaniałe łąki, o które mężowi tak chodziło. Oddzielny folwark z hodowlą krów, duża mleczarnia przerabiająca okoliczne mleko i wysyłająca śmietankę do Prus i dobra hodowla świń, jako przynęta dla mnie.

Myśl opuszczenia okolicy, z którą się już tak serdecznie zbliżyłam, perspektywa zamieszkania daleko od Warszawy była dla mnie ciężka, ale wiedziałam, że tak czy owak zmiana przyjść musi, wolałam więc od razu zdecydować się na nią i miałam nadzieję, że większa placówka starczy na dłuższy okres pracy. Kiedy więc mój mąż powrócił z oględzin majątku bardzo zadowolony, a cena jego okazała się przystępną, nie mogłam odmówić swej zgody i wkrótce nastąpiły nowe przenosiny.

Pierwszy mój wjazd do nowej siedziby przyniósł dwa dość charakterystyczne epizody. Jadąc od kolei wiozłam troskliwie wielką klatkę z kurczętami odchowanymi przez moje uczennice, z których jedna oczywiście towarzyszyła mi, jako pomocnica ochotniczka. Przejeżdżaliśmy przez majątek świeżo rozparcelowany, gdy kilku chłopów zagrodziło nam drogę. „Pani nas nie poznaje?" „Ależ naturalnie — poznaliśmy się na kursach!" „Myśmy zaraz poznali, że to pani i strasznie się cieszymy". To spotkanie dodało mi ogromnej otuchy. Więc nie jestem tu obca, już i tu mam znajomych! Więc ludzie przelotnie spotkani na kursach zapamiętali tę, która ich uczyła. Czyż mogło być milsze powitanie?

Przyjechawszy do domu wyładowałam moje kurczęta. Było to w maju. Marcowe Orpingtony i Wyandotty, ślicznie odchowane, rozsypały się po trawie, ale nie na długo. Już w godzinę potem otrzymuję hiobową wieść: Wyandotki leżą zabite na dziedzińcu. Biegniemy do nich — niestety! już nic nie można uratować. Śnieżnobiałe kurczęta zwabiły srokę i ta je wytłukła doszczętnie. Ten moment był niejako przepowiednią strat, którymi moje gospodarstwo miało tam być dotknięte, zmiażdżone i zniszczone. Ale to było później. Na razie poza tą jedyną stratą wszystko zapowiadało się dobrze.

Nowa siedziba była w starym krzyżackim zamku, przerobionym na wielki dwupiętrowy dwór z niezliczoną ilością ogromnych komnat. Ogród stanowił jakby wyspę otoczoną dwiema rzekami. Wprost zamku był olbrzymi śpichrz, pod nim bardzo przemyślnie urządzone chlewy połączo-

ne z piwnicą na ziemniaki i kuchnią do przyrządzania paszy. W pobliżu znalazł się ładny teren dla hodowli drobiu i mleczarnia. Ogród nad rzeką był ślicznie położony. Aleja kasztanowa prowadziła do miasteczka, a legenda głosiła, że pod nią znajdowały się lochy łączące obronny zamek z kościołem.

Okolica i sama miejscowość miały bogate tradycje historyczne. Tu żył książe biskup, fundator w XII wieku słynnych wrót korsuńskich, wywiezionych później do Niżniego Nowogrodu, tu zginął Sawa Caliński, konfederat barski, a cmentarz i kościół kryły niejedną historyczną pamiątkę.

Gdy minęły pierwsze tygodnie zagospodarowywania się, trafiła się okazja poznania okolicy, gdyż właśnie organizowano powiatową wystawę i wielki zjazd był spodziewany. Okazało się, że teren pracy jest rozległy. Mało tego; okazało się, że nasz przyjazd poprzedziła legenda, że jesteśmy ludźmi do pracy, a że takich nigdzie nie ma za dużo, więc nie tylko moi uczniowie z kursów przyjęli nas życzliwie, ale w ogóle zostaliśmy od razu uznani, jako swoi ludzie.

Jak w poprzedniej siedzibie, tak i tu duże domostwo umożliwiało mi urządzenie szkoły, na którą przeznaczyłam dół zamku. Był tam olbrzymi „refektarz" z wyjściem na ogród, dwa pokoje dla nauczycielek i pokój na warsztaty. Jeszcze jeden duży pokój zamieszkała znajoma artystka z córeczką. Miała ona uczyć dziewczęta rysunku i tkactwa, a także przy ich pomocy naprawiać stare gobeliny, co było jej specjalnością. Oprócz niej oraz nauczycielki, która już poprzednio szkołę moją prowadziła, miałam jeszcze kierowniczkę kroju i szycia wyspecjalizowaną w bieliźniarstwie i nauczycielkę haftu, doskonale dokształconą technicznie, moją dawną uczennicę.

Muszę tu dodać, że jeżdżąc często po kraju z odczytami treści gospodarczej, wszędzie poszukiwałam artystycznych haftów ludowych i miałam już w tym czasie piękną kolekcję, mogłam więc dać każdej robocie, wykonanej przez moje uczennice, artystyczne i polskie piętno. Roboty były bardzo cenione i rozchwytywane przez amatorów, a na wystawie sztuki dekoracyjnej w Paryżu zdobyły dyplom honorowy. Dotychczas spotykam w handlu kopie naszych rysunków, przeważnie dość nieudolnie zrobione.

Praca organizacyjna wśród kobiet rozpoczęła się niebawem, ale tym razem najbliższe moje sąsiadki nie były włościankami, lecz gospodyniami miasteczkowymi, które przeważnie posiadały obok rolnego gospodarstwa jakąś zawodową placówkę. Były to rzeźniczki, piekarki, młynarki, krawcowe i t. p. Ten element wydawał się dość trudny do poruszenia, miał bowiem pretensję do kultury obok małego wykształcenia. Okazało się jednak, że pozory myliły.

Koło Ziemianek zostało założone z największą łatwością i stało się źródłem, z którego potem powstało 17 kół w całej okolicy, rozwinęła się ogromna akcja oświatowa i społeczna, a nawet dobroczynna, choć ja w tym

kierunku miałam zawsze mało inicjatywy i wolałam robotę skierowaną do tworzenia nowych wartości niż pomoc elementom słabym i wymierającym.

Opisuję teraz, jak się ukształtowało życie na nowej placówce. Więc najprzód gospodarstwo. Teren do jego rozwoju był świetny. Pomieszczenie dla inwentarza dobre. Materiał wyjściowy dla hodowli świń wcale niezły i pokup ogromny wobec cotygodniowych jarmarków w przyległym do dworu miasteczku. Każda ilość prosiąt i karmników mogła być sprzedana, a że 3 okoliczne powiaty nie miały ani jednej zarodowej hodowli, wystarczyło więc sprowadzić z Anglii pierwszorzędnego knura do istniejących kilkunastu macior, aby móc sprzedawać po przystępnej cenie wysoko podrasowany, a potem czystej krwi materiał rozpłodowy. Obfitość nabiału, dobre pastwisko i kąpiel w rzece, oto były warunki zapewniające doskonały odchów. Nie mogę tu pominąć także znaczenia, jakie miał dla hodowli mój pomocnik pan O., pierwszorzędny oprzątacz o wyjątkowym zmyśle hodowlanym, prawdziwie zamiłowany i ambitny. Przy jego pomocy mogłam odchowywać wzorowo setki prosiąt. Sztuki drugorzędne były rozchwytywane przez chłopów. Nieraz po stu i więcej nabywców zjawiało się w ciągu jednego dnia, gdy ogłosiłam, że sprzedaż będzie miała miejsce. Materiał rozpłodowy rozkupowali ziemianie, wśród których wyrobiłam sobie stałych odbiorców.

Po niefortunnym wstępie z Wyandottami, zatrzymałam już tylko Orpingtony, miałam je wysokiej klasy z powodu sprowadzania sztuk rozpłodowych z Niemiec i z Riond Bosson od p. Paderewskiej. Później dołączyłam do tego gniazdo zielononóżek i te chowam dotychczas. Prócz tego miałam wspaniałe indyki mamuty, a między nimi znajdował się słynny indor ważący 51 rosyjskich funtów, a wychowany z jaja przywiezionego także z Riond Bosson. Piękne stado kaczek pekińskich, liczące od 200 do 400 sztuk, i duże stado gęsi krajowych, skupywanych przy pomocy zgonników, prowadzących przez miasteczko prawie milionowy spęd do Niemiec — oto był materiał, na którym moje uczennice mogły nabierać doświadczenia i znajomości rzeczy.

Warunki ułożyły się tak, że uczennice przychodzące (było ich od 30 do 40), uczyły się przedmiotów ogólno-kształcących: szycia, tkactwa i haftu. Skoro tylko trochę nabrały biegłości, przechodziły do pracowni i zaczynały zarabiać; ucząc się jednocześnie przez 3 godziny dziennie, przechodziły systematycznie kurs szkoły w zakresie ówczesnych 3 klas gimnazjalnych. Praktykantki, których było kilka, uczyły się razem z uczennicami, spędzając resztę dnia przy gospodarstwie.

Po paru latach, gdy gospodarstwo było już w pełnym rozwoju, zorganizowałam jeszcze kurs hodowlany dla inteligencji. Wzięło w nim udział kilkanaście pań, które przez dwa miesiące pracowały teoretycznie i praktycznie w chlewni i kurnikach. Część wykładów prowadził instruktor z C. T. R., inne ja sama, zajęciami praktycznymi kierowała instruktorka. Po skończonym kursie pojechałyśmy na 3 tygodnie do Niemiec i Da-

nii, gdzie zwiedzałyśmy hodowle różnego typu z szczególnym uwzględnieniem pastwiskowych.

Do Warszawy jeździłam co parę tygodni, gdyż nie mogłam się rozstać z sekretariatem gospodyń wiejskich. Zadania jego rosły z każdym rokiem. Już dorywcza praca amatorek nie mogła wystarczyć i trzeba było zdobyć się na pierwszą instruktorkę organizacyjną. Ponieważ hodowla drobiu stanowiła wtedy dział wielkiej wagi dla nas, więc dwie drobiarki fachowe pracowały w biurze. Jedna z nich była instruktorką objazdową i miała za zadanie selekcję drobiu. Ogromne ilości jaj zarodowych rozsyłane były wiosną po całym kraju, w jesieni sprzedawałyśmy drób rozpłodowy dostarczając dla gospodyń wiejskich tanie gniazda z 1 koguta i 3 kur i sprzedając drób kosztowniejszy na wystawach urządzanych co roku w Warszawie z wielkim powodzeniem. Ceny dobrego drobiu były wtedy bardzo wysokie i można było na każdej wystawie sprzedać po kilkanaście sztuk rozpłodowych, a cena dochodziła do paruset rubli za gniazdo.

Opisuję obszerniej ówczesne warunki, gdyż tylko dzięki dochodom osiąganym z hodowli mogłam prowadzić kosztowną akcję szkolną i jeździć nie tylko do Warszawy, ale po całym kraju, gdzie tylko zażądano ode mnie przeprowadzenia odczytów albo krótkich kursów. Mogłam też kompletować bogaty zbiór książek naukowych, jedyne źródło samokształcenia.

Życie było wypełnione po brzegi. Zdawało się niemożliwym pogodzenie częstych wyjazdów z prowadzeniem bardzo dużego domu, w którym stale przebywało kilkanaście osób, i z miejscową pracą szkolną i społeczną. A jednak, dzięki dobrej organizacji i dzielnym pomocnikom, wszystko się jakoś układało pomyślnie i dawało się pogodzić.

Jeżeli stwierdzam, że układało się pomyślnie, to nie znaczy, żeby nie było przeszkód. Ileż to razy trzeba było ścierać się z mądralami, dla których moja akcja była solą w oku. Ileż to razy rozchodziły się potworne plotki wyolbrzymiane i jadowite. Niewiele sobie z nich robiłam. Były jednak gorsze chwile. Przychodziły takie dni, czasem takie tygodnie, w których wszyscy zdawali się pogrążać w nudzie, apatii i obojętności. Zdawało się, że żadna siła ludzka nie zdoła przemóc tego usposobienia. Wszystko stawało się zbędne i niepotrzebne. I raptem w chwili, gdy już, już i moje ręce miały opaść w zniechęceniu, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wszystko się budziło i zaczynało iść, jak z płatka.

Z wielką wdzięcznością i podziwem wspominam kobiety pomagające mi z niemałymi zasobami ducha i wytrwałości. Dzięki nim można było dokonywać cudów takich, jak założenie własnymi siłami ogrodzonego ogrodu na placu koło kościoła, gdzie uprzednio prosiaki ziemię ryły. Założenie ochronki dla kilkudziesięciu dzieci, potem stworzenie i prowadzenie czteroklasowej szkoły Macierzy. Stworzenie księgarni szkolnej i spółdzielczego sklepu z tzw. materiałami łokciowymi, wreszcie założenie

i prowadzenie schroniska dla kilkudziesięciu dzieci z okopów i jeszcze jednego schroniska dla kilkudziesięciu dzieci warszawskich. Wszystko to siłami miejscowymi i zbiorową ofiarnością gospodyń-ziemianek okolicznych.

Wojna.

I oto w chwili pełnego rozwoju naszej roboty, w chwili gdy gospodarstwo moje osiągnęło wysoki poziom, wybuchła wojna i przyniosła wraz z hukiem dział i potokami krwi nowe zadania, nowe obowiązki.

Na razie nikt z nas nie wierzył w trwałość wojny. Rosyjskie sztaby, którym musiałam oddawać do dyspozycji gościnne pokoje i część szkolnych pomieszczeń, robiły na nas trochę operetkowe wrażenie. Słaba odporność wojsk rosyjskich zdawała się potwierdzać szerzone przez naszych polityków przepowiednie, że oddadzą nas Niemcom bez wystrzału. Stało się jednak inaczej. Wojna zaczęła się toczyć naprawdę, a nasza okolica, przechodząca wielokrotnie z rąk rosyjskich do niemieckich, została odcięta na długie miesiące od reszty kraju, wreszcie stała się terenem bardzo uciążliwej okupacji.

Jeżeli pominiemy okrucieństwa wojny, których opis nie ma związku z niniejszym pamiętnikiem, to trzeba przyznać, że jej przyjście spowodowało wydatny rozwój ruchu społecznego. Nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego, co, jak i skąd miało przyjść, zaczął lud oczekiwać wielkiego przewrotu, przygotowywać się do niego i uświadamiać sobie budzące się pragnienia. Przedziwnie utrwaliło się przywiązanie dzieci do szkoły z chwilą, gdy znikł nauczyciel państwowy zabrany do wojska, a zastąpiła go amatorska drużyna.

Co parę dni, czasem co dzień przychodziła nowa kompania żołnierzy to rosyjskich, to niemieckich, wyrzucała ławki na dwór, zaścielała podłogę słomą i napełniała izbę śmieciami i hałasem. Gdy tylko następował wymarsz, zjawiała się dzieciarnia, sprzątała, myła, porządkowała i zasiadała na ławkach „aby choć na jeden dzień".

Wśród nauczycielek amatorek wyróżniała się pierwszorzędnym talentem pedagogicznym 19-letnia kaleka na obie nogi, chodząca o kulach, a mająca za sobą, jako jedyne przygotowanie, dwa oddziały szkoły powszechnej. Dziś zdało to przedziwnie zdolne dziewczę ludu państwowy egzamin nauczycielski i jest kierowniczką szkoły powszechnej.

Koła gospodyń rosły i rozwijały się nadspodziewanie, zwłaszcza od 1917 roku, gdy położenie zaczęło się wyjaśniać i sprawa niepodległości stawała się bliską. Wszystko zdawało się wtedy proste, konieczne, łatwe do zrobienia. Skoro tylko ujawniła się jakaś potrzeba, wtedy zjawiały się ochotniczki dla jej urzeczywistnienia.

Pierwsze spotkanie z naszymi oficerami wywołało uczucie nadziemskiego szczęścia. Kiedy po raz pierwszy przyjechaliśmy do zamku—a był to właśnie dzień, w którym także po raz pierwszy miało u nas zajaśnieć

światło elektryczne — wzruszenie nasze było tak wielkie, że nie wstydziliśmy się łzami je oblewać. Były to przecież łzy szczęścia, ale czemuż nie wszyscy je podzielali? Dlaczego jeden z oficerów takie do mnie napisał słowa: „proszę o nas pamiętać tak, jak my zawsze pamiętać będziemy pierwsze gościnne, prawdziwie polskie przyjęcie nas legionistów polskich w wolnej ziemi własnej"? A było to 6. XII. 1916, kiedy Polska już zrzucała okowy, ale jeszcze była w ich mocy. Wpływ legionistów był jednak silny, choć nie wszyscy gościnnie ich podejmowali. Nasi chłopcy wiejscy zaczęli marzyć o mustrze i ćwiczeniach wojskowych. Tego nam było potrzeba. Mąż mój pojechał do Warszawy i przywiózł wychudzonego mizeraka, któremu wiejskie pożywienie bardzo było potrzebne po przebyciu więzienia w Huszt i ten po kilkudniowym odpoczynku rozpoczął ćwiczenia. Wkrótce głodomorów przybywało. Mieliśmy chłopaków ze Szczypiornej i Beniaminowa — ich listy przechowuję jako drogie pamiątki, a ich działalność odbiła się na przekonaniach i dążeniach miejscowej młodzieży.

Praca organizacyjna osiągnęła w tym czasie największy rozwój, choć pozostawała w oderwaniu od całości, gdyż komunikowanie się z Warszawą było bardzo utrudnione. Zdobyłam do pomocy pierwszą instruktorkę powiatową i prowadziłyśmy razem z Towarzystwem Rolniczym, choć niezależną, ale przyjazną i harmonijną pracę. Wspólny lokal, wypożyczane wzajemnie tablice i inne pomoce naukowe, częste wspólne zebrania, gdy omawiane były sprawy obchodzące tak mężów, jak i żony — oto jak kształtowały się nasze stosunki.

Kół gospodyń było w powiecie 17, objeżdżałam je kolejno, bo zebrania odbywały się zwykle w niedzielę i trudno było wszędzie nadążyć. Pierwsza instruktorka była doskonałą siłą, ale ku wielkiemu naszemu żalowi wkrótce wyszła za mąż, a jej następczyni mniej się nam udała. Trzeba było szukać pomocy wśród miejscowej inteligencji i rozdzielić opiekę nad schroniskami, nad gospodą dla wojska i t. d. między ochotnicze siły, których na szczęście nie brakowało.

Szkolnictwo przechodziło stopniowo z rąk amatorskich w ręce zawodowe. Mieliśmy już w mieście powiatowym tak zwaną preparandę do seminarium, organizowaliśmy kursy dokształcające dla nauczycielstwa, zabiegaliśmy o zakupywanie biblioteczek i pomocy naukowych dla szkół. Mówię my, bo duży udział w pracy brała Rada Szkolna, działająca na terenie trzech powiatów, której byłam najpierw członkiem, a potem przewodniczącą. Jako przewodnicząca musiałam odwiedzać szkoły i organizować internat na kursy dla nauczycielstwa. Na miejscu, oprócz szkoły powszechnej, mieliśmy szkołę „Macierzy" o poziomie gimnazjalnym, ochronkę i schronisko.

W domu, oprócz stałej kwatery dla licznych oficerów wszelkich narodowości, miałam praktykantki i liczną młodzież żądną pobytu na wsi i obfitego pożywienia. Była to wszelka zbieranina. Córki urzędników i robo-

ciarzy, legioniści, o których już wspominałam i artystki doprowadzone do stanu niewiarogodnego wychudzenia, i obłąkana z rodziną, której mąż był uwięziony w Niemczech.

Jak się to wszystko mieściło, jak się mury rozszerzały dla przyjęcia nowego gościa, jak wszystkie kąty były pozapełniane nie wyłączając salonu, w którym nagromadzone były cenne antyki i obrazy, świadkowie kilkuwiekowej kultury naszych rodów, to dzisiaj wydaje mi się niezrozumiałe i nieprawdopodobne. Wtedy było to proste i łatwe, jak prostym i łatwym było niemal codzienne jeżdżenie po 30 - 40 - 60 km jednokonną dryndulką, bo tak było trzeba. Wszyscy domownicy nie tylko mieścili się i mieli co jeść, ale każdy znajdował jakiś przydział pracy, a między wielką gromadą panowała harmonia urozmaicana tylko niekiedy drobnymi sporami.

W pracy miejscowej trafiały się także tarcia. Mądrale, którzy przy każdej sposobności chcieli wyłowić dla siebie wydatniejsze korzyści, niechętnie podporządkowywali się wpływom osób odnoszących się krytycznie do ich tajemnych dążeń. Większe przeciwieństwa ujawniali ludzie z wyraźnym nastawieniem politycznym. Zmierzali do tego, aby odegrać wydatną rolę w czasie oczekiwanych zmian w kraju, gotowi byli popierać tylko te ugrupowania, które wyraźnie i głośno wypowiadały się za ich kierunkiem, oddzielając się murem obojętności i niechęci względem wszystkiego, co odbiegało od ich kapliczki. Najgorsze było i trudne do zrozumienia powolne organizowanie się stolicy i wieść o tarciach, jakie tam zachodziły.

Jakże naiwna i niedoświadczona byłam wtedy, oczekując zorganizowania nowej Polski w ciągu kilku miesięcy, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Czarodziej był, ale i On potrzebował czasu na stworzenie Polski z rozproszkowanego pyłu, jaki przedstawiało spłoszone i rozbite społeczeństwo.

Jakże mogłam rozumieć, czym jest praca nad zjednoczeniem państwa z pod trzech zaborów i wojska z trzech wrogich armii. Jak bohaterskiej, nadczłowieczej siły było na to potrzeba. Może trochę otworzyło się moje zrozumienie tego, co dziś stało się takie jasne, gdy brat mój ułatwił mi poznanie Komendanta i dłuższą z nim rozmowę. Jakże oczarowana i upokorzona wyszłam z tej rozmowy! Było to na tydzień przed wywiezieniem szarego Komendanta do Magdeburga. Mówiliśmy głównie o stosunku wojska do społeczeństwa i o czynnej roli, która powinna w tym przypaść kobietom.

Mój wrodzony zmysł gospodarski dyktował mi różne propozycje przygotowania kobiety w kołach gospodyń do podjęcia akcji aprowizacji wojska. Komendantowi podobał się ten realny pogląd na nasze zadania. Rozstałam się z Nim oczarowana i, jak wspomniałam, upokorzona tym, że mam tak mało do dania, że z wszystkich moich zabiegów koło zorganizowania kobiet i przygotowania gospodyń, praktycznie wyrobionych i zdol-

nych do planowej produkcji, jeszcze tak mało jest gotowych wyników, że w chwili, gdy tyle przeszkód jest do zwalczenia, Komendant nazwał nas kozami, które skaczą na pochyłe drzewo. Miał słuszność — pochyłe drzewo kończyło się szczytem zawieszonym nad próżnią.

Pamiętna ta rozmowa dodała mi bodźca do zwrócenia uwagi na szersze ramy organizacji. Wojna odcięła mnie od stolicy, od centrum kraju i naszej pracy kobiecej. Trzeba było zbliżyć się do niej na powrót, swoją oderwaną od trzech lat pracę włączyć do ogólnych wysiłków. Niegdyś może dobrym było przysłowie: „Czyń każdy w swoim kółku", teraz całość sama nie mogła się złożyć, trzeba nią było pokierować.

W a l k i.

Pośpieszny wymarsz Niemców ułatwił naszą komunikację z Warszawą, umożliwił porozumienie z dzielnicami tak niedawno jeszcze niedostępnymi i umożliwił narady rozproszonych dotychczas działaczek nad zgrupowaniem rozpierzchłej pracy. Ale już dawały się odczuwać objawy zwiastujące raczej podkopanie jedności niż jej umocnienie.

C. T. R. zaczęło po trochu naśladować ziemianki w zakładaniu kół gospodyń, czyniąc to zrazu nieśmiało i prowadząc jeszcze rozmowy, podczas których dowodzono, że rozpowszechnienie pracy może być tylko korzystne, bo, wobec jej rozmiarów, jedna organizacja nie mogłaby jej podołać. W ramach stowarzyszenia dotychczasowa jedność też była zagrożona. Silny rozwój kół gospodyń i coraz większe ich uświadomienie wywołało obawy wśród wielu ziemianek, że poziom organizacji może się obniżyć, że za wiele uwagi poświęca się drobnym gospodarstwom ze stratą dla większych. Miejscowe starcia między większą i mniejszą własnością, pobudzane przez agitatorów partyjnych, trafiały się coraz częściej, a w wyniku ich zaczęły się mnożyć przykłady ostrych wystąpień przeciwko t. zw. majoryzacji stowarzyszenia przez włościanki. Z jednej strony stanęła grupa wyraźnie partyjna i ta chciała przeprowadzić wysunięcie na czoło organizacji partyjnego sztandaru. Z drugiej stał zarząd, rozumiejąc, że hasło „Z Bogiem i Narodem" obowiązuje do akcji w duchu Chrystusowym: dążenia do współpracy kobiet z wszystkich stanów i z wszystkich zaborów. Rozumiałyśmy, że Polska nie może być silna i światła, jeżeli będzie miała słabe i ciemne kobiety. Należało więc wznosić rozbite przez wojnę szkoły gospodarcze, przygotować szybko sztab instruktorek, mogących podjąć dokształcenie samodzielnych gospodyń, i pomagać jak najusilniej w odbudowie zniszczonych domów i gospodarstw. Zarówno te dążenia, jak i niechęć do dalszej demokratyzacji stowarzyszenia, miały liczne zwolenniczki i żaden zjazd nie obszedł się bez tarć. Na razie nie przejmowałyśmy się tym zanadto. Wszak tyle było do zrobienia i tyle się robiło, że szkoda było czasu na walkę ze sprawami na pozór drugorzędnymi.

Do najważniejszych zadań chwili bieżącej należało stworzenie szkoły instruktorek, która mimo trudności finansowych została założona w 1918 r. w Warszawie, potem przeniesiono ją do Puław. Zamiarem naszym było postawić tę szkołę na wysokim poziomie i rzeczywiście, pomimo wielkich przeszkód, pierwszy rocznik zgrupował nieliczny, ale obiecujący materiał i dał dobre wyniki. Mieszkając dość daleko od stolicy nie mogłam wkładać tyle pracy do wydziału gospodyń, ile chciałam, ale zarząd stowarzyszenia był jeszcze jednolity i wiedziałam, że główną działalność rozwija się w pożądanym kierunku.

Coraz silniej uwydatniało się wśród kobiet wiejskich uświadomienie obowiązków w stosunku do państwa, a jednocześnie dążenie do otrzymania i wykorzystania praw, które pozwoliłyby kobietom wypowiedzieć się co do tego kierunku, jaki powinien panować w szkolnictwie, ochronie zdrowia, w uzdrowieniu handlu i t. p. Każdy zjazd odbywający się pod moim przewodnictwem przynosił wyraźne uchwały i żądania.

W 1918 r. została uchwalona przez kilkaset obecnych jednoroczna obowiązkowa służba społeczna kobiet.

W 1919 r. 1194 kobiety, a wśród nich delegatki z Wielkopolski, Pomorza, Śląska, z Krakowskiego i Lwowskiego, z Wołynia i Wilna uchwalają utworzenie Centralnej Rady dla porozumienia się kobiet z całej Polski zjednoczonej. Na wniosek Kółka Mogilnickiego zostaje zakupiony dla sejmu krzyż i zaniesiony przez gospodynie z Magdaleną Urbankową na czele, która, oddając krzyż marszałkowi sejmu z prośbą o umieszczenie go w sali sejmowej, zaznaczyła: „Tak, jak dawniej posłowie nasi obradowali w sejmie pod znakiem Chrystusa, tak i obecnie jest wolą narodu polskiego, aby przy wydawaniu ustaw w wolnej Polsce posłowie nasi powodowali się piękną nauką Chrystusa ustanawiając prawa zgodne z tą nauką w imię sprawiedliwości, miłości i zgody chrześcijańskiej, bo tylko takie prawa zapewnić mogą Ojczyźnie rozwój i potęgę, a wszystkim jej obywatelom dobrobyt i szczęście". Niedaleka przyszłość miała dowieść, jak potrzebne, ale zarazem jak mało skuteczne były te słowa. Sejm nie stał się przykładem zgody, a tym bardziej miłości chrześcijańskiej. Nadzieje nasze na dojrzałość polityczną narodu polskiego zostały zawiedzione.

Ja także w swej działalności nie dopięłam wymarzonego celu. Mając zawsze prostolinijne usposobienie mówiłam to, co myślę i robiłam to, co mówię, bez względu na to, czy to się komu podoba czy nie. Wszelka kompromisowość była mi obca, dlatego obok wielu przyjaciół miałam też niemało przeciwników. Do rzędu przyjaciół mogłam zawsze zaliczyć lud, z którym miałam wciąż rosnącą styczność; jedynie mądrale zwalczali mnie, choć niezbyt skutecznie. Zastępy przeciwników mnożyły się z innej strony. Byłam zawsze człowiekiem bezpartyjnym. Nie chciałam służyć jednej kapliczce, ale całej Polsce, nie chciałam się zapisać do żadnej partii i to zjednało mi sporo niechętnych, a nawet wrogów. Podkopywali

mi moją robotę, choć nie występowali głośno. Przeciwnie, miałam coraz szersze pole działania, do którego wciągały mnie nie tylko kobiety, ale i mężczyźni.

Moja kompetencja gospodarska została uznana jako fakt, a wzmocniło ją ukazanie się nowej pracy hodowlanej „Praktyczne wskazówki dla hodowców świń", która zyskała wielkie powodzenie. Musiałam jeździć po całej Polsce dla wygłaszania odczytów, albo oceniania okazów na wystawach. Przy tej sposobności coraz lepiej poznawałam Polskę i jej niewesoły stan hodowlany i mogłam zbierać wiele spostrzeżeń pożytecznych przy dalszej pracy popularyzatorskiej.

Doszłam wtedy do jasnego zrozumienia celu mego życia. Wszakże zarysował się od dzieciństwa, krystalizował się przy pierwszym żywym zetknięciu ze wsią, był źródłem dążenia do studiowania w Krakowie cudownych objawień żywej przyrody. Poznawanie zwierząt i roślin, badanie ich życia, obserwowanie tajemniczych praw i zjawisk i budzenie w najbardziej tajemniczym tworze przyrody, jakim jest człowiek, moich zamiłowań, moich dążeń. Formy, jakie miało przyoblec to dążenie, mogły być różne. Słowo żywe na zjazdach i kursach, żywe pokazy na wystawach i w obrębie własnej hodowli na podwórzu. Słowo pisane — artykuły popularne, rzetelnie przeżyte i prawdziwe, nie fabrykowane mozolnie przy biurku, ale podające wskazania wypróbowane i doświadczone. Obszerniejsze prace — coś między książką a broszurą, obejmujące całokształt moich wiadomości. Wreszcie nauka oparta na organizacji szkolnej i społecznej — oto były środki popularyzowania moich umiłowań.

Rok 1920.

Mickiewicz nazywa rok 1812 rokiem urodzaju. Takim był również rok 1920. Co się posiało — to wschodziło, rosło i plonowało na podziw, niemal bez potrzeby ludzkiej pielęgnacji. Co się urodziło, było silne, żwawe i żywotne. Nigdy jeszcze nie miałam takiego stada urodnych indyków, mieniących się w słońcu miedzianozłotymi połyskami (wiadomo mi było, że fioletowe odcienie są świadectwem osłabienia żywotności).

Nigdy jeszcze stado kilkuset gęsi nie było takie wyrównane, nigdy kaczki nie pokryły tak równomiernie żółtego puchu cytrynowymi piórami, a kurczęta nie pierzyły się z taką łatwością; świnie miałam uratowane podczas wojny. Zawdzięczałam to dobrej znajomości niemieckiego języka, dającej możność wytargowania od generałów zakwaterowanych w zamku, jeśli nie całości, to choć części mego stada. Teraz pomnożyło się ono tak, że musiałam przeznaczyć dla młodzieży i macior jeszcze dwa chlewy. Popyt na sztuki rozpłodowe w wyniszczonej okolicy był ogromny, przeszło 20 pierwszorzędnych macior dawało mi po stokilkadziesiąt prosiąt naraz, a zapotrzebowanie było kilkakrotnie większe.

Cały mój wysiłek mógł być skierowany na pracę z ludźmi, bo w gospodarstwie i w ogrodzie przyroda sama pracowała za mnie.

Wojna zbliżała się do nas tak cicho i niespostrzeżenie, była czymś tak niewiarogodnym, że nikt się jej nie spodziewał i nikt jej się nie obawiał.

Ale przyszła. Porywała najprzód ludzi młodych. Do nich zaliczał się mój mąż, chociaż nie wiekiem, ale usposobieniem, nie wahającym się ani na chwilę wobec porywu obowiązku i zapału. Oddał się do dyspozycji formacji wojsk ochotniczych i został przydzielony do legii akademickiej 36 pułku piechoty, jako oficer byłej armii rosyjskiej w randze podporucznika.

Zostałam sama. Co mówię sama. Wszakże w domu, oprócz wnuka i matki mojej synowej, były praktykantki i całe zastępy uchodźców. Każdy zakątek był nimi zapełniony i przepełniony.

Wreszcie przyszła chwila, w której zrozumiałam, że i ja muszę opuścić swój dom. Dziecko z babką wysłałam najpierw, potem rozmieściłam, co się dało, z rzeczy u służby folwarcznej, obiecując nagrodę za staranne przechowanie. Wywiązali się z tego wzorowo i cenne rodzinne pamiątki oddali mi w całości. Potem spędzono na podwórze bydło, zniesiono kufry i kosze naprędce zapakowane, trochę drobiu i najcenniejsze sprzęty. Miałam to szczęście, że służba nie tylko nie broniła mi zabrania inwentarza, jak to miało miejsce niemal we wszystkich sąsiednich majątkach, ale sama szykowała się iść ze mną, pędzić bydło i wieźć fury. Ale przybiegły kobiety, błagając, żebym mężów im nie zabierała. Bolszewicy zrzucili tego dnia z samolotów kartki, nakazujące zamykanie burżujów i obiecujące rozdanie ich dobra, a dla opornych kulkę w łeb. Zwolniłam więc wszystkich za wyjątkiem pastucha z chłopcem, bo ci nie chcieli opuścić krów. Stado 80 wołów wypasanych na łąkach, wszystkie moje świnie, przeszło 1.000 sztuk drobiu zostały...

Ale to nie było najgorsze. Zostały książki. Cała bogata biblioteka wraz z darami ślubnymi dziadka, wraz z ogromnym doborem wydawnictw zagranicznych, z całym materiałem rękopiśmiennym, z tekami obejmującymi kilkaset rysunków komponowanych do haftu. O zabraniu tych skarbów nie było mowy. Bolszewicy byli tuż, tuż i rzeczywiście przyszli w kilka godzin po moim wyjeździe. O pozostaniu tym bardziej nie mogło być mowy. Wszak byłam żoną oficera-ochotnika, a wojska kozackie Gaja, który tam nadszedł, pokazały już po paru dniach, z jakim okrucieństwem umieją mordować.

Moje przyjaciółki z sąsiednich wiosek przez cały dzień poprzedzający wyjazd zwoziły do mnie drób i kiełbasy dla wojska, prosiły i namawiały, żebym pozostała u nich, ale musiałam zrobić tak, jak sobie życzył na wyjezdnym mój mąż i pojechałam.

Chwila wyjazdu była dziwna i ciężka. Dom otaczali z dwóch stron ludzie nieznajomi, raczej ludzkie zjawy, jakich mieszkając przez 10 lat,

nigdy nie widziałam. A przecież zdawało mi się, że znam wszystkich w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Wszystkich, nawet najuboższych.

Gdy spojrzałam na drapieżne ręce, wyciągające się już po to, co mi się zdawało moim dobrem, gdy zobaczyłam głodne oczy tych nieznajomych nędzarzy, stało mi się jasnym, że już tu nie wrócę. Nigdy nie wrócę. Bez względu na to, czy będę mogła, czy nie. Nie chcę żyć nadal w takim kontraście, jaki zachodzi pomiędzy tym, co ja mam, a czego oni nie mają. Nie chcę być przedmiotem zazdrości i nienawiści. Tak opuściłam zamek i tych, co przyszli rabować.

Miałam uczucie jakiejś nieodpokutowanej winy ciążącej na mnie, jakiegoś żalu do siebie samej... Rozdarła się przede mną jakaś zasłona zakrywająca głębie życia ludzkiego, których wcale nie znałam. Człowiek nędzarz zakrył przede mną rozkoszne cuda przyrody, wypieszczone i wypasione stada hodowane dla ludzkiego pożytku, śmiejące się, prześwietlone urodą kwiaty i owoce.

Przejściowe chwile.

Nie wróciłam już do zamku. Na razie zamieszkałam w Warszawie, czekając na powrót męża z wojska. Ponieważ nieobecność jego przedłużała się, pojechałam więc do niego i zdecydowaliśmy sprzedać majątek. Właśnie trafiał się poważny kandydat na nabywcę, a że jednocześnie ogłoszono wezwanie do obywateli o nabywanie pożyczek państwowych i pomoc skarbowi państwa, więc postanowiliśmy za sumę uzyskaną ze sprzedaży nabyć papiery i kupić małą zagrodę położoną blisko Warszawy, aby tam zamieszkać.

Chcieliśmy mieć takie gospodarstwo, jakie mają przeciętni małorolni i chcieliśmy tak gospodarować, żeby dać dowód, jaki wdzięczny materiał stanowi taka mała jednostka i jaki poziom kultury można jej nadać. Zanim znaleźliśmy odpowiednią zagrodę, zamieszkałam w Warszawie i prowadziłam dalej pracę organizowania kobiet wiejskich, dopomogania w odbudowie zniszczonych przez wojnę gospodarstw.

Ostatnie przeżycia nasuwały mi cały szereg wątpliwości co do tego, czy skuteczną może być praca prowadzona w otoczeniu kobiet, których większość była rozgoryczona i zniechęcona. Czy zaprzyjaźniona grupa w zarządzie ziemianek zdoła prowadzić robotę w tym kierunku, jaki był jedynie zdrowy i skuteczny.

Powoli skrystalizowała się inna forma dążenia do celu. Miało się nią stać stworzenie instytucji jednoczącej wysiłki kobiet, dążących do szerzenia gospodarczego kształcenia kobiet, przede wszystkim wiejskich, ale nie wyłączając także miejskich. Liczyłam na to, że taka organizacja może się przyczynić do szybszego rozwoju szkolnictwa gospodarczego, do współpracy z rządem i w tej dziedzinie, do wytworzenia w społeczeństwie

nastroju sprzyjającego podniesieniu gospodarstwa w rodzinach ze wszystkich sfer.

Praca przygotowawcza trwała dosyć długo. Tymczasem stało się jasnym, że dalsza współpraca ze Stowarzyszeniem Ziemianek jest dla mnie bezcelowa, ustąpiłam więc ze stanowiska przewodniczącej wydziału gospodyń wiejskich, nie zrywając ze stowarzyszeniem, ale rezygnując z kierowniczego stanowiska. W parę miesięcy później ustąpiła reszta zarządu i nowi ludzie stanęli na czele ziemianek.

Małorolne gospodarstwo.

Gospodarstwo, które objęliśmy, było idealnym terenem dla mojego męża. Oprócz ziemi, zarośli i zrujnowanych budynków nie było na nim nic. Prawda, był stary osioł Franc, ale i ten nie miał co jeść, bo na całej zagrodzie nie było ani jednego zagona obsianego; ziemię orną stanowiły doły i rowy strzeleckie, łąki były zakwaszone, ogród zapuszczony.

Z całego inwentarza zamkowego uratowały się tylko 2 krowy bliźniaczki i dwie kobyłki wprawdzie nie bliźniaczki, ale urodzone tego samego dnia, choć po dwóch matkach i dwóch ojcach. Wkrótce okazało się, że chociaż inwentarza nie było, ale pozostały po nim zarażone budynki, a nawet pastwiska, tak że w kilka tygodni po sprowadzeniu nasze bliźniaczki padły na zarazę płucną, a każda sztuka wprowadzona do obory ulegała temu samemu losowi.

Początki gospodarstwa były więc trudne i zniechęcające. Teren dla chowu świń okazał się też niekorzystnym. O popycie na sztuki rozpłodowe nie było mowy, bo wśród włościan nie było żadnego zainteresowania rasowymi zwierzętami; musiałam więc zrezygnować i z tej hodowli i na razie przy pomocy praktykantek dążyć do rozwinięcia chowu uratowanych zielononóżek i indyków. Ale i to okazało się trudnym. Gdy po paru latach zdążyłam odchować około 300 bardzo wyrównanych zielononóżek, przyszła zaraza i pomimo, a raczej dzięki zabiegom lekarskim, zmarnowała mój świeży dorobek.

Warto poświęcić parę słów tej sprawie, bo przebieg jej był nad wyraz charakterystyczny dla naszych stosunków.

Dwa koguty padły mi jednego dnia wśród podejrzanych objawów. Chcąc skonstatować, jaka choroba była przyczyną upadku, posłałam natychmiast jedną sztukę do powiatowego weterynarza, a drugą do zakładu J. S. w Warszawie. Po 9-ciu dniach otrzymałam z gminy kartkę z wiadomością, że „kogut padł na chorobę ptasią"; ciekawy ten dokument posiadam dotychczas. Z laboratorium S. otrzymałam dużą butelkę z instrukcją, jak mam szczepić, co też natychmiast uczyniłam z wielkim wysiłkiem własnoręcznie. Następnego dnia połowa kur była martwa, a reszta zdychająca. Gdy się zgłosiłam do zakładu po wyjaśnienie, dowiedziałam się, że zabrakło szczepionki leczniczej, przysłano mi więc tylko kul-

tury, nie uprzedzając mnie o tym. W rezultacie, zamiast wyleczyć, zabiłam swoje kury.

Teren okazał się niesprzyjający dla pracy hodowlanej, a ja pozyskałam jedno doświadczenie więcej. Dowiedziałam się, jak sumiennie są u nas prowadzone prace weterynaryjne, jak dużo jest do zrobienia w tym kierunku. Niedobitki mojej hodowli posłużyły mi tylko do utrzymania wartościowego gniazda zielononóżek, chociaż zrezygnowałam z większej hodowli i odtąd mam już tylko trochę kur dla siebie.

Niewielkie gospodarstwo, na którym wkrótce założyłam wzorową szparagarnię, plantację róż, tulipanów i konwalii na sprzedaż kwiatów ciętych, stało się dla mego męża terenem intensywnej pracy melioracyjnej, w której rozwinął całą swą twórczą pomysłowość. Wkrótce cała posiadłość była zdrenowana, osuszone grunta rodziły wspaniałe mieszanki i buraki, a podjęta na dużą skalę fabrykacja kompostów znalazła dobry zbyt u właścicieli ogrodów, zakładanych przy willach. Zaraza płucna została wreszcie zwalczona drogą odkażania budynków i dokonywania szczepień ochronnych, a posiadłość nasza zyskała sobie sławę uroczego zakątka.

Tworząc nową placówkę tak różną od dotychczasowych, mieliśmy niemało osobistej roboty. Wszakże melioracje musiały być robione jak najoszczędniej, bo gotówka włożona w państwowe pożyczki okazała się ofiarą całkowitą i bezpowrotną. Utrudniało to nasze położenie, ale nie zmartwiło nas ani przez chwilę. Od czasu objęcia gospodarstwa rozumieliśmy, że ono przede wszystkim ma nam dać utrzymanie i, pracując radośnie własnoręcznie w polu i ogrodzie, cieszyliśmy się z dobrych wyników na wdzięcznej ziemi, która tak hojnie odpłacała się za nasze starania.

Żyjąc tak i pracując jako małorolna, zastanawiałam się nieraz nad tym, czy dobrze zrobiłam opuszczając mój wydział gospodyń, pomimo, że ani chwili nie wątpiłam w jego potrzebę i byłam tak bardzo przywiązana do tej pracy. Jednak zawsze kończyło się na przeświadczeniu, że ja jestem człowiekiem nadającym się tylko do pracy pozytywnej, ale nie do walki wewnętrznej i partyjnych kłótni. Rozumiałam, że organizacja gospodyń jest niezbędna, ale musi być prowadzona na terenie niezależnym, tego zaś stworzyć w danej chwili nie byłam w stanie, zmuszona do intensywnej pracy organizacyjnej we własnej zagrodzie.

Ale natura nie znosi próżni. Rozpadające się koła gospodyń - ziemianek zostały przygarnięte arcychętnie przez Centralne Towarzystwo Rolnicze, gdzie po paroletnich próbach wstępnych stanęła na ich czele pierwszorzędna organizatorka Aniela z Godlewskich Zdanowska, mająca we krwi po ojcach odziedziczone zdolności kierownicze. Była ona stworzona na przodownicę: energiczna, władcza, a jednocześnie ofiarna i gotowa do największych poświęceń, gdy chodziło o dobro sprawy. Spotykałyśmy się często na terenie C. T. R. w czasie różnych zjazdów i kursów i wkrótce

p. Zdanowska zaprosiła mnie na zjazd do Częstochowy i zaproponowała wejście do zarządu.

Kiedy znalazłam się w Częstochowie wśród paru tysięcy kobiet, poczułam z całą siłą, jak dalece jestem w swoim żywiole, jak bezgranicznie związana jestem z tymi wszystkimi, co u stóp Jasnogórskiej Królowej szukają umocnienia w społecznej pracy. I znów oddałam się cała i bez reszty tym, którym byłam potrzebna. I znowu to zadanie dało mi szczęście i strawę dla duszy.

Teren pracy szybko się rozszerzał. Redaktor Chmielecki zdobył moje współpracownictwo do „Gazety Gospodarskiej", a niedługo potem objęłam redakcję „Głosu dla kobiet". Zmieniłam nazwę tego pisma na „Przodownicę", zmieniłam zupełnie charakter jego i zdobyłam cenne współpracownictwa.

Wydział gospodyń rozrastał się żywiołowo. Z każdym dniem przybywało kół i członkiń, z każdym miesiącem rozszerzało się koło instruktorek, mnożyły się kursy różnego typu, wrzało życie młode i bujne. Była to atmosfera podniecająca do pracy twórczej, więc pomimo przeciążenia podejmowałam coraz liczniejsze współpracownictwo w pismach ludowych, opracowałam też nowe podręczniki gospodarskie: „Dobre Nioski", a potem „Gęsi, chów, tuczenie, użytkowanie" i inne.

Zaproponowane mi pogadanki miesięczne dla gospodyń w radio i odczyty treści gospodarczej podjęłam chętnie, ceniąc bardzo tak świetną placówkę propagandową. Ileż ona mi dała miłych niespodzianek! Ile razy zaczepiana byłam w czasie podróży w wagonie pytaniem: „Pani mówi w radio?", poznawano mnie bowiem po głosie. Ale co ważniejsze, jak często zjawiali się w dniu odczytu ludzie zupełnie nieznajomi, czasem przyjezdni z odległej prowincji, i z pełnym zaufaniem powierzali mi, którą znali tylko z głosu, swoje troski, kłopoty i zamiary. Wygłosiłam w radio przeszło 130 odczytów i zaliczam tę propagandę do najskuteczniejszych, trafia bowiem do ludzi, z którymi na żadnej innej drodze nie mogłabym się zetknąć.

Tu muszę jeszcze wspomnieć o jednej placówce, dającej również możność oddziaływania na dziesiątki tysięcy ludzi. Są to kursy korespondencyjne rolnicze im. Stanisława Staszica. Kursy te stały się znakomitym ułatwieniem szerzenia wiedzy gospodarskiej wśród samouków, takich co to w żaden sposób do szkoły nie mogliby pojechać. Szkoła przychodzi do nich, przywozi im wykłady specjalistów, nasuwa pytania, zmuszając przez to do sumiennego pogłębiania wiadomości, przez ocenę poprawianych lekcji wyjaśnia stopień zrozumienia, jaki wykonane zadanie ujawniło.

Najprzód objęłam w 1925 roku lekcję hodowli świń na kursie wyższym, potem stworzony został kurs popularny, wreszcie powierzone mi zostało kierownictwo kursu dla gospodyń wiejskich. Powodzenie kursów było w pierwszych latach ogromne. Kurs dla gospodyń miał w ciągu

pierwszej zimy około 900 uczennic, a w tej liczbie wiele uczennic zbiorowych, a więc kół gospodyń.

Wzrastająca liczba instruktorek, docierających do wsi z żywym słowem, a przede wszystkim kryzys wpłynęły na zmniejszenie liczby kursistek, nie zniechęciło to jednak kierownictwa do dalszego prowadzenia kursów — istnieją one nadal, choć już nie mają tak licznych uczennic.

Przy organizowaniu kursów postanowiłam zejść z utartej drogi udzielania wskazówek o formie przepisów bezmyślnie stosowanych i nadałam im bardziej nowoczesną formę. Śmiało mogę stwierdzić, że była to pierwsza próba podania gospodyniom wiejskim zasad organizacji pracy, racjonalnego urządzenia domu, a co może najważniejsze, zaryzykowałam rzecz uprzednio nie istniejącą w polskiej dziedzinie nauczania, a mianowicie podałam bardzo popularne, ale naukowe podstawy żywienia rodziny rolnika. Wreszcie, zamiast setek przepisów, dałam ogólne zasady wykonywania czynności gospodarskich.

Równie śmiałym nowatorstwem była lekcja o macierzyństwie, świetnie opracowana przez dra Kasperowiczową. Jasno i przekonywująco opisała ona największy cud przyrody: przyjście na świat człowieka i odpowiedzialność rodziny za to, czym on będzie. Lekcję tę zaliczam do najlepszych wykładów naukowo-popularyzatorskich.

Kursy korespondencyjne przyczyniły się niewątpliwie do wydatnego posunięcia naprzód sprawy dokształcania gospodyń wiejskich. Rola, jaką one odegrały, jeszcze nie da się dzisiaj całkowicie docenić, ale przyszłość pokaże, ilu kobietom otworzyły oczy na ich zadania, dla ilu instruktorek stały się źródłem ułatwiającym przez długi czas robotę.

Za to mnie dały one ogrom pracy. Były lata, w których naraz otrzymywałam po 200 lub 300 zadań do przeczytania i poprawienia. Zaledwie oddałam jedną porcję, już czekała druga — uczniowie bywali czasem bardzo pilni, jedna odpowiedź zajmowała 4, nawet 6 lub 8 stron arkuszowych najeżonych cyframi. Te trzeba było sumiennie sprawdzać i poprawiać.

Miałam więc roboty niemało, ale też pełne ręce bezcennego materiału. A był to materiał przeważnie szczery i rzetelny. Setki szkiców wnętrz z ich przestarzałym rozplanowaniem, setki opisów chlewów bez okien i podłóg, z bagnem jako legowisko, z dziurawymi, nigdy nie bielonymi ścianami, z paszą nigdy nie obliczaną i materiałem opasowym o nieznanym, przypadkowym pochodzeniu. Na końcu lekcji ileż to razy znajdowałam radosną obietnicę uporządkowania chlewu, unormowania paszy. Obok tekstu zadań zdarzały się takie uwagi, pisane koślawymi literami na kartce wyrwanej ze starego zeszytu: „z listem pani obleciałam całą wieś, nie chcieli wierzyć naprzód, ale potem uwierzyli. Bo u nas ludzie powiadali, że jenteligencja nie chce naszej oświaty, bo wtedy kto by chciał się w gnoju i ziemi babrać...“.

Kiedy rozpatrywałam niezliczone odpowiedzi, podające rozkład pra-

cy gospodyni wiejskiej, tej pracy niedocenianej przez nikogo, a jednak trwającej normalnie 15 - 16 godzin, w ciągu żniw dochodzącej do 18 godzin, a w sezonie tkactwa w okolicach, gdzie ono stanowi podstawę gotówkowych dochodów gospodyni — nawet do 20, postanowiłam wykorzystać ten materiał i ułożyć na jego podstawie harmonogram pracy polskiej kobiety wiejskiej. Zbliżająca się wystawa w Poznaniu dała mi impuls do przygotowania mojej pracy na ten termin. Miał to być i był pierwszy harmonogram opracowany gruntownie i ujęty w działy pracy domowej, podwórzowej, rolnej i rękodzielniczej. Robotę techniczną wykonała bardzo starannie i pomysłowo p. K., jedna z naszych kursistek, a dane zebrane w ciągu 4 sezonów, dostarczyła jedna z kółkowych, p. W. Z., po sprawdzeniu ich przez instruktorkę.

Prace tego rodzaju były uprzednio zagranicą wykonywane tylko na podstawie zapisków jednorazowych, co wobec zmienności zajęć, zależnie od robót związanych z różnymi porami roku, nie mogło dać istotnego obrazu pracy wykonywanej przez gospodynie wiejskie. Przedstawiałam mój harmonogram, wykazujący ogromne rozbicie roboty i trudności ujęcia jej w prawidłowy rytm, na Kongresie Międzynarodowej Federacji Gospodarczego Kształcenia w Antwerpii, gdzie wywołał niesłychane zainteresowanie. Wzmocniło to moje przekonanie, że tego rodzaju prace o podkładzie naukowym są niezbędne dla racjonalnego przygotowania instruktorek do ich zadań.

Drogą naturalnej ewolucji od hodowli świń zaczęłam przechodzić do zainteresowania życiem i pracą człowieka. Jako samouk nie miałam nabytej metody studiowania interesujących mnie zjawisk, ale musiałam opracowywać własne metody dopasowane do tych zagadnień, które mnie szczególnie interesowały. Do tych należała organizacja pracy i sprawa żywienia się polskiej wsi. Pierwsza znalazła wyraz w ułożonym harmonogramie, a potem w planowej analizie terenu pracy gospodyni, rozkładu jej w związku z pomocą rodziny i środków, jakich potrzebuje dla utrzymania rodziny, zarówno w gotówce jak i w produktach.

Coraz jaśniejszym stawało się dla mnie, że polska ludność wiejska nie dojada ani ilościowo, ani jakościowo. Już Stanisław Szczepanowski powiedział, że „galicjanin“ (w tym ponad 80% naówczas drobny rolnik, głównie chłop polski) je za pół człowieka; ale czy tak było w istocie? Jaki ułamek niedojadania należało przypisać całej Polsce, a jaki poszczególnym rejonom. Tej kwestii nie można było rozstrzygnąć bez gruntownych studiów. Pomyślałam o wykorzystaniu w tym celu odpowiedzi na lekcje z kursu dla gospodyń wiejskich, „Przodownicy“ i tych Izb Rolniczych, które istniały od dłuższego czasu. Otrzymałam materiał bogaty, ale niedostateczny.

Jedynym właściwym terenem do zebrania bardziej wyczerpujących danych był Wydział Ekonomiki Drobnych Gospodarstw w Instytucie Pu-

ławskim. Tam dane były już gromadzone, aczkolwiek w formie dla mnie niewłaściwej, bo przeliczone na gotówkę, a nie podane w tych ilościach i jakości, w jakiej były użytkowane.

Do przerachowania gotówki na naturalia nie miałam klucza, a wobec olbrzymiej zmiany cen był on niezbędny.

Informacje, udzielone mi przez Wydział Ekonomiki były korzystne dla wytworzenia orientacji, ale potrzebne były odpowiednie środki choć dla jednej pracownicy, a właśnie w tym czasie o środki pieniężne było coraz trudniej i dlatego sprawa studiowania na podstawie statystycznych danych warunków bytu polskich rodzin włościańskich nie dała się zrealizować w tej mierze, jak to było potrzebne.

Praca w szkolnictwie gospodarskim.

Od pierwszego kroku, jaki postawiłam dla nawiązania stosunków z dziewczynkami wiejskimi, gdy sama byłam jeszcze pensjonarką, poprzez zakładanie szkół różnego typu, osobiste ich prowadzenie, wykłady na kursach i kierowanie kursami listowymi im. St. Staszica, stale rządził mną jakiś impuls wewnętrzny: dzielenia się z innymi mym doświadczeniem. Cóż dziwnego, że w chwili zmartwychwstania Polski, szkolnictwo gospodarskie pociągało mnie niemniej niż sprawy organizacyjne kobiet wiejskich.

Niższe szkoły gospodarstwa były związane z Ministerstwem Rolnictwa — wyższe należały do Ministerstwa Oświaty. Zanim doszło do ostatecznego zgrupowania szkolnictwa, trzeba było porozumiewać się z obydwoma ministerstwami, aby móc trochę chociaż współdziałać w przyśpieszeniu rozwoju tego szkolnictwa, które w stosunku do liczebności kobiet wiejskich i doniosłości, jaką przedstawia dla państwa nasze uświadomienie gospodarskie i poziom kultury rodzinnej, jest jeszcze bardzo słabo rozwinięte.

Zdawało mi się, że zgrupowanie kobiet działających czynnie i twórczo w zakresie gospodarskiego szkolnictwa może się stać ważką pobudką do postępu, a porozumienie się z władzami organizacji reprezentującej dążenia społeczeństwa do postępu, może być pożyteczne dla tych, co szkoleniem państwowym kierują. W tej myśli zaprojektowałam utworzenie Rady Naczelnej Gospodarczego Kształcenia Kobiet. 26 marca 1926 r. odbył się pierwszy zjazd nowej instytucji. W skład jej weszły przedstawicielki stowarzyszeń mających w programie nauczanie gospodarstwa, kierowniczki wyższych szkół gospodarstwa i seminarium warszawskiego, przedstawicielki nauczycielek i instruktorek gospodarstwa i te nieliczne osoby, które się wtedy tą sprawą interesowały.

Śmiało mogę powiedzieć, że pomimo bardzo skromnych środków, jakimi Rada rozporządzała, działalność jej odbiła się korzystnie na postę-

pie gospodarskim prac kobiet, na ich uświadomieniu a nawet na ustosunkowaniu się władz i społeczeństwa do tej olbrzymiej dziedziny pracy.

Jako przewodnicząca Rady powoływana byłam wielokrotnie przez różne ministerstwa na narady w sprawie rozbudowy szkolnictwa, różnych typów szkół i opracowywania programów dla nich.

Narady, zwoływane przez Ministerstwo Rolnictwa dla unowocześnienia programów szkół rolniczych dla kobiet, nie dały wyniku z powodu przeniesienia całego szkolnictwa do Ministerstwa Oświaty. Dopiero od roku 1935 rozpoczęły się tam bardzo poważne studia, zmierzające do nadania szkolnictwu gospodarskiemu form związanych z ogólną rozbudową szkolnictwa. Po paru naradach wstępnych otrzymałam zaszczytną propozycję współpracy przy opracowywaniu programu dla szkół przysposobienia gospodarskiego, które się tworzą na miejsce dawnych szkół rolniczych ludowych dla kobiet. W szkołach tych uwzględnione jest daleko silniej stanowisko gospodarstwa domowego, kultury rodziny i rozwoju uświadomienia co do obowiązków rodzinnych, niż to miało miejsce uprzednio.

Zaledwie została ukończona trudna, ale tak bardzo zajmująca praca tworzenia nowych programów dla dziewcząt wiejskich, zostałam powołana do pomocy przy układaniu programu dla szkół gospodarstwa typu licealnego. Prace programowe obejmują nowe dziedziny, które dotychczas były opracowywane fragmentarycznie. Brak w tym kierunku wyższych studiów, brak podręczników. Doświadczenie kierowniczek szkół istniejących obecnie jest rozproszone, a programy ich, tworzone indywidualnie na bardzo różnorodnych podstawach, nie dają materiału do opracowania jednego ogólnie obowiązującego programu.

Trudności są więc duże. Jest to praca doświadczalna, która wchodząc w życie ulegać będzie niewątpliwie przeobrażeniom i doskonaleniu, ale jest to jasna droga prowadząca do celu niezmiernie doniosłego. Analiza programów i typów istniejących szkół gospodarstwa, zapoznanie się z zagranicznymi placówkami rozmaitego rodzaju wyrobiły we mnie przekonanie, że szkolnictwo gospodarskie w państwie mającym tak różnorodne warunki, jak Polska, musi mieć duże bogactwo form, przede wszystkim trzeba znaleźć formy przystępne, tanie, możliwe do szerokiego zastosowania na wsi. Od tej myśli do realizacji jej trzeba było uczynić już tylko jeden krok — postawić go w samym środku wsi, w związku ze szkołą powszechną, jako placówką trwałej wiejskiej kultury.

W tym środowisku ma stanąć obszerna chata, wzorowana na charakterystycznym typie miejscowego budownictwa, obejmująca dużą kuchnię z kilkoma ogniskami, zaprojektowanymi na wzór kuchni rodzinnej, zaopatrzonymi w stoły do przyrządzania potraw i w sprzęt skromny, ale bardzo celowo przemyślany. Na zmianę odbywać się tam może nauka planowania pożywienia, gotowania, pieczenia, wyrabiania zapasów i sprzątania, nauka prania i prasowania, kroju, szycia i innych robót. Szatnia,

śpiżarnia, piwnica, drwalnia, duży ganek i pokoik dla nauczycielki dopełniałyby skromne urządzenie. Ogródek, kilka kur, karmnik ułatwiałyby pozyskanie produktów spożywczych. Szkoła dla dziewcząt przychodzących z okolicy stanowiłaby teren nie tylko dla kursu dokształcającego, przeznaczonego dla tych, które ukończyły powszechną szkołę, ale także dla kursów różnego rodzaju dla dorosłych gospodyń wiejskich. Nauczycielka nie ograniczałaby się do nauczania, ale mogłaby mieć wpływ na gospodarstwa w rodzinach swych uczennic, a także ich własne, gdy wychodzą za mąż.

Budynek szkolny mógłby być wyzyskany w najrozmaitszy sposób — byłby dopełnieniem domu ludowego, ośrodkiem rodzinnej i gospodarskiej kultury.

Myśl o takiej szkole nie dawała mi spokoju. Wszakże podobny typ miałam u siebie dwukrotnie: w Błońskim i Mławskim, w obu miejscowościach szkoła cieszyła się ogromnym powodzeniem i pracowała z pożytkiem. Dziś czasy są inne, trudno liczyć na to, żeby takie szkoły powstawały staraniem jednostek, ale może je tworzyć wieś tam zwłaszcza, gdzie budowane są nowe szkoły powszechne II i III-iego stopnia.

W chwili, gdy to piszę, rozpoczęłam kroki w kierunku realizacji tego nowego, demokratycznego typu szkoły gospodarstwa, która przychodzi do wsi, aby jej służyć. Miejscowe koło młodzieży okazało silne przejęcie dojściem do skutku budowy domu dla szkoły dokształcającej — niedaleka przyszłość wykaże, czy urzeczywistnienie projektu będzie możliwe. Na razie okoliczności zdają się sprzyjać, władze szkolne życzliwie zapatrują się na mój projekt, wieś zaczyna się do niego zapalać, organizacje kobiece z Instytutem Gospodarstwa Domowego obiecują pomoc w formie opracowania planów, przyrzeczenia sprzętów — no i w zbieraniu gotówki.

Nie podobna opisywać tu obszerniej rozległej pracy Rady Naczelnej gospodarskiego kształcenia kobiet, wspomnę tylko o tym, że prowadzimy w niej usilną propagandę wyrobienia poszanowania dla pracy gospodarskiej tak niedocenianej i lekceważonej. Temu celowi służą konkursy sprawności, organizacja praktyk, inicjatywa i pomoc w stworzeniu Instytutu Gospodarstwa Domowego, inicjatywa w zorganizowaniu kursów wakacyjnych gospodarstwa dla nauczycielek szkół powszechnych i wiele innych prac, dla których szukamy wzorów zagranicą i przystosowujemy je do naszych warunków, ale w większej mierze dążymy do tworzenia własnych kształtów i programów.

Dążenie do zjednoczenia.

Po tych szczegółach dotykających dość pobieżnie działu mojej pracy, wprawdzie nie należącego bezpośrednio do społecznej działalności na wsi, ale z nią niezawodnie związanego, powracam do chronologicznego

opisu przebiegu starań o scentralizowanie organizacji gospodyń wiejskich. Niestety to zjednoczenie, którego tak bardzo pragnęłam, stało się początkiem nowego rozpadnięcia w kołach gospodyń. 7 lipca 1931 roku Aniela Zdanowska otrzymała zawiadomienie z prezydium, że przestała być przewodniczącą Wydziału Gospodyń. Stało się to w czasie mojej nieobecności; gdy powróciłam fakt był dokonany.

Cios był ciężki, bo w brutalny sposób została usunięta osoba, która ofiarną pracą służyła tym, które ją i jej pracę ceniły. Ale przyszły gorsze. Na razie byłam w niepewności co do losów Wydziału, a nie było nikogo, z kim by można było o nich pomówić. Na koniec po 2 tygodniach dowiedziałam się o przyjeździe członka prezydium pana dra W. P. Udałam się do niego z zapytaniem, co będzie z „Wydziałem" i z „Przodownicą". „Właśnie zamierzamy Pani zaproponować przewodniczenie", była odpowiedź. „Wobec stosunku prezydium do Z., objęcie stanowiska przepodniczącej z mianowania nie jest pociągające". „To prawda, ale my w stosunku do Pani inaczej będziemy się zachowywali. Niech pani postawi swoje warunki".

Zgodziłam się na to. Warunki były jasne: zupełny samorząd Wydziału i zarządzanie nim tylko do czasu zwołania ogólnego zjazdu gospodyń w Częstochowie, gdzie wybory miały zdecydować o tym, kogo gospodynie chcą mieć w prezydium. Stanowisko w prezydium z mianowania było dla mnie nie do przyjęcia. Inne warunki omawiały szczegóły programu i stosunku do C. T. O. i K. R.

Znowu minęło kilkanaście dni w oczekiwaniu na wyraźne wypowiedzenie się prezydium C. T. O. i K. R., a w międzyczasie otrzymałam od pana W. M. list, w którym pisał co następuje. „Wierzę, że po odejściu p. Zdanowskiej, znajdzie się jednak grono ludzi — niewiast, które śmiało będą szły do wytkniętego celu. W tym względzie wierzę, że Pani przodować będzie nadal tej pracy i liczyć może z mojej strony i moich kolegów z Prezydium na pomoc, na jaką tylko nas stać będzie. Nie może osobista animozja i subiektywne podejście do zagadnienia zaciemniać nam wielkiego horyzontu przed nami. Bardzo proszę Szanowną Panią, by w tym momencie jej wielkie doświadczenie i zapał do pracy były dalszą naszą podstawą do pracy i t. d....".

Opinia p. W. M. była dla mnie bardzo cenna, ale to był list prywatny, a nie odpowiedź na warunki, które miały mi umożliwić dalszą współpracę z C. T. O. i K. R.

W chwili, gdy ten list dostałam, nic nie wiedziałam o tym, że już podjęta została ze strony ziemianek akcja protestacyjna przeciwko stanowisku prezydium C. T. O. i K. R. w stosunku do p. Zdanowskiej, zakończona uchwałą powołania Komisji, mającej uniezależnić koła gospodyń od C. T. O. i K. R. i stworzyć nową organizację „Towarzystwo Kół Gospodyń Wiejskich". Wiadomość o tej uchwale była dla mnie ostatecznym ciosem. Dotychczas całą myśl miałam zwróconą na to, jak ratować

Wydział gospodyń, jak stworzyć warunki umożliwiające pracę spokojną i twórczą, tak, by te, o które chodzi, były rzeczywiście jedynie odpowiedzialnymi za swoją organizację. Teraz znalazłam się wobec rozłamu. Był on faktem dokonanym.

Przeżyłam ciężkie chwile niepewności. Nie trwały one długo. Pomimo bezgranicznego przywiązania do mej pracy musiałam ustąpić. Nie mogłam się wypowiedzieć ani za jedną, ani za drugą stroną — tam, gdzie kobiety, o które chodziło, o niczym nie wiedziały, a gdyby wiedziały, to nie wolno im byłoby nic powiedzieć, o niczym stanowić. Miałam głębokie przekonanie, że ani jeden, ani drugi teren nie jest odpowiedni dla normalnego rozwoju pracy; rozumiałam, że żadna z dwóch stron walczących o dusze nie ustąpi, żadna się na kompromis nie zgodzi, a ja mniej niż ktokolwiek jestem zdolna w tej chwili do godzenia tych, co decydują o cudzych losach.

To, co potem nastąpiło, było już tylko stroną formalną. Dnia 5 sierpnia otrzymałam propozycję przybycia do prezydium dla osobistego porozumienia. Odpowiedziałam odmownie, podając powód i kończąc nadzieją, że dalszy przebieg wypadków pozwoli mi jeszcze przystąpić do współpracy z organizacją, której pożytek dla Polski zawsze ceniłam i prośbą, aby we właściwym czasie pamiętali o mej gotowości do tej współpracy. Na tym skończył się jeszcze jeden etap mojej pracy.

Czy dobrze postąpiłam, rozwiązując go w ten sposób, to okaże przyszłość. Na razie, chociaż byłam oderwana od obu instytucji, przy których grupowały się koła gospodyń, pracy nie brakowało, zwłaszcza w zakresie szkolnictwa i opracowania spraw związanych z organizacją gospodarstwa domowego i pożywienia rolników. Miałam dużo wykładów i kursów na ten temat.

Nieziszczone nadzieje.

W kwietniu 1933 roku otrzymałam niespodzianie propozycję przyjścia do Ministerstwa Rolnictwa dla udzielenia informacji w sprawie organizacji gospodyń wiejskich. Starałam się, aby moje informacje wypadły zupełnie bezstronnie, ale nie mogłam ukryć przekonania, że stosunki są gorszące.

Nie dość na tym, że dwie organizacje istnieją na jednym terenie, ale jeszcze ta okoliczność pobudza inne organizacje do prowadzenia na tym samym terenie akcji, która dla nich nie jest celem, ale środkiem do zdobywania członków. Uważałam, że uregulowanie tych spraw jest rzeczą naglącą. Konieczne jest również zarejestrowanie instruktorek, mających prawo używania tego tytułu i opracowanie programu ich zawodowego wykształcenia.

W wyniku tej rozmowy zostałam zaproszona na konferencję, która się odbyła 10 maja w Ministerstwie Rolnictwa i R. R. w sprawie zasad

organizacyjnych pracy wśród kobiet wiejskich. Zebraniu przewodniczył dyrektor departamentu produkcji rolnej, tezy referował naczelnik wydziału. Zaproszony był delegat Związku Izb i Organizacji Rolniczych R. P. i 15 pań wysłanych przez województwa, jako rzeczoznawczynie. Stowarzyszenie Ziemianek zaproszenia nie otrzymało, a Wydział Gospodyń przy C. T. O. i K. R. odmówił udziału.

Po długiej dyskusji zebrane wyraziły jednomyślnie następującą opinię, którą podaję podług urzędowego protokółu (skrót):

„1. Organizacja kobieca na poziomie ogniwa wojewódzkiego nie powinna być częścią dobrowolnej organizacji rolniczej.

2. Organizacja K. G. W. winna być oddzielną jednostką prawną, współpracującą z Izbą i organizacjami ogólno-rolniczymi.

3. Winna być przez Radę Izby powołana do życia Komisja K. G. W., dzięki czemu organizacja miałaby możność ściślejszej współpracy z Izbą.

4. Podział kompetencji winien być mniej więcej oparty na tych zasadach, że Komisja K. G. W. winna prowadzić sprawy fachowo-rolnicze, organizacja zaś kobieca — wszelkie inne prace, jak np. sprawy wychowania, higieny.

5. Zebrane uważają za konieczne powołanie do życia jakiejś komórki centralnej, opartej o Związek Izb i Organizacji Rolniczych R. P. i obejmującej całe terytorium kraju.

Ponieważ K. G. W. dotychczas nie mają osobowości prawnej, zebrane uważają za wskazane, by z inicjatywy Związku Izb i O. R. R. P. zwołany został zjazd złożony z przedstawicielek dotychczasowych organizacji wojewódzkich, który wyłoni tymczasową komisję ze stałym sekretariatem dla spraw kobiecych wszystkich województw, a ten zastanowi się nad właściwymi formami organizacyjnymi dla spraw K. G. W.

Zadaniem tymczasowej Komisji byłoby:

1. Sprawowanie społecznego nadzoru nad sekretariatem centralnym.

2. Opracowywanie metod pracy: utrzymanie kontaktu co do zadań K. G. W. i ich realizacji.

3. Wydawanie literatury popularnej".

Po ukończeniu oficjalnej części zebrania obecne panie wyraziły chęć wybrania komisji mającej przygotować dalsze prace organizacyjne. Przewodniczący oddał zebranym do dyspozycji salę obrad i usunął się oddając mi przewodnictwo. Narada była krótka. Komisja została wybrana w osobach pań M. K., M. B. i mojej.

W ślad za tym zebraniem, które wzbudziło w nas radosne uczucie, że zbliżamy się do rozwiązania konfliktu, Ministerstwo wystosowało do Związku Izb i O. R. list z życzeniem, aby ta organizacja dopomogła Komisji wybranej na konferencji do realizacji jej zamierzeń.

Nie będę opisywała ciężkiej i mozolnej pracy, jaka z tą chwilą na mnie spadła. Włożyłam w nią całą energię, dobrą wolę i optymizm, do którego byłam zdolna, zdobyłam ogrom życzliwej pomocy, ale mego dą-

żenia nie dopięłam. Szereg konferencji, które się odbywały, dowiódł jasno, że sprawa szła po linii sformułowanej w protokóle Ministerstwa Rolnictwa, ale C. T. O. i K. R. i jego Wydział Gospodyń nie były skłonne do współpracy.

20 września przyjechały na konferencję do Związku Izb i O. R. przedstawicielki siedmiu organizacji gospodyń wiejskich istniejących dotychczas, z tych pięć wypowiedziało się za utworzeniem ogólnego związku, a dwie wstrzymały się od głosowania, wyjaśniając, że nie mają ku temu mandatu. Wobec braku sprzeciwu wybrana została Komisja prawomocna do ułożenia statutu i przeprowadzenia jego legalizacji. Wybór przewodniczącej Komisji znowu padł na mnie. Prace przygotowawcze trwały do maja następnego roku, w ciągu tego czasu pracowałam także nad redakcją I. Zeszytu „Pracy wśród gospodyń wiejskich", poświęconego zagadnieniom organizacyjnym i zestawieniu dotychczasowej działalności różnych organizacji. Zeszyt ten wydany został przez Związek Izb i O. R. z zasiłku Ministerstwa Rolnictwa.

Dnia 5 czerwca 1934 r. odbyło się sprawozdanie Komisji, która spełniła swoje zadanie, pracowała przez rok w porozumieniu z Z. I. i O. R. udzielającym jej jak najdalej idącej pomocy. Ministerstwo R. i R. R. było stale informowane o przebiegu prac, a ważniejsze zebrania Komisji miały miejsce przy obecności delegata Ministerstwa.

Wobec ukończenia swych prac Komisja rozwiązała się, po czym przy obecności licznie zebranych gospodyń wybraną została Komisja organizacyjna nowego związku, która statut, przyjęty przez obecne, złożyła Komisariatowi Rządu do legalizacji. Był to ostatni czyn Komisji. Wkrótce potem nastąpiły zmiany w Ministerstwie Rolnictwa. Nowe władze miały inne zapatrywania na pracę wśród gospodyń wiejskich. Statut nie został zatwierdzony, a odmowna decyzja zapadła na podstawie 14 i 20 art. prawa o stowarzyszeniach.

Według art. 14-go odmowa następuje, jeśli istnienie stowarzyszenia nie da się pogodzić z prawem, albo może wprowadzić zagrożenie bezpieczeństwa, spokoju lub porządku publicznego. Ponieważ statut był ściśle uzgodniony z nowymi przepisami o stowarzyszeniach, więc widocznie organizacja gospodyń groziła bezpieczeństwu państwa. Według art. 20 powstanie stowarzyszenia nie odpowiadało względom pożytku społecznego.

Odpowiedź Komisariatu nie została doręczona ani mnie, ani żadnej innej członkini Komisji organizacyjnej, lecz rzucona została w stanie mocno uszkodzonym na stół instruktorki Stow. Ziemianek, bez koperty i adresu. Na wielokrotne moje zgłoszenie do M. R. i R. R. nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Jasnym się stało, że wytworzył się nastrój nie sprzyjający usamodzielnieniu pracy kobiet wiejskich. Zapanowało rozczarowanie i przygnębienie. Jakże można było wytłomaczyć tym wszystkim kobietom, które z zapałem i głębokim zrozumieniem współpracowa-

ły z nami, że położenie stało się beznadziejne. Rozpoczął się wielki nacisk na mnie, abym protestowała, broniła, szukała sprawiedliwości.

Nie chciałam.

Uważałam, że skoro Ministerstwo Rolnictwa, a z nim Ministerstwo Spraw Wewnętrznych jest przeciwne powstaniu „łączności" i nie ujawnia rzeczywistej przyczyny swej niechęci, to widocznie uczynić tego nie może, a ja nie mam prawa domagać się wyjaśnienia.

Wierzyłam i wierzę dotychczas, że gdy przyjdzie właściwa chwila, moje dążenia urzeczywistnią się, choć może bez mojego udziału. Zresztą pracy i teraz mi nie brakuje i nie tracę kontaktu z organizacjami, które nie przestały pragnąć połączenia i czy to na kursy, czy na zjazdy wzywają mnie.

O innych dziedzinach mej pracy pisać nie będę, wspomnę tylko, że prowadzę w R. N. G. W. K. obecnie akcję organizowania wzorowych gospodarstw i praktyk, że opracowałam kilka nowych popularnych książek gospodarskich, że mam stały kontakt z międzynarodową akcją gospodarczego kształcenia i sposobność do wzbogacenia moich wiadomości w tej dziedzinie.

Jak wtedy, kiedy stawiałam pierwsze kroki w pracy społecznej przeszło 50 lat temu, tak i dzisiaj mam niczym nienasycony głód poznania. Jak wtedy, tak i dzisiaj muszę studiować, jako samouk, to co mnie wiecznie pociąga. Nie dlatego, żeby w sobie zasoby nauki gromadzić, ale żeby się nimi potem z innymi dzielić. Jeśli przetrwałam trudności piętrzące się na mojej drodze, jeśli dziś jeszcze gotowa jestem stanąć w każdej chwili do pracy, na jaką mnie stać, to dlatego, że siły czerpię z żywego kontaktu z polskim ludem i że czerpię je z nieustającej pracy z ziemią i dlatego bez obawy, raczej z radością myślę o tej chwili, kiedy już na zawsze ziemia mnie ogarnie i jeszcze ściślej zespoli ze sobą, bo ona jest moją, a ja jestem jej.

P. L. 13 stycznia 1936 r.

———

Lp. 6

Emerytowany oficer

obecnie pod Warszawą.

Urodziłem się 1 stycznia 1882 r. we wsi N. w pow. sokólskim, w obecnym województwie Białostockim.

Było nas dzieci sześcioro — dwoje umarło, zostało czworo: dwie siostry i dwóch braci, w których liczbie byłem najmłodszy.

Ojciec mój był dość zamożnym gospodarzem: miał 17 ha ziemi, dom składający się z trzech izb oraz inne zabudowania w stanie zupełnie dobrym. Z dobytku miał parę koni do pracy i zwykle jedno źrebię, dwa woły (wtedy wołami orali), dwie lub trzy krowy oraz jedno lub dwoje cieląt, miał również 8 - 9 owiec i kilka sztuk świń. Przy chacie był spory sad, w którym stało kilka pni pszczół. Oprócz tego ojciec miał zawsze paręset rubli pieniędzy, które często pożyczał bliższym i dalszym sąsiadom, sprawiającym mu niemało kłopotu przy ściąganiu pożyczki.

Ojciec mój był znany w całej okolicy ze swego rozumu i taktu, przy tym był bardzo energiczny i stanowczy, ale sprawiedliwy i wyrozumiały na wady ludzkie. Dzięki tym zaletom cieszył się ogólnym uznaniem i poważaniem. Wieś nie powzięła żadnej poważniejszej uchwały w życiu gminy bez porozumienia się z mym ojcem.

W życiu domowym był pracowity i oszczędny, ale nie skąpy. Bardzo kochał dzieci, z którymi spędzał wszystkie wolne od pracy chwile. Dzieci też bardzo kochały ojca i wszędzie za nim biegały, jak pisklęta za kurą. Szczególną troskliwością ojciec otaczał mnie, być może dlatego, że byłem najmłodszym dzieckiem w rodzinie.

Ojciec umiał czytać i słabo pisać po polsku, rosyjskiego języka nie znał zupełnie.

Matka moja była wyjątkowo pracowita i zapobiegliwa, ale skąpa i bardzo niezgodna w pożyciu domowym, wskutek czego wynikały między rodzicami częste sprzeczki i kłótnie, zatruwające życie całej rodzinie.

Tych drobiazgów domowych nie pamiętam, opowiadała mi je star-

sza siostra, która mnie bardzo kochała. W ogóle obie siostry bardzo mnie kochały, z bratem często kłóciliśmy się i nieraz dochodziło do rozprawy na pięści.

Miałem coś około trzech lat, gdy umarł ojciec, zostawiwszy wśród dzieci świetlaną o sobie pamięć. Nie spotkałem w życiu, żeby którekolwiek z dzieci wiejskich odzywało się z takim szacunkiem o swoim ojcu, jak moje siostry i brat odzywali się o naszym ojcu.

Jedną tylko chwilę jakby przez sen pamiętam z życia ojca. Ojciec już był bardzo chory, prawie umierający, brakowało mu powietrza. Okna były otwarte na podwórze, po którym biegałem krzycząc hałaśliwie. Zawołano mnie do domu. Ojciec leżał w łóżku z obwiązaną głową. Cichym, przerywanym głosem powiedział do mnie, głaskając po głowie: „Nie krzycz tak, mój kochany Adelku, bo mię bardzo głowa boli". Bardzo ojca żałowałem i mocno przytuliłem się do niego. I to tylko pamiętam z życia ojca, więcej nic. Dziś mi się zdaje, że ojciec, mówiąc wtedy do mnie, miał w oczach łzy. Starsza siostra opowiadała potem, że w czasie choroby ojciec często przywoływał do siebie dzieci, szczególnie mnie, pieścił i całował. Przy tym siostra dodawała, że ja byłem przyczyną śmierci ojca.

Ojciec pracował w polu, grabiąc siano. Nasuwały się chmury. Ojciec śpieszył, żeby przed deszczem zgrabić jak najwięcej. Ja, zmyliwszy czujność matki, uciekłem w pole do ukochanego tatula. Przybiegłem, gdy zaczynał padać deszcz. Ojciec zdjął z siebie świtkę i otulił mnie, zostając w jednej koszuli. Był spocony i bardzo zgrzany, lunął zimny deszcz. Tak otulonego w świtce przyniósł mnie do domu, ale sam był mokry do ostatniej nitki i miał już dreszcze. Zaraz położył się do łóżka i więcej nie wstał: najukochańszy syn był przyczyną śmierci najukochańszego ojca.

Starsze rodzeństwo mówiło nieraz potem, że ojciec za życia często mówił, że córki wyda za mąż, starszego syna zrobi gospodarzem, a mnie odda do szkół. To był jakby testament, który został całkowicie wykonany.

W domu wszyscy mówili po białorusku, czyli „po prostemu", z dużą mieszaniną słów polskich. Książki do nabożeństwa mieliśmy polskie i uważaliśmy się za Polaków. W ogóle ludność dzieliła się tam na polskich i ruskich: katolik był uważany za Polaka, a prawosławny za Rosjanina. Ponieważ byliśmy katolikami, przeto Polakami.

Z chwilą śmierci ojca skończyło się nasze spokojne i szczęśliwe życie. Matka wyszła za mąż po raz drugi, co prawda za brata naszego ojca, ale całkiem innego człowieka. Ojczym nasz był dobry, łagodny, cichy, spokojny, nas nie krzywdził, lecz niezbyt dbał o gospodarstwo i nie miał tego rozumu, co nasz ojciec a starszy jego brat. Przedtem głową domu był ojciec, trzymający wszystko w karbach, teraz została matka, a ponieważ była bardzo nerwowa i niezgodna, przeto kłótnie w domu trwały prawie ciągle.

Tak płynęły lata za latami. Rosłem i pomagałem w pracy codziennej. Latem pasłem konie i bydło i pracowałem w polu, w zimie zamiatałem chałupę, skrobałem kartofle i trochę uczyłem się czytać.

Wszyscy w domu umieli czytać po polsku, ojczym zaś czytał nawet po rosyjsku, czego nauczył się w wojsku, pisać natomiast nikt w domu nie potrafił. Mając lat 10 umiałem tak dobrze czytać po polsku, że inne dzieci przychodziły do naszej chałupy, a ja uczyłem je sztuki czytania.

W 1893 r. zjawił się w naszej wsi wędrowny dziad, który chwalił się, że jest człowiekiem bardzo uczonym: umie czytać i pisać po polsku, po rosyjsku, nawet po łacinie i zna rachunki. Gdyby rodzice chcieli, to może uczyć ich dzieci tych mądrości. Gospodarze po tajnej naradzie postanowili powierzyć wędrownemu dziadowi naukę drobiazgu wiejskiego. Ale ponieważ tajna szkoła była w owe czasy wielkim ryzykiem, surowo karanym, przeto przedsięwzięto wszelkie kroki ostrożności przed urjadnikiem i żandarmami, którzy od czasu do czasu zaglądali do naszej wsi. W tym celu na szkołę wybrano chałupę na samym końcu wsi, położoną nad pastwiskiem zalewanym w jesieni wodą, zamarzniętą w zimie. Dzieci miały przygotowane do zabawy sanki i łyżwy. W najbliższej chałupie przy drodze zawsze czuwano. Gdy nadjeżdżała władza, dzieci na dany znak wysypywały się na lód, a pan dyrektor wkładał torby i odmawiał pacierze. Władza coś węszyła, ale nie mogła złapać na gorącym uczynku, potem dostawszy parę rubli wcale już nie przyjeżdżała i dała nam pokój.

Moja nauka w tej szkole polegała na czytaniu i pisaniu po rosyjsku, czytaniu po łacinie i rachunkach. Przez zimę nauczyłem się zupełnie nieźle czytać i pisać po rosyjsku, trzepać (nie rozumiejąc ani słowa) po łacinie i dwóch działań arytmetycznych — dodawania i odejmowania. Więcej, zdaje się, nie umiał sam dyrektor.

Na drugą zimę chciałem, żeby mnie oddano do szkółki powszechnej we wsi C.-W., odległej od N. o 7 km, lecz matka nie zgodziła się. Powtarzała: nie i nie. Nic nie pomógł mój płacz, matka nie dała się uprosić.

Tę zimę zmarnowałem. Znowu skrobałem kartofle, rąbałem drzewo, zamiatałem chatę, doglądałem dobytku, gdy ojczym i brat jeździli do lasu po drzewo, i uczyłem czytać inne dzieci, które mi płaciły po 50 gr. na miesiąc.

Oprócz tej pracy nauczyłem się pisać po polsku, sam bez żadnej pomocy. Pobudką do tej nauki były listy z Ameryki, pisane po polsku, a przynoszone do mnie do czytania. Nie mogłem spełnić prośby moich sąsiadów, gdyż nie umiałem czytać pisanego po polsku, ale postanowiłem nauczyć się i nauczyłem się w sposób następujący:

Pożyczyłem u naszej sąsiadki elementarz, w którym były polskie litery pisane obok drukowanych. Patrząc na polskie litery drukowane i umiejąc pisać po rosyjsku, zacząłem gryzmolić po polsku. Z początku szło mi źle, ale potem coraz lepiej, wreszcie poszło zupełnie dobrze: umiałem pisać po polsku i po rosyjsku. Byłem już człowiekiem uczonym. Umiałem

nie tylko przeczytać każdy list z Ameryki, ale również i napisać po polsku i rosyjsku.

Do czytania nie miałem żadnych książek, oprócz książek do nabożeństwa, które przeczytałem po kilka razy. Jedna z moich ciotek przyniosła mi żywot św. Genowefy, który wkrótce umiałem na pamięć. Wieczorami przychodzili sąsiedzi, żeby posłuchać mego czytania i dowiedzieć się, jak żyli w lesie św. Genowefa i mały jej synek Boleś.

To była pierwsza książka nie do nabożeństwa, którą przeczytałem w swym życiu. Nic więcej nie czytałem, bo nie miałem co. Nikt z naszych gospodarzy nie prenumerował żadnej gazety.

Gdy nadeszła druga zima, znowu rozpoczęła się walka o szkołę. Matka nie chciała się zgodzić, o ile mogłem zrozumieć, dlatego, że mój wyjazd do szkoły pociągał za sobą pewne wydatki, czego matka bardzo nie lubiła, bo była skąpa. Zacząłem tak strasznie płakać, że dostałem spazmów, a w nocy nieraz zrywałem się przez sen z łóżka i biegłem do szkoły. Cała rodzina i krewni stanęli po mojej stronie. Wreszcie ustąpiła nieprzejednana dotychczas matka, gdyż zlękła się o moje zdrowie, zaczęto bowiem mówić, że mogę zachorować, albo nawet zwariować. To przestraszyło matkę, bo kochała mnie, choć po swojemu: chciała mieć mnie przy sobie i nic nie wydawać.

Do szkoły pojechałem z opuchniętymi oczami.

Dlaczego jesteś taki zapłakany — zapytał nauczyciel — pewnie nie chciałeś jechać do szkoły?

Nic na to nie odpowiedziałem, wyręczyli mnie chłopcy, którzy jeden przez drugiego trajkotali:

— Nie, on chciał, ale matula go nie puszczali.

— Czy bardzo chcesz się uczyć? — zapytał nauczyciel.

— Bardzo — odpowiedziałem.

— To dobrze. Ja lubię chętnych uczniów — powiedział nauczyciel i kazał mi czytać, potem pisać, wreszcie zadał dwa zadania na dodawanie i odejmowanie. Gdy to zrobiłem, kazał mi siąść w drugim oddziale, a po tygodniu powiedział:

— Jeżeli chcesz, posadzę cię w trzecim oddziale, ale radzę ten rok poprzestać na drugim, a w następnym roku będziesz u mnie pierwszym uczniem w trzecim oddziale i zdasz egzamin.

Nauczycielem był Rosjanin, dobry człowiek i niezły nauczyciel, pochodził z głębi Rosji i nie był do nas uprzedzony.

Na razie wszystko szło pomyślnie. Uczyłem się dobrze, tylko miałem kłopot z rosyjskim językiem, z którego wiele słów nie rozumiałem zupełnie. Wierszy uczyłem się nie rozumiejąc treści. Pewnego razu, gdy mówiłem wiersz „Koń“, który wyginał szyję, jak „lebied‘“ *), nauczyciel zapytał:

---

*) „Łabędź“. Red.

— Co to jest „lebied‘“? — Gdy milczałem, dodał:

— Do czego podobny jest „lebied‘“?

— Do konia — odrzekłem.

Gdy po tygodniu pobytu w szkole, przyszedłem do domu, matka oznajmiła mi, że cały następny tydzień będę w domu, a potem pójdę do szkoły. Lecz płacz i spazmy zrobiły swoje i matka musiała ustąpić. Nauczyciel, dowiedziawszy się, że matka chce posyłać mnie do szkoły co drugi tydzień, oświadczył:

— Powiedz matce, że jeżeli nie poszle cię do szkoły, zatrzymując w domu, zapłaci grubą karę.

— Gdy powtórzyłem to matce, tak się przestraszyła, że już więcej mowy nie było o zatrzymaniu mnie w domu.

Tak przeszła zima. Dziś przypominam sobie ze zdziwieniem dziecinną odwagę. Miałem wtedy 12 lat. Droga do szkoły wynosiła 7 km przez gęsty las. A jednak w sobotę po lekcjach, z książkami w torebce na plecach, wracałem do domu przez las. Nieraz w lesie było zupełnie ciemno. Dziwię się teraz, jak wtedy nie bałem się.

Zima minęła, zbliżały się egzaminy dla uczniów trzeciego oddziału, bo szkoła była trzechoddziałowa. Egzaminu nie zdawałem, lecz przysłuchiwałem się, czego pytano. Niektórzy chłopcy mówili, że jeżeli dobrze im pójdzie, w jesieni będą zdawali egzamin do dwóchklasowej szkoły powiatowej w S. To mi się podobało. Ja też postanowiłem zdawać egzamin do szkoły w S. i zdałem chyba tylko przypadkowo, lecz nauka w tej szkole szła mi z wielką trudnością. Wszyscy moi koledzy skończyli szkołę powszechną, byli lepiej ode mnie przygotowani, im więc wszystko szło łatwiej, mnie o wiele trudniej, ale tylko w pierwszym półroczu — w drugim zrównałem się z nimi i szkołę skończyłem za dwa lata. W świadectwie moim widniała tylko jedna trójka z rosyjskiego języka, do którego nigdy nie miałem wielkiego zamiłowania.

W szkole nie czytałem żadnych książek, gdyż uważałem, że jest to marnowanie czasu. Uczyłem się tylko tego, co było zadane. Nauka odbywała się w języku rosyjskim, nawet religii i katechizmu uczyliśmy się w tym języku. Po skończeniu szkoły powiatowej ojczym odwiózł mnie do Wilna. Matka już nie sprzeciwiała się, bo sąsiedzi i krewni przekonali ją, że nie można zawiązywać świata chcącemu uczyć się chłopcu: niech uczy się — mówili — a gdy skończy szkoły, wtedy całej rodzinie będzie pomagał. To ją przekonało.

W Wilnie mieszkało nas razem kilkunastu chłopców wiejskich na stancji anielskiej dobroci i złotego serca panny J. W., która za namową ludzi dobrej woli wynajęła większe mieszkanie i skupiła chłopców udających się do Wilna na naukę.

Tam rozpoczęło się uświadomienie narodowe i rozumienie wagi pracy społecznej. Ojciec naszej gospodyni, z pochodzenia Niemiec, był nauczycielem gimnazjum w Wilnie. Matka była Polką, wielką patriotką, któ-

ra wbiła w córkę gorącą miłość do ojczyzny. Panna J. W. zaszczepiała tę miłość nam. Jej pogadanki z przeszłości wywierały na nas niezatarte wrażenia. Wiele w życiu jej zawdzięczam. Była to nasza gospodyni, opiekunka i wychowawczyni. Czuliśmy się lepiej niż w domu. Ile razy potem, będąc studentem i nawet oficerem, przyjeżdżałem do Wilna, tyle razy szedłem do niej, jak do matki.

Kilku inteligentniejszych chłopców prenumerowało warszawską „Zorzę", która była pierwszą w życiu czytaną przeze mnie gazetą. Zacząłem czytać książki rosyjskie i polskie. Już teraz uważałem, że to nie jest marnowanie czasu. Gdy dorwałem się do trylogii Sienkiewicza, często zaniedbywałem lekcje. Wieczorem musieliśmy iść spać o 10 godzinie; nieraz kładłem się szybko, udając śpiącego. A gdy inni zasypiali, zapalałem świecę i czytałem do późna w nocy, bo wszak niepodobieństwem było nie dowiedzieć się, czy Skrzetuski szczęśliwie wydostał się ze Zbaraża, albo czy Kmicic wysadził kolubrynę szwedzką.

Uczyłem się prywatnie. Po roku pobytu w Wilnie zacząłem innych uczyć, żeby przysporzyć sobie środków na dalszą naukę, bo tych paręset rubli, zostawionych przez ojca, już się wyczerpało.

Przyjeżdżając do domu w lecie na wakacje, pracowałem w polu razem z rodzeństwem albo pasłem w lesie bydło. Idąc do lasu za bydłem, niosłem zawsze w torebce razem z posiłkiem książkę do czytania. A gdy krowy kładły się na odpoczynek, ja również kładłem się w pobliżu, czytałem i myślałem. Krowy, leżąc na trawie i żując leniwie, patrzały na mnie i zdawało się, że też coś myślały.

Pracując w polu porównywałem uprawę roli i plony z tym, co czytałem w „Zorzy" i w książkach o wzorowych zagrodach w Księstwie Łowickim. Szczególnie utkwiła mi w pamięci zagroda Kazimierskich pod Łowiczem, którą to zagrodę zwiedziłem w 1904 r. w towarzystwie przełożonej i kilku uczennic ze szkoły gospodarczej w Chyliczkach.

W czasie pracy w polu i w trakcie obcowania z towarzyszami zabaw dziecięcych zaczęła coraz częściej budzić się we mnie myśl o zorganizowaniu takiej instytucji ludowej, która by skupiła lud wiejski i w której wieś znalazłaby opiekę, radę i pomoc. Myślałem o tym błądząc samotnie po lesie, myślałem leżąc wieczorem w stodole na sianie. Dużo o tym rozmawiałem ze starszymi gospodarzami, którzy przyjmowali moje projekty z ironią, albo wręcz mówili: — „Jeżeli jesteś taki mądry, że nas starszych gospodarzy chcesz uczyć, to naucz swego brata: my umieliśmy gospodarzyć, kiedy nosiłeś koszulinę w zębach i pieszo pod stołem chodziłeś".

Lud znałem dobrze. Wiedziałem, że jest konserwatywny i niechętnie przyjmuje wszelkie nowinki, a mocno trzyma się tego, co robili ojcowie. Postanowiłem działać inaczej, stopniowo, przykładem. O założeniu jakiejś instytucji mowy być nie mogło, gdyż wszędzie węszono intrygę polską, nasze kresy uważano za kraj odwiecznie rosyjski, w którym prędzej, czy później musi zapanować język rosyjski i prawosławie. Natomiast

działaniu przykładem nikt przeszkodzić nie mógł, zacząłem więc sprowadzać w małej ilości gatunki zboża i warzyw, które dawały lepsze plony niż te, którymi obsiewano pola. To ludziom podobało się i zaczęli naśladować, o co mi właśnie chodziło. Oprócz tego przyjeżdżając na wakacje zawsze przywoziłem popularne książki o potrzebach wsi.

Tak płynęły lata. W zimie uczyłem się i dużo czytałem, latem pracowałem w polu i też dużo czytałem. Wieczorami i w święta rozmawiałem z gospodarzami, którzy coraz uważniej słuchali moich opowiadań. Nigdy już nie narzucałem im swoich projektów, lecz tylko opowiadałem, jak w innych krajach lud pracuje.

W 1900 r. zdałem egzamin w Petersburgu z 4 klas gimnazjalnych, w 1902 r. próbowałem zdawać z 6 klas, lecz nie zdałem, natomiast w 1903 r. zdałem egzamin w Carskim Siole z 8 klas, dostałem maturę i wstąpiłem na uniwersytet w Warszawie na wydział fizyczno-matematyczny.

Poczułem, że staję na mocniejszych nogach, a świat wydał mi się szerszy i weselszy. Dobiłem się tego, o czym marzyłem od szeregu lat: zostałem studentem uniwersytetu. Zdawało mi się, że teraz będę mógł rozszerzyć swoje projekty i opracować plan pracy wśród ludu wiejskiego. Odbywały się koleżeńskie narady i zebrania, które jednak nie dały żadnych realnych wyników. Nie bardzo mogłem porozumieć się z kolegami, bo mówili jakoś zawile, a tak mądrze, że niewiele rozumiałem. Padały tylko hasła, jak: powszechna rewolucja, ogólne rozbrojenie, zniesienie granic... Zdawało mi się, że sami koledzy nie bardzo rozumieli to, o czym rozprawiali i dlatego mówili tak zawile. W ogóle nie znalazłem wśród kolegów tego, czego szukałem...

Tymczasem wybuchła wojna rosyjsko-japońska i rozpoczęła się walka o polską szkołę. Uniwersytet został zamknięty. Wyjechałem na kondycję na Kujawy. Tam z księdzem-powstańcem, który spędził przeszło 30 lat na wygnaniu w głębi Syberii, zorganizowaliśmy niedzielne pogadanki dla jego parafian. Pogadanki cieszyły się dużym powodzeniem, było wiele chętnych słuchaczy, lecz wnet władza rosyjska zwęszyła i pogadanki zostały przerwane.

Miałem jakieś niewyraźne przeczucie, że wielkie chwile zbliżają się, że do tych chwil trzeba przygotować się. Ponieważ pociągała mnie służba wojskowa, przeto w 1906 r. wyjechałem do Petersburga i zdałem egzamin do szkoły artylerii.

Czułem się w szkole źle. Wszystko tam było obce, zimne, cudze. Koledzy, młodzi chłopcy, przeważnie wychowankowie korpusów kadeckich, razili mnie swoim zachowaniem się i zapatrywaniem na przyszłą służbę w wojsku. Wśród nich było sporo dobrych i rozumnych chłopców, lecz odczuwało się brak patriotyzmu. Klęski na polach mandżurskich nie odbiły się na ich duszach, nie wstrząsnęły godnością narodową i nie pobudziły ich do wytężonej pracy. Byli to kandydaci na przyszłych oficerów-

służbistów według rozkazu i na bierne ofiary przyszłych komisarzy bolszewickich.

Byli wśród nich i rewolucjoniści, którzy dawali mi do zrozumienia, że zbierają się gdzieś w zakonspirowanym mieszkaniu na tajne narady, na których chętnie by mnie widzieli, lecz udawałem naiwnego i zostawili mnie w spokoju.

W szkole było 12 Polaków, ale tak zruszczałych, że nie było między nami żadnej łączności. Władze szkolne nie robiły żadnej różnicy co do narodowości i pod tym względem czuliśmy się dobrze. Życie w szkole było koszarowe, monotonne. Mieliśmy dużo pracy fizycznej i umysłowej. Kurs trwał trzy lata.

Silne wrażenie zrobił na mnie stuletni jubileusz szkoły, który przypadł w marcu 1907 r. Uroczystości i zabawy trwały przez 10 dni. Takiego przepychu nie widziałem nigdy przedtem, ani potem. Zjechali wszyscy żyjący wychowankowie tej szkoły, a wielu z nich było na bardzo wysokich stanowiskach.

Wezwano nas do Carskiego Sioła na paradę, a potem na carskie śniadanie. Od wyszukanego jadła i obfitego picia uginały się olbrzymie stoły. Niektórzy junkrowie tak się popili, że dla uniknięcia skandalu trzeba było na gwałt wynieść ich i schować.

Potem znowu nastąpiło monotonne życie szkolne. Jedynym moim pragnieniem było jak najwięcej skorzystać z pobytu w szkole i jak najlepiej zbadać tajemnicę sztuki wojennej. Poza tym nic więcej mnie nie obchodziło. Żyłem własnym życiem i czułem się samotnie, jak na bezludnej wyspie.

Przez cały czas pobytu w szkole nie opuszczała mnie myśl, jak przyjść z pomocą drobnym rolnikom, jak zorganizować ich w gromadę i wykrzesać z nich tę siłę, którą naprawdę stanowią, a o której sami nie wiedzą. Z tą myślą błądziłem po długich korytarzach i pięknych salonach szkolnych, z tą myślą szedłem spać.

Wśród profesorów obok dobrych wykładowców, którzy potrafili zająć umysły słuchaczy, mieliśmy również nudnych, nie mających żadnego daru słowa ani umiejętności wykładania, a nawet — jak mi się zdawało — nie mających chęci do wykładania: odrabiali tylko godziny, żeby otrzymać zapłatę.

Pewnego razu siedząc na ostatniej ławce, zwanej u nas Kamczatką, na wykładzie jakiegoś nudnego stratega, postanowiłem pisać popularne pogadanki dla wsi w prasie ludowej. Zaraz napisałem pierwszy artykuł pod tytułem: „Do braci włościan", który był wydrukowany w sierpniu 1907 r. w wychodzącym w Wilnie „Przyjacielu Ludu".

W tym artykule powiedziałem kto pisze, do kogo, po co, co będzie pisał. Artykuł podpisałem pseudonimem M. Floda, trzymanym w wielkiej tajemnicy, bo wszak nie wypadało, żeby junkier szkoły artylerii i przyszły oficer wojska rosyjskiego pisał po polsku do ludu polskiego, zachę-

cając go do oświaty w kraju „odwiecznie rosyjskim“. Ujawnienie pseudonimu położyłoby prawdopodobnie kres mojej karierze wojskowej. Redaktor „Przyjaciela Ludu“ wiedział o tym i tajemnicy nikomu nie zdradzał.

Rozpoczynając pisać popularno-naukowe pogadanki miałem już gotowy plan: chciałem opisać w szeregu pogadanek przede wszystkim to, co się dzieje w przyrodzie, a czego prosty człowiek nie rozumie. Pisanie pogadanek łatwo mi przyszło. Będąc chłopcem, sam nie rozumiałem najprostszych zjawisk przyrody, a gdy pytałem ojczyma lub brata, zwykle otrzymywałem odpowiedź: „Bóg najwyższy to wie“. Teraz gdy zrozumiałem wiele rzeczy, postanowiłem opisać je w taki sposób, w jaki chciałem, żeby mnie opisywano, gdy tego jeszcze nie rozumiałem.

Do wykonania tego zamiaru wybrałem pismo ludowe, gdyż to był wtedy jedyny sposób trafienia do większej liczby czytelników wiejskich. Innego środka ani sposobu nie widziałem, bo naprawdę go nie było: pismo ludowe w owe czasy, to był jedyny sposób krzewienia oświaty polskiej na kresach.

W pierwszym artykule prosiłem czytelników, żeby pisali do mnie listy, jeżeli czego nie rozumieją w moich artykułach. Czytelnicy posłuchali mojej prośby i zasypywali mnie listami rozmaitej treści. Niektóre z nich były śmieszne i naiwne, ale świadczyły o tym, że zaciekawiłem czytelników i pobudziłem ich do myślenia, a o to mi właśnie chodziło. Prostym ludziom zdawało się, że jestem wszechwiedzącym i pytali mnie o wszystko. Jakaś piękność wiejska prosiła mnie w liście o wskazówki, jak usunąć piegi z jej nadobnego oblicza.

Korespondencja pomiędzy mną a czytelnikami odbywała się w osobliwy sposób. Ponieważ nie wiedzieli, jak nazywam się naprawdę i gdzie mieszkam, przeto kierowali listy do redakcji, skąd wysyłano je do mnie pod wskazanym adresem. Listów było dużo, pisanych nie tylko z najrozmaitszych zakątków naszych kresów, ale nawet z krajów dalekich, jak Ameryka, Syberia. Część najciekawszych drukowano w „Przyjacielu Ludu“, większą jednak część przechowuję do dnia dzisiejszego jako drogą pamiątkę.

Listy pochodziły przeważnie od ludzi prostych, nie posiadających żadnego wykształcenia. Pisane były niby po polsku, w istocie rzeczy na wpół po rosyjsku. Trzeba pamiętać, że działo się to przed trzydziestu laty, kiedy na kresach mieliśmy tylko rosyjskie szkoły powszechne, w których nawet religii uczono po rosyjsku.

Pogadanki podzieliłem na kilka serii zamkniętych, a jednak mających związek między sobą. Najwięcej uwagi zwróciłem na to, co najbardziej ciekawiło mnie i moich kolegów, gdy byliśmy chłopcami. Pierwsza seria zawierała pogadanki astronomiczne, które w 1912 r. ksiądz Ignacy Kłopotowski wydał w trzech broszurkach p. t. „O tym, co widzimy na niebie“.

Druga seria zawierała wiadomości o tym, co się dzieje między niebem, a ziemią. I te pogadanki ks. Kłopotowski wydał w 1912 r. w trzech broszurkach p. t. „Wiatr“, „Deszcz“ i „Piorun“.

Te sześć broszurek stanowiły fundament, na którym zamierzałem budować dalszy ciąg mej pracy oświatowej wśród ludu polskiego. Opisawszy zjawiska na niebie i w powietrzu w dwóch seriach, rozpocząłem serie dalsze, mające obejmować: owady, ptaki, ryby i zwierzęta. Napisałem tylko pierwszą serię: „Owady“ — w czterech częściach: motyle, muchy-mrówki, żuki-pająki, szarańcze-robaki, lecz te broszurki nie zostały wydane i leżą do dnia dzisiejszego w rękopisach, gdyż wojna przerwała rozpoczętą pracę.

Chciałem stworzyć komplet małych i tanich książeczek, obejmujących najprostsze wiadomości dotyczące zjawisk przyrody, żeby każdy wieśniak po przeczytaniu ich zdawał sobie sprawę z tego, co się naokoło niego dzieje. Byłem i dziś jestem tego zdania, że trzeba przygotować lud nasz do pracy społeczno-państwowej — żeby to osiągnąć, trzeba przede wszystkim go oświecić, co czynić należy stopniowo przez kilka pokoleń, dając mu między innymi odpowiednią lekturę.

Mogłem wykonać swoje zamiary w małej cząstce znalazłszy materialne poparcie światłego kapłana i przyjaciela ludu w osobie ks. Ignacego Kłopotowskiego, który wydawał wszystko, cokolwiek zdołałem przygotować do druku.

Nieraz przypominam sobie słowa wielkiego kaznodziei, wypowiedziane do jednego z księży, który go zapytał, co trzeba czynić, żeby mówić piękne kazania. — „Czytaj — odpowiedział kaznodzieja — książki o gwiazdach, zwierzętach, owadach i wszelkich gadach. Poznasz wtedy wielkość wszechświata i mądrość Stwórcy: to rozwidni twój umysł i da ci natchnienie“.

Broszurki stanowiły moją propagandę prasową. Obok tego wiele pisałem na tematy bieżące, które dotyczyły codziennego życia wsi lub ważniejszych wypadków na szerokim świecie. Część tych pogadanek została potem zebrana i wydana w 1912 - 1914 r. przez ks. Kłopotowskiego jako broszurki p. t. „Samoloty“, „O naszym gospodarstwie“, „Historia pracy człowieka“, „Zabobony i strachy“.

Dopóki byłem w szkole, praca moja siłą rzeczy musiała być dorywczą, bo nie miałem ani czasu, ani też miejsca do pracy systematycznej. Pomimo to prawie w każdym numerze „Przyjaciela Ludu“, poczynając od sierpnia 1907 r., na czołowym miejscu były drukowane „Moje pogadanki“. Tak było do końca 1907 r. Z początkiem 1908 r. nastąpiła przerwa w pisaniu i trwała do sierpnia 1909 r. t. j. do chwili skończenia szkoły artylerii, którą ukończyłem z odznaczeniem i zostałem awansowany na podporucznika.

Teraz nastąpiła gruntowna zmiana. Stanąłem na mocniejszych nogach, bo zdobyłem niezależny byt materialny. Pensja podporucznika nie

była duża, bo razem z dodatkami wynosiła miesięcznie około 100 rubli, wystarczyła jednak na moje skromne życie, a nawet pozwalała na kupno potrzebnych książek, czego nie mogłem czynić będąc w szkole. Oprócz tego zostałem samodzielny pod innymi jeszcze względami: miałem własne mieszkanie, które mogłem urządzić według swego upodobania i w którym mogłem pracować według swego uznania.

Pracy w wojsku miałem dużo, ale stosunki w artylerii były kulturalne. Nie spotykały nas żadne szykany z góry. Oficer pracujący uczciwie i sumiennie był pewien, że go nie spotka krzywda, ani też niespodzianka. W końcu roku pisano o oficerze opinię, którą wydawał dowódca dywizjonu wraz z dowódcą baterii. Po zatwierdzeniu opinii przez dowódcę korpusu, oficer dostawał odpis i wiedział, jak jest ceniony przez najbliższych dowódców. Słowem, stosunki były koleżeńskie i przyjacielskie. Wojna udowodniła, że te stosunki w artylerii dały pożądane wyniki.

Z początku koledzy trochę mi dokuczali, chcąc dowiedzieć się, co robię podczas godzin spędzanych samotnie. Powiedziałem im, że nie mam czasu na zabawy, bo przygotowuję się do akademii artylerii, wtedy, nazwawszy mnie uczonym, dali mi spokój.

Mówiąc, że przygotowuję się do akademii artylerii, powiedziałem prawdę, gdyż istotnie miałem ten zamiar; w tym celu nabyłem odpowiednie podręczniki, umieściłem je na widocznym miejscu, podczas gdy książki potrzebne do pracy oświatowej trzymałem schowane w szafie.

Pracę miałem teraz ułatwioną, bo posiadałem własny kąt i potrzebne pod ręką książki, czego nie mogłem mieć w szkole. Tam musiałem ukrywać się, pisać potajemnie, co nie jest łatwe do wykonania w gromadzie kolegów, wesołych chłopaków. Zostawszy oficerem, miałem swobodę, to też praca moja rozwijała się znacznie lepiej.

W szkole artylerii panował dobry zwyczaj, uwieńczony wiekową tradycją: junkrowie po zdaniu ostatecznych egzaminów byli ustawiani w „szeregu umysłowym“ i sami wybierali sobie miejsce służby zależnie od tego, jak wysoko stali w tym szeregu. Kto skończył szkołę najlepiej, ten stał na pierwszym miejscu i pierwszy wybierał wakans. Im kto stał niżej, tym mniej miał wakansów do wyboru.

Ponieważ skończyłem szkołę z odznaczeniem i stałem w „szeregu umysłowym“ dość wysoko, przeto miałem dużo wakansów do wyboru. Wybrałem 18 brygadę, kwaterującą w Lublinie, częściowo w Puławach. Postąpiłem tak dlatego, żeby nie tylko z ludem polskim nie stracić łączności, nawiązanej za pomocą pogadanek i broszurek, ale żeby jeszcze bardziej ją umocnić.

I nie omyliłem się.

Otwierało się przede mną szerokie pole łączności ze wsią w czasie manewrów.

Po skończeniu szkoły pisałem w „Przyjacielu Ludu“ jeszcze w ciągu 1910 i 1911 r. Z początkiem zaś 1912 r. przeniosłem się do „Posiewu“,

wydawanego w Warszawie przez ks. Kłopotowskiego, który dał mi szersze pole do pracy, rozpoczynając nakład moich wyżej wspomnianych broszurek.

Zwykle w czasie manewrów miałem ze sobą spis prenumeratorów „Posiewu“ mieszkających w tych miejscowościach, gdzie odbywały się manewry. Tak zawsze „manewrowałem“, dając wskazówki kwatermistrzom, żeby zanocować w chałupie lub w stodole tego gospodarza, który prenumerował „Posiew“.

Rozmowę z gospodarzem nawiązywałem bardzo szybko, zapytując, jaki latoś urodzaj w polu, czy krowy dużo mleka dają, czy owoce obrodziły w sadku, jak dzieci się hodują i czy chodzą w zimie do szkoły...

Z początku gospodarz nieufnie odpowiadał, bo nie mógł zrozumieć, czego od niego ten rusek chce; gdy jednak dowiedział się, że to nie rusek, lecz swój człowiek, wtedy rozmawiał zupełnie inaczej.

Po zadaniu kilku pytań wychodziłem niby wydać pilny rozkaz, zostawiając gospodarza z ordynansem, bo wiedziałem nieomylnie, że ciekawy gospodarz zapyta, dlaczego oficer tak dobrze mówi po polsku. Ordynans zdradzał tajemnicę i lody nieufności pękały, bo za czasów panowania zaborców łączyło nas wszystkich wspólne pragnienie — niepodległość. Jakoś wtedy wszyscy sobie wzajemnie wierzyli i mieliśmy do siebie zaufanie: łączył nas język i wyznanie. Otóż gospodarz, dowiedziawszy się, że jestem Polakiem i katolikiem, od razu zmieniał się i sam przychodził do mnie, niby o coś zapytać, a właściwie, żeby pogawędzić.

Nieraz bywało, że sąsiedzi zaciekawieni rozmową gospodarza z oficerem przychodzili posłuchać, o czym gawędzimy. Wiadomo wszystkim, że zjawienie się na wsi wojska zawsze wywołuje ogólne zaciekawienie. Szczególnie artyleria ciężka budziła zainteresowanie wśród mieszkańców wsi — silne konie, duże armaty, a oprócz tego zawsze znalazło się kilku żołnierzy Polaków, którzy natychmiast nawiązywali żywą rozmowę w chałupie, gdzie były ładne dziewczęta.

Ponieważ rozmowa z gospodarzem rozpoczynała się pod stodołą, gdzie zwykle nocowałem, przeto ordynans zataczał polowy stolik z kubkami herbaty. Siedząc na pieńkach i popijając herbatę nieraz gawędziliśmy do późnej nocy o różnych sprawach gospodarskich. Gdy oni się wygadali, wtedy ja zaczynałem mówić. Ponieważ byłem do takiej rozmowy przygotowany i miałem już plan, o czym mam mówić, więc zwykle nasza rozmowa kończyła się jakby wykładem, którego gospodarze słuchali bardzo pilnie, nie przerywając toku moich myśli.

Opowiadałem im o życiu i stanie zamożności drobnych rolników w Danii i Czechach, o instytucjach wiejskich, które tam jednoczą rolników, ułatwiając im zbyt artykułów rolnych i kupno artykułów przemysłowych. Mówiłem o spółdzielniach i o handlu, o sadownictwie i rolnictwie. Słowem, mówiłem o wszystkim, co dotyczy życia wsi i ludu, mocno podkreślając wielką rolę uprzemysłowienia drobnego rolnictwa.

Rok rocznie w czasie manewrów miałem taką pogawędkę w kilkunastu wsiach. Byłem najmocniej przekonany, że nie jedna moja myśl trafiła do ich rozumu i potem kiełkowała. Zdarzało się i tak, że po kilku latach manewry znowu odbywały się w tamtych okolicach, a wtedy gospodarze, pamiętając naszą rozmowę, witali mnie jak dawnego znajomego i nieraz chwalili się, że tę lub inną moją radę zastosowali w życiu. W tych wypadkach rozmowa nasza toczyła się w większym gronie i na szerszą skalę, bo gospodarze sami już przygotowali temat.

Wieczory te, spędzone na szczerej rozmowie z gospodarzami, zostawiły bardzo miłe wspomnienia, a w wielu wypadkach dawały mi tematy do pogadanek.

Słowem, będąc w wojsku rosyjskim, nie tylko nie traciłem łączności z ludem polskim, którego los i sposób życia bardzo mnie obchodził, ale jeszcze mocniej tę łączność rozszerzałem i pogłębiałem.

Natomiast nigdy nie nawiązałem żadnej łączności z dworem i plebanią z dwóch powodów: po pierwsze — we dworach i plebaniach mieściła się starszyzna wojskowa, a drobiazg podporuczników i poruczników w namiotach, stodołach, a w najlepszym razie w chłopskich chałupach; po drugie — nic mnie nie łączyło z dworem, ani też z plebanią. Pewnego razu próbowałem umieścić się we wsi K. w stodole proboszcza, lecz dostałem taką odprawę, że zapamiętałem to na długo.

Mnie interesowało życie ludu, inteligencja zaś nasza w przeważającej swej większości nie interesowała się tym zagadnieniem dawniej i nie interesuje się obecnie. To też p. A. Świętochowski miał słuszność, gdy pisał: „Mamy stałe rubryki w pismach o giełdzie, sportach, teatrach, kradzieżach, wypadkach. Gdzie jest o ruchu ludowym? Więcej zdołamy powiedzieć o przyszłości tenisa w Polsce, o świadomym macierzyństwie, o procesie Gorgonowej, niż o bycie chłopskim. Zapomniał o nim publicysta, historyk, filozof, prawodawca, higienista, pedagog, inżynier. Jak zalotnica umyka z laboratorium chemicznego, bo jej tam nie pachnie i nic nie pojmuje, tak samo inteligencja usuwa się od spraw chłopskich. A jeżeli nawet istnieje grupka specjalistów, to głos ich ginie w histerycznym zgiełku miasta“ („Kurier Warszawski“ z dnia 21 lipca 1935 r.). Tak, Świętochowski prawdę mówi. Wiedziałem o tym, dlatego omijałem dwór i plebanię, gdyż o wiele lepiej czułem się w stodole chłopskiej na pogawędkach z chłopami.

Bywały wypadki, że gospodarze czytający „Posiew“ mówili o pogadankach Flody, nie wiedząc o tym, że z nim rozmawiają. Bardzo mi się chciało przyznać, nigdy jednak nie zdradziłem tajemnicy, tylko zapytywałem, co im się podoba w tych pogadankach, a co się nie podoba. Mówili chyba szczerze, bo przecież nie mogło im się w głowie pomieścić, żeby oficer, który z nimi rozmawia i Floda, który pisze pogadanki w „Posiewie“, byli jedną osobą. Gdybym nawet się przyznał, to by mi nie uwierzyli i straciliby do mnie zaufanie. Zresztą przyznać się nie mogłem, bo

tajemnica mego pseudonimu szybko by się wykryła i skutki nie byłyby dla mnie zbyt pożądane. A więc milczałem, uwagi zaś o pogadankach Flody dawały mi wskazówki, jak należy je pisać, żeby odpowiadały wymaganiom, potrzebom i poziomowi umysłowemu wsi. Czasem tylko na odjezdnym rozdawałem kilka wyżej wymienionych broszurek, mówiąc, że Floda był moim kolegą w uniwersytecie.

Pewnego razu podczas takiej gawędy pod stodołą spadła gwiazda tak błyszcząca, że oświetliła ciemną noc jak błyskawica i przerwała nam rozmowę.

— Teraz wiem, co to jest gwiazda spadająca, droga mleczna i wiele innych zjawisk na niebie — powiedział jeden z gospodarzy.

— A skąd o tym wiecie? — zapytałem.

— A z pogadanek astronomicznych Flody, które mnie najbardziej zaciekawiły — odpowiedział gospodarz.

Istotnie astronomiczne pogadanki najwięcej zaciekawiły czytelników i z ich powodu najwięcej otrzymałem listów. Być może stało się to dlatego, że zjawiska niebieskie mnie interesowały, gdy byłem chłopcem i może najlepiej potrafiłem dostosować je do poziomu chłopa. Pisząc te pogadanki, ująłem je w odpowiednią formę: przystępną i zrozumiałą dla czytelników. We wstępie do astronomicznych pogadanek tak pisałem („Przyjaciel Ludu“ Nr. 34 z dn. 5 września 1907 r.): „Jeżeli ktokolwiek z was, ojcze-gospodarzu, wziąwszy za rączkę pięcioletniego syna, wyjdzie w końcu czerwca na pole, gdzie zboże ślicznie zieleni się nieprzerwaną płachtą aż do lasu szumiącego i spojrzy na swoją pracę, zagrzebaną na roli, na waszym czole zauważy zadumę, bo wam się nasunie myśl: czy piękne zboże dotrwa pomyślnie do żniwa. Czy nie zniszczy waszej pracy grad, robactwo? W przeciwnym bowiem razie, czym nakarmicie do następnego żniwa swoją rodzinę, dobytek...

Gdy tak będziecie rozmyślać, wasz synek tymczasem będzie bawił się w zbożu kwiatkami. Jeżeli zapytacie go, co mu się najwięcej podoba, to z pewnością odpowie, że kwiatki, bo dzieciom to właśnie najwięcej podoba się, co jest kolorowe, a co wy uważacie za szkodliwe dla zboża.

Takim dzieckiem, ojcze-gospodarzu, będziecie wy, gdy w pogodną grudniową noc przyjdę do waszej chaty, wezmę was za rękę, wyprowadzę na pagórek za stodołę i razem z wami spojrzę na niebo, usiane błyszczącymi gwiazdami. Wy, nic nie rozumiejąc, będziecie patrzeć na migocące gwiazdy na niebie, jak wasz synek na kwiaty w zbożu. Ja zaś pomimo mrozu, który nam dokucza w grudniu, będę wam stojąc na pagórku tłumaczył, a wy dobrze uważajcie i słuchajcie“.

Ten wstęp i artykuły, stanowiące dalszy ciąg wstępu, widocznie podobały się czytelnikom, bo po kilku tygodniach „Przyjaciel Ludu“ wydrukował szereg listów, których wyjątki przytaczam:

1. „Bardzo proszę o wydrukowanie mego pisma, bo nie wiem, jak in-

nym sposobem może dowiedzieć się Sz. p. M. Floda, że my czytelnicy jesteśmy mu wdzięczni.

Dnia 27 b. m. w Nr. 47 „Przyjaciela Ludu“ był pisany do nas list, w którym było pytanie, czy pożyteczne są dla nas „Moje pogadanki“, czy nie. Jak one nie mogą być pożyteczne dla nas, ludzi nie uczących się w szkole. Wszak my szkół nie posiadamy, a umiemy tylko to, czego nas nasi ojcowie nauczyli. Bardzo więc jesteśmy wdzięczni Panu, bo pańskie pisma dużo nam wiedzy i korzyści przynoszą. Z wielką ciekawością czytamy i chcemy czytać coraz dalej, bo coraz większa ochota służy. Czekamy z wielką radością „Przyjaciela Ludu“, bo wiemy, że on nam dużo przyniesie wiadomości. Prosimy o dłuższe pisanie „Moich Pogadanek“. Rozumiemy wszystko, tylko tego nie możemy pojąć, jakim sposobem można wymierzyć przestrzeń od ziemi do słońca, albo też do innych planet. I jak mogą przez taką dużą przestrzeń wymierzyć ich wielkość. O tym bardzo proszę napisać w „Moich pogadankach“. A my, czytelnicy, pamięć wdzięczną zachowamy, że Pan nad naszą oświatą pracował“. Michał Milewski. („Przyjaciel Ludu“ Nr. 49 1907 r.).

2. „My łakniemy dobroczynnych promieni oświaty, jak zgłodniały chleba. Szanowny Pan podaje nam to w swoich pogadankach, a więc od nas Panu należy się najgłębsza wdzięczność i prośba, aby Szanowny Pan i nadal nie pozbawiał nas przyjemności czytania jego pogadanek, które są zawsze czytane z największą przyjemnością i wdzięcznością dla ich autora. Najwięcej mnie podoba się w pańskich pogadankach ta szczerość bez cienia lekceważenia i bez przymieszki złośliwych uwag, których nie szczędzą nam autorzy niektórych artykułów w teraźniejszych czasopismach. Pożądanym byłoby, aby Pan mógł pisywać w szerszym zakresie, nie wymagamy jednak tego od Pana, a oświadczając wdzięczność naszą Szanownemu Panu, prosimy przyjąć najszczersze, bo z głębi serca staropolskie Bóg zapłać“. M. Dziewicka.

3. „Proszę p. Flodę o wytłumaczenie, jak to może być, żeby ziemia była okrągła jak jajko i żeby mogła obracać się około słońca i koło swej osi. Toż ziemia tak wielka i ciężka, że jej żadna siła z miejsca poruszyć nie może. Jakże więc ona może kręcić się około słońca? Mnie się wydaje, że ona musi stać oparta w miejscu, bo jakby nie miała podpory, to by mogła mieć tylko jeden ruch t. j. padać w dół, a nie kręcić się około słońca. Na mój rozum, to słońce i gwiazdy składają się z ognia, są lekkie i jasne, to im łatwiej wisieć w powietrzu, czy nawet kręcić się, ale ziemia — to nie na żarty ciężka. A druga rzecz: gdyby ziemia była okrągła i obracała się około swej osi, to ani ludzie, ani zwierzęta, ani tym bardziej wody utrzymać by się na niej nie mogły, bo jak jeden bok ziemi stoi do góry, to drugi w dół. My na ten przykład chodzimy śmiało, bo głowami do góry obróceni, ale ci, co są z drugiej strony ziemi, głowy mają skierowane w dół, więc powinni pospadać w przepaść, a później gdy

ziemia obróci się, my powinniśmy był głowami w dół, a więc i my powinniśmy pospadać, a tymczasem — nie. To jakże to jest?

Albo pisze Pan, że morza czy oceany zajmują daleko więcej miejsca niż ziemia. To znów nie może pomieścić się w mojej głowie: to jakże te oceany trzymają się? Jeżeli ja naleję wody do cebra, do wiadra czy innego naczynia, to ona dopóty trzyma się w tym naczyniu, dopóki nie przewrócę go dnem do góry, a jak tylko przewrócę, woda wyleje się. Jakże więc ona trzyma się w morzu, kiedy ono do góry dnem przewrócone". Jan Motyczko.

4. „Proszę Czcigodnego Ks. Redaktora o wydrukowanie mego listu w „Przyjacielu Ludu", za którego pośrednictwem zasyłam dzięki Panu Flodzie za jego pogadanki, które dla mnie, jako dla samouka, są bardzo pożyteczne. Z nich dowiedziałem się o różnych ciekawych rzeczach na świecie, które dotąd były przede mną zakryte. Pana Flodę uważam za swego nauczyciela geografii i proszę, żeby jak najdłużej prowadził swe pogadanki w „Przyjacielu Ludu", z którym ja nigdy nie rozstaję się i innych do niego zachęcam, bo „Przyjaciel Ludu" jest jak gdyby szkołą domową dla wiejskiego ludu. Chciałbym, żeby to pismo zajrzało do każdego domu katolickiego i wszędzie podniosło oświatę". Franciszek Kleszczyk. („Przyjaciel Ludu" Nr. 52 z dn. 27 grudnia 1907 r.).

Są to nieliczne wyjątki z wielu listów czytelników, skierowanych do mnie z powodu moich artykułów. Dla mnie mniej były ważne te listy, w których czytelnicy chwalili autora artykułów (choć i te były przyjemne), ważniejsze były te, w których zapytywali o wyjaśnienie tej lub innej rzeczy niejasnej. Wszystkie jednak listy miały pewne znaczenie, gdyż czytelnik, który sam zaczął pisać, uważniej czytał artykuły i zastanawiał się nad tym, co przeczytał. Ważnym również było oczekiwanie na odpowiedź. Wszystko to razem wziąwszy pobudzało do myślenia i nawiązywania łączności pomiędzy autorem i czytelnikami, jakkolwiek czytelnicy nie znali i nigdy nie widzieli autora, ani też autor nie widział ich i nie znał.

Przytoczyłem tych kilka wyjątków z listów czytelników nie po to, żeby się chwalić, lecz po to, żeby pokazać, że moje artykuły i książeczki zabłądziły pod wiejskie strzechy i wywołały tam ruch, co dla autora było dowodem, że potrafił zaciekawić czytelników.

Odpowiedź na list wymagała niemało pracy i wiedzy oraz umiejętności zastosowania się do poziomu umysłowego czytelników. Nieraz było mi łatwiej napisać kilka artykułów z dziedziny naukowej dla inteligencji, aniżeli jeden artykuł dla ludzi prostych. To też, żeby wyjaśnić wszystkie wątpliwości zawarte w liście Jana Motyczki, napisałem aż pięć długich artykułów. Widocznie obszerna odpowiedź zadowoliła autora tych wątpliwości, bo przeczytawszy ją Motyczko napisał długi list, którego wyjątek brzmi:

„Szanowny Panie. Nie umiem Panu podziękować za Pańską odpo-

wiedź i wyjaśnienie, więc tylko modlę się na intencję Pana, żeby Bóg Wszechmogący nagrodził Pana za to, że pan z ludźmi prostymi, żyjącymi z pracy rąk, dzieli się owocami swej pracy naukowej. Bo to i słusznie. Wszakże i my, choć pracujemy każdy na swym kawałku ziemi i, zdaje się, myślimy tylko o sobie, jednakże z pracy naszej korzystają ludzie i tacy, którzy mieszkają od nas daleko i ani oni nas, ani my ich nie znamy.

Znam takich sąsiadów, którzy mówią, że człowiekowi nie potrzeba wiedzieć tego wszystkiego, o czym pan Floda pisze. Mówią: co to za korzyść wiedzieć, czy ziemia obraca się koło słońca, czy słońce koło ziemi. Dość, że codzień słońce wschodzi i zachodzi, mamy dzień i noc. A te wszystkie uczone dowodzenia trzech groszy nie są warte.

Gdy słyszę takie gadanie, to żal mi się robi, że tych ludzi Pan Bóg stworzył nie na czterech nogach. żeby krowy, konie i świnie umiały mówić, to na pewno powiedziałyby tak samo, jak oni: że jak mają dostatek karmu i chlew ciepły na zimę, to im nic więcej do szczęścia nie potrzeba.

Ja choć człowiek prosty i także na chleb, odzienie i inne potrzeby życia ciężko pracuję, ale w niedzielę, święta albo w wolniejsze wieczory zimowe lubię coś pożytecznego przeczytać albo rozmyślać nad tym, co przeczytam. Otóż te wyjaśnienia p. Flody dają mi dużo do myślenia, bardzo mnie zajmują i pocieszają. Bo choć zawsze byłem chrześcijaninem-katolikiem i zawsze odmawiam w pacierzu: „Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego Stworzyciela nieba i ziemi“, ale nigdy nie zastanawiałem się nad tymi wyrazami i nie rozumiałem ich tak żywo i tak głęboko jak teraz. Ot przywykł człowiek patrzeć na słońce, księżyc i gwiazdy, ale patrzał jak baran na wodę. Dopiero, gdy przeczytałem w „Przyjacielu Ludu“ pogadanki p. Flody, po prostu ze zdumienia od siebie odchodzę. Jaki to rzeczywiście Pan Bóg wszechmogący, jaki potężny! Porozsiewał w przestrzeni takie ogromne ciała, niby groch, ponaznaczał im drogi, po których mają ciągle chodzić, powiązał jedne z drugimi jakimiś niewidzialnymi łańcuchami, że jedne ciągną za sobą drugie, nigdy jednak przeciągnąć całkowicie się nie mogą i jedne drugim nie dają polecieć w przepaść.

Co za moc, co za potęga, co za siła, co za mądrość Boga!

Miałem jeszcze prosić o wyjaśnienie, jak wymierzyć przestrzeń od ziemi do gwiazd, ale mnie już uprzedził p. Milewski. Teraz jeszcze nie może pomieścić mi się w głowie, dlaczego i jakim sposobem księżyc naokoło ziemi, a ziemia naokoło słońca robi nie okrągłe koło, ale podłużne. Jaka siła pociąga ją, że zbliża się i znów oddala, że oddala się znowu zamiast coraz bardziej zbliżać się i spaść na słońce. Wdzięczny i pokorny sługa Motyczko“. („Przyjaciel Ludu“ Nr. 10 z dn. 6 marca 1908 r.).

Na tej korespondencji z czytelnikami i na wydaniu wyżej wspomnianych broszurek zeszedł mi czas do wojny światowej, która tak dobrze

rozpoczętą, jak mi się zdaje, pracę moją przerwała. O ile mi wiadomo, był to jedyny wypadek, żeby oficer czynnej służby rosyjskiej pisał do polskich pism ludowych.

Z chwilą wyruszenia na pole walki, zacząłem pisać do Tygodnika Ilustrowanego „Listy z okopów", które potem były wydane w osobnej książce. Nad tym dłużej zatrzymywać się nie będę, gdyż „Listy z okopów" nie dotyczyły oświaty ludowej. Powiem tylko, że szczęście na wojnie mi sprzyjało. Nasz dywizjon artylerii wyruszył z Góry Kalwarii do armii Samsonowa, operującej w jeziorach mazurskich. Po klęsce wycofaliśmy się stamtąd szczęśliwie. Potem byłem cały czas na froncie. W 1915 r. cofałem się od Sanu aż do Brześcia nad Bugiem. W 1916 r. brałem udział w natarciu Brusiłowa pod Łuckiem. Na początku 1917 r. zostałem przeniesiony na front Zakaukaski. Spędziłem parę miesięcy pod Muszem i Bitlisem nad jeziorem Wan. Dwa razy byłem poturbowany fizycznie, ale niezbyt szkodliwie. Otrzymałem wiele orderów z krzyżem św. Jerzego na czele i wreszcie zostałem awansowany na pułkownika, mając lat 35.

„Listy z okopów" były podpisywane tym samym pseudonimem i tajemnica dochowała się do chwili wkroczenia wojska niemieckiego do Warszawy.Potem nazwisko autora Listów zostało ujawnione. Wiadomość ta szybko przedostała się na Kresy, gdzie znane były „Moje pogadanki"; one dały mi mandat poselski do Sejmu Ustawodawczego bez żadnych starań z mojej strony, gdyż przed wyborami na Kresach nawet nie byłem. Czytelnicy pogadanek z mego rodzinnego powiatu uchwalili na zebraniu przedwyborczym wystawić moją kandydaturę i wysłać delegację do mnie, czy zgadzam się na ich uchwałę.

Do sejmu wszedłem w lipcu 1919 r., gdyż wybory na Kresach odbyły się w czerwcu; w czasie wyborów w Kongresówce Niemcy jeszcze okupowali Kresy.

W sejmie po raz pierwszy zetknąłem się ze stronnictwami ludowymi, których wtedy było wiele: „Piast", „Wyzwolenie", „Zjednoczenie Ludowe" i Stapińszczycy (Polskie Stronnictwo Ludowe — Lewica).

W chwili, gdy wszedłem do sejmu, „Zjednoczenie Ludowe" już się rozjednoczyło. Poseł Skulski tworzył „Narodowe Zjednoczenie Ludowe". Pomiędzy „Piastem" i „Wyzwoleniem" trwały pertraktacje w celu połączenia się w jedno stronnictwo.

Kilkunastu posłów ludowych błądziło samopas, nie należąc do żadnego stronnictwa. Zbliżyłem się do nich i zaczęliśmy się naradzać, co mamy robić. Po kilku naradach postanowiliśmy nie zakładać żadnego nowego stronnictwa, lecz wstąpić do „Piasta" i poprzeć jego usiłowania, zdążające do połączenia się z „Wyzwoleniem".

Dotychczas nie brałem żadnego udziału w życiu partyjnym. Po raz pierwszy zetknąłem się z nim w sejmie. Byłem zdumiony krętactwem niektórych przywódców partyjnych. Nie mogłem zrozumieć istoty rzeczy, ani też doszukać się głębszej myśli i planowej pracy. Słyszałem tyl-

ko gromkie słowa, pochlebstwa pod adresem wsi i nigdy nieziszczalne obiecanki! Zupełnie nie zabierałem głosu na partyjnych zebraniach, bo zdawało mi się, że jestem tak mało wyrobiony społecznie i politycznie, iż nie rozumiem, o co chodzi.

Szczególnie mnie raziło zachowanie się wielu posłów ludowych z Małopolski, którzy rzadko przychodzili na posiedzenia komisji sejmowej, lecz ciągle łazili po różnych urzędach, załatwiając swoje sprawy osobiste lub sprawy swoich wyborców. Klub sejmowy posłów ludowych był podobny do ogromnego biura adwokackiego, w którym załatwia się najrozmaitsze sprawy prywatne, ale w którym nie widać pracy programowej stronnictwa. Czułem się tak obco w stronnictwie ludowym, jak w Petersburgu w szkole artylerii. Zrozumieć nie mogłem, dlaczego nie rozumiemy się: mówimy po polsku, lecz nie możemy porozumieć się wzajemnie.

Czas był gorący. Wałkowało się reformę rolną. O tym tylko była mowa wszędzie. Mnie dziwiła pewność niektórych posłów. Zauważyłem, że im kto mniej rozumiał istotę rzeczy, tym był pewniejszy siebie. Dużo było takich posłów, którzy niewiele rozumieli, co to jest reforma rolna, mieli mgliste o niej pojęcie, a jednak bardzo dużo mówili. Odniosłem wrażenie, że klub sejmowy posłów ludowych, to gromada ludzi do gadania, gromada szarych ludzi, wśród których jest tylko kilka wybitniejszych jednostek.

Witos, jak zawsze, był tajemniczy, małomówny i ciągle naradzał się po kątach z najbliższymi towarzyszami. Kiernik, przemawiając, tak zawsze się śpieszył, jakby się bał, że Witos głos mu zabierze. Z Dąbskiego kapała ambicja i zarozumiałość. Kroczył po kuluarach z taką powagą, żeby nic z niej nie uronić. Przemawiając gromił wrogów ludu i próżniaków, których radził zapędzać do pracy kijami. Bartel ogarniał wszystkich tęsknym wzrokiem, upatrując stosownej chwili, aby prędzej dorwać się do teki ministerialnej. Okoń bez przerwy trajkotał o radykalnej polityce ludowej, o wywłaszczeniu bez odszkodowania, o upaństwowieniu lasów. Oblicze jego zdawało się mówić: a mnie wystarczy kawał kiełbasy, bochen chleba i w perspektywie rumiana baba...

Obcując z tymi ludźmi, przysłuchując się ich przemówieniom oraz przypatrując się ich pracy, nieraz zadawałem sobie pytanie: dokąd oni zaprowadzą wieś polską?...

Połączenie „Piasta“ z „Wyzwoleniem“ w jedno stronnictwo — „Polskie Stronnictwo Ludowe“ z Witosem na czele, nastąpiło w jesieni 1919 r. Wkrótce rozpadło się znowu na swe składowe części — „Piasta“ i „Wyzwolenie“. Ja zaś w marcu 1920 r. opuściłem sejm, gdyż uważałem, że sejm nie jest miejscem dla żołnierza, gdy walka na polu wre...

W jesieni 1921 r. zostałem przeniesiony do Generalnego Sztabu na stanowisko zastępcy szefa oddziału naukowo-szkolnego z poleceniem prze-

prowadzenia inspekcji we wszystkich szkołach wojskowych oficerskich i podoficerskich, których wtedy było bardzo dużo.

Na inspekcji zetknąłem się między innymi ze szkołą gazową, znajdującą się w zupełnym zaniedbaniu. Uderzyłem na alarm: niebezpieczeństwo lotniczo-gazowe grozi w razie wojny nie tylko wojsku walczącemu w polu, ale również wszystkim mieszkańcom pozostającym nawet daleko na tyłach. Szczególnie groźne jest dla ludzi mieszkających w dużych miastach, w ośrodkach przemysłowych, w pobliżu stacji kolejowych i w ogóle w miejscach przedstawiających obiekt napadu nieprzyjacielskiego lotnictwa. Moje usiłowania poparł energicznie Władysław Rabski, drukując w „Kurierze Warszawskim" kilka gorących artykułów w kwietniu i maju 1922 r. i nawołując do składania ofiar na budowę instytutu gazoznawczego. Stworzyliśmy wtedy Towarzystwo Obrony Przeciwgazowej, której prezesem został Jan Zagleniczny, ja zaś wiceprezesem. Polska była pierwszym państwem na świecie, które rozpoczęło organizację obrony przeciwgazowej ludności cywilnej. Za przykładem Polski poszły inne państwa. Potem Tow. Obr. Przeciwgazowej połączyło się z Ligą Obrony Powietrznej, tworząc obecną Ligę Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej — LOPP. Moja broszurka „Wojna współczesna", wydana w 1922 r. i większa praca „Wojna chemiczna", wydana w 1923 r. była pierwszą pracą w języku polskim o gazach trujących. „Walka gazowa", wydana w 1928 r., została polecona przez Ministerstwo Oświaty do użytku w szkołach.

Pochłonięty sprawami wojskowymi nie miałem czasu, ani możności wrócić do przerwanej przez wojnę pracy oświatowej wśród ludu. Dopiero w 1928 r., kiedy zostałem przeniesiony na emeryturę, wróciłem do pracy rozpoczętej w 1907 r. W tym właśnie czasie usunięto z wojska dużo oficerów starszych, doświadczonych w czasie pokoju i wypróbowanych w czasie wojny, rzekomo w celu odmłodzenia korpusu oficerskiego i nadania mu jednolitego kierunku ideowego.

Ofiarą odmładzania korpusu oficerskiego padł autor niniejszego życiorysu, mając 46 lat i przesłużywszy w stopniu pułkownika 11 lat. Usunięto mnie z wojska z powodu jakoby złego stanu zdrowia, na które nigdy nie skarżyłem się i nigdy nie korzystałem z żadnych urlopów wypoczynkowych. Uczyniono mi tym krzywdę, bo odebrano zawód, który kochałem, do którego byłem przygotowany i w którym chciałem pracować. Ale trudna rada: nie było do kogo udać się ze skargą na uczynioną krzywdę.

Zostawszy emerytem zacząłem pisać artykuły w pismach ludowych: w wileńskim „Naszym Przyjacielu", warszawskim „Posiewie", poznańskim „Przewodniku Katolickim" oraz innych pismach. Artykuły te były na rozmaite tematy: popularne z wiedzy ogólnej, gospodarcze, oświato-

we, społeczne, polityczne. Słowem pisałem o wszystkim, co życie codzienne nasunęło, a co dotyczyło przede wszystkim wsi i ludu.

Podawałem różne rady i wskazówki o dodatkowych zajęciach drobnych rolników, jak sadownictwo, warzywnictwo, handel, spółdzielczość. A ponieważ wiem, że najlepiej działa przykład, przeto od słów przechodziłem do czynu: na miejscu wskazywałem, co należy czynić w danym wypadku. Jednemu gospodarzowi, mającemu odpowiednie miejsce, poradziłem założyć większy staw dla hodowli karpi i dawałem wskazówki, jak to zrobić. Po kilku latach, gdy tam przyjechałem, właściciel stawu z triumfem oświadczył mi, że w ubiegłym roku staw dał mu czystego zysku 500 zł. Innemu znowu gospodarzowi posadziłem po kilka drzewek owocowych szlachetnych odmian i dałem kilkaset zrazów w celu zaszczepienia ich na dziczkach.

Przed trzema laty wysłałem kilka drzewek moreli i brzoskwiń, radząc potem zaszczepić je na śliwkach. Drzewka ku radości właścicieli już miały owoce, ale jeszcze nie mam żadnych doświadczeń ze szczepienia moreli i brzoskwiń na śliwach. W ogóle wieś chętnie bierze się do takiej pracy, która daje jakikolwiek zysk. Praca w kierunku uprzemysłowienia drobnego rolnictwa znacznie prędzej posuwałaby się naprzód, gdyby nią kierował nie jeden człowiek, mający bardzo ograniczone środki, lecz organizacja obejmująca całą Polskę.

O powołaniu do życia takiej właśnie organizacji ludowej myślę już od szeregu lat. Powinna to być instytucja apolityczna, a działalność jej polegałaby tylko na pracy oświatowej i gospodarczej. Oświecać lud i podnosić jego materialny byt — oto cel i zadanie tej instytucji.

Zdaję sobie sprawę, że ta praca naczelna i długoletnia nie da szybkich efektów, że musi być obliczona na długi szereg lat, a być może nawet na kilka pokoleń, a przede wszystkim musi być spokojna i planowa. Owoce tej pracy będzie zbierać dopiero następne pokolenie. My tylko możemy ułożyć plan, wyprostować ścieżki i pracę rozpocząć, a młode pokolenie, które przyjdzie po nas, będzie naszą pracę kontynuować.

Od paru lat szukam chętnych ludzi do takiej pracy i znaleźć ich nie mogę. Rozmawiałem z wielu osobami interesującymi się sprawą ludową. Wszyscy zgadzają się, że taka instytucja jest potrzebna, gdyż polityczne stronnictwa nie jednoczą ludu, lecz dzielą go. Gdy jednak przychodzi do konkretnych wyników rozmowy, zawsze coś staje na przeszkodzie i rozmowa kończy się na niczym. Zresztą mało jest wśród „działaczy ludowych“ takich, którzy by chcieli rozciągać pracę wśród ludu na długi szereg lat, im bowiem chodzi przede wszystkim o to, żeby każdy swój wysiłek zdyskontować natychmiast w formie... diet poselskich.

W 1930 r., gdy trzy stronnictwa ludowe — „Piast“, „Wyzwolenie“ i „Stronnictwo Chłopskie“ — połączyły się razem, tworząc jedno „Stronnictwo Ludowe“, myślałem, że nastąpi nowa era w życiu wsi polskiej, że ustanie walka partyjna, rozdzielająca wieś, a rozpocznie się jakaś pra-

ca planowa, może nawet oświatowa i gospodarcza. Tak myślałem i nawet wyraziłem chęć należenia do stronnictwa. Rozmawiałem kilkakrotnie z najwybitniejszymi przedstawicielami wsi. Chciałem coś robić. Lecz wkrótce przekonałem się, że nic się nie zmieniło, że pozostali ci sami przywódcy przeżarci partyjną nienawiścią, niezdolni do żadnej pracy spokojnej i planowej, że wśród nich są zaledwie jednostki, rozumiejące, że dotychczasowa droga ruchu ludowego była niewłaściwa, ale zmienić jej nie mogą, bo muszą dostosować się do ogólnego nastawienia. Oprócz tego przekonałem się, że połączenie tych trzech stronnictw było tylko mechaniczne, że po kątach w dalszym ciągu naradzają się osobno członkowie „Piasta", „Wyzwolenia" i „Stronnictwa Chłopskiego". Słowem, przekonałem się, że połączenie to jest nietrwałe, bo nie opiera się na umiłowaniu idei.

Zacząłem się zastanawiać nad przyczyną, rozdzielającą stronnictwa ludowe i pobudzającą je do ciągłych zmian. Wydaje mi się, że przyczyny te są następujące:

1. Nie było moralnego gruntu, na którym stronnictwa ludowe mogłyby spokojnie budować swoją pracę.

2. Nie było wodza prawdziwie ludowego, który by tchnął żywego ducha w bezduszne krzyki wiecowe, który by pchnął ruch ludowy na nowe tory i wskazał drogę, po której lud powinien kroczyć do podniesienia oświaty i poprawy bytu materialnego.

3. Nie było rzetelnej pracy, polegającej na umiłowaniu idei.

4. Nie było doboru ludzi, którzy by garnęli się do stronnictwa, mając przed oczami ideę, nie zaś diety poselskie.

5. Nie było pomiędzy samymi przywódcami przyjacielskiej spójni, polegającej na wzajemnym szacunku i zaufaniu.

Do tego trzeba jeszcze dodać działanie z góry, dążące do rozbijania stronnictw ludowych, jak to było przed paru laty z Bojką i przed paru miesiącami z Malinowskim i Rogiem.

Władze rządowe miałyby tu dużo do powiedzenia, gdyby zbliżyły się do ludu, jako ojciec kochający, nie zaś jak ojczym karzący. Rząd bowiem, wnikając głębiej w potrzeby ludu, mógłby zjednać stronnictwa ludowe i wciągnąć je do pracy państwowej. Lud wiejski jest najlepszym elementem państwowym: jest spokojny, pracowity, wytrzymały, nie wymagający, szanuje władzę i daje ze wszystkich stanów najlepszego żołnierza. Trzeba więc ten element szanować i umiejętnie wciągać go do pracy. Tymczasem z góry tego działania nie ma, a przywódcy ludowi przeżarci nienawiścią partyjną szarpią lud, okłamują go i prowadzą na manowce. Miał rację prof. Bujak, gdy pisał:

„Stan ruchu ludowego w Polsce przedstawia się dzisiaj dość smutno, nawet ponuro. Brak mu podstaw i instytucji gospodarczych oraz przeważającej części programu prawdziwie włościańskiego. Największym nieszczęściem ruchu ludowego jest nadmierna przewaga idei politycznej.

Rzeczywistymi kierownikami ruchu ludowego są zawodowi politycy, którzy nie tylko żyją z tego ruchu, ale są zarazem największymi szkodnikami. Nie można zaprzeczyć tym zawodowym politykom dobrej woli, ale trzeba niestety wytknąć znaczne braki charakteru i wykształcenia. Wszyscy oni niemal wyrośli w twardej pracy agitacyjnej, w zaciętej walce konkurencyjnej, nienawiścią ścigani, nienawiścią dyszący, kłamstwami atakujący, kłamstwami zwalczający. Zawód swój traktują oni niestety zbyt często jako środek utrzymania lub nawet zrobienia kariery. Wykształcenie ich także mocno szwankuje. Istotne potrzeby włościan i głębsze cele włościańskiej polityki gospodarczej pozostaną dla nich zawsze rzeczą mglistą i niepewną"...

Tak określiwszy kierowników ruchu ludowego, prof. Bujak pisze, że „ruch ludowy w Polsce musi być przede wszystkim ruchem gospodarczym, walką o postęp dobrobytu włościańskiego przez postęp ogólnej oświaty, przez postęp rolniczy. Organizacje gospodarcze muszą stać się ośrodkiem ruchu ludowego". („Młoda Myśl Ludowa" Nr. 2 z 1929 r.).

Zgadzając się najzupełniej z poglądem prof. Bujaka, że „podstawy ruchu ludowego w Polsce są zmurszałe" i że kierownicy tego ruchu w większości swej nie „są zdolni do przyjęcia nowych metod działania i wejścia na nowe tory", słowem, przekonawszy się, że wśród stronnictw ludowych nie ma dla mnie miejsca, bo nie potrafię wpłynąć na przywódców tak, aby zmienili metody postępowania i weszli na nowe tory pracy (o czym zresztą pamiętałem z krótkiego doświadczenia w Sejmie Ustawodawczym), począłem szukać ludzi nie należących do żadnego stronnictwa, a przede wszystkim sięgnąłem do swych rodzinnych stron. W tym celu 6 sierpnia 1932 r. został zwołany zjazd inteligencji ludowej, pochodzącej z trzech parafii w Sokólskim powiecie: Korycińskiej, Janowskiej i Suchowolskiej.

Przyjechało z tych trzech parafii około 60 rodowitych synów gospodarskich z wyższym i średnim wykształceniem. Po referatach i dyskusji pod moim przewodnictwem postanowiono założyć „Związek Inteligencji Ludowej", który miał się zająć tylko pracą oświatową i gospodarczą. Wybrany komitet z 5 osób opracował statut, lecz do założenia związku nie doszło. Potem były próby założenia „Związku Ludowego", obejmującego całą Polskę, lecz próby te również do niczego nie doprowadziły. Art. 2 projektu statutu „Związku Ludowego," opracowanego przeze mnie brzmi:

„1. Zadaniem Związku Ludowego jest praca kulturalno-oświatowa, oparta na zasadach chrześcijańskich, i popieranie pracy rolniczo-handlowej na zasadach spółdzielczych. Celem zaś jest podniesienie oświaty ludu polskiego i poprawa jego bytu materialnego.

2. Dla osiągnięcia tego celu Związek ma prawo:

a) wydawać pisma periodyczne, książki i podręczniki, zakładać czy-

telnie i księgarnie, urządzać pogadanki i wykłady, organizować kursy, wystawy, pokazy naukowe i zebrania kulturalno-oświatowe,

b) budować i prowadzić zakłady oświatowo-gospodarcze,

c) popierać zakładanie spółdzielni spożywczych i rolniczo-handlowych oraz kas samopomocy,

d) organizować i utrzymywać wszelkie instytucje, celom Związku służące,

e) udzielać zapomóg wybitnym uczącym się jednostkom pochodzącym z ludu.

Tak brzmi jeden z artykułów tej instytucji ludowej, która nie powstała, gdyż w ostatniej chwili narodziła się myśl, żeby zamiast Związku Ludowego (który mógłby wydawać się organizacją partyjną, podobną do zbankrutowanych i żarliwie kłócących się stronnictw politycznych) założyć „Związek Rolników", zmieniwszy nieco projekt statutu Związku Ludowego. Dla mnie osobiście nie odgrywa żadnej roli nazwa instytucji, bo chodzi mi tylko o jej treść.

Myśl założenia takiej instytucji ludowej, która by skupiła lud do pracy oświatowej i gospodarczej, rozwijałem w niezliczonych ilościach artykułów, drukowanych przeważnie w „Naszym Przyjacielu". Czytelnicy posłusznie potakiwali tym poczynaniom, ale gdy przychodziło do ich realizacji, zwykle ociągali się, oglądając się na innych, bo lud nasz nie jest pochopny do zakładania instytucji, do której istnienia trzeba dokładać. Wieś nasza chętnie należałaby do takiej instytucji, która tylko daje, ale nic nie bierze.

Nie upadam jednak na duchu, gdyż wiem, że prędzej czy później taka instytucja powstanie, bo powstać musi, stworzy ją bowiem konieczność życiowa; im prędzej powstanie, tym lepiej będzie dla ludu. Wiem również, że wszystko to, co dobre, powstaje i rozwija się wolno, zło tylko powstaje szybko i krzewi się też szybko. Grundtwig, gdy powziął myśl założenia uniwersytetu ludowego, miał 43 lat, a pierwszy uniwersytet był otwarty, gdy miał 57 lat; czternaście lat Grundtwig pracował nad zrealizowaniem swej myśli.

Grunt do założenia takiej instytucji, która rozpocznie pracę planową, polegającą na podniesieniu oświaty na wsi i poprawie jej bytu materialnego, jest do pewnego stopnia przygotowany i sprzyjający teraz właśnie, gdy polityczne stronnictwa ludowe ostatecznie skompromitowały się, dzieląc się na wrogie obozy, kłócąc się między sobą i odstraszając od siebie statecznych ludzi, marzących o pracy spokojnej i planowej.

Taka właśnie instytucja ludowa, która będzie miała w programie przede wszystkim sprawy oświatowe i gospodarcze i będzie stała z dala od gorszących walk partyjnych, zacznie stopniowo uspakajać wieś, będzie jednoczyć i skupiać inteligentniejsze jednostki dobrej woli, dziś rozsiane i chodzące samopas.

Nad stworzeniem takiej właśnie instytucji ludowej biedzę się teraz i staram się skupić chętnych do tej pracy ludzi.

Po przeniesieniu na emeryturę zamieszkałem w P. Oprócz stałej pracy w prasie ludowej biorę żywy udział w życiu społecznym i samorządowym. Zaraz po zamieszkaniu w P. założyłem Koło LOPP i dopomogłem założyć Koło Polskiej Macierzy Szkolnej. W tej chwili jestem prezesem Koła Towarzystwa Popierania Budowy Szkół Powszechnych, członkiem rady miejskiej w P. i członkiem rady powiatowej pow. warszawskiego.

Praca samorządowa nie daje mi zadowolenia, gdyż samorząd w wielu wypadkach, to prawdziwy bałagan, dzięki któremu marnuje się pieniądze społeczne z takim trudem wyciskane z coraz uboższej ludności. Bałagan ten według mego zdania pochodzi stąd, że do samorządu wybierają nie najlepszych przedstawicieli społeczeństwa w danej miejscowości, lecz swoich zwolenników, wszystko jedno kogo, byle swego. Do tego jeszcze przyczyniły się władze nadzorcze, które również chciałyby mieć w samorządzie swoich ludzi jak najwięcej, nie zawsze uważając na ich cnoty umysłowe ani też duchowe.

Trzeba jeszcze dodać, że bynajmniej nie przyczynia się do uporządkowania gospodarki samorządowej burmistrz, narzucony z góry, człowiek obcy, nie znający miejscowych warunków, nie mieszkający na miejscu, lecz przyjeżdżający tylko na urzędowanie, jakby na gościnne występy: to nienormalne zjawisko nie powinno być tolerowane przez władze wyższe. Skutek takiego stanu rzeczy był ten, że gospodarka samorządowa kulała, długi rosły, radni na posiedzeniu rad, szczególnie w małych miasteczkach, przeważnie milczeli, bo niewiele rozumieli z tego, o czym się mówiło; posiedzenie takich rad to jałowa gadanina i pośpiech, żeby jak najprędzej skończyć i wrócić do swoich zajęć codziennych. Przy rozstrzyganiu różnych spraw gospodarczych nieraz działają zakulisowe drobne szacherki natury osobistej, z którymi walczyć jest bardzo trudno.

Oprócz tego zająłem się spółdzielczością. W P. była spółdzielnia spożywców, założona w 1927 r., składająca się z jednego sklepu, mającego około 20 członków i 3 - 4 tys. miesięcznego obrotu. Była to placówka robotnicza. Z inteligentniejszych osób należał tylko jeden nauczyciel szkoły powszechnej, założyciel tej spółdzielni. Po moim wstąpieniu do spółdzielni liczba członków zaczęła szybko wzrastać. Obroty, pomimo ciężkich czasów, powiększyły się. Członkowie domagali się założenia sklepów w innych częściach miasta. W krótkim czasie założyliśmy jeszcze trzy sklepy spożywcze. Obroty dochodziły do 16 tysięcy zł miesięcznie, co dla małego miasteczka stanowiło poważną sumę.

Pracy w spółdzielni było dużo, ale wyniki osiągnęliśmy dobre. Trochę napłynęło inteligencji, lecz przeważała masa robotnicza, którą mniej pociągała idea, znacznie więcej materialna korzyść. Dywidendę i procenty od udziałów na rok ubiegły wypłacaliśmy w naturze przed Wielkanocą, kiedy uboga ludność odczuwała większy brak środków do życia. Nie-

raz za tę dywidendę i procenty ubożsi członkowie wyprawiali sobie święta. To zachęcało innych do zapisywania się na członków.

Dobrze rozwinęłaby się ta placówka społeczna, gdyby niesumienność niektórych sklepowych nie zahamowała jej rozwoju: brak sumiennych pracowników, to największy hamulec w naszej spółdzielczości, to straszny rak, który ją toczy...

P. 25 listopada 1935.

Lp. 7

Pracownik samorządowy

z pow. lipnowskiego.

Urodziłem się 16 listopada 1898 r. jako syn rolnika we wsi S., ówczesnego powiatu lipnowskiego, ziemi Dobrzyńskiej. Wychowywałem się pod wpływem ojca w duchu radykalnym.

Ojciec mój, pamiętając czasy pańszczyzny, a potem żyjąc w dobie silnego ucisku narodowego i ekonomicznego, widział, jak w tych ciężkich warunkach tylko warstwy zamożne dobrze dawały sobie radę z Moskalami. Gościną i łapówką często torowały sobie drogę do egzystencji, nieraz szły na rękę zaborcom. Ucisk ten najbardziej dokuczał warstwom niezamożnym, przeto do dziś utrwaliło się we mnie przekonanie, że upadek niepodległości stokroć gorszy jest dla warstw słabszych ekonomicznie, niż dla ludzi zamożnych, którzy, mając kapitał w ręku, dadzą sobie radę w złych warunkach, gdy pozostali byliby zniszczeni i upodleni, jak to miało miejsce w czasie niewoli.

Porywy wolności w roku 1905 wyryły na mojej młodzieńczej duszy głębokie rysy, tym bardziej, że zmuszony byłem zaprzestać uczęszczania do polskiej szkółki prywatnej, istniejącej zaledwie kilka miesięcy, a założonej przy współudziale ojca w rodzinnej wsi. Pamiętam, że w latach 1905 - 1906, aczkolwiek wieś nie reagowała poważnie na toczące się wypadki, to jednak w domu mych rodziców prawie codziennie mówiono o nadchodzących lepszych czasach, o konieczności przeciwstawienia się władzom zaborczym. Widocznym dowodem tego był masowy udział wsi w powzięciu uchwał o wprowadzenie języka polskiego do biur urzędów gminnych i sądów, za co Moskale w stosunku do gorętszych zastosowali więzienie, zabierając, jako winnych powzięcia tych uchwał, sędziego gminnego, pisarza gminnego i jednego gospodarza z naszej okolicy.

W dalszym ciągu, aby uniknąć szkoły rosyjskiej ojciec umieścił mnie w prywatnym progimnazjum Wernika w Płocku, które skończyłem w 1911 r. W szkole tej żył duch niepodległościowy i chociaż młodsi mało byli w szczegóły wtajemniczeni, to jednak hartowano ich dusze przez

pogadanki, przedstawienia, wzajemne karanie się za używanie wyrazów obcego pochodzenia i t. p. ćwiczenia. Dalsze nauki z braku środków zmuszony byłem zdobywać prywatnie.

Z życiem organizacyjnym starszego społeczeństwa zetknąłem się po raz pierwszy około roku 1908 - 1910, kiedy to, będąc z ojcem na zebraniu gminy B. powiatu lipnowskiego, przysłuchiwałem się, jak omawiano sprawę budowy szkoły, a tym samym sprawę wprowadzenia tak zwanego powszechnego nauczania. Sprawa ta natrafiała na poważne trudności, gdyż jedni nie rozumiejąc konieczności oświaty, inni bojąc się zrusyfikowania młodego pokolenia nie chcieli się na jej uchwalenie zgodzić. Dopiero po przestudiowaniu i podaniu sobie z ucha do ucha argumentów, głoszonych, o ile sobie przypominam, przez oddanego całym sercem tej sprawie pana W. Grabskiego, jednego z propagatorów i czynnych działaczy społecznych tego czasu, uchwalono omawiane projekty. Uchwała ta wydobyła dużo pieniędzy na budowę szkół, których tak brakowało na wsi i dała możność pobudowania pięknych szkół oraz wprowadzenia powszechnego nauczania, którymi do dziś gmina B. może się poszczycić. W ślad za tą gminą poszło w naszej okolicy jeszcze kilka, kierując się zasadą, że trzeba mieć przede wszystkim szkoły, a nauka będzie taka, jaką stworzy sobie społeczeństwo.

Wierząc, że przez samorząd choćby najbardziej ograniczony można służyć swym rodakom i pracować dla wsi, wstępuję 1-go stycznia 1914 roku na praktykę biurową do gminy D. powiatu włocławskiego. Od 1-go maja 1917 pełnię obowiązki pomocnika sekretarza w gminach: C. i O. pow. nieszawskiego, 1-go września 1919 r. zostaję sekretarzem gminy Bb. pow. lipnowskiego, 1-go października 1929 r. sekretarzem gminy N. pow. lipnowskiego. Od 1 stycznia 1935 r. do 15 maja tego roku pełnię funkcję inspektora samorządu gminnego. Od tego czasu aż po dzień dzisiejszy jestem dyrektorem Kasy Oszczędności powiatu lipnowskiego.

Pracując rzetelnie, zdobyłem szacunek i zaufanie. Kilkakrotnie zostałem odznaczony medalami państwowymi i społecznymi, aczkolwiek nie przywiązuję do nich wagi.

W ciągu mojej dwudziestoletniej pracy samorządowo-społecznej stykałem się z ludnością wsi czy to na gruncie urzędowym, społecznym czy też prywatnym, a będąc jej bliski duchowo, jako syn tej wsi, poznałem dokładnie teren pracy, który wiernie chcę scharakteryzować w niniejszym życiorycie. Pragnę nadmienić, że wielu inteligentów pracujących na wsi posiada złe wyobrażenia o ludności wiejskiej i z tego powodu napotyka często na rozgoryczenie i konflikty w swej pracy. Aby poznać wieś, jej życie, potrzeby i duszę, trzeba wczuć się w jej warunki nie tylko odświętne, ale codzienne, trzeba przez wiele lat śledzić przy każdej okazji jej zmagania się w codziennych troskach, trzeba znajdować się na wsi, tak w chwilach powodzeń, jak i niepowodzeń.

Zanim przystąpię do opisu swych przeżyć z pracy samorządowo-spo-

łecznej, chciałbym choćby pokrótce scharakteryzować teren, w jakim praca ta rozwijała się i kształtowała.

Ludność powiatu lipnowskiego składa się przeważnie z włościan mało i średniorolnych, z małą domieszką drobnej szlachty, przy nieznacznym odsetku bezrolnych oraz służby folwarcznej.

Przeciętny typ gospodarstwa rolnego posiada około 10 mórg ziemi średniej lub lichej; gospodarstw zupełnie karłowatych jest bardzo mało, natomiast wiele ziemi jest w posiadaniu większej własności (około 40%). Obok pracy na roli innych zajęć przeważnie tam nie ma, wyjątkowo tylko niektóre okolice mogą dorabiać przy eksploatacji torfu i przy pracach leśnych.

Na ogół mieszkańcy wsi są konserwatywni, przywiązani do ziemi i wiary ojców swoich, aczkolwiek w ostatnich czasach, zarówno pod wpływem nowych prądów, jak i bardzo trudnych warunków, w jakich wieś się znajduje, przechodzą w radykalizm. Kościół jest uważany za rzecz nadziemską, lecz z duchowieństwem coraz częściej zdarzają się zatargi, szczególnie przy opłatach za obrzędy kościelne. Zatargi te przenoszą się i na życie społeczne.

Charakterystycznym przykładem, ilustrującym przywiązanie ludności do wiary, może być taki obrazek. W 1922 r. na wiecu socjalistycznym w B. gromada ludzi słuchała w skupieniu mówcy socjalistycznego i oklaskiwała go szczególnie żywo, gdy krytykował duchowieństwo, lecz gdy dał się słyszeć głos dzwonu, wzywającego na nieszpory, wówczas wszyscy ruszyli ławą do kościoła, zostawiając mówcę w gronie 4-ch osób.

Moralność publiczna od czasów wojny europejskiej znacznie się obniżyła.

Oświata stoi dość nisko, aczkolwiek analfabetyzm coraz bardziej zanika. Ci z młodych, którzy skończyli 4-ry, a nawet 7 klas szkoły powszechnej, szybko zapominają to, czego się nauczyli, to też wśród starszego pokolenia istnieje przekonanie, że dawny, przedwojenny system nauczania był lepszy. Mówią np., że ten co skończył 3 oddziały przed wojną, lepiej czyta, pisze i rachuje, niż ten co obecnie ukończył szkołę powszechną. Nie jest to na szczęście słuszne, gdyż młodzież obecna w szkole powszechnej uczy się o wiele więcej niż dawniej, ale system ciągłych zmian programu nie wpływa dodatnio na kształcenie się młodego pokolenia wiejskiego. Na ogół ludność do oświaty garnie się chętnie, szkoły są budowane samorzutnie, dzieci przeważnie uczęszczają regularnie do szkoły. Kary za nieposyłanie dzieci do szkół są coraz mniej stosowane, aczkolwiek jeszcze w 1923 r. miałem taki wypadek, że zebranie gminne w Bb. wystąpiło przeciwko karom za nieposyłanie dzieci do szkoły i dopiero taki argument, „że utrzymanie szkół kosztuje drogo, że nauczyciel czy uczy dzieci dużo, czy mało pobiera jednakową pensję“, uspokoiło interpelantów. Oświadczyli oni w końcu, że choćby dlatego trzeba posyłać dzieci do szko-

ły, aby nie tracić bez potrzeby pieniędzy na utrzymanie szkół, które są nie wykorzystane dzięki nieregularnemu uczęszczaniu do nich dzieci.

Kultura bardziej rozwija się we wsiach czysto włościańskich. Wsie drobno-szlacheckie oraz kolonie niemieckie, często tu spotykane, przed wojną stały umysłowo wyżej, posiadając przeważnie szkoły, kasy, kółka rolnicze. Obecnie stoją gorzej, uważają się za coś bardziej odrębnego i nie biorą żywszego udziału w zdobywaniu postępu. Wojna europejska, przynosząc z jednej strony ujemne skutki dla wsi, z drugiej przyczyniła się do znacznego postępu kultury i pomimo ostatniego zastoju i kryzysu, dającego się specjalnie odczuwać na wsi, wieś stoi daleko wyżej kulturalnie niż dwadzieścia lat temu.

Z chwilą odzyskania niepodległości ludność gromadnie zaczęła posyłać swe dzieci do szkół, nie tylko powszechnych, ale średnich i specjalnych i dopiero ostatni kryzys uniemożliwił robienie dalszych postępów pod tym względem. Czytelnictwo coraz bardziej rozwijało się, zastępując stare senniki pożytecznymi książkami. Ostatnio jednak czytelnictwo gazet znacznie się obniżyło — przychodzi zaledwie po 5 - 6 egzemplarzy pism na gminę. Radio jest coraz częstszym gościem na wsi i byłoby jeszcze serdeczniej przyjęte, gdyby programy bardziej udostępnić przeciętnemu słuchaczowi wsi. Młodzież wychowana jest w duchu materialistycznym; na dowód tego przytaczam wyjątek z listu kandydata na nauczyciela: „...dzisiaj otrzymałem gotówkę i dzisiaj też zaraz, korzystając z wolnego czasu, odpisuję. Przede wszystkim czuję się w obowiązku podziękować za przysłane pieniądze. Tę sprawę stawiam dlatego na pierwszym planie, ponieważ dla mnie w obecnej sytuacji pieniądze stanowią bardzo ważną kwestię. Świat dzisiejszy, chociaż dużo mówi o poświęceniach, o pracy ideowej, jest jednak w gruncie rzeczy zmaterializowany (chociaż to było zawsze). Cała gospodarka — większość wysiłku ludzkiego, to dążność do dobrobytu, do możności osiągnięcia największych zysków. Czasami robi się to podświadomie, wmawiając w siebie, że robi się to dla idei. W gruncie rzeczy myśli się, mówiąc otwarcie, o forsie. Dlaczegóż więc ja nie mam myśleć?“

Poziom kultury rolnej i hodowlanej w porównaniu z innymi krajami jest niski, aczkolwiek z roku na rok znacznie się poprawia. Komasacja, likwidacja serwitutów, melioracja i parcelacja bardzo wiele przyczyniły się do podniesienia kultury, lecz jakże jeszcze daleko jesteśmy w stosunku np. do takiej Danii. W roku ub. zwiedziłem Danię z wycieczką rolniczą i porównując stosunki nasze z duńskimi, mogę śmiało powiedzieć, iż dopóty nie osiągniemy takiej kultury, dokąd na wsi będzie brak wśród drobnego rolnictwa ludzi ze średnim wykształceniem lub wykształceniem fachowym. Takich ludzi obecnie u nas na wsi trzeba szukać ze świecą.

Wieś nasza chce organizacji, brak jej jednak ludzi, którzy byliby prze-

wodnikami i współwykonawcami zamierzanych prac. Co prawda trudno się dziwić, że rodzice, kształcąc dzieci, niechętnie myślą o ich powrocie na wieś, gdyż wydając nieraz ostatni ciężko zapracowany grosz, chcieliby im zapewnić możliwości ludzkiej egzystencji, której praca w dzisiejszym gospodarstwie rolnym w naszych warunkach nie da. Tylko nasz chłop, który jest przywiązany do ziemi, może, przymierając z głodu, ponosić świadczenia i utrzymać rodzinę.

Wymagania życiowe wsi, trzeba przyznać, są obecnie wyższe niż były przed wojną europejską. Złożyło się na to wiele przyczyn, a szczególnie okres dobrej koniunktury dla rolnictwa, kiedy rolnik mógł sobie na wiele rzeczy pozwolić; obecnie nawrót do dawnych czasów jest trudny. Można teraz, pomimo ciężkich warunków, spotkać ludzi lepiej ubranych i więcej tracących na próżno grosz, niż to było dawniej. Zniknęło przedwojenne obuwie tak zwane faladrowe, pojawiły się śniegowce, kalosze, różne nowomodne ubiory, stosunki ekonomiczne na wsi są mimo to bardzo ciężkie. Ludność wiejska bardzo źle się odżywia, żałuje sobie chleba, nie mówiąc już o mleku, jajach, okrasie, które często zastępuje sól lub ocet. Nic też dziwnego, że najpoważniejszy odsetek zmarłych na wsi stanowią zmarli na gruźlicę.

Ponieważ ludność wsi nie ma możności emigracji, a warunki ekonomiczne uniemożliwiają usamodzielnienie się dorastającej młodzieży, przeto prawie w każdym domu można spotkać kilka osób tylko częściowo zatrudnionych, wyczekujących. Jest to jedna z przyczyn wywołujących awantury, bijatyki, podpalania budynków, niszczenie lasów. Kara aresztu była dawniej hańbą, dzisiaj za najmniejszą karę każdy chce odbyć areszt, który się uważa za coś normalnego. Sekwestrator lub komornik na wsi był dawniej sensacją, a gospodarz chował się przed nim ze wstydu — dziś są oni codziennymi gośćmi, a na przyjazd ich gospodarz wychodzi do wrót.

Handel znajduje się przeważnie w ręku żydowskim, chociaż daje się zauważyć w tym względzie poważną poprawę i to jest ciekawe, że wieś bez żadnej specjalnej agitacji żywiołowo zaczyna doceniać znaczenie handlu w rękach chrześcijańskich. Plagą dla wsi są jarmarki, do których tak się ludzie przyzwyczaili, że muszą być na każdym targu lub jarmarku i co tydzień marnują wiele czasu i pieniędzy. Poza tym należy zauważyć, że kupowanie przez wieś na raty, tak od różnych agentów, jak i w sklepach, daje możność kupowania tego, co nie jest konieczne (wmówią) i pogrąża wielu kupujących w długi.

Rzemiosła na wsi w ścisłym znaczeniu nie ma, są co prawda kowale, cieśle, kołodzieje, murarze i t. d., ale pracują przeważnie przy swoim kawałku ziemi. Powodzi im się również źle, jak i ich otoczeniu, tym bardziej, że płacą od rzemiosła poważne podatki, na które nieraz nie mogą zapracować.

Z przemysłu domowego można spotkać obróbkę lnu i wyrób tegoż na płótno, które się coraz bardziej rozpowszechnia. W dziedzinie rzemiosła wiejskiego i przemysłu domowego jest bardzo poważne pole do działania, które należałoby rozwinąć. Na dowód tego przytaczam taki przykład. W gminie D. nad Wisłą produkowano wielkie ilości wikliny, ale wywożono ją do 1914 r. w formie surowca, gdyż nie było na miejscu fachowo wykwalifikowanych rzemieślników. Zwrócił na to uwagę ówczesny proboszcz ks. L. i założył pod kierownictwem fachowym parafialne warsztaty dla młodzieży, która stamtąd przeważnie wyjeżdżała na roboty rolne do Niemiec. Warsztaty te pięknie się rozwinęły, nauczyły fachu dużo młodzieży i aczkolwiek wskutek wojny zostały zwinięte, do dziś w tamtej okolicy rzemiosło koszykarskie, jako rękodzielnictwo domowe, daje pracę wielu mieszkańcom.

Stosunek drobnej własności do większej (wśród których nie brak i dzielnych jednostek oddanych wsi) coraz bardziej zaostrza się, szczególnie ostatnio z powodu niewywiązywania się większej własności z obowiązków prywatnych — płacenie zarobionych należności i publicznych — niepłacenie podatków, których zaległości dochodzą do bajecznych rozmiarów, podczas gdy mniejsza własność, odejmując sobie ostatni kawałek chleba od ust, płaci świadczenia prawie w 100%. Do banków państwowych, towarzystw kredytowych wieś również jest rozgoryczona, gdyż te zamiast parcelować na długoletnie raty większe majątki ziemskie przejęte za długi, przysyłają administratorów, kładą w te majątki moc pieniędzy, choćby tylko dlatego, aby nie puścić tej ziemi w chłopskie ręce, a stworzyć nowy typ właścicieli ziemskich. W ogóle parcelacja nawet w dzisiejszych trudnych czasach ma swoją rację, jeżeli bowiem jakiś kawałek ziemi dostanie się w chłopskie ręce, nikt nie potrafi mu jej wyrwać i w razie niebezpieczeństwa zewnętrznego potrafi ją obronić, a pod względem ekonomicznym prędzej wytrzyma na tym warsztacie pracy, jak większa własność, która bardzo słabo gospodaruje, wegetując z dnia na dzień.

Doceniając znaczenie pracy społecznej, poświęciłem specjalną uwagę prowadzeniu organizacji potrzebnych do podniesienia życia gospodarczego i kulturalnego wsi. Ostatnio jednak zauważyłem, że zakładanie i prowadzenie organizacyj społecznych staje się chorobliwą manią; zakładane są takie organizacje, które w danym środowisku są zbyteczne, do których prowadzenia ludność jeszcze nie dorosła lub takie, które nie mają racji bytu na wsi. To też prowadzenie koniecznych na wsi organizacji jest bardzo utrudnione, często spotyka się wzajemne zwalczanie, różne ambicje i ambicyjki. Doszło do tak szalonej ilości organizacji, że często, bez przesady mówiąc, jest więcej prezesów jak członków, a nazwanie kogoś prezesem na pewno nie będzie pomyłką. Stan ten w niedługim czasie musi ulec radykalnej zmianie, gdyż inaczej wyrodzi on życie społeczne wsi.

Najbardziej mi znane na wsi są następujące organizacje, w których życiu od zarania swej pracy brałem udział.

Straże pożarne są jednymi z najbardziej popularnych organizacji na wsi. Do nich należy najwartościowszy element ludzki. Ludność wiejska docenia wartość tych placówek, to też rozwój ich nie napotyka na trudności i nawet w obecnym, kryzysowym czasie jest piękny. Pomoc z zewnątrz nie jest tu niezbędną, to też nawet w takich wsiach, gdzie nie ma pomocy inteligencji, sami chłopi potrafią należycie je prowadzić.

Zakładając jeszcze w 1916 r. straż pożarną w D. i w 1918 r. w T., już spotkałem się z żywym zainteresowaniem ludności i chętnymi ofiarami na ten cel. Akcja ta wówczas nie powiodła się z powodu przeszkód stosowanych przez okupantów, ale po odzyskaniu niepodległości placówki te rozwinęły się należycie. Od samego przybycia w 1919 roku do Bb. aż do wyjścia stamtąd w 1929 roku służyłem w straży i podczas mej pracy stwierdziłem wielkie przywiązanie wsi do tej organizacji, co mnie przekonało o jej zdrowych podstawach. W ciągu tych 10-ciu lat, mimo usiłowania rozbicia tej placówki przez miejscowego ks. M., który z ambony ją wyklinał, odmawiał ślubów i pogrzebów członkom straży, zabraniał składania ofiar, a nawet podczas uroczystości narodowych w 1928 roku, gdy zauważył straż pożarną, przerwał odprawianą mszę św., organizacja ta jeszcze bardziej zespoliła się i wykazuje duży dorobek. Straż ta w omawianym okresie poza umundurowaniem, zakupieniem pełnego sprzętu, ufundowaniem orkiestry i sztandaru, pobudowała piękną remizę z salą zebrań. Społeczeństwo miejscowe całą siłą stało za strażą do końca, z czego wyciągnąłem naukę, że im bardziej ktoś chce pogrążyć dobrą sprawę, tym silniejszą ona wychodzi z ciężkich warunków.

Poza tym należałem do organizatorów i współtwórców straży pożarnych w M., H i W., które powstały w okresie początkującego kryzysu. Bez żadnej pomocy z zewnątrz potrafiły doprowadzić swe drużyny do gotowości bojowej.

Tak w pracach straży, jak i w innych organizacjach, starałem się podsunąć tylko myśl, a następnie służyłem pomocą, dając możność miejscowemu społeczeństwu wyładowania twórczej energii. Potem już tylko zwracałem uwagę, że skoro coś zaczęli robić, muszą to zrobić należycie. To też przy budowie remizy w Bb. w ciągu 2-ch dni zwieziono całkowity materiał na budowę i zgromadzono kilkaset złotych gotówki.

Organizacje młodzieżowe. W latach 1919 - 1921 r. należałem do patronatu młodzieży katolickiej w Bb. Po pewnym czasie musiałem ustąpić, gdyż stwierdziłem, że duchowieństwo pracę w tej organizacji utożsamia z sobą i że najmniejsze nieporozumienie z księdzem robi Bogu ducha winnego człowieka wyrzutkiem społeczeństwa i t. p.

Od 1929 roku współpracuję z organizacjami młodzieżowymi „Siew". W organizacji tej spotkałem wiele uspołecznienia i dążności do samokształcenia. Niestety, organizacja ta skupia w sobie nieznaczny odsetek

młodzieży, przy tym za duży wpływ wywiera na nią starsze społeczeństwo. Byłem kilkakrotnie prelegentem na kursach urządzanych dla młodzieży, kursy te jednak nie były należycie obesłane.

Organizacje przysposobienia wojskowego. Zadania tych organizacyj są bardzo piękne i w teorii stanowią ogromną siłę naszej Ojczyzny, trzeba jednak z bólem stwierdzić, że istnieją one przeważnie na papierze, a udział w nich biorą w małym procencie ludzie ideowi.

Organizacje spółdzielcze. Od dłuższego czasu należę do kilku spółdzielni, bądź jako członek zwykły, bądź jako członek zarządu i muszę stwierdzić, że 90% społeczeństwa nie ma wyrobionej idei spółdzielczej. Jedni należą dlatego, że im się to kalkuluje, drudzy, że tak wypada, lecz prawdziwej idei spółdzielczej nie rozumieją. Prawda, że spółdzielnie na naszym terenie założone w początkach odrodzenia państwa polskiego załamały się, narażając ludność na poważne straty, tak że dziś tylko bardziej wyrobieni społecznie są ich członkami. Koniecznym jest teraz przekonać społeczeństwo, że doświadczeni pracą w upadłych spółdzielniach będziemy się chronili od popełniania błędów i dzisiejsze spółdzielnie prowadzimy właściwymi drogami. Należy też przygotować kierowników spółdzielni spośród społeczeństwa wiejskiego.

Organizacje rolnicze. Jako syn rolnika i posiadacz gospodarstwa rolnego, biorę czynny udział w organizacjach rolniczych. Jestem jednym z organizatorów kółek rolniczych w Bb. (1933 r.) i w J. (1929 r.). Tego ostatniego kółka jestem prezesem. Ogólnie biorąc, praca w kółkach rolniczych jest słaba. Dlaczego tak jest, trudno zrozumieć. Sądzę, że kółka rolnicze tam się rozwijają należycie, gdzie znajdą się ludzie zamiłowani do pracy. Trzeba przyznać jednak, że kółka rolnicze na naszym terenie zrobiły wiele. Podniesienie hodowli i w ogóle kultury rolnej, organizację sadownictwa, zawdzięczamy pracy organizacji rolniczych.

Organizacje kredytowe. Pracę w tym kierunku rozpocząłem w Gminnej Kasie Pożyczkowo-Oszczędnościowej w Bb. w roku 1919, której działalność została zahamowana przez spadek marki. W roku 1925 byłem jednym z organizatorów Kasy Stefczyka w Bb., do której chętnie garnęli się ludzie, ale przeważnie dlatego, aby zaciągać pożyczki.To też Kasa ta ledwie wegetuje, tym bardziej, że kierownictwo jej znalazło się w nieodpowiednich rękach. W roku 1929 zorganizowałem Gminną Kasę Pożyczkowo-Oszczędnościową w S., która rozwija się dobrze, nie odczuwając zupełnie kryzysu, a to dzięki temu, że kierownictwo jej wpoiło w społeczeństwo gminy konieczność terminowego wywiązywania się z obowiązków. Kasa ta posiada kilkadziesiąt tysięcy wkładów, przeszło 700 pożyczek i jeszcze dziś pożycza tygodniowo po 5 tysięcy złotych przeciętnie.

Obecnie pracuję w Komunalnej Kasie Oszczędności pow. lipnowskiego, która z powodu niesolidności pożyczkobiorców i nienależytego prowadzenia znalazła się w trudnej sytuacji. Trudności te Kasa w tej chwili

pokonywuje dzięki przeprowadzeniu z jednej strony korzystnych umów z pożyczkobiorcami, z drugiej dzięki zdobywaniu zaufania wśród społeczeństwa. W czasie mojej pracy w instytucjach kredytowych zawsze zwracałem uwagę na to, aby wydawać pożyczki ludziom solidnym i przeznaczającym te pieniądze na odpowiedni cel, to też nie miałem wypadku egzekucji. Obecnie, gdy kredyt prywatny zupełnie nie istnieje, omawiane instytucje posiadają stale gotówkę i mogą w każdej chwili przyjść z pomocą potrzebującemu.

Co do kredytu prywatnego to muszę stwierdzić, że tak zwane ustawy oddłużeniowe i urzędy rozjemcze przykrą po sobie pozostawią pamięć; z ustaw tych na razie korzystają przeważnie spekulanci i kombinatorzy, a tylko w nielicznych wypadkach tacy, którym by się to słusznie należało. Pieniądz jest obecnie chowany, brat bratu nie wierzy i istnieje przekonanie nawet u tych, co mają długi, że najsłuszniejszą byłaby spłata, ale jednorazowa w/g istotnej obecnej wartości pożyczonego kapitału.

Życie kulturalne na wsi najbardziej według mnie skupiać się może w domu ludowym, czytelni, a rozwijać je można przez biblioteki, chóry, przedstawienia. Ponieważ organizacje strażackie mają najwięcej sympatii na wsi, przeto domy ludowe organizowałem przy remizach strażackich. W r. 1926 zorganizowałem budowę pięknej remizy z domem ludowym w Bb., w 1923 r. w H., a w 1933 r. w W.

Zorganizowałem również w Bb. czytelnię, do której codziennie zbierałem pisma ofiarowane przez osoby prywatne oraz bibliotekę i czytelnię w S., która została stworzona wspólnymi siłami organizacji miejscowych.

Dla poszczególnych organizacji z publicznych bibliotek w Lipnie wypożyczałem bibliotekę wędrowną, która cieszyła się powodzeniem. Ta forma bibliotek, jako docierająca do najmniejszego zakątka, zasługuje na szczególne poparcie.

W ciągu ubiegłych dwudziestu lat pracę swą poświęcałem głównie samorządowi i to zagadnienie chciałbym szczegółowo opisać.

Sama idea samorządu do dziś nie jest doceniana. Samorząd do dziś jest uważany, jeżeli nie przez naczelne organy państwowe, to przez niższe czynniki państwa za kopciuszka władzy, a nie jego wyręczyciela. Aczkolwiek główna przeszkoda organizacyjna t. j. ustawa zaborcza z zebraniem gminnym na czele tak pomyślanym, aby tamowało ono wszelkie przejawy życia samorządowego, przeszła do historii, to obecna znów pozwala na zbyt ścisłą ingerencję władz nadzorczych, a dalszym pogorszeniem tego stanu jest zupełnie szkodliwy udział administracji w wyborach samorządowych. Samorząd na wsi jest nie tylko tym, co ma zakreślone przez ustawy państwowe, jest on odbiciem państwa w najmniejszym środowisku, jakby fotografią w miniaturze administracji państwowej. Samorząd ma bardzo wiele do zrobienia, nawet po podniesieniu wsi pod względem kulturalnym i gospodarczym będzie wymagał pracy społeczeństwa.

Bardzo ważnym zagadnieniem jest wybór odpowiednich ludzi do organów stanowiących i wykonawczych samorządu (rady gminnej, zarządu gminnego, wójta, sołtysów). Przekonałem się, że do organów tych nie koniecznie potrzeba specjalnych mędrców, polityków, lecz ludzi rozumnych, którzy na swoim warsztacie pracy i w swoim środowisku umiejętnie i troskliwie pracują. Tacy ludzie potrafią poprowadzić i gospodarkę samorządową. Zwykle tam, gdzie do organów samorządowych weszli ludzie (np. w Bb.), którzy na swym warsztacie pracy źle gospodarowali, gospodarkę samorządową prowadzili fatalnie.

Ponieważ w samorządzie gminnym praca czynnika obywatelskiego jest tylko dorywcza, bardzo ważnym jest, aby czynnik urzędniczy, a szczególnie kierowniczy, jakim jest w samorządzie gminnym sekretarz, był odpowiedni. Trzeba, aby zawód swój kochał i był do niego należycie przygotowany, tym bardziej, że wymaga on specjalnych zdolności: trzeba bowiem umieć z jednej strony służyć samorządowi, wykonywać ciężkie obowiązki państwowe coraz bardziej przygniatające samorząd, z drugiej zaś być społecznikiem, umieć pogodzić interes mieszkańca gminy z interesem państwa, wczuć się w istotę potrzeb śpieszącego do biura gminy gminiaka po poradę i pomoc i trzeba odsunąć się od biurokratyzmu. Dalszy personel biura winien być tak obsadzony, aby interes mieszkańców gminy na tym nie cierpiał.

W swojej pracy nigdy nie spotkałem się z zarzutem, że administracja gminy zbyt drogo kosztuje, bo ci, co z bliska się przyglądali, widzieli, że z tego był należyty pożytek dla społeczeństwa.

Nikt nie wychodził z biura gminy nie przekonany, że zostało dla niego zrobione wszystko, co było możliwe. Pracownicy gminni winni być należycie wynagrodzeni za swą często osiemnastogodzinną pracę na dobę i jej specjalny charakter, za to, że nie mogą i nie mają czasu myśleć o swych własnych interesach.

Samorząd gminny obarczony własnymi i poruczonymi obowiązkami, w wykonywaniu ich skrępowany jest pod względem finansowym. Dokąd samorząd nie będzie miał rozszerzonych swych uprawnień finansowych, gospodarka jego będzie bardzo trudna. Obowiązki samorządu wynikają nie tylko z pisanych ustaw, których obfitość płynie zarówno z każdego dziennika ustaw jak i z współżycia ludności na terenie gminy, ale ponadto administracja samorządowa obciążona jest licznymi obowiązkami, o których szerszy ogół społeczeństwa nawet nie wie.

Kto ma za obowiązek:

1) by kontygent pożyczki w odpowiedniej sumie wpłynął,

2) by frekwencja w wyborach była należyta,

3) by udały się liczne, nie wiadomo przez kogo pomyślane obchody, a zbiórki by dały należyty wynik (Dzień konia, Dzień matki, Dzień dziecka, Święto lasu, Święto gór, Święto morza, Tydzień szkolnictwa polskiego

zagranicą, Tydzień polskiego związku zachodniego, Tydzień gruźlika, Dzień macierzy szkolnej i t. p.).

4) by rozpowszechnić jak największą liczbę radio-aparatów.

5) inne dziesiątki podobnych obowiązków.

Poza tym samorząd gminny musi być inicjatorem, opiekunem, a nawet i dostarczycielem finansów organizacjom społecznym na terenie gminy. To też, aby podołać tym zadaniom, samorząd gminny pracę swą prowadzi nie tylko w godzinach urzędowych ale i w niedzielę, święta i po godzinach urzędowych. Koniecznym jest odciążanie go od zbędnej pisaniny, do której jest zmuszony obowiązującymi przepisami i nakazami, gdyż inaczej wzrastająca z dnia na dzień praca biurowa uniemożliwi mu pracę, do której samorząd jest w pierwszym rzędzie powołany.

Oświata jest dla samorządu gminnego jedną z najpoważniejszych trosk od zarania niepodległości.

Zakładanie szkół w żadnej z gmin, w których pracowałem nie szło mi z trudnością. Nie było większej wsi, gdzie by nie założono szkoły przeważnie w najętych lokalach. Gorzej przedstawiała się sprawa, gdy rozpoczęła się t. zw. komasacja szkół, czyli tworzenie szkół wieloklasowych; bywały wypadki (wsie P., O., Ch., Z.), że z siekierami występowano w obronie szkół, a często inwentarz szkolny trzeba było zabierać przy pomocy policji. Z jednej strony nie rozumiano wyższości szkoły wieloklasowej nad jednoklasową, z drugiej zaś nie można się temu dziwić, ludzie bowiem chcieli, aby ich dzieci, a szczególnie maleństwa siedmioletnie, miały szkoły blisko. Budowa szkół również jest popularną, aczkolwiek wieś i tu dąży do budowy budynków mniejszych, a szczególnie tańszych, broniąc się często przed szkołami t. zw. pałacami.

Prawdę mówiąc, pobudowane przy moim współudziale siedmioklasowa szkoła powszechna w Bb. i pięcioklasowa w Ł. w okresie tak zwanej radosnej twórczości w 1928 roku, murowane, ze wszystkimi wygodami, powstały wbrew woli większości gminy. Natomiast pobudowane z mojej inicjatywy szkoły w H., W., M., P., budowane były z drzewa, bardzo tanimi środkami, a miejscowe społeczeństwo poniosło chętnie znaczną część kosztów.

Opał szkół oraz materiał na remonty i budowy były pobierane od płatników stałych, względnie zalegających w płaceniu. Gospodarka dozorów szkolnych była zawsze zbyt uciążliwa dla samorządu gminnego i zaopatrzenie szkół tam było tylko należyte i celowe, gdzie bezpośrednio zajmował się tym samorząd gminny. Jak w innych dziedzinach gospodarki gminnej są komisje, tak i tu konieczną jest reforma w tym kierunku, aby nie rozdwajać administracji szczupłymi funduszami przeznaczonymi na ten cel.

Komunikacja. W poprawieniu stanu naszej komunikacji bardzo wiele do zrobienia ma samorząd gminny. Przysłowiowe polskie drogi wiel-

kiej pracy potrzebują, aby stały się prawdziwymi środkami komunikacji. Na należyte wykonywanie szarwarków zwracałem szczegółową uwagę i dzięki zastosowaniu pracy akordowej oraz stałego fachowego dozoru w latach 1919 - 1929 r. w gminie Bb., o glebie piaszczystej, wzmocniono gliną 45 km dróg, doprowadzając je do takiego stanu, że gdzie poprzednio nie można było przejechać wozem, obecnie bardzo dobrze jeździ się samochodem. W ten sam sposób w latach 1930 - 1934 r. w gminie N. ulepszono 25 km dróg, z tym, że na gruntach gliniastych umocniono nawierzchnię żwirem. Poza tym w roku 1929 sposobem szarwarkowym, przy nieznacznej pomocy sejmiku, wybudowano 3 km szosy w gminie Bb., a w r. 1930 - 1931 6 km w gminie N. Muszę tu zaznaczyć, że budowa dróg o twardej nawierzchni początkowo z niedowierzaniem i niechęcią była podejmowana przez ludność wiejską, obecnie ma ona coraz więcej zwolenników, a samo budowanie szosy, jako wymagające przeważnie nie wykwalifikowanych prac, w dzisiejszym czasie kryzysu jest zupełnie możliwe.

W roku 1925, po usilnych zabiegach, udało mi się zdobyć fundusze na pobudowanie 18 km linii telefonicznej z L. do Bb. Ponieważ w tym względzie była li tylko uchwała rady gminnej, przeto bałem się, iż mogę mieć nieprzyjemności ze strony zgromadzenia gminnego. To też budując linię zastrzegłem się, że ewentualnie przejmie ją właściciel pobliskiego majątku. Gdy jednak na zgromadzeniu gminnym, wobec krytycznego stanowiska poważnej części gminiaków, miała zapaść uchwała zrzekająca się telefonu, nawet najbardziej opozycyjnie nastrojeni byli temu przeciwni oświadczając, że to, co pobudowane, musi pozostać. Na tego rodzaju rozumowanie natknąłem się kilkakrotnie; świadczy to o przywiązaniu chłopa polskiego do tego, co jest już stworzone. W 1927 r. gmina Bb. przez dostarczenie lokalu, opału, światła i posłańca przyczyniła się do uruchomienia agencji pocztowej, której zostałem kierownikiem; od tego czasu mieszkańcy gminy unikają załatwiania swoich interesów w urzędzie pocztowym oddalonym o 18 km.

W latach 1928 - 1929 w Bb. obsadzono kilka km drogi dzikimi drzewkami, lecz wobec braku należytego dozoru, niestety, zostały one przeważnie zniszczone. Natomiast posadzone w r. 1933 drzewka owocowe na drogach gminy N., oddane pod opiekę Koła Młodzieży Wiejskiej w G., pięknie rosną. Z tego wynika, że przy dzisiejszym stanie naszej kultury, sadzenie drzew przydrożnych może dać należyte wyniki tylko przy odpowiedniej i troskliwej opiece.

Popieranie rolnictwa. Współdziałanie z organizacjami rolniczymi nie wyczerpuje całokształtu zagadnień pomocy rolnictwu. Osobiście uważam za konieczne, aby samorząd gminny zdolniejszym synom gospodarzy małorolnych udzielał subwencji na ukończenie szkół rolniczych. W okresie pracy mojej udzielałem subwencji na nagrody dla konkursów rolni-

czych, na tworzenie stacyj czyszczenia nasion i t. p. Poza tym bardzo ważną rzeczą jest oczyszczenie szarwarkiem w gminie N., rowów osuszających łąki i pola, co przynosi gminiakom poważne różnice w dochodach. Również w pewnych wypadkach niezbędnym jest współudział samorządu gminnego z organizacjami spółdzielczymi lub kasami gminnymi przy sprowadzaniu większych partii materiałów na budownictwo i t. p., co miałem możność z pożytkiem kilkakrotnie przeprowadzić.

Opieka społeczna. W tej dziedzinie zagadnienie zwalczania żebractwa i włóczęgostwa ma doniosłe znaczenie dla wsi. Mieszkańcy wsi chętnie poniosą pewne ciężary, byle tylko uwolnić się od ciągłych odwiedzin żebraków, włóczęgów i cyganów, proszących o wsparcie i by uwolnić się od ciągłego pilnowania swego dobytku. Samorząd musi społeczeństwu dać możność wyzwolenia się od tej plagi. Na terenie gminy N. wszystkich swoich żebraków należycie zaopatrzono, dla obcych zaś stworzono wiejskie domy noclegowe, aby rolnik nie musiał, jak to było dotychczas w zwyczaju, w kolejnym porządku przenocowywać w swych budynkach nieznanego osobnika.

Zdrowotność. Pod tym względem wieś jest jeszcze bardzo zaniedbana, aczkolwiek tu i ówdzie widać już postęp. W gminie N. przy pomocy samorządu pobudowano odpowiednie cementowe studnie. Nie spotyka się nigdzie, jak to kiedyś bywało, wypadków choroby na ospę. Dla mieszkańców gminy jest zaangażowany lekarz, który ubogim darmo, a pozostałym za skromną opłatą udziela pomocy; akuszerka dyplomowana jest również na miejscu. Brak jest łaźni, do budowania których gmina dopiero przystępuje. Utrzymanie czystości i świeżego powietrza w chatach wiejskich pozostawia wiele do życzenia — samorząd ma tu wiele do zrobienia.

Obowiązkiem samorządu jest mieć na oku dobro obywateli, do których powinien iść z radą i pomocą w razie pożaru, powodzi czy innej klęski.

Wieś, ogólnie biorąc, jest bierna. Tylko wielki zapał może pobudzić ją do czynu. Takim zapałem było wskrzeszenie niepodległości. Liczny udział młodzieży w walkach o niepodległość, a poważne ofiary i pożyczki były tego dowodem. Wieś nic specjalnego nie żądała od zmartwychwstałej Ojczyzny, chciała i chce, aby ją należycie traktowano w stosunku do jej pracy, jaką oddaje Ojczyźnie. Lecz, niestety, tak nie jest. Z roku na rok powstaje rozgoryczenie. Pomimo 17 lat od odzyskania niepodległości, daje się jeszcze słyszeć takie zdanie: „za ruska było lepiej". Stosunek wieśniaka do urzędnika nie jest wrogi, jak niektórzy sobie wyobrażają, powiem nawet, że do niedawna jeszcze autorytet urzędnika był bardzo ceniony przez wieś, wymaga ona jednak, aby była należycie traktowaną, aby podatki były z niej sprawiedliwie pobierane, aby wybory nie były dla wsi fikcją. Wieś nasza jest politycznie uprzedzona: jeżeli pozna, że ktoś

jej naprawdę dobrze życzy. Przyjdzie do niego z całym zaufaniem i nigdy od niego nie odstąpi.

Możliwości pracy społecznej na wsi są olbrzymie i dla nikogo jej nie zbraknie, bo „żniwo jest olbrzymie, lecz żniwiarzy brak".

S., dnia 12.I. 1936 roku.

Lp. 8

Spółdzielca

z pow. iłżeckiego.

Urodziłem się w miasteczku S. pow. iłżeckiego, woj. kieleckiego, dnia 23 grudnia 1883 r. S. ma swą kartę historyczną. Tutaj urodził się Zbigniew Oleśnicki, kardynał i znakomity mąż stanu, który ocalił życie królowi Władysławowi Jagielle pod Grunwaldem. Dotąd istnieje ufundowany przez niego w Iłży przytułek dla starców, świadczący o dobroczynnej jego działalności. Stąd pochodził także uczony Jakób z S.

Rodzice moi posiadali gospodarstwo rolne o obszarze około stu mórg, które z biegiem lat uległo znacznemu zmniejszeniu wskutek sprzedaży i przegranego długoletniego procesu. Wychowałem się w atmosferze religijnej i patriotycznej.

Matka pochodziła z zamożnej rodziny rolniczo-mieszczańskiej; wykształcenia nie miała, była głęboko pobożna. Do dziś mam rzewne wspomnienia ze śpiewanych co rano w niedzielę i święta „godzinek" na cześć N. P. Marii i pieśń tę najczulej przyjmuję. Stąd też zapewne wyrosło we mnie specjalne nabożeństwo do Matki Boskiej, pokładanie w Niej ufności i udawanie się do Niej z modlitwą w każdej potrzebie. W młodzieńczych latach starałem się nie opuścić żadnego nabożeństwa majowego. Gdy wypadło mi pracować w tym czasie w polu, porzucałem pracę na odgłos dzwonka z wieży kościelnej, zapowiadającego nieszpory majowe. Z głoszonych przez matkę zasad moralnych dwie żywo stoją mi w pamięci i stały się drogowskazem mego życia: 1) „Kto ma dobre obyczaje, to się chłop szlachcicem staje", 2) „Jeżeli nad naukami bezbożnik pracuje, strzeż się go, jest to zbójca, który broń kupuje".

Ojciec brał udział w powstaniu styczniowym, jako siedemnastoletni chłopak, sierota bez jakiegokolwiek wykształcenia i posiadający w spadku po rodzicach około trzech mórg ziemi. Po wybuchu powstania zgłosił się do komisarza Rządu Narodowego Ziembowicza, werbującego powstańców w Grabowcu, tuż obok puszczy iłżeckiej. Ponieważ ojciec po stracie rodziców wychowywał się w domu dziadków moich, dziadek z uwagi na młody

jego wiek udał się do kom. Ziembowicza z prośbą o zwolnienie ojca z szeregów powstańczych. Ojciec jednak nie chciał wracać do domu i w partii Szandora brał udział w potyczkach pod Piaskami, Kowalą, Lemieżami. Opowieści o powstaniu głęboko wrosły w mój umysł i serce. Wzrastałem w pragnieniu zrzucenia jarzma niewoli i oglądania wolnej Polski. Do jakiego stopnia idea niepodległości Polski była żywą w rodzinie naszej, świadczy fakt, że matka, wskutek spotęgowanego uczucia do mnie, jako jedynaka poprzedzonego czterema siostrami, nazywała mnie w dzieciństwie publicznie „królem polskim", mimo wzmożonego w tych czasach ucisku zaborców po zamachu na cara Aleksandra II. Częsta styczność z urzędnikami gminnymi (pisarz był Rosjaninem), powiatowymi i policją z racji piastowania przez ojca stanowiska wójta gminy w ciągu sześciu lat, pogłębiała we mnie nienawiść do zaborców i wzbudzała gotowość do czynów wolnościowych. Myślałem wtedy, że gdyby tak wszyscy pragnęli niepodległości, jak ja, Polska odzyskałaby wolność.

Początkowe nauki pobierałem wraz z siostrami od również patriotycznie nastrojonej p. Flejslerowej, staruszki - wdowy po lekarzu powiatowym, która mieszkała w pobliżu domu rodziców, jako emerytka. Pochodziła z Warszawy, widocznie z zamożnej rodziny, o czym świadczyły liczne portrety na ścianach jej pokoju i przeróżne cenne drobiazgi domowe, które zwykle w przerwach od nauki ciekawie oglądaliśmy.

W ósmym czy dziewiątym roku życia poszedłem do szkoły powszechnej trzechoddziałowej. Rozpocząłem naukę we wstępnym oddziale, ze względu na nieznajomość języka rosyjskiego, gdyż pani Flejslerowa uczyła nas tylko po polsku. Nauczycielem był wówczas zacny i ogólnie lubiany przez dzieci p. Józef S., do dziś żyjący i zamieszkały w Radomiu. Po paru miesiącach przeniesiono mię do pierwszego oddziału. Odbyta w tym czasie podróż do rodziny na Kujawach rozszerzyła mój widnokrąg i wzbudziła trwałe pragnienie zwiedzania kraju ojczystego.

Za nauczyciela S. w szkole panował duch polski. Mówił z nami w szkole i poza szkołą po polsku. Ale, niestety, p. S. wkrótce został przeniesiony. Z płaczem żegnaliśmy go wszyscy, serdecznie całując po rękach. Przyszedł nowy nauczyciel p. St. i powiał inny duch. Mówił do nas tylko po rosyjsku. Przy objaśnieniach na lekcjach raczył zaledwie dopuścić do odpowiedzi po polsku na swoje pytanie: *kak eto budiet po waszemu?* *) Gdy w wigilię Bożego Narodzenia zgłosiliśmy się w kilku do jego mieszkania po nadesłane nowe podręczniki, rozmawiał z nami po rosyjsku, a nawet życzenia świąteczne składał nam w tym języku. Nie lubiliśmy go. Będąc w drugim oddziale odpowiadałem raz z historii Rosji, przy czym przytoczyłem dość obszernie szczegóły o zdobyciu Kijowa przez Bolesława Chrobrego. Patrzał na mnie zdziwiony, ale nie przerywał mi. Odniosłem wrażenie, że pierwszy raz o tym słyszał. Typ zrusyfikowanego pedagoga! Na szczęście był u nas niedługo i oddział trzeci ukończyłem już przy p. W., który pol-

*) „Jak to będzie po waszemu?" Red.

skość swą zaznaczał — stosunki w szkole zapanowały podobne, jak za czasów pana J. S.

Gdy skończyłem szkołę powszechną, rodzice postanowili oddać mnie do seminarium nauczycielskiego w Solcu. Przy ustnym egzaminie, po stwierdzeniu ciężkiej wymowy, jaką miałem (jąkanie się), dyrektor seminarium pogłaskał mnie, radząc, abym rok wstrzymał się z dalszą nauką, wypoczął i wzmocnił się. Zniechęcony tą trudnością, nie miałem zamiaru ubiegać się ponownie o przyjęcie do seminarium. Gdzieindziej rodzice nie czuli się na siłach mnie posłać, gdyż było to w okresie kosztownego procesu o prawo posiadania znacznej części ziemi. Prawie dwa lata przesiedziałem w domu, pomagając w gospodarstwie, do którego wówczas większego upodobania nie miałem. Czytałem w tym czasie wiele, korzystając z przychylności ś. p. ks. Kołaczkowskiego, który oddał mi do użytku całą swą bibliotekę. Przeczytałem ponad dwieście tomów książek, co bez wątpienia miało wpływ na dalsze me życie. Największe zainteresowanie wzbudzały we mnie powieści historyczne. Dzieła Kraszewskiego i Sienkiewicza miały ogromny wpływ na ugruntowanie mych uczuć narodowych, a zwłaszcza Trylogia Sienkiewicza.

Duże zainteresowanie wzbudzała we mnie „Gazeta Świąteczna", której zawdzięczałem wyrobienie społeczne i przekonania polityczne. Z utęsknieniem oczekiwałem poniedziałku i od południa tego dnia wysiadywałem zwykle w domu woźnego gminy, przynoszącego pocztę z Iłży.

Z początkiem grudnia 1900 r. wstąpiłem na praktykę kolejową. W sierpniu następnego roku delegowany byłem na zastępstwo do Ostrowca, gdzie po roku uzyskałem etat kancelisty, dzięki poparciu ówczesnego zawiadowcy stacji.

W ciągu 10 lat pracy na st. Ostrowiec zajmowałem różne stanowiska, a mianowicie: w kontroli wagonów, jako kasjer bagażowy, biletowy, a w końcu zostałem sekretarzem zawiadowcy. Tutaj przeżyłem lata właściwej młodości (od 19 do 28 r. życia), pełny bogatych wspomnień o charakterze społeczno-politycznym, gdyż tu zacząłem stawiać pierwsze kroki na tych polach.

Wybuch wojny rosyjsko-japońskiej wskrzesił ukryte w głębi serca uczucia narodowe i wzniecił nadzieję wyzwolenia Ojczyzny z niewoli. Ogłoszenie mobilizacji, otwarcie przez zawiadowcę stacji tajemniczej koperty z nadrukiem *„odkryt' po objawlenju mobilizacji"* *), ciągły odjazd pociągów z rezerwistami — wszystko to podniecało i podnosiło na duchu. Sympatie wszystkich były po stronie Japonii. Pewnego razu, gdy pociąg wojskowy ze zmobilizowanymi robotnikami zakładów ostrowieckich ruszył ze stacji, nagle z okienka wagonu towarowego wynurzył się czerwony sztandar i rozległ się okrzyk wprost w ucho stojącego na peronie żandarma: „Niech żyje Japonia, niech Bóg jej dopomaga!" Ten zwinął się jakby pio-

*) „Otworzyć po ogłoszeniu mobilizacji". Red.

run w niego trzasł, skoczył na ganek wagonu, lecz wrócił z następnej stacji, zapewne bez sztandaru. Innym razem w tych samych okolicznościach odezwał się okrzyk: „Niech żyje wróg naszych wrogów!".

W Ostrowcu, jako ośrodku przemysłowym, skupiającym wówczas z pobliskimi osadami fabrycznymi (Częstocice, Bodzechów i Ćmielów) do 10 tysięcy robotników, praca polityczna rozwinęła się w tym czasie w całej pełni, choć skrycie.

Większość robotników organizowała się pod sztandarem P. P. S. pod przewodem inż. Boernera i robotnika L., część zaś uświadomionych narodowo wraz z inteligencją miejską i okolicznymi chłopami skupiała się w Narodowym Związku Robotniczym. Do tej grupy należałem i ja. Przewodził nam pan A. M. i robotnik W. L. Tajne zebrania urządzaliśmy w mieszkaniach p. A. M., dr. Gł., aptekarza Ż. i innych. Jako instruktorzy przyjeżdżali do nas: pp. Józef Z., Daniel Ś., M. (pseudonim Z.), później Wacław Wi i Hanna K. (obecnie S.). Poza uświadamianiem politycznym, Związek nasz prowadził pracę oświatową. Założył Koło Macierzy Szkolnej, które zorganizowało szkoły polskie w B., przedm. Ostrowca i we wsi Ch., gdzie czynnym członkiem naszym był gospodarz p. Józef M. Po zamknięciu Macierzy prowadziliśmy szkoły nadal. Bywałem w tych sprawach u prezesa mec. Osuchowskiego. W okresie walki o szkołę polską członkowie Związku zamalowywali szyldy rosyjskie na szkołach, co do złości doprowadzało nauczyciela w szkole fabrycznej p. G., znanego rusyfikatora.

W okresie represji, gdy do Ostrowca zjechał z Warszawy pułk gwardii z pułk. Aleksandrowem, jako czasowym generał - gubernatorem okręgu ostrowieckiego, kiedy dokonywano masowych aresztowań i stosowano bestialskie katusze, wielu naszych członków było więzionych, jak M., który następnie zmuszony był wyjechać do Galicji, G., J., G. (zesłani na Sybir), S. i B. (uciekli do Galicji), żaden jednak nie wydał nikogo z kolegów jak to, niestety, działo się w szeregach P. P. S., gdzie sławetni K. i L. wsypywali bez miłosierdzia swych towarzyszy.

O mym udziale w pracy politycznej wiedział żandarm stacyjny, kurlandczyk M., który ostrzegał mię przez kolegów, abym nie narażał się na utratę wolności i posady. Darzył mnie jednak sympatią i nie chciał mi szkodzić. Mieszkaliśmy na stacji w sąsiednich domach. Obserwował zapewne, gdy przychodzili do mnie robotnicy i chłopi okoliczni w sprawach organizacyjnych i oświatowych, a odjeżdżający pociągiem instruktorzy zachodzili do mnie do biura. Przechadzał się wówczas przed oknami, dając mi do zrozumienia, że podejrzewa tę osobę, ale ograniczał się tylko do tego. Poczciwy staruszek!

W tym czasie działalność Związku stała się więcej konspiracyjną. Prowadziła ją przez dłuższy czas p. Hanna K., nauczycielka z Warszawy. Zebrania odbywaliśmy w okolicznych lasach i zaroślach pod osłoną wart lub w domach z upozorowaniem zebrań towarzyskich. Co pewien czas mieliśmy zjazdy w Radomiu pod przewodnictwem p. Jana W. oraz pań W. i Z.

Poza pracą polityczną w Związku byłem członkiem ochotniczej straży ogniowej, koła Polskiej Macierzy Szkolnej, towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego, stowarzyszenia Lutnia, oraz towarzystwa miłośników sceny, w którym pełniłem obowiązki sekretarza zarządu. Zespół teatralny dawał częste przedstawienia amatorskie, przeważnie o charakterze ludowym. W 100-letnią rocznicę śmierci Słowackiego urządziliśmy podniosły obchód z udziałem artysty dramatycznego Kotarbińskiego.

Z gazet prenumerowałem wówczas: Kurier Warszawski, Świat, Prąd oraz Naród (wydawn. Łazarowicza i Włodka), w którym umieszczałem od czasu do czasu korespondencję z okolic Ostrowca. Ponadto otrzymywałem zeszyty dzieł Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego. Utwory wieszczów, a w szczególności Mickiewicza, wywarły decydujący wpływ na moją duszę i uczucia. Pan Tadeusz, Dziady, Księgi Pielgrzymstwa Polskiego, Myśli i Zdania, Nemezis z Ducha, Mój Testament, Przedświt przeorały mą duszę. Wiele ustępów Pana Tadeusza umiałem na pamięć. Improwizację z III cz. Dziadów umiem dotąd i często w czasie pieszych, samotnych wycieczek powtarzam ten utwór, zawsze z dreszczem przejęcia przy wymawianiu ustępów o najwyższym napięciu patriotycznym. Do Mickiewicza żywię specjalny kult, który np. zewnętrznie przejawia się w odczuwaniu potrzeby obnażania głowy przed jego pomnikiem, gdy jestem w Warszawie, Krakowie lub Lwowie. Czytałem i rozpowszechniałem „Polaka“ oraz inne pisma i broszury nielegalne. Doskonałym miejscem na ich przechowanie był skład druków i archiwum stacyjne, którym zarządzałem.

Na wiadomość o śmierci redaktora Gazety Świątecznej, Prószyńskiego, pojechałem umyślnie na jego pogrzeb do Warszawy z grudką ziemi, aby złożyć hołd jego prochom za wpływ wychowawczy wydawanej i redagowanej przez niego gazety ludowej.

Na moje przekonania społeczno-polityczne duży wpływ wywarła „Deklaracja praw człowieka i obywatela“ z czasów rewolucji francuskiej, którą przepisałem sobie i często z przejęciem odczytywałem.

Zaznajomiłem się w tym czasie z p. M. S. z Winiar pod Zawichostem, bratem przyszłego posła. Stosunki z nim i wzajemne odwiedziny pogłębiły moje zainteresowanie się sprawą ludu wiejskiego. Jego wyrobienie społeczne, dzielność i odczuwanie potrzeby oświaty na wsi, mające wyraz w fakcie wysłania żony do szkoły gospodarstwa wiejskiego w Kruszynku, wzbudziło we mnie dużo szacunku dla takiego typu chłopa polskiego i wznieciły pożądanie pracy nad podniesieniem innych chłopów do tych wyżyn. Panu M. S. zawdzięczam w dużym stopniu dalsze moje zamierzenia społeczne.

W 1907 roku udałem się po raz pierwszy do Krakowa, a przy sposobności do Wieliczki i Zakopanego. Trzy dni poświęciłem na zwiedzanie zabytków przeszłości Krakowa. Wywarło to na mnie ogromne wrażenie — czułem się, jak po jakiejś kąpieli w balsamie uczuć narodowych. Dla upamiętnienia tej chwili wyrzekłem się palenia papierosów. Zapisałem się również

do Sokoła, widząc w tej organizacji przyszłych wskrzesicieli ojczyzny. Wyjazd do Krakowa ze względu na ówczesne stosunki umiałem utrzymać w tajemnicy. Zaniepokoiłem się, gdy z poczty otrzymałem legitymację członkowską w firmowej kopercie Sokoła. W obawie rewizji pousuwałem z mieszkania wszystko, co mogłoby dać dowód lub razić żandarmów, a więc nawet obrazy: Racławice, Olszynka, Polonia i t. p. Przeszło jednak bez następstw.

W roku 1906 czy 1907 urządzono pielgrzymkę z Warszawy do Wilna, mającą na celu stwierdzenie łączności narodowej Litwy z Polską; namówiłem kilka osób z Narodowego Związku Robotniczego w Ostrowcu do wzięcia w niej udziału i pojechaliśmy. Przeżyliśmy tam chwile bardzo podniosłe. Narodowy nastrój ludności Wilna i nadzwyczaj gościnne przyjęcia napełniły nas radością, otuchą i wiarą w lepszą przyszłość; mimo srogiego ucisku, jaki tam panował, społeczeństwo zachowało polskość i przejawiało gorące uczucia narodowe. Te uczucia narodowe Wilnian przejawiały się na przykład w tym, że wiele osób omijało rozmyślnie plac, na którym stał pomnik kata Litwy po roku 1863, gubernatora Murawiewa-Wieszatiela, i nie wiedziało, jak ten pomnik wygląda. Na wspaniałym sztandarze z wizerunkiem św. Kazimierza, jaki w darze pielgrzymka przywiozła Wilnu, powiewał Orzeł Biały. Przy pochodzie przez miasto trzeba go było zasłonić, ale domyślano się, co zostało ukryte.

Jak czule byliśmy w Wilnie przyjmowani, świadczy następujący przykład. Ktoś z naszej grupy przy wysiadaniu z pociągu rozerwał na szynie kamasz. Po złożeniu hołdu w Ostrej Bramie, idąc na wyznaczoną nam kwaterę, wstąpiliśmy w jakimś zaułku do szewca w celu dokonania naprawy. Zeszło z tym więcej czasu. Po dwóch nocach spędzonych w pociągu byliśmy zmęczeni, więc zdrzemnąłem się. Widząc to, żona owego szewca rozbiera łóżko i prosi mię usilnie, abym się położył i wygodnie przespał. Co za rozczulający przykład dobrego serca! Tak mię to uchwyciło za serce, że gorąco pokochałem Wilnian i wtedy zapragnąłem mieć żonę z Wilna (zwłaszcza, że od młodzieńczych lat marzyłem o dobrej żonie); chciałem też w ten sposób zadokumentować jedność narodową Polski z Litwą. W 17 lat potem pragnienie to ziściło się: mam dobrą żonę z Wilna.

W 1909 roku, w czasie wystawy w Częstochowie, zorganizowałem wycieczkę z kilkudziesięciu osób z różnych sfer do Ojcowa i Częstochowy. Korzyść z tej wycieczki wynieśli dużą. Na pamiątkę ofiarowali mi piękną księgę: „Wojsko Polskie“ — Gębarzewskiego.

W 1910 roku zorganizowałem wśród członków Związku wycieczkę do Krakowa na obchód grunwaldzki. Kazania ks. biskupa Bandurskiego w kościele Mariackim, odsłonięcie pomnika grunwaldzkiego, ćwiczenia Sokołów na Błoniach, pochód na Wawel, przedstawienie „Wozu Drzymały“ i Wianki na Wiśle wywarły na nas przeogromne wrażenie. Otwarcie rzec mogę, że dla mnie i współuczestników przeżycia tych chwil stały się granitowym fundamentem dla dalszej działalności społecznej.

Na uroczystym nabożeństwie w kościele Mariackim staliśmy niedaleko kazalnicy. Wyszedł na nią ks. biskup Bandurski. Staliśmy jak skamieniali, wpatrzeni i wsłuchani w nowoczesnego Skargę. Od rana niebo było zasłane ciężkimi, ołowianymi chmurami. I oto stał się jakby cud. Gdy biskup, mówiąc o nietraceniu wiary w wolność narodu, wyrzekł: „czuję, że chwila wybawienia narodu z niewoli zbliża się i widzę jego świetlaną przyszłość", nagle przy tych słowach jasny promień słońca na moment przebił się przez chmury i rzucił snop światła na oblicze kapłana-patrioty. Zdumiony i przejęty szepnąłem kolegom : cud!...

Odsłonięcie pomnika Zwycięstwa pod Grunwaldem. Plac cały, ulice przyległe, dachy domów — jedno morze głów. W otoczeniu zastępu Sokołów podchodzi do trybuny fundator, „ambasador" Polski uciemiężonej w świecie — Ignacy Paderewski. Twarz, z której bije moc ducha i dobroć. Odkrywają się głowy i rozbrzmiewa potężny okrzyk z kilkudziesięciu tysięcy ust: „Niech żyje!". Paderewski rozpoczyna przemówienie zdaniem: „Dzieło to nie powstało z nienawiści"... „praojcom na chwałę, braciom na otuchę"... Te zdania wystarczyły do oceny duszy i serca wielkiego Polaka oraz celu wybudowania pomnika... Przy dźwiękach „Jeszcze Polska nie zginęła" opadły zasłony, zdumionym i zachwyconym oczom naszym przedstawiła się potężna postać króla - zwycięzcy. W momencie tym odczuliśmy, że ta śpiżowa postać udziela nam mocy i wiary, że zwyciężymy, jak ona, przemoc najeźdźcy. Po chwili milczenia z tysięcy piersi rozległ się potężny głos: Cześć i chwała!

Jesteśmy na boisku Sokoła. Znów zastęp druhów wprowadza na trybuny wielkiego obywatela. Powitania i wiwaty nie milkną przez dłuższą chwilę. Rozpoczynają się ćwiczenia. Na boisko wkracza w sprawnych szeregach (gdzie równać się szykom wojsk zaborczych!) kilka tysięcy barwnych druhów i druhien. Zapał publiczności nieopisany.Czują wszyscy, że to nielegalne wojsko polskie. Do jakiego stopnia opanował ludzi zachwyt, świadczy np. to, że ludzie zbiegali z trybuny, byle tylko być bliżej tej cudownej zjawy. Po ogólnym wystąpieniu rozpoczęły się ćwiczenia zespołów poszczególnych dzielnic Polski i wychodźtwa. A więc pokazują się nam: Sokół poznański, z Westfalii, Francji, Ameryki, Piechur z Kongresówki. Sprawność druhów rozpiera nam piersi dumą. Jest zadatek Polski wolnej, potężnej, w panowaniu prawa, porządku i ładu!

Pochód na Wawel. Około dwóch godzin idą czwórkami zastępy Sokołów i organizacyj. Tłumy na ulicach witają ich gorąco. Widać, że tęsknota do wolnej Ojczyzny skupia się na tych sprawnych szeregach. Pierwszy raz zobaczyłem wówczas Ignacego Daszyńskiego, jak kroczył pod sztandarem P. P. S. Na Wawelu pochód składa hołd prochom wielkiego króla, a ks. biskup Bandurski udziela Sokołom błogosławieństwa.

Przedstawienie „Wozu Drzymały" dało mi przeświadczenie, że gdyby tę sztukę mogli oglądać wszyscy Polacy, wnet zrzucilibyśmy z siebie jarz-

mo niewoli. Tyle mocy dla ducha narodowego dawała ta sztuka! Przyszły na myśl słowa wieszcza:

„Ale twardo, ale jasno wśród narodu swego stać,
Myślą bić, chorągwie rwać,
Świecić czynu tarczą własną!“

Na zakończenie bajeczne wianki, coś z tysiąca i jednej nocy! Przypomniały mi się te dziwy, o których w dzieciństwie czytałem w książeczce: „Cudowna lampa Aladyna“.

Wracaliśmy do Ostrowca wprost oszołomieni przeżyciami tego niezapomnianego nigdy dnia 15 lipca 1910 roku.

Jeszcze w 1909 r. powziąłem zamiar porzucenia pracy na kolei, choć było mi dobrze, miałem uznanie przełożonych, przywiązanie kolegów i nawet względy żandarma. W miarę wzrastania we mnie uświadomienia narodowego praca w instytucji zaborców nie zadawalała mię. Wzrastało we mnie pragnienie zmiany pracy zawodowej na pracę o charakterze bardziej społecznym, w której miałbym styczność z ludem i przez to sposobność wpływania na podnoszenie jego oświaty i kultury. Odczuwałem żal, że nie jestem księdzem lub nauczycielem.

W tym czasie powstał w Ostrowcu Oddział Spółki Rolnej Radomskiej. Obserwując załatwianie spraw gospodarczo-handlowych w spółce przez drobnych rolników, umyśliłem sobie starać się o pracę w podobnej placówce. Nie wykorzystałem znajomości z zarządzającym Oddziałem, bo rozumiałem, że do tego rodzaju pracy trzeba przygotować się pod względem fachowym oraz uzupełnić braki z wiedzy ogólnej. Powziąłem więc zamiar przeniesienia się do Warszawy, gdzie miałbym sposobność uzupełnić wykształcenie ogólne i uczęszczać na kursy handlowe.

Chęć dokształcenia się to był główny i zasadniczy powód, dla którego chciałem jechać do Warszawy. Była jednak i inna jeszcze przyczyna. Stałem się przedmiotem uczuć miłosnych kobiety zamężnej. Na propozycje rozwodowe, połączone ze zmianą wyznania, nie mogłem się zgodzić; na stosunek inny, nie pozwalało mi poczucie moralności. Przeszedłem cierpienia moralne i fizyczne, z których musiałem później leczyć się dłuższy czas. Nie mogłem jednakże wyjechać od razu z Ostrowca, gdyż miałem w domu dwoje dzieci starszej siostry, uczęszczających do szkoły kolejowej i kształciłem najmłodszą siostrę w szkole ochroniarek w Warszawie. Dopiero po powrocie z obchodu grunwaldzkiego rozpocząłem na dobre starania o przeniesienie do biura Zarządu Kolei Nadwiślańskiej w Warszawie. Sprawa okazała się niełatwą. Przez cztery miesiące czyniłem nieustanne zabiegi, jeździłem w tym czasie kilkanaście razy do Warszawy i nareszcie w początkach grudnia 1910 roku uzyskałem posadę w wydziale handlowym dróg nadwiślańskich, dzięki przychylności kilku pracujących tam moich znajomych.

W Warszawie miałem doskonałe warunki pracy. Zajęcia biurowe trwa-

ły od 9-tej do 3-ciej po południu. Święta katolickie, prawosławne i galówki wolne od pracy, miałem więc dużo wolnego czasu na naukę. Zapisałem się od razu na kursy dla dorosłych Adama Jaczynowskiego (b. uniwersytetu ludowego PMS. po zamknięciu Macierzy), brałem lekcje z literatury od prof. Besiekierskiego, później zapisałem się na kursy naukowe i kursy handlowe Zgromadzenia Kupców Warszawy, które ukończyłem całkowicie, otrzymawszy świadectwo z celującymi stopniami. Poza tymi kursami uczęszczałem na odczyty i wykłady, o ile tylko zbywało mi czasu. Korzystałem z biblioteki publicznej, gdzie studiowałem dzieła ekonomiczne. Z dużym zainteresowaniem czytałem Supińskiego i Szczepanowskiego. Prawie codziennie wypadały wykłady na wszystkich trzech kursach, biegałem więc śpiesznie z Brackiej na Koszykową, stąd znów na Złotą pod 58, w drodze lub w przerwach spożywając suchą kolację. Tak pracowałem prawie trzy lata.

Choć nie zbywało mi czasu, pomagałem trochę w redakcji „Prądu" oraz w redakcji „Narodu" przy wydawaniu zeszytów encyklopedii popularnej, opracowywanej przez ś. p. Łazarewicza. Brałem stale udział w zebraniach społeczno-wychowawczych młodzieży katolickiej, grupującej się przy miesięczniku pod patronatem ś. p. Cecylii Zyberk-Platerówny. Wykłady etyczno-moralne T. B. i Z. F. oraz społeczne red. A. S., łącznie z wywodami dyskusyjnymi wielu innych dały mi dużą korzyść i przyczyniły się do ugruntowania zasad moralnego życia. Wdzięczny im jestem i mile wspominam chwile razem z nimi spędzone.

Przygotowując się do pracy społecznej, musiałem wyleczyć się przede wszystkim z wady mowy, która była przeszkodą w nauce. Po kilku tygodniach ćwiczeń u lekarza, większa ułomność wymowy przeminęła. Czytać mogłem głośno zupełnie gładko, w mowie zacinałem się czasami, w zależności od stanu nerwów, no i czujności woli,czym głównie tę wadę leczy się.

W drugim roku pracy zwróciłem się do p. J. G. z Centralnego Towarzystwa Rolniczego i zwierzyłem się mu ze swoich projektów. Zachęcał, oczywiście, do wytrwania w zamiarach i prosił, aby przypomnieć się po ukończeniu nauki.

Duchowo czułem się doskonale. Natomiast fizyczny stan był niepomyślny. Przeżycia ostatnich dwóch lat w Ostrowcu, niepomyślne warunki mieszkaniowe (mieszkałem w pokoiku parterowym, bez słońca, jak na dnie studni), praca naukowa bez wytchnienia, niedostateczne odżywianie z braku czasu — wszystko to razem poderwało mi zdrowie. Musiałem się leczyć. Dzięki opiece dr. Z. P. przyszedłem do siebie po dłuższej kuracji. Zmieniłem mieszkanie, zastosowałem gimnastykę, kąpiele codzienne i zostałem jaroszem. W jarstwie trwam bez przerwy dotychczas.

Po zamieszkaniu w Warszawie mogłem być rzeczywistym sokołem. Zapisałem się do gniazda 11, później ćwiczyłem się w 4-ce na Dynasach, obecnie należę do gniazda w Ostrowcu. W 1912 r. prezes gniazda G. S. z kilkunastu druhów utworzył organizację wojskową, która ćwiczyła się pod

kierunkiem studenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, syna właściciela sklepu z obuwiem. Organizacja była ściśle zakonspirowana. Odbywały się wykłady o broni i taktyce w domu stolarza, druha Z. na ul. Foksal, ćwiczenia polowe mieliśmy w lasach okolicznych, przeważnie w Strudze. Miejsca ćwiczeń były dokładnie strzeżone przez nasze warty. Ja, choć z przekonania byłem i jestem zdecydowanym przeciwnikiem wojen, brałem czynny udział w tej grupie, po pierwsze dlatego, że druh prezes przydzielił mnie do tej pracy, a powtóre, że jej celem była wolna Polska!...

W 1913 r. przypadła 50-letnia rocznica powstania styczniowego. Przedtem planowałem sobie zawieźć ojca do Krakowa na tę uroczystość. Ojciec, niestety, zmarł w dniu 3 maja 1912 roku wskutek choroby serca, której dostał po przegraniu sprawy o ziemię, nabytą od dworu przez dziadka formalnym aktem rejentalnym i będącą w posiadaniu rodziny ponad 40 lat. Przegrał sprawę na skutek przekupstwa i niesprawiedliwości rosyjskich urzędów ziemskich i sądów.

Udałem się na obchód z zachowaniem najdalej posuniętej ostrożności. Namówiłem na wyjazd robotnika F. R., który poprzednio pracował w Zakładach Ostrowieckich, należał do P. P. S., był katowany i więziony. Gdy spotkałem go w Warszawie, podał się za narodowca, potępiał towarzyszy z P. P. S. za „wsypy", chodził ze mną na Dynasy, bywałem u niego w domu, gdzie gawędziliśmy o polityce. Poprosiłem naczelnika o trzydniowy urlop, tłumacząc się wyjazdem do S. w sprawach rodzinnych. F. R. jechał przez stację Granica, ja zaś udałem się na Sosnowiec, aby w razie czego tłumaczyć się, że byłem na Śląsku. W Krakowie zatrzymałem się u znajomych akademików, którzy opowiadali o przewidywanym starciu Austrii z Rosją na tle spraw południowo-słowiańskich, o tworzeniu kadr wojskowych wśród młodzieży akademickiej. Po obchodzie wróciliśmy każdy swym szlakiem do Warszawy.

W jakieś dwa tygodnie potem wzywa mnie referent sekcji i oświadcza, że naczelnik wydziału otrzymał pismo z żandarmerii, stwierdzające, że byłem na obchodzie powstania w Krakowie. Ognie mnie przeszły: więzienie, utrata posady, zwichnięcie planów na przyszłość. Oświadczyłem, że istotnie byłem w zastępstwie ojca powstańca, spełniając obowiązek synowski.

Przez parę tygodni w dzień i w nocy oczekiwałem aresztowania i „bumagi" o zwolnieniu. I o dziwo! Ani jedno, ani drugie. Zauważyłem tylko, że jestem śledzony. Przy wyjściu z biura na Brackiej, pod domem, na kursach, przed bramą Dynasów — wyczuwałem jakieś śledzące mnie postacie. Głowiłem się nad tym, kto mógł mnie oskarżyć. W Sosnowcu świadomie wsiadałem do pociągu po trzecim dzwonku, tak, że żandarm nie miał czasu przeczytać nawet mego nazwiska na „półpasku". W Krakowie, poza akademikami, nikt nie wiedział o moim pobycie. Tajemnica wyjaśniła się dopiero w 1917 roku, w czasie rewolucji rosyjskiej, gdy przypadkowo w strzępie jakiejś przywiezionej z targu z Ostrowca gazety wyczytałem,

że w Charkowie był aresztowany członek „ochrany“ F. R. Więc to on był zdrajcą! Szczęście, że nie powiedziałem mu o istnieniu w Sokole grupy wojskowej.

Jesienią 1913 roku, bawiąc u rodziny w S., otrzymałem od miejscowych księży ś. p. prałata N. i wikariusza S. propozycję objęcia stanowiska gospodarza-rachmistrza Spółdzielni Spożywców oraz rachmistrza Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego, gdyż nauczyciel, który te spółdzielnie prowadził, został przeniesiony. Bez namysłu wyraziłem zgodę, gdyż szło to po linii moich zamierzeń i pragnień, zwłaszcza, gdy wypadło mi podjąć praktyczną pracę społeczną w rodzinnych stronach. Zastrzegłem się tylko, że pracę mogę objąć dopiero od Nowego Roku, gdyż muszę przez parę miesięcy przygotować się do niej.

Przede wszystkim udałem się do Liskowa, aby przyjrzeć się pracy wielkiego działacza społecznego ks. Blizińskiego, nabrać od niego wskazówek i zachęty do pracy. Zachwycony dokonanym tam dziełem, wpisałem na odjezdnem do księgi pamiątkowej w domu ludowym następujące wezwanie proroka Izajasza: „A kiedy już i narodu Twego nie będzie, tylko pozostaną kości i żyły po pustyni porozrzucane, to i wówczas jeszcze działać (kazać) nie przestaj, aż kości i żyły do kupy się zejdą i z nich wielki mąż powstanie!“

Powróciwszy do Warszawy, zająłem się żywo praktyką. Od 6 do 8 rano chodziłem do sklepu Powszechnej Spółdzielni Spożywców na Solcu, od 4 do 8 po południu na przemian: do składu materiałów łokciowych na Długiej, do sklepu galanteryjno-norymberskiego spółdzielni „Samopomoc“ przy ul. Foksal i do Tow. Pożyczkowo-Oszczędnościowego „Kaleta“ przy ul. Siennej. W końcu roku złożyłem podanie o zwolnienie z kolei, wycofałem składkę emerytalną i pożegnawszy się z kolegami i przyjaciółmi, wyjechałem do celu swych pożądań. Gdy żegnałem się z prezesem S., powiedziało mi się ot tak, bez namysłu: spotkamy się w Warszawie na Sejmie... Po 5-ciu latach tak się stało... Spotkaliśmy się: ja, jako poseł, on — na stanowisku wiceministra Pracy i Opieki Społecznej.

Wyjeżdżając z Warszawy, nabyłem w Towarzystwie Przemysłu Ludowego, którego byłem członkiem, samodziały i zamówiłem czamarkę granatową na amarantowej podszewce, bekieszę szamerowaną i czapkę siwą rogatywkę. Stało mi w myśli wezwanie Mickiewicza: „Noście wszyscy czamary powstańcze, bo jesteście żołnierzami Ojczyzny“. (Księgi Pielgrzymstwa Polskiego).

Pracę w S. rozpocząłem w dniu 31 grudnia 1913 roku. Zaczęło się bez wypoczynku i chwili wytchnienia, po nocy spędzonej w pociągu i uciążliwej drodze od kolei. W domu matki oczekiwał na mnie skarbnik Towarzystwa Oszczędnościowo-Pożyczkowego ś. p. K. P., oświadczając, że dziś dzień kasowy i z racji końca roku pełno w kasie interesantów. Prędko spożyłem posiłek i udaliśmy się do biura Kasy, gdzie istotnie oczekiwało kilkadziesiąt osób. Skończyliśmy czynności po północy. Jak się pracowicie za-

częło, tak i trwa z pewnymi przerwami z górą 20 lat. Bez ograniczenia czasu (od 15 do 20 godzin na dobę), bez urlopu, bez święta. Bogu Najwyższemu dzięki, że można było w tych warunkach dotąd w zdrowiu wytrzymać.

Kasę po wyjeździe nauczyciela prowadziło przez kilka miesięcy parę osób: 2 księży, 2 nauczycieli i organista. Gdy wypadło zestawić sprawozdanie - bilans za 1913 r., niemało namęczyliśmy się z nowym nauczycielem, wyszukując omyłek.

W Spółdzielni Spożywców poza ogólną gospodarką (działy spożywczy i galanteryjno-łokciowy), prowadziłem również rachunkowość. Pracy zatem w obu spółdzielniach było dość. Za wiele obowiązków przyjąłem od razu i to mi dolega dotąd. Jako patrona w pracy miałem ś. p. prałata N., twórcę Spółdzielni Spożywców, który bodaj własnymi środkami dobudował dwie izby do domu parafialnego na pomieszczenie sklepów, wniósł kilka udziałów po 100 rubli (na siebie, gospodynię, wikarego i jego matkę), oraz udzielił pożyczki w kwocie rubli 1000. Interesował się spółdzielnią bardzo. Rano przychodził na otwarcie sklepu i po kilka razy dziennie zachodził do spółdzielni. Tak samo opiekował się Kasą. Ks. wikariusz St. D. również przejawiał dużo zainteresowania, dbając zwłaszcza o ładny wygląd sklepu. Wylepiał np. sam cynfolią ze sprzedanej herbaty ściany półek i szaf oszklonych, układał towary, tak że wygląd sklepu w porównaniu z otaczającymi był naprawdę przyciągający. Z takim upodobaniem to czynił, że zapominał czasami o swoich obowiązkach. Ks. prałat przysyłał wówczas kościelnego z przypomnieniem, że czas odprawić mszę św.

Matka ks. wikariusza wprowadziła przed moim przyjazdem dział łokciowy. Postanowiłem rozwinąć ten dział. Dzięki zaufaniu właściciela składu towarów łokciowych z Warszawy, u którego odbywałem praktykę, mogłem zaopatrzyć ten dział w duży wybór towarów. W tym czasie (wiosna 1914 r.) musiałem specjalnie obserwować rodzaj, kolory i desenie materiałów, jakie noszą okoliczne niewiasty, aby wzrok mógł trafnie wybierać przy zakupnie odpowiednie towary; sprowadzałem też gotowe ubranka dla dzieci, czapki, obuwie i t. p. Obroty powiększały się, członków przybywało, zainteresowanie i przychylność do spółdzielni stale wzrastały — było to zachętą i osłodą w ciężkiej pracy.

Postanowiliśmy założyć piekarnię. Ks. N. wysiedlił z domu parafialnego organistę i w jego mieszkaniu miał być pobudowany piec. Wezwaliśmy członków do uzupełnienia udziałów na ten cel, co jednak pożądanych wyników nie dało. Przy okazji pobytu w Warszawie zwróciłem się o poradę w tej sprawie do Centralnego Towarzystwa Rolniczego, gdzie p. inż. Chmielewski, którego wówczas poznałem, doradzał wielką ostrożność w tym przedsięwzięciu. Wojna przeszkodziła naszym zamiarom.

Po roku mojej gospodarki spółdzielnia miała 29 członków, a niektórzy z nich mieli więcej niż jeden udział. Księża zachęcali bardzo parafian do zakupów w „spółce", tak że obroty były stosunkowo spore.

Nastąpił wybuch wojny światowej. W dniu ogłoszenia mobilizacji zgłosił się do mnie nieznany mi młody człowiek o wyglądzie studenta, przedstawił się jako L. ze Starachowic i oświadczył, że jestem mianowany komendantem organizacji wojskowej na wschodnią część powiatu, a więc żebym organizował ludzi i gromadził broń. Domyśliłem się, czy może on mi wspomniał, że zlecenie to pochodzi od młodego Z., syna znanego działacza narodowego, z którym, jako należącym do organizacji wojskowej, miałem styczność w ostatnich latach w Warszawie. Wezwaniu temu nie uczyniłem zadość, gdyż nie uważałem za możliwe wystąpić samodzielnie bez organizacji i broni. Rozumiałem, że tylko wówczas występ zbrojny mógłby być przeciwko Moskalom. Oczekiwałem, co najbliższa przyszłość sprowadzi.

Dnia 16 sierpnia dano mi znać, żebym nazajutrz koniecznie przyjechał do dworu w C. w bardzo ważnej sprawie. Kto zawiadamiał, nie wiedziałem i nikogo w tym miasteczku nie znałem. Udałem się jednak, przewidując, że chodzi o sprawę narodową. Cały gościniec był zabity wojskami rosyjskimi, podążającymi w stronę Iłży. W dniu tym pod Iłżą było starcie z Austriakami. Po przybyciu do dworu w C. poznałem tam staruszka Czarneckiego, który z wyglądu przypominał zupełnie postać hetmana Stefana Czarneckiego, studentów: B. i D., parę innych osób z okolicy oraz trzech obcych. Po rozpoczęciu zebrania panowie ci oświadczyli, że są legionistami z pierwszej kadrówki, która przedwczoraj zajęła Kielce, wyłożyli nam plan dalszego działania, polegający na tym, że po zdobyciu Warszawy będzie utworzony Rząd Narodowy, władze i wojsko polskie i do tego należy się przygotowywać, a przede wszystkim tworzyć siłę zbrojną. W drodze powrotnej i dłuższy czas potem rozmyślałem i walczyłem z sobą. Instynkt narodowy i tradycje rodzinne nakazywały mi wstąpić do szeregów zbrojnych; usposobienie pokojowe i nawał obowiązków w rozpoczętej pracy społecznej powstrzymywały mnie od tego. W tym zmaganiu się miałem nawet przykry sen: widziałem maszerujące przez S. wojsko z polskimi odznakami, a ja stałem i przyglądałem się tylko...

W parę tygodni potem, będąc po towary w Lublinie, odwiedziłem dawnego emisariusza, redaktora „Ziemi Lubelskiej“, ś. p. Daniela Śliwickiego. W dłuższej rozmowie na temat spraw politycznych wyraziłem swój pogląd i życzenie, by Rosja była pobita przez Niemcy, a Niemcy przez Francję. Odrzekł na to, że tak nie może się stać. Zwycięża tylko jedna strona. A jednak stało się tak. Wniosek stąd, że w polityce nie tylko rozumowanie, ale i instynkt lub podświadome przeczucie odgrywają również rolę. Moim zdaniem, wiele błędów czynią politycy, ufając zbytnio swemu rozumowi. Gdyby sprawami politycznymi zajmowało się więcej ludzi prostych (jak się obecnie mówi „szarych“), ale bezwzględnie uczciwych, opierających się na przykazaniach bożych i nauce Chrystusa, a stosunek swój do narodu i państwa regulujących w niezamąconym niczym sumieniu oby-

watelskim, byt społeczeństw raźniej zbliżałby się do królestwa bożego na ziemi...

Uczucia moje były po stronie tych, którzy tutaj bili Moskali, a na zachodzie Niemców. Z racji tego stanowiska omal nie naraziłem się na represje ze strony dowódcy oddziału rosyjskiego, oskarżono mnie bowiem o przeciwdziałanie w zarządzeniach w charakterze wojskowym. Skończyło się jakoś na niczym. Każda wiadomość o klęsce Moskali, a zwłaszcza rozbicie armii Samsonowa na Mazurach Pruskich napełniała mnie nadzieją, że kajdany niewoli pękną.

We wrześniu byliśmy świadkami potyczki rosyjskiego oddziału konnego z ułanami austriackimi. Pozostało kilku rannych, dla których zorganizowaliśmy naprędce szpitalik w sali szkolnej w b. dworze. W kilka dni potem zajechało przed sklep spółdzielni trzech jeźdźców, z których starszy, siwy, niskiego wzrostu wojskowy miał na głowie czako ułańskie, dwaj jego towarzysze rogatywki z białym orzełkiem. Poznałem legionistów. Zapytali się o drogę do pobliskiego dworu i zaraz odjechali. Dowiedziałem się później, że dowódcą oddziału był Wacław Sieroszewski.

Później szło wojsko niemieckie w kierunku na Wisłę. Wygląd żołnierzy niemieckich imponował nam. Gdzie Rosjanom, a zwłaszcza Austriakom równać się z nimi! Chłopy jak dęby, syci, dobrze odziani i obuci; konie rosłe i tęgie. A jaki stosunek demokratyczny w wojsku! Oficerowie nie rozpychali żołnierzy przy zakupach w sklepie, lecz w kolejce stawali między prostymi żołnierzami. Albo inny przykład: zatrzymał się na noc za naszymi stodołami tabor wojskowy. Część żołnierzy z dowódcą zakwaterowała się w naszym domu. Dowódcą był ziemianin z Prus. Matka prosiła go do kolacji z nami, nie chciał jednak zasiąść do stołu, lecz usiadł przy ławie razem ze swymi „koniuchami". Po kolacji częstował ich cygarami i gawędzili razem.

Ciągłe przemarsze wojsk wprost ogałacały nam sklep. Płacili za wszystko na ogół sumiennie. Miałem dużo kłopotu i trudu z zaopatrywaniem spółdzielni w nowe towary. Trzeba było stale jeździć wozami do Lublina, Radomia, a nawet Warszawy.

W listopadzie nastąpił odwrót z pod Lublina. Austriacy biegli wprost, zgłodniali widocznie, gdyż po drodze wyłapywali nawet kartofle w „mundurach", przygotowane dla świń. Wrócili ku memu smutkowi Moskale. Urządzili pogrom żydów, jakoby za sprzyjanie Niemcom. Kozacy zrabowali sklepy, bili nahajkami żydów, gwałcili żydówki. Kilku żydów wywieźli do Rosji, jako zakładników. Gospodarowali ponownie i ostatecznie do połowy czerwca 1915 r. W początkach maja rozpoczęli budowę okopów na wyżynie za S. w stronę północy. Linia tych okopów biegła od Pilicy do Wisły. Rąbali w pień okoliczne lasy chłopskie, umacniając rowy strzeleckie i budując podziemne blindarze na izby wypoczynkowe i szpitale.

Od południa i zachodu słychać było od paru tygodni wzrastający huk armat. Nagle 20 czerwca wieczorem przyszedł rozkaz opróżnienia miastecz-

ka i okolicznych wiosek, leżących przed linią okopów, w ciągu nocy. Nastąpił nieopisany zgiełk, zwłaszcza wśród ludności żydowskiej. Całą noc pakowaliśmy towary i wynosiliśmy do kościoła urządzenia sklepów. Ale bieda była z końmi. Wszyscy na gwałt wywozili swoją chudobę i niemożliwą rzeczą było doprosić się o konie, zwłaszcza pod większy ładunek. Szczęściem rano dwa wozy znajomych z W. S. załadowaliśmy towarami i udałem się z nimi za linię okopów. Po drodze miałem bolesne widowisko: istne wyjście żydów z Egiptu! Cała droga była zapełniona krzyczącym i lamentującym Izraelem, obarczonym ponad siły ubraniem, bielizną i pościelą, z płaczącymi dziećmi na rękach. Przykro było patrzeć na starców, nie mogących dźwigać tłumoków. Zdjęty litością, zabierałem na przepełnione wozy rzeczy starszych osób, ale w końcu konie stanęły, nie mogąc po piaszczystej drodze uciągnąć nadmiernego ciężaru. Musieliśmy zdejmować część zabranych rzeczy. Towary złożyliśmy w K. na wikariacie.

Wróciłem co tchu do S., aby przekonać się, czy matka z dwiema siostrami i czworgiem drobnych wnucząt wyjechała, gdyż nie miałem zupełnie czasu być w domu po nadejściu rozkazu. Nie zastałem już nikogo, zawdzięczając uprzejmości gospodarza A. K. z T., który po wywiezieniu swej rodziny przyjechał i zabrał moich z najniezbędniejszymi rzeczami. Gdy przybyłem do S., specjalny oddział „podpalaczy“ był już czynny. Płonęła S. W. i część rynku. Przy mnie podpalili dom parafialny, w którym mieścił się sklep. Z domu naszego było prawie wszystko powynoszone do piwnicy. Narzędzia gospodarskie, jak sieczkarnia i t. p. pozostały w budynku, gdyż siostry nie miały widocznie siły i czasu na ich wynoszenie. Ja sam nie mogłem poradzić. Niektóre ule z pszczołami były podpalone a miód wybrany. Pożegnałem ściany domu - staruszka, w którym zamieszkiwał jeszcze mój pradziad, i udałem się w stronę pożogi. Większość miasteczka była objęta płomieniami. Przechodząc obok kapliczki, ufundowanej kiedyś przez mego dziadka, a przebudowanej przez sąsiada p. A. P., ujrzałem okropny widok. Przez płonący dach zapaliła się rzeźbiona z drzewa postać Matki Boskiej Bolesnej z Chrystusem Ukrzyżowanym na rękach. W świetle płomieni płaczliwa twarz Matki Boskiej robiła wrażenie żywej istoty. Nie namyślając się skoczyłem do kapliczki i wyniosłem figurę z płomieni, gasząc ogień piaskiem. Musiałem zawrócić, gdyż rozpoczęła się strzelanina. Widocznie nadciągali Niemcy.

Cała S. (oprócz kościoła i drugiej małej kapliczki drewnianej) i trzynaście okolicznych wsi uległo całkowitemu spaleniu, a 6 wiosek częściowemu. Kościół został zburzony armatami rosyjskimi, ale już po zajęciu S. przez Niemców. Stanowił on cenny zabytek architektoniczny (gotyk). W kościele spłonęło wszystko, co wielu, zwłaszcza z uboższej ludności, tam złożyło w mniemaniu, że kościoła palić nie będą. I księża nie wynieśli nic z kościoła, sądząc, że przynajmniej ten budynek ocaleje. Spłonął nawet relikwiarz z drzewem Krzyża Świętego. Gdy wróciłem w czasie palenia miasteczka, widząc wokół morze płomieni, straciłem nadzieję na oszczędzenie

kościoła. Z kimś jeszcze ze służby kościelnej, zabraliśmy z szaf z zakrystii wszystkie kapy, ornaty i t. p. Po inne przedmioty liturgiczne nie mogliśmy sięgać. Przejeżdżający wówczas jakiś kapelan wojskowy wyjął z ołtarza monstrancję; o relikwiarzu w pośpiechu zapomnieliśmy mu powiedzieć.

Z K., wobec bliskości linii bojowej, przewiozłem towary do L., stamtąd do Lk., a pózniej do C. W Lk. w grobie pod ołtarzem złożyłem skrzynię z księgami Kasy i Stowarzyszenia Spożywców. W L. spotkałem się z rodziną, która później wyjechała do wsi A.

Cztery tygodnie wyczekiwaliśmy rezultatu bitwy w nieustannym huku armat i trajkotaniu karabinów maszynowych. Osiemnastego lipca rano, po gwałtownej nocnej kanonadzie, zobaczyliśmy cofające się w pośpiechu wojska rosyjskie. Przełamano front.

Znów ucieczka — wędrówka „ludów" w stronę Zwolenia. Towary miałem złożone w opróżnionym domu sądu na rynku. Stałem cały dzień i noc na drodze i prosiłem przejeżdżających znajomych, żeby zabrali towary. Każdy ma pełny wóz, każdemu pilno... Ktoś przyrzekł przyjechać, ale widocznie nie był puszczony przez umacnianą linię okopów na Iłżance, tuż za C. Rano zaczęły padać szrapnele na C. Ostatni konny oddział Rosjan, biwakujący w ogrodzie na wprost urzędu gminnego, siadł pośpiesznie na konie i pocwałował w stronę Zwolenia.

W całym C. zostałem tylko ja i jeden jego mieszkaniec p. K. K. Bitwa rozgorzała na dobre. Widząc coraz gęściej padające na miasteczko szrapnele, wśród świstu kul przebiegamy z rynku na plebanię, szukając tam bezpieczniejszego schronienia. Granaty coraz częściej padają. Szukamy wejścia do piwnicy.W tym momencie pada granat na przybudówkę przed kuchnią, zasypując nas odłamkami cegły i wapna. Na pół przytomni wybiegamy z plebanii do ogrodu, gdzie na szczęście trafiamy na otwartą piwnicę murowaną. Dziękujemy Bogu za ocalenie, obserwujemy, co się dzieje wokoło. C. pali się w wielu punktach. Po pewnym czasie zapala się drewniany kościół. Huk armat i karabinów maszynowych, trzask palących się budowli przejmuje nas zgrozą, zwłaszcza, że jesteśmy zmęczeni, niewyspani i głodni.

Około 6 wieczorem rozpoczął się huraganowy ogień armat niemieckich. Strzelano bez przerwy. Zgrzyt kul przecinających powietrze był tak straszny, że mroził krew w żyłach, dostawaliśmy dreszczy, jak w febrze. Moskale odpowiadali z rzadka. Trwało to chyba do rana. Byłem tak zmęczony i rozstrojony, że około północy zasnąłem przy boku trzęsącego się jak galareta pana K. K. Zbudził mnie o świcie klekot karabinów maszynowych. Po pewnym czasie nastała kompletna cisza.

Tak trwaliśmy parę godzin. Wyjść baliśmy się, gdyż mogliśmy być wzięci za szpiegów. Ta niepewność bardzo nas męczyła. W końcu ciszę przerwał zgrzyt łańcucha od studni plebańskiej. Nareszcie jest żywa osoba, ale kto... Ostrożnie wychyliłem się z piwnicy i zobaczyłem przy studni

żołnierza niemieckiego. A więc jesteśmy we władaniu Niemców! Radość, że Moskale znów pobici i wyparci, ale obawa, na co możemy się narazić. Po pewnym czasie wyszliśmy z piwnicy, udając się na plebanię. Postanowiliśmy tam wyczekiwać, aż ktoś się zjawi. Po pewnym czasie zauważyliśmy idącego od strony rynku żołnierza. Zaczęliśmy machać rękami. Podszedł do nas i ku naszej radości zagadał po polsku. Okazało się, iż był to Ślązak. Opowiedzieliśmy mu nasze przygody i prosiliśmy, by wyjednał nam przepustkę na powrót do S. Zaprowadził nas na rynek przed dom sądu, który dzięki murom ocalał, gdy sąsiednie były spalone. Ku uciesze swej zobaczyłem przez okno, że towary spółdzielni są nienaruszone. W sali było pełno wziętych do niewoli oficerów rosyjskich.

Ślązak zameldował nas oficerowi niemieckiemu, który kazał nam czekać. Zaczęła napływać piechota niemiecka. Zapełnili cały rynek. Złożyli broń w kozły — wypoczywali. Naraz zaczęły padać granaty w zgliszcza zburzonych domów, na kilkadziesiąt kroków przed nami. Stanęliśmy w obliczu wojny, bardziej wylęknieni niż w piwnicy pod huraganowym ogniem. Oczekiwaliśmy, że lada moment granaty przesuną się jeszcze dalej i padać będą na nas. Podziwiałem wówczas żołnierzy niemieckich. Stali lub leżeli zupełnie obojętnie, przyglądając się wybuchom granatów. Trwała ta męka dla nas dłuższy czas. Wtem padają rozkazy, żołnierze zrywają się, chwytają karabiny i w takim samym szyku, jak weszli na rynek, maszerują naprzód, mimo naprzeciw coraz częściej padających granatów. Po kilkunastu minutach zobaczyliśmy na wzgórzach za Iłżą łańcuch tyralierski z tych oddziałów. W jakieś pół godziny, dowódca niemiecki, obserwujący bitwę z rynku, klasnął w dłonie z okrzykiem: „*Russ zurück*“! *) Odetchnęliśmy.

Potem nie interesowano się już nami. Poszedłem kawałek w stronę Z. Na błoniach przy Iłżance chmary jeńców rosyjskich. Okopy po drugiej stronie rzeki doszczętnie zburzone. Ogromne leje i wyrwy od granatów dookoła. Za dworem pobojowisko. Kolumna sanitariurzy pracuje. Wszędzie pełno rannych, jęczących żołnierzy rosyjskich. Serce ściskało się na ten widok.

Poszedłem na zgliszcza kościoła, który spalił się do cna. Staruszek proboszcz powrócił i jął zalewać wodą tlejące szaty liturgiczne, schowane w grobie pod kościołem. Płakał nad stratą. Po powrocie pp. B. umieściłem pod ich opieką towary i udałem się do rodziny, którą zastałem przy zdrowiu. Zaraz też powróciliśmy w stronę domu. Zamieszkaliśmy na razie we wsi K., tuż za pozycją.

Większa część ludności powróciła na zgliszcza, sporo jednak wędrowało przed cofającą się armią rosyjską, aż hen w głąb Rosji. Wszystkim napotykanym po drodze znajomym, odradzałem ucieczkę, podkreślając, że ucieka wróg, a nie prawowity gospodarz tej ziemi. Ci, co posłuchali mej

---

*) „Rosjanie cofają się“. Red.

rady, dziękowali mi później za to, inni żałowali, gdyż musieli się tułać przez parę lat na obczyźnie, a sporo nie wróciło dotąd. Brak wiary w Polskę i zbytnie zaufanie do potęgi moskiewskiej pchało ich w tej wędrówce. Ci, co wrócili, porozmieszczali się w piwnicach, ziemiankach i byle jak skleconych szałasach, raźno biorąc się do sprzętu dojrzałego zboża i do odbudowy domów. Niektórzy zamieszkali w sąsiednich, nie spalonych wioskach.

Z miejscowych pracowników umysłowych powrócili do S. tylko ksiądz wikariusz, organista, kościelny i ja. Ksiądz prałat, aptekarz, nauczyciel i pisarz gminny — wszyscy wyjechali w głąb Rosji.

Przystąpiliśmy na wstępie do pobudowania tymczasowej kapliczki na cmentarzu kościelnym, pod krzyżem misyjnym. W parę dni potem zaczęły się odprawiać nabożeństwa. Następnie ksiądz wikariusz zajął się bardzo energicznie budową dużej kaplicy drewnianej. Drzewo na przyciesie i belki braliśmy z okopów, z których zresztą czerpali materiał na odbudowę pogorzelcy. Już w styczniu 1916 roku kaplica była gotową.

Jesienią 1915 roku nabyliśmy dla stowarzyszenia gotowy dom, wczesna zima jednak nie pozwoliła wykończyć go. Urządziłem więc tymczasowy sklep w S. W., sprowadzając ocalałe towary z C. W marcu 1916 r. przenieśliśmy sklep do pobudowanego na placu kościelnym domu. Sprowadziłem ukryte w Lk. księgi i rozpoczęliśmy działalność Kasy. Zapotrzebowań na pożyczki było wiele, w związku z ogólną odbudową. Brakujące do obrotu pieniądze czerpaliśmy z Towarzystwa Polskiego Oszczędnościowego „Wzajemna Pomoc“ w Ostrowcu.

Zamierzaliśmy pobudować spółdzielczy tartak na potrzeby pogorzelców. Znękana ludność okoliczna nie była jednak w stanie dostarczyć nam środków na zakupienie urządzenia tartaku.

Gdy władze okupacyjne austriackie przystąpiły do organizowania administracji, musiałem wobec braku kogoś innego, przyjąć na siebie obowiązki pisarza gminnego, które pełniłem blisko dwa lata. Jednocześnie byłem sekretarzem Ratunkowego Komitetu Obywatelskiego. Częste zjazdy tego Komitetu w Starachowicach były dla mnie szkołą służby obywatelskiej i pozostawiły dotąd miłe wspomnienia.

W tym okresie zaczął powstawać istotny samorząd gminny. Opracowane przeze mnie zarządzenia urzędu gminnego o uporządkowaniu publicznej gospodarki gminnej (naprawa gościńców, zaoranie wojskowych dróg przez pola, wyrównanie okopów i t. p.) posłużyły za wzór dla komendy obwodowej w W., a na zjeździe wójtów komendant-pułkownik P. zwrócił się ze słowami uznania pod moim adresem. Dzięki temu i pracy w Komitecie Obywatelskim miałem szczególne względy u władz okupacyjnych.

Już od zimy 1915 roku niektóre wioski zaczęły organizować szkoły polskie, sprowadzając na swój koszt nauczycieli i nauczycielki. W 1916/17 roku rozpoczęła się na dobre organizacja szkół gminnych. Założyliśmy od

razu 14 szkół (przed wojną było zaledwie 3), wprowadzając powszechne nauczanie. Ze wszystkich wiosek dzieci miały umożliwiony dostęp do nauki. Organizacją szkół zajmowała się t. zw. Miejscowa Rada Szkolna, której przewodniczącym był ksiądz proboszcz A., a sekretarzem ja. Dziwię się obecnie, jak w takich warunkach mogliśmy uruchomić tyle szkół. Wszak $^3/_4$ gminy było zniszczone. Nasz zapał do tworzenia oświaty narodowej i przychylność ludności przyczyniły się do tego. Gospodarze w starych lub nowoodbudowanych domach oddawali większe izby na szkoły, mieszcząc się w ciasnych izdebkach, nieraz w alkierzach. Na urządzenie szkół zaciągnęliśmy pożyczkę w naszej Kasie.

Rada zajmowała się całkowicie gospodarką szkół, a nawet wypłacała pensje nauczycielskie. Ponieważ władze okupacyjne nie mogły w tym czasie dostarczyć nam potrzebnej liczby sił nauczycielskich, udaliśmy się z księdzem wikariuszem do Warszawy, skąd przywieźliśmy trzy nauczycielki. Aby wyjednać dla nich zezwolenie Niemców na wyjazd musieliśmy użyć poparcia księdza Sztobryna, jako członka tymczasowej Rady Stanu.

Gdy porówna się obecną organizację szkolnictwa na wsi (mamy obecnie w gminie tylko 9 szkół, choć większość wieloklasowych), to stwierdzić trzeba, że ten system przyczynia się do tego, że dużo dzieci nie uczęszcza do szkół z powodu znacznej odległości lub opuszcza lekcje w czasie wielkiej niepogody i w zimie na skutek złych dróg i niedostatecznego ubrania.

W listopadzie 1915 roku byłem na zjeździe w Radomiu, w którym brali udział przeważnie ziemianie, księża i inteligencja. Zjazd organizowany był pod znakiem orientacji rosyjskiej. Przemawiałem przeciw takiej polityce, za co byłem uszczypliwie skrytykowany w organie tej grupy, zdaje się „Ziemi“ czy „Głosie Radomskim“. Wyjaśnienia moje na ten krzywdzący mnie artykuł nie były, mimo próśb o to, umieszczone w piśmie. Bali się widocznie drukować prawdę.

Wiosną 1916 roku mieliśmy zjazd spółdzielczy w Radomiu, organizowany przez komisję spółdzielczą przy C. T. R., na którym wygłosili referaty: prezes Banku Społem dr Rząd, dyrektor Karpiński i lustrator Zacharski. Ten ostatni zapoczątkował pracę instruktorską w ziemi radomskiej.

Pod patronatem p. S. P., ziemianina z B. koło Lublina, były tworzone wśród młodzieży drużyny Bartoszowe, w czym brałem udział i nawet należałem do zarządu tej organizacji. Mieliśmy, między innymi, zjazd tej organizacji.

W listopadzie 1916 roku, po ogłoszeniu przez Niemców i Austriaków t. zw. „niepodległości“, brałem udział w zjeździe narodowym w Warszawie. Godne uwagi były przemówienia A. Maja i księdza S., przyszłych posłów na Sejm Ustawodawczy. Razem z innymi sprzeciwiałem się stanowczo wysłaniu delegacji od zjazdu do generała Beselera.

W lutym 1917 roku odbył się w Warszawie zjazd założycieli Związku

Spółdzielni Rolniczych. Zagajał zjazd Antoni Wieniawski, referował sprawy Zdzisław Ludwikiewicz, Cezary Łagiewski, ś. p. Hieronim Smoliński i Piotr Załuski. Z działu kas wszedłem, jako zastępca, do rady Związku, w której posiedzeniach brałem udział bez przerwy aż do ostatnich czasów. Serdeczny, o charakterze rodzinnym stosunek, jaki panował między członkami rady i przedstawicielami spółdzielni a zarządem Związku, był tym magnesem, który stanowił o spoistości i harmonii w pracy spółdzielni Związku, jako przykład nie formalnego tylko, lecz istotnego zespolenia ludzi w imię idei spółdzielczej.

W początkach 1917 roku w mieszkaniu inż. Z. C. odbywaliśmy parodniowe narady nad zespoleniem poszczególnych politycznych grup ludowych w jedno stronnictwo pod nazwą Zjednoczenie Ludowe. Zrozumienie potrzeby utworzenia jednolitego stronnictwa ludowego i skłonność do połączenia u przywódców poszczególnych grup była — tylko Wyzwolenie (b. Zaranie) odmówiło udziału w tworzeniu zjednoczenia. Parę razy udawaliśmy się do ich lokalu, jednak bezskutecznie. Biorąc udział w delegacji odniosłem wrażenie, że grupa ta jest kierowana przez socjalistów, w których interesie nie jest tworzenie samodzielnego stronnictwa ludowego.

Rezultatem narad było wydanie zbiorowej deklaracji, połączenie czterech grup i utworzenie Polskiego Zjednoczenia Ludowego. W imię grup podpisali się na deklaracji na pierwszych miejscach: ksiądz Bliziński, Zygmunt Chmielewski, Jan Dąbski, Sadlak, mój podpis figurował w grupie księdza Blizińskiego. Był jednak w tych staraniach jeden błąd: wstęp deklaracji opierał się na manifeście niepodległościowym cesarzy z dnia 5 listopada 1916 roku. Gdy spotkałem się później z księdzem Blizińskim powiedział mi, że ze wstydem posiadane deklaracje spalił.

W marcu 1917 roku, na zjeździe powiatowym Zjednoczenia w Iłży, zostałem wybrany razem z księdzem A., na delegata na zjazd tymczasowej Rady Stanu w Warszawie. We wstępnym przemówieniu M. Ł. wskazał, jako cel zjazdu: zorganizowanie życia państwowego. Pierwszy raz zobaczyłem Piłsudskiego. Przemawiał dobitnie, po żołniersku: z przemówienia jego zapamiętałem początkowe zdania, gdy mówił o dotychczasowym stosunku społeczeństwa do wojska: „było bawienie się kolorowym ułanem, dziś trzeba tworzyć rzeczywistego szarego żołnierza“. Tak szczególnie złożyło się, że po przemówieniu Piłsudskiego, nadeszła wiadomość o zrzeczeniu się tronu przez cara Mikołaja II, która zelektryzowała uczestników zjazdu. Nadzieje nasze ożywiły się: wrogie potęgi walą się, my radzimy nad zorganizowaniem odradzającego się państwa!

Szczegółowe sprawozdanie ze zjazdu Rady Stanu zdawałem na specjalnym zjeździe, zwołanym w Iłży. Zebrani z wielkim zainteresowaniem wysłuchali przemówień ks. A. i mego.

Według wiadomości, jakie mnie doszły, byłem upatrzony na powiatowego komisarza Rady Stanu, który na razie miał być pośrednikiem pomiędzy Radą Stanu, a społeczeństwem i miał za zadanie zorganizować samo-

rząd gminny i powiatowy. Według opracowanego przez Radę Stanu projektu ustawy samorządowej żandarmeria okupacyjna zbierała już informacje, dotyczące mej osoby. Projekty te nie zostały urzeczywistnione, co świadczy o nieszczerych intencjach okupantów.

Wiosną 1917 r. zorganizowaliśmy w S. Ochotniczą Straż Ogniową. Napotkaliśmy na sprzeciwy niektórych starszych osób, podejrzewających, że jest to werbowanie do legionów, zwłaszcza, że w tym czasie w S. czynne było biuro werbunkowe.

W lipcu 1917 roku kasa nasza nabyła posesję, składającą się z 6-ciu mórg dziedzińca, ogrodu i łąk oraz murów po dwu zburzonych dworach. Ponieważ rozwijająca się szkoła w S. nie mogła uzyskać sal z braku odpowiednich domów (budynek szkolny został również zniszczony), gdyż ludność dobudowywała się przeważnie prowizorycznie i na ogół mieszkała w okropnych warunkach, postanowiliśmy jeden z domów odbudować zaraz i dać w nim pomieszczenie szkole. Rozpoczęliśmy budowę w pierwszej połowie sierpnia, a już od Nowego Roku szkoła uzyskała trzy duże sale i kancelarię. Dom z poddaszem zawiera 16-cie pomieszczeń. Koszty budowy wynosiły około 20 tysięcy rubli.

W 1918 roku postanowiliśmy odbudować budynek na młyn spółdzielczy. Przed wojną był w S. niewielki prywatny młyn motorowy i 7 wiatraków. Wszystko, oczywiście, uległo zniszczeniu. Znękana i utrudzona ludność zmuszona była udawać się do młynów wodnych, oddalonych ponad 10 km, i często kilka dni wyczekiwać na przemiał z powodu natłoku lub braku wody. Uznaliśmy, że młyn jest tak potrzebny, jak powietrze i woda. Na podstawie wzoru statutu nadesłanego nam przez Związek Rewizyjny zorganizowaliśmy Stowarzyszenie Młynarsko - Zbożowe, którego zadaniem było urządzić i prowadzić młyn, a obok tego zajmować się skupem zboża oraz sprzedażą narzędzi rolniczych, nasion i nawozów sztucznych.

Budynek stanął w ciągu lata z funduszów Kasy (około 40 tysięcy rubli). Organizacja Stowarzyszenia Młynarsko - Zbożowego posuwała się wolniej. Kilkudziesięciu mieszkańców okolicznych, bardziej uspołecznionych, a należących już i pracujących częściowo czynnie w Kasie i Spółdzielni Spożywców, pośpieszyło z wpłatą udziałów, nawet większych sum (np. wielu złożyło po 100 rubli). Większość była jednak bierną i oczekiwała na gotowe. Brakowało pieniędzy na wykupienie zamówionych maszyn i wykonanie potrzebnych urządzeń. Najwięcej trudności było z maszyną napędową. Postanowiliśmy nabyć lokomobilę. Ponieważ w bliższej okolicy nie można było takiej maszyny dostać, udałem się do Zagłębia Dąbrowskiego, lecz nie udało się uzyskać od Niemców zezwolenia na wywóz, mimo wszelkich starań, a nawet prób nielegalnego przewozu przez granicę okupacyjną. W jednym tylko miesiącu sierpniu jeździłem do Zagłębia w tej sprawie aż 10 razy.

W okresie budowy obu budynków miałem niezwykłą ilość pracy. Chodziłem spać o północy, wstawałem o 4-tej rano. Nie czułem jednak wtedy

trudu ani zmęczenia, gdyż czasy owe, pełne wiary w jasne jutro, dodawały mocy. To było w rzeczywistości „mierzenie sił na zamiary". Dziś dziwię się, jak można było naraz tyle obowiązków i trudów ponosić. Pomoc boska bez wątpienia była ze mną.

W 1918 roku nie udało się nam uruchomić młyna wobec trudności finansowych i niemożności nabycia maszyny. Niektórzy zaczynali gadać, że „sowy będą się lęgły w tym budynku". Bolało mnie to, ale nie upadałem na duchu, mając gromadkę ożywionych duchem spółdzielczym współpracowników w osobach członków zarządu Kasy oraz innych osób, a w szczególności światłą i doświadczoną opiekę prezesa rady Kasy ks. A. A., znanego z pracy społecznej w W. i O.

W tym czasie otworzyliśmy filię Stowarzyszenia Spożywców we wsi O. N., dzięki zabiegom miejscowego światłego gospodarza pana A. G. Zapisało się na członków kilkadziesiąt osób i wszyscy wpłacili udziały.

Jako przewodniczący Domu Szkolnego miałem zatarg z miejscowym ogniskiem nauczycielskim na tle niemoralnego postępowania niektórych nauczycielek. Zarzucono mi wtrącanie się do osobistych spraw i zażądano, abym zrzekł się obowiązków. Nie chcąc pogłębiać zatargu zgłosiłem na ręce szkolnej rady powiatowej rezygnację, przedstawiając szczegóły sprawy.

Jesień 1918 roku skierowała dążenia i umysły nasze w stronę urzeczywistnienia ideału niepodległości. Na ogromnym wiecu na błoniach pod Iłżą w końcu października wybraliśmy radę powiatową, której zadaniem miało być objęcie władzy w powiecie. Forma przemówień i treść uchwał były tak stanowcze, że władze okupacyjne „najeżyły się". Musieliśmy odbywać posiedzenia rady tajnie. Mówiono, że powstała „Republika Iłżecka".

W pierwszych dniach listopada, w czasie rozbrajania Austriaków, byłem na zjeździe spółdzielni spożywców w Warszawie, nie brałem więc w tym akcie udziału. Tworzył się wówczas Rząd Ludowy w Lublinie, zjazd był bardzo podminowany i przeplatany wiecami. Po powrocie ze zjazdu zastałem w S. czynną już Straż Obywatelską z komendantem M. K., moim szkolnym kolegą.

W parę dni potem odbył się zjazd w S., zwołany przez P. P. S. w celu wyboru komisarza ludowego. Sprzeciwiłem się temu, zaznaczając, że do zwołania takiego zjazdu jest powołana rada powiatowa. Część uczestników zjazdu wysunęła moją kandydaturę na komisarza. Z powyżej przytoczonych powodów kandydatury nie przyjąłem. Na komisarza został wybrany socjalista N. Wobec dokonanego faktu objęcia po tych wyborach władzy w powiecie przez N., nie chcąc w tej chwili wywoływać zamieszania, stawiliśmy się jako członkowie rady powiatowej na jego zaproszenie i rozpoczęliśmy pierwsze kroki w zarządzaniu powiatem. W pierwszym rzędzie wydaliśmy zarządzenie o powołaniu rad gminnych. Z naszej gminy zostałem wybrany na przewodniczącego rady. W niedługim czasie rząd

w Warszawie wyznaczył na komisarza ludowego w naszym powiecie pana S. i nasza rola skończyła się.

Zaczęły się przygotowywania do wyborów sejmowych. Na zjeździe w Iłży wysunięto moją kandydaturę. Zjazd składał się z kilkudziesięciu osób ze wszystkich stanów. Nie chciałem przyjąć kandydatury, tłumacząc się brakiem dostatecznego przygotowania do tak szczytnych zadań oraz tym, że nie mogę opuścić zapoczątkowanych prac w S. Na to jeden z uczestników zapytał mnie: „czy dla pana jest ważniejsze S. niż Polska?“ Pytaniem tym zamknął mi usta. Do powziętej jednomyślnie uchwały dodano życzenie, abym zajmował pierwsze miejsce na liście.

Bardzo pracowicie szło układanie listy t. zw. Bloku Stronnictw Demokratycznych na zjeździe przedstawicieli trzech powiatów: sandomierskiego, opatowskiego i iłżeckiego, stanowiących okręg wyborczy. Obrady trwały od 10-tej rano do późna w nocy. Mnie przypadło trzecie miejsce.

Wieców i zebrań nie urządzałem wcale, gdyż trudno mi było przemawiać za sobą. Był zwołany raz tylko przez komitet wyborczy zjazd w S., na którym musiałem wygłosić przemówienie, zawierające moje polityczne wyznanie wiary. I na tym koniec.

Około połowy stycznia 1919 roku zostałem wezwany depeszą z Warszawy, aby z ramienia zjednoczenia ludowego wziąć udział w posiedzeniu rady narodowej, zwołanej, zdaje się, przez koło międzypartyjne w celu domagania się utworzenia rządu, do którego weszliby przedstawiciele wszystkich kierunków politycznych. Poznałem wówczas Jakóba Bojkę. Na początku posiedzenia oznajmiono nam, że nastąpiła zmiana rządu, na czele którego stanął Ignacy Paderewski. Wobec takiej pomyślnej wiadomości, po krótkim sprawozdaniu informacyjnym, posiedzenie zamknięto.

Po otrzymaniu zawiadomienia, że wybrano mnie na posła, pojechałem do Ostrowca, gdzie w komitecie okręgowym zastałem wybranego z powiatu sandomierskiego drobnego rolnika J. K. Trzecim wybranym z powiatu opatowskiego był również rolnik M. K. Wobec takiego wyniku oświadczyłem, że trudno jest mi pogodzić się z faktem, że my trzej mało przygotowani mamy iść do sejmu, a umieszczony na liście tuż za nami J. Ś., były poseł do dumy rosyjskiej i chwilowy premier rządu narodowego, nie ma być w sejmie. Wyraziłem zdanie, że wypada komuś z nas zrzec się mandatu, aby w ten sposób wszedł pan Ś. Sam wyraziłem gotowość to uczynić.

Natychmiast udaliśmy się do M. K., aby omówić z nim tę sprawę. Ten był jednak odmiennego zdania i odradzał nam ten pomysł, tłumacząc tym, że kandydaci z innych list demagogicznie opowiadali na wiecach, że my zostaliśmy wystawieni na pierwsze miejsca tylko dla przynęty, że za nami kryją się obszarnicy i księża i że oni wejdą do sejmu. Oblał mnie zimną wodą. W panującej podówczas atmosferze politycznej zrobienie takiego kroku byłoby istotnie potwierdzeniem tych opowiadań i trudno było narażać swą opinię na zarzuty, że poszliśmy na przekupstwo. Ponieważ do przesady byłem i jestem dbały o dobre imię i staram się zawsze uniknąć

nawet pozoru jakichś czynów niegodnych, musiałem zrezygnować z projektu.

W kilka dni potem wyjechałem na sejm. Prowadzeniem spółdzielni zajął się pomocnik mój T. D. Zgodnie ze staropolskim hasłem i dobrym zwyczajem: „z Bogiem każda sprawa“ zamówiłem na intencję moich spraw w sejmie mszę św., wyspowiadałem się i bezpośrednio potem pojechałem do Warszawy, żegnany serdecznie, z życzeniami owocnej pracy, przez grono naszych spółdzielców.

W Warszawie zamieszkaliśmy w „Grand Hotelu“ na Chmielnej, wszyscy trzej w jednym pokoju. Obaj z J. K. staliśmy się przedmiotem zabiegów przedstawicieli stronnictw, M. K. bowiem od razu zadeklarował się do „Piasta“. Mieliśmy odwiedziny Witosa i Bojki. Byli także wyznawcy „Wyzwolenia“. Uczęszczaliśmy obaj na wstępne zebrania organizującego się klubu ludowo-narodowego, którego głównym twórcą był prof. Stanisław Grabski.

Ja, aczkolwiek należałem do zjednoczenia ludowego i z ramienia tego ugrupowania byłem na liście, nie przystałem od razu do klubu zjednoczenia, gdyż te natarczywe zabiegi przedstawicieli stronnictw i podzielenie się ugrupowań ludowych na 4 kluby, gdy ja byłem zawsze gorącym zwolennikiem utworzenia jednego stronnictwa ludowego, zrażały mnie i uznałem wówczas, że lepiej i uczciwiej spełnię swoje zadanie, gdy będę bezpartyjnym. Utworzyła się nas taka grupa ponad 30 posłów i przystaliśmy do związku ludowo-narodowego. W tych warunkach to najbardziej odpowiadało moim poglądom w myśl hasła wieszcza: „jeden tylko wielki cud, z polską szlachtą polski lud“. Klub ten istotnie łączył wszystkie stany i zawody i był najliczniejszym w sejmie.

Nabożeństwo w katedrze. Przyjazd w otoczeniu szwoleżerów Piłsudskiego i Paderewskiego, hymn „Jeszcze Polska nie zginęła“, kazanie ks. arcybiskupa Teodorowicza, otwarcie sejmu — wszystko to było, jak sen wspaniały. Zauważyłem ogromną różnicę w Piłsudskim. Gdy w 1917 roku na zjeździe Rady Stanu był to pełen siły i werwy młodzieńczej człowiek, w niespełna dwa lata później przedstawiał się, jak staruszek. Chwiejnym krokiem wysiadł z powozu. Widocznie przeżycia w twierdzy magdeburskiej wycisnęły swe piętno.

Zapisałem się do kilku komisyj sejmowych, a więc: konstytucyjnej, odbudowy kraju, administracyjnej, komunikacyjnej, zdrowia publicznego. Pragnąłem brać udział we wszystkich, lecz, niestety, trudno było być jednocześnie wszędzie. W miarę możności uczęszczałem na inne komisje. Jako sekretarz komisji odbudowy kraju z prezesem tejże, posłem Kędziorem, prowadziłem rzetelną pracę, załatwiając osobiście, a nie przez biuro sejmowe, jak to przeważnie czyniły inne komisje, wszelkie sprawy dotyczące odbudowy kraju. Pierwszą ustawą, jaką wydał sejm, była ustawa o pomocy w odbudowie kraju. Odnośne dane o rozmiarach zniszczenia Polski dostarczył komisji poseł Władysław Grabski, który zajął słuszne sta-

nowisko, że wzorem Francji i Niemiec państwo winno ponieść koszty odbudowy zniszczonych budynków, lecz na to, niestety, nie mógł wystarczyć pusty, organizujący się skarb państwa.

Na skutek mych starań urządzono na pożytek pogorzelców tartak w G. obok lasów starachowickich. Miała być również przeprowadzona kolejka dla dowozu budulca do gmin najbardziej zniszczonych. Projekt ten jednak nie został urzeczywistniony.

Projekt ten przekształcił się w inny, a mianowicie budowy kolejki wąskotorowej Starachowice - Solec n/Wisłą, przy czym koszty miały być poniesione w równych częściach przez Zakłady Starachowickie, Sejmik Iłżecki i Ministerstwo Robót Publicznych. Zawiązał się w Warszawie specjalny komitet, którego byłem przewodniczącym, wytknięto już trasę, opracowano kosztorys, lecz gwałtowny spadek marki popsuł te projekty.

Referowałem w sejmie własny wniosek o powołanie komisji zdrowia publicznego, a to wobec dziesiątkowania ludności wielu okolic kraju przez tyfus plamisty (w gminie naszej, wskutek okropnych warunków mieszkaniowych, prawie każda rodzina była nawiedzona tą chorobą). Przy tym wypowiedziałem zdanie, które i dziś nie straciło na znaczeniu, że tylko ścisła oszczędność w gospodarce państwowej zdoła wyrównać zaległości niewoli. Zaznaczyłem przy tym, że sejm nie daje dobrego przykładu, gdyż diety poselskie są zbyt wysokie.

Po uchwaleniu reformy rolnej, która przeszła jednym głosem większości lewicy, znakomita większość członków naszej grupy bezpartyjnej wystąpiła ze Związku Ludowo-Narodowego. Stało się to wskutek tego, że w przekonaniu naszym poseł Stanisław Grabski prowadził nieszczerą politykę w tej sprawie. Chciał dogodzić przedstawicielom drobnych rolników, a jednocześnie nie zrażać sobie ziemian, których sporo było w klubie. A ci, z wyjątkiem Seweryna Czetwertyńskiego i Władysława Grabskiego, nie umieli w obliczu historycznych wydarzeń dziejowych dla Polski wznieść się ponad ciasny, własny interes. Przykro to stwierdzać. Daleko lepiej i uczciwiej traktował tę sprawę Władysław Grabski. W swym wniosku stawiał konkretne żądanie: co rocznie ma być rozparcelowane pomiędzy bezrolnych i małorolnych 200.000 ha ziemi. Ten bardzo rozumny i dostosowany do ówczesnych możliwości państwa projekt, niestety, nie został przyjęty.

Z żalem żegnaliśmy się z prezesem klubu, Stanisławem Głąbińskim, gdyż istotnie był to człowiek, którego można było kochać jak ojca. Weszliśmy przeważnie do Zjednoczenia Ludowego, paru do Piasta. Doszedłem wtedy do przekonania, że nie miałem racji na początku, uchylając się od stronnictw. W działaniu politycznym trzeba mieć wyraźny program i uczciwie dążyć do jego wypełnienia. Byłem wtedy przeczulony pod względem bezstronności i działałem w pojedynkę.

Należałem do grupy posłów, która z Moczydłowską i ks. Lutosławskim na czele, pod patronatem Jana Szymańskiego, znanego propagatora

trzeźwości w Polsce, przeprowadzała ustawę przeciwalkoholową. Niestety, dzieło nasze zostało w ostatnich latach prawie zniszczone. Głosiliśmy wtedy, że nie dopuścimy do utworzenia monopolu spirytusowego, gdyż państwo nie powinno zajmować się rzeczami, które osłabiają siły duchowe i fizyczne narodu i mają charakter niemoralny. W następnych sejmach zmieniły się poglądy na podstawy moralne państwa. Nic to, że Rosja opierała swój budżet na rozpajaniu ludności! Na taką drogę wkroczyła odrodzona Polska.

Obok pracy w sejmie, którą starałem się z całą sumiennością wykonywać, oraz stałych wyjazdów na wiece i zebrania w różnych częściach Polski, musiałem się zajmować sprawami spółdzielni w S., a zwłaszcza urządzeniem młyna. W ciągu czterech lat istnienia sejmu ani razu nie korzystałem z wypoczynku w czasie przerw świątecznych czy letnich. Pozwoliłem sobie tylko na trzy czy czterodniowy pobyt w Truskawcu i dwa dni na Helu. A odczuwałem bardzo potrzebę wypoczynku, zwłaszcza nad cudownym polskim morzem. Przerwę letnią w roku 1919 spędziłem na odrabianiu zaległych spraw spółdzielni w S., w 1920 — w armii ochotniczej, w 1921 — na pracach i wyjazdach w sprawach komisji do spraw lokomocji, w 1922 — na organizowaniu wyborów do nowego sejmu.

W 1919 roku sporo wyjazdów poświęciłem dalszemu poszukiwaniu maszyny do młyna. Byłem w Krakowie, we Lwowie, we Wrześni, przeszukałem Warszawę i okolicę. Nie dało mi się jednak znaleźć nic odpowiedniego.

Udałem się w końcu do generalnego komisarza ziem wschodnich Osmołowskiego, który dał mi upoważnienie na wybranie lokomotywy z pozostawionych przez Niemców. Byłem w Lidzie, Baranowiczach, Leśnej, Brześciu i innych miejscowościach. Podróż odbywałem w pociągach wojskowych, gdyż osobowe wówczas tam nie kursowały; sypiałem w transportowanych wozach taborowych. Podziwiałem elektrownię niemiecką w Leśnej, oświetlającą podobno całą linię okopów na froncie wschodnim. W ogromnych wykopach ziemnych znalazłem potężną lokomobilę o sile ponad 500 koni parowych fabryki Wolfa i Lanza, ale za dużą jak na nasze potrzeby.

Znalazłem w końcu odpowiednią lokomobilę wraz z gatrem w Brześciu. Ucieszyłem się, gdyż dawało to możność urządzenia tartaku, jaki już poprzednio projektowaliśmy urządzić na potrzeby pogorzelców. Gdy po załatwieniu w Zarządzie Ziem Wschodnich formalności w nabyciu tej maszyny, udałem się ponownie do Brześcia, celem wysłania jej do S., stwierdziłem, że maszynę zabrało wojsko do zbrojowni w Lublinie. Nie było na to rady.

Straciwszy nadzieję na nabycie lokomobili, po zaciągnięciu rady fachowców i uzyskaniu zgody reszty członków zarządu Stowarzyszenia Młynarsko-Zbożowego, zamówiłem w firmie „Perkun“ w Warszawie motor ropowy 40-konny.

Postępujący spadek marki, a w związku z tym wzrost kosztów produk-

cji postawił nas w niemożności wykupienia zamówionych maszyn młyńskich, a później motoru, którego cena z 45 tysięcy przy zamówieniu wzrosła po paru miesiącach do około 130 tysięcy. Zwróciłem się do Centralnej Kasy Spółek Rolniczych o pożyczkę na wykupienie części maszyn; F. Stefczyk odmówił nam, wychodząc ze słusznego założenia, że Kasa może korzystać z kredytów swej centrali tylko na pożyczki dla członków, a nie na zakładanie przedsiębiorstw, nawet o charakterze spółdzielczym. Dzięki znajomości mojej z prezesem Banku Towarzystw Spółdzielczych, uzyskałem w tym Banku kredyt w wysokości 50 tysięcy marek. Część maszyn wykupiliśmy, na resztę i motor znów zabrakło środków, a udziały nie wpływały prawie wcale. Udałem się znów o kredyt do Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Zawdzięczając przychylnemu stanowisku p. Klarnera i Hauszylda, uzyskaliśmy większą pożyczkę z funduszów popierania drobnego przemysłu, która umożliwiła nam sprowadzenie kompletu maszyn. W dniu 20 lipca 1920 roku ks. A. dokonał poświęcenia budynku i urządzeń i odtąd młyn pracuje z dużym powodzeniem dla okolicznej ludności.

W 1920 roku, mimo zdeklarowanego usposobienia pokojowego, obowiązek obywatelski nakazał mi iść do szeregów armii ochotniczej. Przydzielono mnie do 21 pułku piechoty. W czasie bitwy pod Radzyminem wysłano nasz batalion ochotniczy do Ostrowia Wielkopolskiego, gdzie odbywaliśmy ćwiczenia. Nie było dostatecznej ilości karabinów, więc parę plutonów ochotników ćwiczyło się bez broni. Po odparciu bolszewików pod Warszawą zostałem odwołany przez Inspektorat Armii Ochotniczej i wydelegowany na Kujawy, celem zorganizowania dla armii pomocy w naturze. Objechałem komitety w Łowiczu, Łęczycy, Kutnie, Gostyninie, Włocławku i Nieszawie.

W dalszych pracach sejmu zgłosiłem razem z innymi kolegami wniosek o opodatkowanie kawalerów, sam będąc również nieżonatym.Mimo naszych wywodów o szkodliwości narodowej i moralnej bezżeństwa, wniosek na komisji upadł. Referowałem następnie wniosek o ograniczenie używania samochodów przez urzędy i wojsko i byłem członkiem - sekretarzem specjalnej komisji. Ówczesny minister skarbu, J. Michalski, doceniał znaczenie oszczędności w gospodarce państwowej; mówił z trybuny sejmowej z okazji tego wniosku, że dosłownie każdy grosz obywatela, złożony jako podatek dla państwa, on bierze na swoje sumienie. Gdyby wszyscy szafarze naszego skarbu, funduszów samorządowych i składek instytucyj społecznych mieli tak czułe sumienie, Polska inaczej dziś wyglądałaby.

Objeżdżaliśmy urzędy cywilne i wojskowe, badając celowość używania środków lokomocji i określaliśmy normy potrzeb w tym zakresie dla poszczególnych urzędów. Stawialiśmy tak sprawę: gdzie można dojechać koleją, nie należy używać samochodu; samochody mogą być używane tylko przez wyższych dostojników państwowych, cywilnych i wojskowych. W piśmie komisji do ministra spraw wojskowych wskazywaliśmy między innymi na przykład, że szef sztabu generalnego Sikorski jeździ codziennie

samochodem z Jabłonny, dokąd przecież prowadzi kolejka podjazdowa. Minister Sosnkowski był rozżalony na komisję za tak skrajne traktowanie sprawy i za pośrednictwem premiera Witosa starał się wpłynąć na złagodzenie naszych wymagań. Prezes komisji poseł Świda, zastępca jego poseł Hellich i ja byliśmy jednak nieustępliwi.

Stwierdziliśmy na ogół lekceważenie funduszów publicznych na te cele. Wszędzie i wszyscy prawie używali samochodów i koni. W starostwach było po kilka par koni, bryczki eleganckie, powozy. Oficerowie, nawet niższych stopni, uważali za swój honor rozjeżdżać samochodami państwowymi. Mieliśmy dane na przykład, że skromne wówczas nasze poselstwo w Sofii ma samochód, że misja wojskowa generała Romera we Francji miała tak dużo samochodów, iż wypożyczała je nawet oficerom francuskim. Jak to wyglądało! My — Łazarz wśród narodów zewnętrznie przedstawia się lepiej od przebogatej Francji! Porównywałem z przykrością nasze ówczesne stosunki, gdy czytałem, jak to były kanclerz Austrii ś. p. prałat Seypel w okresie uzdrowienia finansów Austrii wyrzekł się samochodu i mieszkania reprezentacyjnego, a jeździł tramwajem. Albo że prezydent Niemiec, Hindenburg, miał tylko dwa samochody, gdy u nas wysocy dostojnicy mają po kilka i kilkanaście. Z bólem kiedyś mówiłem na zjeździe w Iłży, że w dawnej Polsce szlachta hulała i urządzała zbytki, ale na swój koszt, więc mogła mieć w tym względzie czyste sumienie wobec państwa. Obecnie u nas wiele rzeczy zbytkownych dzieje się kosztem środków publicznych, które taki ogrom zadań mają do spełnienia!...

Jako członek Komisji Konstytucyjnej, wbrew stanowisku Klubu, głosowałem za bezpłatnym nauczaniem we wszystkich szkołach. Mój głos zaważył wtedy na przejściu w komisji wniosku w tej sprawie, za co jednak spotkała mnie wymówka ze strony referenta ustawy konstytucyjnej i zarządu Klubu. Doceniając w pełni potrzebę, jak najszerszej oświaty w Polsce, sumienie obywatelskie nakazało mi zająć takie stanowisko.

Z diet poselskich wydawałem dużo na koszta podróży w czasie ciągłych wyjazdów na zebrania, a za resztę kupowałem pożyczki państwowe, których później przy konwersji nie starałem się przerachować według wyższej skali. Pobierałem zwykle diety w końcu miesiąca, kierując się zasadą, że prawo do wynagrodzenia daje dopiero wykonana praca. Przy ówczesnym ciągłym spadku marki stanowiło to sporą różnicę w sile nabywczej pieniądza. Wyjeżdżając w sprawach prywatnych, kupowałem bilety w/g ulg dla pracowników państwowych. Daninę majątkową w 1920 roku wniosłem w parokrotnie wyższej stawce, niż przypadało. Nie wydawałem na rzeczy zbędne, tylko na konieczne.

W drugiej połowie czerwca 1921 r., wyjeżdżając na Kresy Wschodnie i na tak zw. Litwę Środkową w sprawach komisji do spraw lokomocji, zwróciłem się do pochodzącego z Wilna posła, by mnie wyswatał w tym mieście z jaką znajomą panną, któraby odpowiadała wymarzonemu i wymodlonemu przeze mnie od lat kilkunastu ideałowi. Odrzekł, że ma taką

nazwiskiem W. T. i miał mi dać jej adres. Zapomniał jednak i przed wyjazdem adresu jej nie dostałem.

W czasie pobytu w Wilnie wypatrywałem utęsknionym wzrokiem przyszłej towarzyszki życia, oczywiście bezskutecznie. Przejęty myślą o ideale, udałem się na mszę św. do Ostrej Bramy, w czasie której wyspowiadałem się na tę intencję. W parę dni potem po powrocie do Warszawy, w czasie posiedzenia sejmu, podbiegł do mnie poczciwy kolega z tym, że na galerii jest panna W. T. ze swoimi uczennicami. Poznałem ją wtedy.

Na rocznicę oswobodzenia Wilna w dniu 8 października 1921 roku pojechało nas kilku posłów. Odbyłem wówczas z panną W. T. dłuższą rozmowę. Dowiedziałem się, że od dłuższego czasu nosi się z zamiarem wstąpienia do Zgromadzenia Sióstr Nazaretanek, że zatem musi głęboko przemyśleć moją propozycję. Następnie powiedziała mi, że ma na wychowaniu chłopczyka paroletniego — sierotę wojenną, którego, jako 3-miesięczne dziecko, wzięła czasowo na wychowanie, ale wobec przepełnienia przytułku dla sierot, zatrzymała na stałe, uważając je wraz z bratem swym za własne dziecko. Wzbudziło to moje zaufanie i mocno od razu przywiązało mnie do niej.

Zgodę uzyskałem dopiero po roku, a drugi rok upłynął, zanim zdecydowała się na wyjazd do S. Chciała koniecznie ściągnąć mnie do Wilna. Wilno i duchową atmosferę tego miasta pokochałem bardzo, czułbym się tam dobrze, lecz czy wypadało mi porzucić podjęte prace w S.?

Narzeczona moja, decydując się na wyjazd do S., uczyniła wielką ofiarę, za co jej nie jestem zapewne w stanie odwdzięczyć się. Ślub nasz odbył się dnia 23 czerwca 1923 roku.

W 1920 roku wszedłem do zarządu Towarzystwa Przemysłu Ludowego, któremu przewodniczył Maksymilian Malinowski. Przez parę lat obcowaliśmy na gruncie T-wa. W tym okresie sprowadziliśmy do S. z T-wa 10 warsztatów tkackich przy pomocy sejmiku powiatowego i przyjęliśmy instruktora tkactwa, który uczył dziewczęta wiejskie wyrobu tkanin.

Latem 1922 roku zająłem się zorganizowaniem wyborów do sejmu z ramienia Polskiego Centrum. Mieliśmy biuro okręgowe w Ostrowcu. Objeżdżałem wszystkie trzy powiaty: iłżecki, opatowski i kozienicki, stanowiące okręg wyborczy. Nie miałem zamiaru kandydować do drugiego sejmu, mimo wysuwania mej kandydatury. Po pierwsze dlatego, że ciągnęła mnie realna praca do S., powtóre, że warunki pracy w sejmie nie dogadzały mi. Wyobrażałem sobie, że w sejmie będzie „kwiat narodu", choćby taki, jaki posyłaliśmy do dum rosyjskich. Tymczasem zobaczyłem, że dobór ludzi w sejmie nie odpowiada swemu szczytnemu stanowisku. Mimo wszystko jednak Sejm ten był lepszy od następnych. Było tam dużo poczucia i zrozumienia obowiązków, wiele chęci czynienia dobrze, na ogół dużo dobrej woli i sporo umysłów nieprzeciętnych. Ale ogrom zadań, jakie miał sejm do spełnienia, oraz warunki wewnętrzne i zewnętrzne utrudniały mu wypełnić wszystko dobrze. Rozumiem, że plewy mogą się zna-

leźć nawet i w bardzo oczyszczonym ziarnie, ale mnie to raziło. Winną była, moim zdaniem, nieodpowiednia na nasze stosunki kulturalno-społeczne, ordynacja wyborcza. Jako członek komisji konstytucyjnej, proponowałem w nowej ordynacji wprowadzić na pewien czas system wyborów pośrednich, jaki właśnie był wypróbowany z dobrym niezaprzeczenie skutkiem przy wyborach do dum rosyjskich. Zostałem jednak przez lewicę zakrzyczany, jako wstecznik.

Niemożność przeprowadzenia jakichś dobrych pomysłów. Wiele razy zwracałem się do marszałka Trąmpczyńskiego w takich razach. Odpowiadał mi: „Dobre to jest, ale ma pan większość?“ Człowiek był bezsilny! Chce coś dobrego zrobić, powołany jest do tego, a nie może. Innego porządku nie może być w sejmie demokratycznym, ale pocóż się borykać, kiedy na innym polu można prędzej zrobić to, co się chce.

Nie mogłem pogodzić się ze sposobem wynagradzania posłów. Dlaczego poseł ma pobierać stałą pensję, jak urzędnik! Diety, to jest wynagrodzenie za czas zajęty pracą, a nie za tytuł. Aby posłowie nie odbiegali za daleko od swojego środowiska, winni nie przerywać swej pracy zawodowej i gdy nie ma sesji, powinni pracować po dawnemu, a nawet winni dawać dobry przykład otoczeniu. Jestem przeciwny robieniu zawodu z poselstwa, jak to, niestety, wielu czyniło. Ja wolałem uczciwie, sumiennie i z widokami na lepszy użytek społeczny pracować, choćby ponad siły, choćby za jedną piątą tego, co brał poseł, ale mieć zadowolenie, że zapracowałem na to.

Mimo pociągających haseł i zasad, jakie głosiło „centrum“, mimo dobrego doboru ludzi na kandydatów — przepadliśmy z „kretesem“.

Wybory w 1922 roku, jak i w 1919 r., były swobodne i uczciwie przeprowadzone, a więc przejaw woli społeczeństwa był rzeczywisty. Stronnictwo Narodowe, socjaliści i ludowcy lewicowi uzyskali poparcie. Okazało się, że kierunki skrajne bardziej odpowiadały usposobieniu i dążeniom ówczesnego społeczeństwa; na umiarkowanie było jeszcze za wcześnie.

Po wyborach nastąpiło połączenie Zjednoczenia Ludowego z „Piastem“, co już poprzednio było moim pragnieniem. Brałem udział w zjeździe połączeniowym i zostałem wybrany do rady naczelnej Piasta.

Po rozwiązaniu się Sejmu Ustawodawczego powróciłem do S. Na specjalnie zwołanym posiedzeniu rady nadzorczej i zarządów wszystkich trzech spółdzielni (Kasa, Stow. Spożywców i Rolnik) zapytałem, czy życzą sobie, abym nadal pracował w spółdzielniach, na co jednomyślnie wyrażono zgodę, nie mając żadnych zastrzeżeń co do mojej osoby, mych przekonań i mego postępowania. Ponieważ Stowarzyszenie Spożywców i Rolnik miały już swoich kierowników, pozostało mi zatem prowadzenie Kasy Spółdzielczej. Dogadzało mi to nawet, gdyż przez Kasę można było więcej być użytecznym, zabiegając o fundusze obrotowe i pomagając przez udzielanie pożyczek w podnoszeniu i rozwijaniu gospodarstw członków.

Kasa przechodziła wtedy (koniec 1922) trudny okres. Był to czas spad-

ku marki i dochody jej, biorąc pod uwagę wartość nabywczą pieniądza, były bardzo mizerne. Wprawdzie poczciwi członkowie rady Kasy uchwalili mi coś ponad 200.000 marek miesięcznej pensji (brali widocznie pod uwagę pobierane przeze mnie ostatnio wysokie diety poselskie) i mieszkanie w domu Kasy z opałem i światłem, ja jednak pobierałem zaledwie połowę tej pensji, gdyż dochody nie wystarczały.

Aby przysporzyć dochód Kasie, postanowiliśmy wypuścić ogród, łąkę i dziedziniec (własność Kasy) na targowicę miejską, po pewnym czasie jednak okazało się, że to miejsce jest nieodpowiednie na targowicę i przeniesiono ją gdzie indziej.

Z okazji zmiany na stanowisku sędziego pokoju S., członkowie wysłali podanie do ludności gminy i do prezesa Sądu Okręgowego w Radomiu z prośbą o zamianowanie mnie sędzią, co jednak nie nastąpiło, gdyż były już wówczas dążenia do obsadzenia tych stanowisk przez fachowców, a później nawet przez prawników (zupełnie słusznie). Te zabiegi miejscowych spółdzielców zobowiązały mnie bardzo i wdzięczny im jestem, ale materialnego mego położenia wówczas nie poprawiły. Wypadało, po ludzku biorąc, starać się o pracę gdzie indziej, a przede wszystkim w myśl pragnień przyszłej towarzyszki życia przenieść się do Wilna. Tym pokusom opierałem się jednak, choć myślałem wtedy, że najcięższa praca jest w służbie idei. Poza sprawami Kasy prowadziłem rachunkowość w Stowarzyszeniu Spożywców. Jako dla kawalera wystarczało mi na utrzymanie to, co zarabiałem. Z niepokojem myślałem tylko, jak to będzie po ożenku.

W „Rolniku“ powołano mnie na przewodniczącego rady nadzorczej, w Kasie i Stowarzyszeniu Spożywców na przewodniczącego zarządów. Czynności te pełnię dotąd bez przerwy.

Rzuciłem myśl założenia w S. spółdzielni mleczarskiej, jako najskuteczniejszego środka do powiększenia dochodowości rolnictwa. Przystąpiliśmy do tej sprawy ostrożnie, rozumiejąc, że to wymaga przygotowań w postaci stopniowej zmiany w uprawie roślin i podniesienia stanu hodowli. Dopiero po dwóch latach projekt ten został urzeczywistniony.

W maju 1923 roku zostałem powołany przez sejmik iłżecki na członka wydziału powiatowego. Na stanowisku tym wytknąłem sobie za cel zmniejszenie biurokracji w samorządzie i stosowanie daleko posuniętej oszczędności w gospodarce powiatowej. Stan administracji powiatowej wówczas tak się przedstawiał: 39 urzędników we wszystkich działach administracji powiatowej i samorządowej, gdy za czasów zaborców było tylko 13. Oto jedna z głównych przyczyn naszej niedoli! Nadmiar obciążeń i zużywanie środków publicznych na przeważnie nieprodukcyjne wydatki!

Jak się tworzył, między innymi, biurokratyzm w samorządzie. Jakiś urzędnik ministerialny opracował instrukcję dla działu kasowo-rachunkowego, według której dział ten powinien zatrudniać 6 urzędników. Każdy miał wyznaczoną jakąś rolę, jak w sztuce. I tak zastałem w tym dziale 6-ciu

pracowników. Dało się z czasem tę ilość ograniczyć do połowy, a w całym biurze wydziału do 8 osób.

Lekarz i weterynarz powiatowy, poza pensją z kasy państwowej, pobierali drugie pensje w sejmiku. Stanowczo sprzeciwiłem się temu i pensje z samorządu im odjęto. Nie przychodziło to łatwo. Trzeba było staczać słowne boje ze starostami, a zwłaszcza z panem K., późniejszym wicewojewodą wołyńskim, człowiekiem dobrym, ale nadto przywiązującym wagę do środków, gdy ja znaczniejszą wagę zawsze i wszędzie przywiązuję do celów. Poprzednik jego Kw. bardziej uznawał prawo do stanowienia przedstawicieli ludności i praca z nim była łatwiejsza. Miał swe zdanie, ale gdy większość wydziału zajęła inne stanowisko, oświadczał zwykle: „panowie decydujecie". Gdybyż to taka „współpraca" była teraz i wszędzie!

Opuszczając powiat, starosta Kw. nadesłał mi pismo tej treści: „Odchodząc ze stanowiska starosty i przewodniczącego wydziału powiatowego tut. powiatu, uważam za swój miły obowiązek zwrócić się do WPana z wyrazami serdecznego podziękowania za jego współpracę na niwie samorządu. Wysoka obowiązkowość, osobiste zdolności i całkowite oddanie się sprawie dobra samorządu naszego wykazały, że wyżej stawia pan dobro ogólne, niż osobiste". A starosta K., mimo ciągłych ze mną starć, przedstawił mnie do odznaczenia i przyjechał do S. dekorować mnie srebrnym Krzyżem Zasługi.

Na mój wniosek została otwarta przez sejmik powiatowy kasa oszczędności, w której przez parę lat pełniłem obowiązki przewodniczącego zarządu, a obecnie jestem członkiem rady kasy.

W lipcu 1923 roku przyjechała z Wilna na stałe do S. moja żona. Przez miesiąc po ślubie ociągała się z przyjazdem, licząc, że może ja sprowadzę się do Wilna. Dostosowała się na wstępie do moich warunków materialnych, obywała się bez służącej, zajmowała się kuchnią, myła podłogę, nosiła wodę. Nie przychodziło jej to łatwo, bo po pierwsze jest wątła, a po drugie nie przywykła do takiej pracy, gdyż wychowała się w innych warunkach. Mnie przykro było narażać żonę na te trudy, ale nie stać mnie było wtedy na służbę, a przy tym nie chciałem hołdować zwyczajom pewnych warstw, że koniecznie musi być służąca, choć nie ma dzieci i gospodarstwa.

Jedno, co żonę pociągało do S., to możność zajęcia się gospodarstwem rolnym i hodowlą, do czego ma ogromne zamiłowanie. Gospodarując na paru morgach mej ojcowizny, dokupiła sobie w ostatnich czasach trochę ziemi w pobliżu posesji spółdzielni (moja ziemia odległa jest o parę kilometrów). Hoduje krowy, świnie i drób wszelkiego rodzaju. W zimie krowy owija starymi paltami, nie dowierza służącej, lecz sama podkarmia, poi, pasie na łące, równa nawóz w oborze. W uprawie roli i siewie roślin jest doskonale zorientowana, gdy ja wychowany w rolnictwie niewiele mam tego w głowie, widocznie mniej mnie to interesuje. Od stycznia 1924 r. objęła żona stanowisko nauczycielki w miejscowej szkole powszech-

nej. Po pracy w gimnazjum z uczennicami z domów inteligentnych uczenie tutaj dzieci na ogół prawie bez wychowania, w połowie żydów, nie umiejących jeszcze mówić do polsku, z koleżeństwem niezbyt zgranym, nie było ani przyjemne, ani pociągające — było koniecznością wobec niedostatecznego mego uposażenia. Dla mnie praca żony w szkole była i jest nadal niepokojącą, gdyż lekarz uznał, że nie powinna pracować, zwłaszcza w warunkach trudnych i niehigienicznych. Bogu dzięki, dotąd jakoś wytrzymuje, choć bardzo ciężko jej jest i rada by wyzwolić się z tych trudów (np. obecnie ma w klasie, gdzie jest wychowawczynią, 85 dzieci).

Rozterką dla mnie w tych warunkach były propozycje i sposobności otrzymania pracy lepiej płatnej i z lepszymi wynikami na przyszłość. A więc: proponowano mi w tych latach objęcie pracy w związku rewizyjnym w Warszawie; ofiarowywano mi stanowisko dyrektora Kasy Powiatowej z dwukrotnie wyższym wynagrodzeniem; była sposobność objęcia kierownictwa spółdzielni spożywców w Wierzbniku i Ostrowcu na znacznie lepszych warunkach. Nie decydowałem się na żadną z tych propozycyj w imię zasady wytrwania na obranej drodze i niepowodowania się w życiu materialnymi względami.

W 1924 roku, dzięki uporządkowaniu stosunków pieniężnych przez ówczesnego ministra skarbu Władysława Grabskiego t. j. wprowadzeniu złotego, zestawiłem, w myśl odnośnych przepisów, bilans złotowy Kasy z intencją, aby możliwie korzystnie przeliczyć udziały i wkłady. Dzięki nabyciu nieruchomości i pobudowaniu domu i budynków pod młyn, mogliśmy przeliczyć wkłady rublowe sierot, uchodźców wojennych i udziały tych członków, którzy w okresie spadku pieniądza nie korzystali z pożyczek, na 100%, a pozostałe wkłady i udziały na 20%, gdy żadna z sąsiednich kas spółdzielczych nie dała nic. Zobowiązanie Kasy z tego tytułu wynosiło ponad 45 tys. złotych. Na skutek mych wniosków na dorocznych zjazdach Związku Rewizyjnego Spółdzielni Rolniczych i Centralnej Kasy uzyskaliśmy w 1928 roku ulgowy kredyt z Banku Rolnego na wypłatę zwaloryzowanych wkładów w kwocie 30 tysięcy złotych, co pozwoliło Kasie bez uszczuplenia posiadanego majątku wywiązywać się z zobowiązań.

W czerwcu 1924 roku Stowarzyszenie Spożywców otworzyło drugą filię we wsi kościelnej R., a w październiku tegoż roku uruchomiło piekarnię spółdzielczą, korzystając z pomieszczenia w domu Kasy. Gospodarz spółdzielni p. L. dążył wówczas do urządzenia masarni, wysłaliśmy nawet na praktykę do spółdzielni w Pabianicach jednego z pracowników, skończyło się jednak na piekarni. Cena chleba spadła od razu o 8 gr. na kilogramie (z 50 gr. na 42). Po paru tygodniach miejscowy piekarz wystąpił do nas z propozycją sprzedaży domu i urządzenia piekarni. Z uwagi na lichy stan budynków i wysoką cenę nie poszliśmy na kupno.

W kwietniu 1925 roku Stowarzyszenie Spożywców nabyło w O. dom od żyda na pomieszczenie istniejącej tam filii. W domu tym urządzono czytelnię dla członków, która jednak nie miała większego powodzenia.

W tym czasie nadarzyła się sposobność nabycia w Ostrowcu urządzenia mleczarni, sprzedawanego za zaległe podatki. Na razie z funduszów „Rolnika“ i Stow. Spożywców nabyto je za sumę około 700 zł. To przyśpieszyło zorganizowanie spółdzielni mleczarskiej. Pomieszczenie przygotowała Kasa w swych piwnicach (lochach) po byłym zamku Oleśnickich, wydatkując na przeróbki i remont około 2.500 złotych. 18 maja 1925 roku mleczarnia rozpoczęła działalność.

Do zarządu wybrano mnie i pana W. Wprawdzie nie mieliśmy na to czasu, nie mogąc poradzić sobie z dotychczasowymi obowiązkami, ale trudno było uchylać się od pracy w tym „beniaminku“. Ja miałem przewodnictwo w zarządzie, kasę, korespondencję, dział handlowy, pan W. rachunkowość. Na mleczarza pozyskaliśmy dobrego fachowca pana W. P., który przed wojną prowadził ziemiańską parową mleczarnię w Ostrowcu. Objeżdżał on z członkami rady okoliczne wioski, wygłaszając przemówienia na temat mleczarstwa i zachęcając do dostawy mleka.

Na początku, jak to zwykle bywa, było dużo zainteresowania mleczarnią. Pobliscy rolnicy prawie wszyscy dostarczali mleko; z kilku dalszych wiosek dowożono mleko kolejno lub przez umówionego dostawcę. Rozpoczęto na szerszą skalę uprawę buraków pastewnych. Wiosną 1926 roku sprzedaliśmy kilka metrów nasienia buraczanego. Chcąc udogodnić dalej położonym wioskom korzystanie z mleczarni, założyliśmy filię w O. i R. Planowaliśmy sobie, że przy dalszym rozwoju mleczarstwa w okolicy pobudujemy odpowiedni budynek z parowymi urządzeniami. Niestety, nie szło wszystko według naszych pragnień! W S. niektórzy zaczęli wyłamywać się z solidarności organizacyjnej, korzystając z usług odbiorców - Żydów. Filie, na które liczyliśmy najbardziej, jako na będące w wioskach nie mających więcej odbiorców mleka, zaczęły zawodzić. Latem szło jako tako, ale zimą dostawa była tak mała, że trzeba było przerywać odbiór mleka w pewnych okresach.

Była w tym nasza wina, że zbytnio pośpieszyliśmy się z rozwojem mleczarni, ale większa mleczarza, który określał podstawy dla istnienia filii według ilości zagonów rolniczych, a nie według zawartości obór w tych zagonach. W takim np. R., wsi z przyległościami dwa razy większej od S., mleczarz zażądał wstawienia 600-litrowej wirówki, gdyż obliczał, że tam będzie dużo mleka. Zakupiliśmy wirówkę za 1.500 złotych, a po paru miesiącach trzeba było filię zamknąć. Było tam wprawdzie latem stukilkunastu dostawców mleka, dostarczających po parę litrów, ale zimą liczba osób spadła do kilkunastu, a ilość mleka do kilkudziesięciu litrów. Mieszkają tam bowiem, z małymi wyjątkami, małorolni, posiadający przeważnie po jednej lub dwie krowy słabo odżywiane.

Jesienią 1926 roku pan P. przeszedł do związku na lustratora, a w zamian przysłano nam Czecha, pana J. G., specjalistę serowara. Rozpoczęliśmy produkcję sera „trapistów“, bardzo dobrego i mającego pokup, ale wymagającego dużej konserwacji, a więc kredytu obrotowego, który czer-

paliśmy z Kasy. J. G. był pracowity, żądał dalszego rozszerzenia działalności mleczarni, więc znów otworzyliśmy 2 filie: w P. i K. Opieraliśmy się teraz na ilości mleka, ale to, co nam podano, nie zgodziło się później z rzeczywistością. W braku środków na odpowiednie urządzenie filii (bez lochu), śmietanka dostarczana była na pół zmaślona, psuła więc nam jakość masła, co wpływało obniżająco na wypłaty. Odsetki od długu na maszyny i fundusz obrotowy wskutek wyrobu serów wpływały w dużym stopniu na koszty produkcji, co razem zniechęcało dostawców i spowodowało, że zaczęli stronić od mleczarni. Okolicznością niesprzyjającą była również niewielka odległość Ostrowca — ośrodka przemysłowego, z dużym bardzo zapotrzebowaniem na nabiał, zwłaszcza po wykończeniu drogi bitej, łączącej naszą okolicę z miastem. Gospodynie miały zwyczaj jeżdżenia na targ z nabiałem, a oprócz tego w S. kilkanaście rodzin polskich utrzymuje się z handlu nabiałem, skupując po wsiach masło. Przy tym mleczarz zaczął opuszczać się w pracy.

Lustracja związkowa w sierpniu 1927 roku wykazała ponad 2.000 złotych straty obrotowej. Tak mię to zmartwiło (dotychczas żadna spółdzielnia miejscowa nie wykazywała strat), że z miesiąc nie mogłem sypiać i odczuwałem ból w sercu. Zwolniliśmy mleczarza, zwinęliśmy wszystkie filie, w mleczarni pozostała tylko jedna pracownica. Musiałem jej pomagać w przyjmowaniu mleka, robić próby, prowadzić rachunkowość techniczną, zajmować się ekspedycją masła, nadal prowadzić kasę i t. d., aby tylko nie dopuścić do upadku mleczarni. Długu było 700 złotych. Serów mleczarz pozostawił w konserwacji parę metrów — a jak się to zepsuje? Rozpacz mię na tę myśl ogarniała. Będąc w Warszawie badałem sposoby obchodzenia się z serami z zakładach Związku Spółdzielni Mleczarskich i Jajczarskich, radziłem się fachowców związkowych, nabyłem książkę o serowarstwie i dzięki Bogu wybrnąłem z kłopotu serowego. Dojrzały pomyślnie, wyprzedały się, dług się zmniejszył.

Spowodowało to zobojętnienie u członków mleczarni. Zaledwie niewielka garstka pozostała wierna. Dostawa mleka spadała w pewnych okresach do stu kilkunastu litrów dziennie. Wypadało zamknąć mleczarnię, gdyż całkiem nie opłacało się jej prowadzić, lecz zdecydowani byliśmy nie dopuścić do tego, bo wierzyliśmy w jej odrodzenie. Trudów i kłopotów miałem bez miary. Zajmując się sprawami mleczarni w ciągu 5-ciu lat, nie brałem ani grosza wynagrodzenia. Przeciwnie, dołożyłem sporo z racji pomyłek rachunkowo-kasowych przy nadmiarze pracy.

W 1925 roku zostałem powołany przez powiatową radę szkolną na członka dozoru szkolnego, przy czym wybrano mnie na przewodniczącego tego dozoru.

Latem 1926 roku Stowarzyszenie Spożywców nabyło place pod budowę domów: w R. oraz w S. dużą posesję po zburzonym domu, przylegającą do posesji Kasy. Obydwa place kosztowały 7.600 złotych, które wypożyczyliśmy w naszej Kasie.

W R. planujemy pobudować dom, w którym prócz filii Stowarzyszenia mieściłaby się filia mleczarni oraz gospoda - świetlica. W S. zachodzi potrzeba budowy dużego domu, przewidujemy bowiem wznowienie działu łokciowego, wprowadzenie żelaznego oraz urządzenie masarni i gospody. Zajdzie także potrzeba budowania na tym placu piekarni, gdyż obecna jest za szczupła.

Jesienią tegoż roku uruchomiliśmy trzecią filię we wsi K. K., bardzo dużym skupisku osiedli, dającym, jak się zdawało, widoki na rozwój. Zawiedliśmy się srodze. Po niespełna dwóch latach trzeba było ją zwinąć, gdyż nie opłacała się. Ogół mieszkańców nie przejawiał zainteresowania się sklepem spółdzielni i nie popierał go dostatecznie, kupując nadal w sklepach żydowskich. Zapisało się dosłownie 3 członków: ksiądz, nauczyciel i drobny rolnik. Zarząd Stowarzyszenia nie przygotował tam należycie gruntu, co można było osiągnąć przez częste urządzanie zebrań, uświadamiających mieszkańców o celach i zadaniach spółdzielni. Jeśli chodzi o mnie, to bynajmniej nie zrzucam z siebie odpowiedzialności moralnej za to niepowodzenie — rozumiałem potrzebę uświadomienia, ale, niestety, ogrom prac biurowych nie dawał mi możności zająć się wówczas, tak zresztą jak i teraz, tą podstawową pracą.

Myślę często z wielkim żalem, czy człowiek osiągnie w znaczniejszej części cel, który mu przyświeca i dla którego się poświęca, jeśli czas poza posiłkiem i krótkim snem, będzie miał w $^3/_4$ zajęty na pracę biurową? Czy zdołamy dorównać (a wszak mamy za cel wyprzedzić!) handlowi prywatnemu, który zapewne więcej, jak $^3/_4$ czasu poświęca na obcowanie z towarem, jego zródłem zakupu, ceną, zbytem, a nie z księgami handlowymi i papierami. To jest złą stroną wiejskich średnich spółdzielni — nie stać je na księgowego, kasjera i t. p., choćby w jednej osobie.

Tych trudności nie da się dotąd uniknąć, dopóki drobny rolnik nie zrozumie swego obowiązku i stanowiska obywatelskiego i społecznego. Ale to nie od niego tylko zależy. Trzeba mu, jak naturze wiosną — słońca. Tym słońcem w mym oczekiwaniu miała być wolność i niepodległość ojczyzny. A co jest? Na wsi zima i mroki...

Jesienią 1926 roku spaliła się nam wskutek zabawy dzieci z ogniem stodoła pełna zboża. Trzeba zdarzenia, że w rok po odbudowaniu wicher rozwalił ją wraz z murowanymi słupami. Ucierpiało wtedy parę sąsiednich stodół.

W 1927 r. skończył się okres czynności Sejmiku i Wydziału Powiatowego. Do nowego Wydziału nie miałem chęci wchodzić, zwłaszcza, że dobierano tam ludzi według nowej „orientacji“ państwowej. Powołano mię do komisji rewizyjnej, w której pod światłym i doświadczonym przewodnictwem ks. kanonika E. Ch. w ciągu 6-ciu lat staliśmy na straży racjonalnego szafowania groszem publicznym.

Za przykładem góry i z pobudek politycznych wydział zaczął „robić“ młodych emerytów. Bez skrupułów chcieli obciążyć sejmik na 24 lata cię-

żarem emerytury, co wynosiłoby razem ponad 80 tysięcy złotych! I to jakby nic! Dla dogodzenia ambicjom jednostek!

Trzeba się dziwić potulności chłopów, których sporo jest w sejmiku, a czasami po kilku ich siedzi w wydziale, że godzą się na takie poczynania.

Ja sam niepokoiłem się o swe stare lata. Dużo troski o to miałem po zwolnieniu się z kolei i pozbyciu się przez to emerytury oraz po zlikwidowaniu Towarzystwa Emerytalnego pracowników prywatnych w Warszawie, do którego należałem. Uspokoiło mię dopiero wprowadzenie ubezpieczeń emerytalnych, doceniam więc w całej pełni znaczenie i potrzebę ubezpieczenia dla najemnych pracowników. Ale nie pogodzę się nigdy z tym, co w tej dziedzinie dzieje się w Polsce. U nas, gdy tyle potrzeb publicznych woła wprost o wykonanie (oświata, opieka społeczna, osuszanie mokradeł, drogi i t. p.), wydaje się corocznie, o zgrozo! ponad 160 milionów złotych na emerytury z podatków tak zubożałego społeczeństwa. A koleje, poczta i monopole coś drugie tyle dają dla swych emerytów. Boli wprost serce myśleć o tym, że za te 160 milionów można by corocznie pobudować 8.000 kilometrów dróg (a gospodarczym sposobem przez gminy może dwa razy tyle), lub kilkanaście tysięcy szkół, lub osuszyć bagna pińskie i osiedlić na nich tysiące bezrobotnych chłopów, uregulować Wisłę i inne rzeki, osuszyć podmokłe pola i tak w ciągu ostatnich dziesięciu lat można by zmienić oblicze Polski, usunąć bezrobocie i wyzbyć się tych młodych „dziadów", których tyle narobiono w wolnej Polsce...

Ale u „góry" inaczej się zapatrują. Tam jest kuźnia bezrobotnych, oczywiście dobrze zaopatrzonych z funduszów publicznych. Gdyby to byli sami starzy ludzie lub chorzy, można by łatwiej to przyjąć. A tu zapewne ze $^3/_4$ to w sile wieku ludzie, którzy winni pracować nad podniesieniem Polski. Wiem np. że w sąsiednim miasteczku, gdzie od kilkudziesięciu lat jest czynne seminarium nauczycielskie i obywatele tamtejsi mieli możność w tym kierunku kształcić synów, zamieszkuje obecnie 33 emerytów, z których tylko dwóch ma wysługę lat, a 31 osób, to są w średnim wieku ludzie. Czy to nie zgroza! Mają zwykle trochę ojcowizny, pobierają emeryturę i żyją chyba na ogół bezczynnie i nieźle kosztem nędzy rolnika, rzemieślnika, kupca.

A jak to było u zaborców? Miałem wuja nauczyciela, który po wysłużeniu lat chciał nadal pracować i był nauczycielem jeszcze przez parę lat, aż dopiero choroba zmusiła go opuścić stanowisko i korzystać z emerytury. A obecnie? Moja siostra cioteczna po 10-ciu latach pracy w szkole, nie chcąc zdawać egzaminów dodatkowych, w wieku około 30 lat, przeszła na emeryturę i pobiera, mimo wyjścia za mąż, emeryturę ze Skarbu. A jeśli tak, co daj jej Boże, pożyje ona do sędziwego wieku? Ile to Państwo będzie kosztować?

Albo jeszcze takie porównanie. W Rosji urzędnik pobierał pensję zasadniczą i dodatki t. zw. „kwartirnyje", „stołowyje", „obmundirowocznyje"

i. t. d. Gdy przechodził na emeryturę dostawał tylko zasadniczą pensję, dodatki odpadały. I słusznie. Dla staruszka, który normalnie wychował dzieci, mniejsze wynagrodzenie w zupełności mogło wystarczyć. A w Polsce? Mój brat cioteczny przeszedł w wieku odpowiednim na emeryturę i otrzymuje ostatnio pobieraną pensję, czyli ponad 500 złotych miesięcznie!

Co to wszystko znaczy? Do czego my idziemy? Toć pszczoły swoich trutni wyzbywają się, a tu dziesiątki tysięcy, a może więcej nawet tworzy się podobnych istot. Ich nie potępiam. Nie są, z małymi wyjątkami, winni temu, chcieliby zapewne pracować. Ale wina straszna i ciężka jest tych, którzy groszem publicznym szafują niepotrzebnie, bez korzyści ogólnych dla kraju.

Wiosną 1927 roku odbywały się wybory do rad gminnych i na wójtów. Lista, której ja patronowałem, nie uzyskała większości wskutek tego, że po 1-sze w odezwie przedwyborczej wskazywaliśmy wyraźnie cele gospodarcze samorządu, jak: budowa dróg, szkół i t. p., co miało wywoływać u gminiaków obawy nadmiernych ciężarów, a po 2-gie — lista nasza była wszechstronna, gdy przeciwna miała charakter klasowy, chłopski i ta uzyskała większość.

Jesienią 1927 roku nastąpił rozłam w „Piaście“ wskutek postępku Bojki. Szykowano się do nowych wyborów sejmowych. Z naszego zarządu powiatowego dali się przeciągnąć prezes, leśniczy państwowych lasów R., D., G. i chłop Dr. Ci wszyscy przed rokiem przyjmowali owacyjnie Witosa w Iłży, dziś wyparli się go. Zostałem prawie osamotniony.

Postępek przyjaciół politycznych nie osłabił mi ducha. W parę tygodni zwołałem zjazd powiatowy, na którym dokonano wyboru zarządu, przy czym mnie powierzono obowiązki przewodniczącego. Wyłoniono kandydatury do sejmu i rozpoczęliśmy robotę przedwyborczą łącznie z Chrześcijańską Demokracją. Proponowanej mi kandydatury nie przyjąłem.

Przed zjazdem przyjechał do Iłży umyślnie starosta K., aby odwieść mnie od organizowania osobnych wyborów, zalecając pójście śladami R., D., G. i innych oraz obiecując miejsce na liście sanacyjnej. Odrzekłem mu, że poprzednie posłowanie moje zobowiązuje mnie wobec ludności powiatu do tego, abym nie zawiódł ich zaufania w każdej sprawie. Odjechał z niczym.

Wkrótce doszły mnie wiadomości, że zostałem odznaczony, obok D. i G., Srebrnym Krzyżem Zasługi. Zrodziła się we mnie wątpliwość, czy to za istotne jakieś zasługi, czy też ze względów politycznych. Uważano nas trzech za mających wpływy wśród chłopów i robotników i zapewne te drugie powody weszły w grę. Bo dlaczego nie odznaczono na przykład księdza Ch., twórcę gimnazjum polskiego w W. w okresie rusyfikacji, co jest zasługą niewątpliwą i niepodlegającą zakwestionowaniu. Takie zasługi, moim zdaniem, mogłyby być wyróżnione!

Przed wyborami zjechali się do nas na wiec kandydaci D. i ś. p. C.,

przyszły minister oświaty. Mimo krasomówstwa obydwóch i osłony patrolu konnej policji, wywodami swymi położyłem ich, jak to się mówi, na obie łopatki. Nie dano im potem mówić i odeszli, jak zmyci. Wiec przerwano. D. udał się z żalami na mnie do starosty, który, jak mi mówiono, oświadczył, że każe mnie aresztować. Ale, gdy zapewne w sumieniu swym rozważył, że chyba nie jestem gorszy obywatel od D., rozkazu nie wydał, gdyż w polskiej kozie nie siedziałem. C. wystosował list na 8 stronach do szwagra D. w S., gdzie gościł, z wylaniem żalów i pouczeń politycznych pod moim adresem, które mnie nie przekonały. List ten doręczono mi i mam go w przechowaniu.

Wybory nie poszły nam pomyślnie. Liście naszej zabrakło sto kilkadziesiąt głosów tylko. Połączenie z Chrześć. Demokracją okazało się niefortunne. Chłopi z robotnikami, to tak jakoś na wsi nie wydawało się naturalnym. Oddawali głosy przeważnie na Wyzwolenie i Stronnictwo Chłopskie. Ja miałem wiele zebrań w iłżeckim, trochę w opatowskim, w niektórych miejscowościach rozwiązywano mi zebrania, gdy zacząłem poddawać krytyce sanację. Wydałem z własnych środków ponad 100 złotych na rozjazdy.

Powołany zostałem na członka rady nadzorczej Związku Spółdzielni Mleczarskich i Jajczarskich, przewodniczącym której wówczas był inż. Zygmunt Chmielewski. Usunięcie ze stanowiska dyrektora Związku zasłużonego działacza w spółdzielczym handlu nabiałowym spowodowało wycofanie się z rady inż. Z. Chmielewskiego, zniechęciło i mnie również, tak że prosiłem o niestawianie mojej kandydatury na następny okres.

W grudniu 1928 roku starosta K. z okazji zjazdu sejmiku w Iłży oświadczył mi, że wybiera się do S. dla udekorowania mnie nadanym srebrnym Krzyżem Zasługi i że chce to uczynić wobec zgromadzonych członków miejscowych spółdzielni i innych organizacji. Odrzekłem mu, że jestem człowiekiem skromnym i takiej „wystawy“ nie chciałbym ze siebie robić. Przybył 3 lutego 1929 r. i następnego dnia miał dokonać tego aktu.

Choć miałem wątpliwości co do intencji tego nadania, trudno mi było zdecydować się na odmowę. Rozmyślałem nocą nad tym, postanowiłem odznaczenie przyjąć, traktując to, jako następne po posłowaniu zobowiązanie do służby publicznej. Byłem rano na mszy św., wyspowiadałem się na tę intencję, następnie udałem się do gminy, gdzie w niewielkim gronie osób starosta odczytał dyplom z dnia 18 lutego 1928 roku z podpisem prezesa rady ministrów, według którego odznaczenie nadano mi „za zasługi na polu pracy samorządowej, spółdzielczości i pożarnictwa“.

Następnie w przemówieniu nadmienił o szczegółach mej pracy społecznej. Odpowiedziałem, że jako szczery demokrata i republikanin, nie uznaję tego rodzaju odznaczeń, wychodząc z założenia, że jedynie najlepszą nagrodą dla człowieka winna być pochwała własnego sumienia, odznaczenie zaś może psuć słabsze charaktery, zradzając mniemanie o swej wyż-

szości. Chcąc jednak być posłusznym rządowi odrodzonej ojczyzny, odznaczenie przyjmuję...

Jeden z obecnych powiedział mi potem, że w pierwszej części mego przemówienia miał obawę, że orderu nie przyjmę.

Orderu nie przypinam nigdy do piersi, gdyż krępowałoby mnie to. Wyznaję zasadę, że czyny dobre zdobią człowieka, a nigdy ubiór czy odznaki.

W dniu 19 marca 1929 roku przybyła nam druga dziewczynka, której nadaliśmy imię Danuta-Józefa. Jest podobna do matki z rysów twarzy, a, jak się okazuje obecnie, i z usposobienia. Dziecina ta wiele mi sprawiła i sprawia dotąd radości i osłody w trudach życia. Ma dobre serce, jest rozkoszna, rozśpiewana, deklamująca, zawsze czynna w świecie swych zabawek. Jest niezwykle wrażliwa, przeczulona, ma ogromną pamięć (odtwarza z transformacją nawet raz, czy choćby dwa razy tylko słyszane dziecinne sztuczki teatralne, śpiewki, deklamacje), tak że chwilami niepokoi nas ten jej wysiłek umysłowy. Ze starszą kochają się, ale często mają i spory o zabawki.

Od kwietnia 1929 r. musiałem objąć zarządzanie Spółdzielnią Spożywców. Dotychczasowy gospodarz p. L. zrzekł się prowadzenia spółdzielni w związku z żądaniem kurii biskupiej w Sandomierzu, aby oddał dla ks. wikarego mieszkanie w domu Stowarzyszenia, które zajmował. Ujął się niepotrzebnie ambicją i przypisał, a może nawet i nadal w tym trwa, że między innymi osobami i ja byłem temu winien. Zupełnie niesłusznie.

Ja tylko stawiałem i zawsze się staram stawiać interes spółdzielni wyżej od własnego i osób pracujących w nich. Władze kościelne, przedłużając nam parokrotnie dzierżawę placu pod domem, miały prawo, gdy zaszła istotna potrzeba, postawić taki warunek przy ponownym przedłużeniu dzierżawy.

Ponieważ prowadziłem już kasę i mleczarnię, naprawdę bezsensownym było branie na swe barki jeszcze jednego gospodarstwa (4 sklepy i piekarnia). Nie mogłem w tym położeniu uchylić się i spróbowałem „zmierzyć siły na zamiary". Przetrwałem tak z górą rok, ale żałuję trochę, żem wziął na ambicję. To był bodaj najcięższy okres w mojej pracy, podobny do lat 1917 i 1918. Tylko człek był wówczas młodszy i działał w promieniach nadziei i wizyj radosnych zmartwychwstania ojczyzny. A teraz już zachodziły mroki kryzysu i w duszę wsiąkała większa gorycz rozczarowania...

W Kasie trwała wtedy wzmożona praca—resztki okresu „radosnej twórczości". Mleczarnia, wobec wysokich cen nabiału, zaczęła się dźwigać z upadku. Piekarnia, dzięki radom instruktora Związku Rewizyjnego, weszła na drogę wymiany zboża na chleb. Rolnik przyjmował zboże, wydając kartki na chleb, otrzymywany w Spółdzielni Spożywców. Przybrało to od wiosny 1929 roku takie rozmiary, że piekarnia była czynna dzień i noc bez przerwy, nie mogąc nadążyć w zapotrzebowaniu. Dawaliśmy za 100 kg żyta — 90 kg chleba bardzo smacznego. Już świtał mi plan budowy

gmachu piekarni i dostarczania samochodem okolicy świeżego chleba, gdy tak dalej będzie szło. Na razie rozbudowaliśmy piec, robiąc dwa paleniska.

Po roku zamiana osłabła z następujących powodów: 1) przybyły na lustrację piekarni ze Związku „Społem“ instruktor piekarnictwa wyliczył nam, że za dużo dajemy tego gatunku chleba, że to nie opłaca się i trzeba zmienić stosunek, a mianowicie 80 za 100. Gdyśmy to zastosowali, część rolników odpadła, uważając widocznie, że im znów nie opłaca się taka zamiana, 2) nadszedł kryzys, ludzie zaczęli się ograniczać nawet w spożywaniu chleba. Mówili niektórzy: „chleb jest za dobry, dzieciaki i starsi w mig bochenek pochłaniają, często trzeba wymieniać, a tu na zboże tyle potrzeb patrzy; stary, czerstwy bochen znacznie dłużej na stole leży“. Oto rzeczywistość polskiej wsi.

Wymiana dotąd trwa, ale znacznie zmniejszona. Może i moja wina, że tej sprawie nie mogłem się więcej oddać, bardziej czuwać nad produkcją, zająć się propagandą. Ta nieszczęsna biurowość... Nie mając wówczas odpowiedniej pomocy, gdyż praktykant M. C. poszedł do wojska, męczyłem się z tym wszystkim okropnie. Podtrzymywałem wytrwałość różnymi naturalnymi zabiegami, jak: spacer, choć paruminutowy, obmywanie zmęczonej głowy od bólu zimną wodą lub rosą na spacerze, gimnatyka głowy i t. p. Sypiałem zaledwie po parę godzin na dobę.

W tym nawale pracy wyłoniłem projekt połączenia miejscowych czterech spółdzielni w jedną organizację, dla ułatwienia pracy. Związek rewizyjny wydał opinię, że można by to zastosować do Spółdzielni Spożywców i Rolnika, natomiast Kasa i Spółdzielnia Mleczarska nie mogą być połączone z uwagi na stopień odpowiedzialności członków i odmienny charakter zadań. Na miejscu też natrafiłem na pewne przeszkody i projekt nie doszedł do skutku. Myślę jednak nadal o nim i chciałbym go urzeczywistnić.

Ze Stowarzyszenia Spożywców miałem wynagrodzenia zaledwie 20 złotych miesięcznie. Taką pensję określił lustrator, ponieważ Spółdzielnia miała wysokie koszty handlowe i nadmierne zadłużenie (na place i fundusz obrotowy). Nie miałem zwyczaju upominać się o wyższe wynagrodzenie, choć czułem, że nie jest to słuszna zapłata.

W dniu 11-go listopada 1929 roku rada główna Związku Spółdzielni Rolniczych przyznała mi, obok kilku jeszcze spółdzielców z ks. prałatem Blizińskim na czele, list pochwalny „za trudną pracę nad kulturalnym i gospodarczym podniesieniem ludu wiejskiego“. Jednocześnie spółdzielnia nasza „Rolnik“ otrzymała dyplom uznania. To wyróżnienie potraktowałem znów jako zobowiązanie do bardziej jeszcze wydatnej pracy na niwie spółdzielczej.

W styczniu 1930 roku odbył się nadzwyczajny zjazd delegatów związku „Społem“, zorganizowany w celu usunięcia tarć, jakie zaistniały pomiędzy częścią rady nadzorczej i zarządem związku na tle politycznym.

Tarcia o tym charakterze trwały od czasu połączenia się „Społem“ ze Związkiem Robotniczych Spółdzielni Spożywców i przybierały gorszące formy w czasie zjazdów dorocznych. Towarzysze z pod znaku P. P. S. chcieli narzucić swą przewagę w Związku i uczynić go swą wyłączną domeną. Dziwne stanowisko „monopolistów“ demokracji!

Metody postępowania socjalistów w okresie „wiosny ludu“ po 1905 roku, jakie obserwowałem wówczas w Ostrowcu zrażały mnie do nich, choć doceniałem znaczenie ich walki o prawa ludzkie dla świata pracy. Przy zetknięciu się w Sejmie Ustawodawczym z przywódcami P. P. S., nabrałem do nich szacunku, a nawet do niektórych szczerej sympatii. Oceniłem należycie patriotyzm Napiórkowskiego, który bodaj pierwszy z niewielu posłów poszedł do ochotniczej armii w 1920 r. i zginął w obronie Warszawy. Na zjeździe w stanowczy sposób sprzeciwiałem się mieszaniu polityki do organizacji gospodarczej, jaką jest „Społem“. Lista organizatorów zjazdu uzyskała przewagę; ja wszedłem, jako zastępca, do rady związku.

W maju 1930 zrzekłem się, z pewną przykrością, godności członka zarządu, przewodnictwa i kasjerstwa w Spółdzielni Mleczarskiej, nie mogąc poradzić sobie z nadmiarem pracy i obowiązków; rozumiałem również potrzebę wciągnięcia do pracy i wyrobienia się innych. Mleczarnia wydobyła się już z trudności: dostawców przybywało, produkcja wzrosła, zadłużenie zmniejszało się. Mogłem więc odejść. Później powołano mnie do rady nadzorczej mleczarni.

Jesień 1930 roku przyniosła przykre i bolesne sprawy — uwięzienie w Brześciu polityków opozycyjnych. Czy jest do pomyślenia, aby tacy ludzie mogli być przestępcami, jak np. Witos, któremu nawet Naczelny Wódz we wspomnieniach swych o wojnie w 1920 r. przyznaje zasługę, że w Polsce nie wybuchła wówczas rewolucja, gdyż na czele rządu stali chłop i przedstawiciel robotników Daszyński.

Okręgowy Komitet Wyborczy „Centrolewu“ w Ostrowcu wysunął moją kandydaturę do sejmu. Nie przyjąłem, gdyż nie miałem wiary, że w tych stosunkach sejm może spełnić swe zadania. Poco się borykać w takiej atmosferze!...

Byłem wyznaczony na męża zaufania listy Centrolewu do komisji wyborczej w naszej gminie. Gdy stawiłem się z legitymacją, przewodniczący komisji, miejscowy aptekarz M., oświadczył mi, że jest już zapisany, jako mąż zaufania tej listy, niejaki C., agitator B. B.; okazał mi przy tym legitymację z podpisem pełnomocnika listy — taką samą, jaką ja miałem. Zdumiałem się! Odwołałem się natychmiast telefonicznie do komisarza wyborczego. Udało mi się wyjednać, że był na komisji zastępca M.

Po zakończeniu głosowania udałem się do lokalu komisji i przypomniałem zastępcy, by prosił o wpisanie do protokółu słowami ilości oddanych głosów na poszczególne listy. Usłyszał to przewodniczący i polecił dyżurnemu posterunkowemu, aby mnie usunął z sali. Mimo towarzyskich

stosunków i wspólnej pracy w organizacjach społecznych, tak postąpić mógł „bezpartyjny“ człowiek.

W marcu 1931 roku brałem udział w zjeździe połączeniowym trzech grup ludowych w jedno Stronnictwo Ludowe. Kilkunastoletnie dążenia moje ziściły się nareszcie. Wszedłem jako zastępca do rady naczelnej.

W tym czasie z ramienia dozoru szkolnego byłem u ministra robót publicznych Neugebauera z podaniem o przyznanie pożyczki na budowę zniszczonej w czasie działań wojennych szkoły w S. Nie obiecywał, tłumacząc się brakiem środków, ja jednak nalegałem choć o parę tysięcy. Wyszedłem ze słabą nadzieją na uzyskanie cośkolwiek. Po paru tygodniach otrzymaliśmy pismo, że przyznano na ten cel aż 15.000 złotych. Zdumiony byłem takim obrotem sprawy. Wkrótce potem Ministerstwo Robót Publicznych zostało skasowane, zastosowano oszczędność na oświacie i pieniędzy dotąd nie otrzymaliśmy.

W kwietniu 1932 roku po śmierci przewodniczącego rady nadzorczej Związku „Społem“, ś. p. Siwika, powołano mnie na członka rady (zastępcy). Na zjeździe Związku w Kielcach tegoż roku zgłosiłem między innymi wniosek o przystąpienie do prac nad uruchomieniem cukrowni związkowej. Sprawa ta była zresztą nieraz poruszana przy różnych sposobnościach. Wniosek ten został przez radę na razie uznany za niemożliwy do wykonania. Myśl ta jednak coraz głębiej przenika i ostatnio na posiedzeniu rady w Gdyni, z okazji poświęcenia nowowybudowanych magazynów Związku w porcie gdyńskim, prezes Rapacki wyłonił projekt opodatkowania się spółdzielni drobnym promillem od rachunków cukrowych na fundusz budowy czy zakupu cukrowni. Myśli również o wypuszczeniu specjalnych obligacyj cukrowych, które nabywałyby spółdzielnie. Sprawa ta niewątpliwie będzie urzeczywistniona. Na zjeździe pełnomocników w 1935 roku zostałem wybrany ponownie na członka rady na okres trzechletni. Oprócz tego od paru lat jestem członkiem rady okręgowej przy oddziale Związku w Ostrowcu w charakterze zastępcy przewodniczącego.

W ostatnich latach miejscowe czynniki sanacyjne z posłem D. na czele wysilały się, by mi dokuczyć i utrudnić pracę. Uwydatniło się to najbardziej przy wyborach do samorządu. Myślę, że D. złość bierze z tego powodu, że ja nie poszedłem za nim i utrzymuję niezmienną linię polityczną. Wszak spędziliśmy tyle lat wspólnie na polu pracy społecznej i politycznej, że zna doskonale moje intencje i nie ma podstawy źle o nich sądzić. Drażnią ich ludzie z charakterem. A ja znów mam tę ambicję, by można liczyć na mnie, jak „na Zawiszę“.

Przed wyborami do rady gromadzkiej w S. zwracali się do mnie niektórzy mieszczanie, by urządzić zebranie osady i wyłonić kandydatury do rady. Ja też o tym myślałem. Ponieważ z wójtem L. nie miałem już dobrych stosunków z racji mego krytycznego stanowiska, jako członka gminnej komisji rewizyjnej, do jego gospodarki i do zmiany jego przekonań politycznych (gdyż ten z dawnego bojowca P. P. S. stał się wielce gorli-

wym sanatorem), posłałem więc ich do niego lub sołtysa, by zebranie urządzić. Nie dało to rezultatu, więc zwróciłem się sam do niego, wskazując na potrzebę takiego porozumienia się. Odrzekł, że nie może zwołać obecnie zebrania. Chodziło mu o to, jak się później przekonałem, żeby nie dopuścić mnie do rady gromadzkiej. Sam ułożył listę z powolnych sobie osób, a gdy niektórzy kandydaci do rady zwracali mu uwagę na potrzebę włączenia mnie na listę, odpowiedział, że nie mogę na niej być. Mimo to inni zajęli się zwołaniem zebrania, wyłoniono listę wszechstanową, przygotowano kartki i liczyliśmy na zdobycie przewagi nad listą „bezpartyjnych partyjników".

Gdy w parę minut po ósmej w dzień wyborów przyszedłem do lokalu wyborczego, ze zdumieniem dowiedziałem się, że wybory już się odbyły. Przewodniczący ogłosił, że jest zgłoszona tylko jedna lista (sanacyjna) i kandydaci z niej wchodzą do rady. Kiedy zdążył odczytać odpowiednie paragrafy regulaminu wyborczego — nie wiem. Pełnomocnik naszej listy przyszedł istotnie w kilkanaście minut po 8-mej licząc, że jak zwykle zebranie nie zbierze się punktualnie. Wykorzystano to i w taki, mówiąc delikatnie, nieprzyzwoity sposób, dokonano wyborów.

W innych miejscowościach gminy wybory odbywały się mniej więcej w ten sam sposób. W ten sposób nie wychowuje się obywateli.

Przy wyborach do rady gminnej głosy podzieliły się. Lista sanacyjna i niezależna otrzymały po 8 głosów. Dotychczasowy wójt L. przy dwukrotnych wyborach nie uzyskał większości, przez rok był komisarycznym wójtem, a przy trzecich wyborach otrzymał zaledwie 3 głosy. Wójtem 12 głosami został wybrany kompromisowy kandydat, aptekarz B.

Dziwne przemiany zachodzą w ludziach! Ów L., w młodości głosiciel praw ludu, wciągający chłopów do organizacji bojowej z ramienia P. P. S. (wskutek czego kilku było więzionych, a niejaki W. ze wsi O. podzielił z nim los katorgi i zesłania), obecnie trzyma z tymi, którzy prawa nabyte przez lud w wolnej ojczyźnie odbierają mu.

Z naszej grupy radnych i częściowo z sanacji, a nawet ze strony żydów wysuwano moją kandydaturę na wójta. Nie mogłem przyjąć, po pierwsze — że nie mógłbym bez szkody dla spraw spółdzielni tych obowiązków wypełniać, a po drugie — prawdopodobnie nie byłbym zatwierdzony przez starostwo. Z ramienia rady gminnej wszedłem do dozoru szkolnego i do rady powiatowej (sejmiku). Ponadto pełnię obowiązki przewodniczącego gminnej komisji rewizyjnej i komisji opieki społecznej.

Przy wyborach do wydziału powiatowego część radnych wysunęła moją kandydaturę, lecz przywódca tej grupy, drobny rolnik J. W. z R., nie wytrwał w zamiarach do końca. W czasie zarządzonej przez przewodniczącego rady przerwy do zgłoszenia list, rozmawiał z D., trzymając zatytułowaną listę w ręku. Upłynął zapowiedziany termin, zgłoszono tylko jedną listę. „Wybory" zostały dokonane.

Mnie, oczywiście, nie zależało na tym stanowisku — z zasady

nigdy i nigdzie nie ubiegałem się o stanowiska społeczne. Przyjmuję, gdy wyznaczą, z obowiązku obywatelskiego, często więcej niż mogę i powinienem przyjąć. Zależało mi, by wprowadzić do wydziału ks. C., jako najbardziej obeznanego ze sprawami samorządu powiatowego.

Przy wyborach do komisji rewizyjnej udało nam się pozyskać wymaganą ilość podpisów pod listą, którą zaczynał ks. C. Po zgłoszeniu list, trzech członków rady wycofało swoje podpisy z tej listy, więc odpadła. Pozostała znowu tylko jedna i dokonano „wyborów" bez wyborów. Mówiono mi, że od owych 3-ch radnych zażądano wycofania podpisów. Na następnej radzie raczono mnie wybrać na członka komisji szkolnej, która pozostaje pod przewodnictwem posła D., lecz nie zbiera się. A tyle jest palących spraw w dziedzinie szkolnictwa powszechnego!

Gdyśmy rozpatrywali preliminarz budżetowy na 1935/6 rok, zgłosiłem szereg wniosków oszczędnościowych, ogółem na kilkanaście tysięcy złotych, proponując zmniejszenie o taką sumę podatków samoistnych, przeznaczenie tych pieniędzy na osuszenie podmokłych gruntów lub poparcie spółdzielczych organizacyj zbytu płodów rolnych w formie udziałów. Prawie wszystkie moje wnioski zostały odrzucone. W czasie przerwy ten i ów mówi mi: „miał pan rację". „A czemuś pan nie głosował?" — pytam. Wymowne wzruszenie ramion... Jeden nie chce się narazić staroście, drugi posłowi. Poseł jest „wszechmogący" (nazywano go drugim starostą), a w radzie jest kilku nauczycieli, wójtów i t. p. Nie dałem za wygrane radzie i odniosłem się do wydziału wojewódzkiego w Kielcach, który w tych pozycjach na ogół znacznie zmniejszył budżet sejmiku, niestety głównie kosztem budowy dróg.

Dziwni są często nasi chłopi. Tak ich bieda gniecie, tyle odczuwają niesprawiedliwości na swych grzbietach, a tak są nieraz „wyrozumiali, wspaniałomyślni, szczodrzy". Nie — są raczej nieśmiali, niezdecydowani, łatwowierni, tchórzliwi, często, niestety, interesowni.

Poza tym pochopnym uchwalaniem sum w budżetach samorządu na nieproduktywne i nieracjonalne cele, inny przykład. Zarząd Kasy Powiatowej wnosi o podniesienie dyrektorowi pensji o 10% (z 500 na 550 złotych). Trzech członków rady kasy, drobnych rolników, głosuje za tym wnioskiem. Przecież każdy z nich nie wypracuje 550 złotych w obecnych stosunkach cen w rolnictwie w ciągu roku, a tu uchwala na miesiąc!!! Czym zresztą uzasadnia się zwyżka? Czy wzrostem cen artykułów spożywczych, łokciowych, opału, mieszkań i t. p.? Nie — inna tu znów jest przyczyna. Są winni w Kasie... „Czapką, papką i solą ludzie ludzi niewolą".

Powstał w S. oddział Ligi Morskiej i Kolonialnej. Powołano mnie znów na przewodniczącego. Dobre to wszystko, ja do spraw morza mam dużo uczucia, ale czy ja poradzę sobie z tym. Usuwać się — przykro.

W ostatnich czasach w naszej okolicy rozpoczął się ruch w zakładaniu spółdzielni. A więc: w L. organizuje się spółdzielnia rolniczo-handlowa na kilka gmin powiślańskich, w P., W. J., i Jw. powstały spółdziel-

nie spożywców. Organizują się takie same spółdzielnie w G., W i P. W. Mam też z tym pracę, gdyż muszę jeździć na zebrania organizacyjne, dopomagać w organizowaniu i prowadzeniu sklepów, ale trudno przecież odmawiać tej pomocy. Cieszy mnie, że ludzie na wsi nareszcie zaczęli pojmować drogi wyjścia z obecnego trudnego położenia i garną się do organizacyj gospodarczych.

Oby w parze z tym szło dążenie do oświecania się, do wyzbywania się wad, o których była wyżej mowa, do nabierania w siebie godności ludzkiej i świadomości tej potęgi, jaką lud przedstawia, a wtedy nie z łaski innych w narodzie, lecz przyjdzie samo to światło i ciepło, które usunie mroki i chłód nędzy wsi polskiej.

A Ojczyzna szczęśliwą i błogosławioną będzie!

S. 30 grudnia 1935 r.

Lp. 9

Lekarz

z pow. kozienickiego.

Jako syn chłopa, zgłaszam do konkursu życiorys mej skromnej osoby, w którym choć w skróceniu pragnę odzwierciedlić warunki, w jakich wykuwałem swoją przyszłość, oraz przedstawić tyloletnią walkę, staczaną przez synów i córki chłopskie za upragniony pokarm duchowy.

Jako jeden z wielu tysięcy dzieci chłopskich, zdobywających wiedzę w podobny, jak ja sposób, czuję się w obowiązku przedstawić szerszemu ogółowi naszej inteligencji ciernistą drogę, po której synowie i córki wsi iść muszą, zanim osiągną swój cel, jeżeli w ogóle osiągnąć go mogą. Celem moim jest wykazać, ile dziecko wsi traci zdrowia, energii, ile starga nerwów, zanim nasyci mózg swój takim pokarmem, który dla innych jest codzienną, łatwą do zdobycia strawą; co gorsza, że strawą częstokroć niechętnie, a często wprost pod przymusem spożywaną.

Lata dziecinne.

Urodziłem się we wsi J., gminy P., pow. kozienickiego, woj. kieleckiego w dniu 14. V. 1898 r. z ojca Jana i matki Antoniny z M. Rodzice moi posiadali 30 mórg lichej, żytniej, sapowatej ziemi i wydali na świat 12 sztuk dzieci: 6 synów i 6 córek. Ja byłem 7-ym dzieckiem z kolei. Różnica pomiędzy starszym dzieckiem a młodszym wynosiła 2 - 2½ lat. Zaraz po moim przyjściu na świat babka, która zarazem asystowała mej matce przy porodzie, zauważyła wraz z kobietami z sąsiedztwa na przedniej stronie mej klatki piersiowej długą, czerwoną wstęgę na ciele i od razu wróżyła mi jakieś niezwykłe życie, bo byłem „odmieńcem".

Jako małe dziecko bardzo chorowałem na zapalenie płuc i nie dawałem żadnej nadziei, że będę żył. Stroskana matka, jak mi mówili, kilkanaście nocy bez snu, ze łzami w oczach spędziła nad moją kolebką. Od czasu, jak tylko pamiętam, byłem bardzo uparty i jeżeli coś postanowiłem, musiałem to osiągnąć. Np. przyjechał do nas stryj z Lublina. Ojciec odwoził go do

Wisły, odległej o 20 kilometrów od naszej wsi, a ja chciałem koniecznie pojechać i zobaczyć Wisłę. Rodzice i rodzeństwo starsze nie pozwolili mi; ściągnięto mnie z wozu i zamknięto na jakieś 5 minut, a ojciec odjechał. Gdy mi pozwolono wyjść, ja nie bacząc, że ojciec już tak daleko odjechał, począłem go gonić i nie zważając na złe psy, których we wsi nie brakowało, dogoniłem ojca już 2 kilometry od domu. Naturalnie, całą drogę goniąc wóz, rzewnie płakałem i ojciec był zmuszony zabrać mnie do Wisły, a ponieważ byłem wszystkim zainteresowany i o wszystko zaraz pytałem, sprawiłem wówczas ojcu i całej rodzinie dużo zmartwienia, bo ci, co pozostali w domu, nie przypuszczali, żeby 5-letni chłopiec dopędził wóz, ojciec znów musiał mnie przez całą drogę pilnować.

Gdy ukończyłem 6 lat, wysłali mnie rodzice do wuja M., a tam całe lato musiałem paść owce i 3 - 4 sztuki bydła. Jedyną rozrywkę miałem z baranem, którego karmiłem chlebem rzekomo dla siebie zabieranym, a na którym jeździłem, jak na koniu. Oprócz chleba rwałem mu żyto, owies. seradelę i choć ustawicznie na nim jeździłem, to jednak był tłusty i mocny. Razu pewnego krowa, którą wiązałem w oborze, zacięła mię w oko włosieniem ogona. Rozgniewany pobiegłem do mieszkania, przyniosłem nożyce i poobcinałem włosie u ogonów wszystkim krowom. Z tego powodu musiałem wyganiać krowy na paszę bardzo rano i przed samym wieczorem, bo w cieplejszej porze dnia, muchy bardzo gryzły krowy i te ostatnie zmuszone były kryć się do zabudowań lub lasu. Najbardziej nie lubiłem paść bydła i od najmłodszych lat chwytałem się ciężkiej pracy, jak żęcia zboża, kopania kartofli, bronowania, żeby w ten sposób uchronić się od pasienia bydła.

W czasie wojny rosyjsko-japońskiej ojciec mój z całym szeregiem światlejszych chłopów jeździł na różne tajne zebrania, które najczęściej odbywały się w majątku C. u ś. p. Z., w majątku S. u pp. C., w majątku P. u pp. T. i u księdza S. Przyniósł wówczas ojciec zbiór pieśni polskich, jak „Jeszcze Polska nie zginęła“, „Z dymem pożarów“, „Marsz, marsz Dąbrowski“, „Szumny wiatr wionął po pustym stepie“, „Po długiej niewoli dwaj starzy żołnierze wracali do ojców swej ziemi. W moskiewskiej gościnie na nocnej kwaterze zalali się łzami rzewnymi“.

Brat Stanisław, obecnie urzędnik w Ministerstwie Komunikacji, który był uczniem w rosyjskim gimnazjum w Puławach, przyniósł znów parę pocztówek wojska polskiego: husarzy, ułani, czwartacy. W parę dni już cała nasza rodzina umiała na pamięć śpiewać wszystkie pieśni. Ojciec chował pieśni za szkło w lusterku, a pocztówki wojska polskiego trzymał schowane pod stołem: była tam przybita z desek skrytka, w której była schowana dubeltówka i pocztówki. Jak rodzice wyjechali do miasta albo do kościoła, my sprowadzaliśmy chłopców ze wsi i pokazywaliśmy im wojsko polskie, uczyliśmy ich śpiewać i mówiliśmy im, że jak urośniemy, to musimy wygnać Moskali i pomścić Polaków wymordowanych przez Suworowa oraz zesłanych na Syberię. Kiedy już umieliśmy czytać, to sięgaliśmy

za lusterko, wydobywaliśmy pieśni i śpiewaliśmy, a później szliśmy na pole, ustawialiśmy się po 2 stronach (Polacy i Moskale) i rozpoczynaliśmy wojnę. Bryły ziemi służyły jako kule. Walka nieraz była bardzo zażarta, ziemia wpadała do uszu, oczu, nosa, ust, za kołnierze, we włosy, a nieraz i krew z nosa pociekła; wówczas wojna ustawała, a my łączyliśmy się w czwórki, wracaliśmy do wsi i śpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła".

Wszystkie te wiadomości o Polsce słyszeliśmy od naszego ojca i brata starszego Stasia - ucznia, a o powstaniu styczniowym opowiadał nam nasz dziadek M. Paweł, który był świadkiem, jak w Górze Puławskiej powstańcy napadli śpiących Moskali i kilku z nich zabili. Słuchając tych smutnych opowieści myślałem i pragnąłem dożyć takiej chwili, żebym mógł być polskim żołnierzem w takim mundurze, jak na pocztówkach, bić Moskali, wygnać ich z Polski, a później pobić Niemców. Ojciec mówił, że jak Rosja przegra wojnę z Japonią, to u nas wybuchnie zbrojne powstanie. Kto zdolny do broni, musi iść do powstania, że razem z powstaniem w Królestwie wybuchnie powstanie na Litwie, Łotwie, Estonii, Finlandii, a może i na Ukrainie i że Austria będzie nam pomagać; obalimy cara, a później wspólnie z Francją pobijemy Niemców. Ja słuchając obawiałem się, żeby powstanie nie wybuchło wcześniej, nim dorosnę, bo inaczej nie mógłbym pójść do powstania i bić Moskali.

Ojciec prenumerował do spółki z H., mieszkańcem wsi O., gazety: „Świąteczną" i „Zorzę", a często przynosił też i „Zaranie". Ja nie umiałem czytać, ale choć starsze rodzeństwo już spało, ja siedziałem wieczorami przy ojcu i słuchałem pilnie, jak czytał o wojnie i wypadkach na świecie. W ósmym roku życia matka poczęła mnie uczyć. Otrzymałem nowy elementarz i kajet, oraz czerwony i zielony ołówek. Radość była wielka. Abecadła na wyrywki nauczyłem się w ciągu jednego dnia, za pilność i wytrwałość od ojca dostałem 4 grosze, które zaraz zawiązałem nitką w koszulę. Oprócz tego obiecali mi rodzice, że jak będę się dobrze uczył, to nie będę sypiał na łóżku w nogach, ale w głowach, pomiędzy braćmi moimi Władkiem i Józkiem.

Na każdym łóżku sypiało nas po czworo, troje w głowach, a jeden w nogach. Z tego powodu w czasie układania się do snu wynikały kłótnie, bo nikt nie chciał sypiać w nogach, gdyż ci w głowach dokuczali mu i często zdecydowany, a stanowczy głos ojca rozstrzygał spór; głos matki nie był decydujący. Podkreślić muszę, że ojciec nigdy nas nie bił, wystarczyło jak powiedział, a przy tym dorzucił „oddam go do terminu do szewca, albo kominiarza, niech bije pocięglem i dopiero nauczy rozumu". Takie powiedzenie wystarczyło, żeby każdy spokojnie zasnął. Ja nigdy nie chciałem sypiać w nogach i kłóciłem się z bratem Stefanem (młodszy) i jego wypychałem w nogi. Wobec tego, żeby nie było sporu, rodzice rozsądzili, że jeden tydzień ja sypiam w nogach, a drugi on; od tej pory każdy pilnował swej kolejki. Po nauczeniu się abecadła i czytania, uzyskałem prawo do bezspornego sypiania w głowach, a gdy Stefan protestował.

oświadczyli mu rodzice, że jak on będzie się tak dobrze uczył, kupią jeszcze jedno łóżko i w nogach sypiać nie będzie. To tak podziałało na Stefana, że wkrótce choć młodszy zaczął się dobrze uczyć. Po 2 tygodniach doskonale czytałem i pisałem sam, a nie po ołówku, jak uczył we wsi stary K., i zawsze chciałem być samodzielny.

Trzech od nas z domu chodziło się uczyć do starego pijaka K. (taki przybłęda). Brał on 2 złote od łebka na miesiąc i na przemian dawali mu utrzymanie 2 dni od dziecka; życie i szkoła w tym domu. Taka ruchoma szkoła szła przez wieś i znów wracała. Ten pijaczyna do każdego jedzenia pił wódkę, a dzieci na to patrzyły, a że nie miał miary w piciu, upijał się i dopiero później wymyślał dzieciom, targał je za uszy, bił linijką po rękach, a nawet wyciągał chłopców z za stołu i bił linijką po ..... Tego K. nie cierpiałem, bo widziałem, jak uczył w naszym domu, jaki był pijany, jak traktował i bił dzieci. Oprócz tego nie lubiłem go, bo nam rodzice mówili, że pijak może być tylko dziadem i złodziejem, a nigdy uczciwym i pożytecznym człowiekiem. Z tej racji postanowiłem uczyć się tylko w domu, bo rodzice nie bili mnie, lecz zawsze chwalili, co jeszcze więcej dodawało mi chęci do nauki. Po przerobieniu całego elementarza dostałem książkę po starszym rodzeństwie „A, B, C“ i w nagrodę 10 groszy. Ojciec mój jest samoukiem, ale bardzo oczytany po polsku, rosyjsku i nauczył się 2.000 słów łacińskich. Od brata Staśka w czasie świąt i wakacyj uczył się gramatyki i składni, to też pisze poprawnie i ma ładny charakter pisma.

W ciągu jednej zimy nauczyłem się płynnie czytać po polsku, nieźle pisać i rachować, a oprócz tego czytałem po rosyjsku i przerobiłem dużo historii i geografii. Latem czytałem już gazety i wiele różnych książek, jak: „Bartek zwycięzca“, „W pustyni i puszczy“, „Obrona Trembowli“, „Obrona Częstochowy“, „Sobieski pod Wiedniem“ i wiele, wiele innych. Ponieważ nafta wydawała się dla nas droga, przykręcałem lampę i w takim pół oświetleniu czytałem prawie zawsze do północy, a rodzice i rodzeństwo słuchali. Ojciec nauczył mnie służyć do mszy; była to dla mnie wielka radość, że tylko jeden ze wsi umiem służyć do mszy. Każdej prawie niedzieli szedłem rano do kościoła, zostawałem na nieszpory i dopiero przed wieczorem wracałem do domu. Na obiad brałem kromkę chleba w kieszeń i jedno jajko, które mi matka ugotowała jeszcze w sobotę wieczór (zwykle w kartoflach gotowanych dla nas na kolację). Ten suchy obiad zapijałem wodą wziętą ze studni na plebanii. W przerwie między nabożeństwem i nieszporami czytałem książki. Książki wypożyczałem za bardzo małą opłatą z biblioteki w P., utrzymywanej przez ś. p. Wandę T., właścicielkę majątku. Pewnej niedzieli wypożyczyłem książki „Latarnik“ i „Janko Muzykant“ i po przeczytaniu tej ostatniej płakałem trzy godziny, aż mi oczy obrzękły, bo przypuszczałem, że i ja nie będę mógł się uczyć, bo ojciec zapożyczył się na naukę starszego brata Staśka, a las też już całkowicie wyprzedał i trzeba by opatrzności boskiej i wprost cudu, żebym mógł skończyć szkołę i zostać lekarzem, o czym tak marzyłem.

Był w naszej wsi wypadek. Przywieźli lekarza ze Zwolenia i ten szybko uzdrowił kobietę. Ludzie całej wsi i okolicy mówili tylko o tym lekarzu; to wszystko razem tak podziałało na moją młodą duszę, że jedynym moim pragnieniem w życiu było zostać lekarzem i pomagać przede wszystkim tej biedocie, która, nie mając pieniędzy, nie może korzystać z pomocy lekarskiej. Od tej chwili wszystkie moje wysiłki, każda moja myśl i każdy mój czyn skierowane będą do drogi wiodącej do wiedzy lekarskiej. Drogę tę przebyłem w ciągu 22 lat życia, zanim ją przebyłem i pokonałem wszystkie trudności związane z tą podróżą, zanim przedarłem się przez wszystkie zapory, broniące mi dostępu do raz wytkniętego celu. Straciłem połowę zdrowia i conajmniej połowę życia.

W tym czasie znienawidziłem okropnie żydów z następujących powodów: u mego dziadka M. złodzieje pokradli konie i jak zwykle sprzedali żydom. Mój ojciec, który jest bardzo pomysłowy, energiczny i odważny, wszczął natychmiastowe poszukiwanie i konie odnalazł, a winni zostali ukarani. żydzi mszcząc się na ojcu podpalili zaraz po żniwach nasze zabudowania. Spalił się cały zbiór i, oprócz koni i bydła, cały inwentarz żywy t. j. świnie, cielęta, kury, indyki. Oprócz nas ten żyd podpalacz spalił już w naszej wsi gospodarstwo Ś. Oboje wymienieni małżonkowie obudzili się za późno i spalili żywcem. Od tej pory w moim przeświadczeniu każdy żyd, to taki jak ten, który palił naszą wieś. Dziwiłem się bardzo, dlaczego mój ojciec, który jest taki dzielny i zawsze ma strzelbę, nie powystrzelał do tej pory choć w naszej wsi tych złodziejów i podpalaczy, a zadowoliło go tylko nawet niezbyt surowe ukaranie winnych.

Po takim doszczętnym spaleniu rodzice nasi zaciągnęli na odbudowę duży dług, przeto, choć całą duszą pragnęli dać nam wykształcenie, nie byli w możności, bo w pierwszym rzędzie trzeba było myśleć o wyżywieniu i okryciu tak licznej rodziny, której $^{9}/_{10}$ potrzebowało jeszcze pomocy i opieki. Sprzedanie paru morgów ziemi nie uratowało naszego ciężkiego położenia i wszyscy jesteśmy przekonani, że przez żydów musieliśmy o wiele wcześniej cierpieć w życiu niż powinniśmy.

żydów w naszej wsi było 8 rodzin, obecnie jest 13 rodzin. Trudnią się handlem, uprawą roli, mają 42 morgi ziemi (i potajemnie sprzedają wódkę, dzięki której młodzi, pochodzący nawet z uczciwej rodziny, stawali się złodziejami i przestępcami). Cała nasza rodzina najboleśniej odczuwała wszystko zło wyrządzone wsi przez żydostwo, to też nienawidzieliśmy ich bardzo, a jeszcze bardziej po przeczytaniu talmudu oraz innych książek, obrazujących etykę i podłe postępowanie żydów, których okropne występki odczuliśmy na własnej skórze.

Złodzieje i żydzi, współdziałający ze sobą, obawiali się zawsze ojca, bo miał strzelbę. Przekupili strażnika i nasłali go, żeby zabrał ojcu dubeltówkę, z którą pilnował akurat utuczone wieprzaki i konie. Wczesnym rankiem strażnik, przebrany w kożuch sołtysa i czapkę, wszedł do mieszkania i okazując ojcu moskiewski uniform, chwycił za dubeltówkę stoją-

cą w mieszkaniu. Ojciec bez namysłu również chwycił za nią, otwierając drzwi i wyprowadził Moskala na podwórko, tam wypalił z obu luf, żeby nie było wypadku, przewrócił kacapa na ziemię, wydarł mu dubeltówkę, obił go i wyrzucił z podwórka, bo bez sołtysa strażnik nie miał prawa wstępować do mieszkania. Ponieważ „kacap" bezprawnie wszedł do mieszkania, ojciec został ukarany tylko tygodniowym aresztem, a strażnika przenieśli na inny posterunek.

Inny znów wypadek, charakteryzujący mego ojca i wpływ tego na nasze wychowanie. Ojciec mój — to myśliwy z dziada pradziada. Wyszedł na polowanie i został otoczony przez dwóch strażników: jeden był na koniu, a drugi pieszo. Strażnik, który dojechał pierwszy konno, rzekł *„stoj brat, nie ujdiosz"*.*) Jednak ojciec nie oddał im dubeltówki, dwa kilometry prowadził Moskali. Brak mi słów i zabrakłoby tu miejsca, żeby można opisać naszą radość i bojaźń o życie ojca, gdy przez dwie godziny przyglądaliśmy się, jak strażnik z wyciągniętą z pochwy szablą podjeżdżał do ojca, a ten to zamierzał się kolbą na konia, to brał na cel strażnika. Skończyło się to pomyślnie, ojciec wszedł do lasu, a rozwścieczeni Moskale powrócili do naszej wsi i rozpytywali ludzi, jak się ojciec nazywa, ale nikt nie zdradził nazwiska.

Przy tej okazji czuję potrzebę podkreślenia dużego szacunku i poważania, jakim cieszył się mój ojciec w okolicy. Kogo dotknęło jakie nieszczęście, to szukał porady u ojca. Ile ojciec, bracia i ja napisaliśmy darmo listów, podań, skarg, odwołań okolicznej ludności do różnych instytucji — z tego powodu nie tylko, choć ojciec często polował, nikt nie wnosił pretensji, ale nawet nie wydał, jak pytali strażnicy. W domu i przed mieszkańcami wsi ojciec zawsze mówił, aby kacapom nic nigdy nie dawać i nie ułatwiać. Mają Rosję, niech nią rządzą i niech nam zwrócą naszą wolność i nasz kraj. I ojciec nigdy Moskalom nie uległ, co bardzo pokrzepiająco działało na ludność okolicznych wsi. Np. jeszcze raz trzej strażnicy zauważyli, że ojciec poluje, poczęli go gonić z trzech stron, co widząc ojciec podbiegł do stawu i na sam środek stawu rzucił dubeltówkę, mówiąc: wchodźcie Moskale i dostańcie. Cały dzień strażnicy męczyli się (była to zimna jesień) i odjechali. Ojciec dał rubla młynarzowi, ten pojechał korytem, w którym oprawiają świnie, wydostał strzelbę i zwrócił ją ojcu.

Żyjąc w takich warunkach nasiąkałem nawskroś nienawistnym uczuciem do Niemców, Moskali i Żydów i tych ostatnich nie przestaję uważać za rozsadników wszelkiego zła.

Szkoły.

Gdy miałem lat 10 ojciec oddał mnie do szkoły niemieckiej w W. (koloniści). Zostałem przyjęty do III-go oddziału. Nauczyciel p. S. lubił mnie

---

*) „Stój bracie, nie uciekniesz". Red.

bardzo, bo dobrze się uczyłem. Na szkołę miałem już parę rubli swoich pieniędzy, które zarobiłem w następujący sposób: poprzedniej zimy uczył mnie ojciec dniem, a wieczorem trochę czytałem i 2 godziny dziennie zwijałem matce przędzę; od pasma otrzymywałem 1 grosz. Za uzyskane pieniądze kupiłem kokoszkę i perliczkę, a za resztę kupiłem tytoniu, gilz i robiłem papierosy, które sprzedawałem. W ten sposób w ciągu lata zarobiłem parę rubli, na zimę sprzedałem jeszcze kurę i perliczkę i za uzyskane pieniądze kupiłem książki do szkoły oraz płaciłem 1 rubla miesięcznie za naukę.

Zimą, kiedy się uczyłem, sprawunki do mego „tajnego sklepu", który się mieścił całkowicie w niedużym kuferku, załatwiali mi rodzice, ale teraz już oprócz papierosów i zapałek sprzedawałem cukierki, ciastka, bułki, guziki, nici i t. p. rzeczy. Wielka była moja radość, kiedy o swoich wyłącznie finansach przebyłem rok nauki i ukończyłem 3 oddziały szkoły rosyjskiej. Oprócz tego już doskonale mówiłem i pisałem po niemiecku, ale zostałem prawie bez pieniędzy. Chcąc zasilić swoją kasę, latem chodziłem do pracy, flancowałem buraki w majątku C. (ongiś majątek J. Kochanowskiego). Za cały dzień pracy w czerwcu t. j. od 6 rano do godz. 8 wieczór z godzinną przerwą na obiad otrzymywałem 40 groszy, przy czym z konieczności musiałem się nasłuchać plugawych słów ekonoma, a czasem dosyć wesołych opowiadań rządcy.

Po ukończeniu pracy przy burakach poszedłem do układania ćwiartek drzewa z obrzynków, w tartaku czynnym w lesie tegoż majątku C. Las zakupił żyd — byłem pracownikiem żyda. Odległość tartaku od mego domu wynosiła 4 kilometry. Jako jedenastoletni chłopiec zarabiałem 35 gr. od wyrąbanej i ustawionej ćwiartki. Pracowałem w słońcu cały dzień za 35 gr. Rano wychodziłem jak słońce wschodziło, piłem szklankę mleka z chlebem, na obiad brałem znów mleko w butelce i chleb, dopiero na kolację jadłem coś ciepłego. W południe zebrałem trochę poziomek i jagód, które mieszałem z mlekiem i to była już najuroczystsza, i jak dzisiaj wiem, i najzdrowsza moja potrawa. Ciężki był to okres mego życia, cierpiałem moralnie, że we własnej ojczyźnie muszę pracować u żyda i jeżeli i z tym godziłem się, to tylko dla dalszej nauki, której głód odczuwałem na równi z głodem fizycznym.

W ciągu lata zarobiłem około 10 rubli, za które oprócz towaru do „sklepu" kupiłem dwa sady z wiśniami i choć wiele na wiśniach nie zarobiłem, ale bawiło mnie, że odbieram zarobek żydom i choć tyle mszczę się na nich za „spalenie". Ruch w moim sklepie się wzmagał i dwa razy tygodniowo chodziłem do Zwolenia po zakupy (odległość 12 kilometrów). Idąc do miasta brałem z domu chleb do jedzenia, żeby nie kupować nic w mieście, bo to zmniejszałoby obliczony mój dochód.

Z każdym dniem stawałem się niebezpieczniejszy dla żydów, którzy choć sami trzymali bez patentu wszystkie towary, a oprócz tego wódkę i piwo, to jednak oskarżyli mnie przed strażnikami i ci przyszli z rewi-

zją, ale, gdy otrzymali 2 ruble łapówki i dobry obiad, odeszli mówiąc *„ot umnyj malczyk“* *). Od tej pory, mając zapewnioną neutralność strażników, rozpocząłem handel poważniej, a od nowego roku ojciec przyrzekł mi, że weźmie patent na siebie, a ja będę mógł sprzedawać. Zimą prócz tego uczyłem dzieci z J. i sąsiednich wiosek, a że nie piłem wódki i nie biłem w szkole swoich „koleżanek“ i „kolegów“, tylko odnosiłem się do nich jako przyjaciel i wskazywałem pożytek, jaki daje nauka, to i dzieci uczyły się dobrze.

Razu pewnego wypuściłem dzieci na pauzę. Akurat przez wieś przechodzili strażnicy. Spostrzegli dzieci, weszli do mieszkania i szukali nauczyciela. Mój uczeń B. był starszy ode mnie o parę lat, jego zaczęli zaczepiać, biorąc go za nauczyciela i bardzo się zdziwili, gdy wyszedłem z grona dzieci, mówiąc: to ja uczę. Strażnicy zabrali wszystkie książki. Gospodarze wsi J. zebrali 2 ruble oraz obiecali im zsypkę zboża i niedługo zebrane zboże zawieźli. Zwrócili więc wszystkie książki i w ciągu zimy nie zaglądali więcej do naszej wsi.

Przez zimę i lato zarobiłem na sklepie i uczeniu 30 - 40 dzieci około 150 rubli. Za te pieniądze kupiłem ładny garnitur uczniowski, palto i znów wyjechałem do szkoły w L., słynnych z bitwy Legionów. Tam przygotowywałem się prywatnie do gimnazjum. Nauczyciel p. Z. brał ode mnie 4 ruble miesięcznie. Postępy robiłem duże. Mieszkałem u swej siostry Karoliny we wsi K. D. Na korepetycje do L. musiałem chodzić aż 4 kilometry, ale za to nie płaciłem za mieszkanie i życie. W ten sposób zarobione pieniądze wystarczyły mi na zapłacenie nauczyciela i pokrycie wszystkich wydatków związanych z nauką, a nawet jeszcze zostało mi parę rubli.

Powróciłem na wakacje do rodziny, a złożyłem już egzamin z 2 klas gimnazjum w Radomiu. Pokrzepiony na duchu, zabrałem się do robienia porządku we własnej wsi, postanowiłem przeciwstawić się żydostwu, które demoralizowało młodzież piciem wódki, sprzedawanej za ukradzione matkom: jajka, kury, miód lub żyto, groch, tatarkę i t. p.

Pewnego razu udałem się do akcyzy w Zwoleniu i opowiedziałem, gdzie żydzi trzymają wódkę, jacy chłopcy piją i kiedy można ich najlepiej przyłapać. Chcąc sobie zapewnić skuteczność skargi, podkreśliłem w akcyzie, że miałem zamiar jechać do naczelnika, ale mi poradzono, że wystarczy zawiadomić akcyzę. Za parę dni w dzień czwartkowy, kiedy najwięcej chłopcy pili, wpadł akcyzny, złapał żydów na gorącym uczynku i od tej pory na długie lata żydowskie chałupy przestały być punktem schadzek i bijatyk młodzieży. Sąd wymierzył żydom po 100 rubli kary oraz 3 miesiące aresztu. Żydzi jednak dowiedzieli się, kto ich oskarżył, przyszli do ojca z pretensjami, ale ja oświadczyłem, że jako goście nie mogą robić w naszej ojczyźnie nieporządków, siać zgniliznę i zatruwać młode dusze.

---

*) „Ot rozumny chłopak“. Red.

Bać się już więcej nie będziemy i za każdy gwałt odpowiemy 10 razy okrutniejszym gwałtem. Raz żeśmy się spalili, a gdy się spalimy drugi raz, to nie pozostanie ani jedna żydowska chałupa. To powiedzenie poskutkowało i żydzi od tej pory przestali być groźnymi nie tylko dla nas, ale i dla okolicznych mieszkańców. Jeszcze w parę lat potem żyd młynarz spalił wiatrak młynarzowi Polakowi, ale natychmiast sprzedał swój wiatrak i gdzieś uciekł.

Zasada nasza „pożyczone za oddane", czyli za gwałt 5 gwałtów uspokoiło żydostwo. Nadmienić jeszcze muszę, że przed wyjazdem do szkoły w L., t. j. w 1913 roku, chodziłem do kopania kartofli do majątku C. Rano przyjeżdżały fury i zabierały nas do ciężkiej pracy. Potrzeba było przekopać 100 prętów, za to otrzymywało się 50 gr. Tego bólu krzyża i wszystkich kości nie zapomnę nigdy. Często rano był przymrozek albo znów cały dzień słota. Byłem nieraz zmoczony i zmarznięty jak „sęk", ale znosiłem to wszystko z nadzieją, że za tak zapracowane pieniądze zdobyta wiedza da mi naprawdę szczęście i zadowolenie — nie omyliłem się.

Latem 1914 r. ks. S., któremu już 6 lat służyłem do mszy, a który lubił mnie bardzo, doradził memu ojcu, żeby mnie oddać do felczera na praktykę. Twierdził, że na lekarza się nie wyuczę, ale za to mogę być dobrym felczerem, bo bardzo lubię medycynę. Najlepszym i najgłośniejszym felczerem był i jest pan P. (w Radomiu). Czym prędzej pojechaliśmy z ojcem do tego pana P., ale on odmówił przyjęcia mnie na praktykę. Gdy wracaliśmy do stacji, mimowoli strumieniem łzy spływały z mych oczu. Uczułem jakby mi coś z pod nóg uciekło, a na drodze swego życia nie widziałem już nic, oprócz wysokiej skalistej góry, na szczycie której widziałem ciepło, jasno, pogodę. Nęcił mnie ten swoisty wdzięk promieniejący ze szczytu tej góry, ale niewiele miałem złudzeń, że kiedyś własnymi siłami zdołam osiągnąć ten szczyt i to idąc nie po zboczach, ale tak prosto przed siebie i to od strony najbardziej stromo spadającej.

Wojna światowa.

Tego samego lata nastąpił wybuch wojny europejskiej. Brat Stach, który ukończył 6 klas gimnazjum, został powołany na wojnę, choć dopiero powrócił do domu po odbyciu służby wojskowej w armii rosyjskiej. Nie zapomnę tego wrażenia, jakie wywarła na mnie mobilizacja. Wszyscy krzyczeli „wojna, wojna". Powołani do wojska gospodarze przestali pracować t. j. kosić, mówiąc: „już i tak jeść tego nie będziemy". Prawie z każdej chałupy, ba, każdej rodziny, był ktoś powołany, przeto wszędzie był płacz. Cała tragedia nastąpiła dopiero nazajutrz, kiedy przeszło 30 zdrowych jak rydze chłopów opuszczało naszą wieś. Szli od chałupy do chałupy i żegnali się, jakby już szli na śmierć.

Gdy zatrzymali się przed nami, ojciec mój do nich tak mówił: „nie strzelajcie za kacapów, nie przelewajcie naszej polskiej krwi, poddajcie

się i niech giną ci, co nam wolność zabrali. Strzelajcie do oficerów, jeżeli was koniecznie w bój gnać będą. U nas będzie rewolucja, przechodźcie zaraz na naszą stronę. Jeżeli musicie strzelać, to nie celujcie w żołnierzy, bo to może Polak tylko w mundurze wroga". Wkrótce wszyscy odeszli i my razem z nimi; odprowadziliśmy ich z płaczem i krzykiem aż do stacji. Męża prowadziła żona, dzieci; syna — ojciec, matka, siostry, bracia, a paru ojców niosło swoje najmłodsze dzieci na rękach. Od czasu do czasu płacz rodziny był przerywany powiedzeniami: „Nie płacz żono, nie bój się o mnie, pilnuj tylko dzieci, my tam „kacapom" wojować nie będziemy". Stary P., który był w niewoli u Turków, ostrzegał: „będą was straszyć, jak i nas, że Turcy obrzynają nosy, uszy, ale myśmy tego nie słuchali, w niewoli było tak dobrze, jak w domu i wy nie słuchajcie, poddajcie się i innych uświadamiajcie". Istotnie, z 34 zabranych do wojska z naszej wsi zginął jeden, wszyscy pozostali byli w niewoli i to przeważnie w Austrii.

W czasie ofenzywy niemieckiej na Dęblin w 1914 roku jesienią jeździłem na podwody z armią rosyjską (tulski pułk), potem poszedłem do K. do siostry Karoliny i stamtąd zabrali mnie na podwodę Niemcy. Nakładli mi pocisków armatnich i musiałem jechać na pozycję. Moskale jak zobaczyli obóz, w którym byłem, zaczęli bić w nas z artylerii, rozbili kilka wozów. W końcu zeskoczyłem z wozu, bo wszyscy tak robili nie wyłączając żołnierzy niemieckich. Zostawiłem konie i uciekłem. Cały ten obóz dostał się zapewne Moskalom, bo ja uciekałem wraz z artylerią niemiecką do wsi R. pod Kozienicami, tam wskoczyłem do dołu i przeczekałem aż przyszli Moskale.

Później cały dzień był spokój, przyszedłem do rodziców i zaledwie wszedłem — kozacy uciekali przed armią austriacką. Rozpoczęła się strzelanina z dwuch stron, a my w środku. Kozacy ustąpili, przyszli Austriacy i Węgrzy. 5 dni była ogromnie krwawa bitwa, karabiny i artyleria biły bez przerwy dzień i noc pomimo deszczu i słoty. Jednej nocy naliczyliśmy aż 26 pożarów. Okoliczne wsie pod Dęblinem zostały doszczętnie spalone. Przez 5 dni prawie nie jedliśmy, bo jak ugotowało się trochę kartofli w łupinach, zaraz wpadali żołnierze i zabierali przemocą. W naszym dole, przygotowanym jako schron, siedziało około 30 osób — wszyscy głodni. Płacz wylęknionych i głodnych dzieci nie ustawał.

Węgrzy zrabowali nam wszystkie zboże i paszę, nie dali ani grosza, a jeszcze uciekając zabrali nam 4 sztuki bydła i jednego konia, drugiego zabrali Niemcy jak uciekali. W 12 osób zostaliśmy bez konia, z jedną krową i bez zboża, a nawet kartofli, bo i te zabrali. To też, gdy ostatnia tyraliera Austriaków nie uszła więcej jak 50 metrów od wsi, a do Moskali było jeszcze ze 300 metrów, to już wybiegaliśmy i wołali, żeby czemprędzej przybyli. Tak nam „trepy" dokuczyły (sami prawie Węgrzy), że nawet nie żałowaliśmy, gdy w ucieczce coraz ktoś padał od kul rosyjskich. Kilka razy widziałem, jak szrapnele artyleryjskie padały wprost na tyralie-

rę uciekających Węgrów, jak zaraz kilku kładło się na ziemi. Zaraz wszyscy biegliśmy z wodą do rannych. Wielu z nich konało albo już skonało. Niektórzy coś mówili, ale nie rozumieliśmy, pomagaliśmy sobie migami, trochę po niemiecku rozmawialiśmy — prosili wody. Ten okropny widok nigdy nie wyjdzie z mej pamięci.

Po ustąpieniu z pod Dęblina wojsk niemiecko-austriacko-węgierskich Moskale zaczęli budować wszędzie silne okopy oplecione wysokimi drutami kolczastymi, przed którymi pozakopywali miny.

Rozpoczęły się dla zniszczonej ludności dobre zarobki. Ojciec kupił konia od żołnierzy, na nim jeździłem po towary. Handlowałem wraz z moim młodszym bratem Stefanem, który jest obecnie studentem prawa, a pomagała nam jeszcze młodsza siostra Stasia, która teraz jest nauczycielką w Radzymińskim. Ja liczyłem wówczas lat 15, brat Stefan 12½, siostra Stasia 6 lat i 10 miesięcy. Musieliśmy pomagać rodzicom, bo zostali zupełnie zniszczeni, ale w krótkim czasie dokupiliśmy z tych zarobków krowę i jeszcze zostawała gotówka.

Handel nasz polegał na tym, że braliśmy na furę różne artykuły spożywcze, przywozili niedaleko okopów, nosili do okopów i sprzedawali. W ten sposób zarobiliśmy od listopada do czerwca 1915 r. przeszło 1500 rubli, jeszcze na przeszło 200 rubli zepsuło się nam różnych towarów, bo Moskale wygnali nas za Wisłę i to wszystko, choć zostało schowane, uległo zepsuciu.

Za Wisłą stanęliśmy we wsi R. za Rykami. Moskale, uciekając, popalili wszystkie mosty, a około 1000 kozaków zostało w lesie. Chodząc po polu zauważyłem, że tam są kozacy, więc jak 6 sierpnia do wsi R. przybył niemiecki konny patrol, ja wybiegłem za wieś do doliny, w której stał kozak jako czujka i zawiadomiłem, że we wsi jest 30 konnych Niemców. Oddział kozaków natychmiast otoczył wieś i zanim Niemcy się zorientowali, już byli osaczeni i wzięci do niewoli. Rodzina śmieje się ze mnie, że poszczułem kozakami szwabów; ja cieszyłem się, że im choć tyle odpłaciłem za Wrześnię, Bartków Zwycięzców i t. p.

Następnego dnia i Moskale odstąpili, a my stopniowo i powoli powracaliśmy do domu. Z ojcem przeprawiliśmy się małą łódką pod Maciejowicami przez Wisłę i przez 10 godzin szliśmy do naszej wsi. Na takiej przestrzeni nie spotkaliśmy ani jednego człowieka. Wsie zniszczone, domy bez okien, drzwi od stodół i obór powyjmowane i wszystko w okopach, wokoło których pełno było mogił, zaschłej krwi, podartych i pokrwawionych koszul, chusteczek oraz spodniej bielizny. Co raz leżały bagnety odłamane, łoże od karabinu, pociski nierozbite, dużo kul karabinowych, taśm i łusek od karabinów maszynowych. Zboże zżęte zgniło, u stojącego kłosy opadły i stała tylko poczerniała słoma. W każdej wsi wylatywały do nas psy. Nie szczekały, lecz piszczały i kręceniem ogona okazywały swoją radość.

Jesienią 1915 r. do wsi Z. S. przyjechał nauczyciel pan S. Ojciec udał

się do niego z prośbą, żeby mnie i bratu Stefanowi udzielał korepetycji. Jako honorarium zgodził się ojciec dać od nas obu 15 rubli miesięcznie. Do późnej zimy codziennie chodziliśmy z bratem do Z., odległej 8 kilometrów od naszego domu. W razie deszczu nocowaliśmy w L. w sianie u gospodarza J. S. Kolację wówczas urządzaliśmy z pieczonych kartofli. Nie traciliśmy nigdy ani 5 minut i całą drogę powtarzaliśmy lekcje, a jeden drugiemu zadawał pytania. Nauka była dla nas jak najlepszy pokarm, to też nie uczyliśmy się, a wprost pożerali słowa, zdania, całą treść książek.

Zimą pan S. wydzielił uczniom jeden pokój. Byli tam: obecny dr med. F. C., L., K., brat Stefan i ja. Na niedzielę powracaliśmy do domu, w którym sklepik mój prowadziła siostra Stasia. Rok 1915 był bardzo ciężki, bo cały zbiór zgnił na polu tak, że najczęstszym pokarmem były zwykle na rano i wieczór jedynie pieczone kartofle, a na obiad tatarczana kasza. Zarówno te proste śniadania, jak i kolacje z obiadem przyrządzaliśmy sami.

Wiosną 1916 roku złożyłem egzamin do kl. IV-ej w Radomiu, a brat Stefan na I kurs seminarium nauczycielskiego. Z braku pieniędzy obaj nie pojechaliśmy do szkół, tylko znów całe lato gromadziliśmy kapitał, a na jesień znów uczył nas pan S., który widząc nasze zdolności i chęci do nauki, obniżył nam opłatę o 50%, za co na tym miejscu składam mu „Bóg zapłać". W ciągu roku przygotowaliśmy się do egzaminu i wiosną znów złożyłem egzamin do klasy V-ej, natomiast brat Stefan z poprawką, ale też złożył na kurs II-gi. Jesienią trzeba było wyjeżdżać do Radomia, bo pan S. oświadczył, że już wyżej nas przygotować nie może.

Wyjechałem do szkoły, ale jak okropnie cierpiałem, że brat Stefan w żaden sposób przyjechać nie może, bo nie starczyło pieniędzy, a połowa ziemi leżała nieobsiana. Zimą i wiosną „trepy" austriackie zarekwirowały zboże i trzeba było kupować chleb za kartkami, bo nie pozwalali mleć zboża na mąkę.

Uczyłem się pilnie, choć byłem zawsze tak głodny, że nie miałem siły, żeby głośno mówić. Za stancję z wodą na herbatę płaciłem 25 koron. Pani R., choć sama była biedna, obniżyła mi 10 koron — wszyscy płacili 35 koron. Rzadko zjadałem obiad codziennie, zwykle 3 - 4 obiady tygodniowo. Żyłem przeważnie chlebem i herbatą słodzoną cukrem kartkowym — żółty, wprost cuchnący kryształ. Zwykle, jak koledzy jadali swe śniadania, ja najpilniej czytałem i zapominałem o głodzie. Raz jeden z kolegów, który był synem bardzo zamożnych rodziców i nic się prawie nie uczył i nic nigdy nie umiał, pomimo że trzech profesorów udzielało mu lekcyj, przylazł do mnie i zapytał ironicznie, po co tak zawsze pracuję w czasie pauzy. Odpowiedziałem: „nauka jest dla mnie najsmaczniejszym jedzeniem".

Obok mnie siedział bardzo miły, spokojny, dobry kolega (radomiak). Ponieważ wyglądałem mizernie, z podsiniałymi oczami, zapytał mnie, gdzie mieszkam i co jadam? Trudna była odpowiedź, bo przecież nie mo-

głem się zdradzić, że na obiad zjadam kawałek kartkowego chleba i popijam wodą z kranu. Odpowiedziałem: „chodzę na skromne obiady, ale smaczne“. Czułem, że nie przekonałem go taką odpowiedzią i on domyślił się, że dotknął bolesnego punktu mego życia. Od tej pory zawsze, jak przychodziłem, znajdowałem na moim miejscu pod ławką dwie bułeczki z masłem i szynką, których nikt nie jadł, nikt się do nich nie przyznawał. Dorozumiałem się, że to była delikatna sprawka owego kolegi. Obecnie jest sędzią grodzkim.

Austriacy sprzedawali uczniom skóry na buty oraz gumowe zelówki i obcasy, kosztowało to dosyć tanio. Ponieważ w Radomiu jest i było dużo garbarni, skóra nie była droga, przeto żaden z kolegów nie prosił o kartki. Ja przy wydatnej pomocy tego kolegi zebrałem wszystkie kartki, wykupiłem 45 par gumowych zelówek i obcasów oraz 10 skór na buty i kilka kilo skór na podeszwy. W ciągu zimy stopniowo wyprzedałem i zarobiłem przeszło 300 koron. Od tej pory nie głodowałem i byłem zawsze doskonale najedzony. Na pauzę brałem specjalnie coś do jedzenia, żeby znikły bułeczki podkładane mi przez tak szlachetnego kolegę, który, gdzie mógł, podawał mi rękę i umożliwiał naukę i zawsze pożyczał książki do nauki i czytania.

Z pobytu w Radomiu podkreślę jeszcze fakt, że siedziałem dzień w areszcie za zrywanie austriackich ogłoszeń, zawiadamiających o pokoju brzeskim i IV-ym rozbiorze Polski. Byłem harcerzem w II drużynie Romualda Traugutta. Na zbiórce otrzymaliśmy polecenie zrywać ogłoszenia oraz wciągnąć do tej akcji, jak również i manifestacji, całą młodzież szkolną i robotniczą. Do godziny 10-ej wieczór tego dnia chodziliśmy po ulicach przebrani w wypożyczone ubrania i zdzieraliśmy obwieszczenie oznajmiające o haniebnym traktacie. Nazajutrz zapowiedziana była manifestacja całej ludności. Szkoła była nieczynna, wyszedłem na ulicę zdzierać plakaty i zostałem przyłapany przez podoficera austriackiego; odprowadził mnie do c. i k. komendy i tam po spisaniu protokułu zatrzymano mnie do następnego rana — jeść nic nie dostałem. Po wyjściu dowiedziałem się, że była duża manifestacja i że żołnierze, rozganiając pochód, podarli obraz z Matką Boską. Za ten czyn nie wpuściliśmy wojska w niedzielę do kościoła. Władze wojskowe pertraktowały z władzami kościelnymi cztery tygodnie zanim uzyskały pozwolenie na wchodzenie żołnierzy do kościoła na mszę w niedzielę i święta.

Latem jako uczeń promowany do kl. VI-ej byłem przekonany, że z powodu braku pieniędzy nie pojadę do gimnazjum. Wziąłem się znów za handel w moim sklepiku, prowadzonym przez siostrę oraz za handel sadami, a oprócz tego przygotowywałem materiał z zakresu sześciu klas. W tym celu brałem lekcje u pana K. M. (obecnie sędzia okręgowy w Radomiu). Trzy razy tygodniowo chodziłem na lekcje do Zwolenia, odległego o 12 kilometrów. Wiele zawdzięczam panu sędziemu, który sam był w ciężkich

warunkach materialnych, doceniał tym więcej moje położenie i za bardzo niską zapłatą dał mi bardzo dużo cennych wskazówek i to nie tylko naukowych, ale i życiowych.

Oprócz tego założyłem wspólnie z panem Ozgą ze wsi F. oddział P. O. W. w jego wsi, do którego należało 18 chłopców. Mieliśmy 10 karabinów, 6 granatów i parę tysięcy naboi; 2 karabiny kawaleryjskie zabrano od nas do Zwolenia do P. O. W. Ćwiczyliśmy na łąkach wsi F. Głównym instruktorem byłem ja, zastępcą pan W. Ćwiczyliśmy przeważnie w nocy, w niedzielę. Dowiedziała się o tym żandarmeria austriacka i przybyła nas śledzić. żandarmi byli Czechami, popatrzyli z daleka na naszą tyralierę, powiedzieli, że to zabawa dzieci i odeszli. Z tego oddziału W. E. został wachmistrzem w kawalerii, był dwa czy trzy razy ranny, ma krzyż „Virtuti Militari"; tak samo B. z M. (obaj otrzymali ziemię na kresach), natomiast Ozga, który był podporucznikiem w armii Dowbór Muśnickiego, zginął bohatersko jako porucznik d-ca kompanii 24 p. p.

W końcu października 1918 r. żandarmi z G. rekwirowali bydło i zboże we wsi S. Z. (tam gdzie uczyliśmy się). Ponieważ zabierali co tylko mogli, chłopi rzucili się na „trepów" i wynikła strzelanina, w trakcie której dwuch chłopów zostało zabitych, a kilkunastu rannych. Zabójstwo gospodarzy z Z. wywołało wrzenie w całej okolicy. Przybył do mnie ś. p. por. Ozga, aby omówić napad na posterunek w G. i wystrzelać „trepów". Rozpoczęliśmy przygotowania. W tym celu w dzień jarmarczny udaliśmy się ze ś. p. Ozgą do G., żeby obejrzeć miejsce i rozlokowanie posterunku oraz obmyśleć sposób napadu, wytknąć kierunek ucieczki.

Poszliśmy na posterunek ze skargą, jakoby gospodarz sprzedający kartofle nie chciał od nas przyjąć 10 koron, bo miały w środku dziurkę (wówczas tak się działo). Tak poznaliśmy rozlokowanie żandarmów. Ponieważ posterunek był w dość ruchliwym miejscu, a na sześciu żandarmów trzech było w wieku około 50 lat i to dosyć dobrych Czechów, postanowiliśmy wymyślić jaką kradzież we wsi, posłać konie po żandarmów i jeżeli będą jechać żandarmi Niemcy, rozprawić się z nimi.

Po tym przygotowaniu Ozga pojechał do Radomia po aprobatę naszego planu przez komendę Radomia i trafił akurat na rozbrajanie okupantów, wstąpił zaraz do 24 p. piechoty i wyjechał na front. Ja, nie mając pieniędzy na życie i opłacenie gimnazjum, dostałem stanowisko nauczyciela szkoły powszechnej w swojej wsi, a na korepetycje chodziłem do p. mecenasa Z., który zgodził się udzielać mi lekcyj francuskiego, łaciny i niemieckiego (a władał znakomicie tymi językami). Nie brał ode mnie zapłaty i tylko codziennie zanosiłem mu paczkę papierosów „Memfis". Oprócz zajęcia z 65 dziećmi i brania lekcyj dawałem jeszcze korepetycje M. S. (syn gospodarza z W., który obecnie jest sędzią śledczym).

Okres mojej służby wojskowej

Jako etatowy nauczyciel szkoły powszechnej nie mogłem natychmiast wstąpić do wojska polskiego i dopiero w końcu listopada 1918 r. przydzielono mnie do 1, obecnie 19 pułku piechoty („Odsieczy Lwowa"). Wyjechałem na front i pod Lwowem zostałem ranny w szczękę z lewej strony. Byłem w szpitalu wojskowym w Kielcach, a po wyleczeniu się przydzielono mnie do III batalionu 19 p. p. Wiosną 1919 roku wyjechałem na front, skąd po kilku bitwach w stopniu kaprala odkomenderowano mnie do Szkoły Podchorążych w Warszawie. W tymże roku złożyłem egzamin komisyjny w Warsazwie z 6-ciu klas, ukończyłem zimą 1920 r. Szkołę Podchorążych i dostałem przydział tymczasowy do garnizonu twierdzy Modlin.

Stacjonując w Modlinie dowiedziałem się, że żołnierze żydzi i podoficerowie okradają intendenturę. Przedstawiłem całą tę sprawę swoim kolegom. Postanowiliśmy przyłapać ich na kradzieży. W sobotę po zajęciach udaliśmy się na stację i niby oczekiwaliśmy na pociąg do Warszawy. W tym czasie kapr. F. i dwuch szeregowców przybyli na stację. Każdy z nich niósł po dwa plecaki wypchane i jeszcze luźne toboły. Obu szeregowych oddaliśmy w ręce żandarmerii w Modlinie, kaprala puściliśmy do stolicy, a na dworcu Gdańskim wezwaliśmy żandarma, który go zaprowadził do wartowni i tam wyładował z plecaków: 2 pary nowych butów, 2 mundury, skarpetki, koszule ciepłe oraz dużo produktów spożywczych, jak: kawa, masło, herbata, ser, marmolada i t. p.

Na froncie w 1919 roku w Małopolsce Wschodniej, idąc z drużyną na patrol, spotkałem za wsią dwuch żołnierzy wiozących wieprzka, a opodal płaczącego chłopa ruskiego, któremu ci żołnierze zabrali wieprzka i jeszcze go pobili. Zatrzymałem żołnierzy i okazało się, że to byli „łaziki", żyjący z ludzkiej biedy. Wieprzka zwróciłem, żołnierzy rozbroiłem i odprowadziłem do swojej władzy wojskowej.

W maju 1920 r. otrzymałem przydział do 5 p. p. i miałem wyjechać na front pod Kijów, ale, że w tym czasie przy 5 p. p. tworzył się 205 p. p. z ochotników, przydzielono mnie do 205 p. p. Wkrótce wyjechaliśmy na front. Po bitwach pod Miastkowem, Ostrołęką, wsią Ławy, cofnęliśmy się przez Różan, Maków, Pułtusk, Serock, Jabłonnę, Modlin, Zakroczym do Wron i wsi Borków, t. j. do miejsca, w którym został przerwany w dniu 15 sierpnia 1920 roku bolszewicki front. Od tej chwili szliśmy ustawicznie naprzód, zdobywając Nasielsk, Ciechanów, Mławę i znów przez Żmijewo, Grudusk, Przasnysz, Ostrołękę, Białystok, Grodno, Porzecze, Orany, Olkieniki, Lidę, Wilno. Koniec wojny, powrót do Pruszkowa na likwidację Dywizji Ochotniczej.

Nie mogę pominąć miłego spotkania, jakie miałem w nocy, w czasie odwrotu z pod Ostrołęki. Głodny, zmęczony i znużony zatrzymałem się z oddziałem we wsi. Podchodzę do kuchni kompanijnej, przy której sie-

dział żonierz i pytam: „może macie wodę, dajcie mi w manierkę?“ Okazało się, iż żołnierzem tym był mój kolega z gimnazjum z Radomia N. E. Wycałowaliśmy się jak z najukochańszą osobą, wyrozmawiali, ile czas pozwalał, a ponieważ był ochotnikiem 201 p. p., udałem się zaraz do dowództwa i niezwłocznie został przydzielony jako mój szef kancelarii. Od tej chwili aż do demobilizacji razem dzieliliśmy żołnierską dolę i niedolę. Miałem kilkaset marek, nosił je cały czas, a gdybym został zabity, marki miał przesłać mojej rodzinie.

Był on świadkiem i uczestnikiem następującego wydarzenia: Po zdobyciu Grodna (13 fortu), pod którym ponieśliśmy duże straty w zabitych i rannych , przybyłem z oddziałem do wsi Z. Zastałem tam 12 żołnierzy ze starszym żołnierzem na czele. ów komendant zarekwirował podwodę w tejże wsi, postawił przy niej na warcie harcerza, a sam z żołnierzami rozpoczął rabunek. Zabierali co się dało i układali na podwodzie. Ludność wsi przybiegła do nas o ratunek, mówiąc „wojsko polskie rabuje“. Rozbroiłem najpierw st. żołnierza L., a następnie wszystkich po kolei. Zwróciłem poszkodowanym zrabowane mienie i poleciłem w otoczeniu sterroryzowanej ludności zrewidować rabusiów, u których znaleziono dużo pieniędzy i kosztowności.

Po ukończeniu wszystkiego (ludności było około 200 osób) oświadczyłem: „Armia nasza, to gwarantka spokoju, ładu, porządku, bezpieczeństwa. Znalazło się jednak kilku wyrzutków, ale wiecie o tym, że najpiękniejsze ziarno zawiera kąkol, oset i wiele innych szkodliwych badyli“. Wskazując na ustawionych w szereg rabusiów, rzekłem: „oni są właśnie takim szkodliwym badylem, splamili nasz żołnierski honor, splamili nasze sztandary, złamali rozkaz wydany przez dowództwo, rozkaz, który przewiduje karę śmierci za grabież i rabunek; całe szczęście, że ci, co najwięcej rabowali, sami widzicie, są żydami. Zostali oni powołani pod broń i ubrani w zaszczytny mundur żołnierza polskiego, zhańbili go, zhańbili dobre imię naszej ojczyzny, za którą zawsze gotowi jesteśmy oddać życie“.

Po tym przemówieniu stanąłem koniem o 10 kroków od zbirów, za mną na koniu sierżant Z., a za nim E. N. Teraz kolejno podchodzili rabusie, każdy dostał kilka szpicrut gdzie popadło i szedł dalej, żeby dostać taką samą albo jeszcze lepszą porcję. Najwięcej biliśmy st. żołnierza L. i żydów, bo u nich znaleziono bardzo dużo drogich rzeczy. Po takim wyroku poleciłem odprowadzić ich do dowódcy kompanii, któremu meldowałem o wykonanym wyroku i prosiłem, żeby ich nie oddawał pod sąd polowy, ale wymierzył karę sam.

W roku 1927 na Placu Zygmunta nisko ukłonił mi się elegancki, niedużу żydek. Okazało się, że był to jeden z tych, którym w Z. sprawiłem takie lanie. Nazywa się M. Pokazywał mi bliznę na nosie. Twierdził, że to ja przeciąłem mu nos szpicrutą (nie przeczę), ale mimo to jestem dobry, bo nie oddałem ich pod sąd polowy. Oznajmił mi, że ma sklep galan-

teryjny i że jest już bogaty. Ośmielił się nawet zaprosić mnie do siebie, ale gdy spojrzałem na niego okiem z Z., przeprosił mnie i znikł jak błyskawica.

Więcej o wojnie pisał nie będę, bo to zajęłoby parę tomów, dodam tylko, że w czasie niespodziewanego natarcia Litwinów na dopiero co zajętą przez nas stację i miasto Orany pod Wilnem, zostałem ranny w nogę i rękę od szrapnelu, który choć wpadł w środek żołnierzy (było nas około 15-tu z karabinem maszynowym), wszystkich nas przewrócił, odłamkami podziurawił nam czapki i płaszcze, to jednak Opatrzność Boska obroniła nas i nikt nie został zabity. Przyznać muszę, że nadzwyczajne miałem szczęście, skoro, nie licząc małych ran, wróciłem zdrowo i cało do domu, aby widocznie pracować dla dobra ludu wiejskiego i dla dobra Polski i wszystkich Polaków.

Okres zdobywania matury

Wychodząc z wojska miałem dopiero ukończone 6 klas, ale w ciągu 3-letniej służby wojskowej wiele zapomniałem. Wprawdzie w podchorążówce nauczyłem się płynnie mówić po niemiecku i francusku od uczciwych kolegów, którym za tę wydatną pomoc dawałem jedynie mój fasunek papierosów, ale z matematyką było źle. Miałem prawie 22 lata, byłem zmęczony wojną i nieustanną obawą o życie, a najwięcej żeby nie być kaleką i w takich warunkach i po takich przeżyciach musiałem od początku rozpoczynać naukę.

W czasie służby uzbierałem, jak na dzisiejsze warunki, około 1.500 zł: gaża oficerska, dodatek frontowy, dużo wygrałem w karty, ale to wszystko kropla w morzu w porównaniu z tym, ile było potrzeba. Około 500 złotych posłałem siostrze Stasi na szkołę, Stefan był w wojsku i został na zawodowego. Młodszą siostrę Maryśkę, obecnie żona porucznika P., wzięła do Warszawy zamężna już siostra Olesia. Pozostało mi 1000 zł, dużo stalowej woli, chęci, zapału, wytrwałości, a co najważniejsze gorąca i mocna wiara we własne siły. Kupiłem dwie milionówki *), że może szczęście posłuży, ale przyszła dewaluacja i straciłem na nich, bo nie tylko nie wygrałem, ale uszczupliłem jeszcze i tak skromne moje zasoby pieniężne.

Wziąłem się do pracy. Zamieszkałem w suterynie, ale po 2 tygodniach musiałem wyjść, bo natrafiłem na „cwaniaków" i niemożliwe było skupić myśli, coś wbić do głowy. Zamieszkałem chwilowo u szwagra, ale wówczas było im ciężko i ciasno. Choć mnie prosili, żebym został, nie mogłem, bo źle świadczyłoby o mnie, gdybym spożywał ich ciężką i żmudną pracę. (Szyli oboje od 8 rano do 12 w nocy). Znalazłem niedługo korepetycje za życie i stancję na Placu Kazimierza. Zapisałem się na kursy maturalne p. Pawłowskiego, powtórzyłem klasę VI, VII i VIII i w 1923 r. złożyłem

*) Państwowa pożyczka premiowa. Red.

jako ekstern przed specjalną komisją egzamin dojrzałości. Od 15 stycznia 1921 roku do jesieni 1923 roku pracowałem tak w dnie powszednie jak i święta 16 - 10 godzin na dobę. W ciągu tego czasu tylko raz byłem w kinie i raz w teatrze. Złożyłem egzamin dojrzałości choć tylko 2½ roku jako uczeń uczęszczałem na wykłady: rok w gimnazjum w Radomiu i 1½ roku w Warszawie na kursy maturalne. Jak myślę o tym, sam dziwię się jak to przychodziło.

Okres studiów lekarskich.

Po otrzymaniu matury zapisałem się na filozofię, z zamiarem zapisania się na medycynę w następnym roku, gdyż w 1923 było już za późno. Tak też i było. Absolutorium uzyskałem w grudniu 1929 r., a dyplom doktora wszech nauk lekarskich 30. VI. 1930 r.

Okres studiów lekarskich był bardzo ciężki. I, II i III rok musiałem i chciałem uczęszczać na wszystkie wykłady, nie mogłem stale zarobkować. Dorywczo udzielałem korepetycyj, robiłem masaże, dyżurowałem nocami w szpitalu przy ciężko chorych, byłem kelnerem na dancingach, wygłosiłem przeszło 50 odczytów z pokazami w różnych seminariach i gimnazjach, jak również w rozmaitych organizacjach na temat szkodliwego wpływu alkoholu i nikotyny na żywy ustrój ludzki.

Należę do T-wa „Trzeźwość", teraz nie żądam zapłaty, ale za studenckich czasów, oprócz kosztów podróży, otrzymywałem diety. Wygłoszone odczyty są najmilszym wspomnieniem z moich lat studenckich. Jak trudne miałem warunki niech posłuży fakt, że raz cały dzień nie jadłem. Rano poprosiłem gospodynię, u której mieszkałem, żeby mi zagotowała lnianego siemienia, bo jestem chory na żołądek (ona pijała), wypiłem 2 szklanki i poszedłem na chirurgię operacyjną. Około południa zemdlałem z głodu. Koledzy dali mi herbaty, później pączki, ciastka, a wreszcie najważniejsze — pożyczyli mi parę złotych i „choroba żołądka" istotnie szybko ustąpiła.

Po przejściu na II rok dostałem w czasie wakacyj praktykę kontrolera w łazienkach w Ciechocinku. Pensja nie była zbyt duża, ale znalazłem tam dwie korepetycje i wykąpałem się, wypocząłem i ożywiłem.

Czułem się tak dobrze po przyjętych 30 kąpielach kwaso-węglowych, za które jako pracownik zakładu nie płaciłem, że stanąłem łącznie z moim serdecznym kolegą do zawodów pieszych o nagrodę przechodnią „Zdroju Ciechocińskiego". Wymieniony kolega K. pochodził z Siedlec, miał podobnie ciężkie warunki życiowe jak ja, źle odżywiany, o słabej budowie ciała, później dostał rozstroju nerwowego i zastrzelił się w Wilnie, gdzie studiował. Przygotowywaliśmy się cały miesiąc, trenując w biegach. Na zawody naprzyjeżdżało wielu sportowców cywilnych i wojskowych. Padł strzał, ruszyliśmy. W ciągu 3 kilometrów byłem tuż tuż najdzielniejszego sportowca wojskowego. Pozostało już tylko 200 metrów finiszować na

szerokiej alei w parku. Napiąłem wszystkie mięśnie i dałem kilka takich susów, że w mgnieniu oka olbrzym został w tyle. To samo uczynił kolega. Odbiegłem od wszystkich innych jakieś 10 metrów; otrzymałem dwie nagrody: przechodnią i pierwszą. Kolega uzyskał drugą nagrodę. Startowało nas 27. Trasę 3.200 metrów przebiegłem w 8 minut 46 sekund. Radość była wielka. Następnego roku zdobyłem również pierwsze miejsce i nagroda stała się moją własnością.

W tym roku w Ciechocinku powodziło się lepiej. Skończyłem przy uniwersytecie kurs masażu, przeto na samych masażach zarobiłem około 1.000 złotych. Najlepiej zarobiłem po skończeniu trzech kursów medycyny. Przeczytałem Miecznikowa, również pracę Brouvo-Secarda, Lichtenszterna, Sztejnacha, Woronowa i Jaworskiego z Paryża. Na podstawie tych prac wygłosiłem w 1926 r. odczyt na temat „Kres życia, przedłużanie życia i odmładzanie według najnowszych teoryj". Za same bilety otrzymałem przeszło 600 złotych.

Przygotowałem drugi odczyt z pokazami oddziaływania solanek ciechocińskich (na żabach). Każdy z uczestników mógł się przekonać, jak oddziaływują solanki na naszą skórę i zakończenia nerwów czuciowych i jak to oddziaływuje na przemianę materii, od której zależy nasza energia, zdrowie i kwitnący, czerstwy wygląd.

Odczyt ten dał mi około 500 zł dochodu.

Jeszcze miałem tego lata jeden odczyt „Artretyzm, jego powstawanie, następstwa i leczenie", który dał znów około 400 zł dochodu. W ciągu 4 miesięcy (sezon) zarobiłem 2.500 zł. Prócz tego wyżywiłem się i kupiłem rzeczy, jak: bieliznę, kołdrę, prześcieradła i t. p.

W roku 1927 pracowałem tylko trochę w Ciechocinku i wyjechałem do majątku w Rypińskim, tam dokonywałem zastrzyków choremu, którego leczyli prof. Mazurkiewicz i dr. Bernsztejn. Przyjechałem do Ciechocinka z odczytem na temat: „Wydzielanie kwasu solnego w żołądku pod wpływem picia solanki Nr. 8, 10 i 12".

Doświadczenia swoje przeprowadzałem na uśpionych psach, którym wycinałem półkule mózgowe (w ten sposób izoluję zwierzę, bo po wycięciu półkul mózgowych znoszę tym samym wszelkie wpływy na wydzielanie kwasu solnego w żołądku, zależnego tak bardzo od wszelkich bodźców zewnętrznych i nastroju psychicznego zwierzęcia).

Pracowałem cały rok jako wolontariusz na fizjologii u prof. Czubalskiego i razem z p. dr doc. Gutowskim, dr Walawskim dokonywaliśmy wielu doświadczeń. Tego rodzaju pracę doświadczalną przeprowadzałem zarówno na żabach, jak i na psach, pierwszy we wszystkich naszych zdrojowiskach. Nawet wydzielanie żółci pod wpływem wód krynickich zostało przeprowadzone na zwierzętach w roku 1930 i 1931.

Wróćmy do spraw rodzinnych. Brat Stach został ranny, był w niewoli austriackiej. Po powrocie do domu wstąpił do wojska polskiego, a po zwycięstwie nad bolszewikami wrócił do domu i pracował jako urzędnik w dy-

rekcji P. K. P. w Radomiu. Był jeszcze kawalerem. Mieszkała u niego przez dwa lata siostra Stasia i uczęszczała do seminarium nauczycielskiego w Radomiu i tam ukończyła 4 kursy. W 1927 roku przeniosłem siostrę do seminarium nauczycielskiego w Świsłoczy, a to dlatego, że dyrektorka seminarium w Radomiu dowiedziała się o mojej współpracy z chłopami i młodzieżą wiejską na terenie pow. kozienickiego i z tej racji w klasie wobec uczennic czyniła siostrze mojej wymówki; Stasia niewinnie a boleśnie za mnie cierpiała.

Cała sprawa rozpoczęła się od tego, że dowiedziałem się, iż majątki mojej gminy P. bardzo mało ponoszą ciężarów, jak podwody, szarwarki i t. p. Przypadały akurat wybory wójta. Namawiano mnie, żebym poparł kandydaturę właściciela majątku Ś. W. pana P. i w tym celu pojechałem do P. na wybory ze ś. p. Z., któremu robiłem masaże. Po przyjeździe na wybory wraz z chłopami przeciwstawiłem się kandydaturze pana P. Komisję wyborczą, mianowaną przez zastępcę starosty, usunąłem. Zaproponowałem komisję bezstronną, składającą się z przedstawicieli wszystkich warstw. Wystawiłem na wójta solidnego chłopa i tego przeprowadziliśmy. Było to jesienią; pomimo deszczu, błota i zimna przeszło 800 chłopów do godz. 12 w nocy stało pod gminą, czekając na wynik obliczenia głosów. Skutek był taki, że zastępca starosty wyleciał z Kozienic za nieprawidłowe wybory. Ś.p. Z., obrażony na mnie, odjechał i musiałem iść nocą po błocie do swego domu. Nazajutrz pan Z. przysłał mi należność za masaże i skończyła się moja praca.

O mojej roli przy wyborach wójta doniesiono dyrektorce seminarium, a ta mściła się na siostrze Stasi za moje czyny. Takie ustosunkowanie się do Bogu ducha winnej uczennicy zmusiło mnie do przeniesienia siostry do Świsłoczy. Marysia, młodsza siostra, uczęszczała do klasy V-ej w Warszawe. Mieszkanie i życie dawali jej szwagrowie, którzy się już trochę dorobili i mieli swój zakład krawiecki.

Szwagier K. jest ze wsi z naszych stron; jest to dzielny, energiczny i uczciwy człowiek. Dopomagali nam dużo oboje. Że sześć osób wyszło nas z chłopskiej chałupy (troje ukończyło wyższe zakłady naukowe, a troje średnie), duża ich w tym zasługa. Oprócz tego szwagier wyszkolił już przeszło 30 czeladników, a więc 30 ludziom dał chleb i sposób do życia. Prowadzi on wytwórnię wojskowych i cywilnych ubrań. W tym roku szwagier otrzymał w pięciu oficerskich szkołach dostawy na umundurowanie młodych oficerów, co aż do wściekłości doprowadziło firmy żydowskie, które wzburzyły pracowników żydów, a ci znów chrześcijan. Razem zażądali podwyżki i zastrajkowali. Obecnie zatrudnia dużo wojskowych i razem z nimi złamał strajk proklamowany przez żydów i nadal od strony przemysłu buduje Polskę naprawdę mocarstwową.

Brat Stefan w wojsku ukończył 6 klas szkoły średniej i po wygaśnięciu kontraktu podoficera zawodowego powrócił do domu. Zabrałem go do Warszawy i chodził na kursy wojskowe maturalne. Sam jako student IV

kursu medycyny pomagałem Stasi, utrzymywałem Stefana i opłacałem za jego naukę, a rodzice z ledwością mogli 50% pomagać najmłodszej siostrze Emilii (obecnie studentka U. W.). Kilka mórg ziemi sprzedali na pokrycie kosztów związanych z nauką Stasi i Emilci; najstarszemu bratu Władkowi odpisali 15 mórg, na których pozostał i gospodarzy.

W ten sposób jedni drugim pomagając, stopniowo o głodzie, chłodzie i niedostatku i ustawicznym braku wszystkiego przebrnęliśmy najcięższy okres naszego życia i dzisiaj żadne z nas nie boi się przyszłości, bo jest z biedą i w biedzie wychowane. Nie przeraża nas, ani nie wstydzi żadna praca, nie przestraszy żadna burza życiowa i nic w nas nie zabije tych wartości, jakie nabyliśmy w ciągu życia. Nie złamie w nas hartu zdobytego w walce z przeciwnościami.

W czasie studiów parę razy do roku przyjeżdżałem do rodziców. Okoliczni mieszkańcy zaczęli się do mnie zgłaszać po porady. Ponieważ w czasie studiów bywałem zawsze na wszystkich wykładach nie tylko pp. profesorów, ale i docentów, a nawet asystentów i to zarówno na obowiązkowych, jak i nieobowiązkowych, oprócz tego od razu przerabiałem i przygotowywałem wykłady, przeto, choć byłem studentem, poziom mej wiedzy teoretycznej a nawet praktycznej sięgał i dorównywał lekarzowi. Nic też dziwnego, że leczenie moje było bardzo trafne, pomagało. To też, jak tylko przyjechałem do domu, zaraz schodziło się 20 - 30 chorych. Biednych leczyłem darmo (jak i obecnie), z bogatych brałem po 2 złote, zatem, jak przyjąłem 30 chorych, zarabiałem 45 - 50 zł (odliczając biednych oraz dawane im lekarstwa). 10 dni pobytu na świętach u rodziców dawało mi 450 - 500 złotych.

Oprócz tego ciężkie i zaniedbane przypadki zabierałem bezpłatnie do Warszawy, umieszczałem w szpitalu, starałem się, żeby leczenie było szybkie, tanie i staranne. Ja zyskiwałem na tym bardzo dużo: pomagałem i ułatwiałem choremu, umieszczałem zwykle w klinikach, gdzie pp. profesorowie, docenci i asystenci na moją prośbę dokładali wszelkich starań i chorzy po operacjach czy innym leczeniu wyjeżdżali do swych domów zdrowi i zadowoleni. Ja natomiast poznawałem metody, jakimi leczono takie choroby. Od II-go kursu do absolutorium przywiozłem na leczenie z naszych stron przeszło 100 chorych. Wszyscy wyjechali z poprawą albo całkowitym wyleczeniem, oprócz jednej osoby zmarłej na złośliwą anemię.

Ta naprawdę pożyteczna dla wszystkich stron praca nie podobała się dr K., który o półtora roku wcześniej ode mnie ukończył medycynę w Warszawie i osiadł w miasteczku G. Ja byłem już po absolutorium, nie miałem obowiązku uczęszczania na wykłady, więc co miesiąc wpadałem do rodziców na kilka dni. Zarobiwszy 200 - 300 zł, wracałem do Warszawy z chorymi i przygotowywałem egzaminy dyplomowe. Dr K. oskarżył mnie za bezprawne leczenie i, prócz skargi do władz administracyjnych, drugą przysłał do dziekanatu wydziału lekarskiego w Warszawie. Zarówno w jednej jak i drugiej skardze nałgał, ile chciał. Sam postępował nieetycznie.

Np. ja chcę zabrać kobietę do szpitala, bo jest rak żołądka, on drze mój list, żąda od niej 150 zł, ręczy, że ją całkowicie wyleczy. Leczy długo, pieniądze bierze, rak daje przerzuty, chora umiera. Podobnych przypadków miałem 14. Opierając się na takich faktach, skargę K. skierowałem do Sądu Okręgowego w Radomiu, podałem za świadków rodziny wszystkich nieżyjących chorych i sąd unieważnił wyrok Starostwa, wydany w Kozienicach, skazujący mnie na 100 zł kary.

Po tej sprawie motywy wyroku sądu okręgowego przedłożyłem w wydziale lekarskim uniwersytetu, który w ten sposób mógł ocenić nie tylko pojemność wiedzy lekarskiej, nagromadzonej w czasie siedmioletnich studiów przez d-ra K., ale przekonać się o jego specjalnej etyce lekarskiej. Wydział sprawę umorzył.

Dnia 30 czerwca 1930 r. uzyskałem dyplom lekarski. Gdy w czasie uroczystości koleżanki i koledzy otrzymywali od swych rodzin i znajomych po kilkanaście bukietów najpiękniejszych róż, mnie ofiarował mój serdeczny kolega dr F. C. (z którym kiedyś uczyłem się i jadałem z nim pieczone kartofle) — duży kolący oset. Symbolizował on kolczaste moje życie, upływające nie wśród róż i kwiatów, ale pośród ostów, cierni i głogów, które ustawicznie raniły ciało, wbijały się w duszę. Ja mu znów przygotowałem dużą pokrzywę, bo życie jego choć było znośne i możliwe, ale doznawało też wielu przykrości, które sprawiały mu ból.

Opuszczając mury uniwersytetu, ostem i pokrzywą zwracaliśmy powszechną na nas uwagę tysięcznej publiczności, przybyłej na promocję swoich znajomych i krewnych. Wszyscy spoglądali i czytali w naszych oczach i twarzach, że nie kwiaty nam w życiu uprzyjemniały czas, nie róże upajały nas swym czarującym widokiem i ponętną wonią, ale zmuszeni byliśmy staczać gigantyczne boje nie o pieniądze i zaszczyty, nie o dobrobyt i przepych, ale o zwykły i, zdawałoby się, łatwo dla każdego dostępny, a tak upragniony pokarm duchowy.

Po otrzymaniu dyplomu zakończyłem formalnie tylko naukę i pracę nad samym sobą i dla siebie. Przechodzę w okres, w którym zdobytą wiedzę trzeba poświęcić dla dobra cierpiącej ludzkości i dla wydziedziczonej z praw warstwy chłopskiej, spośród której wyszedłem. Nadmienię jeszcze, że w czasie studiów lekarskich od początku do końca byłem „starostą“, t. j. układałem z profesorami i uzgadniałem godziny wykładów, pracy w klinikach. Byłem łącznikiem między kolegami a Wydziałem Lekarskim. Byłem członkiem komisji rewizyjnej Koła Medyków i przez dwie kadencje członkiem sądu koleżeńskiego. Innych godności piastować nie mogłem, bo czas nie pozwalał mi na to.

Za moją sprężystość i szybkie decyzje koleżanki i koledzy przezwali mnie „generałem“, może wiązali ten pseudonim z moją szarżą wojskową, bo na naszym roku, jako podporucznik rezerwy, byłem najstarszy szarżą.

Kończąc ten okres, pragnę wyrazić wdzięczność panu Raczyńskiemu, długoletniemu dyrektorowi zakładów kąpielowych w Ciechocinku, który

przez łaskawe zaofiarowanie mi posady w sezonach letnich, wybitnie przyczynił się do tego, że dziś jestem lekarzem. Oprócz tego, gdzie mógł, ułatwiał mi pracę, pozwalał na odczyty w poczekalni łazienek, przysyłał mi wodę z solanek do doświadczeń na psach.

Z pobytu w Ciechocinku mam miłe wspomnienie. Mianowicie w roku 1926 departament zdrowia zdecydował, żeby 800 tysięcy, jakie zarobiły zakłady kąpielowe w Ciechocinku przekazać na rozbudowę zakładu zdrojowego w Krynicy. Wobec takiego zarządzenia zakłady w Ciechocinku nie mogłyby wywiercić studni, aby bezpośrednio wydobywać gorącą — radoczynną solankę. Za zgodą dyrektora Raczyńskiego zwołałem w tej sprawie ogólne zebranie właścicieli will w Ciechocinku i przygotowałem przed tym memoriał do ministra spraw wewnętrznych Młodzianowskiego. Na tym zebraniu zostałem wybrany przez mieszkańców Ciechocinka na delegata do pana ministra. Po przedstawieniu memoriału pan minister obiecał cofnąć decyzję, co też uczynił, a przez to Ciechocinek przeprowadził wiercenie studni głębokiej na 1.200 metr., z której wydostaje gorącą solankę 45° C. Dzięki temu rozwija się pomyślnie i słynie u nas i za granicami, jako polskie kąpiele cieplicowe.

Okres pracy po dyplomie.

Od czwartego kursu medycyny wieczorami uczęszczałem do kliniki celem uzupełnienia wiadomości lekarskich, przyswojenia techniki badań i zabiegów. Stopniowo pracowałem dodatkowo (poza fizjologią): 6 miesięcy na neurologii, 3 miesiące na psychiatryce (u Jana Bożego), 3 miesiące na laryngologii, 4 miesiące na pediatrii (klinika chorób dziecięcych), 6 miesięcy na internie (Szpital Św. Ducha), 6 miesięcy na małej chirurgii, 2 miesiące na dermatologii (klinika chorób skórnych), 1 miesiąc na medycynie sądowej, a po otrzymaniu dyplomu 6 miesięcy pozostałem w klinice położniczo-ginekologicznej. Pracę w klinice położniczej rozpocząłem latem. Lekarze, asystenci i docenci wyjeżdżali na urlopy, wobec tego było dużo zajęć i w ciągu 6 miesięcy mało opuszczałem klinikę; tam jadałem i sypiałem, to też zdobyłem wówczas gruntowne podstawy, jak również opanowałem dobrze technikę operacyjną i leczniczą.

Potem wyjechałem do Kasy Chorych w Inowrocławiu i tam rozpoczął się okres samodzielnej mojej pracy, związanej z proletariatem miejskim i wiejskim. Chorych przyjmowałem w gabinecie znakomitego lekarza i człowieka dra M. Kasa Chorych w zaborze pruskim była postawiona na bardzo wysokim poziomie i oparta na zdrowych podstawach. Żałuję bardzo, że pan minister Prystor i jego szwagier dr Bokun, niegdyś lekarz naczelny Kasy Chorych, reorganizując Kasę Chorych nie oparli jej na wzorach zaboru pruskiego, lecz powprowadzali niezdrowe rządy komisarzy i ze szlachetnej instytucji, mającej służyć interesom i zdrowiu mas, uczynili partyjne kapliczki.

W Inowrocławiu ubezpieczeni początkowo nie mieli przekonania do młodego „królewioka“, ale gdy ich zacząłem traktować nie jako lekarz, lecz jako najwierniejszy przyjaciel, dbający nie tylko o ich zdrowie, ale i warunki pracy, mieszkanie, odżywienie, a w dodatku wykorzystywałem wszystkie środki, jakimi tylko rozporządzała Kasa Chorych, zdobyłem w ciągu miesiąca czasu ogromne zaufanie. Od rana do nocy byłem nie tylko zajęty, ale oblężony przez chorych. W pierwszym miesiącu wyrobiłem około 800 punktów, w drugim 1.500, a w trzecim przeszło 2.000. Wolno było tylko 1.500. Powyżej 1.500, dwa punkty liczyły się za jeden; w ten sposób lekarze bronili się przed konkurencją. Dr M., jeden z najpopularniejszych lekarzy w Inowrocławiu, wyrabiał miesięcznie 1.100 - 1.200 punktów. Gdy córki doktora M. wyraziły życzenie, żebym poszedł do teatru i rozerwał się trochę, upłynęło trzy tygodnie, zanim znalazłem swobodny wieczór. Po powrocie z teatru musiałem zaraz jechać samochodem kasowym do chorego.

W środku Inowrocławia znajduje się wysoki duży młyn o 4 piętrach. Młyn ten zakupił magistrat miasta i w nim lokował bezrobotnych i bezdomnych. Zamieszkiwało go przeszło 120 rodzin; duże sale poprzegradzane ścianami z desek na małe, a w każdej małej 2 - 3 rodziny, zależnie od liczebności rodziny. 90% zamieszkujących ten młyn zwany „piekło“ (bardzo słuszna i właściwa nazwa) były to rodziny fornali, którzy po utracie zdrowia i sił w majątku, zostali wyrzuceni. Sprzedawali cały swój inwentarz, przychodzili do Inowrocławia, kupowali lokatorne na rok czasu, po przemieszkaniu jednego roku zostawali na mocy tamtejszej ustawy zaliczani do mieszkańców miasta i stawali się ciężarem magistratu. Panujących tam warunków nie jest zdolne opisać żadne pióro najgenialniejszego pisarza i jeżeli jeszcze to „piekło“ istnieje w Inowrocławiu w takim zaniedbaniu i zaludnieniu, jak w 1930 - 1931 r., warto by wydelegować specjalnie jakiegoś człowieka z sercem i duszą, aby ujął we właściwą formę i przedstawił społeczeństwu dno nędzy ludzkiej, upadku moralnego oraz najgorszych granic, w jakich jeszcze człowiek, jako istota rozumna żyje i rozmnażać się może. Podkreślę jeszcze, że mieszkali oni nie tylko w tych mieszkankach i na poddaszach, ale i w korytarzach, na zakrętach schodów, w bramie na parterze, a ściany tego pseudomieszkania były z worków, starych palt, spódnic i t. p.

Zwiedzałem w 1933 r. domy noclegowe dla bezdomnych w Warszawie oraz mieszkania bezdomnych w Radomiu, ulokowanych w wagonach kolejowych, ale to są pałace w porównaniu z mieszkaniami „piekła“ w Inowrocławiu. Ilekroć przejeżdżałem koło „piekła“, tyle razy wstępowałem, bo pełno tam było chorych. Gdzie mogłem, pomagałem. Robiłem zastrzyki, dawałem lekarstwa. O ciężej chorych atakowałem magistrat, by ich przewieźć do szpitala, ale to była kropla miodu włożona do oceanu bezkonkurencyjnej nędzy i bydlęcego życia 130 rodzin (około 900 osób).

Jak tylko mój samochód czy konie zatrzymały się przed „piekłem“,

prawie każdy tam zamieszkujący wyłaził z gniazda, żeby mnie spotkać. Kilo cukierków najtańszych i najdrobniejszych z ledwością obdzieliło dziatwę, która lgnęła do mnie, jak zgłodniałe muchy do miodu. Nawet na zmarszczonych i wybladłych twarzach rodziców wyczytać można było radość i jakąś ulgę. Cieszyli się z mego przyjazdu, a tłum bywał tak wielki, że przedrzeć się do chorych nie mogłem. Mężowie mnie prosili do żon, rodzice do dzieci, albo dzieci do rodziców. Gdy po zbadaniu i daniu lekarstwa (zwykle kasowe woziłem) zostawiałem dla chorego 50 groszy na kupienie coś lepszego do zjedzenia, często łzy, jak perły, spływały z podsiniałych oczu wynędzniałej matki, po żółtym często, jak wosk, obliczu... Wówczas po zaciśnięciu pięści, zgryzieniu warg, wypowiadałem „psiakrew" i z przekleństwem takiego ustroju społecznego, z sączącą raną w duszy opuszczałem „piekło", żegnany przez sterane pracą, sponiewierane przez „chore ustawy socjalne" 130 chłopskie bezrolne rodziny.

Ile uczciwe moje leczenie dawało pożytku i zadowolenia ubezpieczonym, tyle nienawiści wzbudzało ono do mnie wśród personelu pomocniczego w samej Kasie Chorych. Od rana do nocy mieli tylko zajęcie z moimi chorymi, jak stawianie suchych baniek i to 50 - 60 (tam tego lekarze nie stosują), diatermie, inhalacje, lampy kwarcowe, sollux, płukanie żołądka, pęcherza, lewatywy, irrygacje w chorobach kobiecych, lapisowanie owrzodzeń kobiecych, tampony. Jednym słowem stosowałem wszystko, co tylko mogłem i co uważałem za wskazane i konieczne, nie licząc się z nikim i z niczym. Tego rodzaju leczenie dawało jak najlepsze wyniki i według mego obliczenia było tańsze od leczenia powolnego, które nie tylko często nie wyleczało, ale rozdrażniało chorego. Wice-naczelnik G. począł przyczepiać się do mnie i dawać mi pouczenia, jak mam ordynować leki i jak leczyć chorych. Rozgniewany powiedziałem mu kilka mocnych a dosadnych słów i w maju 1931 roku powróciłem w swoje rodzinne strony. Osiadłem w G., w której do tej pory praktykuję, a swoboda i niezależna praca daje mi całkowite szczęście i zadowolenie o jakim marzyłem.

Opuszczając Inowrocław byłem żegnany przez tłumy robotników, którzy ze swoich szczupłych zarobków zakupili (niepotrzebnie) bukiety kwiatów, aby w ten sposób wyrazić swoją wdzięczność. Mieszkańców „piekła" przybyło conajmniej 50%. Moment ten ustawicznie żyje w mojej pamięci.

W swoich stronach już miałem ustaloną opinię, to też nie potrzebowałem czekać na chorych. Chcąc zdobyć jeszcze więcej techniki operacyjnej oraz oprzeć się o szpital, pracowałem rano w szpitalu w Radomiu, a po południu przyjmowałem chorych. Oparcie się o szpital ułatwiało mi pracę, bo w razie operacji jechałem zaraz z chorym do szpitala, robiliśmy operację, cały czas pacjent korzystał z najtroskliwszej opieki zarówno lekarskiej, jak i personelu szpitalnego. Uważałem i uważam za swój obowiązek, że jak chory dostanie się w moje ręce, kim by on nie był, bogaty czy biedny, bez różnicy wyznania, nie wypuszczę go ze swoich rąk, aż musi być wyleczony (o ile tylko jest do wyleczenia).

Jeżeli chory jest zupełnie biedny, a potrzebuje operacji, daję zaświadczenie do gminy, żeby go wysłała na swój koszt. Jak gmina nie chce, zaraz atakuję starostę, aż muszę wystarać się o pomoc na leczenie. Gdy raz przyjechał do mnie młody Żyd (z miasteczka G.) przebity nożem, ponieważ zagrażało mu niebezpieczeństwo życia, szpital w Radomiu z powodu remontu był zamknięty, najlepszy lekarz chirurg na urlopie, pozostawiłem kilku pacjentów i osobiście przywiozłem biednego Żyda do szpitala św. Ducha w Warszawie. Zaraz w nocy, w tej prawie chwili, dokonana była operacja. Wprawdzie pacjent miał przebite kiszki, nastąpiło wylanie się kału do otrzewnej i śmierć, ale do ratowania życia nie straciłem ani jednej minuty i wszystko było uczynione, co było w mojej mocy.

Dziś mam tak wielką praktykę, że nie mam czasu jeść, spać, nie gram w karty, bo każdą w ten sposób straconą godzinę, uważałbym za krzywdę wyrządzoną ludzkości. Jeszcze nigdy, gdy byłem wolny, nie odmówiłem nikomu pomocy i nigdy nie prowadzę targów o zapłatę za poradę czy operację. I choć często jestem naciągany, to jednak nie sądzę źle tych ludzi. Ci młodzi, o których napiszę, a którzy są przeze mnie wychowani, tego już nie zrobią. Leczę każdego, najbiedniejszego nędzarza, który dostaje często lekarstwo i na lekarstwo, leczę chłopów, robotników, wyrobników, obszarników, inteligencję i rodziny ministerialne.

Nie mam na swoich drzwiach gabinetu oznaczonych godzin przyjęć i śmieję się w duszy, gdy takie rady daje mi (z dobrego serca) inteligencja. Śmieję się, gdy pytają, dlaczego nie podniosę honorarium, które u mnie jest od 50 gr do 4 zł. Wówczas odpowiadam: jako syn chłopa mógłbym być niczym, wyrobnikiem, pijakiem, bezrobotnym i bezdomnym, jestem lekarzem, a jestem nim dlatego, że w życiu spotkałem wielu ludzi dobrych i szlachetnych oraz czułych serc na biedę drugich; to wszystko, co od nich doznałem: ta każda bułeczka wkładana mi dyskretnie do ławki, książka, korepetycja, wszystkie ulgi stosowane dla mnie i dla mej rodziny — to jest ciążący na mnie dług społeczny. Największym szczęściem jest dzisiaj dla mnie spłacanie (może z procentem) społeczności zaciągniętych zobowiązań; może to, co ja teraz robię, będzie kapitałem zakładowym, który przez tych, którym pomagano, zostanie spłacony innym w trakcie upływającego życia ludzkiego.

W gabinecie nie tylko jestem lekarzem, ale prawnikiem, gdyż ludność zwraca się do mnie z różnymi bolączkami, jak kary za sacharynę (przeszło 60 kar od 30 do 100 zł plus 1 - 4 tygodnie aresztu), za kompoty (38 kar 50 - 100 zł, 1 - 4 tygodnie aresztu), kary za tytoń, psa, drabinę i co w takiej sprawie mogę zrobić — robię.

Bywam też i sędzią. Np. pobici przyjeżdżają po świadectwa: po paru minutach przemówienia godzę strony, całują się u mnie w gabinecie i wybaczają sobie winy popełnione ze zdenerwowania. Wiosną b. r. przyjechała do mnie ze wsi M. rodzina K. — 4 synów i matka. Pobili się i pokrwawieni przyjechali. Wpuściłem zbroczonych krwią do gabinetu i zapyta-

łem o powody. Okazało się, że sprawy majątkowe były przyczyną. Ojciec już nie żyje, dwuch braci chciało stawiać chałupę, dwuch nie chciało znów im pozwolić. Od słów doszło do czynów. U mnie zaczęli się kłócić, uspokoiłem ich i po przemówieniu zaraz u mnie darowali sobie winy, całowali się jak bracia nigdy nie poważnieni, przepraszali pobitą matkę i wszyscy płakali ze wzruszenia. Opatrzyłem i obandażowałem darmo wszystkie rany. Nazajutrz pojechałem do ich wsi specjalnie. Poprosili jeszcze dwóch sąsiadów, zbadaliśmy sprawę i wydali wyrok, który został przyjęty. Ci dwaj bracia postawili chałupę, w której mieszkają.

Albo przyjeżdża kobiecina J. ze wsi Ł. z olbrzymim ropieniem dłoni. Nie miała pieniędzy, sprzedała za 100 złotych ostatnią krowę (choć rodzina jej liczyła 6 osób). Krowę wziął żyd — wykorzystał, bo jej były potrzebne pieniądze na operację. Operację zrobiłem i grosza nie wziąłem. Żyd musiał pieniądze przyjąć, a krowę zwrócić. Około 100 spraw rozstrzygnąłem bez sądu i kosztów, a najważniejsze, że poważnieni przeproszą się i żyją w zgodzie. Czasem za jakąś sprawę pomyślnie załatwioną (to było na początku) przynosił mi zainteresowany trochę jaj, masła, miodu, ale nigdy nie przyjąłem i wyjaśniłem, że nie za miód i jaja lub masło robię, ale czynię to z obowiązku jako syn wsi, który sam kiedyś cierpiał i dziś z tą wsią czuje wszystkie jej bolączki; przyjęcie daru byłoby dla mnie przykrością i nie przełknąłbym tego, wiedząc, że to jest owoc ciężko zapracowany, albo może odjęty od ust biednej matki czy jej dziecka. Mnie dzisiaj nic nie brakuje. I teraz już mi nikt podarunków nie przynosi, bo wie, że moja godność nie pozwala mi przyjmować.

Praca w dziedzinie zdrowia wsi i organizacji.

Ciężkie warunki ludzi wsi, duże podatki, obciążanie chłopa coraz nowymi ciężarami oraz nieproporcjonalna rozpiętość cen pomiędzy produkcją rolniczą a wyśrubowanymi cenami rekinów kartelowych, wpłynęły, że wieś przestała, bo nie może się leczyć. Np. przed wojną dniówka w szpitalu wynosiła 40 kop., a metr żyta 4 ruble; za jeden metr żyta chory mógł leżeć w szpitalu 10 dni; obecnie metr żyta 10 złotych, a szpital dziennie 10 zł, plus oddzielnie prześwietlenia, analizy krwi, a często trzeba prywatnie kupić (leżąc w szpitalu) jakieś droższe zastrzyki i lekarstwa. Wobec tego wieś choruje, karłowacieje i wymiera, bo w dzisiejszych warunkach wieś jest tylko do dawania rekruta, płacenia podatków, ale nic w zamian nie otrzymuje. Nawet do tej pory nie tylko nie miała opieki władz administracyjnych, ale odwrotnie, przez administrację, łącznie z urzędami skarbowymi, często była prześladowana. Jako członek Polskiej Akademickiej Młodzieży Ludowej, organizacji, która wybitnie przyczyniła się do zjednoczenia stronnictwa ludowego, a wreszcie jako pilny obserwator życia wiejskiego, doszedłem do wniosku, że wieś musi się wyzbyć wszystkich swoich opiekunów, wziąć się do twórczej pracy, pójść swoją

chłopską drogą, oparta tylko o własne chłopskie siły (za tych nieszczerych opiekunów uważamy część kleru i pewien procent nauczycielstwa).

Już studiując pracowałem w Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici". Po przyjeździe w strony rodzinne, stwierdziłem, że w powiecie było 5 mało czynnych kół tej młodzieży. Natychmiast wziąłem się do pracy, w 1931 roku zostałem prezesem powiatowym, a w 1932 r. prezesem województwa kieleckiego i do tej pory bez przerwy pracuję. Obejmując swój urząd miałem w województwie kieleckim 160 kół czynnych, dzisiaj mam 483, a sam powiat kozienicki liczy 51 kół. Ten owocny wynik i rozrost organizacji wiciowej w woj. kieleckim zawdzięczam również koledze C. J. (kierownik Z. M. W. „Wici" woj. kieleckiego, były kleryk), który oddał się duszą i ciałem na usługi wsi.

żmudna to była praca. Najpierw trzeba było wyszkolić zastępy młodzieży przez kursy szkoły rolniczej i rolniczo handlowe oraz spółdzielcze. Kursy organizujemy sposobem spółdzielczym: każdy wiciowiec daje dwa - trzy kg żyta lub pszenicy, które to zboże zostaje przemielone i wypieczony chleb. Resztę zboża sprzedaje się i kupuje się świniaka, zabija i w ten sposób przez 7 dni wyżywimy 100 - 130 osób. Na koszty podróży dla prelegentów każdy płaci 50 groszy. W tym roku zostało nam jeszcze 20 zł gotówki. Wszystko to robią sami wiciarze.

Nie mieliśmy pieniędzy, utworzyliśmy fundusz stypendialny, na który składały się dobrowolne ofiary ludzi z nami związanych (np. opłaty t. zw. „czepkowe" — każda wiciarka lub wiciarz, wychodząc za mąż, lub żeniąc się, wpłacali na fundusz 5 zł najmniej). Za złożenie życzeń imieninowych przez koło 50 gr, no i moje prywatne pożyczki, udzielane corocznie członkom „Wici" wyjeżdżającym na naukę.

Zaczęliśmy od kursów oświatowych na prelegentów w całym województwie. Były to kursy 2 - 7 dniowe, początkowo o niższym, a później o wyższym poziomie. Ja wszędzie wykładałem ze swej dziedziny i jak przyjeżdżam na taki kurs w mieszkaniach jest zwykle 200 - 400 osób. Zwołuję chorych, którym zdrowie zabrała machora, rozbieram, pokazuję klatkę piersiową i szczegółowo omawiam szkodliwość papierosów, to też w kozienickim 75% wiciarzy zupełnie nie pali, a w zarządzie powiatowym na 15 osób pali papierosy dwie. 50-letni chłopi, nałogowi palacze papierosów po takim kursie rzucali palenie. Dalej znoszą mi małe dzieci blade, rachityczne; pokazuję zebranym, daję wskazówki i podkreślam wady w wychowaniu (mało powietrza, owoców, jarzyn), zapisuję lekarstwa bezpłatnie. Mówię o chorobach płuc, higienie, chorobach kobiecych, wychowaniu, stosunku człowieka do człowieka. Oprócz tego jeździmy do wsi, oglądamy także mieszkania, pościel, odzież, czystość dzieci, ustępy i t. p.

Nic też dziwnego, że idąc po takiej linii zwyciężamy wszystkie przeszkody, jakie były. Odparliśmy wszystkie ataki i zawsze z wielką stratą dla atakujących, jak z rozpolitykowaną policją (wybory do sejmu), częś-

cią nauczycielstwa, no i zacofanego w większości kleru. W walce naszej nie stosowaliśmy innej metody, jak tylko: oświata, miłość bliźniego i uczciwa, a zawsze samodzielna praca. Choć mieliśmy w ciągu trzech lat tyle pracy, podołaliśmy jej. Obudziliśmy wieś, powiązali ją ogniwami różnych organizacyj, jak np. przysposobienie rolnicze, za które „Wici“ w naszym powiecie rok rocznie biorą nagrody, a w ciągu dwu lat nagrody I-e. Hasłem naszym było przygotowanie wsi i oparcie życia na spółdzielczości. W tym roku powrócili ze szkół wiciarze wychowani w naszej koleżeńskiej atmosferze, a nasiąknięci nawskroś naszą ideą „Wici“. To też otworzyliśmy spółdzielnie spożywcze, prowadzone przez wiciarzy we wsiach: K. W., Z., P. W., i J. — (moja wieś rodzinna), a wiosną powróci jeszcze pięciu wiciarzy ze szkół handlowo-spółdzielczych i otworzy spółdzielnie we wsiach Z.S., W., C. i G. D. Jak w naszych stronach powiatu kozienickiego ludność przejęta jest spółdzielczością niech posłuży fakt, że czynne już 4 spółdzielnie przed świętami Bożego Narodzenia utargowały od 1.500 - 3.000 złotych każda. W P. W., choć od miasta jest 3 kilometry, ludność nie mogła się pomieścić, sprzedawano trzy dni i trzy noce bez przerwy. Ponieważ nie mieli dużo pieniędzy w obrocie, to jedni jeździli po towary, a drudzy sprzedawali.

Latem w naszych stronach każdy gospodarz sadzi nieraz 0,5 do 2 mórg truskawek, których nie sprzedaje żydom, ale sam; albo handlują nimi młodzi wiciarze. Mam wiciarzy handlujących sadami, którzy zarobili po parę setek złotych, mają jeszcze po 300 kg suszonych śliwek. Obecnie kładziemy wielki nacisk na zakładanie sadów, a wiosną na wysadzanie dróg drzewami.

Jak higiena zrobiła duże postępy, niech posłuży fakt, że wiejska kobieta przyjeżdża do lekarza wymyta, w czystej, wyprasowanej bieliźnie i z zaplecionym warkoczem. Nawet małe dzieci, idące zbierać jagody lub truskawki obcinają paznokcie i myją ręce. Już cztery lata siedzę w G. i prawie każdej niedzieli wyjeżdżam do wsi z odczytami. Niewiele jest wsi w 14 gminach mego powiatu, w których jeszcze nie byłem. Oprócz kursów, pogadanek, urządzamy wspólne dożynki, dzielenie się opłatkiem, jajkiem i wytworzyliśmy taką spójnię i takie współżycie, że wszyscy razem czujemy się jedną wielką chłopską rodziną. Szykujemy apteczki wiejskie w każdej wsi. Trzy już jest.

Jest już w powiecie przeszło 100 młodych, których wszędzie mogę postawić i nie zawiodę się na nich. Sami już często beze mnie tworzą kursy oświatowe. Mam już 31 osób, które uważam za instruktorów. Jest komisja do spraw kobiecych, przysposobienia rolniczego, sekcja wychowania fizycznego. Prowadzimy sześć przedszkoli oraz pięć sklepów spółdzielczych przy szkołach z materiałami piśmiennymi. Prowadzą je same dzieci, pod kontrolą starszej młodzieży.

Teraz propaganda anty-alkoholowa. Wiciarzowi nie wolno się upić (jest uchwała); chrzciny, pogrzeby odbywają się bez wódki.

Byłem na pogrzebie w parafii Ł. u ś. p. koleżanki M., której ostatnim życzeniem było, żeby na jej pogrzebie nie pili wódki. Pogrzeb jej był wielką manifestacją młodzieży wiciowej — 14 wieńców złożonych przez związek sąsiedzki gminy G. i 500 młodzieży. Gdy wsłuchiwałem się w przemówienia młodzieży w domu, na granicy wsi i nad mogiłą, serce mi łkało i choć nie jestem skłonny do płaczu, uczułem wewnętrzny szloch mej duszy. Tak młoda wieś umiała przemówić, tak umieli sięgnąć do duszy ludzkiej i tak przemówić do uczucia. To też przemawiając rzekłem w zakończeniu, że spokojny jestem o przyszłość wsi naszej, a tym samym — Polski i każdej chwili, gdyby mi przyszło już umrzeć, ze spokojem zejdę do mogiły, bo wierzę, że skoro wy jesteście, nie pozwolicie zniszczyć tych pięknych krzewów i tego zboża, jakie posialiśmy na glebie, w którą wsiąkł nasz pot, nasza „kwiecista wiosna", nad którą stargaliśmy nasze mięśnie, kości, nerwy, siły nasze!

Podkreślić muszę, że związek nasz jest utrzymywany wyłącznie przez członków. Legitymacja członkowska kosztuje 1 zł rocznie. W 1935/36 r. postanowiliśmy w województwie kieleckim otworzyć 50 „spódzielni spożywców".

Nie zapominamy też o sztuce, inscenizacjach, śpiewach, robotach ręcznych; przez wspólne czytanie, dyskusje, wycieczki, zjazdy, kursy, pogłębiamy kulturę wsi. Mnie wszyscy nazywają kolegą, to też cała prawie tamtejsza inteligencja, jak kler, nauczycielstwo i t. p. oburza się, jak mogę na to pozwolić, żeby lekarz był kolegą chłopca wiejskiego lub wiejskiej dziewczyny. Przed wyborami do sejmu, wszyscy oni razem z władzami administracyjnymi uważali mnie za kandydata na posła i uważali, że działam, bo chcę pozyskać głosy. Naturalnie wiciarze śmieją się z tego, bo choć wielu z nich ma tylko 4 - 7 oddziałów szkoły, ale czytając różne rzeczy i kształcąc się dzisiaj więcej wiedzą, niż niejeden nauczyciel wiejski i ksiądz. To też przed wyborami władze administracyjne zaproponowały mi, gdy już wszystkie inne obietnice zawiodły, żebym zechciał kandydować na posła. Odpowiedziałem: „Szanowny Panie Władzo. Moje posłowanie jest w G., do tego stanowiska szedłem po twardej drodze życia 22 lata, włożyłem w to połowę swojej duszy i sił. Gdybym był materialistą, którym nie jestem, gdybyście płacili nie 1.000 zł miesięcznie, ale 5.000 zł, też nie chciałbym być posłem. Jeżeli wreszcie przyjmuję w życiu jakieś stanowisko, to tylko z woli ludu, ale nigdy z mianowania. Wybory obecne to fikcja, w której światu pracy, a szczególnie klasie chłopsko-robotniczej wyznaczono najbardziej lichą rolę. Moja matka i ojciec wychowali nas, śniąc o wolnej ojczyźnie; trzech nas (Stach, Stefan i ja) walczyło o wolność, a zwycięstwo okupiliśmy własną krwią — mimo to zostaliśmy zaliczeni do obywateli II klasy. Dokąd będzie istnieć i obowiązywać w Polsce konstytucja p. Sławka, dotąd nie może być mowy o jakiejś współpracy wydziedziczonych z praw obywateli z czynnikami rządzącymi". — Ta-

ką była moja odpowiedź na szczerą czy taktyczną propozycję „posłowania“ i na tym skończyła się nasza rozmowa.

Rola duchowieństwa wiejskiego.

Znaczną przeszkodą w rozwoju wsi jest duża część zmaterializowanego a zarozumiałego duchowieństwa na wsi. 1.000 lat „pracują nad ludem“ — niewiele zrobili, żeby go dźwignąć. Nad każdym uzurpują sobie władzę i nad każdym chcieliby mieć rolę nadrzędną. Nie ma niedzieli i nie ma ceremonii, obrzędu, żeby z tej okazji nie rzucali gromów na „wiciarzy“, a szczególnie na mnie, który jestem u nich komunistą, bezbożnikiem i prowadzę robotę wywrotową. Nawet jeden z nich ks. M. miał teraz odwagę napisać do mnie list i zapytać się, ile biorę za prowadzenie „Wici“. My nic im nie odpowiadamy, broniąc się wskazujemy na ich czyny i niech lud osądzi. Np. ś. p. ks. J. w mojej parafii P. za trumnę, jak stała przy ołtarzu, brał 200 zł, na środku kościoła 150 zł, a pod chórem 100 zł. Ks. F., jak wyjeżdżał z Ł., majątek jego przewoziło 33 fury chłopskie. Ten sam ks. M., który pisał list, a któremu dopiero odpowiem w Wiciach, jak przyjeżdżał z za Radomia, musieli mu chłopi zebrać 400 zł na kolej i 40 furmanek przysłać do stacji. Na „Wici“ obaj bardzo krzyczą, ale ks. F. jak budował plebanię, to piętrową, o 14 ubikacjach, większą od kościoła, któremu zdjął obie wieże, bo nie było za co poprawić z powodu budowy tak wielkiej plebanii. W K. też wybudowali wielką luksusową plebanię, a jak chłopi nie mogli płacić, to ksiądz dziekan przysłał sekwestratora. Ile przy ściąganiu tego „podatku“ było płaczu, klątw i złorzeczeń, lepiej nie wspominać. Z ludem obchodzą się wyniośle; moja matka — kobieta uczciwa, dobra, religijna — przez najmłodszego wikariusza jest nazywana „wy“, ale to już wysoko, zwykle na najstarszą kobietę czy chłopa woła się „ty“ i nadstawia ręce do całowania.

Jeżeli robi się kongres „moralności“, to najpierw umoralnić i inaczej wychowywać trzeba część kleru; nie krowami, świńmi, końmi i gospodarstwem będą zajęci od rana do nocy, ale rzetelną pracą, w której okażą wzór pokory i niech nie sądzą nas, bo nauczają: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni“.

Napisałem w „Pamiętniku z Kępy Celejowskiej“ artykuł „Zdrowie kobiety wiejskiej“, pod którym podpisałby się każdy człowiek mający serce i duszę. To ci w tygodniku „Pro Christo“ z grudnia 1935 r. zarzucają mi brak wiary oraz burzycielstwo rodziny. Księża na wsi bywają wygodni, urządzają też pijatyki na plebaniach. Wszystko, co tam się dzieje, idzie w lud, bo służące opowiadają. Karty, wódka i..., to dość częsty chleb dużej części kleru na wsi.

Potrzebne są tu pewne ograniczenia, a wtedy odrodziłoby się nasze duchowieństwo, na czynach którego wzoruje się lud nasz wiejski.

* * *

życiorys swój napisałem od razu, bo z powodu dużej praktyki lekarskiej brak mi jest czasu, abym go mógł przepisać na czysto, to też najuprzejmiej przepraszam za brak odpowiednich powiązań zdań i nieodpowiedni szyk oraz dobór słów. Wszystkie swoje wady widziałem czytając go i aż mi wstyd, że w tej formie posyłam Szanownej Komisji tego rodzaju pracę.

Czuję się w obowiązku podkreślić, że nie pisałem broń Boże! życiorysu dla nagrody. Zależało mi tylko, żeby Szanownej Komisji dać jak najwięcej interesujących faktów, które przyczyniłyby się do należytego oświetlenia warunków, w jakich młodzież chłopska zdobywa oświatę, i do przekonania, że udostępnienie nauki szerszemu ogółowi młodzieży wiejskiej rozwinęłoby na wsiach naszych pracę organizacyjną i stopniowo bez głębszych wstrząsów przekształciłoby życie i strukturę gospodarczą od kapitalistyczno-pośredniczej na najsprawiedliwszą i najwłaściwszą — spółdzielczą.

Wierzę, że pobudki jakie podyktowały mi i stały się wewnętrznym nakazem, pod wpływem którego zdecydowałem przedstawić Szanownej Komisji zespół udokumentowanych a niezaprzeczalnych faktów, usprawiedliwią mnie przed słusznymi zarzutami Wysokiej Komisji, dla której pragnąłem dostarczyć jaknajwięcej wartościowego materiału.

P. S. W 1933 r. ożeniłem się w Radomiu z córką tego felczera, do którego chciałem jako mały chłopiec iść w 1913 r. na praktykę, a który mnie wówczas nie przyjął. żona moja ukończyła uniwersytet w Nancy, jest nadzwyczaj rozumną, uczciwą i szlachetną kobietą. Powiła mi syna, który przeznaczony jest na lekarza. żona pomaga mi bardzo dużo w pracy społecznej. Czuję się z nią i w ogóle bardzo szczęśliwy.

G. L. 14. I. 1936 r.

Lp. 10

Nauczyciel.

Czasowo w Warszawie.

Urodziłem się 14 kwietnia 1909 roku w R., w pow. koneckim. Jest to miejscowość bodaj że najbiedniejsza w Polsce. Ziemia piaszczysta, nieurodzajna, przeludniona, brak oświaty i zorganizowania, przemożny wpływ kleru, nieufność ludzi we własne siły i niezaradność życiowa, zażydzenie — to cechy mych stron rodzinnych, to przyczyny trzymające bezlitośnie w swych mackach postęp kultury, to zapory po drodze do osiągnięcia względnego dobrobytu, szczęścia i wszelkiego postępu.

Jestem czwartym dzieckiem z rzędu, dzieckiem z grona dziewięciorga rodzeństwa. Rodzice są właścicielami 20-morgowego gospodarstwa.

Ojciec mój to samouk, człowiek myślący, obyty, inteligentny, a nade wszystko posiadający wrodzony spryt i specjalne podejście do współżycia z ludźmi. Wiele on dobrego w życiu zrobił dla swego środowiska. Był inicjatorem wielu placówek społecznych, pełnił dwukrotnie urząd wójta, był naczelnikiem poczty, sędzią pokoju, prezesem dozoru szkolnego, członkiem wydziału powiatowego. Jedną miał wadę, był alkoholikiem. Ten nałóg przyczepił się do niego wskutek głębokich i tragicznych przeżyć rodzinnych, złamał go psychicznie.

Matka, to przeciętna, niezwykle pracowita niewiasta, z przesadą w uczuciach religijnych — lecz przede wszystkim bezgranicznie dobra; jej zawdzięczam wiele ciepła i cennych, mimo że nieksiążkowych wskazań na ciężką drogę życia.

Ojciec imponował mi swymi zdolnościami w pracy społecznej i piękną wymową. Jemu głównie zawdzięczam, że dzisiaj pracuję i mam zamiłowania społecznej natury. Jakkolwiek nigdy do pracy społecznej mnie nie zachęcał, to jednak, kiedy nieraz słuchałem opowiadań z jego życia, coś mnie porywało, pchało do pracy w gromadzie.

Od wczesnego dzieciństwa spędzałem czas w domu. Był to okres prawie że beztroski, gdyż o nic się nie martwiłem. Rodzicom na wszystko

starczało, gdyż ojciec poza gospodarstwem prowadził inne interesy zarobkowe.

Taki sielsko-anielski żywot prowadziłem do 8 roku życia, do chwili pójścia do szkoły, co nastąpiło w 1917/18 roku. Przypadło mi zaczynać naukę w szkole powszechnej w tym czasie, kiedy uwaga wszystkich była skierowana ku myśli o wolną Polskę.

Szkoła w pierwszych latach zrobiła na mnie bardzo przykre wrażenie. Byłem dzieckiem nie umiejącym być pod niczyją zależnością. Dla mnie koledzy z pierwszych lat nauki w szkole powszechnej, to osobniki wzbudzające organiczny wstręt; nie lubiłem towarzystwa kolegów, stroniłem od nich, jak od czegoś złego. Nauczyciele nie mogli mi niczym zaimponować, gdyż byli to ludzie nietaktowni; uchodzili według opinii publicznej za nicponiów, to mnie jako dziecko wrażliwe sugerowało i wskutek tego rodziła się w mej duszy podświadoma nieufność do mych wychowawców.

Kiedy miałem 10 lat, stałem się w domu niezbędny do różnych czynności, ponieważ wskutek złego prowadzenia handlowych interesów ojciec zbankrutował, wskutek czego do domu zaczęła zaglądać bieda. Rad czy nierad, musiałem z rodzeństwem zabrać się do pracy — a że byłem małym brzdącem, przypadła mi w udziale praca pasienia krów. Nie była to rozkoszna praca. Musiałem niemal co dzień wstawać o czwartej godzinie rano i pięć ogonów gnać na pastwisko, aby przed 11-tą napaść je, przypędzić, odrobić lekcję i nie spóźnić się do szkoły.

Była to dla mnie ciężka praca — sielska, lecz nie anielska. Obecnie mile wspominam te szczęśliwe lata, kiedy musiałem boso, o chłodzie, a nieraz i o głodzie deptać dwa kilometry tam, dwa z powrotem, dwukrotnie przez dzień: rano i popołudniu. Czynność pastuszka przypadło mi piastować przez cały okres uczęszczania do szkoły powszechnej — z niewielkimi awansami do innych prac.

Okres tego poczciwego żywota był właściwie dla mnie dobrą szkołą społeczną — nie tylko w dodatnim, lecz i w ujemnym znaczeniu. Pastwisko zbliżyło mnie do współtowarzyszy od biczyska. Uspołeczniłem się przez pasienie krów, gdyż było ku temu wiele okazji. Na pastwisku nauczyłem się na modłę szewcką kląć. Przyswoiłem sobie też znaczny zapas słów do repertuaru soczystych zwrotów. Koledzy szybko zaprawili mnie w różnych czynnościach związanych i pasujących tylko pastuszemu fachowi. Prędko wyćwiczyłem się w rzucaniu kamieniami nie tylko do krów, ale i do szyb, a nawet i przechodzący drogą chałaciarz-żyd stanowił dobry obiekt do celu. Zdobytą umiejętnością z tego czasu było też dłubanie ziemniaków u sąsiadów dla gromadnego pastuchów użytku — na pieczenie, wkradanie się do sadów po owoc, na drzewa po ptaki. Wyćwiczyłem się w grze w karty w durnia, oko, gapia i cygana.

Miałem już lat dwanaście i tytuł ucznia piątej klasy szkoły powszechnej, gdy pod wpływem czytania książek, które wypożyczałem od pani Sz., za co jej do dnia dzisiejszego jestem wdzięczny, otrząsnąłem się z dzie-

cięcych figlów. Wszyscy mówili, że w oczach poważnieję. To wbijało mnie w dumę. Tylko ojciec nie słuchał ludzkich uwag i starym zwyczajem kazał mi paść krowy — z tą tylko różnicą, że pasłem już nie każdego dnia, gdyż wyręczała mnie mniejsza siostra. Wtedy trochę awansowałem, od biczyska do pługa i bron. Były to ciężkie dni, gdyż praca w polu była ważniejsza dla ojca niż moja nauka, musiałem przeto tyrać przez całe dni. Nie wiem jakim cudem udało mi się przechodzić z klasy do klasy, bo lekcje odrabiałem, jeśli można tego słowa użyć, na przerwach, a mimo to uchodziłem za dobrego ucznia, choć w domu absolutnie na naukę żadnej chwili poświęcić nie mogłem, gdyż chodziłem w pracy jak w kieracie.

Szkoła powszechna otworzyła mi oczy na wiele zagadnień. W piątym i szóstym oddziale poczułem w sobie chęć do nauki. Z chaosu mej jaźni wyłaniała się nieskrystalizowana idea, sens życia. Często stawałem wobec wielu problemów, których nie mogłem sobie wytłumaczyć. Pytałem rodziców, nauczycieli, księdza o różne sprawy, lecz czułem, że ich odpowiedzi są zbyt zdawkowe i wiele rzeczy, zamiast jaśniej przedstawić, zaciemniają. Postanowiłem wtedy sam przez czytanie różnych książek znaleźć sobie zadawalającą odpowiedź na trapiące mnie wątpliwości. Stałem się zasklepiony w sobie, nieufny, podejrzliwy, nerwowy. Bywały dni, że do nikogo nawet słowa nie wymówiłem. W tym okresie krystalizacji duchowej postanowiłem, po skończeniu siódmego oddziału, uczyć się dalej.

Zapał do nauki miałem wielki, tylko z rodzicami nie mogłem dojść do porozumienia. Rodzice chcieli mnie widzieć księdzem, ale stanowczo sprzeciwiałem się temu, gdyż wyczuwałem zamiłowanie do zawodu nauczycielskiego. Przyszło do tragedii rodzinnej. Kiedy wyczułem, że ojciec uparcie trzyma się swego zdania, postanowiłem o własnych siłach szukać szczęścia w nauce.

W kwietniu 1924 r. zdecydowałem się bez wiedzy rodziców złożyć podanie o przyjęcie mnie na pierwszy kurs seminarium nauczycielskiego w Kielcach. Dyrekcja w odpowiedzi zawiadomiła mnie, że termin egzaminów wstępnych wyznacza się na 20 czerwca.

Coś mnie porywało na myśl o egzaminach, więc nie odwłócząc ni godziny, zacząłem pośpiesznie powtarzać stare wiadomości i pogłębiać je, aby nie paść ofiarą przy egzaminie. Nigdy nie spodziewałem się po sobie tak intensywnej pracy. O trzeciej godzinie rano — przed pracą, kiedy jeszcze wszyscy spali, byłem już na nogach z książką w ręku. Kładłem się spać ostatni, gdyż zdawało mi się, że moje wiadomości ze szkoły powszechnej są znikome w porównaniu z wymogami egzaminów na kurs pierwszy seminarium nauczycielskiego.

Czas mknął, czerwiec przeszedł błyskawicznie. Dwudziestego mają odbyć się egzaminy, a w domu nikt nic nie wie, ani słówka nikomu nie zdradzam, że wybieram się do Kielc. Ojcu nie wspominam, bowiem trudno mi było przewidzieć, jak ustosunkowałby się do moich zamiarów. Postanowi-

łem tylko matce zdradzić tajemnicę i dyskretnie w nocy wybrałem się w drogę.

Matka ze łzą w oku żegnała mnie słowami: „Idź z Bogiem". Mym sercem coś targało, że jak pies bezpański muszę uciekać potajemnie z domu, aby zdawać egzamin. Przewidywałem już w perspektywie następstwa swego czynu, gdy nie złożę egzaminu. Różne myśli plątały mi się w głowie, kiedy szedłem do Kielc. Była to trudna podróż, bo wynosząca około czterdziestu kilometrów. Szedłem z bliskim kolegą W. W. przez całą noc, gdyż odległość na nasze chłopięce nogi była wielka.

Świtem, ostatnim wysiłkiem mięśni, czując w głowach zawrót, doszliśmy do seminarium. Tu na placu przed szkołą posiliłem się kawałkiem suchego chleba i serem, które to wiktuały dostałem od matki na drogę. Postanowiłem nie wydawać pieniędzy, gdyż miałem ich przy duszy niewiele.

Cały tydzień trwały egzaminy. Pozwolił mi przypadek być jednym z czterdziestu wybrańców, którzy zostali przesiani z gromady stających do egzaminu w liczbie 180 kandydatów. Radość nie miała granic, gdy usłyszałem słowa dyrektora: „Ci, co wyczytałem, zdali egzamin na pierwszy kurs" — wyczytał i moje nazwisko. Z tym większą radością wracałem do domu, gdyż pomyślny wynik egzaminu zagłuszał w mej świadomości trwogę przed niewiadomą, która mnie czeka od ojca. Ojciec się udobruchał i widocznie zmiękł nieco, gdyż nawet nie złościł się na mnie, gdy opowiadałem o przygodach na egzaminie w Kielcach.

W seminarium życie ułożyło się skromnie. Mieszkałem w internacie. Wszyscy uczniowie stwierdzali jednogłośnie, że szkoła mi daje nastawienie do pracy społecznej, jaka czeka nauczyciela. Nie zdawałem sobie jeszcze dokładnie z tego wszystkiego sprawy, jak starsi koledzy między sobą różne tematy poruszali. Czułem tylko, że chłopscy synowie byli traktowani z góry przez kolegów z miasta i niektórych nauczycieli. To mnie bardzo bolało, lecz nie mogłem temu zaradzić. Gromadnego współżycia w szkole nie było, gdyż rada pedagogiczna na nic nigdy nie miała czasu.

Na pierwszym kursie wstąpiłem do koła koleżeńskiego, organizacji powstałej dzięki inicjatywie starszych kolegów; miała ona na celu zespolić wszystkich kolegów w naszym seminarium. Wtedy powierzono mi funkcję skarbnika klasowego. Był to pierwszy mój urząd nie tylko w szkole, lecz w ogóle w życiu.

Na wiosnę tegoż roku wstąpiłem do świeżo powstałego kółka krajoznawczego, organizacji mającej początkowo tylko sześciu zwolenników. Od pierwszej chwili wstąpienia czułem potrzebę wyżycia się przez tę organizację. Okazje nadawały się na wycieczkach, na zebraniach dyskusyjnych, czy innych wyprawach. Wiele skorzystałem i przeżyłem miłych chwil w zespole wybranych kolegów, którzy zaczęli w tym roku uprawiać regionalizm kielecki.

Po skończeniu pierwszego kursu wyjechałem na wakacje do rodzinnych stron. Tu wszystkich wzrok był na mnie skierowany. Czekali, co też poka-

żę nowego. Porywało mnie coś do pracy, lecz byłem skrępowany. Brakło mi odwagi.

W jedną niedzielę zaproszono mnie na zebranie stowarzyszenia młodzieży katolickiej. Szedłem z ciekawością, gdyż interesowały mnie sprawy organizacyjne. Byłem jednak na zebraniu zażenowany, gdyż ksiądz wyjechał do sąsiedniej parafii, a do mnie zwrócono się, abym im coś powiedział o życiu młodzieży w organizacjach.

Krępowałem się bardzo i z trudem pierwsze słowa przemówiłem, gdyż czułem, że język odmawia mi posłuszeństwa. Nie wiem dokładnie, co mówiłem, gdyż skojarzyły mi się wszystkie usłyszane od kolegów słowa na temat pracy w organizacjach wsiowych. Skutek mego przemówienia był taki, że ksiądz mnie już więcej na zebrania nie prosił, zdobyłem sobie tytuł bezbożnika; co więcej wiele młodzieży wystąpiło z patronackiej organizacji i zaczęło obmyślać sposoby na stworzenie w swoich wsiach naprawdę wsiowych organizacji.

Całe wakacje tego roku byłem w żywym kontakcie z młodzieżą uczącą się w mieście, a mieszkającą u rodziny na wsiach. W rozmowach przekonałem się, że większość z nas jest całkiem zmanierowana, na miejski sposób przekabacona. Co więcej, nie ma żadnych prawie aspiracji do pracy w wiejskim środowisku w duszach młodych inteligentów ludowych. Straciłem zaufanie do kolegów szkolnych, gdyż tylko kilka osób podzielało moje zdanie, ażeby zwrócić wysiłek na zorganizowanie naszych osiedli. Trudno mi było zwoływać zebrania, gdyż jako uczeń nie mogłem oficjalnie zajmować się życiem organizacyjnym. Obmyśliłem inną drogę, celem podejścia do tego zagadnienia. Namówiłem kilku kolegów, abyśmy w pogwarkach ze znajomymi, tak z młodzieżą, jak i osobami starszymi, robili propagandę na rzecz właściwego zorganizowania życia wsi.

Młodzież wiejska, zapatrzona w księdza, z trudem tylko niektóre nasze uwagi przyjmowała; jednak wiele osób udało nam się wciągnąć do naszej roboty. Starsi byli nam więcej usłużni, gdyż patrzyli na nas z punktu politycznego. Kiedy mówiliśmy o zaprenumerowaniu gazety, wysłaniu dziecka do szkoły rolniczej, założeniu sadu, powołaniu do życia koła młodzieży — to nam przyznawano zawsze rację.

Wadą naszych poczynań było to, że praca naszych uświadomionych ludzi szła w jednym kierunku, t. j. zakładano faktycznie koła stronnictwa ludowego i zaprenumerowano nawet w kilku wsiach dzięki naszej akcji po kilka pism, lecz prawie na tym praca organizacyjna kończyła się. Jakkolwiek były to nikłe zdobycze, to jednak pozwoliło to nam pędrakom cieszyć się, że wieś zaczyna interesować się swoimi sprawami. Wielką była dla mnie radość, gdy mogłem wyrwać się z domu, aby spotkać kogoś z młodzieży i porozmawiać na aktualne tematy w sprawach wsi czy państwa.

Te indywidualne konferencje kończyły się zawsze pewną zdobyczą dla młodzieży: wypożyczeniem książki, przeczytaniem gazety lub zwróceniem uwagi na jakiś szczegół zapomniany, czy też zaniedbany w gospodarstwie.

Każdy mój krok musiał być przemyślany i dyplomatyczny, gdyż ksiądz stale mnie miał na oku i szukał okazji, aby się mnie czepić.

Po wakacjach ze smutkiem jechałem do szkoły, gdyż pracy w terenie musiałem zaniechać. Już jako uczeń drugiego kursu wciągnąłem się do rygorów szkolnych, gdyż zrozumiałem bezwzględne metody szkoły i wyczułem faktyczną wartość naszych wychowawców. Nauka absorbowała mnie. Nie zdradzałem tylko specjalnego zamiłowania do matematyki i fizyki, które to przedmioty napawały mnie grozą i obawą, że mogę z nich kiedyś wsiąknąć. Mimo uwielbienia do polskiego, historii i kwestii społecznych — często, pchany przestrachem przed dwóją, zmuszałem się do niewdzięcznych przedmiotów realistycznych.

Pół roku szybko mi zleciało. Po klasyfikacji za pierwsze półrocze awansowałem w oczach księdza prefekta i według jego opinii zostałem wciągnięty, jako nie mający dwójki na listę aspirantów do sodalicji mariańskiej. Słyszałem od kolegów o tej organizacji wiele zdań, lecz nie znałem jej ideowych założeń. Nic więc dziwnego, że zdumiony byłem jej metodą pracy. Po parutygodniowym należeniu do tej organizacji, składającej się z wybrańców ks. prefekta, doszedłem do przekonania, że stanowimy zespół ludzi, który, poza praktykami religijnymi, nie jest niczym, tylko balastem w organizacji szkoły. Treść pracy stanowiły miesięczne zebrania tak nudne i jałowe, że się człowiek wściekał na ks. moderatora za to, że ten w kółko opisywał te same zdania lub dla odmiany od czasu do czasu egzekwował składki członków. Składki bardzo wysokie, za które otrzymywaliśmy słabe w treści pismo o pięknie brzmiącym tytule — Rycerz Niepokalanej. Czułem niechęć do sodalicji, jednak obawiałem się sprzeciwić woli ks. prefekta, który był w szkole wszechwładnym panem. Takich jak ja było wielu, jednak musieliśmy obłudnie milczeć, a często i przytakiwać, kiedy ks. prefekt w przystępie dobrego humoru opowiadał historie, które nawet nas młodych raziły swą oryginalną naiwnością.

Na drugim kursie, dzięki specjalnemu respektowi dla naszego historyka, który równocześnie aplikował w sądzie, lubiałem w godzinach polekcyjnych wpaść do sądu, aby przysłuchać się rozprawom. Wiele przeżyć z tego czasu pozostało; moc refleksyj nasuwało się do głowy. Rodziły się wtedy w moim sercu najrozmaitsze uczucia, o wszystkich trudno pisać. Najczęściej centrum świadomości wypełniało współczucie dla wartych obrony oraz niesmak dla bezwzględności i sztywności sędziów.

Na kursie drugim prowadziłem bardzo ożywioną korespondencję z młodzieżą wiejską, z którą miałem kontakt z czasów wakacji. Często mnie prosili o przybycie, gdyż obecność moja mogłaby im ułatwić pracę. Trudno mi było oderwać się od nauki, tym bardziej, że koniec roku zbliżał się i należało pomyśleć o promocji na kurs trzeci.

Maj i czerwiec upłynął z błyskawiczną szybkością, gdyż w kilku robiliśmy wypady w okolice, celem zetknięcia się bezpośrednio ze wsią. Od młodzieży nauczyliśmy się wielu rzeczy. Dowiedziałem się również o zje-

ździe wojewódzkim. Nie trzeba było mi mówić dużo, abym się tam wybrał. Nie zwracałem uwagi, że koledzy nie mają chęci wziąć udziału w zjeździe. Sam wybrałem się w tajemnicy przed wychowawcą internatu, gdyż trudno było przewidzieć, czy zezwoli mi oficjalnie pójść do rozpolitykowanej wsi na zebranie.

Zjazd odbywał się w hotelu. Młodzieży było nabito, kilkaset. Wielkie wrażenie na mnie zrobił referat S., dyrektora uniwersytetu ludowego, który mówił o inteligencji wsiowej i jej pracy na wsi. Pochłaniałem każde słowo, gdyż bardzo silną, lecz zupełnie słuszną usłyszałem krytykę o inteligencji. Prelegent przeszło godzinę pięknie przedstawiał życie wsi, jakim ono jest, a jakim być powinno. Z zapartym oddechem słuchałem dyskusji, jaka wywiązała się po referacie. Nawet o obiedzie zapomniałem, tak mnie ten zjazd porwał.

Zjazd mnie utwierdził, że wieś zaczyna pracować. Żal mi tylko było, że z moich rodzinnych stron nikogo tu nie ma, bo tam nie było żadnej organizacji. Uczuwałem też niechęć do kolegów, szczególnie wyższych kursów, że ich tu nie ma, gdyż usłyszeliby wiele cennych słów, mogących zaważyć na ich pracy w przyszłości.

Zjazd zachęcił mnie do większego zainteresowania się wsią. Okazja do współżycia z młodzieżą była, gdyż w szkole było sporo kolegów z okolicznych wiosek. Często z nimi robiłem wypady, aby poznać dorobek pracy społecznej i środowiska. Uczestnicząc w zebraniach, rozmawiając z ludźmi należącymi do kółek rolniczych, kas Stefczyka, spółdzielni, straży i t. p. wiele korzystałem, poznałem właściwe metody pracy, jak również bolączki i usterki w niej; miałem okazję dowiedzieć się o przyczynach, które wieś gniotły i utrudniały właściwy rozwój społecznych poczynań.

Kiedy nadeszły wakacje, z promocję na trzeci kurs, radośnie jechałem do domu, gdyż poznanie faktycznych potrzeb wsiowego życia, kontakt z nią dostarczyły mi moc materiału do rozważań i zachęciły do większego wysiłku w moich rodzinnych stronach. Stwierdziłem, że praca będzie trudna, gdyż aż trzech księży ma do mnie jakiś żal za zeszłoroczne wakacje. Ponadto dowiedziałem się, że ożywia się w okolicy ruch polityczny t. zw. endecki. Prędko zorientowałem się, że endecja prawie w każdej wsi ma swoją placówkę. Zdumiony byłem, że wieś nie dostrzega niebezpieczeństwa, jakie może na nią spaść, skoro endecja dorwie się do władzy w państwie. Postanowiłem obmyślać sposoby, jakby należało położyć kres używaniu na nieświadomości ludzi wiejskich.

Działacze, noszący mieczyk Chrobrego, znani mi byli osobiście; co więcej uważali oni mnie za swego sympatyka. Nic więc dziwnego, że poprosili mnie na tajne zebranie odbywające się u mego szwagra, który Bogu ducha winien zezwolił, aby w jego mieszkaniu narada się odbyła. Zeszło się ze dwadzieścia osób i to najważniejszych i najreligijniejszych... Referat ideowy wygłosił ziemianin, prawnik, kierownik powiatowy tej placówki politycznej. Wszyscy słuchali i bezmyślnie mu przytakiwali.

Ponieważ w drodze wyjątku mnie udzielono głosu, więc zgłosiłem chęć polemizowania z referatem i treścią wygłoszonego referatu, który wydał mi się niezwykłą bujdą i stanowił splot napastliwych procesów, niezgodnych z prawdą. Onieśmielony byłem faktem, że referentem był dyplomowany prawnik, bałem się więc, aby w dyskusji nie zapędził mnie w kozi róg. Z miejsca zaprzeczyłem kategorycznie, że nie endecja Polskę odzyskała, natomiast stwierdziłem, że morderstwo pierwszego prezydenta jest ich dziełem, następnie ośmielony zwróciłem uwagę, że endecja stara się mydlić oczy ciemnemu ludowi, który nieświadom grożącego niebezpieczeństwa wierzy w bałamutne i nieistotne obiecanki, nie zdając sobie sprawy, że dobrodziejstwa tej partii — to dla wsi nowa pańszczyzna.

Kiedy prelegent replikował ,nie odpierał mych zarzutów, a przeszedł do kwestii żydowskiej, twierdząc, że jego obóz bezwzględnie walczy z żydowskim wyzyskiem.

Z trudem uzyskałem powtórne prawo głosu i krótko powiedziałem: „Panie dziedzicu, Żydów nie wypędzimy z Polski bojkotami zielonych wstążek, ani laskami endeków, tym bardziej, że ci wszyscy bojownicy walczą słowami żydostwem, zaś w życiu codziennym kumają się z nimi. Dam panu przykład i zapytam. Dlaczego pan mecenas sprzedaje drzewo, zboże, ryby Żydowi, a nie katolikowi?...“ Zatkałem go tymi słowami, a wszyscy na sali śmiali się serdecznie.

Rwetesu się narobiło po tym zebraniu. Dochodzenie policyjne, gadania. Sporo się na mnie skupiło przypuszczeń. Endecja podobno pluła sobie w brodę z p. Kr., księżmi i miejscową t. zw. elitą na czele, że mnie zaproszono na zebranie. Nawet i policja śledziła mnie. Tylko nie wiem dlaczego jako „nieprawomyślnego“. Taki to już podejrzliwy ten świat!!!

Całe wakacje siedziałem potulnie w domu, ponieważ obawiałem się nieco, aby nie zrobić sobie opinii działacza politycznego. Coś mnie rwało do pracy, do współżycia z ludźmi, a tu każdy mój krok był bacznie strzeżony.

W dzień wyjazdu dowiedziałem się od p. P., że placówki Obozu Wielkiej Polski są zachwiane, z tego tytułu miał do mnie wielki żal, że podkopałem mu robotę w terenie. To mnie cieszyło, że chłopi trochę się otrząsnęli z oślepienia i widzą zgubę w endecji. Po sumie spotkałem kilku młodych chłopców, którym dałem wyczerpujące wskazówki, jak mają pracować w terenie. Dużo im mówić nie potrzebowałem, gdyż wnet się zorientowali w mych życzeniach. Postanowiliśmy komunikować sobie nawzajem o każdym czynie zmierzającym do wykończenia wpływów zachowawczych w naszych stronach.

Kurs trzeci był okresem przełomowym w życiu każdego ucznia. Kto go przeskoczył, mógł mieć nadzieję, że nie obleje się aż przy maturze. Ta perspektywa rozciągnęła się i przede mną. Nie było innej rady, tylko od razu zabrać się do pracy. Nauka szła mi trudno, gdyż musiałem częścio-

wo dorabiać korepetycjami, aby opłatę każdego miesiąca we właściwym czasie uiścić.

Miałem ciekawego ucznia — starszego już szewca, który należał do P. P. S. - lewicy. Dawałem mu prawie pół roku lekcje, gdyż pragnął wyrównać braki naukowe, powstałe wskutek lekkiego traktowania życia od wczesnej młodości. Był to człowiek około lat czterdziestu liczący, o średnich zdolnościach, ale bardzo głęboko myślący i fanatycznie wierzący w słuszność swych przekonań. Podziwiałem jego przytomność umysłu i niezwykły zapas argumentów na poparcie swych tez, które nie zawsze były słuszne i oparte na logicznych przesłankach. Korzystaliśmy obopólnie.

Często lubiałem nawet w niedzielę wpaść do niego. Tam u mojego ucznia schodzili się różni ludzie, a między innymi i radcy Kielc z P. P. S. Dużo poruszaliśmy zagadnień i przyznam się, że ich postulaty partyjne odpowiadały moim młodzieńczym polotom. Nieraz poruszaliśmy zagadnienia religijne, ustroju państwa, wyzysku świata pracy i t. p. Zyskałem wiadomości z życia robotniczego i poznałem głębiej zasady partyj radykalnych.

Wiele razy starałem się przekonać swych współtowarzyszy nieoficjalnych zebrań, że nie zawsze mają rację w swych teoriach. Jednak jakoś trudno mi szło to uświadomienie, gdyż byli to ludzie starsi, którzy przegryźli już życie i mieli za sobą wieloletnie doświadczenie — tak, że moje wywody teoretyczne wcale im do serca nie wchodziły.

Kto wie, jak byłyby się skończyły nasze stosunki towarzyskie (jeśliby je tak można nazwać), gdyby nie fakt, który posłużył mi za pretekst do podziękowania za korepetycję. Mój uczeń często mi pożyczał książki teoretyków socjalizmu z zakresu religioznawstwa. Lektura ta pochłaniała mnie. Widząc we mnie zapał, podsuwał mi mój uczeń coraz to nowe rzeczy. Z treści książek i pism otrzymanych wyczułem, że pod pozorem lektury gotuje się na mnie jakaś zasadzka. Tak wnioskowałem, gdyż raz usłyszałem zdanie, że „taki jak pan przydałby się nam w partii", co więcej zaproponował mi, abym w najbliższą niedzielę poszedł z nim na zebranie polityczne. Postawiłem mu przy tej sposobności wiele pytań. Przekonałem się, że mój uczeń nie zawsze jasno i szczerze odpowiada. To mnie utwierdziło w przypuszczeniach, że on ma dużo tajemnic, których zwierzenie pozwoliłoby go w właściwym świetle ocenić i zdyskwalifikować w mych oczach. Postanowiłem zaprzestać udzielać lekcji i tym samym zerwać z jego domem i zbierającymi się tam, gdyż wydali mi się ci ludzie niesympatyczni.

W szkole w tym roku zaszły niewielkie zmiany, uczniowie starym zwyczajem wkuwali się. Nie chcąc być w nauce opóźnionym pracowałem ponad siły, gdyż lekcje szkolne odrabiałem nocami. Całe popołudnie poświęcałem na korepetycje, gdyż z domu miałem znikomą pomoc pieniężną.

Interesowałem się jednak życiem szkolnym, gdyż powołana Bratnia Pomoc dosyć sprawnie funkcjonowała. Raz w tygodniu, w sobotę, zbiera-

liśmy się na pogadanki z przezroczami i referaty wygłaszane przez starszych kolegów. Na jednym z zebrań powołano komitet, celem wydawania pisemka szkolnego, do którego i ja wszedłem. Mieliśmy wspólnie z seminarium żeńskim wydawać pisemko własnymi siłami. Na posiedzeniu w seminarium żeńskim zadecydowaliśmy drukować „Współpracę Młodzieży". Początkowo miał to być organ międzyszkolny. Skoro jednak zauważyliśmy dąsy ze strony gimnazjów, przyznających sobie wyższość i traktujących seminaria jako coś gorszego w hierarchii społecznej — postawiłem wniosek, aby zrezygnować z udziału „pańskich" szkół i przed wakacjami wydać pierwszy numer, co też i uskuteczniono. Ten fakt zbliżył dwie szkoły, z których mieli wychodzić ludzie o wspólnych celach w przyszłości.

Na wakacje w 1928 roku jechałem do domu jako promowany na kurs czwarty. Spotkałem w domu, jak i w inne wakacje, dużo kolegów i koleżanek. Jedni już skończyli szkoły i uganiali się za posadami, trudno mi więc było dogadać się z nimi na jakikolwiek temat. Koleżanki znowuż wolały flirtować, nic więc dziwnego, że wszelka praca społeczna była im obca.

W mojej miejscowości ruch w życiu społecznym wzmógł się, gdyż poza istniejącymi organizacjami przybyła nowa, zorganizowana przez nauczycielstwo na polecenie inspektora szkolnego — był to Strzelec.

Ponieważ interesował mnie każdy odruch pracy społecznej, więc z prostej ciekawości wpadłem parę razy do świetlicy strzeleckiej, zafundowanej tej modnej placówce przez miejscowy urząd gminny. Chciałem się dowiedzieć, co się tu robi konkretnego, gdyż wiadomą rzeczą było, że w Strzelca pakuje się dużo publicznych pieniędzy, co więcej, na jego usługach był korpus nauczycieli zawsze na rozkaz gotowych do pracy. Dowiedziałem się, że raz w tygodniu schodzą się tu chłopcy, ale zdumiony byłem, że na tych „posiedzeniach" opowiadają sobie bajki, a nieraz i bawią się. Na tym koniec. Rozczarowałem się mocno taką metodą pracy i oddziaływania wychowawczego, doszedłem do wniosku, że praca „na rozkaz" nic społeczeństwu nie daje.

Kierownik szkoły żalił się przede mną, że nikt z oddaniem się nie pracuje. Kiedy zwróciłem mu uwagę, że tyle jest nauczycielstwa mogącego „ofiarnie" pracować, roześmiał się dwuznacznie z dozą ironii i nic więcej nie powiedział. Domyśliłem się, że chciał powiedzieć: założyło się Strzelca, bowiem władze kazały to uczynić, gdyż to było potrzebne, aby się wykazać, „że się coś robi". Spisano protokuły, do ogólnego bilansu życia strzeleckiego dodano jedną placówkę, władze się cieszą, że ruch strzelecki cieszy się uznaniem społeczeństwa. Lecz szkoda tylko, że nikt nie zwróci uwagi na jakość i celowość pracy w tej organizacji. A ileż w całej Polsce, wśród dobrych, jest podobnych placówek...?

Wakacje tego roku płynęły mi na niczym, gdyż dowiedziałem się „pod tajemnicą", że skoro chcę skończyć szkołę, niech nie trzymam kontaktu

z młodzieżą i „nie politykuję". Skorzystałem z przestrogi — jednak mimo to często młodzież mnie zaczepiała pytając, dlaczego odsuwam się od niej. To targało mną do głębi. Rozmowy prowadziłem w dalszym ciągu, jednak na zaproszenia na oficjalne zebrania odpowiadałem, że nigdzie nie pojadę, gdyż jestem chory, lekarz zabronił mi mówić. To były wykręty.

Po dwumiesięcznym wypoczynku wróciłem do szkoły. Ten sam monotonny tryb życia — trochę urozmaicony, gdyż daję korepetycje uczennicy trzeciego kursu. Zacząłem mieć powodzenie. Nie wiem czemu to przypisać. Przypuszczam, że nie tyle zdolnościom pedagogicznym, ile może temu drobiazgowi, że zostałem przez moją uczennicę zareklamowany, tylko nie wiem za co. Miałem parę ofert od uczennic, abym je uczył różnych przedmiotów, nawet... grać na skrzypcach. Ale trudno mi było wszystkie propozycje wykorzystać, szczególnie tę „grającą" — gdyż nie zdradzałem nadzwyczajnego talentu w tej umiejętności.

Zbliżenie się do żeńskiego seminarium pozwoliło mi się zorientować w ludzkim materiale i ocenić wartość przyszłych nauczycielek. Stwierdzaliśmy w rozmowach z kolegami, że biedna będzie wieś i jej mieszkańcy, którzy będą mieli takie nauczycielki, ponieważ obcą im była nie tylko praca społeczna, ale nawet zainteresowanie w tej materii. Szkoła, mając klerykalne nastawienie i ducha konserwatywnego, zamiast normalnych ludzi wypuszczała każdego roku bardzo poważny procent manekinów, lalek, przeciętnych lekkoduchów o Bóg wie jakich aspiracjach.

Bolało to nas jako uczniów, którzy na problem pracy społecznej i nauczycielskiej patrzyli już poważniej, pod kątem potrzeb środowiska wiejskiego. Naszym szczerym marzeniem było stoczyć walkę o duszę nauczyciela, wypowiedzieć bunt szkole, że nas niewłaściwie wychowuje, że nie jesteśmy przygotowani do żadnych pozytywnych poczynań, że życia nie rozumiemy, że nas środowisko, gdzie będziemy pracować, wyśmieje za niezaradność i brak przygotowania praktycznego, brak nastawienia do pracy społecznej. Buntowaliśmy się zakulisowo, lecz odwagi nam zabrakło, aby śmiało wystąpić na forum szkoły. Na jednym z zebrań staraliśmy się dyskretnie dojść do zagadnienia i nawet wywiązała się ożywiona dyskusja na temat, jakim winien być nauczyciel — lecz profesorowie tak dyskusją pokierowali, że wywłóczono sprawy tak nieistotne, że uszy bolały słuchać.

Nie mając innej drogi, postanowiliśmy sami urabiać w sobie pewne ideały i wciągnąć się do pracy społecznej. Zorganizowano w tym celu koło prelegentów. Wyjeżdżaliśmy w każdą niedzielę do sąsiednich wsi z referatami. Była to najmilsza dla nas praca. Każdy z nas miał za punkt honoru, kiedy mógł jako prelegent jechać na wieś z przezroczami.

Na czwartym kursie ks. prefekt robił na mnie zamach, abym został prezesem sodalicji, lecz otwarcie mu odpowiedziałem, że nie nadaję się na to stanowisko i że chcę wystąpić z tego bractwa. Nie wiem, jaki interes miał w tym, lecz przez kilka dni mnie męczył, abym nie występował,

a w ostateczności przyjął chociaż funkcję sekretarza. Nie było rady, gdyż powiedział, że to jest moim obowiązkiem, jako uczciwego sodalisa. Nie było rady, zostałem sekretarzem sodalicji.

Czwarty kurs pozwolił mi rozglądnąć się poza naszą szkołę. Okazją ku temu był ten fakt, że mnie obrano prezesem Bratniej Pomocy. Pamiętam pierwszy, oficjalny mój występ w roli przewodniczącego na jednym z miesięcznych zebrań. Oczekiwałem z biciem serca tego dnia, gdyż miałem jako prezes wygłosić referat. Parę dni myślałem nad tym, jakby godnie przemówić, lecz kiedy stanąłem przed klasą, wypełnioną po brzegi kolegami i radą pedagogiczną, zapomniałem języka, wyuczone przemówienie wywietrzało mi z głowy. Myślałem, że spalę się ze wstydu, gdyż dosłownie w pierwszej chwili nie mogłem nic przemówić. Po chwili ciszy — ku zdumieniu wszystkich, przemówiłem, lecz na pewno nieudolnie, gdyż dostrzegłem na twarzach kolegów dyskretne uśmiechy.

W następnych dniach przybyła mi nowa funkcja redaktora pisemka szkolnego wydawanego wspólnie z żeńskim seminarium. Była to czynność nie tyle absorbująca, ile przyjemna, gdyż w skład komitetu wchodzili nie tylko sami koledzy, lecz i koleżanki, co było nie lada okazją do bliższego poznania życia bratniej szkoły.

Szybko zorientowaliśmy się, że te braki w ogólnym nastawieniu do pracy społecznej, które w naszej szkole pokutowały, są i tam głęboko zakorzenione, ze znaczną jednak domieszką przesadnej czułostkowości, zaraźliwie od pań nauczycielek się udzielającej z tej prostej przyczyny, że większość z nich była w stanie staropanieństwa.

Czwarty kurs dobiegał do końca — nauka jakoś leciała. Tylko matematyk uparcie mi zagrażał dwóją, jeśli społecznych kawałków nie rzucę i nie wezmę się do trygonometrii. Parę razy doszło między nami do wyraźnych dysonansów. Następstwem tego była niedostateczna nota z matematyki i oblanie się na kursie czwartym.

Ten fakt był dla mnie niespodzianką, gdyż nie sądziłem, że pedagogiczną metodą jest zemsta na uczuciu, któremu trudno w inny sposób dokuczyć. Trudno pisać o nastroju, jaki mi wtedy towarzyszył. Dotkliwy cios przeżyłem i z większą nieufnością od tej pory odnosiłem się do swych wychowawców, gdyż wiedziałem, że wyrządzili mi krzywdę. Z tym większym żalem jechałem na wakacje, nikomu nie zdradzając swej tragedii ostatnich dni. Zabrałem się do pracy na roli w gospodarstwie rodziców, aby zapomnieć o wszelkich troskach codziennego dnia. Wakacje mijały — tylko smutek w mej duszy trwał. Wracałem do Kielc jako repetent czwartego kursu. Nie miałem tu co robić, więc, aby rodziców nie obarczać wydatkami w związku z moim pobytem w szkole — a im każdy grosz był trudny do zdobycia—zrobiłem się korepetytorem. Miałem prywatnych lekcji cztery godziny dziennie. Lubiano mnie, gdzie dawałem porepetycje. U jednego z dygnitarzy kasy skarbowej, którego syna uczyłem, często po lekcjach rozmawialiśmy na różne tematy. Miałem możność wglądnąć w du-

szę tych ludzi, o psychicznych wartościach bardzo oryginalnych, odmiennych od mojej i w ogóle od ludzi wsi.

Stwierdziłem ze smutkiem, że taki przeciętny robigrosz, poza swoją rodziną i pensją, nie widzi szerokiego świata i faktycznej biedy, jaka dokoła panuje. Wysnułem wniosek, że w Polsce jest takich wiele i dlatego jest u nas wielka różnica w warunkach socjalnych poszczególnych grup ludzkich.

Tragedia oblania niczym zmora prześladowała mnie przez cały rok, który wlókł się dla mnie brzemienny w wiele przykrych faktów. Dowiedziałem się w domu o ciężkiej chorobie matki. Musiałem przerwać naukę i wyjechać na trzy tygodnie. Po tym fakcie przeżyłem cięższy. Brat młodszy umarł na zapalenie mózgu. To przeżycie wyprowadziło mnie z równowagi psychicznej. Wycofałem się z czynnego życia w szkole. Zrezygnowałem z wielkich stanowisk i zaszczytów, gdyż depresja duchowa, jaką przeżywałem, nie pozwalała mnie normalnie żyć i pracować.

W tym ciekawym okresie życiowego pesymizmu niespodziewanie zjawia się fakt, który bezsprzecznie dodatnio wpłynął na moje samopoczucie. Zakochałem się (platonicznie) w jednej z koleżanek. Dziwne zjawisko, że rozmowa z nią krzepiła mnie na duchu. Jej wdzięk, dobre słowa, dobroć i sympatia, którą mnie otaczała, wpłynęły dodatnio na moje nastroje. Muszę przyznać, że dla niej byłem w stanie wszystko uczynić i dzięki temu wracałem do równowagi duchowej.

Czerwiec, koniec roku szkolnego. Promocja na piąty kurs bez dwójki z matematyki (mimo, że przez cały rok nie odpowiadałem ani razu) nastroiła mnie do życia optymistycznie. Jako pretendent do matury za niecały rok, po wyjeździe na wakacje, postanowiłem się trochę zmienić. Trudno mi to szło, gdyż widziałem, że na każdym kroku jest wiele bałaganu. Kierownik szkoły irytował stałymi radami, abym w Strzelcu pracował, gdyż to mi może dobrze zrobić na opinii u władz, skoro będę za rok starał się o pracę nauczycielską. Zły byłem w duchu na księdza, że ten organizuje Towarzystwo Krzewienia Wiary, Krucjatki, Towarzystwa Misyjne i t. p. Przeciwstawiałem się, jak mogłem. Konferowałem z kolegami, aby wpływali na swych znajomych i rodziny. Osobiście przy każdej okazji uświadamiałem znajomych przed niebezpieczeństwem usypiania ducha wsiowego.

Wyjazd do szkoły na piąty kurs stanowił dla mnie ważny moment w życiu, gdyż już jako poważny kandydat do stanu nauczycielskiego miałem w oczach rady pedagogicznej urosnąć do należytej miary, aby w przyszłości zadość uczynić tak poważnej funkcji — jaką jest praca nauczyciela. Przygotowania do prowadzenia lekcji, inwigilacji, hospitacji pochłaniały mnie, tak że każdy dzień od świtu do nocy miałem zajęty, gdyż poza szkołą i lekcjami musiałem zarobkowo pracować. Prowadziłem kurs oświatowy w wojsku dla analfabetów żołnierzy.

Piąty kurs przeleciał, jak z bicza strzelił. Zbliżająca się matura prze-

rażała mnie jak nieszczęście. Wkuwałem się ponad siły. W dzień nie było czasu. Trzeba było nocami do pierwszej, nieraz i dłużej dulczeć nad książką, gdyż egzamin maturalny miał być ukoronowaniem wieloletniego wysiłku.

Nadszedł oczekiwany dzień. Egzamin ostatecznie z biedą się złożyło. Ciężka to była rzecz, gdyż na trzydziestu kilku obcięto aż ośmiu. Były więc cięcia dosyć silne i kto przeszedł przez egzamin i nie padł, mógł się czuć dumny i szczęśliwy, tym bardziej, że otrzymało się przywilej i tytuł do ewentualnej pracy nauczycielskiej, do której człowieka upoważniał otrzymany dyplom.

Nie wniosłem podania o pracę, gdyż niedawno zostałem przyjęty do służby wojskowej. Na wakacje wracałem z radością do rodzinnego domu. Po pożegnaniu kochanych Kielc i osób bliskich wyjechałem na zawsze z tego miasta, gdzie tyle się przeżyło.

Przez drogę dowiedziałem się od brata, że czekają nas znajomi z wielkim zainteresowaniem. Istotnie mój przyjazd posłużył wielu znajomym do odwiedzenia mnie; wiele godzin spędziliśmy na różnych rozważaniach. Wyczułem z treści usłyszanych zwierzeń, że źle się dzieje w naszych stronach. Bieda, sekwestrator, policja, nawet ksiądz i Bogu ducha winny nauczyciel wzięli w troskliwą opiekę opuszczoną, nieuświadomioną nieboraczkę wieś.

Trudno mi było stawać do walki z tymi organami ładu społecznego, moralności publicznej i powszechnej oświaty. Jednak coś mnie rwało, aby tam, gdzie się działo jakieś zło, interweniować, a okazji było moc.

Starałem się wiele osób pouczyć, że zakres władzy policji nie sięga już do tego stopnia, by wyrażała się ona w braniu od ludzi owoców, jajek, masła, lub w spisywaniu protokułu za lada drobnostkę, szczególnie u tych ludzi, co uchodzą za ludowców. Naraziłem się panu sekwestratorowi trzeciego dnia po przyjeździe ze szkoły, który ojcu kładł sekwestr na krowę; dowiodłem, że nie ma słuszności, gdyż część zaległości jest we właściwym terminie uiszczona. O powyższym fakcie, jako o wyraźnym zlekceważeniu władzy, wszyscy wiedzieli, nie wyłączając nawet policji i pana starosty. Ten drobiazg posłużył innym do zajmowania właściwego stanowiska, gdy ich sekwestratorzy prześladowali za różne kary i podatki, niejednokrotnie parę razy ściągane od tych samych dłużników. Wtedy wyrobiłem sobie oficjalnie markę „nieprawomyślnego".

We wrześniu 1930 roku otrzymałem kartę wojskową z przydziałem do szkoły podchorążych piechoty. Z wielką radością jechałem do wojska. Jednak to szybko minęło. W parę dni po przyjeździe przekonałem się, że czar wojska na defiladzie, to rzecz imponująca, zaś koszarowe życie rekruta, to raczej ciężka rzecz dla człowieka myślącego.

W kompanii było nas 120 ludzi o różnym wieku i cenzusie. Wszystkich jednak zrównał szary mundur i zbliżył ciężki tryb życia żołnierskie-

go. Wiele bezmyślności dopatrywaliśmy w niektórych czynach sztuki wojskowej i raziło nas zachowanie się instruktorów i to nie tylko podoficerów. Bo czyż nie paradoksem było czyszczenie podłogi lub szafki szczotką do zębów, lub smarowanie i czyszczenie do błysku butów pod podeszwą, a w razie nieskrupulatnego wyczyszczenia, wyrzucanie ich na śnieg przez okno. Po buty wychodziło się zazwyczaj boso, a często i w bieliźnie przy paru stopniach mrozu na dworze.

Po czterech miesiącach pobytu, po okresie rekruckim zasłabłem na zdrowiu. Skierowano mnie do szpitala, gdzie po paru tygodniach obserwacji uzyskałem roczne odroczenie służby wojskowej.

W styczniu 1931 roku wniosłem podanie do Kuratorium w Wilnie o pracę nauczycielską. Nominację otrzymałem 1 lutego do pow. dziśnieńskiego, do jednoklasowej szkoły powszechnej w M. Po przyjeździe i należytym rozglądnięciu się w środowisku swej pracy wprost struchlałem. Na każdym kroku, na dzieciach, rodzicach i całej wsi przebijał jeden ton nie dający się w słowach wyrazić nędzy, o jakiej dotąd w życiu nie miałem pojęcia. Największa bieda w centrum Polski jest względnym dobrobytem w porównaniu z nędzą wsi białoruskiej.

Dwa uczucia towarzyszyły mi, kiedy zetknąłem się z tutejszą rzeczywistością — groza i litość! Bałem się trochę tutejszych ludzi, gdyż nie rozumiałem ich mowy i dlatego wydawali mi się straszni. Z drugiej strony żal było patrzeć na tutejszą biedotę, występującą w całej jaskrawości.

Po kilkunastu dniach przekonałem się, że mimo nędzy materialnej, w jakiej żyją tutejsi mieszkańcy, są oni ludźmi ze złotymi charakterami. Przekonałem się, że mój pierwszy sąd o nich był mylny. Wziąłem się do pracy. Z dziećmi szybko się dogadałem i zżyłem. Zebrania celem poznania rodziców tych dzieci, które uczęszczały do szkoły, podsunęły mi wiele uwag i refleksji do przemyślenia. Przekonałem się w indywidualnych rozmowach z rodzicami, których jeszcze całkiem nie rozumiałem, że tutejsi mieszkańcy są bardzo ciekawym elementem do badań psychologicznych. Lecz mi nie o to chodziło. Chciałem wgryźć się do duszy tych ludzi. Częściowo tylko mi się to udawało, gdyż nie od razu zdobyłem ich zaufanie.

Dowiedziałem się wiele szczegółów z życia okolicznego ziemiaństwa, nauczycielstwa, duchownych prawosławnych i katolickich. Są to szczegóły tak intymne i dyskwalifikujące tutejszą tak zwaną inteligencję, że trudno mi opinię miejscowego społeczeństwa przytaczać. Znalazłem odpowiedź na pytanie, dlaczego ludność wsi białoruskiej odsuwa się od inteligencji i wszelkiej pracy społeczno-oświatowej. Stwierdziłem, że miernikiem pracy nie jest faktyczna potrzeba wsi lub jakaś praca dla jej mieszkańców. Przekonałem się, że ten pracuje, komu zależy na jakiejś posadzie, dobrej marce u starosty czy inspektora szkolnego. Ogółem zaś, zamiast podnosić, zniekształcają tutejszą pierwotną kulturę — na jej gruzach budując w imię postępu rzeczy, które nie tylko, że nic nie dają, ale deprawują charakter i tą drogą odstręczają ludność od państwa, wartościowane-

go jakością nauczyciela, policjanta, sekwestratora, ziemianina, czy innego dygnitarza świeckiego czy duchownego.

Przez pięciomiesięczną pracę zdobyłem we wsi pewien respekt, co pozwoliło mi zorganizować koło młodzieży, gdzie wszyscy z młodzieży postanowili trzy razy w tygodniu przychodzić do szkoły celem systematycznego uczenia się i wspólnych pogadanek, na które chodzili nie tylko młodzi, lecz i starzy. Mała sala szkolna o wymiarach 4 na 4,5 m (bez podłogi, nie bielona) z trudem mieściła ludność przychodzącą na kurs, gdzie uczyłem pisać, rachować, a głównie historii polskiej.

Praca szła mi nawet mile, z wyników tak młodzież, jak i ja byliśmy zadowoleni, jednak okazało się rychło, że moje pierwsze kroki w ciężkiej pracy nauczycielskiej zostały przez złych i małostkowych ludzi źle zrozumiane. Moja bezinteresowna praca (sześć i więcej godzin, poza 30 godzinami normalnych lekcyj tygodniowo) będąca wyrazem wewnętrznego nakazu dla dobra państwa, została należycie oceniona i nagrodzona podłymi intrygami.

Do dnia dzisiejszego przechowuję dokument, który do śmierci przechowam, jako cenny dowód bezczelności ludzkiej i chęci nieprzebierania w chytrych środkach dla celów mogących stanowić szczebel do osiągnięcia kariery.

Za pracę w kole młodzieży otrzymałem od kolegi kierownika szkoły w Z. D. następujący list, który jako znamienny w treści dosłownie przytaczam:

Z. 30.III. 1931 roku.

Do pana K. R. w M.

Zwracam panu uwagę,że do M. został pan przydzielony na specjalną moją prośbę i miał pan mi pomagać w pracy na terenie związku strzeleckiego. Pan jednak, postępując według swojego widzimisię, założył nową organizację i usiłuje rozbić oddział Z. S. w M. Ostrzegam pana, że w powyższej sprawie odniosę się przez swoje komendy do władz zwierzchnich pana, co nie będzie dla pańskiej kariery korzystnym. żądam kategorycznie rozwiązania związku młodzieży i pracy pańskiej na terenie strzelca, bo po to pan do M. przyszedł. Jest pan nauczycielem tylko kontraktowym, więc w razie dalszej wrogiej akcji, może pan się spotkać z nieprzyjemnościami.

C. K.
Komendant kompanii Z. S.

Treść listu niezmiernie mnie dotknęła, gdyż nie wiedziałem, że kolega może kolegę zmuszać do pracy społecznej straszeniem. Nigdy nie przypuszczałem, że moja uczciwa praca będzie rozbijaniem Z. S., którego wcale w tej wsi w tym czasie nie było. Nie wiedziałem, jak na ten wybryk za-

reagować. Dałem mu tylko godną odpowiedź listowną i w dalszym ciągu pracę prowadziłem według nakazu własnego sumienia z tą wiarą, że nie rozbijam, ale staram się stworzyć grunt pod budowanie nowych treści dla Polski na Kresach.

Koniec roku zbliżał się, przyszedł czerwiec. Nadchodziły wakacje. Na dwa dni przed końcem roku szkolnego pojechałem do inspektoratu, aby zorientować się o możliwościach do dalszej pracy w roku następnym. Tu dowiedziałem się od inspektora K., że kuratorium redukuje kontrakty, wskutek czego na pracę w nowym roku nie mogę liczyć. Coś mną szarpnęło, gdy usłyszałem te słowa, gdyż nie sądziłem, że po pięciu miesiącach ciężkiej pracy, władze szkolne dadzą mi bezterminowe wakacje.

Do domu wróciłem ze smutkiem w sercu, bo właściwie nie miałem po co jechać do rodziny, gdyż w domu i tak nie było ludziom dobrze. Nie mając innego wyjścia, szukałem oparcia o dom. Siedziałem w domu oczekując nadejścia lepszych czasów. W tym czasie składałem ze dwadzieścia kilka podań o pracę, lecz wszędzie trudno było dostać się, otrzymywałem odmowne odpowiedzi.

Mój przyjazd do domu pewnym osobom rzucił się w oczy. W tydzień po przyjeździe zjawił się u mnie jakiś pan z zapytaniem, czy nie zdecydowałbym się pracować politycznie. Jestem podobno trochę znany w okolicy, więc mi łatwo to będzie szło. Usłyszałem nawet zawrotną sumę 350 złotych tytułem gaży miesięcznej. Trudno mi było zdecydować się, przeto powiedziałem, że dam mu odpowiedź za dwa dni. Mieliśmy się spotkać wieczorem. Kiedy to nastąpiło, zapytałem, o jaką pracę tu chodzi. Długo się wykręcał, wreszcie zdradził tajemnicę; miał mnie nająć do roboty komunistycznej. Chciałem go podejść i odprowadzić pod posterunek, lecz widocznie wyczuł moją intencję. Wpadł do specjalnie, czy też przypadkowo przejeżdżającego auta i zbiegł. Od tej pory nie spotkałem tego pana więcej. Kto on był, do dnia dzisiejszego nie wiem.

Czas na wyczekiwaniu „niewiadomej" wlókł się. Starałem się być z każdym dniem ostrożniejszym wobec ludzi, gdyż zdawało mi się, że zawsze ktoś mnie śledzi. Tak upłynęło kilkanaście tygodni, które poświęciłem na samokształcenie i pracę w gospodarstwie rodziny.

W listopadzie otrzymałem terminową pracę przy sporządzaniu spisu ludności. Każdego dnia o świcie wychodziłem z domu na teren gminy i od domu do domu chodząc spisywałem ludzi. Ciężka ta praca trwała dwa miesiące i pozwalała mi znowu zaobserwować biedę wsi, poznać różne charaktery ludzi. Wiele wtedy nasuwało mi się refleksji o wsi.

W tym czasie dowiedziałem się, że zarząd główny Związku Nauczycielstwa Polskiego organizuje kurs społeczno-rolniczy w Brodach. Wniosłem podanie i zostałem przyjęty. Ten kurs stale mi tkwił w pamięci, gdyż kwestie gospodarcze mnie interesowały, nadarzała się więc nadzwyczajna okazja do pogłębienia wiadomości i usystematyzowania ich. Radości nie było granic. Tu przez cztery miesiące wiele skorzystałem i stworzyłem sobie

właściwy pogląd na wiele kwestyj, które dotąd prawie że były dla mnie obcymi.

Kurs ten ukończyłem w czerwcu 1932 r. Po nim wróciłem do domu i czekałem na pracę. W wolnych chwilach robiłem wypady do młodzieży. Długo czekałem na pracę, gdyż podobno miejscowy komendant posterunku długo nie mógł zdecydować się, aby wydać opinię o mnie, od której uzależniona miała być moja praca. Traf chciał, że we wrześniu tego roku urządzono w R. kurs dla naczelników straży ogniowej. Coś mi szepnęło, abym się tam zapisał. Kurs trwał tydzień. Wyspecjalizowałem się teoretycznie i praktycznie na mechanika, no i otrzymałem dyplom jak pół pieca, oczywiście po uprzednim egzaminie, na którym byli nawet inspektor i starosta.

Po egzaminie dowiedziałem się od miejscowego sekretarza, pana K., że starosta pytał, czy moje opozycyjne nastawienie uległo zmianie. Podobno ów pan starał się przekonać starostę, że informacje o mnie są nieścisłe. Starosta miał tę rzecz zbadać. Długo czekałem na badanie, aż kiedyś do mnie zwrócił się mój dawny nauczyciel, abym się zapisał do pewnej organizacji, która będzie w stanie dopomóc mi przy uzyskaniu pracy. Zdumiony propozycją objechałem go uczciwie i przyobiecałem, że skoro będzie starał się wtrącać do moich spraw, niech się strzeże, gdyż zrobię mu kawał, na co dałem mu słowo honoru. Znał mnie biedak z dawnych lat i wiedział, że jestem konsekwentny w postępowaniu, dlatego starał się mnie uspokoić, dodał tylko, że w jego interesie będzie leżało, aby mnie „opinię poprawić". Z tej łaski nie skorzystałem.

W listopadzie otrzymałem list z Warszawy, z którego dowiedziałem się, że wakuje stanowisko nauczyciela przedmiotów ogólnokształcących w D. Propozycję przyjąłem, gdyż otrzymanie pracy w tej chwili równało się dla mnie zbawieniu. Wybrałem się do Warszawy do C. T. O. i K. R. W krótkiej rozmowie zorientowałem się o jakości pracy, gdyż o życiu szkoły rolniczej nie miałem głębszego pojęcia.

W styczniu przyjechałem do pracy. Jechałem z pewnym zażenowaniem, gdyż środowisko pracy było mi obce, ludzie nowi, sama praca napawała mnie obawą. W połowie stycznia zaczęli zjeżdżać się uczniowie. Różność wielka w materiale ludzkim. Dowiedziałem się prędko, że mam uczniów starszych od siebie. Krępowałem się ich tytułować szablonowym zwyczajem „ty"; wprowadziłem nomenklaturę bardziej demokratyczną „kolego" lub „wy" — na co moi koledzy patrzeć musieli z pewnym uśmiechem.

Stosunki szkolne układały mi się znośnie. Szybko zżyłem się z chłopcami i czułem się w ich gronie tak dobrze, jak w domu. Dostrzegłem, że chłopcy wciągają się w normalny tryb szkolnych czynności i że robią znaczne postępy nie tylko w nauce, ale i we wzajemnych stosunkach koleżeńskich wytwarza się atmosfera rodzinna. Tym się bardzo radowałem.

Stały kontakt z nimi pozwolił mi zrozumieć zainteresowanie poszczególnych uczni; to mi ułatwiło zbliżenie się do ich zainteresowań i wynalezie-

nie metody właściwego oddziaływania tak na zespół, jak i jednostki. Przekonałem się, że między chłopcami istnieje wielka skala dusz, jak i zainteresowania są najróżnorodniejszej natury. Dlatego przeszedłem od suchych wykładów do metody referatowo-dyskusyjnej. Już w parę tygodni był namacalny rezultat tej próby i widoczniejszy w samokształceniu i wysuwaniu coraz to nowych metod z różnych dziedzin nauki.

Organizacja kursu, jeśli chodzi o życie uczni, była samorządem, opartym na regulaminie przez chłopców ułożonym. Trudności na początku miałem sporo, gdyż powierzono mi przedmioty ogólnokształcące i wychowawstwo. W pierwszych krokach mej pracy byłem prawie że osamotniony, gdyż moje koncepcje wychowawcze często były w kolizji z kolegami i planami wychowawczymi dyrektora, dającymi się wyrazić krótko w zdaniu: „po co chłopa rozparzać kwestiami społecznymi, lepiej niech będzie dobrym fachowcem".

Bardzo mnie bolało, gdy po raz pierwszy sporządzałem wykaz niezbędnych książek do szkolnej biblioteki, które w moim przekonaniu były dla wsi życiową koniecznością. Kiedy między innymi uwzględniłem takich autorów, jak Orkan, Żeromski, Świętochowski, Niećko, Miłkowski — usłyszałem słowa dyrektora: „to są rzeczy nie dla wsi, dlaczego mamy chłopcom w głowach przewracać". Roześmiałem się w duchu i mimo sprzeciwu dyrekcji pokupowałem wszystkie książki, które chciałem, a nawet ośmieliłem się fundnąć dla biblioteki „Kordiana i chama" — Kruczkowskiego, mimo że ten autor w owym czasie był jeszcze na indeksie kuratorium. Lektura ułatwiała mi wciąganie wychowanków do przemyślenia i pogłębienia kwestii poruszanych na lekcjach i zebraniach.

Rok 1933 upłynął mi nie wiadomo kiedy. W tym czasie nawiązałem żywszy kontakt z młodzieżą nie tylko sąsiednich wsi, ale też i sąsiadujących powiatów: garwolińskiego, kozienickiego, i puławskiego.

Często przyjeżdżali i przychodzili do mnie ludzie na pogwarki i różne porady w sprawach społecznych i osobistych. Te pogwarki w języku szkoły nazywano: „kol. R. politykuje z chłopami". Często z uczniami wyjeżdżałem na święta okolicznościowe i zebrania do sąsiednich kół młodzieżowych. Jeden fragment szczególnie mi w pamięci utkwił — święto wiosny w garwolińskim powiecie. Tam wybrałem się z uczniem W., lecz mimo nadzwyczajnego nastroju, jaki tam panował, byłem podenerwowany, gdyż w drodze powrotnej policja wylegitymowała mnie i badała, w jakim celu tu przyjechałem. Fakt za siebie mówi.

Kurs zakończył się w grudniu. Był to moment wzruszający. Uczniowie, wyjeżdżając do domów, przy pożegnaniu płakali. Mnie też łezka ciekła z oczu, kiedy rozstawaliśmy się. Miło mi było słuchać ostatnich słów moich wychowanków, że będą w życiu postępować według moich wskazówek i zgodnie z sumieniem.

Okres świąteczny spędziłem w domu już nie jako patałach bezrobotny, ale jako ważny „profesor".

W pierwszych dniach stycznia otrzymałem list od dyrektora szkoły, abym przyjechał, gdyż przed rozpoczęciem szkoły jest nawał pracy. Około 15 stycznia zjechało się 41 uczni. Nastał okres obserwacji, badań, rozmów. Czas od rana do nocy całkowicie zajęty. Po okresie próbnym zostało 37 uczni, z którymi zaczęliśmy normalną pracę. Miły był kurs i szybko wdrożyli się do pracy. Prędko udało się nam wytworzyć atmosferę rodzinną i wzajemne zaufanie.

Przypadek jednak chciał, że wkradł się mól niezgody do naszej atmosfery i zakłócił szkolne pożycie. Pretekstem do kwasów był drobny szczegół: dyrektor nie zaprenumerował „Wici". Ten fakt podkopał normalny tok pracy w szkole.

Jakkolwiek młodzież rekrutowała się z różnych organizacji ideowych, to jednak zżyła się i mimo, że jeden myślał wiciowo, drugi siewowo, zawsze dogadali się i zrozumieli, że los wsi nie zależy od szyldu organizacyjnego a tylko od pracy i wartości ludzi. W parę tygodni uzgodniliśmy wiele sprzecznych teoryj i wychowankowie stawali się ludźmi myślącymi, rozumiejącymi głęboki sens życia i współżycia z gromadą. Wielu wyrobiło sobie obiektywny sąd o życiu wsi i zjawiskach otaczającego ich świata.

Szczegół z „Wiciami", o którym wyżej wspominałem, był iskrą rzuconą na zapalony materiał. Wielu uczni wyrażało się, że kierunek szkoły ich tumani, niektórzy skryli się w sobie. Dyrekcja nie przewidując następstw była w duchu rada, że okólnikowi stało się zadość. Znalazłem się w trudnej sytuacji. Sumienie nakazywało mi stanąć w obronie słuszności uczniów. Nie wypadało wsypać kolegów. Wreszcie zwróciłem się do dyrektora o pieniądze na prenumeratę „Wici" — kiedy otrzymałem odpowiedź: „nie mam pieniędzy", zdecydowałem dać swoje. „Pożyczałem" chłopcom, gdyż chcieli za własne pieniądze prenumerować. Nie widziałem w tym fakcie nic złego i wolałem jasno sprawę postawić, niż prowadzić błędną taktykę wychowawczą.

Takie postawienie sprawy pozwoliło mi zdobyć zaufanie wychowanków. Nie było tajemnicy w ich prywatnym i zbiorowym życiu, o której by mi nie powiedzieli. To mi pozwoliło wejść do ich dusz, gdyż naprawdę szczerze i poważnie ich traktowałem, nic więc dziwnego, że często wynurzali się ze swych żalów w cztery oczy.

Często chłopcy odwiedzali mnie i prowadzili rozmowy na różne tematy. Nie przypuszczałem, że niektórzy są tak skrupulatni w ocenianiu wartości metod wychowawczych i ludzi, którzy je stosują. Przykro mi było słuchać uwagi, że szkoła ich tendencyjnie nastawia i zabija ich osobowość — „tumani".

Uważałem za wskazane ze względów wychowawczych opinię o szkole usłyszaną z ust uczni zakomunikować radzie pedagogicznej, nie wymieniając nazwisk autorów słów. Stał się rwetes. Kiedy ośmieliłem się powiedzieć, że młodzież niewłaściwie wychowujemy, cała niemal rada pedagogiczna skierowała się przeciwko mnie. Słyszałem zdania od kolegów,

że trzymam „sztamę“ z uczniami i że knuję zakulisowe sprawy. Stworzył się nastrój: fachowcy — przeciw wychowawcy. Bogu ducha winien starałem się atmosferę szkolną uspokoić, ale mimo to zawsze w oczach kolegów uchodziłem za kumającego się z uczniami. Wyczułem, że atmosfera staje się ciężką, miałem nawet zamiar zrezygnować z pracy. że tego nie uczyniłem, to tylko dlatego, że szkoda mi było opuszczać chłopców.

W czerwcu wynikł incydent pomiędzy uczniami a kol. H., który zakończył się tym, że nauczyciel sklął wychowanka. To zdarzenie podminowało wszystkich w szkole. Wytworzyła się dziwna psychoza. W kilka dni potem wybuchł incydent z kapitanem N., komendantem P. W. i W. F., który zwymyślał uczniów za to, że kiepsko strzelali.

W następnym tygodniu chłopcy urządzili głodówkę, aby zademonstrować, że dzieje im się krzywda i że szkoła nie stanęła w obronie dotkniętych wychowanków. Starałem się incydent łagodzić, gdyż dyrektor wyjechał na urlop, a kolegę zastępującego dyrektora ogół uczni lekceważył za ostatnie wyklinanie i za niezajęcie właściwego stanowiska wobec wojska. Autorytet kolegi nie wpłynął na uspokojenie atmosfery szkolnej, co więcej, chłopcy wnieśli petycję do dowództwa na instruktora. Zdawałem sobie sprawę z następstw mogących z tych komedyj wyniknąć, jednak kolega H. upewnił mnie, że to nic nie znaczy. Po wniesieniu zażalenia do wojskowości rozpoczęto wywiady, badania, raporty, które właściwie były szopą i skończyły się niczym. Ogół chłopców został zlekceważony, wojsko usprawiedliwione, a jednego ucznia, akurat tego, którego kol. H. swego czasu sklął, usunięto ze szkoły.

Fakty te i wiele innych utwierdziły mnie całkiem w przekonaniu, że szkoła nasza źle wychowuje. Coś mną targnęło, kiedy wyrzucono ucznia M. Ponieważ go nie lubiano, więc padł wniosek na radzie pedagogicznej, aby M. K. i B. usunąć ze szkoły, jako buntowników. M. często był krytycznie nastawiony do wielu rzeczy i stawał w obronie nieuświadomionych kolegów, dlatego mimo słuszności stał się ofiarnym kozłem.

Nie całkiem podzielałem zdania kolegów, a w szczególności sprzeciwiałem się wnioskowi dyrektora oraz opinii, jaką przesłał do kuratorium, gdyż ona w niczym nie zgadzała się z faktyczną wartością uczni. Widziałem, że opinia wydana o uczniach jest krzywdząca. Sam tylko jeden sprzeciwiałem się, stojąc na stanowisku, że kandydaci do usunięcia są dobrzy, tylko źle ustosunkowaliśmy się do synów chłopskich, nie rozumiejąc ich często. Wytworzyły się dwa fronty w radzie pedagogicznej. Straciłem zaufanie do kolegów, uważając, że nie powinni młodzieży uczyć, gdyż nimi nie kieruje dobro wsi i jej mieszkańców, lecz kariera osobista.

Obserwacje naszej szkoły i wielu innych o podobnym typie, zarówno męskich, jak i żeńskich oraz rozmowy z kolegami z innych szkół nasunęły mi smutne refleksje o oświacie rolniczej i pracy społecznej szkoły rolniczej. W kilku pismach zabrałem głos przedstawiając nędzę współczesnej szkoły, braki organizacyjne, programowe i wychowawcze. Sumienie na-

kazywało mi zwrócić uwagę, by szkolnictwo rolnicze stosowało właściwe metody w wychowywaniu chłopskich dzieci.

Otrzymałem sporo listów od znajomych, a nawet obcych osób z gratulacjami za tak śmiałe i rzeczowe naświetlenie wewnętrznego życia szkolnictwa rolniczego. Byli też ludzie i to nawet na kierowniczych stanowiskach, którzy nie solidaryzowali się ze mną, uważając mnie za opozycjonistę, czepiającego się starych, zagwarantowanych form. Fakt jednak był już dokonany. Stało się to, co obmyślałem od dawien dawna.

Dyrektor szkoły w podniosłych słowach wyraził mi współczucie za tak niefortunny artykuł, rada pedagogiczna uznała, że moje zabranie głosu w prasie na temat szkół rolniczych jest wcale nie pedagogiczne, co zostało zaprotokółowane uroczyście w listopadzie 1934 roku.

Wieści o moich artykułach lotem błyskawicy dotarły do władz szkolnych i właściciela szkoły, Wojewódzkiego T-wa Organizacyj i Kółek Rolniczych w Lublinie. Sądziłem, że władze szkolne będą miały mi coś do zarzucenia za moje „radykalne" wystąpienie w prasie ludowej. Na razie jednak trwała cisza. Koniec roku, wyjazd uczniów. Święta minęły szybko.

Nie bacząc na nastroje szkoły w przerwie kursowej wybrałem się do uniwersytetu wiejskiego, do Gaci przeworskiej. Tu widziałem wiele rzeczy pięknych, dobrych, osiągniętych ofiarną pracą dwojga ludzi. To mnie umocniło na duchu i zachęciło do niezrezygnowania w życiu z wytkniętego celu. Postanowiłem pracować w szkole rolniczej, gdyż moim obowiązkiem było stać na straży, aby synów chłopskich szkoła nie marnowała i nie przyzwyczajała do służebności. Postawiłem otwartą kartę do gry o nowego człowieka dla wsi, służącemu nie bladze, lecz uczciwej wsiowej robocie.

Wróciłem do szkolnej pracy. Coś mi brakowało, gdyż chłopcy nie zjeżdżali się. Miałem pięć dni wolnego czasu. Obmyśliłem program pracy na bieżący rok i upodobniłem go do uniwersytetu ludowego. Pozostały wolny czas poświęciłem pisaniu artykułów do pism politycznych i społecznych.

Przez prasę, w której zabierałem głos dosyć śmiało, bez ogródek wyznałem co myślę o oświacie rolniczej i pracy społecznej na wsi. Niedługo przyszło mi z tego zbierać owoce. Różne mydłki, donosiciele, mający się za działaczy młodzieżowych, zaczęli na mnie szczuć. Powody do tego były, gdyż im wykazywałem niewłaściwe metody, tkórych używają w walce o wsiowe dusze. W moich uczniach dopatrywali się wiecowców, rozbudzających demagogów, opozycyjnych polityków.

Dyrektor szkoły ostrzegał mnie, że podobno w Lublinie o mnie źle mówią. Szefem kampanii przeciwko mnie miał być prezes „Siewu" pan S. S. Zdumiony byłem wieścią, że w starostwie 75% dygnitarzy jest zdania, że ja naprawdę należę do opozycji. Szkoda tylko, że władze szkolne nie mogły znaleźć w mej pracy żadnych przekroczeń, bo kto wie, czy natychmiast nie zostałbym zwolniony. Od osób mi bliskich miałem wiadomości, że robi się na mnie zasadzka w Lublinie, niech się więc strzegę. Nie dostrze-

gałem w swych czynach przestępstw ani karnych, ani dyscyplinarnych, byłem więc spokojny.

W lutym odbył się w Lublinie kurs sportowo-higieniczny zorganizowany w kuratorium, więc z tytułu swych zawodowych obowiązków zostałem tam przez szkołę delegowany. Kurs trwał trzy dni. Trzeciego dnia pan kurator wezwał mnie do siebie na spowiedź. Ciekawy byłem, dlaczego mnie ten zaszczyt spotyka. Lecz zdumiony byłem bardzo słysząc słowa: „cenię idealizm pańskiej osoby, lecz nie mogę zgodzić się na politykowanie w szkole, dlatego ostrzegam pana, że skoro nie będzie poprawy, rozstać się będziemy musieli". Skromnie odrzekłem: „pracę moją uważam za właściwą i nie widzę potrzeby zmieniać metody, gdyż mam przeświadczenie, że pracuję dla dobra wsi". Długo rozmawialiśmy na różne tematy; wiele rzeczy uzgodniliśmy, jednak kiedy opuściłem kuratorium, było mi bardzo przykro i czułem w duszy straszny żal do tych wszystkich ludzi złej woli, co przyczyniają się do stwarzania tak nieznośnych stosunków między ludźmi w Polsce.

Dziwiło mnie bardzo, że władze nie zezwalają mi uczciwie pracować nad przebudową ducha wsi. Wtedy obudził się we mnie utajony bunt przeciwko bladze i świństwom, które u nas uchodzą za dobre. To mnie zachęciło do otwartej walki.

Pracowałem do tej pory z tym przeświadczeniem, że lada dzień mogą zredukować mnie z pracy, gdyż istotnie latem dochodziły mnie nowinki — bocznymi drogami, że robi się konszachty, aby mnie spławić. Wiedziałem o stanowisku jakie zajął dyrektor W. i w każdym słowie, które było niezwykle słodkie, dopatrywałem się nieszczerości i nie starałem się traktować go jako uczciwego człowieka, nie wierzyłem też jego słowom, że jakoby nic nie wie o zakusach na moją osobę.

W lipcu dowiedziałem się, że są pomysły natychmiastowego zwolnienia mnie z pracy, lecz nie było ku temu namacalnych powodów, mogących posłużyć do zdyskwalifikowania mojej pracy. Wiedziałem, że niemal każdemu mojemu wyjazdowi w teren towarzyszy „opiekun".

Wcale się tym nie krępowałem i, co mi sumienie nakazywało, starałem się wychowankom do serc zaszczepić. Zrozumieliśmy się w klasie, wytworzyliśmy naprawdę miłą, niezakłóconą atmosferę. Na jednym z zajęć świetlicowych poruszyliśmy zagadnienie pracy społecznej. Wywiązała się namiętna dyskusja. Po niej parę zapytań do poruszonego zagadnienia skierowano do mnie na temat pracy społecznej i instruktorów. Zająłem stanowisko obiektywne na temat płacy za pracę społeczną. W trzy dni cały Lublin wiedział, że prowadzę „kampanię" przeciw Siewowi. To mnie mocno zdumiało, tym bardziej, że nigdy tego mówić nie mogłem.

Ten fakt uznałem za niezdrowy, więc natychmiast zająłem stanowisko wobec ręki, która kierowała intymnymi sprawami. Dałem odprawę „działaczowi" z Lublina, który wysługiwał się różnym dygnitarzom, mającym się za wsiowych społeczników.

W lipcu wyjechałem na kurs teatralny do Kazimierza. Tu miesięczny pobyt utwierdził mnie, że dużo pieniędzy marnuje się właściwie na nic lub na to, aby ludziom zawracać głowy w niewłaściwy sposób.

Na dożynkach szkolnych dowiedziałem się, że prawdopodobnie pierwszego października wymówią mi pracę. Nie byłem tym wcale zaskoczony, ani też zdziwiony, gdyż o tych macherkach dawno wiedziałem. Doszło między mną a panem S., noszącym szumny tytuł inspektora, do bardzo ostrej wymiany słów. Usłyszałem od niego, „że jestem złym wychowawcą". Przez trzy lata władze szkolne nie znalazły cienia zarzutu, nawet pan kurator nadmienił „cenię w panu idealizm", a w uwagach powizytacyjnych przy omawianiu lekcji, na których był u mnie, wyraził się: „dobrze pan podchodzi do istotnych zagadnień". Teraz nie wiem, kto jest lepszym pedagogiem — kurator czy laik w sprawach wychowawczych pan S.

Po dożynkach dyrektor szkoły ubolewał, że nie doszliśmy z panem S. do porozumienia. Zdziwiony byłem słowami dyrektora, więc udowodniłem mu, że mogę pracować tylko z ludźmi owianymi pewną ideą i myślą o wsi.

Dnia 1 października 1935 roku otrzymałem pismo od dyrektora szkoły, że z polecenia inspektora W. T. O. i K. R., pana S., jestem z pracy zwolniony. Za trzy lata pracy nad podniesieniem kultury wsi, za walkę o nowych, myślących, czystych w pracy, etycznych ludzi, dobrych chłopów, otrzymałem z rąk człowieka szumnie uważającego się za społecznego działacza wsiowego — dekret zwolnienia. Czy to nie kawał? Smutna to rzecz, ta nagroda, lecz nie chodzi mi w tej chwili o osobiste kwestie, ponad to stawiam opłakany system, zdążający wszelkimi środkami do łamania ludzi, do maltretowania ich lub przekupywania.

To się nazywa praca społeczna dla wsi. Za trud dany w pracy zostałem przez „działacza" siewowego, mającego szerokie stosunki, uznany jako nauczyciel, co „niewłaściwie wychowuje młode pokolenie". Najgorszymi ochłapami wsi nie wychowa się. Ludzi mogących coś z siebie dać nie należy zmuszać do zasklepienia się w sobie. Wyrzucenie ich nie załamie w nich ducha.

A teraz rodzi się jeszcze jedno pytanie. Czy usypianie drzemiących idei w duszach młodych ludzi jest dobrą metodą wychowawczą? A może dla pana S. i schłopiałych ziemian ideałem wychowanka byłby potulny, na rozkaz wychowany chłop do gnoju, o kurzym mózgu, pustym sercu, tępym umyśle, umiejący milczeć, posłusznie Boga chwalić, blagować i w służalczości bić czołem przed lada pachołkiem świeckim czy duchownym.

Mam spokój sumienia, że dotychczas pracą dobrze wsi służyłem i wierzę, że praca włożona w wychowanków nie zmarnuje się. Po trzech latach pracy oceniam, że nie można w dzisiejszych czasach uczciwie pracować, raduję się jednak i mam moralne zadowolenie, że pracę spełniłem uczciwie i dlatego jestem dumny, że myśl o karierze i obiecanki o lepszej

pracy nie zachwiały wiary w mej duszy i nie złamały mnie jako wolnego człowieka.

Dzisiaj, jakkolwiek jeszcze pracuję ostatni tydzień, to jednak żal czuję do dzisiejszego systemu za to, że w Polsce odsuwa się ludzi owianych ideą, kochających swój zawód i wieś, od pozytywnej pracy dla niej, aby na ich miejsce osadzić służalców, by zniekształcili, zmanierowali, usypiali dusze chłopskie.

Taki stan rzeczy jest klęską społeczną, mogącą destrukcyjnie odbić się nie tylko na losach wsi, lecz i państwa, skoro nie nawrócimy z tej drogi, za daleko posuniemy się na etyczne rozdroże.

*
* *

To moje pierwsze kroki w pracy społecznej. Są one krótkie, lecz może miejscami dosyć ciekawe. Starałem się w życiorysie pisać szczerze i niektóre szczegóły wyraźnie podkreślić, aby wykazać paradoksy współczesnego życia tak ciężkiego, a mimo to godnego studiów socjologicznych.

Nie mogę powiedzieć o sobie, aby moje życie było sielsko-anielskie. Stwierdzam to od dawna i widzę obecnie. Wierzę jednak, że słuszność idei zwycięży współczesny, zakłamany świat. Mimo, że obecnie żyję w skrajnej biedzie — zapisałem się na studia pracy społeczno-oświatowej; mimo że często nie mam paru groszy na obiad i tramwaj — mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwy, gdyż pragnę w życiu osiągnąć cel zamierzony: pracować w wiejskim uniwersytecie, aby wychować dla wsi i państwa dobrych ludzi. Czy zdołam swój cel osiągnąć, to trudno powiedzieć, gdyż są po drodze różne przeszkody, a najgorsze to, że trzeba płacić czesne, mieszkanie, a w kieszeni groszy brak. Sądzę jednak, że może ten życiorys wpadnie do ręki jakiemuś uczonemu człowiekowi, który po przeczytaniu będzie mógł poinformować możnych tego świata, mających publiczny grosz do dyspozycji, aby go przeznaczali nie tylko dla wybranych, lecz dla wielu tych, co nie mają nic własnego, za wyjątkiem ścieżki przez Warszawę. Ciekawy jestem, czy te słowa co pomogą.

W. 2 listopada 1935.

Lp. 11

Spółdzielca
z pow. krakowskiego.

Pisać własny życiorys — to duża odwaga. Albowiem człowiek uczciwy musi dbać o to, aby pisał prawdę i nie popełnił przesady. A poza tym pisać obiektywnie o sobie, gdy każdy człowiek żyje i działa subiektywnie, według własnych przekonań i popędów, to rzecz moim zdaniem niemal niemożliwa. Oczywiście wedle swych sił będę się starał o obiektywizm i to przyrzekam. Do czytelników należy ocena, czy temu przyrzeczeniu sprostam. Ponieważ mam lat 55 i już jestem na „emeryturze" po 35 letniej pracy społecznej, ponieważ piastowałem wybitne godności w ruchu spółdzielczym, jako dyrektor Patronatu Spółdzielni Rolniczych, dyrektor Syndykatu Rolniczego, prezes rady nadzorczej Centralnej Kasy i t. p. i na żadną nową godność czy posadę nie reflektuję, czyli innymi słowy — jestem nasycony, a nawet przesycony godnościami, przeto nie będę pisał dla jutrzejszej kariery i dlatego sam, co do siebie, mam zupełne uspokojenie, że będę się starał pisać prawdę.

Urodziłem się w roku 1881 w C. koło Wieliczki, obecnie powiat krakowski — dawniej wielicki. Ojciec mój śp. Józef pochodził z sąsiedniej gminy S., która za czasów polskich była królewszczyzną i pańszczyzny nie odrabiała. Dziad mój Kazimierz był zamożnym gospodarzem w S., ale całe gospodarstwo pozostawił najstarszemu synowi. Ojciec mój był górnikiem w Wieliczce i rolnikiem w C. na 6 morgowym gospodarstwie.

Matka moja, Anna z K., pochodziła z Wieliczki — miała brata, śp. Jana, który przez szereg lat był dyrektorem szkoły niemieckiej w B., a powrócił na wieś jako schorowany emeryt i mieszkał w domu moich rodziców w C. Marzeniem matki było, bym się kształcił w gimnazjum. Ale wuj uważał mię za niedołęgę i choć nie odradzał, wyrażał wątpliwość, czy dam sobie radę z nauką. Wuj umarł, gdy byłem w 4-tej klasie powszechnej.

Do szkoły powszechnej uczęszczałem do Wieliczki dwa razy dziennie, rano i popołudniu, czyli robiłem codziennie 12 km pieszo w lecie i w zimie. W tej szkole uczyłem się średnio. Jako mały chłopiec wracałem do

domu podczas mroźniejszych zim tak zmarznięty, że ręce i nogi rozcierano mi śniegiem.

Po skończonej 6-ej klasie w 13 roku życia rodzice zdecydowali zapisać mnie do gimnazjum. Egzamin wstępny do gimnazjum Sobieskiego w Krakowie zdałem dobrze. Nauka szła mi daleko lepiej niż w szkole powszechnej. Przez całe 8 lat edukacji gimnazjalnej ani razu rodzice nie byli w gimnazjum, by zapytać, jak się uczę. Zresztą matka umarła, gdy skończyłem 5 klasę. Wystarczało świadectwo, z którym co pół roku przyjeżdżałem do domu. A że świadectwo było dobre, przeważnie z notami celującymi, rodzice byli zadowoleni.

Mieszkania, jakie miałem w Krakowie, były nędzne, bo tanie. Na samym początku pobytu w Krakowie mieszkało nas trzech kątem. Mieliśmy łóżko dwu piętrowe, t. j. spało nas trzech, jeden nad drugim. Odżywienie było też nędzne. Dostawałem z domu co tydzień bochenek razowego chleba, garnuszek masła, dwie flaszki mleka oraz 1 koronę austriacką, czasem trochę jajek i kawałek słoniny lub kiełbasy. Mleko wypijałem w pierwszym dniu, a przez resztę dni w tygodniu piłem herbatę, której spory garnek dostawało się za dwa centy w herbaciarni (bez cukru). Od czwartej klasy poprawiła się jednak moja sytuacja materialna, gdyż miałem prawie stale po dwie lekcje, na ówczesne czasy dość dobrze płatne.

O profesorach gimnazjalnych zachowam do końca życia jak najlepszą pamięć. Z nielicznymi wyjątkami byli to prawdziwi ojcowie młodzieży, a choć byłem w gimnazjum, które nazywano „pańskim", to profesorowie pomagali mi bardzo serdecznie i odnosili się bardzo życzliwie.

Od 4-tej klasy gimnazjalnej należałem do tajnego kółka studenckiego, które uczyło nas historii polskiej, wykładanej w prywatnych mieszkaniach przez akademików narodowców. Ta tajna nauka i złączona z nią konspiracja były pierwszym bodźcem do pracy społecznej. Mówiono nam o fałszowaniu w podręcznikach szkolnych historii i literatury polskiej, o potrzebie oświecania mas ludowych dla wydobycia Polski z potrójnej niewoli. Wakacje i każde święta spędzałem oczywiście w rodzinnej wsi i za tą wsią zawsze tęskniłem.

W 1901 roku, gdy byłem w 7-mej klasie gimnazjalnej, zostałem zaproszony do domu górnika Fr. S. podczas świąt Bożego Narodzenia. Było tam pięciu młodych mężczyzn i ja. Podczas popijania herbaty rozpoczęła się rozmowa o gminie i jej sprawach. Od S. wyszła inicjatywa założenia czytelni w C. Myśl przyjęliśmy z aplauzem. Wykonanie zamiaru powierzono mnie, jako mieszkającemu w Krakowie. Byłem dumny z tego, że mnie najmłodszemu powierzono tę pracę. Zaraz po świętach udałem się do akademickiego koła T. S. L. w Krakowie, gdzie mnie przyjęto z otwartymi rękami i wyznaczono termin założenia czytelni na dzień 9 lutego 1902 roku. Miesiąc styczeń zużyliśmy na uświadamianie ludności o potrzebie założenia czytelni. Ponieważ na założycielskim zebraniu wypadało pokazać, że jesteśmy godni tej instytucji, uczyliśmy się na gwałt śpiewać

ważniejsze pieśni narodowe. Ostatecznie czytelnię założono i wybrano zarząd, do którego jako student nie mogłem należeć. Niemniej byłem duszą tej placówki oświatowej i zaraz po maturze zostałem jej prezesem. Była to moja pierwsza godność społeczna.

W roku 1904 zreorganizowałem czytelnię, przemieniając ją na koło włościańskie T. S. L. W czytelni znalazły się tygodniki rolnicze, szachy, warcaby, a biblioteka podarowana przez T. S. L. funkcjonowała intensywnie. Urządzałem też odczyty, pogadanki i zabawy ludowe. Wszelki dochód z zabawy szedł na kupno książek do biblioteki. Dziś z odległości 30 lat patrzę na tę ówczesną pracę i stwierdzam, że czytelnia i koło T. S. L. było tym czynem, który sprawił przełom w życiu mej wsi. To był początek pracy, która urabiała kulturę gminy, a życie ją pchnęło na nowe tory.

Oprócz pracy oświatowej postawiła sobie czytelnia realny program działania w życiu społecznym gminy. Na pierwszy ogień poszła karczma. Karczmę, własność dworu, dzierżawił żyd. Z tej karczmy szło zgorszenie na całą gminę i czytelnia postanowiła za wszelką cenę karczmę z gminy usunąć. Zamierzenia czytelni w tej sprawie zostały wykonane, bo ostatecznie gmina karczmę od dworu wykupiła. Ale ile ta sprawa kosztowała trudu, zebrań, awantur — to trudno opisać. Ani dwór, ani żyd karczmy pozbyć się nie chcieli. żyd buntował ludzi i wódką werbował zwolenników. Ale opinia urobiona przez czytelnię była tak silną, że wreszcie dwór karczmę sprzedał, a gmina ją rozebrała i parcelę po karczmie przeznaczyła na szkołę.

Drugi poważny efekt pracy czytelni — to otwarcie szkoły w C. O szkołę podjęła czytelnia starania zaraz u kolebki swej działalności. Rada szkolna powiatowa nie chciała o tym słyszeć. Jednak dwuletnie wysiłki organów czytelni zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem, albowiem ludność w zarządzonym plebiscycie szkolnym oświadczyła się jednomyślnie za otwarciem szkoły mimo, że z tą sprawą łączyły się dla gminy i ludności poważne ciężary.

W dwa i pół roku po otwarciu czytelni z jej inicjatywy powołano w C. do życia Kasę Stefczyka. Założono ją w dniu 1-go listopada 1904 roku. Byłem twórcą tej kasy w całym tego słowa znaczeniu. Podręcznik śp. dra Stefczyka dla tego typu spółdzielni wykułem niemal na pamięć i w lokalu czytelni odbyłem szereg zebrań przygotowawczych, a w szczególności zapoznałem się ze sposobem prowadzenia rachunkowości. I tu uderzyła mnie taka rażąca dysproporcja życiowa. Ukończyłem gimnazjum i byłem już studentem uniwersytetu, na wydziale prawa. Umiałem logarytmy, znałem Owidiusza i Homera, znałem też nieźle sztukę grecką i rzymską, ale o najprostszej rachunkowości nie miałem pojęcia. Dopiero podręcznik Stefczyka był moim pierwszym nauczycielem w tej dziedzinie.

W dążeniu do założenia tej kasy byłem rozpalony do czerwoności. Wydawało mi się, że cała gmina i okolica będzie taka sama. Ale było to złu-

dzenie. W przededniu zebrania założycielskiego odbyło się u wójta zebranie zamożniejszych gospodarzy, oczywiście bez mojej obecności, na którym zdecydowano nie dopuścić do założenia kasy. Również gmina K. oświadczyła się przeciw kasie. Był to cios zadany w rdzeń moich ideałów. Opanowała mnie wściekłość i żal, a także wstyd; co będzie jutro, gdy przyjedzie dyrektor Patronatu. Ale mimo wszystko zacisnąłem zęby i poszedłem do wójta z mocnym postanowieniem wprowadzenia kasy w życie bądź na drodze porozumienia się, bądź w drodze walki. Po porozumieniu się z moimi zwolennikami zaofiarowałem opozycji dwa najważniejsze stanowiska t. j. przełożonego zarządu i kasjera. Kompromis po kilku godzinach rozmowy niesłychanie burzliwej doszedł do skutku. Nawet oblelismy go herbatą z rumem. Zebranie odbyte w następnym dniu było zgodne. Kompromisu dotrzymaliśmy rzetelnie, a ja mając lat 23 (według ówczesnego ustawodawstwa jeszcze niepełnoletni) zostałem prezesem rady nadzorczej. Była to druga prezesura, którą zdobyłem za młodu. Kasę ulokowano w domu mojego ojca. Dziś istnieje już ona 31 lat, ma własny lokal w domu ludowym, opiera się głównie na własnych kapitałach, rozwija się doskonale dzięki rzetelnej pracy zawiadowców W. S. i A. S.

Po założeniu kasy przygotowaliśmy na terenie czytelni sprawę założenia kółka rolniczego i straży pożarnej i obie organizacje wprowadziliśmy w życie. Obie te placówki istniały i istnieją stale od lat 30 i mogą się poszczycić chlubnym wynikiem swej pracy. Kółko rolnicze zakupiło młócarnię, siewnik rzędowy, bronę łąkową, trier, wagę i t. p. do wspólnego użytku członków.

Straż pożarna ma dziś dwie sikawki pożarne osadzone na wozach, wszelkie przybory pożarnicze i ma dobrą markę w całej okolicy. Szczerze się przyznaję, że tego wszystkiego nie zrobiłem sam. Miałem dobrych współpracowników w śp. Fr. Skoczowskim, śp. Józefie Lembasie, śp. Janie Szydłaku, Fr. K., Janie B. i innych. Chcę złożyć hołd i cześć ich pamięci, co się dobrze wsi zasłużyli.

Jako adademik siedziałem dwa i pół roku na wsi w C. i pracowałem we wszystkich wyżej wymienionych organizacjach. Poza gminą brałem udział w pracach oświatowych koła akademickiego T. S. L., do którego oczywiście należałem. Inny był duch wśród młodzieży akademickiej wówczas, niż dziś. Co niedzielę prawie jechało nas kilku do którejś wsi i wygłaszaliśmy odczyty i urządzaliśmy pogadanki. Różnie wypadały te odczyty tak co do treści, jak i co do formy. Ale były naszym życiem, naszym umiłowaniem, hartowały nas, wyrabiały i zaprawiały do pracy publicznej. Ja np. nie lubiłem nigdy tematów historycznych i literackich. Interesowały mnie natomiast tematy gospodarcze. Uprawa roli, warzywnictwo, sadownictwo, sprawy ekonomiczne i finansowe — to były tematy, którymi żyłem. Z zakresu tych spraw czytałem pilnie wszystko, co wpadło pod rękę i robiłem sobie skróty ze spraw więcej mnie interesujących.

Jako akademik brałem żywy udział w przewożeniu z Krakowa do Królestwa t. zw. bibuły, czyli pism drukowanych na bibule, a kolportowanych w zaborze rosyjskim. Przewoziłem przeważnie „Polaka“, a także różne odznaki narodowe. Do celów kontrabandy bibuły nadawałem się świetnie, bo byłem szczupły i brałem do swej „koszulki“ dużą ilość egzemplarzy.

Nie pamiętam dokładnie, ile takich wypraw odbyłem. Ale było ich conajmniej kilkanaście. Moje przejazdy zawsze za fałszywym paszportem były szczęśliwe. Tylko raz zmuszony byłem utopić cały transport w Piotrkowie w hotelu polskim w wygódce, gdy mnie portier zawiadomił przez chłopca, że za chwilę odbędzie się u mnie rewizja. Rewizja się odbyła — ale nic już nie znalazła oprócz potu na czole, boć wiedziałem dobrze, że 1 - 2 lata groziło mi w razie przyłapania transportu.

Byłem też jednym z tych, którzy bywali świadkami przy zakazanych przez ustawy rosyjskie ślubach unitów z katolikami. Moja rola polegała na tym, że byłem świadkiem tajnego ślubu, dokonywanego przez księdza w prywatnym mieszkaniu. Ani księdza ani nowożeńców nie znałem. Ksiądz po ślubie od razu znikał, a ja dopiero wówczas zawierałem znajomość z nowożeńcami. Po powrocie do Krakowa zgłaszałem się do proboszcza u św. Krzyża i składałem przysięgę, że ślub takich, a takich osób odbył się w mej obecności. Ksiądz wystawiał metrykę ślubu z datą krakowską, którą w jakiś czas później przewoziłem i wręczałem nowożeńcom w Warszawie.

Od 1 stycznia 1906 roku zostałem przyjęty na praktykanta do biura Patronatu we Lwowie. Byłem już wówczas po pierwszym egzaminie prawniczym t. zw. historycznym i przeniosłem się na Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie. Wyjazd mój ze wsi do pociągu był wielką manifestacją całej ludności, która mię żegnała serdecznie. Wszyscy chłopi posiadający konie i wozy przyjechali przed mój dom, skąd następnie wielki sznur wozów przepełniony ludnością ruszył na dworzec kolejowy.

Do pociągu wniesiono mnie na rękach. Płakałem jak dziecko i przez całą noc jazdy do Lwowa nie zmrużyłem oka. Czułem, że w mym życiu urywa się i kończy jeden okres niesłychanie miły, bujny i urozmaicony. Ale twarda konieczność zarabiania na siebie samego — konieczność zdobycia jakiegoś stanowiska — nie mogła zezwolić na pozostanie w C. Pocieszałem się tym, że idę do instytucji, której ideę i pracę znam dość dobrze. W Patronacie zostałem praktykantem, który przechodził z działu do działu, a przede wszystkim pracował w rachunkowości, a na początek sumował inwentarze kas Stefczyka. Z życia ruchliwego przeszedłem nagle na gryzipiórka, a monotonność pracy rachunkowej była tak dokuczliwą, że zbierałem w sobie wszystkie siły, aby wytrwać i nie rzucić w diabły tej — jak mi się zdawało — idiotycznej a wyczerpującej roboty. Byłbym to zrobił na pewno, gdyby nie to, że nie miałem się gdzie umieścić, a wrócić do domu na utrzymanie ojca uważałem za wstyd i hańbę. Więc

choć przychodziły na mnie chwile buntu i rozpaczy, trwałem i przyzwyczajałem się do pracy biurowej.

Powoli zaczęto mi dawać drobniejszą korespondencję do załatwiania. To już było strawniejsze. Nauczyłem się też jako tako języka ruskiego i załatwiałem także korespondencje ruskie. W drugim roku pobytu we Lwowie zostałem kierownikiem t. zw. rachunku bieżącego. Był to zawiązek późniejszej Centralnej Kasy Spółek Rolniczych, czyli centrali finansowej dla spółdzielni rolniczych. Półtora roku byłem więc buchalterem. Ale moje aspiracje były inne. Chciałem stanowiska, które dawałoby mi możność kontaktu z ludem. Za takie uważałem stanowisko lustratora, który jeździ po kraju, robi rewizje, bierze udział w zebraniach i posiedzeniach. W trzecim roku mojego pobytu w Patronacie przedstawiłem ś. p. Stefczykowi moje aspiracje, które on uznał w zupełności i przedłożył Wydziałowi Krajowemu wniosek na zamianowanie mnie lustratorem kas.

Z tą chwilą nastąpił nowy okres w moim życiu. Rozpocząłem wędrówkę po całej Małopolsce. Mogłem też teraz dość często wpadać do C., do których przez 3 lata przyjeżdżałem tylko na święta. Było to tym potrzebniejsze, że wśród moich następców powstawały walki, które trzeba było tłumić. Miałem w swej gminie taki mir, że z łatwością uśmierzałem wzburzone namiętności.

I tak, choć mieszkałem we Lwowie, miałem stały kontakt z C. i ich instytucjami społecznymi.

W roku 1911 przeniesiono mnie do Ekspozytury Patronatu w Krakowie, gdzie przebyłem dwa lata, po czym na rok przed wybuchem wojny wróciłem znów do Lwowa. Na wojnie nie byłem, bo Wydział Krajowy wyreklamował mię od służby wojskowej, jako lustratora „ważnych dla państwa placówek finansowych". W roku 1914, po wyjeździe ze Lwowa, zamieszkałem w C. Oblężenie Krakowa przez Moskali, które się nie udało, przebyłem razem z wojskiem rosyjskim w C., a potem w Niepołomicach, dokąd wyemigrowała cała ludność gminy. Z tą ludnością przebyłem pod ogniem karabinowym i artyleryjskim w ziemiankach i okopach przez 18 dni, po czym po ucieczce Moskali wróciłem do C. Na wiosnę r. 1915 wydobyłem z ziemi, z ukrycia kasę i księgi kasowe w C. i rozpocząłem urzędowanie.

Gdy ś. p. Stefczyk wrócił z Wiednia do Krakowa i tutaj otworzył biuro, zgłosiłem się do pracy i rozpocząłem na nowo rewizję tych kas, które nie były objęte inwazją rosyjską. Nieraz dopiero moje przybycie uruchomiało kasę. Czasem godzinami odkopywano ziemię, by pudło lub beczkę z księgami wydobyć. Zamoknięte przeważnie księgi suszyłem z zawiadowcami na słońcu lub przy piecu i następnie badałem księgi i uruchamiałem kasę. Czasem trzeba było zakładać księgi na nowo, zwoływać i badać ludzi, ustalać stan faktyczny. Ta praca moja i moich kolegów w Patronacie trwała kilka lat, a była pracą niezmiernie uciążliwą, ale owoc-

ną, bo w przeciągu kilku lat odbudowaliśmy niemal wszystkie kasy Stefczyka w Małopolsce.

W r. 1920 zostałem kierownikiem Ekspozytury Patronatu w Krakowie i na tym stanowisku pozostałem do 31 grudnia 1923 roku. Jako lustrator kas Stefczyka przemierzyłem całą wschodnią i zachodnią Małopolskę wszerz i wzdłuż. Nie ma prawie w tej części Polski parafii, której nie znałbym. Przeprowadzałem rocznie około 100 lustracyj i zakładałem nowe kasy Stefczyka. Przez czas mej działalności patronackiej założyłem ponad 100 kas w różnych powiatach. Corocznie wykładałem na kursach dla kasjerów i odbywałem konferencje powiatowe, które obradowały nad wszystkimi ważnymi zagadnieniami gospodarczymi wsi polskiej. W te konferencje wkładałem całą moją duszę i mam głębokie przekonanie, że na terenie wsi polskiej w Małopolsce przyczyniłem się znacznie do wychowania i wykształcenia poważnego zastępu spółdzielców rolniczych.

Jakkolwiek Patronat początkowo zajmował się kasami Stefczyka — to z natury rzeczy stał bardzo blisko spółdzielczości mleczarskiej i rolniczo-handlowej, a po wojnie objął swą działalnością i te różne działy pracy spółdzielczej. Pracowałem przeto i w tych typach spółdzielni rolniczych.

Jako kierownik Ekspozytury cieszyłem się pełnym zaufaniem ś. p. dra Stefczyka. Pod jego kontrolą zorganizowałem w roku 1918 Związek Rewizyjny Spółdzielni Rolniczych w Krakowie przy Syndykacie Rolniczym i byłem jego dyrektorem, a w parę lat później zorganizowałem samodzielny Związek Rew. Spółdzielni Rolniczo-Handlowych w Krakowie.

Za radą ś. p. Stefczyka i pod jego naciskiem opuściłem Patronat w dniu 31.12. 1923 r. w tym celu, aby przyjąć stanowisko dyrektora w Syndykacie Rolniczym w Krakowie. Nim się to stało, prowadziłem z polecenia dra Stefczyka walkę o Syndykat, który był spółką akcyjną i wyłączną domeną ziemian, a w którym ziemianie spółdzielniom rolniczo-handlowym odmawiali jakichkolwiek wpływów. Walkę tę wygrałem połowicznie, bo w rezultacie przyszedł do skutku kompromis określający, że wpływy we władzach Syndykatu miały się dostać po połowie spółdzielniom i ziemianom. W konsekwencji tego stanu rzeczy zostałem drugim, administracyjnym i spółdzielczym dyrektorem Syndykatu, który też przyjął formę spółdzielczą.

Dziś z odległości 12-tu lat stwierdzam, że do Syndykatu szedłem bardzo niechętnie. Z handlem rolniczym nie miałem bowiem nic wspólnego i musiałem na gwałt zaznajamiać się z obcym mi dotąd kierunkiem pracy. Handel w Syndykacie prowadził głównie naczelny dyrektor i kierownicy działów. Na mnie spadł głównie obowiązek zdobywania kredytów dla tej centrali, a następnie zdobywanie materiału wekslowego na akcje handlowe Syndykatu. Był to czas, kiedy wierzono w cudowne skutki kredytu. Bank Rolny sypał na prawo i na lewo pieniądze. Z dyrekcji tego banku szło na kraj wskazanie, że rolnik musi dostać wszystko na kredyt. Sam

Bank Rolny stał się handlarzem nawozów sztucznych wbrew opinii wszystkich organizacyj rolniczych i spółdzielczych. Szło o zyski dla Banku, które wydawały się murowane.

Ale ta sielanka handlowo-kredytowa nie trwała długo. Bank żądał wykupna weksli, a to nie zawsze było możliwe. Przekleństwem Syndykatu było, że miał duży kredyt w Banku Rolnym i innych instytucjach i że musiał wykupywać cudze weksle, które przyjął od spółdzielni rolniczo-handlowych i od ziemian. W czasie 6-letniego mego pobytu w Syndykacie czułem się jak na wygnaniu. Po dwu latach pobytu w Syndykacie zostałem prezesem Związku Rewizyjnego Spółdzielni Rolniczo-Handlowych w Krakowie i sprawami tego Związku kierowałem przez cztery lata, do czasu połączenia się tego Związku z analogicznym Związkiem Rewizyjnym we Lwowie, a następnie z Patronatem.

Po śmierci ś. p. dra Stefczyka w roku 1924 dyrektorem, a potem prezesem Patronatu został ś. p. Leon Twarecki. Tenże przy każdej okazji namawiał mię do powrotu do Patronatu, jako terenu pracy daleko dla mnie właściwszego niż Syndykat rolniczy.

W następstwie tego zrezygnowałem w roku 1929 ze stanowiska dyrektora Syndykatu i powróciłem z radością do Patronatu na stanowisko naczelnego dyrektora tej instytucji i na tym stanowisku pracowałem do 31 marca 1935 roku t. j. do chwili, kiedy powstał nowy związek rewizyjny obejmujący całą Polskę, na miejsce dziewięciu związków rewizyjnych polskich. Do nowego związku nie zostałem zaangażowany.

Jako naczelny dyrektor Patronatu zdobyłem sobie duże zaufanie sfer spółdzielczych w Małopolsce. Miałem wiarę w spółdzielczość i wiarę tę umiałem wpajać w innych na licznych zjazdach spółdzielczych. Na likwidacyjnym walnym zebraniu i na ostatniej radzie Patronatu otrzymałem jednogłośnie podziękowanie za pracę. Mam też od wielu spółdzielni podziękowania na piśmie i uważam je za najwyższe odznaczenie, jakie nadała mi spółdzielczość w Małopolsce.

Poza Patronatem i Syndykatem rolniczym terenem stałej mojej pracy była Centralna Kasa Spółek Rolniczych w Warszawie, Zjednoczenie Związków i Centrala Spółdzielni Rolniczych w Warszawie oraz Małopolskie Towarzystwo Rolnicze.

W Centralnej Kasie byłem członkiem rady od 12 lat, a od r. 1931 do 1935 piastowałem godność prezesa rady. żadne walne zebranie, czy też okręgowe zebranie Centralnej Kasy w Małopolsce nie odbyło się bez mojego współudziału. Jako prezes rady brałem udział we wszystkich posiedzeniach dyrekcji Centralnej Kasy w ciągu ostatnich 5 lat, a jako przewodniczący okręgu krakowskiego biorę udział we wszystkich posiedzeniach dyrekcyjnych tego oddziału.

W Zjednoczeniu Związków Spółdzielni Rolniczych w Warszawie, które istniało od r. 1924 do końca roku 1934, byłem stale członkiem wydziału, a przez 5 lat wiceprezesem Zjednoczenia.

W Małopolskim Tow. Rolniczym byłem przez 12 lat członkiem zarządu głównego i przez kilka lat przewodniczącym sekcji spółdzielczej. Z krajów zagranicznych zwiedziłem Włochy, Danię, Niemcy i kraje austriackie.

Od zeszłego roku jestem prezesem Oddziału Towarzystwa Kooperatystów w Krakowie i wykładowcą praktyki spółdzielczej na wyższym kursie spółdzielczym przy Studium Rolniczym w Krakowie.

Mimo przeróżnych moich godności społecznych i spółdzielczych, które mię przeciążyły i przemęczyły, nigdy nie zerwałem ścisłego kontaktu z moją rodzinną wioską. W czasie wojny pisałem zawsze bezinteresownie ludziom podania o zasiłki i urlopy dla synów i mężów. A później byłem stale doradcą i opiekunem wszystkich organizacyj istniejących w gminie i według możności brałem udział w zebraniach i uroczystościach lokalnych.

W roku 1934 pod moim przewodnictwem zbudowano w C. dom ludowy, kosztem około 20.000 złotych. W domu tym znalazły pomieszczenie: urząd gminny, kasa Stefczyka, kółko rolnicze, koło młodzieży, straż pożarna i strzelec. Ten dom ludowy jest ukoronowaniem 30-letniej pracy spółdzielczej i mojej i tych wszystkich obywateli mej wsi, którzy swej pracy bezinteresownej i trudów dla zbiorowego dobra obywateli nie szczędzili. Może Opatrzność pozwoli mi poświęcić im kiedyś osobną publikację, bo na nią zasługują.

Dziś wycofuję się powoli z prac spółdzielczych u t. zw. „Góry". Opuszczam górę, wracam na dół do mej rodzinnej wioski. Mam tam małe gospodarstwo rolne i wielki obszar pracy spółdzielczej. Po 30-tu latach przerwy zostałem znów prezesem rady nadzorczej Kasy Stefczyka w C. Ale pocóż o tym wspominam. Na pewno nie dla pochwalenia się tą nową, czy odnowioną godnością. Miałem ich dużo w życiu i zadużo. Nic mi na nich nie zależy. Natomiast zależy mi na tym, bym pracę spółdzielczą miał do końca życia, bo ona daje nie tylko duże zadowolenie i spokój wewnętrzny — ale poczucie dobrze spełnionego obowiązku życiowego. Jeżeli od czasu do czasu pojawią się w dziennikach żale pod adresem inteligencji wiejskiej, która wieś opuściła, z nią zerwała i nic dla niej nie świadczy — to ja w sumieniu swym jestem spokojny, że żale te nie mogą się odnosić do mnie. Dużo się też pisze o nieufności chłopa do inteligencji. Tak, jest ta nieufność i będzie dotąd, dopóki inteligent będzie chłopa źle traktował czy to w stosunkach urzędowych, czy w życiu prywatnym i dopóki będzie robił pracę społeczną wśród ludzi dla własnej kariery.

Zniknie nieufność, gdy inteligencja zbliży się do chłopa bezinteresownie i gdy pracę dla ludu uważać będzie za przyrodzony obowiązek starszego brata wobec młodszego, oraz za obowiązek narodowy i państwowotwórczy.

C. 10 września 1935.

Lp. 12

Nauczyciel
z powiatu mieleckiego.

Urodziłem się dnia 3 września 1884 r. w P. (Małopolska Wschodnia). Po przeniesieniu się owdowiałej matki do Złoczowa ukończyłem tam szkołę powszechną i niższe gimnazjum, a czując zamiłowanie do zawodu nauczycielskiego, a równocześnie nie mając środków na dalsze kształcenie się w gimnazjum, zdałem wstępny egzamin na II kurs seminarium nauczycielskiego w Tarnopolu. Otrzymałem stypendium, które mi wystarczyło na utrzymanie, resztę dorabiałem dobrze płatnymi lekcjami i po trzech latach uczęszczania w r. 1906 zdałem maturę.

Już jako uczeń wyróżniałem się celującymi postępami w nauce i wybitnymi zdolnościami do pracy naukowo-wychowawczej, a mając znakomity teren do pracy na gruncie tarnopolskim, gdzie młodzież wcześnie bywała angażowania do pracy społecznej i narodowej, wcześnie do tej pracy zabrałem się. Szkołą dla pracy społecznej było T. S. L., pod nieocenionym kierownictwem prezesa prof. Stanisława Srokowskiego, który, przy pomocy bez granic oddanej sobie młodzieży, z niczego doprowadził T. S. L. do pełni rozkwitu i znaczenia dla całej południowo-wschodniej części Małopolski. Tam też w latach 1904 - 1906 byłem najpierw instruktorem, a następnie (1906 - 1907), już jako nauczyciel w Tarnopolu, jeździłem jako lustrator kilkunastu szkółek T. S. L., bo przez towarzystwo utrzymanych. Tam przez cztery lata jeździłem z odczytami po powiecie, po czytelniach polskich i różnych kooperatywach. W Tarnopolu też jako student należałem do tajnej, niepodległościowej organizacji narodowej, rozwiniętej wśród młodzieży szkolnej pod nazwą „Odrodzenie".

Po złożeniu matury seminarialnej, zostałem zaraz mianowany nauczycielem przy 7 kl. szkole powszechnej w Tarnopolu. Jednak ze względów matrymonialnych przeniosłem się do Stryja, gdzie również dostałem posadę nauczyciela przy 7 kl. szkole wydziałowej i z zapałem oddałem się pracy zawodowej i społecznej. Z tych lat mej pracy w Tarnopolu i Stryju otrzymałem wiele pochwał, dekretów pochwalnych, a chcąc rozpocząć pracę bez-

pośrednio wśród ludu, na własną prośbę zostałem przeniesiony i mianowany kierownikiem szkoły w Żulinie pow. stryjskiego w r. 1908.

Była to wieś dawniej polska, lecz z czasem zruszczona, bo chociaż jest tam kościół rz.-katolicki, jednak beneficjum jest licho wyposażone, tak że żaden proboszcz dłużej utrzymać się nie mógł, tym bardziej, że dochodów innych było niewiele. W tym czasie był tam proboszczem ks. Józef M. (dzisiejszy prałat w B.), a że był kapłanem wprost świętobliwym, więc i współpraca z nim była łatwa i ludność się do nas chętnie garnęła. Zaczęliśmy więc unaradawiać zruszczone jednostki, założyliśmy czytelnię i urządzaliśmy częste zebrania i przedstawienia, co bardzo pociągająco wpływało na młodzież, która się tłumnie zaczęła garnąć i do nas i do kościoła i coraz częściej zdarzało się (zwłaszcza przed ślubem), że nowożeńcy przechodzili na obrządek rzymsko-katolicki.

Taka praca zastraszała działaczy ruskich, którzy, rozumiejąc do czego dążę, podburzyli ruską młodzież, a ta w grudniu 1909 roku urządziła napad na szkołę, z czego w następstwie wynikła głośna sprawa, która głośnym echem odbiła się i w sejmie, i w parlamencie austriackim, i w dumie, i w parlamencie niemieckim. Zrobiono krzyk, że wynaradawiam ruskie dzieci i ruską młodzież i t. d., dodając do tego różne rzekome okrucieństwa. Napadano na mieszkanie, burzono kilkakrotnie grób mego dziecka na cmentarzu i dokuczano mi w różny niemiłosierny sposób, a władze, nie chcąc drażnić Rusinów, tym bardziej, że była to wówczas era popierania ich za rządów namiestnika Galicji dra Michała Bobrzyńskiego, nie brały mnie prawie w obronę. Ja zaś cierpiałem, trwałem na miejscu i rozpocząłem proces przeciwko oszczercom, z którego wyszedłem zwycięsko, bo praca moja była legalną. Miałem już jednak dość Rusinów. Na mą prośbę przeniosły mnie władze na zachód, t. j. do powiatu mieleckiego, gdzie do dzisiaj przebywam i pracuję. Dnia 3 marca 1911 r. przeniosłem się do Rd., w powiecie mieleckim. I tu rozpoczynam zaraz pracę na szerszą skalę w latach 1911 do 1914, t. j. do czasu wybuchu wielkiej wojny światowej.

Przede wszystkim zaraz po przybyciu na nowe miejsce służbowe zauważyłem złe stosunki pomiędzy gminą a szkołą, na czym oczywiście cierpiała i gmina i szkoła. Przyjęto mnie z niedowierzaniem, a że przybyłem ze wschodu, więc od razu nazwano mnie Rusinem. Nie zrażałem się tym, tylko wyjaśniłem, że tak nie jest. Wiedząc, że nowo-mianowanemu kierownikowi szkoły najłatwiej być ponadpartyjnym, zabrałem się do działania. Rychło załagodziłem tarcia ze szkołą, a nawet potrafiłem wyrobić takie zrozumienie dla potrzeb szkoły, że gmina zaraz uchwaliła przeprowadzić dobudówkę do budynku szkolnego i uporządkowanie potrzeb szkoły, co też w ciągu dwu lat uskuteczniła. Ja zaś urządzałem często zebrania starszych, na których miewałem liczne referaty naukowe, praktyczne i pouczające, a przez przeprowadzane pogawędki poznawałem potrzeby ludności tej wsi.

Przekonałem się rychło, że przeszkodą w rozwoju kultury i oświaty w gminie jest przede wszystkim zupełne nieodczuwanie potrzeby wprowa-

dzenia jakichkolwiek kulturalnych zmian, a skuteczną zaporą tego była ówczesna rada gminna, złożona z samych starych i zamożnych ludzi, lecz o bardzo ciasnych poglądach społecznych. Widząc wreszcie, że wszelkie wysiłki z mej strony, by pobudzić śpiących radnych, idą na marne i że z nimi rzeczywiście nic się zrobić nie da, postarałem się o rozwiązanie rady gminnej i przeprowadziłem nowe wybory, z tym samym wójtem na czele. Dopiero wówczas wespół z radą gminną zabraliśmy się do przeprowadzenia rzetelnej pracy społecznej. Działo się to w roku 1913.

Najważniejszą potrzebą gminy było zdobycie jakiegoś własnego miejsca na zebrania, gdzie zebrani, czując się „jak u siebie w domu", szczerze i bez krępowania się jakimikolwiek względami wypowiadali swoje i gminy potrzeby; konieczną było rzeczą postaranie się o dom ludowy. Na podjęte przeze mnie starania, rada gminna wyznaczyła działkę gruntu w sąsiedztwie szkoły, jako plac budowlany pod dom ludowy. Od tego musiało się zacząć, bo zebrania w sali szkolnej były zawsze nieufne, więcej milczące i opierały się przeważnie na ustawicznym przemawianiu kilku tych samych osób i w ten sposób powstawało narzucanie ogółowi woli czy poglądów kilku osób, co znów rodziło niechęć lub większą jeszcze nieufność.

Powołaliśmy komitet budowy domu ludowego, ja zaś przez urządzanie przedstawień z dziatwą szkolną i starszą młodzieżą, tak we wsi, jak i w pobliskim Mielcu oraz przez urządzanie innych imprez, zacząłem pomagać komitetowi w gromadzeniu potrzebnych funduszów na ten cel. Tymczasem zaskoczyła nas w tej robocie wojna, która wszystko zniweczyła, a przez moje przeniesienie do R. w r. 1915 cała ta sprawa, z takim trudem z miejsca ruszona, upadła.

Pracy swojej, w czasie mego pobytu w Rd. nie ograniczałem tylko do pracy w gminie, lecz również energicznie zabrałem się do pracy kulturalno-oświatowej w powiecie. Poświęciłem się sprawie organizowania kooperatyw (co było mą ideą) na terenie powiatu, w szczególności zaś sprawie organizowania kółek rolniczych, zakładania sklepów kółkowych, a przez to unaradawiania naszego handlu.

Organizowanie kółek rolniczych.

Prezesem powiatowego zarządu Towarzystwa Kółek Rolniczych był wówczas, t. j. w latach 1911 - 1914, obywatel ziemski i wzorowy rolnik pan G. S., wielki i niestrudzony działacz społeczny, który wiele lat swej bardzo wyczerpującej pracy poświęcił wsi polskiej. Za jego to prezesostwa, jako delegat Towarzystwa, jeździłem od gminy do gminy, organizowałem lub przeprowadzałem reorganizację kółek rolniczych, jeździłem z odczytami, referatami i pogadankami. W tej pracy często pomagali mi i towarzyszyli starsi studenci, między innymi dzisiejszy starosta dr. M. Ł., lekarz wojskowy major dr. A. P. i wielu innych młodych, którzy uczyli się i za-

prawiali się do pracy społecznej. W przeciągu trzech lat objechałem wszystkie gminy w powiecie i rozwój kółek rolniczych postawiłem bardzo wysoko.

Dalszą jednak moją pracę w tym kierunku przerwała wojna światowa, która mnie wraz z rodziną wyrzuciła z domu, a całe mienie moje zupełnie zniszczyła, wyrządzając mi szkód na kilkanaście tysięcy. Będąc zrażonym do miejscowej ludności (we wsi Rd.), która nie uchroniła mojego mienia, a nawet częściowo współdziałała w jego zniszczeniu, postarałem się o przeniesienie do R., dokąd przeniesiono mnie dnia 3 marca 1916 roku, a więc 20 lat temu.

R. jest to wieś położona w powiecie mieleckim, oddalona 7 km od miasta, wieś mała, uboga. Po przybyciu tu zastałem prawdziwy obraz grozy, zniszczenia i nędzy. Szkoła zniszczona działaniami wojennymi, zestrzelana, na jej podwórzu groby poległych żołnierzy, bez ogrodzenia i żadnych budynków potrzebnych, bo szkołę wykończono w r. 1914 z wiosną, więc nie było czasu na wykończenie innych budynków. Gmina miała wprawdzie mały stary własny domek, przeznaczony na pomieszczenie sklepiku kółka rolniczego, lecz dom ten zastałem zupełnie zniszczony, a sklepik rozkradziony. Poza tym zniszczenie i zaniedbanie widoczne było na każdym kroku. Pole do pracy społecznej leżało otworem, a ogrom tej pracy zdawał się przerastać me siły. Nie zrażałem się jednak. Zorientowawszy się, jakie są najpilniejsze potrzeby ludności, postanowiłem bez względu na toczącą się wojnę przystąpić do pracy społecznej.

Uporządkowawszy szkołę i jej otoczenie zabrałem się do spraw gminnych. Najpilniejszą potrzebą było urządzenie sali, gdzie mogłaby się gromadzić miejscowa ludność na różne zebrania, tak bardzo potrzebne w czacie okrutnej wojny, tym bardziej, że kilkakrotne przesunięcie się wojsk rosyjskich, niemieckich, węgierskich i austriackich, pozostawiło po sobie wprost gangrenę moralną. Trzeba było natychmiast ludność, a przede wszystkim starszą młodzież przed tym stanem moralności bronić i ze złego dźwignąć. Zebrałem więc kółko młodzieży, przeważnie żeńskiej (gdyż męska po większej części była w wojsku) i z nią zabrałem się do prowizorycznego uporządkowania domu gminnego, by urządzić w nim scenę do przedstawień, a równocześnie salę na zebrania dla starszych. Przejmujący i niezapomniany był to widok, gdy dziewczęta i panny z najlepszych domów zebrały się zupełnie bezinteresownie do wynoszenia gruzów, nieczystości pozostawionych przez wojsko i przygodnych, jak następnie młodzież ta wyjmowała środkowe, drewniane ściany, by „stworzyć“ salę, jak następnie z pełnym zapałem urządzała scenę, aby tylko dopiąć celu. I dopięła! Z młodzieży tej założyłem w r. 1916 kółko oświatowe i amatorskie oraz czytelnię.

Założenie biblioteki.

Zadaniem tego kółka było: 1) założyć, uruchomić i prowadzić czytelnię, a przez to starać się usuwać zgubne wpływy wojny; 2) starać się o dochody na cele społeczne przez urządzanie patriotycznych i moralnych przedstawień. Sprawa powiodła się zupełnie. Młodzież z zapałem rozpoczęła szereg przedstawień, starannie opracowanych, robiąc tym wyłom w tych ciężkich czasach, pełnych trosk i zmartwień. Równocześnie pokazało się, że sala jest za mała, więc zaczęliśmy myśleć o budowie innego lokalu. Zanim jednak do tego przystąpiłem, założyliśmy czytelnię i zaprenumerowaliśmy kilka pism. Tam zaczęli się schodzić starsi na pogawędkę, na czytanie dzienników oraz różne gry towarzyskie. To ściągnęło od razu wszystkich starszych do świetlicy, a młodzież — dotąd zbyt wesoło bujająca — z radością dyżurowała w lokalu i z przyjemnością starszych obsługiwała.

Gdy czytelnia zaczęła się rozwijać pomyślnie, począłem myśleć o zebraniu jakiejś biblioteczki. Na ten cel przeznaczyliśmy wszystkie dochody z urządzonych przedstawień, festynów i innych składek. Równocześnie rozpisałem listy składkowe do znaczniejszych osób w okolicy, co również odniosło dobry skutek. Żyjący wówczas (1917 r.) ś. p. baron J. G. ofiarował 100 nowych oprawnych tomów różnych powieści, które z jego polecenia nadesłała księgarnia Gebethnera z Krakowa. Ks. proboszcz K. D. darował 30 oprawnych dzieł Kraszewskiego, ja dałem również 30 tomów, a około 160 tomów oprawnych zakupiliśmy i w ten sposób stworzyliśmy bibliotekę złożoną z 320 nowych dzieł.

Dnia 3 września 1918 r. puściliśmy bibliotekę w ruch. Biblioteka ta pozostawała zrazu pod zarządem ks. M. M., a z chwilą jego przeniesienia oddana została pod zarząd straży pożarnej, do użytku całej parafii.

Budowa domu ludowego.

Widząc brak odpowiedniego lokalu na pomieszczenie większych zebrań oraz na urządzanie przedstawień, postanowiłem wybudować gminie dom ludowy, lecz bez pociągania ubogiej i wojną wyniszczonej ludności do jakichkolwiek świadczeń. Zamiary moje spotkały się od razu z nieufnością „ojców gminy", którzy nie mogli zrozumieć i pojąć tego, że może ktoś coś bezinteresownie dla dobra ogółu stworzyć. Młodzież natomiast przyjęła myśl moją z wielkim zapałem i postanowiła we wszystkim bezinteresownie pomagać.

Dom ludowy postanowiłem wybudować z dwóch starych zniszczonych budynków, a to ze wspomnianego wyżej domu gminnego i ze starej, drewnianej, walącej się szkoły. Postanowiłem wybudować dom ludowy jako dom gminny i oddać go pod zarząd gminy. Lecz tu napotkałem na pewne

wprost nie do uwierzenia zastrzeżenia ze strony rady gminnej. Wezwano mię na posiedzenie (nie byłem bowiem wówczas radnym, bo istniała rada przed mym przybyciem wybrana) i tam oświadczono mi, że rada udzieli pozwolenia na rozbiór wspomnianych starych domów, o ile podpiszę zobowiązanie, rodzaj cyrografu — jeśli po zburzeniu tych domków nie wybuduję z tego materiału domu ludowego, to rada gminna będzie to mogła uskutecznić na mój koszt. Nolens volens zobowiązanie to podpisać musiałem, bo bez tego ani myśleć o dalszej pracy, a wszelkie moje perswazje podsycały tylko opór „ojców gminy".

W roku 1918 przystąpiono do budowy tego domu ludowego. Rozbiórką starych ruder zajęła się młodzież, lecz okazało się, że do prowadzenia budowy potrzeba nie tylko pieniędzy na robociznę, ale i na dokupno materiału. Co tu robić? Ale potworzone już wówczas były t. zw. „Ekspozytury odbudowy zniszczonych budynków przez działania wojenne". Postanowiłem z ich pomocy skorzystać. Zwróciłem się tam o pomoc i na poczet oszacowanych już wówczas przez komisję własnych mych szkód wojennych otrzymałem wszystek materiał potrzebny do budowy domu ludowego i budynków gospodarczych przy szkole, jak też wszelki inny materiał potrzebny do budowy domu mieszkalnego oraz pieniądze na robociznę. Wobec takiego obrotu sprawy zapomniałem już o cyrografie, który mi w czasie poświęcenia wykończonego domu, wręczył jeden z radnych ze słowami: „Ano, nie zawiedliśmy się na panu!" Dom ten mieścił dużą salę na zebrania, wraz ze sceną i całym urządzeniem, potrzebnym do urządzania przedstawień, obok mieściła się sala przeznaczona na kancelarię gminną, dalej pomieszczenie na sklep kółka rolniczego oraz następne dwie duże ubikacje na magazyn i pomieszczenie dla sklepikarza.

Założyłem też kółko rolnicze i puściliśmy w ruch sklep kółka rolniczego, który cieszył się wielkim poparciem. Prowadzenie tego sklepu powierzyliśmy W. R., który już przed wojną we wspomnianym starym budynku sklep kółka prowadził. Sklep ten jednak, wskutek kilkakrotnego spadku waluty, utrzymał się tylko lat kilka, a wspomniany sklepikarz na jego miejsce własny sklep założył. Życie jednak zaczęło kwitnąć w R. pod każdym względem. Młodzież rwała się do przedstawień i do zdrowego życia towarzyskiego, mając już własny lokal, własne ognisko ciepłem, serdecznością i zdrowym duchem otaczające wszystkich, kto tylko do jego zespołu się zbliżył. Było mi miło patrzeć na to rozbudzone przeze mnie życie i nie żal mi było włożonych wielkich trudów i ofiarności pieniężnej, gdyż wydawały one tak pożyteczny plon. Cieszyło mnie to tym więcej, że wokoło nas huczały armaty, pożoga wojenna siała zło i zniszczenie, a tu mała grupka młodzieży porwała się do zdrowego życia i do owocnej pracy oświatowej, a starsza ludność, widząc bezinteresowność mej pracy, zaczęła się do niej garnąć.

Budowa Grobu Bożego.

Mając z takim powodzeniem ukończoną jedną część mej pracy, postanowiłem dalej działać. Widząc ubożuchny obraz Pana Jezusa w grobie, namalowany na płótnie, wybudowałem przy współudziale stolarza Fr. W. i malarza K. z Mielca nowy Boży Grób, duży, piękny, okazały, ze wspaniałą bramą, do którego też własnym kosztem zakupiłem dużą figurę Pana Jezusa leżącego na kamieniu. Był zwyczaj, że strażacy stali przy obrazie wyobrażającym Boży Grób; jakiż był entuzjazm wśród młodzieży męskiej całej parafii, gdy im kazano stać już przy okazałym Grobie. Ten mój bardzo szczęśliwy a odruchowy krok bardziej jeszcze pociągnął i zbliżył ku mnie młodzież i ugruntował zaufanie miejscowej i okolicznej ludności. Zakupiłem też dużą naftowo-żarową lampę na oświetlenie kościoła.

Budowa drogi gminnej.

Wielką moją troską była zupełnie zniszczona droga gminna, a zwłaszcza droga łącząca wieś ze szkołą i z gościńcem. Droga prowadząca do szkoły była fatalna: błotnista, ciasna, istne topielisko tak, że w czasie słoty matki przynosiły na plecach dzieci do szkoły.

Postanowiłem wykorzystać szczęśliwie nadarzającą się okoliczność. Przez R. biegnie gościniec łączący Mielec z D. Gościniec ten przecięty jest mostem. Most ten był drewniany, mocno przez wojnę zniszczony. Komisja rządowa uznała konieczność stopniowej przebudowy tego mostu na kamienny i powierzyła jego budowę inż. K. z Krakowa. Zebrałem naprędce komitet i udałem się do niego z prośbą, by budując most, użył jako objazdową drogę — drogę gminną, wiodącą popod szkołą, z tym, że po wybudowaniu mostu naprawi nam drogę. Zgodził się. Rozszerzyliśmy więc uliczkę, obcinając ludziom ogródki, lecz za to, gdy most ukończono, wybrukowano nam porządnie drogę kamieniem, a gmina przyszła do tak dobrej drogi, że po dziś dzień jest ona najlepszą. Wybudowano też porządny most na tej drodze i dziś jest nowa pamiątka mych bezinteresownych starań dla dobra gminy. Tak znów spełniła się moja druga myśl.

Założenie spółdzielni jajczarskiej.

Mając już dom ludowy, a więc lokal, gdzie można się było pomieścić z niejedną kooperatywą, zakładam w r. 1918 spółdzielnię jajczarską. Zorganizowałem członków w czterech powiatach, a to w mieleckim, ropczyckim, tarnobrzeskim i kolbuszowskim i skupiłem w niej około 4 tysięcy członków. Spółdzielnia rozwinęła się tak, że potrafiła potem całymi wagonami tygodniowo odstawiać jaja do związku „Jajo“ w Krakowie. W r. 1918 pożar, który spalił pół R., spalił nam magazyn z wagonem wełny, desek

i jaj, wyrządzając wielką szkodę, lecz spółdzielnia i to wytrzymała. Dopiero przez dewaluację, a następnie przez upadek związku „Jajo“ w r. 1925 wstrzymała spółdzielnia swą działalność.

W międzyczasie, bo w r. 1922, w dowód uznania za pracę społeczną, zostałem wybrany posłem na sejm ze stronnictwa katolicko-ludowego w okręgu jasieleckim, obejmującym powiaty, które objąłem organizacją społeczną. Oczywiście działalność swą znacznie zwiększyłem i rozszerzyłem na cały okręg, w którym tysiące ludzkich spraw pilnych i ważnych załatwiłem, tysiące łez otarłem inwalidom, wdowom i sierotom, lecz o tych sprawach nie będę wspominał, bo chociaż była to sprawa społeczna, lecz już była to praca poselska, a więc spełnienie niejako obowiązku względem wyborców.

Reorganizacja ochotniczej straży pożarnej i budowa strażnicy.

Zająłem się reorganizacją ochotniczej straży pożarnej, którą mocno postawiłem „na nogi“. Widząc, że straż pożarna nie ma nigdzie żadnego przytułku, ani pomieszczenia, a ma tylko starą dziurawą szopę na pomieszczenie sikawki, postanowiłem wybudować strażnicę, gdzie prócz sal na mniejsze zebranie, byłaby duża sala na przedstawienia oraz duża remiza na pomieszczenie przyborów pożarniczych.

Znów rozpisałem listy składkowe i poczyniłem różne starania, które przyniosły kilka tysięcy złotych na ten cel. Między innymi uzyskałem subwencję na ten cel od ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, p. Ratajskiego, ministra oświaty p. Stanisława Grabskiego, a nawet ówczesny minister skarbu p. Władysław Grabski udzielił swej pomocy. Pomocy udzieliła też ówczesna Polska Dyrekcja Ubezpieczeń i tak uzbierało się kilkanaście tysięcy złotych, co umożliwiło mi bez ofiar ze strony ludności R., która na ten cel złożyła 66 zł, wybudować piękną strażnicę Ochotniczej Straży Pożarnej w R., która prócz wspaniałej sali i pięknie urządzonej sceny na przedstawienia, obejmuje inne małe ubikacje oraz remizę na pomieszczenie przyborów do gaszenia ognia oraz wspinalnię 2-piętrową, przeznaczoną do ćwiczeń straży. Tam też mieści się czytelnia i biblioteka, z której skrzętnie korzystają niemal wszyscy w całej parafii.

Poświęcenie strażnicy odbyło się dnia 6 czerwca 1925 r. bardzo uroczyście. Było ono połączone z wbijaniem gwoździ do pamiątkowej tablicy. Srebrne gwoździe wbijane według oznaczonego z góry miejsca na czerwonym tle tablicy, utworzyły pięknego srebrnego orła, którego złotą koronę utworzyły złote gwoździe, nadesłane przez ówczesnego Prezydenta Rzeczypospolitej Stanisława Wojciechowskiego, niektórych ministrów i niektórych księży biskupów. Poświęcenia miał dokonać X. biskup Komar, sufragan z Tarnowa, dla którego straż pożarna przygotowała piękny album, w ostatniej jednak chwili odmówił, mimo że był w R. na wizytacji kano-

nicznej. Zastąpił go ks. proboszcz K. D., który też za niego otrzymał album.

Zjazd gości był liczny, mimo okropnej słoty, a dochód z gwoździ przyniósł przeszło trzy tysiące złotych. Po pięknych śpiewach chóru młodzieży i licznych przemówieniach delegatów różnych osób i urzędów, zebrani, w dowód uznania za me starania i długoletnią pracę dla dobra wsi, na wniosek ówczesnego starosty z Mielca pana M. Z., jednomyślnie uchwalili nazwać strażnicę mym imieniem i nadano jej nazwę: „Strażnica Ochotniczej Straży Pożarnej im. B. G. w R.“ i z takim napisem tablicę przymocowano później na budynku. Równocześnie, ofiarowany przez gminę i straż, mój portret w pięknej złotej ramie zawieszono na środku ściany w wielkiej sali, na pamiątkę mych zasług dla rozwoju straży.

Mając już obszerną i wygodną salę na zebrania i przedstawienia, urządzałem coraz częstsze i coraz lepsze przedstawienia, pouczające zebrania, a czasem i zabawy, a dochód z nich straż skrzętnie zbierała i przechowywała na dalsze pożyteczne cele.

Kulturalne podniesienie wsi.

R. ma w samym środku wsi wielki, wolny, nieużyteczny plac, który w dawnych czasach służył jako rynek. Widząc nieużyteczność tego miejsca i piękne jego położenie, postanowiłem na wzór miast urządzić tam „małe planty“, gdzie ludność w dnie wolne od pracy z przyjemnością mogłaby spędzać wypoczynkowe chwile na zdrowym, czystym powietrzu, zamiast trudnić się bajkami i łazić po ciasnych, a często brudnych domach.

Zwróciłem się do rady gminnej, na czele której stał J. S., jako wójt, z propozycją, by udzieliła mi pozwolenia na ogrodzenie, obsadzenie drzewkami i krzewami i uporządkowanie tego miejsca. Lecz tu nie miałem już powodzenia. Rada gminna po długich naradach zgodziła się na mój plan i pozwolenia udzieliła. Zabrałem się więc czym prędzej do urzeczywistnienia mych zamiarów, a jako dyrektor miejscowej spółdzielni, z łatwością przeprowadziłem na posiedzeniu rady uchwałę, mocą której przyznano potrzebne subwencje na uporządkowanie tego placu oraz powierzono mi przeprowadzenie tej sprawy.

Chcąc zabezpieczyć roboty przed uszkodzeniem przez wozy, bydło, nierogaciznę lub drób, które dowolnie żerowały na tym placu, przystąpiłem do otoczenia go płotem. Do ustawionych słupów z betonu przymocowano drut kolczasty, a od strony placu zaczęto sadzić żywopłot, aby w ten sposób stworzyć ładne i trwałe oparkanienie.

Nieszczęście chciało, że w R. mieszkał posterunkowy policji państwowej, niejaki Z., który był silnie krótkowidzący. Jadąc rowerem, a nie widząc, wjechał na drut kolczasty, przebił koło i sam się pokaleczył. I choć nikt temu nie był winien, tylko on sam i choć nie było do tego żadnej pod-

stawy, zrobił się gwałt w ówczesnej gminie, a ta, bojąc się jego bezpodstawnych pogróżek, zażądała ode mnie natychmiastowego zaniechania dalszych robót i usunięcia postawionego już ogrodzenia. Nie pomogły moje perswazje, uspakajania i uzasadniania słuszności podjętej sprawy; wójt, bojąc się jakiejś rzekomej odpowiedzialności, spowodował na „radzie" cofnięcie udzielonego pozwolenia, ja zaś nie chcąc postępować wbrew, mimo poczynionych już wielkich wkładów pieniężnych, ustąpiłem, z wielką szkodą dla dobra ludności. Plac ten do dzisiaj, mimo że z ubocza na jego środek przeniosłem piękną figurę Matki Boskiej i otoczyłem ogródkiem, stanowi miejsce zanieczyszczeń. Tak więc dzięki „ślepocie" policjanta tak bardzo piękna i pożyteczna myśl spełzła na niczym.

Wykorzystanie gminnych nieużytków.

Gmina (obecnie gromada) ma prócz pastwisk wiele nieużytków nie przynoszących żadnego pożytku. Postanowiłem zużytkować te nieużytki przez obsadzenie ich wikliną koszykarską, aby w ten sposób zaprowadzić tu koszykarstwo i podnieść dobrobyt miejscowej ludności. Wyrobiłem gminie subwencję na obsadzenie tych nieużytków w postaci 2.500 sztuk sadzonek wikliny amerykańskiej, które w r. 1928 czy 29 nadesłał Państwowy Instytut z Puław. Zasadzono nimi część t. zw. Jarząbki oraz część położoną nad Wisłoką, zaś inne małe nieużytki jeszcze nie są wykorzystane. A że stosunki gospodarcze coraz bardziej się pogarszają, trudno dziś przewidzieć, kiedy będzie można dalszą akcję w tym kierunku poprowadzić.

Założenie związku młodzieży.

Wspólnie z żoną moją, nauczycielką, a bez najmniejszej pomocy ze strony miejscowego duchowieństwa, założyliśmy w r. 1927 związek młodzieży pozaszkolnej, który się bardzo pięknie rozwinął. Widząc zapał i chęć do pracy u młodzieży, przez urządzenie wielu przedstawień zebraliśmy kilkaset złotych i przystąpiliśmy do zakupna i poświęcenia sztandaru. W maju 1928 roku odbyło się uroczyste poświęcenie sztandaru, połączone z porankiem i wbijaniem gwoździ, co też przyniosło dość pokaźny dochód. Część z osiągniętego dochodu ofiarował związek na ochotniczą straż pożarną, za resztę zaś zakupiliśmy 17 pięknych kompletnych strojów krakowskich dla dziewcząt.

Do roku 1934 związek pozostawał pod naszym kierownictwem, dobrze prosperował i pięknie spełniał swe zadania. Gdy zaś z polecenia X.X. biskupów zaczęła się organizować t. zw. Akcja Katolicka, oddaliśmy związek pod opiekę ks. proboszcza K. D., lecz tam związek w niedługim czasie potem rozpadł się. Pozostał piękny sztandar i kosztowne stroje, a młodzież nie okazuje jakoś chęci do wznowienia związku, chociaż jest to dzisiaj katolickie stowarzyszenie młodzieży.

Założenie orkiestry.

Mając w zapasie około tysiąca złotych, pozostałych z poświęcenia i urządzenia strażnicy oraz zebranych z przedstawień i różnych zabaw, postanowiłem założyć w R., przy straży pożarnej orkiestrę dętą. W tym celu przeprowadziłem potrzebną uchwałę na posiedzeniu zarządu straży, a zebrawszy na wekslach podpisy i posiadaną gotówkę, zakupiłem w Krakowie w r. 1929 16 nowych instrumentów, jako mały komplet dla orkiestry, za około trzy tysiące złotych, na dogodnych warunkach spłaty w ratach kwartalnych. Zanim jednak sprowadziłem instrumenty, sam w porze zimowej zbierałem na naukę zgłoszonych ochotników do orkiestry i przyuczałem ich nut i zasad gry, co już ułatwiło nauczycielowi muzyki, byłemu sierżantowi przy orkiestrze wojskowej, prowadzenie nauki gry.

Założenie orkiestry wywołało niesłychane wrażenie wśród ludności na miejscu i w okolicy. Niecierpliwie oczekiwano jej pierwszego występu. W maju 1929 roku na Boże Ciało po raz pierwszy grała orkiestra publicznie w kościele i na procesji i odtąd stale już grywa i dalsze ćwiczenia idą ochotnie. Za moim przykładem poszły wnet inne wsie, które pozakładały orkiestry, a w szczególności wieś K., gdzie wielce świętobliwy kapłan i niestrudzony działacz społeczny, ks. J. G., założył podobną orkiestrę, utrzymującą się do dzisiaj.

Przyłączenie przysiółka.

W r. 1927 nie zanosiło się jeszcze u nas w Małopolsce na gminy zbiorowe. Każda dzisiejsza gromada stanowiła odrębną całość administracyjną, a i dziś jeszcze każda gromada ze swojego majątku czerpie dochody i rządzi własnym mieniem. R., który był jedną z najmniejszych i najuboższych gmin w powiecie, koniecznie pragnął rozrostu terytorialnego. Tuż obok niego położony jest przysiółek Rz., który należał do sąsiedniej, o trzy kilometry oddalonej gminy, mając nas tuż pod bokiem w odległości pół kilometra. Przysiółek Rz. obejmował pewną ilość domów, dwa dwory, a z nimi duży kompleks lasów. Przyłączenie tego przysiółka stanowiło najpilniejszą i najżywotniejszą kwestię materialną gminy R. Jakaż więc była nie do opisania radość, gdy po dwuletnich staraniach udało mi się przeprowadzić u poszczególnych władz przyłączenie Rz. do R. Od razu zwiększyły się dochody np. z taks przenośnych przy sprzedaży części gruntów czy lasów, a gmina nabrała możności zupełnego rozkwitu gospodarczego.

Tymczasem gmina W. zaprotestowała przeciwko wydzieleniu Rz. z jej granic, czyniąc usilne starania (o których my nic nie wiedzieliśmy) o zmianę rozporządzenia. W wyniku tego Ministerstwo po dwu latach rozporządzenie swoje zmieniło o tyle, że sam przysiółek z ludnością pozostał przy R., reszta zaś wróciła do W. Była to wielka krzywda dla R., bo W. i tak był

jedną z największych i najbogatszych gmin w powiecie, podczas gdy R. całą nadzieję pomyślnego i szybkiego rozwoju ponownie stracił. Nie pomogły już moje starania i zabiegi, bo mimo przyrzeczenia wysłania na miejsce komisji dla zbadania sprawy, Ministerstwo ani komisji nie przysłało, ani rozporządzenia już nie zmieniło. Ale i na tym rozszerzeniu terytorialnym R. zyskał o tyle, że przybyło około 50 zagród, znacznie zwiększając i obszar i ludność.

Budowa mostu.

R. jest wsią, w której jest siedziba parafii. Do gmin wchodzących w skład parafii należy też wieś K., oddalona od R. może niespełna 1 kilometr a przedzielona rzeką. W R. jest więcej sklepów i rzemieślników, więc ludność sąsiednia w znacznej mierze z nich korzystała, a najbardziej ludność K., który stanowi jakby przedmieście R. Sklepy jednak i rzemieślnicy dość licho prosperują, w szczególności przez brak dobrego połączenia z K. Przewóz przez rzekę — prom w czasie wojny został zupełnie zniszczony i jeszcze do r. 1932 nie był narawiony, a przewożenie t. zw. krypami, zwłaszcza w porze wezbrania wody lub płynięcia kry jest trudne i niebezpieczne.

Widząc tę bolączkę ludności, a zarazem przewidując jak korzystny materialnie skutek może być z połączenia tych gmin stałym mostem, postanowiłem wybudować wąski stały most dla przejścia i przegonu. Przy pomocy biegłego ciesielskiego majstra F. W. zrobiłem plan mostu i jego kosztorys i poczyniłem zabiegi u ówczesnego ministra rolnictwa i ministra komunikacji o pomoc w jego wybudowaniu. Uzyskałem wszystek materiał i bezpłatny przewóz, a pozostało tylko przedłożyć uchwały odnośnych gmin, biorących robociznę i konserwację mostu na siebie. Myślałem, że z łatwością to przeprowadzę. Tymczasem najniespodziewaniej zawiodłem się. Byłem pewny, że od tej tak ważnej sprawy a przede wszystkim tak bardzo pożytecznej dla obu stron, obie gminy przyczynią się chętnie, bo R. zyskiwał przez podniesienie i rozwój sklepów i rzemiosł, a więc przez napływ gotówki, a K. przez ułatwienie i potanienie połączenia z parafią i z powiatowym miastem Mielcem.

O zamiarze mym powiadomiłem obie strony i prosiłem o powzięcie decyzji na posiedzeniu rad gminnych. Sam uczestniczyłem w posiedzeniu rady w R., gdzie plan swój, poczynione starania i przewidziane korzyści dokładnie wyłożyłem i omówiłem. Jakież było moje zdziwienie, gdy po długim przenicowywaniu sprawy na wszystkie strony większość radnych sprzeciwiła się tej budowie, uważając, że budowa ta będzie wyłączną korzyścią dla K. i zwalając na tę gminę cały koszt robocizny, która miała wynosić około dwu tysięcy złotych. Rada gminna w K., która już godziła się na podane jej warunki, dowiedziawszy się o odmownej uchwale R. też cofnęła swe postanowienie.

Po upływie jednak kilku tygodni, w czasie których ponownie rozważano między sobą mój projekt, znów zebrała się rada gminna w R., a zrozumiawszy wreszcie wielkie korzyści z przeprowadzonej budowy mostu, powzięła uchwałę zgadzającą się na wszystkie stawiane warunki. Ale już było za późno. K. już zgodzić się nie chciał na powzięcie koniecznej uchwały i cała sprawa, tak niezmiernie doniosła dla rozwoju ekonomicznego i kulturalnego obu gmin, z wyraźną dla nich szkodą upadła. Oczywiście winę tego nie tyle ponosi „rada“ w R., ile — ogólnie mówiąc — tradycyjne zacofanie ludzi w ich sposobie myślenia i rozumowania, którzy myśl, u nich nową a gdzie indziej dawno już spraktykowaną i wykorzystaną, przyjmują z niedowierzaniem i po niewczasie, narażając zawsze siebie i całą miejscową ludność na śmiech, drwiny i upokorzenie.

Urządzenie obchodu.

Poza pracą społeczną trwałą, w ciągu całego pobytu mojego w R., podobnie jak i w innych miejscowościach, gdzie przebywałem na posadzie, urządziłem nie tylko wiele przedstawień amatorskich, uroczystych poranków i zabaw dla wyciągnięcia z nich korzyści materialnych na różne cele społeczne, ale też wiele robi się obecnie i robiło się w czasach zaborczych dla podniesienia i rozbudzenia ducha narodowego wśród ludu.

Pamiętne jest moje publiczne protestacyjne wystąpienie (jako nauczyciel w dodatku) w r. 1918, gdy Austria zawarła umowę w Brześciu, która stanowiła niejako czwarty rozbiór Polski. Zebrało się wówczas w Mielcu w sali i pod gmachem rady powiatowej kilkanaście tysięcy ludzi dla zaprotestowania przeciwko nowemu zamachowi na Polskę. W samej sali pomieściło się około tysiąca ludzi i tam sprawę referował ówczesny profesor gimnazjum w Mielcu pan C., tysiące zaś ludu wprost nudziło się w oczekiwaniu na zakończenie obrad na sali i otwarcie pochodu. Widząc ten nastrój ludności, a chcąc ją zapalić do wytrwania, nie namyślając się, bez najmniejszego przygotowania przemówiłem z okna piętrowego gmachu i ostro skrytykowałem macosze traktowanie nas Polaków przez Austrię i tak stanowczo przeciwko nowemu gwałtowi na łonie naszej ojczyzny zaprotestowałem, że końcowe słowa ślubowania:

„Polsko! Ślubujem ci na krzyż i miecz,
że prędzej w grobie legniem, nim krok ustąpim wstecz...“

z entuzjazmem powtórzyły tysiączne tłumy! Gdy skończyłem i zszedłem z góry, zaraz otoczyli mnie żandarmi austriaccy. Co byłoby się dalej stało, nie wiem, gdy wtem zbliżył się do mnie ówczesny starosta, a podając mi rękę oświadczył, że cały naród solidaryzuje się z mym stanowiskiem.

Uwagi o pracy społecznej.

Mógłbym przytoczyć jeszcze wiele drobnych szczegółów z mej dokonanej pracy społecznej, nie wspominając nic oczywiście o pracy społecznej w ramach szkoły, gdzie też zupełne przeobrażenie nastąpiło. Ale nie jest tak bardzo miło pisać samemu o swej pracy, milej jest nawet o niejednym zamilczeć. Jak z przytoczonych powyżej krótkich zestawień wynika — mam duże doświadczenie w pracy społecznej, tym bardziej, że jako poseł pracowałem bezwzględnie więcej społecznie, aniżeli politycznie i nie tylko na terenie jednego okręgu, ale i w poznańskim i w warszawskim, gdzie byłem współtwórcą tygodnika „Polska Ludowa". Więc też i uwagi moje, które pokrótce chcę zestawić, mają o tyle wartość, że oparte są na długoletnim doświadczeniu i nie z teorii, lecz z życia są wzięte.

Praca społeczna jest w ogóle niewdzięczna, bo każdy pracownik, czy to wychodzący z ludu — spod słomianej strzechy — czy z inteligencji, zawsze spotyka się z niedowierzaniem i nieufnością. Nieufność tę powoduje to, że my narzucamy się ludowi z tą pracą, a lud nie może zorientować się, czy to dla niego jest ze szkodą, czy z korzyścią. Lud nasz nie jest jeszcze tak idealny, by czerpał i zadowalał się tylko korzyścią moralną naszej pracy. Prędzej jeszcze przemawia do niego korzyść materialna, lecz ta jest trudniejszą do natychmiastowego osiągnięcia, podobnie jak trudno jest tak „namacalnie" wykazać ludowi, że przez podniesienie kultury i oświaty podniesie się i jego dobrobyt.

Uwagi te nie mogą w niczym powstrzymać dalszej pracy społecznej wśród ludu, bo jest ona dla niego tak konieczną, jak koniecznym jest jedzenie lub ubieranie się. Tak bowiem bez jednego, jak bez drugiego człowiek obejść się nie może, wciąż musi jeść — aby żyć i ubierać się — aby istnieć wśród ludzi cywilizowanych. A że wciąż zmieniają się i ludzie i zwyczaje w każdej miejscowości, więc też i praca społeczna stale i w różnych kierunkach musi być podejmowana i prowadzona. Prawda, że dobre uczynki i praca społeczna prędko idą w zapomnienie u ludzi. Lud częstokroć uważa, że się ma obowiązek wśród niego pracować społecznie. Praca sama również nie zawsze jest miłą, zwłaszcza wówczas, gdy napotyka się na liczne, a nieuzasadnione trudności i nie zawsze kończy się powodzeniem. Tym jednak ani zniechęcać się, ani zrażać nie wolno, gdyż musimy iść w lud z wiarą, że przez naszą stałą pracę wcześniej nadejdzie chwila, gdy lud sam nas będzie do siebie wzywał do pracy społecznej i że tym wcześniej powstaną owoce naszych usiłowań.

W pracy społecznej należy jednak pamiętać o niektórych warunkach, od których zależy jej powodzenie. Do takich zasadniczych warunków między innymi należą: 1) Nie zrażać się nieraz ciemnotą ludzką lub niepowodzeniem; nie zawsze bowiem natychmiast osiągnie się pożądany cel. 2) Należy być w każdej pracy społecznej najzupełniej bezinteresownym, a czę-

sto nawet wyraźnie ofiarnym, bo tylko bezinteresowna i ofiarna praca może wydać pożądane rezultaty. 3) Należy poznać ambicje ludności miejscowej, jej nałogi, zwyczaje, zamożność, ofiarność, bolączki i wady i dopiero po rozpoznaniu powyższego dobrze zastanowić się, od czego pracę zacząć, aby się już nie przerywała, lecz była trwałą i ciągłą. 4) Unikać robienia różnic i dzielenia ludzi na lepszych i gorszych, bogatych i ubogich, zdatniejszych i niezdatnych, bo czasem z najniezdatniejszych na pozór jednostek ma się w pracy społecznej największe korzyści. 5) Należy starać się o wyrabianie samodzielności w pracy społecznej tak u młodych, jak i u starszych osób, bo to rodzi ambicję i skutecznie przeciwstawia się licznym trudnościom. 6) W pracy społecznej pamiętać należy o bezwarunkowym zdobyciu jakiegoś lokalu, który czystością i gustownym, choćby skromnym urządzeniem, przyciągałby do siebie. W nim należy stworzyć ośrodek, jak gdyby ognisko, w którym każdy czułby się gospodarzem, a wówczas będzie można myśleć o powodzeniu systematycznej pracy.

Jednak najważniejszy warunek powodzenia w pracy społecznej jest ten, by pracownik nie myślał o awansach, pochwałach, odznaczeniach i nie gonił ani za osobistymi zyskami, ani za popularnością, a natomiast by zawsze i wszędzie był człowiekiem.

Ja w mej cichej i długiej — bo już przeszło 30-letniej pracy narodowej i społecznej mam te wszystkie zadowolenia, że nigdy nie goniłem ani za sławą, ani za uznaniem (chociaż nie byłoby to w ostateczności zbrodnią), że nie byłem nigdy egoistą, który by myślał tylko o sobie i mam to wewnętrzne zawodolenie, że nigdy — od dziecka — nie byłem pasożytem żerującym na dobru społecznym, lecz że przez całe swe dotychczasowe życie byłem zawsze człowiekiem, uznawałem zawsze ludzi wśród których pracowałem za braci, środowisko, gdzie rzuciły mię losy, za własne, uznawałem zawsze obowiązek pracy i starań nie dla siebie, lecz dla dobra ludu, zawsze starałem się być ofiarnym, czego dowodem liczne trwałe pamiątki mej pracy, a równocześnie moje ubóstwo. Za obowiązek synowski uważałem pracę dla dobra ojczyzny.

Cieszę się, że dotychczasowych mych lat nie straciłem na nicości, lecz na twórczość w takich ramach, na jakie pozwalały me siły i okoliczności. Mam też nadzieję, że gdy przejdą czasy — w których częstokroć protegowani zabierają miejsca odpowiednim — że będę mógł jeszcze wyrobić sobie większe pole do pracy i że jeszcze wiele lat będę mógł skutecznie służyć społeczeństwu i ojczyźnie, bo jak powiedział ś. p. Marszałek Piłsudski: „Być zwyciężonym i nie ulec — to zwycięstwo, zwyciężyć i spocząć na laurach — to klęska!“

R. 11 stycznia 1936.

Lp. 13

Instruktor Benedykt Wygoda

przez

Zofię Mańkowską-Wygodzinę

Był to pierwszy powiatowy instruktor rolnictwa pod zaborem austriackim. „Urodziłem się pod strzechą, w Hrycewoj chati" — mówił o sobie. Była to bowiem słomą kryta, drewniana szkoła w Capowcach na Podolu, w powiecie zaleszczyckim, gdzie 21 marca 1877 roku urodził się nauczycielowi Feliksowi Wygodzie drugi syn z jedenaściorga dzieci, które w ogóle świat ujrzały, a siedmiorga wychowanych. Ochrzczono go imionami Benedykt Klemens.

„Ja, syn chłopa" — mawiał o sobie często, zwłaszcza w towarzystwie ludzi, których posądzał o przesądy stanowe, o wywyższanie się ponad lud. Powiedzenie to nie było zupełną prawdą. Dziadek jego przybył z zachodniej części ówczesnej Galicji na wschód za pracą, którą znalazł w fabryce tytoniu w Jagielnicy, jako magazynier. Ojciec Feliks Wygoda osiągnął, już jako praktykujący nauczyciel, uzupełniające wykształcenie, zdawszy t. z. preparandę, to jest przeszedłszy kurs dokształcający, zakończony egzaminem. W ówczesnych stosunkach była to nowość, wprowadzona przez Radę Szkolną Krajową. Wymagana była przy tym znajomość języka niemieckiego. Nabycie go stanowiło w oczach ludności wiejskiej i małomiasteczkowej pewien patent na inteligencję i dawało pewne przewagi życiowe, jako umiejętność mówienia językiem władz. To też i Feliks Wygoda cenił sobie ów język niemiecki i jaknajprędzej pragnął tę „wiedzę" przelać na synów.

Capowce były zamieszkiwane przez polską szlachtę zagrodową i chłopów, przeważnie ruskich (Rusinów). Szlachta zagonowa odznaczała się jak wiadomo ambicją, poszanowaniem, albo i wynoszeniem

swego pochodzenia, butnością wobec t. zw. „panów“, czy to ziemian, czy pochodzących z nich inteligentów, skłonnością do burd i pieniactwa. Chłopi ruscy (rusińscy) byli cichsi, skryci, bierni, leniwsi. Poziom kultury jednych nie odbiegał od drugich. Nie było kościoła, była cerkiew. Pomału jedni i drudzy mówili przeważnie po rusku.

Capowianie burzyli się często. Burzyli się też, gdy przyszedł nowy nauczyciel F. Wygoda na miejsce dawnego diaka, którego popierał ksiądz ruski, tak, że osadzono nauczyciela przy pomocy wojska. Później jednak żyli z nim w dobrych stosunkach. Prowadzili bowiem od lat 30 proces ze dworem o las. Przegrali. Wygoda zaś pośredniczył ugodę z ziemianinem Jakóbem Romaszkanem i odtąd nietylko zapanowała zgoda wsi ze dworem, ale i otwarło się we dworze źródło zarobków dla mieszkańców Capowiec.

F. Wygoda nie zadawalał się samą pracą nauczycielską. Coś go zawsze pchało do jakiejś innej szerszej działalności, choć na ciasnym terenie jednej wsi lub jej otoczenia. A to sadzenie drzewek u sąsiadów, a to walka ze złodziejami, plagą Capowiec, a to udział w wyborach gminnych, a to agitacja przed wyborami do Sejmu krajowego galicyjskiego, w czym zapewne był narzędziem w czyichś rękach, lecz we własnym rozumieniu prowadził pracę niezmiernie ważną dla dobra publicznego. W przyszłości cała jego działalność pozostawi u mieszkańców Capowiec wspomnienie jak najlepsze. Narazie jednak były ciągłe trudności, niesnaski, przykrości. Feliks Wygoda uważał się za patriotę polskiego i czytywał stale „Ojczyznę“, popularne pismo narodowe, tak długo, jak długo wychodziło. Wskutek tej „szerszej“ działalności, poza koniecznym spędzaniem paru godzin w szkole, nigdy ojca w domu nie było, a skromna pensja nauczycielska ulatniała się prędko, zwłaszcza, że nie umiał nigdy odmówić pomocy nie tylko potrzebującym, ale i naciągaczom. Bywało tak, że pojechawszy, a raczej poszedłszy pierwszego po pensję do Zaleszczyk, do domu wracał już z próżnymi rękami, choć na nic nie tracił na siebie pieniędzy, nie pił, w karty nie grał. Pełen poczucia ważności swego działania szerszego, w domu był tyranem. Dzieci swoje uczył sam dopadkami. Synom „zadawał“ ogromne ilości słówek i gramatyki niemieckiej, a gdy nad książkami zasypiali, budził ich kijem, uważając, że w ten sposób najlepiej ich sposobi do przyszłego, lepszego losu.

Cały ciężar wychowania dzieci i utrzymania domu spoczywał na matce. Michalina z Kulczyckich Wygodowa (tak się zwała) córka

Polaka z rodziny szlacheckiej i ruskiej popadianki (córki księdza grecko-katolickiego), sama wychowana w polskim klasztorze, choć chrzczona na grecko-katolickie wyznanie, odznaczała się niezwykłą zapobiegliwością, pracowitością, aż do bohaterstwa posuniętą, cierpliwością wobec męża i niesłychanym poświęceniem dla dzieci, zwłaszcza dla ich przyszłości, którą jej ambicja widziała w nauce. Aby móc dzieci kształcić, podejmowała się prac niezmiernie ciężkich, jak np. uprawy tytoniu na wynajętym gruncie. Nie do zrozumienia, jakimi innymi jeszcze poświęceniami doszła do tego, że cztery córki wydała zamąż, wywianowawszy przyzwoicie, a trzech synów wedle ich zdolności i chęci doprowadziła do tego punktu, że już sami mogli dalej dobijać się pracy i chleba. Od czegoż jednak miłość i macierzyńskie oddanie się dzieciom. Wszystkie swe zobowiązania tak skrupulatne wykonywała, że gdy tylko potrzebowała i uważała, że może sobie na co pozwolić, kredyt prywatny, oczywiście żydowski, stał jej zawsze otworem. W tak ciężkiej pracy wpływ matki na dzieci był wpływem przykładu jej cnót i pracy, nie było czasu na nauki słowne.

„Wychowałem się w burzanach“ mówił później dorosły już Benedykt. Narazie mały Klimek, jak go zwano w rodzinie, nie wychowywał się, lecz „chował się“ dosłownie w burzanach podolskiego stepu. Ze starszym bratem Leonkiem chowali się jak dzieci chłopskie. W domu nie zawsze było chleba pod dostatkiem, trzeba było dobrze wyliczać porcje. Gdy było co pasać, chłopcy pasali, w domu pomagali, a potem znikali w trawach. Widok ojca, który zbyt często przemawiał do nich kijem, wystraszał ich z domu. Wpadali, chwytali co było do zjedzenia i w step, lub do towarzyszy, dzieci chłopskich, czy owych Bieleckich, Wąsowiczów i innych potomków zagonowej szlachty. Mały Klimek w zabawach był pełen inicjatywy, butny, lecz dobry kolega. Umiał na siebie wziąć wspólną winę, ale krzywdy swej czy cudzej nie darował.

W tych to czasach zyskał podstawową dla całego swego życia znajomość duszy ludu w Polsce u trzech głównych typów: chłopa polskiego, chłopa ruskiego i szlachty zagonowej. W tych czasach nauczył się współczucia dla ciężkiej pracy rolnika, dla ciężkiego zmagania się z losem biedoty wiejskiej.

Z tych czasów też posiadał ogromny zapas obserwacyj przyrody podolskiej, z którą zżył się na swobodzie dzikiego swego dzieciństwa.

To współżycie z przyrodą i dziećmi wiejskimi dało mu możność czerpania pełnymi dłońmi z bogatego źródła obrazów i porównań z dziedziny przyrody i życia drobnego rolnika. Było ono wielkim nauczycielem wymowy, tak bardzo mu przydatnej w późniejszej pracy propagatora i popularyzatora nauk rolniczych.

Nauki. Z trzech klas ludowych (powszechnych) przygotował go ojciec, czwartą ukończył w Zaleszczykach. W roku 1890 zapisany został do gimnazjum bazylianów w Buczaczu, a umieszczony na t. zw. „stancji" w prywatnym mieszkaniu niezamożnych ludzi. W Buczaczu przez cztery lata żył w warunkach bardzo ciężkich. Matka z wielkim wysiłkiem płaciła za stancję i dosyłała trochę żywności. Dorabiał sobie już wtedy lekcjami. Często był głód i chłód i warunki higieniczne jak najgorsze, łącznie z otoczeniem osób zaraźliwie chorych.

Wszystkie wakacje w czasach gimnazjalnych obaj z bratem spędzali u starszej siostry, zamężnej za oficjalistą prywatnym, doskonałym gospodarzem praktycznym, który dość często zmieniał posady. W ten sposób chłopak zaznajomił się z pracami rolniczymi w różnych warunkach, a na poziomie wyższym aniżeli poziom gospodarstw chłopskich. Tu poznał chłopa przez okulary ludzi „ze dworu", a tak zwanych „obywateli", to znaczy ziemian, przez okulary ludzi od nich zależnych. Tu wżył się też w wielki step „Pantalichę", podówczas jeszcze istniejący niedaleko Tarnopola, o którym całe życie wspominał. Dom siostry był dla niego wymarzonym rajem, począwszy od możności nasycenia tak często głodnego w czasie roku szkolnego żołądka, a skończywszy na wszelkich przyjemnościach wiejskich życia jak np. polowaniu, na które nie trzeba było wykładać gotówki. Za te jedynie szczęśliwe czasy dzieciństwa pozostała mu na całe życie wdzięczność dla siostry i szwagra. Ta właśnie siostra, ukochana Malcia, która się zawsze czuła Polką, pierwsza powiedziała Benedyktowi, że jest on Polakiem. W codziennym dobijaniu się o chleb powszedni w domu nie było na to czasu, a zdarzyło się, gdy ktoś wspomniał powstanie 1863 r., że chłopak obojętnie się wobec tego zachował.

Po spensjonowaniu ojca rodzice przenieśli się do Brzeżan, gdzie było wyższe gimnazjum, do którego Benedykt mógł uczęszczać. Z tą chwilą skończyło się jego dzieciństwo. W Brzeżanach już zupełnie

utrzymywał się z lekcji i jeszcze pomagał finansowo rodzicom. Wkrótce miejsce jego w domu zabrali przyjęci na stancję krewni, on zaś za lekcje miał utrzymanie i mieszkanie u obcych.

W gimnazjum był uważany za jednego z najzdolniejszych. Uczył się świetnie. Żydzi (którzy w małym miasteczku mieli swą giełdę nie tylko na dobra materialne, ale i zdolności ludzkie, obliczali wartość jego głowy(!) na 40,000 guldenów (80,000 koron austriackich). Dużo korepetycyj już wtedy udzielał darmo biedniejszym jeszcze kolegom. Od szóstej klasy gimnazjalnej zaczął gromadzić kolegów i uświadamiać ich narodowo. To samo robił z młodzieżą polską na wsi u siostry na wakacjach.

Z pośród całego rodzeństwa on jeden ukończył gimnazjum, nie straciwszy ani jednego roku. Maturę zdał z odznaczeniem," ze szczególnym zamiłowaniem do literatury polskiej", w roku 1897. Już wtedy też wyróżniał się łatwością wymowy.

Wkrótce pojechał do Lwowa i zapisał się na prawo. Zaczął się nowy okres biedy, biedy akademickiej. Znowu się niedojadało, a „nogi obute, nieraz pozostawiały bose ślady". Żelazne, jak dotąd zdawało się, zdrowie zaczęło okazywać wyniki buczackiego dzieciństwa i lwowskich czasów akademickich. Zapalenie płuc, na tle wyniszczenia organizmu, stało się bardzo ciężką chorobą. Przyszły i inne, a kiedy, wzięty do wojska austriackiego do pułku strzelców tyrolskich, pojechał do Insbruka, rozchorował się tam bardzo ciężko na zapalenie stawów, tak że zwolniono go i już nadal był niezdolny do służby wojskowej. W szpitalu w Insbruku nabył biegłości w języku niemieckim. Choć tak ciężkie były te lata studiów prawa we Lwowie, były to czasy jego naprawdę „górnej i chmurnej młodości".

Wydostawszy się, dzięki poświęceniom matki, własnym zdolnościom i wściekłej swej pracy, na poziom wykształcenia uniwersyteckiego, chłonąć zaczął jak gąbka kulturę polskiego narodu, nietylko z książek i nauk uniwersyteckich, ale przede wszystkim od ludzi wartościowych, których umiał na swej drodze wyszukać i którym umiał być całe życie wdzięcznym.

We Lwowie przez rodzinę Mariańskich (gdzie mieszkał wraz z Kornelem Makuszyńskim) zaznajomił się z kilku domami o bardzo wysokim poziomie umysłowym, a korzystanie z ognisk kultury, jakimi one były, znacznie zmieniły jakościowy skład wrażliwej jego duszy. Były to domy: Wacławów Wolskich (inżyniera, towarzysza

prac Stanisława Szczepanowskiego i K. Odrzywolskiego, oraz żony Wacława, Marii z Młodnickich, malarki i poetki), dalej domy dwóch sióstr S. Szczepanowskiego, to jest Benigny Wolskiej i Marii Jareckiej, żony znanego muzyka Henryka, a matki dwóch wirtuozów Zygmunta i Tadeusza. Wreszcie dom wdowy po S. Szczepanowskim (ekonomiście i tragicznym twórcy przemysłu naftowego w Galicji, autorze „Nędzy Galicji" i innych dzieł) Heleny Szczepanowskiej, w końcu dom jej siostry, Zofii Odrzywolskiej, wdowy po Kazimierzu (wiernym towarzyszu Szczepanowskiego i apostole jego „idei polskiej").

Był to czas, gdy co wiosny do Lwowa zjeżdżał prof. Wincenty Lutosławski i wstrząsał umysłami i sercami młodzieży. Na jego wykładach gęste tłumy 8-klasistów i akademików cisnęły się w salach, a fala młodzieńców, aż do stóp profesora, pięła się po stopniach katedry. Odnowienie prądów gorącego patriotyzmu, roztrząsanie rzeczy polskich, sięganie do romantycznej skarbnicy trzech wieszczów po odpowiedzi na zagadkę bytu narodowego, głośne czytanie w niezapomniany sposób „Króla Ducha", zainicjowanie etycznego ruchu wśród młodzieży — to były czynniki, którymi Lutosławski dobrał się do duszy młodzieży, otrząsnął z niej pył czystego estetyzmu i resztek pozytywizmu XIX w.

Część z poruszonej młodzieży tworzy Eleuterię i Elsów, a w związku z tym powstaje później ruch harcerski, inna część gromadzi się około rodziny Szczepanowskich i pracuje w „Tece", organie młodzieży narodowo-demokratycznej. Część trzecia z poprzednią spotyka się na t. zw. „kółkach" u pani Zofii Odrzywolskiej. Z tych kółek w roku 1902 wykrystalizowuje się ruch „Odrodzenia"[1]). We wszystkich tych grupach, we wszystkich tych domach B. Wygoda nawiązuje nici najserdeczniejszych stosunków. Przy ówczesnej jego otwartości, chęci służenia drugim i obrazowej wymowie, nie trudno było poznać się na nim i ocenić zalety jego charakteru i zdolności umysłowych. Zacni i niepospolici ludzie przyjmują go więc z otwartymi ramionami, widząc w nim zadatki na niepospolitego również człowieka. On zaś odpłaca im gorącym przywiązaniem, nieraz wprawiając w zawstydzenie tych, którzy je odbierali. W domach tych zyskuje

---

[1]) Nie trzeba tego mylić z obecnym „Odrodzeniem", katolicką organizacją studencką.

to, czego mu ciężkie warunki domu rodzinnego dać nie mogły: wzory i wskazówki w postępowaniu z ludźmi, wysoki poziom rozmów i dyskusyj, przeniknięcie myśli o dobru publicznym w codzienne życie jednostek i rodzin. U starszych niewiast znajduje opiekę i wyrozumienie prawdziwie macierzyńskie, których tak potrzebuje jeszcze pierwotna jego natura i wybuchowy temperament.

Nie waha się półżartobliwie stwierdzać, że znalazł we Lwowie trzy jeszcze matki, panie: Mariańską, Jarecką i później Mańkowską. Zwłaszcza w domu Jareckich staje się codziennym gościem. Tam, mimo sześciorga własnych dzieci w domu, z których żadne jeszcze wtedy nie ma bytu zapewnionego, zawsze jest miejsce i szklanka herbaty z przekąską przy wspólnym stole „dla Wygody". Włącza się w dom, staje się kimś bardzo bliskim, w kołach znajomych mówi się o nim: „pan Wygoda, to taka wygoda dla nas wszystkich". Każdemu bowiem pragnie pomóc w czymś, oddaje na usługi swoje ręce, nogi, głowę i czas, aż nieraz zaniedbuje się w studiach z tego powodu, bo koło bliskich coraz się rozszerza. Tu też w domu M. Jareckiej, po powrocie z Insbruka poznaje przyszłą swoją żonę, Zofię Mańkowską, z którą, jak i z kilku innymi młodymi dziewczętami, przez długie lata pozostaje w idealnej przyjaźni, tak wówczas nierzadkiej między słuchaczami i słuchaczkami Lutosławskiego.

Dzięki ofiarnej pomocy B. Wolskiej, cieszącej się jego zdolnościami lingwistycznymi, nabywa znajomości kilku języków. Poznając coraz więcej ludzi, odczuwa dla nich uczucia skrajne: wielkiej przyjaźni, lub bardzo ujemnych uczuć, aż do pogardy i nienawiści włącznie.

W każdej z grup wspomnianych stara się odnaleźć treść najlepszą, najbardziej przydatną do jego własnej, tworzącej się koncepcji dobra Polski, której ideę zaczerpuje z pism Szczepanowskiego. Wszystkie poznawane poglądy porównywa i dopasowuje do swoich obserwacyj i swojej poważnej znajomości ludu wiejskiego.

Prądy porywające Wygodę we Lwowie są demokratyczne, ale przy całej ich szlachetności i szczerości sam demokratyzm ich wydaje się wygodnie sztuczny, nie oparty na znajomości duszy chłopa. Reaguje na to w żywych dyskusjach, wnosząc we wszystkie te grupy swoisty zdrowy ferment, pobudzający do obserwacji i kontroli poglądów społecznych.

Coraz bardziej poznając zdobycze polskiej kultury i ludzi z tych warstw, którym dane jest używać owoców jej od dzieciństwa, gdy porównywa te stosunki z niskim stopniem kultury wsi, nie może obyć się bez przekonania, że sprawy publiczne toczyłyby się innym korytem gdyby owa cywilizacja dostarczona była i takim ludziom, wśród jakich był wychowany i wśród jakich poznał tyle zdolności prawdziwych i tyle zacnych charakterów. Widzi jednakże jakiej ogromnej pracy potrzeba na wyrównanie tych poziomów, tak bardzo od siebie odległych.

O jego udziale w „kółkach" pisze ich inicjatorka, Zofia Odrzywolska: „Poznałam Benedykta w jego fulminującej, niezupełnie jeszcze zrównoważonej epoce życia. Na zebraniach, na t. zw. „Kółkach", gdzie młodzież i starsi (ale młodzi duchem) schodzili się, był też on jednym z tych, co zebraniom tym nadawali ton. Panowało tam równouprawnienie młodych ze starszymi, ale nigdzie nie występowała ani młodzieńcza buta, ani tym bardziej arogancja, choć każdy mógł śmiało zabierać głos. Dziwną tę harmonię wytwarzały czynniki młodociane zespolone ze starszymi w jedno grono. Na przełomie młodzieńczo-starszych stał między innymi Benedykt, jako jeden z najwybitniejszych. Już wówczas rozpoznać w nim było można działacza społecznego na dużą skalę".

Gdy na kółkach pani Odrzywolskiej zjawia się Jan Adamowicz—Piliński i gdy powstaje „Odrodzenie", Wygoda wkrótce znajduje się w tym gronie i z właściwą sobie impulsywnością wiąże się uczuciowo z wielu jednostkami tej grupy, zwłaszcza z przodownikiem jej duchowym, Janem Adamowiczem, otaczając, jak wszyscy oni, pełną czcią i uwielbieniem panią Zofię Odrzywolską. Odrodzenie w pierwszej swej linii ideowej, wykreślonej w swym „Credo" z pierwszego numeru pisma, było ruchem patriotyczno-etycznym. Przez odrodzenie moralne jednostek dążyć do odrodzenia idei polskiej, opartej o poglądy trzech wielkich wieszczów romantyzmu i Stanisława Szczepanowskiego, a dalej do wyzwolenia narodu duchowego, a w końcu politycznego. „Wierzymy w Boga" — było pierwszym punktem „Credo", a postulat czystych rąk w działalności dla dobra narodu końcowym.

Duch umiłowania wolności swego narodu, przy szacunku dla wolności innych narodów, w ideologii Odrodzenia, wprowadzał postulat szerokiej tolerancji dla dążeń narodowościowych t. zw. dziś mniej-

szości narodowych, zwłaszcza słowiańskich. Wygoda silnie objawił zainteresowanie swe wzrostem kultury społeczeństwa ruskiego przez studiowanie na uniwersytecie filologii rusko-ukraińskiej na seminariach prof. Kołessy. „Odrodzenie“, głosząc swoje tak ogólne cele, chciało pracować bezpośrednio w sercach i umysłach ludzi, przetwarzając poglądy, murując charaktery i propagując swą ideologię coraz szerzej, bardziej jednakże starając się o jakość, niż o ilość zwolenników. Taktyki, ani programów nie opracowywało, mając pozostać organizacją bezpartyjną.

Wygoda od początku pisuje do „Odrodzenia“ głównie t. zw. „Korespondencję z Brzeżan“. Realny jego umysł zapragnął propagandy szerszej i pracy namacalnej. Chciał działać na większe skupienie młodzieży i na lud, któremu tę ideę polską trzeba było podać wraz z oświatą ogólno-kulturalną i fachową, wspomagane przez bezinteresowne zajęcie się sprawami najbardziej chłopów bolącymi.

W tym celu „Odrodzeńcy“ zakładają przy Towarzystkie Szkoły Ludowej specjalne koło im. Kazimierza Króla Chłopów. Koło to tworzy właściwie Wygoda, nakreślając mu program organizowania bezpłatnych porad prawnych dla chłopów, systematycznych kursów nauki historii i kultury polskiej na wsi, ilustrowanych wyświetlaniem reprodukcyj wielkich mistrzów, jak Matejki, Grotgera i innych. Przezroczy takich wówczas jeszcze nie było wcale, sporządzało się je więc umyślnie, uważając, że tylko prawdziwa sztuka, tak jak tylko rzetelna wiedza, zasługuje na to, by ją podawać ludowi.

Prawie równocześnie powstaje drugi kierunek realnej pracy w „Odrodzeniu“, mianowicie przygotowanie organizacji wojskowej (początek w maju 1903 r.).

Jedną i drugą pracę Wygoda przeszczepia ze Lwowa na teren miasta swej wczesnej młodości, do Brzeżan. W Brzeżanach zakorzeniły się wtedy trzy rodziny: inż. F. Barzykowskiego, o żywych tradycjach 1863 roku ze strony jego samego, a ze strony pani domu związanej z postępowcami warszawskimi przez jej brata, dom małżeństwa Hozerów oraz rodzina Stanisława Wiszniewskiego. Silne zżycie tych trzech domów, czcigodna postać inż. F. Barzykowskiego, energia żony, organizującej wtedy domowy przemysł guzikarstwa i krawaciarstwa w Brzeżanach, piękny śpiew Marii Wiszniewskiej, przejmująca gra na fortepianie Hozerowej i jej temperament w dyskusji, łagodna powaga jej męża, motywy ekonomiczne wprowadzane

przez oboje Wiszniewskich, — wszystko to przy pociągających cechach jednostek z młodego pokolenia Barzykowskich i całej serdecznej atmosfery tej „gromady“ towarzyskiej, wytworzyło jakieś pole magnetyczne, które sprawiało, że wkrótce prawie cała młodzież brzeżańska tu się znalazła.

Czynniki zachowawcze i lojalni urzędnicy austriaccy w małym mieście przestraszyli się czegoś nowego, wiejącego od tej grupy i rozpoczęła się walka nowej odrębności z tym co dotąd „zawsze tak było“. Można powiedzieć, że odtąd obóz Barzykowskich zaczął sypać szańce obronne i tym bardziej stał się przyciągającym dla młodzieży. Twierdzą działania tej grupy stał się „Sokół“, którego prezesem był podówczas Stanisław Wiszniewski. Znając doskonale sfery rzemieślnicze, jako prowadzący ajencję asekuracyjną i tworzący polską placówkę kredytową w Brzeżanach, te właśnie sfery drobno-mieszczańskie zapragnął wciągnąć do pracy społecznej w Sokole i Towarzystwie Szkoły Ludowej. Przy współdziałaniu grupy Barzykowskich, oba te towarzystwa przesiąkły ludźmi i ideami demokratycznymi, w przeciwieństwie do dotychczasowego kultu ziemian okolicznych i tego wszystkiego co trzymało z nimi[2]), a stało się to wszystko swoistą w Brzeżanach rewolucją pojęć.

Drugim biegunem środowiska brzeżańskiego dla Wygody był dom rodzinny. Na przedmieściu miasteczka, połowa skromnego domku wynajęta przez dwoje staruszków mieściła zawsze licznych członków rodziny coraz to się rozszerzającej. Za młodzieżą uczęszczającą do szkół ludowych i seminariów gromadzili się koledzy i koleżanki, a to dwojga już narodowości, gdyż trzy z siostr jego obrządku greckiego, były Rusinkami, a jedna i bracia należeli do społeczeństwa polskiego. Przy warunkach ciągle bardzo skromnych w domu, zawsze tam były drzwi i serca otwarte dla szerokiego grona znajomych, którzy znajdowali w tym domu współczucie dla swoich trosk, a nierzadko i pomoc, jakiej tylko członkowie rodziny udzielić mogli. Zwłaszcza na uczącą się młodzież zwrócone były oczy wszystkich, jako na nadzieję rodziny i jej bliskich.

Do domu Benedykt wracał na święta i wakacje. Z zarobków po adwokatach składał zaoszczędzone pieniądze w ręce matki, która

---

[2]) Wiszniewski S.: Brzeżany w walkach o niepodległość narodu polskiego (w druku).

znów starała się go opatrzeć za nie w bieliznę i ubranie, a kiedy za każdym następnym razem wiele z nich brakowało, odpowiadał niezmiennie: „widać, że było to komuś potrzebne".

Pewien rozstrój w serdeczną atmosferę rodzinną wprowadził nowy wpływ, starającego o jedną z sióstr „Ukraińca", jak zaczął się wówczas nazywać odłam Rusinów. „U nas w domu rozmawia się po rusku" — zapytał ze zdziwieniem Benedykt, a odpowiedź na to pytanie stała się powodem głębokiego nieporozumienia rodzinnego. Dotychczas w tym domu język ruski służył do porozumiewania się z chłopami Rusinami, ale między sobą, z gośćmi mówiono tylko po polsku. I oto w chwili, gdy młodzieniec coraz pogłębiał swą samowiedzę narodową, przy całej tolerancji i sympatii dla ludu ruskiego i jego ewentualnych dążeń do wybicia się własną kulturą, w domu ukochanej matki spotkał się z obcym człowiekiem, oddziałującym na ten dom nietylko w duchu obcym, ale wrogim polskości. Skarbami kultury polskiej, które sam tak niedawno zaczął zgarniać pełnią swych zdolności, Wygoda pragnął obdzielić w pierwszym rzędzie własną rodzinę, a oto zamknęło się przed nim serce ukochanej siostry. To osobiste przejście było pierwszym może z wielu doświadczeń zaborczych metod rozszerzającego się ruchu „ukraińskiego". Mimo tego rozdźwięku uczucia rodzinne Wygody były zawsze bardzo silne. Zwłaszcza matkę otaczał czcią głęboką. Opowiadali jego koledzy akademicy, że gdy raz w ich towarzystwie idąc, zobaczył matkę niosącą wodę, pobiegł, odebrał jej konewkę, ucałował spracowane ręce, zaniósł wodę i wtedy dopiero wrócił do towarzystwa.

Doznawszy ideowego zawodu w domu, tym goręcej rzucił się do pracy społecznej w „Odrodzeniu". Sprowadził do Brzeżan ze Lwowa Jana Adamowicza-Pilińskiego, Tadeusza Pannenkę i Jarosława Dolińskiego i we czterech za jego inicjatywą założyli brzeżańskie Koło Organizacji Wojskowej „Odrodzenia". Ogniskiem jego były właśnie owe trzy domy.

Praca Koła T. S. L. im. Kazimierza Króla Chłopów została podzielona na trzy grupy terytorialne. Prowadzoną była na terenie wsi i miasteczek, powiatu brzeżańskiego i sąsiednich, szczególniej zaś w Dunajewie, miasteczku o ludności przeważnie rolniczej, oraz na terenie powiatu lwowskiego. W Brzeżanach Wygoda z innymi z ogniska brzeżańskiego robili propagandę ideałów „Odrodzenia" wśród młodzieży i społeczeństwa starszego, a jako pracę realną wskazywali

jawną pracę w Kole Kazimierza, a więc wyjazdy na teren z kursami i wykładami, zbieranie bolączek chłopskich dla zorganizowania pomocy itd. Równocześnie prowadzono tajną robotę dla wciągniętych już do organizacji wojskowej: a więc sieć organizacyjna, nauka strzelania, gromadzenie broni.

We Lwowie zaś, w lokalu redakcji „Odrodzenia", Zarząd Koła Kazimierza zbierał fundusze na objazdy, tworzył biblioteczki wędrowne, wysyłał niektórych prelegentów, pośredniczył między prelegentami zbierającymi bolączki a biurem bezpłatnych porad prawnych, gdzie pracował ofiarnie mecenas Korytko i inni prawnicy. „Biuro" to było zresztą pojęciem abstrakcyjnym, nie było bowiem osobnego lokalu, papierów, protokułów, były tylko sprawy, które popierali ludzie i osiągali wyniki. Gdy w Dunajowie doprowadzono do ugody, ustalającej własność gospodarstwa dzierżonego oddawna przez rodzinę L. a będącego w wiecznym procesie, popularność tej akcji była zapewniona. Przewodniczył Kołu Kazimierz Dyonizy Krzyczkowski. We Lwowie też była centrala dla tajnej Organizacji Wojskowej. Silną dratwą, zszywającą tę całą robotę w trzech odległych miejscach, był Wygoda.

Równocześnie pracował B. Wygoda na terenie wsi. Jeździł po wsiach i miasteczkach sam lub z towarzyszami z Brzeżan i Lwowa. Przemawiał i uczył. Zdobywając zaufanie i sympatię przez udzielanie praktycznych porad prawnych i gospodarczych, uświadamiał przy tym pod względem ideowo-narodowym oraz pouczał o prawach obywatelskich, jak prawa i obowiązki wyborcze itd. Za każdym przyjazdem do Lwowa wydreptywał dziesiątki spraw chłopów. W Brzeżanach i we Lwowie na zebraniach różnych instytucyj, w kółkach i na odczytach w płomiennych słowach zachęcał do pracy z chłopem, nie „nad" chłopem, ani „dla" chłopa, lecz z chłopem, dla wspólnej przyszłości, której bez niego nie może być, a która niechybnie będzie, aby tylko nie zatracić wiary w niepodległość ani idei polskiej. Nawoływał działaczy społecznych do porzucenia niezrozumiałych lub nudnych prelekcyj o Mickiewiczu i Kościuszce, lecz do niesienia chłopom tego, co im przydatne być może w ciężkiej ich pracy i w walce codziennej o byt i przyszłość oraz tego co poruszy twórczo ich myśl i wolę. Opowiadał, a raczej wywoływał wizję skarbów duszy chłopskiej, okazujących się w pewnych chwilach w ich pracy i oddziaływania na podniety ich ciężkiego życia. Tak pamiętam, jak w Czytelni dla

kobiet we Lwowie odczytywał listy żony kowala z D., która dzieciom swym każe nie zamykać w swoich własnych sprawach „aby nie były jak te muszle, co w błocie całe życie siedzą". Na wsi jego własne „gadania", jak je zwał, były przykładem, jak mówić należy. Sama wieść, że przyjechał, gromadziła tak wiele ludzi, że lampa gasła dla braku powietrza.

W Brzeżanach zorganizował stałe zebrania młodzieży gimnazjalnej „na stancjach" u pana Pękalskiego i Feliksa Kułakowskiego[3]), gdzie mówił o zupełnie pewnej zdaniem jego niepodległości Polski, jeżeli wszyscy już czynnie będą ją przygotowywać, a działanie to, które doprowadzić należy do walki orężnej, trzeba oprzeć na pracy nad sobą. Gdzie tylko może dotrzeć, działa sam, ale mówi zawsze w liczbie mnogiej „my", wierząc mocno, że jest tylko jednym drobnym kółkiem w tej pracy i wzywa wciąż ze Lwowa innych (często daremnie), ufając, że oni lepszy wynik osiągną (w czym nierzadko się mylił).

Pogrąża się w tę całą robotę coraz głębiej, coraz silniej, coraz zupełniej. O sposobie jego działania tak wspomina Z. Odrzywolska: „Co mnie w nim najbardziej zawsze uderzało, to ta wielostronność zainteresowań, którą nawet tam, gdzie wpajał w słuchaczy specjalne fachowe wiadomości, umiał okrasić i nadać żywości obrazom praktycznym, dając.... tło szeroko obywatelskie, bez frazesów banalnych. Przy tym potok jego żywiołowej wymowy wpadał wprost do duszy, a prostota formy wykładu, ilustrowanego zawsze pokazami, działała na umysły i na praktykę życiową.... Radość, jaką z tych jego nauk ludzie czerpali, pobudzała ich chłonną ciekawość". Zaś Irena Pannenkowa stwierdza: „Był świetnym mówcą ludowym, mówił po prostu, trzeźwo, obrazowo i z wielkim zarazem zapałem".

Już wtedy działał świadomie w kierunku usunięcia żydów ze wsi. Zakładał koła rolnicze i spółdzielnie. Podobno w Dunajowie doprowadził do likwidacji żydowskiej karczmy.

Założył też w Dunajowie drugie Koło Organizacji Wojskowej chłopskiej. Pomagał także w założeniu trzeciego Koła Organizacji Wojskowej chłopsko-mieszczańskiego w Sokolnikach pod Lwowem.

Najsilniej bierze go ta cała praca, gdy po uzyskaniu absolutorium i zdaniu dwu egzaminów prawniczych, spędza rok w Brzeża-

---

[3]) Biłyk Alfred: Ruch niepodległościowy w Brzeżanach (rękopis).

nach, mając przygotować się do rygorozum. Praca społeczna wyrywa mu z rąk naukę własną. Wtedy już z młodzieży, która emigrowała z Królestwa, jako ofiary strajku szkolnego i w znacznej liczbie znalazła przytułek w Brzeżanach, Wygoda pod specjalną opiekę dostaje trzech młodzieńców. Byli to Feliks Daleszyński i Wacław Biernacki (obecny Kostek-Biernacki) z emigrantów, trzecim jest Wolski ze Lwowa. Wszystkich trzech doprowadza do matury. Zato własne rygorozum musi odłożyć, bo mu sił nie staje. „Wali się na mnie taka masa roboty, tyle rzeczy, a trzeba naprawdę mieć potężny grzbiet, aby się nie ugiąć. Ale Boże! Ile trzeba teraz ludzi, ile ludzi!" — pisze w tym czasie.

Poznaje przy pracy dwory, plebanie i szkoły. Umie ocenić ich wartość, tam gdzie są wartością. I o nich wieści zaraz przekazuje młodzieży w miastach, aby podniecić otuchę i wywołać wolę współpracy.

Jakiś czas myśli, czyby nie pójść jeszcze na teologię. Co ksiądz dobry może zrobić!... aż goreję i może sam jeszcze... Radość i chęć pracy daje mu silne wrażenie. Czasami powietrza nie staje w piersi, chce się aż krzyczeć!... Byleśmy mocni wszyscy byli, bo zagłębiamy się, a wielka przed nami toń.

Nie braknie go w dalszych pracach Organizacji Wojskowej w Brzeżanach. Współdziała przy utworzeniu strzelnicy; E. Rydz (później Śmigły) jako gimnazjalista i młody malarz tu pierwszy raz podobno styka się z karabinem.

Ale nadchodzą przesilenia. Teraz jednakże zabrakło Wygodzie sił fizycznych. W styczniu 1904 roku choroba oczu każe mu odłożyć egzamin. Silna anemia, potem pęknięcie błony brzusznej wskutek tłuczenia się ciągłego po złych drogach furmankami, a może i wskutek ćwiczeń karabinem, powala go kilkakrotnie i doprowadza do szpitala na operację. „Jestem srodze przepracowany, bo aż mój stalowy chłopski organizm trochę się ugiął, kiedy nie mogę się teraz podźwignąć" — pisze z początkiem 1904 roku. „To obrzydliwe choróbsko czas mi zabiera, staje napoprzek w robocie". Zaś w półtora roku potem: „Cały rok nie wolno mi się tułać pod całkiem skromną groźbą recydywy i śmierci. Umrzeć zaś nie chcę teraz, bo chcę wpierw cosik zrobić"...

Równocześnie przeżywa dwa ciężkie zawody. W Brzeżanach wybrana dziewczyna zwraca się uczuciem do innego, a we Lwowie gru-

pa Odrodzenia rozszczepia się wskutek rewolucji w Królestwie. Jedna część ulega wrażeniu, że oto już czas na orężną walkę i tworzy w Warszawie Związek Odrodzenia Narodu Polskiego, który bierze udział w akcji rewolucyjnej 1905 roku, zaś dorobek jego we Lwowie i w Brzeżanach około 1908 r. przejmuje Związek Walki Czynnej, po nim zaś w 1910 roku Związek Strzelecki. Część druga, widząc odskok gorączkowych poczynań tamtych, zbaczających w stronę socjalizmu od pierwotnego etycznego ruchu Odrodzenia, usuwa się i rozprasza.

Do pracy oświatowej w Kole Kazimierza nie ma ludzi. Rozwiązuje się je i oddaje inwentarz innemu kołu. Wygoda, oglądając się dokoła po wyjściu ze szpitala, widzi pustkę. Rewolucja 1905 r. nie była powstaniem. Ludzie, którzy w niej wzięli udział, pozostali w Królestwie. Adamowicz zaszył się w lud w Tłuszczu pod Warszawą i zaczął organizować Kółka Staszicowskie. Z ruchu tego powstało później „Wyzwolenie". Inni wzięli się do prac fachowych. Minęła chwila roboty „na gwałt", pod grozą, że idące wypadki zastaną grupę nieprzygotowaną. Więc u Wygody przyszedł nawrót do pracy dla dokończenia swego wykształcenia. „Gorące poty na mnie biją, skoro pomyślę, że właściwie do 28 lat niczego serio nie umiem. Niech choć w 30-tu będę umiał trochę orać".

Niebawem, od 1904 r., zaczął nowe studium, — rolnictwa w Akademii Rolniczej w Dublanach. „Siedzę skromnie w Dublanach i kuję, aż się iskry sypią. Skupić się teraz trochę trzeba, bo robota za pasem". Dzięki poparciu członka Wydziału Krajowego, a swego profesora wicemarszałka Tadeusza Pilata, dostał na studium dublańskie miejsce stypendyjne. Skąd ten zwrot? Skąd nowy ciężar jeszcze trzyletnich studiów akademickich po skończeniu praw i kilku egzaminów? Przyczyną była chęć działania wśród chłopów i dla ich dobra. Z nauki prawa najbardziej zajęły Wygodę zagadnienia ekonomiczne. Był słuchaczem prof. St. Głąbińskiego i uczestnikiem jego seminariów. Kilkuletnia praca oświatowa na wsi zetknęła go ponownie z biedą chłopa i jej przyczynami, z biedą chłopa głównego producenta kraju! Między przyczynami, jako jedną z głównych, widział zacofany sposób gospodarowania, oparty jedynie na tradycji, a zupełnie niezależny od zdobyczy wiedzy rolniczej. Zapragnął mieć ową wiedzę, czując, że potrafi uczynić ją dostępną chłopu. Zarazem widział, że kombinacja rolniczych i prawniczych studiów da mu możność prze-

prowadzenia badań ekonomicznych na temat drobnych gospodarstw, a wyniki tych badań, publikowane, mogą doprowadzić do pewnych akcyj szerszych, złu zapobiegających. Zaciska więc zęby na wszystkie swe osobiste ambicje i rodzinne konieczności i jeszcze na trzy lata odsuwa finansową swą samodzielność, której był już blisko.

Uczył się z całych sił umysłu już dojrzałego, wiedząc jasno czego w nauce szuka i patrząc na naukę rolnictwa pod dwoma głównymi kątami: jak największej produkcji kraju i jak największego pożytku producenta, zwłaszcza gospodarza drobnego.

W tymże czasie przeszedł rewizję światopoglądu. Równocześnie poddaje egzaminowi cały swój dorobek ideowy. „Wstało mi w duszy wszystko co było i co nie było do boju ze sobą i ze wszem. Co zwycięży, co zginie i na jak długo, nie wiem". I tu właśnie sęk. Nie jest to abnegacja... jeno poprostu odruch... uczciwości, by ludziom zaś nie dawać niczego co nie własne. Ale służyć prawdzie[4]). Wykonywam teraz, wprawdzie mniej dalekie wahania, ale jeszcze mnie nie opuściły całkowicie. Bólów tyle przeszło, a przecież strzała życiowych dążeń nie obniżyła się grotem w dół. Ból to sroga rzecz, ale byle jeno w szlamach osobistych się nie wił wężowymi skrętami, to podniesie grot jeszcze wyżej i sił doda... Nie mogę żyć dla siebie samego. Tracę wtedy jędrność duszy i świadomość życia... Jeszcze 7 miesięcy w Dublanach. Potem już otworzy się praca taka, którą trzeba będzie już i prząść i tkać. Trzeba mi do niej, błogosławionej, znów powrócić, bom nagrzeszył wiele zaniedbaniem wobec niej... Trzeba się wziąć do roboty nazad, odpokutować tęczowe sny, odrobić złudy... Huczy mi jeszcze w duszy, podnosząc leżące już zwały, znów skrzydłami wichrów co biegą z bezkresów gdzieś w dale niedościgłe. Ale niech huczą, niech się zmagają wszelakie siły i te co duszę na wyżynę niosą i te co ją w smutku kirem obloką i te, co oczy radością napełnią i owe, co życie dobrym mienić każą i dobrze w nim robić... Przyjdzie zapewne po nim spokój i ład i siły dobre się wzmogą, złe pokonawszy i słabości uśpiwszy rozmachem pracy i kołysanką dobrej woli".

Z profesorów dublańskich, których grono podówczas było istotnie wyborowe, zdaniem swym B. Wygoda skorzystał najwięcej od: S. Grabskiego, K. Miczyńskiego (st.), J. Mikułowskiego-Pomorskiego,

---

[4]) Wyjątki prywatnej korespondencji, przeważnie do Zofii Mańkowskiej.

M. Raciborskiego i H. Sawczyńskiego. Z niektórymi (jak z S. Grabskim i H. Sawczyńskim) zadzierżgnięte wtedy węzły przetrwały poza czasy studiów. U prof. K. Miczyńskiego podziwiał B. Wygoda gruntowność wiedzy, a w jego „pogadankach" (o życie, ziemniakach) widział rodzący się typ popularnej literatury rolniczej, właściwej dla chłopa. Treść i piękno świetnych wykładów prof. Raciborskiego porywały go i pozostawały w pamięci na całe życie jako wzór niedościgniony.

Osobno trzeba wspomnieć stosunek do ludowców. Dwa razy jeszcze odrywał się od studiów, a to by wziąć udział w akcji politycznej. W 1906 roku, współpracując z ludowcami, popiera kandydaturę[5]) znanego sobie i wysoce cenionego Jana Marszałkowicza w Limanowskim, „dziwnego" — jak mówił — „szlachcica", który naprawdę chłopa zna i do niego przemówić umie. Czas i siły swoje oddaje tej agitacji, ufając że za to przy wpływie Marszałkowicza powstanie szkoła rolnicza taka, jakiej chłopu potrzeba. Myśl tej szkoły rolniczej coraz jaśniej krystalizuje, jako szkoły o krótkim okresie nauki (nie trzyletnim, jaki miały szkoły w Galicji), aby synowie chłopscy wracający na gospodarstwo, mogli z niej korzystać, nie tracąc kontaktu z gospodarstwem ojcowskim.

Drugi raz w 1907 r., gdy sędzia Jan Hozer, ów „odrodzeniec" brzeżański, stawia w Brzeżanach swą kandydaturę do parlamentu austriackiego, popierany również przez stronnictwo ludowe, przeciw kandydatowi wysuniętemu przez t. zw. sfery rządowe. Pierwszy to raz na tym terenie postawiono kandydaturę szczerego demokraty i oprzeć chciano jego sukces o czyste, na przekonaniu tylko oparte, głosowanie mas ludu wiejskiego i miejskiego. W program wchodziła również ugoda z Rusinami. Przeciwko tej ugodzie najzawzięciej walczyli Ukraińcy, dla których jedyną metodą (już wtedy) było podżeganie nienawiści wobec Lachów.

Wygoda porusza lud na licznych zebraniach w Brzeżanach i okolicy, a choć Hozer nie zostaje wybrany, zwolennicy jego uważają, że odnieśli moralny sukces, skoro bez korupcji wyborczej otrzymał znaczną ilość głosów. Są też przekonani, że byłby wybrany, gdyby nie metody nielojalne przeciwników. Jednakże Wygoda po wyborach przyszedł do przekonania, że lepiej było nie wszczynać tej akcji, gdyż

---

[5]) Na posła do Sejmu krajowego galicyjskiego.

bez niej przeciwnicy nie byliby rozpętali takiej orgii korupcyjnej, jakiej wielu z chłopów nie umiało się oprzeć.

Z ludowcami jest Wygoda niejako w powinowactwie ideowym, nie wchodząc jednak do rodziny partyjnej. Poznaje wtedy wybitnych z nich: Jakóba Bojkę, Jana Dąbskiego (późniejszego wiceministra) i wielu innych.

Od partyj usuwa się i wkrótce już zaczyna mawiać: „Do żadnej partii nie należę i należeć nie mogę jako pracownik społeczny. Zmusić do tego mogłaby mię jedynie konieczność, gdybym wszedł kiedyś do Sejmu i tam musiał oprzeć się o jakąś grupę, dla wytworzenia wspólnej siły. W działaniu społecznym nie ma nic gorszego nad partyjność. Chłop na każdego partyjnika patrzy podejrzliwie, wietrząc w każdym jego działaniu partyjny interes. Chcąc pracować z chłopem trzeba być najzupełniej bezinteresownym, osobiście i partyjnie".

Agitacja w Limanowskim zamknęła cykl poznawania różnych grup etnicznych chłopa na ziemiach polskich. Od Zaleszczyk po Górny Śląsk przejeździł, a więcej przechodził południową część Polski. Mówił swobodnie wszystkimi narzeczami ruskimi, rusińskimi, od hucułów wschodnich aż do nowosądeckich, czy leskich Łemków. Chwyta też równie dobrze dźwięki gwary góralskiej Podhala, jak włada językiem literackim. W listach używa chętnie przymieszki języka ludowego. Poseł Marszałkowicz mówił, że tylko dzięki wymowie Wygody mandat swój uzyskał.

Przebywał i w Krakowie, gdzie pół roku spędził na tamtejszym studium rolniczym. Przyczyną tego było nieporozumienie z kolegami w Dublanach. Wygoda, dojrzały już wówczas człowiek, widzący w nauce broń w walce o ideały swego życia i wysilający całą energię, aby jak najprędzej zdobyć naukę, przy swym temperamencie wybuchowym jednakże nie mógł spokojnie patrzeć na formy wschodnie „wyszumiania się" dublańczyków z Królestwa. Dla nich bowiem Dublany były nie tyle akademią rolniczą, ile miejscem wyżycia się w wolności akademickiej, pojętej po studencku, jako możność ulegania swym zachciankom. Jasno wyrażone zdanie Wygody staje się przyczyną zatargu, który się oparł aż o Wydział Krajowy, najwyższą władzę samorządową Galicji. Marszałek Badeni, ceniący rzetelną wartość stypendysty Wydziału Krajowego, zagroził zamknięciem akademii, jeśliby niepokoje nie ustały. Wówczas ktoś wynalazł kompromis:

Wygoda otrzymał na pół roku stypendium na naukę w Studium Rolniczym w Krakowie; tymczasem młodzieńcy w Dublanach ochłonęli w zapale obrony swych honorów, a gdy po pół roku Wygoda wrócił, stosunki koleżeńskie ułożyły się dobrze i w przyszłości przy spotkaniach w życiu były nawet bardzo serdeczne.

W Krakowie, bardzo lojalnym politycznie wobec Austrii, a o muzealnym charakterze miasta, Wygoda się dusił. „Byłem dziś na Wawelu. Wielkie nabożeństwo i procesja biskupia z asystencją 40 policjantów z karabinami. Ponad tymi ludźmi, ponad c. k. nabożeństwem huczał potężnie z wieży „On", on co huczy dziś na c. k. policyjną procesję, a huczał na wjazd, triumfy i śmierci naszych królów i wielkich w narodzie. Dziw... Wszystko to są szaty, w które ubrać się przecież może c. k. policja, Szwed, lub prawowity Polak. Więc gdzież przejaw naszego bytu... Widocznie nas niema. Ale będziem!" „Nas". Narodu, szuka zawsze u źródła, u ludu.

Wówczas też ponownie zetknął się z Górnoślązakami. Jeszcze w czasie „Odrodzenia" był na Górnym Śląsku w okresie aresztowań za agitację polską. Teraz, w roku 1906, w Krakowie prowadził wycieczkę 300 Górnoślązaków. Przychodzą do Kaspra Wojnara dziękować mu za to, że swoimi kalendarzami ducha polskiego podnosił. Tam, w mieszkaniu Wojnara, jak pisze świadek Irena Sadowska, „padały perły z ust Benedykta, a oni pod wpływem jego słów ślubowali na wierność Ojczyźnie. I dotrzymali" — dodaje spokojnie.

Wkrótce już w roku 1907, B. Wygoda ma już upragniony dyplom Akademji Rolniczej w Dublanach, odbytą praktykę gospodarczą, kurs mleczarski w Rzeszowie, praktykę mleczarską w Oleszycach. Od września pracuje przy Komitecie Tow. Gospodarskiego we Lwowie w dziale kontroli dzielności użytkowej krów. Jest nareszcie samowystarczalny finansowo, uzupełnia i specjalizuje wiadomości fachowe. Opracowuje wtedy wydane następnie przez Towarzystwo Gospodarkie: „Tablice do obliczeń tłuszczu i wydajności mleka i masła". Cała praca jego jest uznana przez Komitet Towarzystwa Gospodarskiego jako rzetelna i poważnie pojęta.

Ale niebawem zajmuje go praca administratora w większych gospodarstwach. Rok gospodarczy 1908 schodzi mu na stanowisku samodzielnego zarządcy wielkim majątkiem w okolicy Stanisławowa, następnie zaś do kwietnia 1909 roku wykonywa takąż samą pracę w powiecie drohobyckim. Nabywa wiele doświadczenia fachowego

Zarazem utwierdza się w przekonaniu, że przy najlepszej woli obustronnej, praca jego w gospodarstwie ziemian nie pozwoli mu wyzyskać wiedzy i zdolności w całej pełni, ani nie da zaspokojenia jego celom życiowym.

Zobaczmy te cele życiowe. życie jest krótkie i piękne. Trzeba śpieszyć z pracą i widzieć piękno w pracy, w tworzeniu rzeczy. Chcę życia dobrego, a nie chcę złud o życiu wielkim, chcę takiego, by ono było najobfitszym w dobro dla ludzi. Chcę, by moje życie starło ludziom jak najwięcej łez, by zdołało podnieść poziom życia ludzkiego, by stworzyło najwięcej środków dla dźwigania ich etyki, wiedzy, zamiłowania do pracy. Chcę życia siły i pracy celowej.

W tym czasie zawiera małżeństwo. W roku 1909 żeni się z Zofią Mańkowską, z którą przyjaźń trwała już 7 lat i przetrzymała szereg ewolucyj obojga. Teraz od żony swej oczekuje twórczej współpracy i wzajemnej pomocy w osiągnięciu swobodnego rozwoju własnych indywidualności i życiowych celów. Pragnie mieć dzieci, aby w nie tchnąć całą niewyśpiewaną poezję marzeń, planów, prac.

Warto przytoczyć poglądy, z jakimi wówczas brał się do pracy na wsi.

W tym czasie jest zasadniczo skrystalizowany w swych poglądach, choć mówi o sobie, że będzie jeszcze wciąż innym. Rzeczywiście, w szczegółach nigdy się nie zasklepia w raz powziętym zdaniu, lecz zależnie od obserwacyj czynionych, wciąż łowione pojęcia poprawia, zmienia. Ale oblicze jego duchowe w tych dziesięciu latach, które ma jeszcze przed sobą do realizacji trudu całego życia, jest jedno. Pisze o tem tak Z. Odrzywolska: „Nastąpiła po ożenieniu się jego epoka, która miała już swoją trwałość, człowieka ideowego, pracowitego i dziwnie dobrego, który jednak nie wahał się wypowiedzieć gorzkich słów prawdy, gdy czuł, że je trzeba powiedzieć.

Już utracił był naiwną religię dzieciństwa na formach opartą we wczesnej młodości. W czasie „Odrodzenia“ przeszedł regenerację wiary. Potem w czasie przesileń przebył nową reakcję antyreligijną, może pod wpływem obserwacyj skostnienia i bezduszności osób uważających się za wierzących oraz pewnej „nagonki“ grupy ludzi zasłaniających płytkość i bezmyślność własną motywami religijnymi, nagonki na ludzi wielkiej wartości z owej grupy brzeżańskiej. Jakiś czas uważał, że może „obejść się bez Boga“. Przy pomocy rozmów z bardzo rozumnym księdzem Czajkowskim, T. J., odzyskał możność

modlitwy i z wiarą przystąpił do sakramentu małżeństwa. Jednak zawsze był daleki od wszelkiego formalizmu także i w sprawach religijnych.

Przyszłość Polski, niepodległą, przewidywał zawsze, widział ją jednakże o tyle odległą, o ile dalekim był decydujący wpływ ludu i inteligencji z ludu wyrosłej na losy narodu. W ludzie widział czynnik „nadzwyczaj ruchliwy, przedsiębiorczy i młody, którego siły mogą i muszą zaważyć ogromnie na przyszłych losach narodu. Z podróży w 1910 roku do Czech tak napisze: „Wieki ewolucji może upłyną nim na chłopa polskiego przyjdzie kolej, ale jeżeli zdołamy u chłopa wytworzyć te cnoty, których szlachcice nie mają, to może istotnie być wykładnikiem cywilizacji słowiańskiej i jej jądrem. Ale do tego trzeba, aby zginęły stare nasze wady społeczne, które deprawują niestety i tę inteligencję „z chłopa“ i trują jako toksyny chorobowe w organizmie społeczeństwa po chorobie szlacheckiej“... Nie da się wprost opisać skutków tego, co znaczy społeczeństwo z chłopa, jakie tu widzę... Takie potężne „my“ narodowe... Wyczuwa się jakby dotknięciem tę żywiołową siłę wartości organicznej, mimo przeróżnych walk wewnętrznych... Gdziekolwiek stanę wobec dwu Czechów, staję wobec narodu. Nie widzę granic ich potęgi, leżącej poprostu w tym, że bitwa 1620 roku zmiotła wszystką stanową ohydę, zaśniedziały kożuch i okryła żywe ciała chłopa, który, przebudziwszy się, idzie jak burza niepowstrzymana, ale burza twórcza nie niszcząca. Ich spoistość porównać chyba można z olbrzymim magnesem, siła jego, to naród. Ciągnie ku sobie materiał jednolity: żelazo. Żelazo to, to lud doprowadzony do twardości wolframu, milczenia spiżu, sprężystości gumy i ostrości stalowego noża. Naród, który się mnoży i z urodzenia i z ludzkiej rudy. Odniemczają tutejszych Niemców. W Niemcach siedzi rak pychy, który ich zeżre. Ta sama zjadła nas, a między Czechami jeszcze jej niema. Jest tylko jakiś żywiołowy pęd do życia i rozrostu. Taki sądzę byłby u naszego chłopa, ale szlachetniejszy... Mogą nas wyprzedzić Rusini, jak wyprzedzili Czesi“...

Z pośród wszystkich dóbr wyróżnia ziemię, która nie jest dla niego „martwym kapitałem“, lecz, jako żywicielka rodzona od wieków, winna pozostać własnością narodu. Parcelację wielkich majątków, jeśli ziemię nabywa z polskich rąk polski chłop, uważa za bardzo korzystną dla społeczeństwa, natomiast grozą napełnia go ten rodzaj

parcelacji, przy którym ziemia przechodzi w ręce obce, czy to chłopów ruskich, czy żydów, czy Czechów, lub Niemców. Jednakże i warstwy ziemiańskiej nie chce niszczyć, owszem uważa, że odpowiednie urządzenia społeczne powinny zahamować zbyt szybkie i szkodliwe rozpadanie się większych majątków. Chociaż u ziemian o kulturze szlacheckiej widzi brak tradycji i pracy, zbyt wysoką stopę życiową i pychę stanową, przyznaje, że mają zadatki na dzielnych gospodarzy o ile do pracy są zmuszeni i dlatego widziałby ich chętnie jako właścicieli gospodarstw średnich do 200 morgów, o wyższym wykształceniu fachowym a przechowujących kulturę i tradycję polską.

Największe niebezpieczeństwo upatruje w zależności ekonomicznej od żydów, którzy wszelkie wielkie akcje ekonomiczne biorą w swoje ręce (tak było po połowie XIX w. z parcelacją w Galicji), mają w rękach cały wielki handel rolniczy, wszystkie hurtownie i wszelkie surowce dla rzemiosł, a jako plaga adwokatów prowincjonalnych podniecają pieniactwo chłopa, wysysają go finansowo i wogóle wszędzie między wszystkimi grupami społeczeństwa polskiego wciskają się z faktorstwem, chcąc odgrywać rolę „polskiego mózgu“ [6]). Daleki jest jednakże od brutalnego antysemityzmu, w jednostce żydowskiej widzi zawsze człowieka, któremu nieraz w nieszczęściu pomaga jak każdemu pokrzywdzonemu.

Chłop ruski jest mu prawie równie bliski jak chłop polski. Jednakże coraz wyraźniej widzi w nim tragiczny materiał dla agitacji „ukraińskiej“ i przyszłe narzędzia prądu płynącego nie ze źródła miłości dla swego narodu, ale nienawiści do polskiego, a na czele tego prądu widzi skrajnie nacjonalistyczny fanatyzm lub karierowiczostwo. Czym się stać może chłop ruski w ręce agitatora ukraińskiego, poznał już w czasie strajków rolnych we wschodniej Galicji, gdy dzieciom chłopskim kazano nożycami i nożami wyciąć paroletnie szkółki drzew i kultury lasowe, dlatego, że pańskie. Wygoda, rasowy gospodarz, wzdragał się całym swym uwielbieniem dla wszystkiej kultury przed barbarzyństwem.

Przyszły rząd polski nazywa centrum mózgowym dla spraw narodowych i politykę ekonomiczną jego wyobraża sobie jako rozum-

---

[6]) W y g o d a B., Ustrój gospodarstw włościańskich w Galicji. Lwów 1916.

ny interwencjonizm, rozwiązujący wszystkie kwestie gospodarcze w myśl interesu polskiego narodu. Tymczasem jednak sądzi, że społeczeństwo samo musi się dźwigać z ciężkiego stanu, a każdy powinien stać się fachowcem w jakiejś gałęzi pracy społecznej. On sam każdy objaw niedoli ekonomicznej społeczeństwa polskiego w Galicji obserwuje, analizuje, dochodzi przyczyn, stara się obmyślać środki zaradcze w zakresie swego działania, lub szuka ich u ekonomistów. Nie może znaleźć myśli, że jakieś zło miałoby tak pozostać. Stąd różnorodność i mnogość akcyj, które inicjuje, albo prowadzi, albo wśród których współdziała.

W okresie takiego nastroju otrzymuje w maju 1909 r. stanowisko instruktora, zwanego inspektorem rolniczym gródecko-janowskiego oddziału Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego. Prezes tego oddziału był równocześnie prezesem gródeckiej rady powiatowej, wskutek czego praca instruktora rolniczego zahacza się odrazu silnie o Wydział Powiatowy w Gródku Jagiellońskim. Trzecim czynnikiem zainteresowanym tą pracą było Towarzystwo Kółek Rolniczych.

Instytucja instruktorów rolniczych, była podówczas dopiero w początku. Wedle prof. F. Bujaka[7]) na całej przestrzeni Galicji do jako tako systematycznie prowadzonej oświaty zawodowej małorolnych zaliczyć można było (poza siedmiu stałymi szkołami rolniczymi niższymi) tylko dwie t. zw. szkoły zimowe, t. j. pracę dwóch ludzi (obaj w Galicji zachodniej) oraz 4—6 nauczycieli wędrownych, utrzymywanych przez Towarzystwo Kółek Rolniczych. Prócz tego Rada Szkolna Krajowa organizowała dopełniające kursy rolnicze przy szkołach ludowych, dla dzieci 15—16-letnich i to do r. 1906/7 zaledwie wogóle 30. Jak to stwierdził prof. F. Bujak, tak owi dwaj ludzie pracujący w szkołach zimowych, jak i wędrowni nauczyciele, z powodu braku ludzi o odpowiednim przygotowaniu ich, nieznajomości stosunków, braku kontaktu z włościanami i dorywczości działania nie wiele pożytku przynieść mogli.

Oddział gródecko-janowski Towarzystwa Gospodarczego tworząc swój inspektorat rolniczy, pragnął opieki fachowej stałej nad całym swym dorobkiem na terenie powiatu (politycznego) gródeckiego[8]).

---

[7]) B u j a k Franciszek: Galicja t. I. Lwów 1908.

[8]) Powiat polityczny gródecki obejmował 2 powiaty sądowe: gródecki i janowski.

Wchodziły tu także sprawy opieki nad akcją wśród włościan. Zatrzymywać się nad pracami, jakie Wygoda spełniał, zgodnie ze swymi obowiązkami służbowymi, na dobro większej własności ziemian, nie będę. Spełniał je wedle najlepszej swej wiedzy i z całą chęcią, gdyż służył przecież w tym produkcji rolnej kraju. Burzył się tylko wtedy, gdy widział, że posiadający ową własność z jakichkolwiek powodów nie umieją jej utrzymać, dla produkcji własnej korzyści wyzyskać, lub gdy zamykają się w egoistycznym kole własnych tylko interesów i to źle zrozumianych, nie okazując poczucia obywatelskiego. Dodam tylko, że do końca swej działalności w Gródku prace te sumiennie prowadził.

Także i inne oddziały zaczęły tworzyć inspektoraty rolnicze powiatowe. Lwowski ma go już w 1912 r. Osobno, pod nadzorem Sekcji hodowlanej Komitetu Towarzystwa Gospodarskiego we Lwowie, pracowali okręgowi inspektorowie hodowlani dojeżdżający ze Lwowa.

Pracę wśród włościan Wygoda zaczął od przejęcia opieki nad buhajami Towarzystwa Gospodarskiego i gminną oborą zarodową bydła nizinnego. To stało się jego bramą wpadową w gospodarstwa chłopskie powiatu gródeckiego. Jest rzeczą zrozumiałą, że buhaje subwencyjne i materiał zarodowy żeński Towarzystwa Gospodarskiego, oddany chłopom bez ciągłej kontroli nie mógł przynieść miejscowej hodowli należytego pożytku. Rozpłodniki często źle utrzymane, lub nadużywane, albo trzymane za długo w tej samej okolicy, cielęta rasowe sprzedawane na rzeź, krowy zarodowe doprowadzane do bezwartościowych buhai. Trzeba było w tym zaprowadzić porządek i rygor i został on stopniowo wprowadzony. Ale przy tym odrazu poznało się trochę ludzi, w ich własnych chatach, na terenie ich własnych chłopskich gospodarstw. Choć były to gospodarstwa najzamożniejszych, najzdrowsze ekonomicznie, ujawniły się zaraz przy poznaniu ich liczne braki, błędy, zaniedbania w organizacji, a często i fałszywa podstawa prawna ich istnienia. Dawnym swym brzeżańskim systemem, Wygoda starał się wszechstronnymi środkami naprawić chore organizmy gospodarcze, zaczynając od poszczególnych konkretnych objawów. A widać, że miał właściwy sposób wzięcia się do ludzi i spraw (jak dziś mówią „podejście"), skoro po paru miesiącach każdy dzień targowy w Gródku, będący zarazem dniem udziela-

nia przezeń porad w sali posiedzeń Rady Powiatowej, napełniał tę salę i sąsiedni korytarz czekającymi swej kolejki interesantami.

Z miejsca rozwinął silnie poradnictwo na miejscu w samych gospodarstwach i poradnictwo w oznaczone dni w biurze. Tym zaś poradnictwem objął nietylko sprawy ściśle fachowo-gospodarcze, a więc planowanie przeorganizowania gospodarstwa, począwszy od układania płodozmianu i stopniowego wprowadzania go w życie, aż do organizowania spółek drenarskich, uprawy roli i płodów, chowu inwentarza, przeróbki płodów, ich zbytu, spraw kredytowych, jak wyrabianie pożyczek hipotecznych na dokupno gruntu lub spłaty rodzinie, ale nawet sprawy czysto rodzinne, jak pokierowanie dziećmi, aby nie dopuścić do rozdrabniania i tak niewielkich gospodarstw i t. d.

Oprócz tej akcji, niejako bezpośredniej z poszczególnymi gospodarzami, od pierwszego już roku prowadził co tygodniowe prawie pogadanki „niedzielne" po wsiach, gdzie gromadzili się liczni gospodarze, a po pewnym czasie także i gospodynie. Na pogadankach poruszał tematy, których aktualność dla danego miejsca zbadał. Dyskusja potem dawała dużo tematu do nowych porad, nowych aktualności, nowych działań. Jednakże rozległość powiatu nie pozwalała dość często wracać do tej samej wsi, resztę musiały znów uzupełniać porady tygodniowe w biurze. Już też zaraz pierwszej zimy urządza i przeprowadza 8-dniowe kursy dla gospodarzy w poszczególnych wsiach. (Kółka rolnicze równocześnie organizują się do kursów 3-dniowych).

Na kursach tych bądź uczy zupełnie sam, bądź też, np. na kursach hodowlano-weterynaryjnych, przy pomocy specjalisty weterynarza. Zdarza się i tak, że widząc jak towarzysz, dzielny specjalista, ale nieumiejętny propagator, mówi niezrozumiale dla słuchaczy, cały wykład po nim powtarza w sposób popularny. Ilość wykładów w ciągu dnia w miarę zainteresowania i niezmęczenia słuchaczy dochodzi do 8-miu godzin dziennie.

„Popularyzacja" Wygody nie miała nic sztucznego, żadnego zniżenia się do poziomu słuchaczy. Robiła wrażenie jakby mówił swobodnie, do znanych sobie dobrze, jednym ze słuchaczami językiem, jednymi wyobrażeniami i pojęciami, używając znanych im obrazów, obracając się we wspólnie znanym świecie. Nie było zdaje się takiej wiadomości ze świata nauki zawodowej lub i kultury ogólnej, której by w ten sposób zbliżyć, wytłumaczyć i objaśnić nie potrafił. To nie

przeszkadzało, że język jego był to poprawny i piękny język polski. To samo zresztą mówili Rusini o jego wykładach ruskich, jakie miewał na kursach we wsiach czysto rusińskich.

Gdzie tylko można było, nadawał kursom charakter praktyki, jak np. na kursach hodowlano-weterynaryjnych, przy których weterynarz udzielał porad bezpłatnych, wskazówki były prowadzone na oględzinach bydląt, a całe położnictwo uczono na t. zw. fantomach, tak, że każdy uczestnik po kursie umiał dotknięciem rozpoznawać położenie płodu. Wygoda starał się też obrazem, rysunkiem i gestem uprzystępnić słuchaczom naukę. Żywość mimiki jego, płynąca z woli przekonania słuchaczów, była tak żywa, że we wsiach ruskich, mając w sali słuchaczów kilkunastu lub kilkudziesięciu, za oknami miał drugie tyle widzów, przylepionych do szyb w mroźne wieczory zimowe, takich, którym sama obserwacja mówcy była niejako swoistym przedstawieniem. Wejść bali się, podejrzewając w kursie coś niebezpiecznego dla swego konserwatyzmu.

Pouczenia na pogadankach i bardziej systematyczna nauka na kursach, poradnictwo w biurze i w samych gospodarstwach nie dały by wyników, gdyby nie było szerszych akcyj zmierzających do podniesienia gospodarstw włościańskich i dających poprzednio wymienionym formom pełną treść. Zadaniem Wygody stało się uprzystępnić wszystkie akcje, jakie przez cały czas swego istnienia Komitet Towarzystwa Gospodarskiego we Lwowie i oddział gródecko-janowski na tym terenie prowadził i wyzyskać odpowiednio dla drobnych rolników.

W dziale rolnictwa więc stara się on o subwencję na zakładanie wzorowych, a conajmniej poprawnych, gnojowni włościańskich i pilnuje ich wykonania. Przeprowadza u wielu gospodarzy doświadczenia z uprawą odmian roślin pastewnych, zbóż, ziemniaków, lnu i konopi, oparte na badaniu gleby oraz doświadczenia nawozowe. Zaopatruje w ziarno siewne doborowe, sprowadzone, nie za pieniądze, lecz za zwrotem ziarna z następnego odsiewu w cokolwiek większej ilości, oddane przeważnie sąsiadom, oczywiście pod kontrolą, itd.

W dziale ogrodnictwa i sadownictwa rozprowadza nasiona warzyw w setkach i tysiącach porcyj, zakłada wzorowe sady włościańskie polowe ,o właściwym doborze odmian, o znaczeniu handlowym, przeprowadza przeszczepianie drzew wedle potrzeby, udziela pomocy w ratowaniu pszczół, zakładaniu pasiek itd.

Przeprowadzał też zakupy i sprzedaże. Zgodnie z dobrą tradycją „Oddziału Handlowego Towarzystwa Gospodarskiego“, rozszerzył na włościan akcję wspólnych zakupów i wspólnej sprzedaży z pominięciem drobnych pośredników żydowskich. Tak sprowadzano nawozy sztuczne, ziarno siewne, niektóre narzędzia, tak dostarczano wagonowo ziemniaków na Śląsk itd.

Przy jego gorącej współpracy zreorganizowano Powiatowy Zarząd Kółek Rolniczych i przygotowywano w nim myśl przyszłego połączenia z Towarzystwem Gospodarskim. Na zebraniach tego zarządu Wygoda projektował corocznie program prac rolniczych w powiecie. Oddział Towarzystwa Gospodarskiego w Gródku w tym czasie staje się liczebnie aż w 60—75% chłopskim. Wygoda dba o to, aby chłopi wchodzili do rady oddziału, do delegacji na radę ogólną we Lwowie. A nie są to t. zw. „Paradebauer“, chłopi od parady. Biorą udział w dyskusji, a jeśli nawet nie, to poruszają potem sprawy omawiane na radzie, dyskutują w swym otoczeniu, wyrabiają opinię. Dziś jeszcze pamiętają o czym wtedy radzono. Jak wynika z powyższych przykładów, praca Wygody w Gródku Jagiellońskim objęła wkrótce (z wyjątkiem nieznanych wówczas nigdzie konkursów P. R.) prawie wszystkie pola i metody pracy dzisiejszych instruktorów. Miejsce np. obecnych gospodarstw przykładowych (przodowniczych) miało kilka t. zw. „włości rentowych“, pozostających pod specjalną opieką instruktora rolnego. Spędy bydła miały podobne znaczenie do dzisiejszych pokazów hodowlanych.

Te pola pracy i te metody ogarniał stopniowo, ale dość prędko, prawie sam je wytyczając, obmyślając i wprowadzając w życie. Mimo licznych trudności pionierskich, poparcie w tych swoich zamierzeniach znajdywał tak w Gródku jak i we Lwowie.

Stanowisko jego zostaje ustalone, upewnione i ściśle określone w r. 1911, gdy Wydział Powiatowy w Gródku Jagiellońskim przyjmuje go jako powiatowego inspektora rolnictwa na swój stały etat, który dla jego pracy został stworzony, zaś Wydział Krajowy udziela osobnej subwencji na zimowe kursy i objazdy. Ale stosunek pracy jego do poczynań Towarzystwa Gospodarskiego, mimo braku zależności służbowej, pozostaje zawsze ten sam. Prowadzi te same czynności dla tych samych grup ludzi, tylko że są one wciąż liczniejsze i szersze. Zostaje wybrany członkiem Rady Oddziału gródecko-ja-

nowskiego, różnych delegacyj i komisyj, delegatem na radę ogólną Towarzystwa, członkiem kilku sekcyj Komitetu T. G. we Lwowie.

Coraz to zwiększa natężenie pracy. Wkrótce uzyskuje pomocnika, instruktora, dzielnego i wypraktykowanego absolwenta średniej szkoły rolniczej w Czernichowie, Stanisława Wójcika.

Gródeckie społeczeństwo małego miasta zrazu z niedowierzaniem patrzyło na Wygodę, którego uważano za oryginała. Uważano go za odludka, gdyż, nie używając alkoholu, nienawidząc karciarstwa, nie znosząc dymu tytoniowego, świecił nieobecnością na śniadankach w handelku i na wszelkich zebraniach towarzyskich, gdzie nieodzowne były butelki, jednym słowem wszędzie tam, gdzie w nałym mieście tak dzielnie zabija się czas. Jednakże jego zawsze żywy udział w strapieniach ludzkich i ochota do zaradzenia im, gotowość do przemawiania na zebraniach Sokoła czy Towarzystwa Szkoły Ludowej nie pozwalała na tę opinię. Zazdroszczonoby mu dość szybkiego ustalenia dobrobytu, ale nie pozwalał na to skromny tryb życia jego domu. Jedynym bowiem zbytkiem w tym domu było, wobec braku własnych dzieci, chowanie w nim cudzych. Już od roku 1910 są tam zawsze dzieci i to w liczbie od jednego do (chwilowo w czasie wojny) nawet pięciorga. Bywają to dzieci z rodziny i obce, z inteligencji i z ludu, rzadko wybrane wedle uczucia i upodobania, najczęściej narzucone czyjąś biedą czy nieszczęściem. Na swej skromnej bryczce, czy prostych chłopskich saniach, Wygoda coraz to kogoś do domu przywozi, a nigdy nie wiadomo tam, ile w dniu bieżącym będzie stołowników, ani jacy synowie lub córki którychś przyjaciół i na jaki czas na wakacje przyjadą. Spadali jak z nieba, razem z panem domu.

I co on z tej pracy ma, pytali mieszkańcy Gródka? Czego się pan tak męczy? — słyszał często. Dla kogo? — ta niech pan pracuje tyle tylko, aby pana nie wyrzucali, tak wszyscy robią. Bardzo go bawiło takie stawianie kwestii pracy. „Co pan robi“? — pytali z zaniepokojeniem inni. Pan się w tej wściekłej pracy spala. I to była prawda. Spalał się.

W powiecie gródeckim ludność była mieszana: w pięciu wsiach zachodnich czysto polska, we wschodnich czysto ruska, dość dużo starszych kolonij niemieckich. Reszta, włącznie z t. zw. przedmieściami lwowskim i czerlańskim, rusko-polska. Wygoda na pierwszym swym stanowisku inspektora oddziału Towarzystwa Gospodarskiego był obowiązany pracować dla wszystkich członków organizacji, a byli

nimi w Towarzystwie Gospodarskim otrzymującym od rządu austriackiego z pieniędzy podatkowych subwencję na rozwój rolnictwa i Polacy i Rusini i Niemcy. Na następnych stanowiskach: powiatowego instruktora rolniczego samorządowego — miał pracować dla całej ludności rolniczej powiatu, potem jako urzędnik Krajowego Samorządu Galicyjskiego — tak samo. Obowiązki te spełniał z całą bezstronnością i sprawiedliwością. Nigdy żaden najzagorzalszy Ukrainiec, nie mógł mu zarzucić jakiejkolwiek nie tylko broń Boże szykany czy zaniedbania, ale wogóle różnicy w traktowaniu nie tylko ludzi, ale przede wszystkim ich spraw. Tam, gdzie szło o dobro gospodarstw, współpracował z nauczycielami i z księżmi Ukraińcami, choćby partyjnikami. Wytężona praca pochłaniała Wygodę poza wszelkie godziny urzędowe i ponad wszelkie obliczenia, poprostu aż do wyczerpania sił w każdym okresie czasu. Można stwierdzić bezstronnie, że wiele z jego dobrowolnej pozaobowiązkowej, społecznej pracy weszło w Rusinów i na dobro ludności ruskiej.

Gdy jednak znajdował się w środowisku czysto polskim, zwracał uwagę na fałszywe stawianie kwestii narodowości w towarzystwach rolniczych. Rusini tworzą — mówił — swoje towarzystwa rolnicze czysto ruskie, pracują w nich zupełnie swobodnie, nie zużywając ani grosza, ani myśli dla Polaków, otrzymując subwencje z pieniędzy podatkowych. My tworzymy organizacje krajowe, niby polskie, ale przyjmujemy w nich Rusinów, dumnie wykazując się swą bezstronnością dla otrzymania cokolwiek większych subwencyj. W wyniku tego tracimy możność swobodnego oddziaływania przy akcji gospodarczej w duchu patriotycznym na własną polską ludność włościańską, tak jak oni to robią. Równocześnie zużywamy i pewne fundusze i własną energię na akcję u nich, a wskutek tego nie jesteśmy w działaniu ekonomiczno-oświatowym nigdy sami u siebie, nie wytwarzamy naszej czysto polskiej siły ekonomicznej. Oni zaś korzystają także z naszej działalności i z naszych funduszów, podpatrują, a gdzie mogą psują, i nigdy nie są syci.

Ten też jedyny szkopuł widział w przyszłym połączeniu towarzystw rolniczych na terenie wschodniej Galicji, gdzie przestałoby istnieć jedyne czysto polskie towarzystwo rolnicze, mianowicie odrębne Towarzystwo Kółek Rolniczych.

Istniał jednak pewien zakres jego działalności, niewątpliwie czysto społecznej natury, gdzie wolno mu było pracować wyłącznie

dla ludności polskiej. Była to dobrowolna praca w polskich towarzystwach: w Sokole, w Towarzystwie Szkoły Ludowej i Towarzystwie Teatrów i Chórów Włościańskich. Do Towarzystwa Teatrów i Chórów Włościańskich weszła jego żona jako reżyserka zespołu gródeckiego, a on wspierał jej pracę, biorąc udział w doborze granych sztuk, w obrabianiu poszczególnych ról i w próbach, co przy jego współudziale przybierało znaczenie lekcyj kultury. Wtedy powziął myśl zbierania wedle potrzeb życia wiejskiego dobranych pieśni ludowych polskich z różnych okolic, co robił z żoną w czasie urlopów i kuracyj, oraz uświadomił sobie potrzebę napisania przez wybitnych pisarzy szeregu sztuk dramatycznych, przystępnych dla ludu, a obrazujących ważne momenty z dziejów Polski.

W Towarzystwie Szkoły Ludowej pracował, przeprowadzając szereg kursów, przy współudziale profesorów gimnazjalnych i użyciu przezroczy. Szczególnie dużo zadowolenia dała mu serja wykładów o polskich świętych, ilustrowana obrazami Stachiewicza.

Na tych to kursach, wykładach, opłatkach i innych zebraniach w organizacjach społecznych, mówił o tej Polsce, która będzie; stwierdził to ś. p. Jan Czekajło, gospodarz z Dolinian, spotkany przeze mnie na Zamku w Warszawie, w czasie uroczystości dekorowania pracowników społecznych przez Pana Prezydenta R. P. medalami zasługi: — „Pan inspektor mówił nam zawsze, że Polska będzie wolna, zawsze nam opowiadał o Warszawie, o królewskim zamku, o naszej przeszłości. Ale czy my się spodziewali, że się tu spotkamy właśnie na tym zamku, o którym nam opowiadał". W chwili odznaczenia za swoją pracę dla Polski pamiętał ten chłop o tym, który go niewątpliwie ku tej pracy zwrócił.

W domu Wygoda trzymał służbę wyłącznie polską, budził i podtrzymywał w niej ambicję polskości. W dzieci polskie, wychowane u siebie, wpajał poczucie polskości, uczył je cenić i kochać polską kulturę. Jednakże w czasie wojny udzielił gościnnego dachu siostrze Ukraińce i jej trojgu dzieci. Mówił z nimi po polsku. Kochał te dzieci, a pół żartem przepowiadał im, że kiedyś będą za wujem Lachem kamieniami rzucały. Tak mówił rozsądek. Jednakże w sercu żywił nadzieję, że odezwie się w tych mieszańcach krew polska, a pobyt w jego domu do tego może się przyczynić.

Coraz wartszym strumieniem płynąca praca żłobiła sobie coraz

szersze i głębsze koryto. Za to też i odbijała się na zdrowiu, które trzeba było kilkakrotnie kuracją naprawiać.

Nurtowały go i projekty szerszej działalności. Gdy prąd jego działania uderzał o jakąś przeszkodę zasadniczą, organiczną, tak długo żłobił myślą, aż kwestię publicznie jasno postawił i starał się poruszyć odpowiednie czynniki, wywołać szerszą działalność, bez względu na to, czy i komu mógłby się narazić.

Tak było ze scaleniem w Galicji. Stykając się ustawicznie w gospodarstwach włościańskich z nieszczęsnymi skutkami rozdrobnienia gruntów, szachownicy i gruntów pasowych, rozpoczął w r. 1911 t. zw. przez siebie „kampanię komasacyjną", walcząc o uzdrowienie tej działalności, prowadzonej przez administrację austriacką za polskie pieniądze podatkowe z Galicji pomału i niedołężnie. Szereg artykułów w „Rolniku", a następnie osobna broszura[9]) z pozytywnym programem koniecznych reform w działalności scaleniowej oraz uchwała wniesiona przez gródecko-janowski oddział na Radę ogólną Towarzystwa Gospodarczego domagającą się rewizji ustawy komasacyjnej, są pozostałością całej tej żmudnej pracy, której przyszłość galicyjską zniszczyła wojna. A w wolnej Polsce działalność scaleniowa w Małopolsce także niezbyt szybko i udatnie urzeczywistnia się.

Z innych projektów opracowanych przez Wygodę wymienię t.zw. „cielęciarnię", specjalny zakład dla wychowu własnych rozpłodników Towarzystwa Gospodarskiego, która to sprawa także już przeszła była przez Radę ogólną Towarzystwa Gospodarskiego i niestety, gdy w r. 1913 została zahamowana, wojna ją doszczętnie unicestwiła. Krystalizowały się plany zakładu przeróbki lnu, który miałby uwolnić siły kobiet wiejskich od ciężkiej pracy moczenia, trzepania i międlenia, a handel włóknem ująć w ręce własne z ominięciem dotychczasowych pośredników żydowskich, co byłoby z korzyścią tak wytwórcy-chłopa, jak i samego przemysłu tkackiego, fabrycznego, czy chałupniczego. Przemysł ten , mając gotowy jednolity surowiec, dobrze przygotowany w kraju, mógłby był rozwinąć się szerzej, dając pracę licznemu nadmiarowi sił w gospodarstwach włościańskich.

Badając możliwości racjonalnego zbytu surowców skór, Wygoda wykrył beznadziejną niewolę ekonomiczną wszystkich szewców gró-

---

[9]) W y g o d a B.: W sprawie komasacji galicyjskiej. Lwów 1914.

deckich w kieszeni żydowskich handlarzy skórami, z powodu niemożliwego do spłacenia kredytu.

I wiele innych planów układał. Najwięcej jednak sił i czasu oddał myśli stworzenia w Gródku Jagiellońskim stałej szkoły rolniczej i powiatowego zakładu rolniczego. Cała jego działalność oświatowa rozbijała się nieraz o niemożliwość pokazania dowodnego tego, co się doradza. Demonstracje, pokazy, wycieczki, kursy praktyczne, w coraz to innym miejscu i w warunkach do nich niedostosowanych, dorywcze, nie zadawalały go. Zapragnął działalność swoją oprzeć o stały obiekt gospodarczy, teren pokazów i doświadczeń dostosowanych do potrzeb gospodarstwa włościańskiego, walny środek naukowy do nauki gospodarstwa, wyposażony w konieczne narzędzia, urządzenia wzorowe itd. Miała to być zarazem stała siedziba ludzi uczących, stałe ognisko porad, stałe miejsce kursów.

W tym celu Wygoda oddawna sam sposobił się do pracy w upragnionej szkole rolniczej. Jeszcze w roku 1910, w zimie zdał egzamin w Dubłanach, kwalifikujący go na nauczyciela szkół rolniczych. W roku tymże otrzymał subwencję Wydziału Krajowego na zwiedzenie gospodarstw włościańskich i szkół rolniczych w Czechach, na Morawach i w Królestwie Polskim. Czechy i Morawy zwiedził sam, szkoły w Królestwie wraz z żoną, którą zajmowały specjalnie szkoły gospodarcze żeńskie. W Czechach, Morawach i na Śląsku poznał bezinternatowe, dwuzimowe szkoły czeskie i niemieckie, szkoły specjalne, jak szkołę przeróbki lnu, mleczarskie i inne. Ponad pożyteczne szczegóły ich organizacji podziwiał moc narodu, który je stworzył. Tak wtedy pisał w listach: „Mam wciąż przed oczyma oszczędność, bo ona utwierdziła niesłychanie potęgę czeskiego narodu. Polacy są ślepi na punkcie ekonomii. Będzie wielkim, kto potrafi to zmienić. A jednak my (bez szlachciców) jesteśmy jeszcze bardzo młodym narodem, który może jeszcze odegrać niesłychaną rolę w Słowiańszczyźnie".

W Królestwie spotkał się z typem szkoły 11-miesięcznej, wolnej od błędów 3-letnich szkół galicyjskich, oraz poznał szkołę w Brzozowej, istniejącą przy fundacji sobieszyńskiej, na poziomie średnim. Przede wszystkim jednak poruszyła go tu działalność kulturalna i patriotyczna tych szkół, uczących konspiracyjnie polskości. Jeszcze bardziej odnosiło się to do szkół żeńskich: Gołotczyzny, Kruszynka i Mirosławic. Był również wtedy w Tłuszczu na grobie Adamowi-

wicza i stwierdził, jak żywe pozostały pamięci i wpływ jego wśród tamtejszej ludności wiejskiej. Po powrocie, z tym większym zapałem zabrał się do urzeczywistniania myśli o stałej szkole rolniczej.

Projekt zasadniczy już był opracowany w literaturze ekonomicznej przez dwóch wybitnych ekonomistów i znawców potrzeb wsi: prof. F. Bujaka i d-ra F. Stefczyka. Był to projekt Powiatowych Instytutów rolniczych prof. F. Bujaka[10]) oraz Zakładów Rolniczych d-ra F. Stefczyka[11]). Wielka szkoda, że przy organizowaniu szkolnictwa rolniczego projektów tych nie wzięto pod rozwagę. Kto chce zrozumieć dalszą część życiorysu B. Wygody, powinien się z nim zapoznać.

W powodzeniu jakiegokolwiek dzieła z pomiędzy wielu czynników koniecznych, dwa zdają się najbardziej decydujące: program pracy i dzielni wykonawcy. Rozpatrując możliwość urzeczywistnienia swego projektu zakładów rolniczych, Fr. Stefczyk tak pisał: „Wiadomo, że instytucje stoją ludźmi i tylko wtenczas spełniają dobrze swoje zadania, jeżeli znajdą się w ręku odpowiednich zawiadowców. Na kierowników zakładu szukać i przygotowywać musimy ludzi z wyższym wykształceniem ogólnym i zawodo-rolniczym, z zapałem do pracy społecznej, gorliwych w służbie publicznej. Od nich wymagać trzeba szerszego horyzontu myślenia, zdolności do tego, żeby ogarnąć całość pracy i zadań zakładu rolniczego, żeby pokierować czynnościami innych sił w zakładzie zatrudnionych, jak najlepiej je zużytkować i do współdziałania pobudzić".

Otóż takim człowiekiem właśnie był Benedykt Wygoda, który własnym pragnieniem wyszedł naprzeciw projektów instytutów rolniczych pomysłu Stefczyka i Bujaka.

Idea dwóch tych ludzi zaczęła przenikać sfery rolnicze. Za inicjatywą dra Aleksandra Skarbka miał powstać już w roku 1912 Zakład Rolniczo-Hodowlany Towarzystwa Gospodarskiego w Rudkach. Dwadzieścia morgów gruntu ofiarowanego przez dra Skarbka, kilka budynków, dwa etaty dla pracowników o akademickim wykształceniu zdawały się zapewniać szybką realizację całego projektu zakładu, który w głównych zarysach odpowiadać miał planom Stefczyka i Bu-

---

[10]) B u j a k Franciszek: Galicja t. 1. Lwów 1908.

[11]) S t e f c z y k Franciszek: W sprawie organizacji krajowego rolnictwa. Lwów 1909.

jaka. A więc miał objąć: badanie stosunków rolników w okręgu i starania w celu polepszenia warunków zawodowej pracy rolników; urządzanie kursów i wykładów; prowadzenie własnego, poprawnego gospodarstwa rolnego jako wzoru dla gospodarstw włościańskich; przeprowadzenie doświadczeń rolniczych na własnym polu doświadczalnym i w gospodarstwach włościańskich, poradnictwo dla rolników, współpraca z miejscowymi stowarzyszeniami rolniczymi, oświatowymi, ze spółkami, związkami i spółdzielniami. W działalności nauczania miały być szczególnie podkreślane zimowe kursy dla włościan, kursy specjalne, kursy gospodarstwa kobiecego oraz zimowa szkoła rolnicza z internatem dla młodzieży włościańskiej.

Zakład ten jednakże wskutek jakiejś wady organicznej nie wyszedł poza granice działania podobnego do tego, jakie Wygoda prowadził nie mając jeszcze żadnego obiektu. To też zdawało się, że stanie się jego właśnie udziałem, wprawdzie nie zostać kierownikiem gotowego zakładu, ale tworzyć go, organizować i puścić w ruch w Gródku Jagiellońskim.

Dziwnie tragiczna to historia. Omówimy więc najpierw rozwój tej doskonałej myśli. Przede wszystkim zajmuje nią Wygoda umysł marszałka powiatu i prezesa wydziału Towarzystwa Gospodarskiego Adolfa Brunickiego, który w tym projekcie widzi rzecz odpowiadającą ważnym potrzebom powiatu swego, i postanawia ufundować główną podstawę istnienia zakładu przez zakupno własnymi funduszami 15 morgów gruntu na terenie Gródka, pod zakład i szkołę rolniczą swego imienia. Dalsze starania już mają w nim gorliwego orędownika. Ile pracy Wygody w nie weszło, trudno ocenić. Trwały kilka lat. Wyszukał miejsce, pod samym Gródkiem, na Czerlańskim przedmieściu, między dwoma gościńcami, blisko dworca kolejowego. Po zapewnieniu pomocy Wydziału Krajowego, który obiecał szkołę przejąć jako krajową szkołę rolniczą, zaczęło się zakupno gruntu, będącego własnością kilkunastu, czy nawet kilkudziesięciu drobnych właścicieli. Ile to starań trzeba było włożyć, aby rzecz doprowadzić do końca. A gdy już miano podpisywać kontrakt, jeden kaprys jednej baby obalił wszystko i trzeba było zaczynać od nowa. Nareszcie grunt został zakupiony. Równocześnie inż. Dayczak opracował plany budynku głównego zakładu z internatem dla młodzieży rolniczej, domu administracyjnego, dwu domów mieszkalnych dla pracowników, kierownika i trzech nauczycieli. Grunt został zdrenowany, założono na

nim pola doświadczalne, aby już świadczyły o pożytku melioracji. Zaczęto budować.

Równocześnie zatroszczono się o przygotowanie kierowniczki kursów żeńskich. Żona B. Wygody, która przed zamężciem była nauczycielką przyrody w gimnazjach i liceach żeńskich, aby zyskać prawo współpracowania z mężem w przyszłym zakładzie przez prowadzenie, tak jak się to dzieje w szkołach czeskich, corocznych kursów gospodarczych żeńskich, odbywała od jesieni 1913 r. studia w świeżo otwartym Seminarium Gospodarczym żeńskim w Snopkowie pod Lwowem.

Na wiosnę 1914 r. ukończono budowę domu mieszkalnego dla kierownika. Dnia 23 czerwca otrzymał Wygoda mianowanie kierownikiem Krajowego Zakładu Rolniczego w Gródku Jagiellońskim. Sprowadził się 6 lipca, do nowego budynku i już poza całą swą dotychczasową pracą, także w czasie w domu spędzanym, czuwał nad postępem dzieła, które umiłował jako główne narzędzie pracy całego swego życia. Osiągnięcie wszystkich swych celów ześrodkował na tym rosnącym zakładzie. Doświadczenia trudów całego życia chciał zużyć dla jego rozwoju. I oto, gdy kryto dach głównego budynku, ściągnął zeń robotników rozkaz mobilizacyjny. Wojna!

Najpierw zalały Gródek, łącznie z całym polem doświadczalnym szkoły rolniczej, wojska austriackie, coraz się zmieniające, a traktujące z małymi wyjątkami Galicję jako kraj nieprzyjacielski. Patrzył więc Wygoda nie tylko na ogołocenie gospodarstw z gospodarzy i ich synów, nie tylko na ostre rekwizycje zabierające wszystkie produkty gospodarstwa i inwentarz, ale i na bezmyślne niszczenie samej substancji gospodarstw. Nie można powiedzieć, aby patrzał na to spokojnie. Wspomina o tym gospodarz z Dolinian, długoletni członek oddziału Towarzystwa Gospodarskiego, Stanisław Chruściel. Zapewne pomagał wielom; naturalnie z tym się Wygoda nie chwalił i nie zapisywał, więc łatwo mogło ujść pamięci ludzkiej, no a i ja nie mogłam o wszystkim wiedzieć.

Rzeczywiście, narażał się silnie w tym czasie, kiedy za nierozważne słowo można było życie stracić. Prędko zorientował się w całej tandecie, jaką przedstawiała armia austriacka, to też bolał podwójnie, że przy tej armii odbywała się ofiara Legionów. Wkrótce gościńcami dokoła niedokończonej szkoły rolniczej przewalała się już w ucieczce przed Moskalami armia zdemoralizowana kompletnie.

W bezmyślnym strachu Austriacy aresztowali i na śmierć skazywali Rusinów, podejrzewając ich o moskalofilstwo. Wygoda nieraz nie wahał się interweniować u poszczególnych wojskowych i chociaż dostarczeniem rzeczy i prowiantów starał się ulżyć losowi tych, których trzymano w więzieniu sądowym w Gródku, a następnie wywieziono do Talerhofu.

Wolą Wygody było zostać na miejscu, sądząc, że w ten sposób choć w części uratuje budynki. Gdy jednak wyżsi oficerowie zapewnili go, że mają polecenie kazać zestrzelić te obiekty, gdy honwedzi podpalili przedmieście, a kilka rodzin polskich chłopów z najbliższych Dolinian oświadczyli, że wyjeżdżają, — ostatnim pociągiem idącym na zachód wyjechał z żoną, z dwoma ręcznymi walizkami. „Patrz — powiedział gdy za zakrętem toru kolejowego raz jeszcze zabłysły pożarem Gródka oświecone okna domu kierownika — „już nigdy nie zobaczymy naszego zakładu rolniczego". Znowu stwierdza Chruściel: „W chwili wyjazdu Czekajłów (gospodarz z Dolinian) w r. 1914, opiekował się nimi w drodze, a później dał im pewne instrukcje co do dalszego odjazdu, a pewnie i listy polecające".

Wyjeżdżając na zachód, Wygoda chciał oddać się do rozporządzenia Wydziału Krajowego, aby go użyto w jakiejś innej szkole rolniczej dalej od linii bojowej, na zastępstwo nauczycieli zmobilizowanych. Za władzami tymi gonił w czasie ich ucieczki wzdłuż całej Galicji i znalazł je, chwilowo osiadłe, aż w Zakopanem. Polecono mu udać się do szkoły rolniczej w Kobiernicach na samej granicy Śląskiej. Szkoła tam jednakże była zamknięta. Tutaj w chacie góralskiej doczekał się przyjścia w te okolice na wypoczynek 6 pułku I Brygady Legionów, gdzie spotkał wielu swych przyjaciół i kolegów, jak Tadeusza Pannenkę i towarzyszącą mu żonę dr. Irenę Pannenkową, Juliusza Poniatowskiego i z dawnych brzeżańczyków E. Rydza-Śmigłego. Poznał wtedy Lisa-Kulę, poznał też niezapomnianego porucznika Juliusza Bagniewskiego, który wkrótce potem padł bohaterską śmiercią przyjechał po nią aż z Brazylii, gdzie zostawił wspaniałą fermę, jakiej dorobił się ciężką pracą. Od J. Bagniewskiego Wygoda pilnie dowiadywał się o warunkach emigracji polskiego chłopa w Brazylii i pracy rolniczej w Paranie.

W Kobiernicach pozostał Wygoda do marca 1915 r. Nie próżnował jednak. Namiestnik Galicji Korytowski wezwał go do pobliskiej Białej, czasowej siedziby Namiestnictwa, wraz z trzema kolega-

mi po zawodzie, jak pisał w liście: „jako rzeczoznawców do przedłożenia istotnego stanu potrzeb agrarnych i żywnościowych kraju oraz oceny szkód wojennych, celem unormowania rozmiarów akcji ratunkowej. Objechałem cztery powiaty, brałem udział w posiedzeniach Krajowej Komisji zwołanej przez namiestnika, po czym objechałem dodatkowo inne okolice, a przy końcu marca miałem być w podobnej misji wysłanym do „uwolnionych“ powiatów wschodniej Galicji“.

Wskutek zdobycia Przemyśla przez Rosjan cały zamiar spełzł na niczym. „Tymczasem przyszła akcja ratunkowa rządu (austriackiego, dla Galicji) przysłano mianowicie do Białej 308 sztuk koni wojskowych dla rolnictwa, a pielęgnowanie i sprzedaż ich w imieniu Namiestnictwa mnie powierzono. Mieszkałem więc w Białej do czerwca, złożyłem rachunki i zostałem przez Wydział Krajowy przeniesiony do szkoły rolniczej w Dulczówce, która przetrwała inwazję“. Żonę, która w tym czasie uległa wypadkowi, ze szpitala w Białej przewiózł do Zakopanego. Zakopane było wtedy ośrodkiem, gdzie nie tylko Wydział Krajowy, ale wszystko co myślało po polsku pod zaborem austriackim, a ostało się przed wojną, gromadziło się i starało się szukać dróg ratunku dla tej części Polski. Tu prof. F. Bujak zorganizował kurs ekonomiczny dla inteligencji z ramienia Książęco-Biskupiego Komitetu Ratunkowego w Krakowie, pod zbiorowym tytułem: „Zadania i potrzeby gospodarcze“. Wygoda wziął w nim czynny udział, wygłaszając trzy wykłady o ustroju gospodarstw włościańskich w Galicji, o stanie hodowli zwierząt domowych i uprawie roli, po czym przygotował na te same tematy do druku trzy studia społeczno-gospodarcze, które prof. F. Bujak wydał w roku 1916 we Lwowie w wydawnictwie: „Zadania i potrzeby gospodarcze kraju“. W pracach tych w każdej potrzebie odpowiada program działania pozytywny i jasno sformułowany.

Znaleziono także po śmierci B. Wygody, zapewne z tego czasu, list do ks. biskupa Sapiehy, w którym, powodując się na „błogosławioną działalność K. B. K.“, rzuca projekt założenia centrali towarowej, rodzaj powszechnego Banku Spółdzielczego, któryby dzięki specjalnemu zaufaniu do instytucji wciągnął w ruch kredytowy pieniądze leżące martwo u chłopów (wtedy jeszcze nie były one zdewaluowane). Kapitał ten miał by być użyty na zorganizowanie od góry czysto polskiego handlu. Kluczem do zaufania chłopów miało być oparcie całej akcji na ludziach bezwzględnie uczciwych, a już przez

niektóre akcje K. B. K. wyćwiczonych, a więc przede wszystkim na księżach. Czy projekt ten doszedł do ks. biskupa krakowskiego nie wiadomo. Dziś, gdy zaczyna rozwijać się instytucja kas parafialnych, mająca udzieleniem bezprocentowego kredytu stać się oparciem dla polskiego drobnego handlu, tamten projekt wydaje się ciekawym poprzednikiem.

Ponieważ dyrektor szkoły w Kobiernicach został spensjonowany, Wygoda starał się o to miejsce. Ale sprawy potoczyły się inaczej.

Gródek Jagielloński znów był wtedy pod panowaniem austriackim, jednak bliskość linii bojowej i rządy wojskowe uniemożliwiały tam jakąkolwiek akcję. Ale chłopi gródeccy pamiętali Wygodę i upominali się o niego. że zaś marszałkiem krajowym był wówczas St. Niezabitowski, ziemianin z powiatu gródeckiego, chciał im iść na rękę i Wygoda dostał polecenie powrotu do Gródka. Miał już wtedy daleko posuniętą wadę serca. Budynki zakładu rolniczego zastał na pół rozwalone. Wprawdzie Austriacy ani Moskale nie zestrzelili ich, ale zdziczała wojną okoliczna ludność zniszczyła co mogła. Leje granatów popsuły dreny, piwnice budynków zalane zostały wodą, dachy rozebrane razem z wiązaniami, odrzwia i obramowania okien wyrąbane. Najlepiej wyszedł dom mieszkalny Wygody, gdzie nawet część sprzętów domowych ocalała dzięki pełnej poświęcenia opiece dawnej służącej. Co najmniej połowa mienia Wygody znikła. Zwłaszcza zniszczona została biblioteka pod butami żołnierzy, a z nią kilka gotowych do druku rękopisów popularnych dziełek rolniczych.

Wygoda otrzymał polecenie przyprowadzenia do porządku jedynie domu mieszkalnego. Osiadłszy w tym domu znowu, przez trzy lata czuł się jakby przykuty łańcuchem do ruiny niedokończonego zakładu rolniczego i ruiny swoich pięcioletnich starań. Przez tyle lat pracował zyskując sobie zaufanie chłopa, bez czego praca jego byłaby bezskuteczna. A teraz to zaufanie właśnie wystąpiło w takiej chwili i w takiej formie, że związało mu ręce wyrywające się tam, gdzie była jeszcze nawet w tym czasie możność pracy nad odbudową gospodarczą kraju, a zatrzymało go w Gródku, gdzie wciąż raz zbliżająca się, raz oddalająca się linia bojowa trzymała w bezsilnej zależności od austriackiej sołdateski.

Wysiłki zwracał wtedy na ratowanie gospodarstw i ludzi w czasie wojny. Czyż można jednakże wyobrazić sobie Wygodę bezczynnym? Praca jego w tym czasie obracała się głównie około obrony lud-

ności przed kompletnym wyniszczeniem przez rekwizycje wojenne, często bezprawne, około reklamacyj ludzi z wojska austriackiego, starań o odszkodowania dla chłopów za szkody i świadczenia wojenne, wydawania certyfikatów ochronnych dla ratowania resztek sztuk hodowlanych i innych, aktualnych w czasie wojny, a najbardziej dla chłopa dotkliwych kwestyj. Przyjął nominację na rządowego komisarza rolniczego, aby móc wejść legalnie w te sprawy i przeprowadzał zasadę taką, by, dostarczając intendenturze austriackiej pewnej ilości produktów rolnych, poświadczeniem dostarczenia tych produktów bronić reszty pozostawionej producentom w ilości potrzebnej im samym, z pewną nadwyżką na sprzedaż ludności cywilnej. Przy tym starał się nawiązać cichy kontakt spożywców wprost z rolnikami, omijając tradycyjnych pośredników. Cała ta robota była nadzwyczaj trudna i niebezpieczna ze względu na stosunek do władz wojskowych.

Dużo się znalazło przy tym sposobności i na osobiste świadczenia dla ludzi. Jeszcze można spotkać osoby, które dziś jeszcze ze łzami w oczach (jak żona ówczesnego kierownika szkoły w Czerlanach p. W.) wspominają jak to przez B. Wygodę dostały trochę zboża na chleb, gdy go już w domu w tych czasach ciężkich dzieci dawno nie widziały. Siostra Wygody pisze tak: Raz przyjechał w zimie do domu o dziewiątej wieczór okropnie zziajany i nie mógł nawet nic przełknąć, a gdy prosiłam, aby się położył, powiedział, że musi jeszcze iść do miasta. Obiecał bowiem jednej kobiecie dać drzewa i na chleb, bo bardzo biedna. Zgodził się, że go zastąpię, poszłam z dziećmi, znalazłam w uliczce za ratuszem kobietę z dzieckiem 2—3-letnim, które bardzo głodne, rączęta i nogi miało popuchnięte z zimna. Gdy powiedziałam, że przychodzę w zastępstwie brata Wygody, z chwilową pomocą, a jutro on sam będzie, nasłuchałem się wiele dobrego o nim, jak o jakimś nadczłowieku.

Pomału odradzają się gospodarstwa chłopskie, nieraz do korzenia zniszczone, a przy tym odnawiają się dawne najpierwotniejsze metody działania, choć w okropnych warunkach wojennych. Nigdy poradnictwo nie było potrzebne tak jak teraz, gdy najczęściej gospodarza nie ma w domu. Nieraz się jeszcze ludzie ratują. Represje austriackie za nielojalność w czasie inwazji rosyjskiej dotykały „winnych“ i „niewinnych“. Zwłaszcza ludność ruską, która w pierwszych czasach powrotu austriaków była masowo rozstrzeliwana. Kie-

dyś Wygoda pisze: „Jeżdżę dalej po rekwizycjach. Dziś byliśmy w tych nieszczęsnych Zuszycach, gdzie na całą wieś z 33 chat, jest trzech chłopów. Właśnie odkopali we wsi dwóch zakopanych przy drodze. Mieli przy sobie legitymacje. Co obie baby wyprawiały trudno opisać. Ciężkie jest życie ludzkie, ale zawsze to — już chyba „kamienne". A Stanisław Chruściel wspomina: „Także podczas wojny, podczas rekwizycyj zboża miał p. Wygoda wzgląd na ludzkie potrzeby. Gdy mnie aresztowano z powodu jakowejś pomyłki żydka piszącego w kancelarii, to gdy żona poszła do pana Wygody skarżyć się o swym położeniu, to tenże nie tylko zaraz szedł do urzędu pocztowego, aby telefonować, ale jeszcze zwrócił się do urzędu, aby przeszukać wszystkie listy. Żona pojechała była szukać mnie do Krakowa i nigdzie mnie nie znalazła, a pan Wygoda właśnie znalazł list ze szpitala z zawiadomieniem do żony, gdzie się znachodzę. Gdyby nie zainteresowanie się pana, to żona byłaby musiała czekać długo na tę wiadomość, może tydzień, a było to bardzo ciężkie czekanie, gdyż, nie znalazłszy mnie w Krakowie, zdawałoby się jej, że już na zawsze mnie straciła".

Utarło się powiedzenie w Gródku o Wygodzie, że jest „bez ambicji", t. j. że można go na ulicy schwytać za rękaw i prosić o ratunek, czy radę, czy pomoc, albo o załatwienie jakiejś sprawy.

Na życzenie Wygody żona jego dokończyła nauki w Snopkowie i zdała egzamin kwalifikujący ją na nauczycielkę szkół żeńskich gospodarczych, potem zorganizowała kilkutygodniowy kurs Towarzystwa Gospodarczego Wykształcenia Kobiet dla dziewcząt wiejskich w Kozielnikach pod Lwowem, a w r. 1917 objęła w styczniu na jeden rok szkolny kierownictwo otwartej na nowo po zniszczeniu wojennym szkoły gospodyń w Albigowej. Mówił, że ta praktyka potrzebna dla przyszłego Zakładu Rolniczego w Gródku. Czy w to jeszcze wierzył, czy raczej przeczuwał bliski koniec i w ten sposób chciał jej zapewnić pracę przyszłą.

Wykładał także na Snopkowie „Stan włościaństwa w Galicji", pragnąc w przyszłe nauczycielki szkół gospodarczych wpoić wiadomości oparte na prawdziwym stanie rzeczy o gospodarstwie chłopa i o jego duszy. Jak dawniej, przemawiał na różnych zebraniach, o ile tylko były możliwe w tych czasach wojennych, korzystając z każdej sposobności dla propagandy pracy społecznej. Jak dawniej tak i teraz, prelekcje te budziły wielkie zainteresowanie. W marcu 1917

roku pisał: „miałem gadanie w Kasynie—Kole Literackim. Sukces był bardzo przyjemny, bo w dyskusji ożywionej wyrażano pretensje, aby tego rodzaju rzeczy częściej słyszeć było można".

Zbliżał się koniec wojny, przychodziły różne wieści, w Gródku także zbierano się i naradzano. Pisze o tem znowu Stanisław Chruściel: „jeszcze przed ukraińską nawałą, nie wiem z czyjej inicjatywy był urządzony wiec, na tym to wiecu p. dyr. Wygoda wygłosił płomienne patriotyczne przemówienie na temat przyszłości Polski. Potem nastąpiła inwazja ukraińska, podczas której nie za co innego, jak za stanowisko patriotyczno-heroiczne jako Polaka został przez Ukraińców aresztowany i zabrany". Było to tak: pierwszego listopada 1918 r. zaczęła się samorzutna demobilizacja wojska austriackiego przez rzucanie broni przez żołnierzy i rozchodzenie się do domów. W południe do Gródka przyszła wiadomość o zajęciu dworca lwowskiego przez Ukraińców. Wygoda (już ciężko chory wtedy na serce) przypisywał winę tego Komisji Likwidacyjnej, która powinna była przyjechać najpierw na zagrożony Wschód. W Gródku przez dzień panował stan bezwładnego oczekiwania. W nocy Ukraińcy odebrali władze od starosty i wojska. Nie umiejąc się zabrać do zagospodarowania, Ukraińcy zażądali wejścia trzech Polaków do Komisji Aprowizacyjnej. Jednym z nich miał być Wygoda. Na pierwszym posiedzeniu tej Komisji zaznaczył, że Polacy stoją na stanowisku istniejącego stanu rzeczy, aż do rozsądzenia kongresu światowego i przyjmują do wiadomości, że Ukraińcy wzięli na siebie narazie trud i odpowiedzialność utrzymania porządku i rządów w Gródku, zarazem dziwią się, że się dotychczas do nich nie zwrócono z wezwaniem do udziału w ciele rządzącym. Z kilku innymi Wygoda postanowił zwołać polski wiec, na co Ukraińcy miejscowi, bardzo jeszcze nie pewni siebie, zdawali się zgadzać. Celem tego wiecu miało być: zaznaczenie, że Polacy tu są i mają prawo decydowania o swoich losach, porozumienie solidarne Polaków między sobą i w końcu stworzenie jakiegoś ciała powołanego do obrony polskich interesów.

Tymczasem rządy ukraińskie wprowadziły coraz większe ograniczenie wolności pod karą śmierci. U Wygody zrobiono rewizję, szukając karabinów maszynowych w piwnicy, gdzie sąsiedzi Rusini zauważyli światło. Gdy zaś oficer prowadzący rewizję zdumiał się, widząc piękne jarzyny ułożone wzorowo, Wygoda powiedział mu, że takie być muszą u dyrektora polskiej szkoły rolniczej, która tu na-

pewno będzie. Od tej chwili mówił tylko po polsku, niezależnie od tego do kogo.

Wiec odbył się 10-go listopada pod przewodnictwem naczelnika sądu Z. Szybalskiego, w obecności Ukraińców, w sali otoczonej wojskiem pod bronią. Śmiałe przemówienie Wygody spowodowało zagrożenie mu aresztowaniem i wymierzony nań rewolwer adiutanta wojskowego komendanta, niejakiego Szuty. Mimo to Wygoda przeprowadził krytykę rządów ukraińskich, wprowadzających niepotrzebnie bezprawie i teror. Wybrano komisję polską z 4-ch osób, w tem Wygoda. Komisja ta 14-go listopada wniosła do powiatowej rady ukraińskiej memoriał, projektowany przez Wygodę, w sprawie licznych aresztowań Polaków, aresztowań bezpodstawnych zresztą i okrutnych. W memoriale komisja ta zażądała utworzenia tymczasowej Rady Narodowościowej, złożonej z 4 Polaków, 4 Ukraińców, jednego żyda i jedego Niemca, pozostawienia wszystkich instytucyj i zniesienia stanu wojennego. Protest ten nie odniósł żadnego skutku poza obietnicą, że będzie przeprowadzone śledztwo. Dnia 16 listopada Wygoda dostał silnego ataku sercowego. Wtedy właśnie przybyły lekarz przyniósł wiadomość (oczywiście fałszywą), że Lwów poddał się Ukraińcom. Komendant ukraiński w Gródku oświadczył Wygodzie, że społeczeństwo polskie gródeckie dawno byłoby się zgodziło na rządy ukraińskie, gdyby nie Benedykt Wygoda. Chłopi ukraińscy podobno odgrażali się, że jeśliby od Przemyśla szli legioniści, to oni na wsi rzucą się na dwory, a w Gródku na p. Wygodę.

Niebawem doszło do wyzwolenia Gródka. Dnia 20 listopada chłopak wiejski przyniósł Wygodzie wiadomość, że w mieście są Polacy legioniści i polskie chorągwie zawieszono na ratuszu i starostwie. Tak pisze o tem Wygoda w chwilowo prowadzonym pamiętniku tych dni: „żona rano poszła do miasta, a wróciwszy opowiedziała co się dzieje. Popłakaliśmy się jak bobry. Mimo żem się na nogach chwiał, pojechałem do miasta. Trafiłem na duże zebranie w sali rady powiatowej, gdzie kapitan Federowski obejmował władzę i przeznaczał ludzi do pracy. Gdym wszedł na salę zauważyłem duże poruszenie. Ksiądz Filipek przystąpił z kilku ludźmi do mnie, twierdząc, że ogólnie żądano oddania mnie magistratu. Ale ledwie się trzymałem na nogach i nie w głowie mnie było sięganie po władzę. Kapitan Federowski na ogólne żądanie zwołał posiedzenie na

7-mą wieczór z 10-ciu ludźmi złożone. Uchwalono tu jednogłośnie oddać magistrat Wygodzie, rozwiązać radę gminną, mianować radę przyboczną miejską z 12-tu członków, starostwo oddać Bogdanowiczowi. Wydano trzy proklamacje zredagowane przeze mnie i Kaniowskiego w obu językach, powołano pod broń milicję miejską dla utrzymania porządku. Rano 25 listopada już były nowe rządy ustalone. Zjawiłem się rano w magistracie, zwołałem wszystkich urzędników i prosiłem ich o pomoc i wsparcie. Potem począłem się informować o całe mnóstwo spraw miejskich. Tak zeszedł cały dzień jeden i drugi. Potem przyszły posłuchania, prośby szczególnie i nader licznie o drzewo i gałęzie z lasu. Kap. Fedorowski polecił sprzedać ludności wielkie zapasy węgla leżącego w magazynach wojskowych. Dało to nam wszystkim tydzień okrutnej roboty, mitręgi, szarpaniny z ludźmi".

Zaczęło się męczeństwo Gródka, przechodzącego przez kilka miesięcy wielokrotnie z rąk polskich w ręce ukraińskie. Oczywiście, że przy każdej wizycie Ukraińcy starali się zaaresztować przede wszystkim pierwszego polskiego burmistrza[12]) w Gródku, Wygodę. Wszystkie okoliczne wsie i lasy były w ręku Ukraińców. Gródek leżał na cienkiej nici linii kolejowej, na której perła nasza — Lwów — trzymał się zawieszony u Przemyśla. Mały oddział wojska i jeden pociąg pancerny przesuwany od Lwowa do Sądowej Wiszni i dalej miały tego bronić.

Po raz pierwszy od odbicia Gródka Ukraińcy weszli do miasta w nocy z 2 na 3 grudnia. Zaraz zrobili rewizję u Wygody, aresztowali go i pognali chorego piechotą, bijąc kolbami. Wypuścili go, a gdy wrócił do domu znowu przysłali oddział pijanych żołnierzy na t. zw. rewizję, przy czym przykładali mu bagnet do piersi. W czasie gdy jedni plądrowali i rabowali dom, kapral pilnował Wygody. A on spokojnie i łagodnie zaczął tłumaczyć pilnującym go żołnierzom, że cała ta wojna ukraińska nie przyniesie pożytku ani nam, ani im, lecz Niemcom i Żydom. I w tej chwili widział w nich jeszcze przedmiot oświaty. Za parę godzin znów Polacy byli w Gródku. Natychmiast Wygoda stanął do pracy w magistracie. Nominacja jego była zatwierdzona przez Tymczasową Komisję Rządzącą, której imieniem

---

12) Właściwie Komisarza miejskiego zatwierdzonego przez Tymczasową Komisję Rządzącą.

uczynił to najpierw Aleksander Skarbek, lecąc dla uwolnienia Lwowa.

W sprawach miasta kilkakrotnie w pierwszej połowie grudnia Wygoda jeździł do Lwowa, a dwukrotnie wtedy bywał odcięty od Gródka i rodziny. O jednym z aresztowań wspomina St. Chruściel: „pana Wygodę Ukraińcy zajęli i wzięli, nawet żona moja widziała (pożegnali się jeszcze oczyma), przypuszczałem, że go Ukraińcy musieli zamordować".

Głównym zadaniem Wygody po każdorazowym uwolnieniu było zapewnianie oblężonemu ściśle miastu aprowizacji i sprawiedliwy jej rozdział, zwłaszcza między ubogą ludnością. Całe dnie spędzał w magistracie otoczony pierścieniem przerażonych i zrozpaczonych mieszkańców, których starał się spokojnie i sprawiedliwie obdzielić kwitami. Jeszcze kilka jazd w pociągu ostrzeliwanym do głodnego Lwowa, dokąd jeszcze dowoził przy tej sposobności z własnych zasobów prowianty.

W końcu, gdy przyjechał do Lwowa na parę dni świąt Bożego Narodzenia, nic dziwnego, że w takich okolicznościach lekarz znalazł, że życie jego się kończy. Już pisemnie zdał swą pracę w Gródku w magistracie zastępcy. Po piekle gródeckim życie w oblężonym Lwowie wydawało mu się zrazu spokojnym. Cieszył się zorganizowaną, choć stworzoną z niczego obroną miasta. Czuł też rodzącą się siłę Polski. Przykuty do fotela, śledził wszystkie wiadomości z tego frontu, który wciąż się wyginał wahadłowo na przedmieściach Lwowa.

Ale tu dopiero, pozbawiony bezpośredniego działania własnego, zagłębił się boleśnie we własną tragedię narodowo-rodzinną. Pracując całe życie dla odrodzenia Polski, teraz, gdy Ona już zmartwychwstała nie miał sił, by służyć wolnej. Tyle pracy i uczuć oddawszy ludowi ruskiemu, teraz widział go przedtwarzającego się w najwyższego jeszcze i bezpośredniego wroga swej ojczyzny. „Każdy szrapnel ukraiński po kawałku odbiera mi życie" — mówił. Ostatnim jego marzeniem było dostać się jeszcze tam, gdzieby mógł odetchnąć zupełnie wolnym powietrzem Polski, między lud czysto polski, więc w ostatni dzień przed śmiercią napisał list do proboszcza w Niegowici pow. bocheńskiego, prosząc go o gościnę. Ostatnim projektem jego było ogłoszenie konkursu (imienia dwóch bezinteresownie leczących go doktorów Podsońskiego i Sieleskiego) na powiastkę dla chło-

pa polskiego, bo lud nasz nie ma co czytać — t. zw. literatura ludowa urąga najczęściej zdrowemu rozsądkowi.

Ostatnie długie rozmowy o kraju swego dzieciństwa w Capowcach i o wszystkim co było i być może miewał z księdzem K. Czesznakiem. Nie brakło mu szczególnych bólów w ostatnich dniach życia. Wybuch amunicji na dworcu lwowskim 6 marca przeraził go możliwością wtargnięcia Ukraińców do środka Lwowa. Jakże cieszył się, widząc przez okno na ulicach energiczne ruchy zaradcze polskich patroli.

Śmierć Hozera i bohaterskich niewiast K. Dzieduszyckiej i M. Dulębianki, które niosąc pomoc więźniom w zajętej części kraju same uległy tyfusowi, były ostatnimi wiadomościami, które przepełniły bólem to serce tak wrażliwe. Pękło dnia 8 marca 1919 roku — zmarł w oblężonym Lwowie.

W wolnej Polsce budynki Zakładu Rolniczego w Gródku Jagiellońskim zostały wykończone, po czym puszczono w ruch Państwową Ludową Szkołę Rolniczą dwuzimową.

* * *

Spis wydanych drukiem prac Benedykta Wygody:

Tablice pomocnicze do prowadzenia ksiąg kontroli mleczności, Lwów 1909.

W sprawie komasacji galicyjskiej, Lwów 1914.

Jak uprawiać rolę, Lwów 1914.

Ustrój gospodarstw włościańskich w Galicji, Lwów 1916, str. 52.

Hodowla zwierząt domowych, Lwów 1922.

O nawozach, Lwów 1922.

oraz liczne artykuły w „Rolniku", „Słowie Polskim", „Piaście" i wielu innych pismach codziennych, ludowych i rolniczych.

BIBLIOTEKA OFICERSKA
D. O. W. VII
Nr 211

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Telefon 8-93-47.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WDP
32446/2
2 yc.
211/2